

TASHA
SURI
JAŚMINOWY
TRON

WORLD
FANTASY
AWARD
2022

NAJLEPSZA
POWIEŚĆ



fabryka słów
WYDAWNICTWO

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Płonące królestwa / Kroniki Ambhy

Prolog

1. PRIJA

2. MALINI

3. PRIJA

4. MALINI

5. AŚOK

6. PRIJA

7. PRIJA

8. AŚOK

9. WIKRAM

10. RAO

11. PRIJA

12. PRIJA

13. MALINI

14. PRIJA

15. BHUMIKA

16. PRIJA

17. PRIJA

18. MALINI

19. RAO

20. DŹITESZ

21. PRIJA

22. PRIJA

23. AŚOK
24. PRIJA
25. MALINI
26. BHUMIKA
27. PRIJA
28. RAO
29. PRIJA
30. MALINI
31. PRIJA
32. RAO
33. PRIJA
34. PRIJA
35. AŚOK
36. BHUMIKA
37. PRIJA
38. MALINI
39. BHUMIKA
40. MITHUNAN
41. MALINI
42. AŚOK
43. PRIJA
44. RAO
45. BHUMIKA
46. PRIJA
47. WIKRAM
48. RAO
49. ĀANDNI
50. PRIJA
51. RAO

52. MALINI

53. PRIJA

54. PRIJA

55. AŚOK

56. MALINI

57. PRIJA

58. MALINI

59. PRIJA

60. MALINI

61. RAO

62. MALINI

63. PRIJA

64. BHUMIKA

65. RAO

66. PRIJA

67. MALINI

68. BHUMIKA

69. MALINI

70. PRIJA

Epilog

Bohaterowie

Mapa

Podziękowania

Tasha Suri

Kroniki Ambhy

Karta redakcyjna

Okładka



TASHA SURI

JASMINOWY TRON

TRYLOGIA
PŁONĄCE KRÓLESTWA

KSIEGA 1

PRZEŁOŻYŁ PIOTR KUCHARSKI
ILUSTRACJE PAWEŁ ZARĘBA

fabryka słów®

Lublin - Warszawa



PŁONĄCE KRÓLESTWA



KSIĘGA 1. JAŚMINOWY TRON

W PRZYGOTOWANIU:

KSIĘGA 2. OLEANDROWY MIECZ

KSIĘGA 3.



KRONIKI AMBHY



KSIĘGA 1. CESARSTWO PIASKU

KSIĘGA 2. KRAINA POPIOŁU

Carly.

Sprawiasz, że świat staje się lepszy.



PROLOG

Na dziedzińcu cesarskiego mahalu układano stos. Przez położone wysoko okna wlatywała woń ogrodów: słodkich róż i jeszcze słodszych cesarskich igłokwiatów, bladych i delikatnych, rosnących w takiej obfitości, że przeciskały się przez kratownicę, a ich białe płatki rozpościerały się na murach z piaskowca. Kapłani rzucali te płatki na stos, mrucząc pod nosami modlitwy, zaś służący przynosili drewno i układali je starannie, polewali kamforą i ghi, przyskali kropelkami perfumowanych olejków.

Zasiadający na swoim tronie cesarz Ćandra pomrukiwał wraz z innymi. W dłoniach trzymał sznur paciorków modlitewnych. Każdy z nich był żółędziem ozdobionym imieniem jednej z matek płomienia: Diwjańsi, Ahamara, Nanwiśi, Suhana, Minakśi. Recytował, a jego dworzanie – królowie miast-państw Paridżatdwipy, ich książęcy synowie, ich najdzielniejsi wojownicy – recytowali wraz z nim. Jedynie król Aloru i gromada jego bezimiennych synów zachowywali zwracające uwagę, wymowne milczenie.

Na dziedzińcu wprowadzono siostrę cesarza Ćandry.

Po jej bokach szły jej damy dworu. Po lewej bezimienna księżniczka z Aloru, powszechnie nazywana po prostu Alori, po prawej

zaś Narina, dama szlachetnej krwi, córka wybitnego matematyka ze Srugny oraz arystokratki z Paridżatu. Odziane były w krwistą ślubną czerwień. Na włosach nosiły korony z drobnych gałązek oplecionych nicią naśladowującą gwiazdy. Gdy wkroczyły na dziedziniec, oczekujący mężczyźni skłonili głowy, przycisnęli twarze do podłogi i rozłożyli płasko dłonie na marmurze. Kobiety zostały ubrane z czcią i naznaczone błogosławioną wodą. Modlono się za nie dzień i noc, aż świt rozjaśnił niebo. Stały się na tyle święte, na ile tylko było to możliwe w przypadku kobiet.

Ćandra nie skłonił głowy. Obserwował siostrę.

Nie założyła korony. Rozpuszczone, poplątane włosy spływały jej z ramion. Posłał pokojówki, żeby ją przygotowały, ale odprawiła je wszystkie, zagryzając zęby i płacząc. Posłał jej też karmazynowe sari, haftowane najdelikatniejszym złotem z Dwarali, wonne od igłokwiatów i perfum. Odmówiła włożenia go i zamiast tego wybrała najjaśniejszą żalobną biel. Rozkazał kucharzom, by doprawili jej dania opium, jednak nie chciała jeść. Nie została pobłogosławiona. Stała na dziedzińcu z nieozdobioną głową i rozczochranymi włosami niczym żyjąca kłątwa.

Jego siostra była głupim i kapryśnym dzieckiem. Nie znajdowałiby się tutaj, przypomniał sobie, gdyby nie okazała się całkowicie niekobieca. Gdyby nie próbowała wszystkiego zniszczyć.

Główny kapłan ucałował bezimienną księżniczkę w czoło. Tak samo uczynił z damą Nariną. Gdy zbliżył się do siostry Ćandry, ta wzdrygnęła się i nadstawiła policzek.

Kapłan cofnął się.

– Możecie się wspiąć – rzekł spokojnym tonem, spoglądając na nią bez emocji. – Wespnijcie się i zostańcie matkami płomienia.

Jego siostra ujęła swoje damy za ręce. Ścisnęła je mocno. Stały tak we trzy przez długą chwilę, po prostu się trzymając, po czym puściła je.

Damy podeszły do stosu i weszły na jego szczyt. Uklękły.

Siostra cesarza nie poruszyła się. Stała z uniesioną głową. Wiatr dmuchnął w jej włosy płatkami igłokwiatu, które odznaczyły się bielą na całkowitej czerni.

– Księżniczko Malini – powiedział główny kapłan – możesz się wspiąć.

Wespnij się, pomyślał Ćandra. Okazałem ci większą litość, niż na to zasługiwałaś, i oboje to wiemy.

Wespnij się, siostro.

– Wybór należy do ciebie – oznajmił kapłan. – Nie będziemy cię zmuszać. Zrezygnujesz z nieśmiertelności czy jednak się wespnieiesz?

Propozycja nie zostawiała miejsca na dwuznaczności. Jednak dziewczyna nie ruszyła się. Znów pokręciła głową. Łkała w ciszy, starając się nie okazać żadnych uczuć.

Duchowny skinął głową.

– Zatem zacznijmy – rzekł.

Ćandra wstał. Paciorki modlitewne zagrzechotały o siebie, gdy przestał je ścisnąć.

Oczywiście, że musiało do tego dojść.

Zszedł z tronu. Pokonał dziedziniec, krocząc przed morzem pochylonych mężczyzn. Ujął siostrę za ramiona, bardzo delikatnie.

– Nie lękaj się – powiedział do niej. – Dowiedzisz swojej czystości. Uratujesz swoje imię. Swój honor. A teraz WESPNIJ SIĘ.

Jeden z kapłanów zapalił pochodnię. Dziedziniec wypełnił się wonią palonego drewna i kamfory. Duchowni zaczęli niskimi głosami śpiewać pieśń, która nabrzmiała w powietrzu. Nie zamierzali czekać na cesarską siostrę.

Ale wciąż był czas. Stos nie został jeszcze podpalony.

Gdy księżniczka kolejny raz pokręciła głową, cesarz chwycił ją pod brodę i zadarł jej głowę.

Nie trzymał jej mocno. Nie krzywdził jej. Nie był potworem.

– Pamiętaj – zaczął niskim głosem, który niemal ginął pod dźwięczną pieśnią – że sama ściągnęłaś na siebie ten los. Pamiętaj, że zdradziłaś rodzinę i wyrzekałaś się swojego imienia. Jeśli się nie wespniejesz... Siostrze, pamiętaj, że sama postanowiłaś sprowadzić na siebie zniszczenie, a ja uczyniłem wszystko, co w mojej mocy, żeby jednak ci pomóc. Pamiętaj o tym.

Kapłan przytknął pochodnię do stosu. Drewno powoli zaczęło zajmować się płomieniem.

Ogień odbił się w jej oczach. Spoglądała na brata z twarzą niczym lustro: pozbawioną uczuć, nieodbijającą w jego stronę niczego oprócz ciemnych oczu oraz poważnych brwi, u obojga identycznych. Ich wspólnej krwi, ich wspólnych kości.

– Mój bracie – odparła – nie zapomnę.



1

PRIJA

Prija zyskała tę pewność w chwili, kiedy na drodze za sobą usłyszała tętent kopyt. Przeszła na pobocze i zaraz przemknęła obok niej grupa konnych strażników w bieli i złocie Paridżatu, uzbrojonych w szable stukające o wytłaczane pasy. Naciągnęła pallu na twarz – po części dlatego, że oczekiwali by takiej oznaki szacunku ze strony kobiety z gminu, a po części, by uniknąć ryzyka, że któryś z nich ją rozpozna – a następnie obserwowała ich przez szczelinę pomiędzy palcami a tkaniną.

Gdy zniknęli jej z pola widzenia, nie zerwała się wprawdzie do biegu, ale zaczęła iść bardzo szybkim krokiem. Niebo przekształcało się już z mlecznej szarości w perłowy błękit świtu, a jej została do pokonania jeszcze długa droga.

Stary Bazar leżał na obrzeżach miasta. Znajdował się na tyle daleko od mahalu regenta, że Prija nie traciła nikłej nadziei, iż jeszcze go nie zamknięto. Okazało się, że tego dnia sprzyjało jej szczęście. Gdy tylko dotarła na miejsce – zdyszana, z tyłem bluzki mokrym od potu – dostrzegła, że na ulicach wciąż mrowi się od ludzi: rodziców ciągnących za sobą małe dzieci, wychudzonych żebraków przemykających po skraju targowiska z miseczkami na jałmużnę w dłoniach oraz kobiet takich jak Prija, zwykłych, w jeszcze zwykleszych sari, uparcie przepychających się

przez tłum w poszukiwaniu kramów ze świeżymi warzywami i rozsądnymi cenami.

Wyglądało wręcz na to, że na bazarze znajdowało się więcej ludzi niż zwykle, zaś w powietrzu unosiła się wyraźna nuta paniki. Wieści o patrolach najwyraźniej krążyły ze zwyczajową prędkością od domu do domu.

Ludzie się bali.

Trzy miesiące wcześniej ważny paridżacki kupiec został zamordowany we własnym łóżku. Poderżnięto mu gardło, a później rzucono ciało przed świątynią matek płomienia na krótko przed modłami o świcie. Przez całe dwa tygodnie po tamtym wydarzeniu ludzie regenta patrolowali ulice pieszo i konno, bili lub aresztowali Ahiranyjczyków podejrzewanych o działalność wywrotową i niszczyli wszelkie stragany, które próbowały otwierać się na rynku wbrew wyraźnym rozkazom regenta.

W kolejnych tygodniach paridżatdwipańscy kupcy odmawiali zaopatrywania Hiranaprasthy w ryż i zboże. Ahiranyjczycy głodowali.

Wyglądało na to, że teraz to wszystko miało znów się wydarzyć. Dla ludzi stało się naturalne, że pamiętają i się boją. Że pamiętają i pospiesznie starają się zrobić jak największe zapasy, zanim znowu zostanie nakazane zamknięcie targowisk.

Prija zastanawiała się, kogo zamordowano tym razem. Nasłuchiwała imion, gdy zanurzała się w ludzką masę i przemieszczała w kierunku odległego zielonego szyldu zawieszzonego na drągach, wskazującego stoisko aptekarskie. Mijała stoły uginające się pod stertami warzyw i słodkich owoców, belami jedwabiu i wyrzeźbionymi z wdziękiem posążkami jakszów do rodzinnych kapliczek, kadziami ze złotym olejem i ghi. Nawet w słabym świetle wczesnego poranka rynek wibrował barwami i hałasami.

Nacisk ludzi zaczął jej sprawiać ból.

Niemal dotarła już do straganu, pochwycona przez morze falujących, pocących się ciał, gdy mężczyzna z tyłu zaklął, po czym odsunął ją sobie z drogi. Pchnął ją mocno całym ciałem, oparł ciężką dłoń na jej barku, zupełnie pozbawił ją równowagi. Trzy osoby wokół niej zachwiały się. Nagle pozbawiona oparcia, poślizgnęła się i potoczyła na ziemię.

Bazar leżał pod gołym niebem i pył zmoczony monsunowym deszczem został ubity na pianę przez stopy i wózki. Poczwała, jak wilgoć przesącza jej się przez warstwy sari, od rąbka do uda, do znajdującej się pod spodem halki. Człowiek, który ją przewrócił, zatoczył się na nią

i gdyby szybko nie cofnęła łydki, nacisk jego buta sprawiłby jej dotkliwy ból. Zerknął na nią – tępo, lekceważąco, z lekkim szyderczym grymasem – po czym odwrócił wzrok.

Jej umysł ogarnął spokój.

W ciszy odezwał się samotny głos: *Mogłabyś sprawić, żeby tego pożałował.*

We wspomnieniach Prii z dzieciństwa znajdowały się dziury tak wielkie, że dałoby się w nich zmieścić pięść. Jednak za każdym razem, gdy zadawano jej ból – gdy czuła upokorzenie po ciosie, po nieczułym pchnięciu przez mężczyznę, okrutnym śmiechu innej służącej – miała wrażenie, że w jej umyśle rozkwita wiedza, w jaki sposób spowodować podobne cierpienie. Słyszała widmowe szepty wygłaszane cierpliwym głosem jej brata:

Właśnie w ten sposób szczypiasz nerw na tyle mocno, żeby ktoś rozluźnił chwyt dłoni. Właśnie w ten sposób rozbijasz kość. Właśnie w ten sposób wyłupiasz oko. Patrz uważnie, Prijo. Właśnie w ten sposób.

Właśnie w ten sposób dźgasz kogoś w serce.

Przy pasie nosiła nóż. Był to bardzo dobry nóż, praktyczny, o prostej rękojeści i w prostej pochwie. Dbała o to, by krawędź była dobrze naostrzona do prac kuchennych. Nie potrzebowała nic więcej oprócz tego nożyka i ostrożnego ruchu palca wskazującego oraz kciuka, by wnętrzości czegokolwiek – warzyw, nieoskórowanego mięsa, owoców świeżo zebranych w sadzie regenta – zostały sprawnie obnażone, a zewnętrzna powłoka znalazła się w jej dłoni w formie gładkiej, skręconej łupiny.

Podniosła spojrzenie na mężczyznę i skrupulatnie przepędziła myśli o nożu. Rozprostowała drżące palce.

Masz szczęście, pomyślała, że nie jestem tym, na co mnie wychowano.

Tłum za nią i przed nią robił się coraz gęstszy. Prija nie mogła już nawet dostrzec zielonego szyldu aptekarza. Zakołysała się na piętach i podniosła zwinnie. Nie spoglądając już na mężczyznę, pochyliła się i wślizgnęła pomiędzy dwoje nieznajomych z przodu. Wykorzystując swoją drobną sylwetkę, przepchnęła się na czoło ciżby. Roztropne dawkowanie szturchnięć łokciami i kolanami oraz trochę przeciskania się wreszcie pozwoliło jej znaleźć się na tyle blisko straganu, że dostrzegła twarz aptekarza, spoconą i ściągniętą z irytacji.

Na stoisku panował bałagan. Fiolki się poprzewracały, słoiczki leżały do góry dnem. Aptekarz pakował towar najszybciej jak umiał. Za sobą i wokół Prija słyszała w pomrukach tłumu coraz większe napięcie.

– Proszę – powiedziała głośno. – Wuju, proszę. Jeśli masz na zbyciu jakiegokolwiek paciorki ze świętego drewna, kupię je od ciebie.

Obcy na lewo od niej parsknął głośno.

– Myślisz, że coś mu zostało? Bracie, jeśli coś masz, zapłacę dwa razy więcej niż ona.

– Moja babcia jest chora! – wykrzyknęła dziewczynka trzy rzędy za nimi. – Gdybyś mógł mi pomóc, wuju...

Prija poczuła, jak drewno straganu zaczyna się łuszczyć pod naciskiem jej paznokci.

– Proszę – powtórzyła, zniżając głos, by przebić się przez harmider.

Jednak sprzedawca skupił uwagę na tym, co działo się za zgromadzonymi. Prija nie musiała obracać głowy, by zorientować się, że dostrzegł biało-złote mundury ludzi regenta, którzy pojawili się wreszcie, żeby odciąć bazar.

– Koniec sprzedaży! – zawołał. – Już nikt z was niczego nie dostanie. Precz! – Uderzył dłonią w blat, a później zgarnął resztę towarów, kręcąc głową.

Tłum zaczął się powoli rozpraszać. Zostało kilka osób, wciąż błagających aptekarza o pomoc, ale Prija nie dołączyła do nich. Wiedziała, że niczego tu nie ugra.

Obróciła się i przecisnęła z powrotem przez ciżbę, zatrzymując się tylko, by kupić mały woreczek kachori od handlarza o zmęczonych oczach. Mokra halka kleiła jej się ciężko do nóg. Złapała tkaninę, odciągnęła ją od ud i ruszyła w przeciwnym kierunku niż żołnierze.



Na odległym skraju targowiska – tam gdzie ostatnie stragany i mocno ubita ziemia sąsiadowały z główną drogą prowadzącą na pola i do rozproszonych wiosek – mieściło się wysypisko. Miejscowi zbudowali wokół niego ceglany mur, ale nijak nie powstrzymywało to smrodu. Sprzedawcy żywności wylewali tam zjełczały olej i wyrzucali zepsute surowce, a czasami też gotowe potrawy, których nie zdołali sprzedać.

Kiedy Prija była znacznie młodsza, dobrze знаła to miejsce, a także mdłości i euforię przelewające się przez wygłodzone ciało, kiedy znalazła coś niemal zgniłego, ale wciąż jadalnego. Nawet teraz poczuła, jak żołądek

drgnął jej dziwnie na widok sterty odpadków i na towarzyszący jej znajomy odór.

Tego dnia w mizernym cieniu pod murem kulilo się sześć postaci. Pięciu małych chłopców i dziewczyna w wieku około piętnastu lat – starsza od reszty.

Dzieci żyjące w mieście, snujące się od targowiska do targowiska, śpiące na werandach co uprzejmiejszych domostw, dzieliły się wiedzą. Szeptaly do siebie o najlepszych miejscach, gdzie można było błagać o jałmużnę lub zbierać resztki. Wymieniały się informacjami, którzy straganiarze dadzą im jeść z litości, a którzy szybciej stłuką ich kijem, niż okażą choćby odrobinę miłosierdzia.

Mówiły też sobie o Prii.

Jeśli pójdziecie na Stary Bazar pierwszego poranka po dniu odpoczynku, przyjdzie tam służąca i da wam święte drewno, jeśli będziecie go potrzebować. Nie poprosi was o pieniądze ani przysługi. Po prostu pomoże. Naprawdę. Nie poprosi zupełnie o nic.

Dziewczyna podniosła wzrok na Priję. Jej lewa powieka była upstrzona maleńkimi zielonymi plamkami wyglądającymi jak glony na stojącej wodzie. Z zawiązanego na jej szyi sznurka zwisał pojedynczy paciorek.

– Żołnierze krążą – powiedziała zamiast powitania. Niektórzy chłopcy poruszyli się nerwowo i popatrzyli ponad ramieniem nowo przybyłej ku rozgardiaszowi panującemu na targowisku. Niektórzy zasłaniali chustami butwienie na szyjach i rękach – żyły zieleni, zawiązki nowych korzeni pod skórą.

– Owszem. Po całym mieście – zgodziła się Prija.

– Czy jakiemuś kupcowi znowu ucięto głowę?

Prija pokręciła głową.

– Wiem tyle co wy.

Dziewczyna przeniosła wzrok z twarzy Prii na jej zabłocone sari i dłonie, w których trzymała wyłącznie woreczek kachori. W jej spojrzeniu kryło się pytanie.

– Nie zdołałam zdobyć dziś żadnych paciorków – potwierdziła Prija. Obserwowała, jak twarz dziewczyny zasmuca się, choć widać było, że mała dzielnie próbowała się kontrolować. Współczucie na nic się nie zda, więc Prija zamiast tego zaoferowała jej przekąskę. – Powinniście już iść. Lepiej, żeby strażnicy was nie złapali.

Dzieci capnęły kachori, niektóre wymruczały pod nosem podziękowania, i rozbiegły się. Po drodze dziewczyna pocierała palcami

paciorek wiszący jej na szyi. Prija zdawała sobie sprawę, że jest zimny pod dotykiem, pozbawiony magii.

Jeśli dziewczyna nie zdobędzie wkrótce więcej świętego drewna, to gdy Prija ujrzy ją następnym razem, cała lewa strona jej twarzy będzie tak samo obsypana zielenią, jak teraz powieka.

Nie możesz ocalić ich wszystkich, przypomniała sobie. Jest nikim. Tylko tyle może dla nich zrobić. Tyle i nic więcej.

Prija odwróciła się, żeby odejść, i zorientowała się, że jeden z chłopców został i teraz czekał cierpliwie, aż go zauważy. Był niski w sposób sugerujący niedożywienie: zbyt wystające kości, głowa za duża w stosunku do ciała, które jeszcze nie dorosło na tyle, by się do niej dopasować. Włosy zasłaniał chustą, ale dostrzegła jego ciemne loki i rosnące pomiędzy nimi ciemnozielone liście. Dłonie zawinął w gałgan.

– Naprawdę nic nie masz, pani? – spytał z wahaniem.

– Naprawdę – odparła Prija. – Gdybym miała choć trochę świętego drewna, dałabym wam.

– Myślałem, że może skłamałaś – powiedział. – Myślałem, że może nie masz dość dla więcej niż jednej osoby i nie chcesz, by komuś zrobiło się przykro. Ale zostałem tylko ja. Czyli możesz mi pomóc.

– Mówiłam szczerze, bardzo mi przykro – rzekła Prija. Słyszała krzyki i odgłosy kroków dochodzące od strony rynku, trzask okiennic zamkniętych straganów.

Chłopiec wyglądał, jakby zbierał się na odwagę. I rzeczywiście po chwili wyprostował barki i odezwał się:

– Jeśli nie możesz dać mi świętego drewna, to może mogłabyś zdobyć dla mnie pracę?

Zamrugła zaskoczona.

– Ja... jestem tylko służącą. Przepraszam, mały bracie, ale...

– Musisz pracować w przyjemnym domu, skoro możesz pomagać takim przybłędom jak my – powiedział szybko. – W dużym domu, w którym nie brakuje pieniędzy. Może twoi panowie potrzebują chłopca, który ciężko pracuje i nie sprawia wiele kłopotów? Mógłbym być kimś takim.

– Większość domostw nie przyjmie nikogo, kto ma butwienie, nieważne, jak ciężko by pracował – wskazała łagodnie, próbując zmniejszyć ciężar swoich słów.

– Wiem – odparł, wciąż butnie napinając szczękę. – Mimo to pytam.

Mądry chłopak. Nie mogła go winić za to, że postanowił zaryzykować. Widział, że była na tyle miękka, by wydawać własne

pieniądze na święte drewno, żeby pomagać osobom przeżartym butwieniem. Dlaczego nie nacisnąć na nią bardziej?

– Zrobię wszystko, czego będzie się ode mnie wymagać – nalegał. – Pani, umiem czyścić latryny. Umieję rąbać drewno. Umieję uprawiać ziemię. Moja rodzina jest... zajmowała się rolnictwem. Nie boję się ciężkiej pracy.

– Nie masz nikogo? – zapytała. – Nikt inny się tobą nie opiekuje? – Wskazała mniej więcej w kierunku, w którym zniknęły pozostałe dzieci.

– Jestem sam – odparł krótko, po czym dodał: – Proszę.

Przeszło obok nich kilka osób, starannie omijając chłopca. Jego owinięte dłonie i chusta na głowie wyraźnie wskazywały, że toczy go butwienie.

– Mów do mnie Prija – rzekła. – Nie pani.

– Prija – powtórzył posłusznie.

– Mówisz, że umiesz pracować – powiedziała. Popatrzyła na jego dłonie. – Jak źle z nimi jest?

– Nie tak źle.

– Pokaż mi – poleciła. – Podaj mi nadgarstek.

– Nie boisz się mnie dotykać? – spytał. W jego głosie pojawiła się odrobina wahania.

– Butwienie nie przechodzi z człowieka na człowieka – odparła. – Jeśli nie zerwę jednego z liści z twoich włosów i go nie zjem, raczej nic mi się nie stanie.

Wywołało to uśmiech na jego twarzy. Był tam przez мгновение, zupełnie jakby słońce przebiło się przez osłonę chmur, po czym zniknął. Chłopak zwinnie odsłonił jedną rękę. Prija ujęła jego nadgarstek i uniosła dłoń do światła.

Pod skórą rósł mały zawiązek.

Napierał na skórę opuszki. Palec dziecka był zbyt małą łupiną dla tego, co próbowało się rozwinąć. Prija popatrzyła na smugi zieleni widoczne przez cienką skórę grzbietu dłoni, na drobną koronkę, w jaką się układały. Zawiązek miał głębokie korzenie.

Przełknęła z trudem ślinę. Ach. Głębokie korzenie, głębokie butwienie. Jeśli już miał liście we włosach, jeśli zieleń rozpełzała się po jego krwi, to raczej nie zostało mu wiele czasu.

– Chodź ze mną – poleciła i pociągnęła go za nadgarstek, zmuszając go, by ruszył za nią.

Szli drogą i w końcu dołączyli do strumienia ludzi opuszczających targowisko.

– Dokąd idziemy? – spytał. Nie próbował się jej wyrwać.

– Zdobędę dla ciebie święte drewno – oznajmiła ze zdecydowaniem, wypychając z umysłu wszelkie myśli o mordach, żołnierzach i pracy, jaką musiała wykonać. Puściła go i parła dalej. Podbiegł, by dotrzymać jej kroku, i mocniej otulił chudą sylwetkę chustą. – A później pomyślimy, co z tobą zrobić.



Najokazalsze z miejskich domów rozkoszy stały wzdłuż rzeki. Było na tyle wcześnie, że panowała w nich zupełna cisza, a różowe latarnie pozostawały niezapalone. Jednak później zapanuje tu aktywność. Ludzie regenta zawsze zostawiali burdele w spokoju. Nawet w szczycie zeszłego upalnego lata, zanim monsun rozbił falę gorąca, gdy zwolennicy buntowników śpiewali antycesarskie pieśni, a rydwan szlchetnego pana został otoczony i spalony na ulicy tuż pod jego haweli, domy publiczne zachowały zapalone latarnie.

Zbyt wiele z nich należało do wysoko urodzonych panów, by regent mógł je zamknąć. Do zbyt wielu zachodzili przyjezdni kupcy i szlachcice z innych miast-państw Paridżatdwipy, stanowiący źródło dochodów, z których nikt nie zamierzał rezygnować.

Dla reszty Paridżatdwipy Ahiranja stanowiła gniazdo występku, służące rozkoszy, i niewiele więcej. Jej gorzka historia, status przegranej strony w pradawnej wojnie ciążył jej niczym jarzmo. Uważano ją za miejsce zacofane, targane polityczną przemocą, a w ostatnich latach również butwieniem: dziwną chorobą wypaczającą rośliny i zboża, zaś mężczyzn i kobiety, którzy uprawiali pola, przerastającą kwiatami, które wykwitwały im spod skóry, oraz liśćmi przepychającymi się im przez oczy. W miarę jak skala butwienia narastała, w Ahiranji kurczyły się inne źródła dochodu. Niepokoje zaś nasilały się w takim stopniu, że Prija obawiała się, iż one również wkrótce rozkwitną z furią burzy.

W miarę jak szła coraz dalej wraz z chłopcem, domy rozkoszy stawały się mniej okazałe. Wkrótce zupełnie zniknęły. Wokół nich rozciągały się stłoczone domki i małe warsztaty. Przed nimi natomiast wyłaniała się ściana lasu. Nawet w porannym świetle tkwiła w cieniu, a drzewa stanowiły litą zieloną barierę.

Prija nigdy nie spotkała nikogo urodzonego i wychowanego poza Ahiranją, kogo nie niepokoiłaby cisza lasu. Znała służące pochodzące

z Aloru czy nawet z sąsiedniej Srugny, które zupełnie unikały tego miejsca.

– Tam powinny rozlegać się odgłosy – pomrukiwały. – Śpiew ptaków. Albo brzęczenie owadów. To nienaturalne.

Jednak Priję ciężka cisza uspokajała. Była Ahiranyjką do szpiku kości. Lubiła ten spokój przełamany tylko szelestem jej kroków.

– Zaczekaj tu na mnie – poleciła chłopcu. – To nie zajmie długo.

Skinął głową bez słowa. Gdy go opuściła, wpatrywał się w las, a lekki wietrzyk poruszał liśćmi w jego włosach.

Prija wślizgnęła się na wąską, nierówną od ukrytych korzeni drzew ścieżkę. Grunt wznosił się i opadał. Przed nią wznosiło się samotne domostwo, pod którego opartym na kolumnach gankiem kucał starszy mężczyzna.

Podniósł głowę, gdy się zbliżyła. Z początku wydawał się spoglądać przez nią na wylot, jakby spodziewał się kogoś zupełnie innego. Zaraz jednak jego wzrok się skupił. Człowiek zmrużył oczy w wyrazie rozpoznania.

– To ty – rzekł.

– Gautamie. – Skłoniła głowę w wyrazie szacunku. – Jak się miewasz?

– Jestem zajęty – odparł krótko. – Po co tu jesteś?

– Potrzebuję świętego drewna. Tylko jednego paciorka.

– Zatem powinnaś udać się na targ – rzekł beznamyślnie. – Zaopatrzyłem wielu aptekarzy. Możesz kupować od nich.

– Próbowалам na Starym Bazarze. Nikt nic nie ma.

– Skoro oni nie mają, to dlaczego sądzisz, że ja będę miał?

Och, daj już spokój, pomyślała z irytacją. Nic jednak nie powiedziała. Zaczekała, aż jego nozdrza zafalowały. Prychnął, wstał z werandy i obrócił się do zasłonki z koralików osłaniającej wejście. Za pas tuniki miał zatknięty z tyłu ciężki sierp.

– Dobrze. Chodź więc. Im szybciej to zrobimy, tym szybciej sobie pójdiesz.

Wyciągnęła sakiewkę spod bluzki, po czym wspięła się po schodkach i weszła za nim.

Zaprowadził ją do warsztatu i polecił, by stanęła przy stole na jego środku. W rogach pomieszczenia stały płócienne worki. Na półkach ustawiono schludnie małe zakorkowane buteleczki z niezliczonymi maściami, tynkturami i ziołami pozyskanymi w lesie. Pachniało ziemią i wilgocią.

Wziął od niej całą sakiewkę, rozsunął rzemień i zważył ją w dłoni. Następnie cmoknął językiem o zęby i upuścił woreczek na stół.

– To nie wystarczy.

– Ale... Oczywiście, że wystarczy – odrzekła Prija. – Nie mam więcej pieniędzy.

– Co wcale magicznie nie sprawia, że jest ich dość.

– Tyle kosztowały mnie ostatnim razem na targu...

– Ale teraz nie zdołałaś tam nic kupić – odparł Gautam. – A gdyby ci się udało, policzono by ci drożej. Podaż jest niska, popyt wysoki. – Skierował ku niej skwaszoną twarz. – Sądysz, że łatwo jest pozyskiwać święte drewno?

– Wcale tak nie sędzę – powiedziała Prija. Bądź uprzejma, upomniała się. Potrzebujesz jego pomocy.

– W ostatnim miesiącu posłałem czterech drwali. Wrócili po dwóch dniach z przekonaniem, że byli tam dwie godziny. Zważywszy na to... – rzekł, wskazując w kierunku lasu – oraz regenta, który rozsyła swoich zbirów po całym pieprzonym mieście z nie wiadomo jakiego powodu, myślisz, że to łatwa praca?

– Nie – odparła Prija. – Przepraszam.

Ale on jeszcze nie skończył.

– Wciąż czekam na powrót ludzi, których wysłałem w tym tygodniu – ciągnął, stukając palcami po blacie stołu w szybkim rytmie świadczącym o jego irytacji. – Kto wie kiedy to nastąpi? Mam mnóstwo powodów, by żądać najlepszych cen za moje towary. Zatem otrzymam od ciebie odpowiednią zapłatę, dziewczyno, albo nie dostaniesz niczego.

Zanim powiedział coś jeszcze, uniosła dłoń. Miała na nadgarstku kilka bransolet. Dwie z nich wykonano z metalu dobrej jakości. Zsunęła je i położyła na blacie obok sakiewki.

– Pieniądze i to – oznajmiła. – Tyle mam.

Przypuszczała, że jej odmówi z czystej złośliwości. On jednak zgarnął biżuterię oraz monety i schował wszystko do kieszeni.

– Może być. A teraz patrz – polecił. – Pokażę ci sztuczkę.

Rzucił na stół paczkę zawiniętą w tkaninę. Była związana sznurkiem. Rozwinął go szybkim pociągnięciem i materiał zsunął się na boki.

Prija cofnęła się gwałtownie.

W środku leżała odcięta gałąź młodego drzewa. Kora była pęknięta, blade drewno wyzierało z czerwono-brązowej rany. Sącząca się z niej żywica miała barwę i konsystencję krwi.

– To pochodzi ze ścieżki prowadzącej do zagajnika, w którym moi ludzie zwykle prowadzą zbiory – wyjaśnił. – Chcieli mi pokazać, dlaczego nie udało im się wykonać zwyczajowej normy. Butwienie jak okiem sięgnąć, mówili. – Jego oczy pozostawały zamknięte. – Możesz przyjrzeć się bliżej, jeśli chcesz.

– Nie, dziękuję – odpowiedziała spięta Prija.

– Na pewno?

– Powinieneś to spalić – stwierdziła. Robiła, co w jej mocy, by nie wdychać zbyt głęboko zapachu. Śmierdziało jak mięso.

Parsknął.

– Ma swoje zastosowania. – Odsunął się od niej i zaczął przeglądać zawartość półek. Po chwili wrócił z innym płóciennym zawiniątkiem, tym razem wielkości opuszki palca. Rozwinął je, uważając, by nie dotknąć zawartości. Prija czuła gorąco unoszące się ze znajdującego się w środku drewna, dziwne pulsujące ciepło, które spływało z jego powierzchni.

Święte drewno.

Obserwowała, jak Gautam przysuwa odłamek blisko gałęzi zaatakowanej przez butwienie. Zmiany chorobowe zbladły, zacerwienie się zmniejszyło. Odór również nieco osłabł i Prija mogła odetchnąć swobodniej.

– I proszę – rzekł. – Teraz zyskałaś pewność, że jest świeże. Naprawdę ma mnóstwo zastosowań.

– Dziękuję ci. Był to bardzo użyteczny pokaz. – Starala się nie okazywać zniecierpliwienia. Czego on oczekiwał? Podziwu? Łez wdzięczności? Nie miała na to czasu. – Mimo to powinieneś spalić gałąź. Co, jeśli przypadkiem jej dotkniesz...?

– Wiem, jak postępować z butwieniem. Codziennie posyłam ludzi do lasu – odparł lekceważąco. – A ty co robisz? Zamiatasz podłogi? Nie potrzebuję twoich porad.

Pchnął odłamek świętego drewna w jej stronę.

– Weź to. I odejdz.

Przygryzła język i wyciągnęła dłoń przykrytą długim rąbkiem sari. Ostrożnie zawinęła z powrotem odłamek najpierw jedną, później drugą warstwą materiału, zaciągnęła tkaninę, związała ją schludnym węzłem. Gautam ją obserwował.

– Nie wiem, dla kogo to kupujesz, ale butwienie i tak tę osobę zabije – rzekł, gdy skończyła. – Ta gałąź umrze, nawet jeśli owinę ją całą w święte drewno. Po prostu umierałaby wtedy wolniej. To moja ekspercka rada, którą daję ci bez dodatkowej opłaty. – Beztroskim ruchem narzucił

materiał z powrotem na zainfekowany konar. – Nie przychodź tu więc ponownie i nie marnuj pieniędzy. Odprowadzę cię do wyjścia.

Przeszedł wraz z nią do drzwi. Przecisnęła się przez zasłonkę z koralików i łąpczywie zaciągnęła czystym powietrzem, nieskażonym smrodem rozkładu.

Na skraju ganku we wnęce ściennej umieszczono kapliczkę. Stały w niej trzy posążki wyrzeźbione ze zwykłego drewna, z lśniącymi oczami i włosami z pnączy. Przed nimi umieszczono trzy maleńkie gliniane lampki z płóciennymi knotami zanurzonymi w oleju. Trzy, święta liczba.

Przypomniało jej się, jak idealnie kiedyś potrafiła zmieścić się cała w tej niszy. Spała w niej pewnej nocy, zwinięta w ciasny kłębek. Była wtedy tak mała, jak ten sierota.

– Wciąż pozwalasz żebrakom kryć się na twoim ganku, gdy pada deszcz? – spytała, obracając się do Gautama stojącego w drzwiach.

– Żebracy szkodzą interesom – odrzekł. – Zresztą ci, których widuję ostatnio, nie mają braci, którym byłbym winny przysługi. Idziesz już czy nie?

Tylko groźba bólu może kogoś złamać. Na krótką chwilę skrzyżowała wzrok z Gautamem. W jego oczach czaiło się coś niecierpliwego i złowrogiego. *Dobrze użyty nóż nigdy nie musi utoczyć krwi.*

Jednak Prija nie była zdolna do tego, by choćby zagrozić temu staremu okrutnikowi. Cofnęła się o krok.

Jakże wielka przepaść ziała pomiędzy kryjącą się w niej wiedzą a osobą, na jaką wyglądała, kiedy skłaniała głowę w geście szacunku przed żalonym człowieczkiem, wciąż uważającym ją za ulicznicę, która zaszła za daleko i której za to właśnie nienawidził.

– Dziękuję ci, Gautamie – powiedziała. – Postaram się już więcej cię nie niepokoić.

Będzie musiała sama ociosać drewno. Nie mogła dać chłopcu całego odłamka. Gdyby przyłożył go sobie do skóry, paliłby go. Lepiej, by palił ją. Nie miała rękawiczek, będzie więc musiała pracować ostrożnie z pomocą nożyka i kawałka tkaniny chroniącego ją przed najgorszym bólem. Już teraz czuła przy skórze gorąco przesączające się przez płótno.

Chłopiec czekał w miejscu, w którym go zostawiła. W cieniu lasu wydawał się jeszcze mniejszy, jeszcze bardziej samotny. Obrócił się w jej stronę, gdy się zbliżała. Spoglądał na nią ostrożnie i nieco niepewnie, jakby nie był pewien, czy Prija wróci.

Ścisnęło ją lekko w sercu. Dawno już nie znalazła się tak blisko swoich korzeni jak teraz, po spotkaniu z Gautamem. Szarpnięcie strzępów

wspomnień wydawało się sprawiać jej fizyczne cierpienie.

Jej brat. Ból. Woń dymu.

Nie patrz, Pri. Nie patrz. Pokaż mi tylko drogę.

Pokaż mi...

Nie. Nie było sensu tego wspominać.

Upomniała się, że pomaganie mu było po prostu przejawem rozsądku. Nie chciała, by dalej dręczył ją jego obraz, gdy przed nią stoi. Nie chciała potem wspominać głodującego dziecka, porzuconego i samotnego, z korzeniami przegryzającymi się przez dłonie, i myśleć, że zostawiła go, by umarł. Prosił ją o pomoc, a ona go porzuciła.

– Masz szczęście – rzuciła lekko. – Pracuję w mahalu regenta. A jego żona ma bardzo miękkie serce, jeśli chodzi o sieroty. Przygarnęła mnie. Pozwoli ci dla siebie pracować, jeśli ładnie poproszę. Jestem tego pewna.

Otworzył szeroko oczy, a jego twarz rozjaśniła się taką nadzieją, że spoglądanie w nią niemal sprawiało ból. Prija celowo odwróciła zatem wzrok. Niebo było pogodne, powietrze nadmiernie ciepłe. Musiała wracać.

– Jak masz na imię? – zapytała.

– Rukh – odrzekł. – Mam na imię Rukh.

W noc przed dotarciem do Ahiranji Malini nie otrzymała swojego zwyczajowego lekarstwa. Nie wyczuła niczego w winie, które Pramila podała jej przed snem – żadnego ulepkowatego, słodkiego posmaku wskazującego na to, że napój został zaprawiony igłokwiatem.

– Będziesz musiała zachować czujność, kiedy spotkasz regenta – powiedziała jej Pramila. – I wykazać się uprzejmością, księżniczko.

Te słowa stanowiły ostrzeżenie.

Malini nie wiedziała, co myśleć o tej nowej jasności umysłu. Miała wrażenie, że skóra zbyt ciasno opina jej kości. Serce – któremu wreszcie umożliwiono swobodne przeżywanie żałoby nieprzysłoniętej mgłą z igłokwiatu – dudniło ciężko w jej piersi. Czowała się, jakby bolały ją od tego żebra. Objęła się ramionami i czuła każdą nieregularność ciała, każde zagłębienie. Policzyła je.

Po tygodniach igłokwiatowego otępienia świat wydawał się zasypywać ją opóźnionymi doznaniem. Wszystko było zbyt głośne i zbyt twarde, światło dnia zbyt bolesne dla oczu. Czowała wstrząsy powozu w stawach. Była niczym worek mięsa i krwi.

Tym razem nie mogła odciąć się od Pramili czytającej z Księgi Matek. Pramila siedziała obok niej w powozie, sztywno wyprostowana,

i recytowała z drobiazgową powolnością. Najpierw o dzieciństwie Diwjanśi. Dalej o zbrodniach jakszów i ich straszliwych zwolenników, Ahiranyjczyków. Następnie o pradawnej wojnie. I wreszcie o tym, jak się zakończyła.

Księga została zamknięta i obrócona. A później otwarta i odczytana na nowo.

Malini chciało się wrzeszczeć.

Trzymała spokojnie dłonie na kolanach. Utrzymywała miarowy oddech.

Była cesarską księżniczką Paridżatdwipy. Siostrą cesarza. Nadano jej imię u stóp posągu Diwjanśi, otoczonego płomieniami i kwiatami. Tkaczka wieńców, tak ją nazwano. Malini.

Splotła swoją pierwszą koronę z róż pozbawionych kolców, gdy matka uczyła ją słów z Księgi Matek ze znacznie większą słodyczą i werwą niż Pramila ze swoim beznamiętnym głosem.

Matki dobrowolnie kończyły swe życie w świętym ogniu. Ich ofiara stała się dawną, głęboką magią, dzięki której broń ich zwolenników rozświetlała się płomieniem i podpalała potwornych jakszów.

W tym momencie Księgi matka często udawała, że zamachuje się przed sobą mieczem, co nadawało opowieści lekkość, tak jej potrzebną. Malini zawsze się wtedy śmiała.

Ich ofiara uratowała nas wszystkich. Gdyby nie matki, nie byłoby cesarstwa.

Gdyby nie ofiara matek, Epoka Kwiatów nigdy nie dobiegłaby końca. Ofiara.

Malini wyjrzała z rydwanu na krainę Ahiranja. Po deszczu powietrze miało wilgotną, bogatą woń. Otaczająca ją cienka zasłona ukrywała niemal wszystko, jednak przez szczelinę falującą wraz z ruchem kół dziewczyna mogła dostrzec cienie zbitych ciasno budynków. Puste ulice. Połamane drzewa, rozszczepione toporami, oraz zwęglone szczątki tych, które spłonęły w całości.

Oto kraj, który w Epoce Kwiatów zdołał podbić niemal cały subkontynent. Tyle pozostało z wielkiej niegdyś potęgi: bity szlak tak nierówny, że rydwanem wstrząsało gwałtownie co kilka sekund, parę rozbitych straganów i spalona ziemia.

Poza tym Malini nie widziała jeszcze ani jednego burdelu. Czuła dziwne rozczarowanie, gdy uświadomiła sobie, że wszyscy ci wysoko urodzeni chłopcy, którzy przechwalali się przed jej braćmi, że gdy tylko trafia się do Ahiranji, można za cenę jednej perły z Paridżatu lec z tuzinem kobiet, mocno przesadzali.

– Księżniczko Malini – odezwała się Pramila, ściągając wargi – musisz słuchać. Taka jest wola twojego brata.

– Zawsze słucham – odparła spokojnie Malini. – Znam te opowieści. Zostałam odpowiednio wychowana i wykształcona.

– Gdybyś pamiętała nauki, żadnej z nas by tu nie było. Nie byłoby, pomyślała Malini, bo ja bym nie żyła.

Obróciła się znów do Pramili, która wciąż trzymała Księgę na kolanach, przyciskając stronicę palcami. Malini zerknęła w dół, sprawdziła stronę i sama zaczęła recytować:

– I wtedy Diwjański obróciła się do mężczyzn Aloru, służących ponad wszystko inne bezimiennemu bogu, oraz do mężczyzn Sakety, czczących ogień, i powiedziała do nich wszystkich: „Zaprzysięgnijcie wierność mojemu synowi, złożcie nienaruszalną przysięgę najpierw jemu, a później jego synom. Zjednoczcie się w mojej ukochanej ojczyźnie, w mojej dwipie, w jednym cesarstwie, a wówczas moje siostry i ja naszą honorową śmiercią zmieciemy jakszów z powierzchni ziemi”.

Przerwała na chwilę, zastanawiając się, po czym dodała:

– Jeśli przewrócisz na następną stronę, pani Pramilo, ujrzysz bardzo piękną ilustrację przedstawiającą Diwjański, która podpala własny stos. Mówiono mi, że jestem do niej trochę podobna.

Pramila zatrzasnęła Księgę.

– Kpisz sobie ze mnie – warknęła. – Księżniczko, czy nie masz wstydu? Próbuję ci pomóc.

– Damo Pramilo – zawołał głos. Malini usłyszała stukot kopyt, gdy postać podjeżdżała bliżej. – Czy coś jest nie w porządku?

Malini spuściła wzrok. Dostrzegła, że Pramila ścisnęła mocniej książkę.

– Lordzie Santosie – rzekła Pramila głosem słodkim jak miód – wszystko jest w porządku. Jedyne przekazywałam księżniczce nauki.

Santos zawisł nad nimi. Wyraźnie miał ochotę się wtrącić.

– Wkrótce dotrzemy do mahalu regenta – oznajmił, gdy Pramila milczała. – Dopilnuj, żeby księżniczka była przygotowana.

– Oczywiście, mój lordzie – odparła Pramila.

Odjechał na koniu.

– Widzisz, co się dzieje, gdy się niewłaściwie zachowujesz? – rzekła cicho Pramila. – Chciałabyś, by doniósł o takiej niedojrzałości twojemu bratu? Chciałabyś, żeby spadły na nas kolejne kary?

Czy brat mógł zrobić jej coś więcej niż do tej pory?

– Wciąż mam inne dzieci – powiedziała Pramila. Lekko drżały jej palce. – Chciałabym zobaczyć je znowu żywe. Jeśli będę musiała zmusić

cię do odpowiedniego zachowania... – Pozwoliła, by niedokończona groźba zawisła w powietrzu.

Malini nic nie mówiła. Czasami przeprosiny tylko podsycaly gniew Pramili. Przecież nie były w stanie naprawić żadnych przewinień. Nie były w stanie przywrócić martwym życia.

– Dziś wieczorem chyba podwoję ci dawkę – oznajmiła Pramila, na powrót otwierając Księgę.

Malini nadstawiła ucha w jej stronę. Słyszała odgłos rozwieranego tomu, szelest palców na stronach. Monotonny głos Pramili.

Oto, co może osiągnąć czysta i święta kobieta z Paridżatu, gdy przyjmie nieśmiertelność.

Malini liczyła przez zaslonę cienie żołnierzy. Sylwetka lorda Santosa garbiła się nad jego koniem. Posłuszny pacholek trzymał mu parasol nad głową.

Pomyślała o wszystkich sposobach, w jakie mógłby zginąć jej brat. Chciałaby je wszystkie zobaczyć.

W mahalu regenta Rukh wgapiał się we wszystko: w kratownicowe ściany z powycinanymi kształtami róż i kwiatów lotosu, w przewiewne korytarze poprzedzielane białymi jedwabnymi zasłonami, w bukiety pawich piór wyrzeźbione w podstawach kolumn z piaskowca, podtrzymujących wysokie stropy pokryte srebrnymi płytkami. Próbował zwalniać i spijać to wszystko, ale Prija bezlitośnie ciągnęła go za sobą. Nie było czasu na wytrzeszczanie ślepiów. Powinna była wrócić już naprawdę dawno temu i choć ostrzegęła kucharza Billu, że się spóźni – przekupiła go haszyszem, który oszczędziła specjalnie na taką okazję – jego dobra wola miała granice.

Przekazała Rukha pod opiekę Khalidy, skwaszonej starszej pokojówki, która niechętnie zgodziła się spytać ich panią, czy chłopiec mógłby wykonywać jakąś czarną robotę w jej domostwie.

– Później do ciebie przyjdę – obiecała mu Prija.

– Jeśli pani Bhumika zgodzi się, by został, możesz odebrać go przed wieczornym posiłkiem – odparła Khalida, a Rukh przygryzł wargę. Na jego twarzy pojawił się wyraz z troskania.

Prija skłoniła głowę.

– Dziękuję ci. – Zwróciła się do Rukha. – Nie martw się. Dama nie odmówi.

Khalida zmarszczyła brwi, ale nie sprzeciwiła się. Wiedziała równie dobrze jak Prija, jak szcudra potrafi być żona regenta.

Prija zostawiła ich oboje, przeszła do sypialni służących, gdzie pospiesznie pozbyła się najgorszego błota i pyłu z naprawdę brudnego sari, po czym skierowała się do kuchni. Próbowwała wynagrodzić spóźnienie, po drodze schodząc do studni schodkowej i zabierając na górę dwa wiadra wypełnione wodą. W końcu w ruchliwej pałacowej kuchni woda zawsze była potrzebna.

Ku jej zaskoczeniu chyba nikt nie zauważył jej nieobecności. Wprawdzie duże gliniane piece były rozgrzane, a wokół krzątało się kilkoro służących, jednak większość personelu kuchni stłoczyła się przy piecyku herbacianym.

Mithunan, jeden z młodszych strażników, stał przy imbryku, w którym parzyła się herbata, pił z glinianego kubka trzymanego w jednej dłoni i żywo gestykulował drugą. Wszyscy inni uważnie go słuchali.

– ...tylko jeden człowiek jadący przodem – mówił. – Jeden koń. Widać było, że przybył aż z Paridżatu. Miał wyraźnie dworski akcent, a kapitan straży powiedział, że miał przy sobie cesarski szton. – Mithunan upił łyk herbaty. – Myślałem, że kapitan zemdleje, w takim był szoku.

Prija odstawiła wiadra i podeszła bliżej.

Billu popatrzył na nią.

– Dobrze, że wreszcie cię widzę – rzekł cierpko.

– Co się dzieje? – spytała.

– Księżniczka przyjeżdża już dziś – oznajmiła jedna z pokojówek pospiesznym i podekscytowanym tonem zarezerwowanym dla najlepszych plotek.

– Przecież miała być najwcześniej za tydzień – dodał Mithunan, kręcąc głową. – Nawet nie kazano nam jej wypatrywać na warcie. Ale nie towarzyszy jej świta, twierdził jeździec, więc porusza się szybko.

– Nie towarzyszy jej świta – powtórzyła Prija. – Jesteś pewien?

Każdy członek rodziny panującej z każdego miasta-państwa w Paridżatdwipie podróżował z liczną i zwykle bezużyteczną zgrają: służącymi, strażnikami, artystami, faworyzowanymi szlachcicami. Pomysł, że siostra cesarza mogłaby przemieszczać się z czymś innym niż mała armia, wydawał się absurdalny.

Mithunan wzruszył ramionami.

– Wiem tylko to, co mówił nam jeździec – rzekł z zakłopotaniem. – Ale może zasady są inne, gdy... no wiecie. Zważywszy na okoliczności. – Odchrząknął. – Tak czy owak, przysłano mnie tu po jedzenie. Mamy za

sobą podwójną wartość i może będziemy musieli zostać na trzecią. Ludzie są głodni.

– Gdzie są wartownicy z dziennej zmiany? – zapytał Billu, zabierając się do pakowania żywności do kosza.

– W mieście – odparł Mithunan. – Kapitan mówi, że regent chce, żeby wszystko bezpiecznie pozamykać, zanim księżniczka tu dotrze. Bracie Billu, czy masz jeszcze więcej tej herbaty? Albo trzciny cukrowej? Cokolwiek, co pozwoli nam nie zasnąć...

Prija wymknęła się cicho, gdy tamci dalej rozmawiali; po drodze świsnęła jedną parathę z kosza przy piecach i wepchnęła ją sobie w całości do ust. Gdyby Sima tu była, nazwałaby ją zwierzęciem pozbawionym manier, ale nie było jej, więc Prija mogła zachowywać się tak grubiańsko, jak tylko zachciała.

Mylili się, sądząc, że ktoś został zamordowany. Nikomu nie poderżnięto gardła, żadnego ciała nie rzucono przed świątynią. Nie zabito żadnych buntowników.

Chodziło tylko o księżniczkę, która przybyła przed czasem do wyznaczonego jej więzienia.



Po pracy Prija zabrała Rukha spod opieki Khalidy i zaprowadziła do sali sypialnej dla dzieci. Gdy znalazła już dla niego wolny materac, zabrała go do swojej sypialni, którą dzieliła z ośmioma innymi służącymi. Pod osłoną okrytej prostą markizą werandy, otoczona deszczem, który właśnie zaczął padać, ukłękła, owinęła dłonie swoim pallu i zaczęła rzeźbić paciorek ze świętego drewna.

Na tyle mocno paliło ją przez tkaninę, że dziewczyna aż się pociła. Przygryzła na chwilę język, by jednym bólem zagłuszyć drugi, i dalej strugała pewnymi dłońmi. Potrafiła znieść znacznie większe cierpienie.

– Chodź, usiądź obok mnie – powiedziała do Rukha, który wciąż stał w deszczu, wyraźnie oszołomiony tym, jak potoczył się dla niego ten dzień. Wszedł na werandę i ukłękął obok niej. – Podaj mi to – dodała, wskazując mały zwitek wstążki i sznurka leżący przy niej na ziemi. Odłożyła nóż i wzięła od niego kłębek.

– Czy mogę zrobić coś jeszcze? – spytał nieśmiało, gdy nawlekała paciorek na sznurek.

– Możesz mi powiedzieć, co sądzisz o swoim nowym życiu – odparła. – Jaką pracę wyznaczyła ci Khalida?

– Czystczenie latryn – odrzekł. – To w porządku. Nie, naprawdę w porządku. Posłanie i jedzenie to... to... – Urwał i pokręcił bezradnie głową.

– Wiem – odpowiedziała. Naprawdę wiedziała. – Kontynuuj.

– Mówiłem, że zrobię cokolwiek, i tak będzie – wyrzucił z siebie pospiesznie Rukh. – Jestem bardzo wdzięczny, proszę pani.

– Miałaś zwracać się do mnie Prija.

– Prija – powtórzył posłusznie. – Dziękuję ci.

Nie miała pojęcia, co zrobić z jego wdzięcznością – oprócz zignorowania jej – więc po prostu wzruszyła ramionami i przycisnęła drewniany paciorek do swojej skóry. Był na tyle mały, że zamiast ją parzyć, jedynie ogrzewał jej nadgarstek, ale magia wlewała się w jej ciało, przechodząc do nerwów i krwi. Trzymała go tak przez chwilę, upewniając się, że jest na tyle silny, by pomóc Rukhowi, ale go nie zranić. Przez cały ten czas obserwowała twarz chłopca. Opuścił podbródek i skupiał wzrok na kropłach deszczu rozbijających się na ziemi. Wciąż wyglądał na przytłoczonego.

Przypomniała sobie, jak sama się czuła, gdy pierwszy raz trafiła do mahalu regenta. W pierwszym tygodniu płakała każdej nocy, zawiązała sobie głowę w materac, żeby zdusić dźwięki i nie obudzić pozostałych dziewczynek.

– Coś ci opowiem – rzekła do niego lekkim tonem. Uniósł głowę i popatrzył na nią z zaciekawieniem. – Czy słyszałeś o przebiegłym jakszy, który podstępem przekonał sruignyckiego księcia do poślubienia ahiranyjskiej praczki?

Pokręcił głową.

– No to podaj mi rękę. Opowiem ci.

Owinęła mu nadgarstek sznurkiem i zaczęła snuć historię.

– Działo się to w początkach Epoki Kwiatów, zanim Sruignyci i inni im podobni zrozumieli, jak silni i przebiegli są jakszowie...

Zanim Prija skończyła mówić – bez większego ładunku i składu – to, co pamiętała z opowieści o maskach i pomyślonych tożsamościach, honorowym pojedynku i praczce spowitej w woal z białych lili i szafranu, Rukh zaczął się uspokajać. Oparł się plecami o ścianę werandy i uśmiechał się lekko, bawiąc się nowym paciorkiem ze świętego drewna wiszącym mu na nadgarstku.

– Uważaj na niego – ostrzegła go Prija. – Nielatwo będzie zdobyć więcej drewna. Wiesz, skąd pochodzi?

– Z lasu?

– Z drzew, które wyrosły, gdy wszyscy jakszowie umarli – wyjaśniła Prija. – Święte drewno ma w sobie część ich magii. – Stuknęła opuszką palca w koralik. – Nie ma już więcej jakszów, co oznacza, że nie ma już więcej drzew, a zatem święte drewno staje się kosztowne. Dbaj więc o koralik, w porządku?

– Tu jesteś! – dobiegł ich kobiecy głos. Prija i Rukh obrócili głowy. Deszcz właśnie słabł, ale osoba stojąca na skraju werandy z pallu naciągniętym na włosy trafiła na ostatnie chwile ulewy i tkanina lśniła lekko od wody. – Prijo – odezwała się – chodź ze mną. Jesteś potrzebna.

– Simo – przywitała ją Prija. Podniosła zwitki wstążki, nóż i resztki świętego drewna, po czym je schowała. – To jest Rukh.

– Dzień dobry, pani – rzekł z rezerwą chłopak.

– Miło cię poznać, Rukh – odparła Sima. – Powinieneś pójść do kuchni, zanim przegapisz kolację.

– Idź – zgodziła się Prija, gdy Rukh spojrzał na nią, by się upewnić. – Zdołasz sam znaleźć drogę do swojej sypialni, prawda? Inni chłopcy powinni ci wskazać, którędy iść.

Skinął głową. Wymamrotał pod nosem ostatnie podziękowania, uśmiechnął się niemal niezauważalnie do Prii, zeskoczył z werandy i odbiegł.

Gdy tylko zniknął, Sima chwyciła Priję za rękę i pociągnęła ją przez werandę w kierunku właściwego mahalu. Dłoń, którą ją trzymała, była silna, mokra od deszczu i lekko pachnąca mydłem po wielu godzinach prania.

– Czyli rzeczywiście przyprowadziłaś tu przybłądę – rzekła Sima. – Mogłam się domyślić, że to prawda.

– Kto ci powiedział?

– Któryś ze strażników, którzy was wpuścili, nie pamiętam który – odparła zbywająco Sima. – Masz szczęście, że Billu cię krył. Wróciłaś tak późno.

– Gdybym wiedziała, że targowiska zostaną zamknięte, w ogóle nie zawracałabym sobie głowy wychodzeniem. Poszłam, żeby... pomóc – wyjaśniła Prija. – Wiesz przecież, czym się zajmuję. Ale nie zdołałam zrobić wiele. A później znalazłam jego. Był sam.

Dostrzegła, jak przez twarz Simy przebiega znajoma mieszanka rozdrażnienia i tkliwości, zanim przyjaciółka wywróciła oczyma i pokręciła głową.

– Skoro wspominasz o zamknięciu targowisk, to naprawdę powinnaś pójść ze mną. – Sima puściła Priję i zamiast tego ujęła ją

konspiracyjnie pod rękę. – I powinniśmy się pospieszyć.

– Czemu?

– Księżniczka wkrótce tu będzie – odparła Sima, jakby Prija była byle prostaczką. – Będziemy patrzeć. – Pociągnęła ją naprzód. – No chodź. Musiałam przekupić jednego z wartowników całą butelką wina, żeby zdobyć dobre miejsce.

– Jestem głodna – zaprotestowała Prija.

– Możesz zjeść później.

Poszły do wysoko położonego składziku w mahalu, którego wąskie, zakratowane okno wychodziło na marmurowy dziedziniec przy bramie wjazdowej. Miejsca było zaledwie tyle, by mogła wyglądać tylko jedna z nich. Prija spojrziała pierwsza i dostrzegła regenta oraz jego doradców, a także służących stojących przy nich z parasolami, by chronić ich przed nieustannie grożącym deszczem. Żołnierze w paridżatdwipańskiej bieli i złocie ustawili się wokół nich szerokim łukiem.

Cofnęła się, ustępując miejsca Simie.

– Mogłaś zachować trochę wina dla nas – mruknęła Prija, kłękając na podłodze.

Sima pokręciła głową.

– Nie będę miała czasu na picie. Dostałam nową pracę. Gdy ty włączyłaś się po mieście, Gauri organizowała dziewczęta do obowiązków w nowym domostwie księżniczki. Zamiatanie, gotowanie, zwykłe rzeczy. – Sima zmierzyła Priję spojrzeniem z ukosa. – Też powinnaś ją znaleźć i zgłosić się na ochotniczkę. Wreszcie mogłybyśmy razem pracować.

Nie wykonywały wspólnie obowiązków od ich pierwszego roku w mahalu, kiedy obie wciąż były dziewczynkami. Sima opuściła wioskę oraz rodzinę i przybyła tu z własnego wyboru, jednak rozmiar i gwar miasta przytłoczyły ją. Prija była oczywiście taka jak Rukh – jedna ze smutnych przybłęd przygarniętych przez żonę regenta, kolejna porzucona sierota, dzika, zła i zupełnie sama. Z początku trzymały się razem z konieczności, jednak wkrótce narodziła się pomiędzy nimi przyjaźń oparta na wspólnych zainteresowaniach: ładnych dziewczynach, alkoholu i nocnych plotkach w sypialni, wspólnym zaśmiewaniu się, aż któraś z pozostałych służących próbujących zasnąć rzucała w nie butem, by się uciszyły.

– Pieniądze są dobre? – zapytała Prija.

– Pieniądze są bardzo dobre.

– Zatem spodziewałabym się, że zgłosi się do niej więcej ochotniczek, niż potrzeba.

– Ach nie. – Sima zmrużyła oczy, wyglądając przez kraty. – Chodź tu. Widzę konie.

Prija podniosła się ze stęknieniem. Ponieważ Sima się nie przesunęła, wcisnęła się obok niej tak, by obie mogły patrzeć.

Konie były piękne, zupełnie białe i z uprzężami ze lśniącego złota, ciągnęły rydwan ze srebra i kości słoniowej. Pasażerki pozostawały ukryte, osłonięte baldachimem z ciemnej tkaniny i ścianą zasłon. Po obu stronach pojazdu znajdowali się jeźdźcy, ale rzeczywiście świta nie wyglądała na pełną. Ot, garstka żołnierzy uzbrojonych po zęby i szlachcic, który zsiadł z wierzchowca i skłonił się zdawkowo przed regentem.

– Księżniczka – powiedziała Sima do jej ucha, gdy zasłonka rydwanu rozchyliła się i ze środka wysiadła starsza szlachcianka – będzie więziona w Hiranie.

W czasce Prii pojawiła się nagle biała pustka.

– Gauri ma trudności z zebraniem ochotniczek – ciągnęła Sima. – Jestem ja, rzecz jasna. Kilka nowych dziewczyn, które nie wiedzą, w czym rzecz. To tyle.

– Ale ty przecież wiesz, w czym rzecz – zdołała wykrztusić Prija.

– Ja chcę pieniędzy – odrzekła cicho Sima. – Nie chcę być służącą do końca życia. Nie po to przyszłam do Hiranaprasthy. A ty... – Sima prychnęła, lecz Prija była tak otepiała, że tego nie poczuła, choć stykały się policzkami. – Nie sądziłam, że też chcesz tu być wiecznie.

– To nie jest złe życie. Bywają gorsze.

– To nie znaczy, że nie możesz pragnąć nieco więcej, niż masz – powiedziała Sima. – I to, co się tam stało... To było dawno temu, Pri.

– Ahiranyjczycy nie zapominają. – Prija odsunęła się od okna. Oparła się plecami o ścianę i wbiła spojrzenie w sufit.

– Niech buntownicy pamiętają – zripostowała Sima. – Niech piszą wiersze i piosenki, niech chwytają za broń. Ty i ja powinniśmy dbać o siebie.

Nie dodała: bo nikt inny tego nie robi. Ta prawda tkwiła w ich szpiku.

Ale.

Hirana.

Jeśli Gautam przybliżał ją do kości jej przeszłości, Hirana była grobowcem, w którym niespokojnie spoczywały pokruszone fragmenty jej wspomnień.

Nagle to wszystko się przez nią przelało. Wyczerpanie. Wypełniająca ją pustka. Brawura i samotność Rukha, w którym jak w lustrze widziała swoją przeszłość. Myśl o tym, jak łatwo ostrze potrafi

rozszczeptać skórę. Upokorzenie, gdy ktoś cię przewraca, lekceważy, poniża. „A ty co robisz? Zamiatasz podłogi?”

Kiedyś chciała być kimś znacznie więcej.

Nie mogła być osobą, na jaką została wychowana. Ale może mogła pozwolić sobie na to, by życzyć sobie nieco więcej, niż miała. Zaledwie odrobinę.

Nagle w jej sercu zapłonęło pragnienie tak maleńkie, a jednocześnie tak potężne, że wezbrało w niej niczym głód w wynędzniałym ciele. Nie mogła pozwolić sobie na to, by pragnąć dawnych darów albo dawnej siły. Jednak mogła chcieć czegoś innego: dość pieniędzy, by móc kupować święte drewno bez korzenia się przed człowiekiem, który jej nienawidził. Dość pieniędzy, by nieco polepszyć sobie życie. By polepszyć je tym dzieciom z rynku, które nie miały nikogo. By polepszyć je Rukhowi, za którego teraz odpowiadała. By polepszyć je sobie.

Pieniądze oznaczały władzę. A Prija była już zmęczona bezradnością.

– Widzę ją – wydyszała nagle Sima. – Ach... nie dostrzegam jej twarzy, ale ma piękne sari.

– To księżniczka. Oczywiście, że ma piękne sari.

– Ale szare. Myślałam, że założy coś barwniejszego.

– Jest więźniarką.

– Kto wie co mogą nosić uwięzieni członkowie rodziny panującej? I przestań mi przygadywać, Pri. Sama popatrz.

Tym razem Prija zajęła miejsce przyjaciółki. Szczupła postać wysiadła właśnie z rydwanu. Dziewczyna widziała dłoń wciąż opierającą się na ściance pojazdu, perłową tkaninę sari poruszającą się lekko na wietrze.

– Idę poszukać Gauri – oznajmiła, odsuwając się.

– Teraz? – spytała Sima, marszcząc czoło w wyrazie dezorientacji.

Prija nie chciała czekać. Jeśli zbyt długo będzie rozmyślała, jakie to głupie, przekona samą siebie, by tego nie robić.

– Czemu nie? – odparła. – Muszę spytać ją o pracę. Pójdę z tobą do Hirany. – Zmusiła się do uśmiechu. – Masz rację, Simo. Pora zadbać o siebie.

Zostali uprzejmie powitani przez regenta, generała Wikrama. U boku miał swoją młodą żonę – śliczną Ahiranyjkę o oczach jak łania – która uśmiechnęła się grzecznie, lecz nieśmiało, a później wymówiła się i wróciła do swojego pałacu. Pani Bhumika była w zaawansowanej ciąży i nie mogła dotrzymać wymogów wiążących się z zabawianiem gości.

Malini nie była oczywiście żadną gością. Nie przybyła tu dobrowolnie. Jednak lord Santos – równie odrażająco zadowolony, że pilnuje warunków jej uwięzienia, jak w dniu, gdy Ćandra złożył w jego ręce ten obowiązek – nalegał na wystawny posiłek. Dołączyli do nich doradcy regenta, jednak ku uldze Malini przydzielono jej honorowe miejsce z dala od nich.

Przyniesiono wielkie półmiski. Być może generał Wikram został z wyprzedzeniem ostrzeżony, że lord Santos, podobnie jak cesarz Ćandra, cechował się wyraźną niechęcią do wszystkiego, co nie jest nieodrodnie paridżackie, ponieważ potrawy przypominały rzeczy, które mogłyby jeść w cesarskim mahalu w Harsingharze. Miały w sobie wiele ghi, rodzynek i pistacji, a w jasnym dhalu wirował wonny szafran. Skubała to, co miała przed sobą, próbując zmusić się do jedzenia, gdy regent zadawał

uprzejme pytania na temat podróży, a Santos odpowiadał. Odkąd Malini zaczęto podawać igłokwiat, jej apetyt przygasł. Nie czuła już głodu.

Powinna oceniać regenta: jego słabości i przekonania oraz prawdopodobieństwo, że cokolwiek z tych kwestii będzie można wykorzystać, by obrócić go przeciwko Ćandrze. Nie mógł przecież lubić jej brata – nie lubił go żaden rozsądny człowiek, a generał Wikram nie utrzymałby regencji tak długo, gdyby brakowało mu intelektu – jednak jej umysł wciąż był niczym kłębek splątanych myśli, spowolniony przez tygodnie zażywania igłokwiatu.

Mogła jedynie siedzieć, wpatrywać się w talerz i czuć, jak jej mózg potyka się pijacko nad tym, co powinna teraz zrobić. Będzie musiała znaleźć sposób, by zaskarbić sobie przychylność służących z domostwa, skoro nie mogła ich już przekupić klejnotami ani pieniędzmi. Potrzebne jej będą oczy i uszy w mahalu.

– Księżniczka jeszcze nie wie – odezwał się Santos z radością większą, niż odpowiadało Malini, co sprawiło, że uniosła głowę – gdzie znajduje się jej więzienna cela. Czy mógłbym cię prosić o czynienie honorów, generale Wikramie?

Regent przemknął wzrokiem pomiędzy nimi.

– Cesarz Ćandra poprosił, żebyś zamieszkała w Hiranie, księżniczko – rzekł.

Malini chciałyby poczuć zaskoczenie, ale nie znalazła go w sobie. Zalały ją groza i zrezygnowanie, przetoczyły się od żołądka do kończyn, aż nawet palce wydawały jej się oziębiałe.

– W Hiranie – powtórzyła. – W ahiranyjskiej świątyni.

Pramila głośno wciągnęła powietrze. A zatem ona też nie wiedziała.

– W świątyni, w której ahiranyjscy kapłani podpalili się na rozkaz mojego ojca – powiedziała powoli Malini, przenosząc spojrzenie ze ściągniętej twarzy Pramili na nieodgadnione oblicze regenta. – W świątyni, w której dwadzieścioro pięcioro dzieci...

– Tak – odparł gwałtownie generał Wikram, sam z nieco poszarzałą twarzą. Pamiętała, że był już regentem, kiedy jej ojciec nakazał tę śmierć.

– Nie ma żadnej innej Hirany, księżniczko – rzekł Santos, śmiejąc się lekko. Och, ależ mu było wesoło. – Czy istnieje lepsze miejsce do zastanawiania się nad konsekwencjami swoich decyzji? W którym mogłabyś myśleć o tym, co cię czeka?

Wikram odwrócił od niej wzrok i skupił go na kratownicowym oknie. Zupełnie jakby mógł ignorować jej los, jeśli przestanie zauważać, co

się przed nim znajduje.

– Skoro taka jest wola mojego cesarskiego brata – rzekła Malini.



Hirana nie przypominała niczego, co kiedykolwiek widziała.

Był to wielki budynek o spadzistych, nierównych ścianach, na którego szczycie wznosiła się właściwa świątynia. Jednak w górę nie prowadziły żadne wyraźnie wytyczone schody, nie dało się dostrzec oczywistej kamiennej pochyłości. Zamiast tego miało się wrażenie, że ktoś wziął stertę ciał – zwierzęcych, ludzkich i jakszów – i utworzył z nich martwą górę. Z oddali zdaniem Malini wyglądało to groteskowo.

I wcale nie zaczęło wyglądać lepiej, gdy zaprowadzono ją do liny i polecono się wspinać.

– Musisz uważać, księżniczko – powiedział jej spokojnie komandor Dżiwan, przewodnik wyznaczony przez regenta. – Hirana jest wyjątkowo niebezpieczna. Powierzchnia w wielu miejscach została uszkodzona i zieją w niej głębokie szczeliny. Nie puszczaj liny. Idź wyłącznie za moim przewodem.

Wryte na kamieniach kształty układały się w nierówną powierzchnię, do tego niepokojąco przypominały żywe istoty. Malini przyglądała się im podczas wspinaczki, ściskając mocno linę. Pramila dyszała obok niej. Były tam wijące się węże z obnażonymi kłami i paszczami na tyle szerokimi, by łatwo uwięzić kostkę. Ciała śmiertelników wyrzeźbione ze wzniesionymi dłońmi i zakrzywionymi palcami. Jakszowie, te pradawne duchy, po części śmiertelne, a po części uosabiające samą naturę; z ich oczu sączyła się zieleń, bujna roślinność wylewała się z ust, sylwetki wydawały się ludzkie, jednak zakłócone nagłym wykwitem liści z serca czy brzucha.

Nic dziwnego, że kiedyś świat bał się Ahiranji. Malini potrafiła sobie wyobrazić, jak Hirana wyglądała w Epoce Kwiatów, kiedy była polakierowana złotem, starsi kapłani wciąż dysponowali wielką potęgą, a jakszowie kroczyli po świecie. Sylwetki poniżej niej, z włosami z pnączy i zębami ostrymi jak brzytwy, skórą niczym kora lub rozsypująca się gleba, wypełniały ją pierwotną, instynktowną czujnością.

Paridżaccy żołnierze, których Santos zabrał ze sobą, by strzegli Malini, wspinali się nerwowo. Sam Santos nie wydawał się już radosny.

W miarę jak wdrapywali się coraz wyżej i deszcz zaczął przecinać niebo, głos mężczyzny nabrał wyraźnie płacziwej nuty, kiedy ten pytał, ile jeszcze minie czasu, zanim dotrą do szczytu.

– Już niedługo, mój panie – odparł komandor Džiwan, wciąż spokojnie. Nawet jeśli miał jakąś opinię na temat ich tchórzostwa, był wystarczająco rozsądny, żeby jej nie okazywać. – Pokojówki z wyprzedzeniem przygotowały pokoje dla księżniczki. Przypuszczam, że będziesz zadowolony.

Więzienie Malini leżało na północnym krańcu Hirany. Poprowadzono ją pustymi korytarzami, w których odbijało się echo, poprzez dziwne atrium otwierające się na niebo, do wielkiej komnaty z kratownicową ścianą ukrytą za splewiałą zasłoną, która najwyraźniej miała nie dopuszczać chłodu z atrium. Znajdowały się tu tylko jedne drzwi. Drugie zablokowano, zamurowano na stałe cegłami, żeby do środka prowadziła tylko jedna droga. Za łóżko służył pojedynczy bambusowy czarpaj z plecionką. Stał też kufer na nędzną kolekcję ubrań księżniczki.

Ściany wciąż były poznaczone czarnymi plamami, a płaskorzeźby wypaczone i zatarte, zniszczone przez lata zaniedbań i płomienie. Malini rozejrzała się. Strażnicy i Pramila krzątali się wokół niej. Uniosła głowę ku stropowi i z przerażeniem zdała sobie sprawę, że to właśnie tutaj musieli zostać spaleni ahiranyjscy kapłani.

No oczywiście. Niech przekłety będzie jej brat i ten jego okrutny, spaczony umysł. To jasne, że zamierzał zamknąć ją z dala od wszelkich źródeł wsparcia, wszystkich jej sojuszy. To jasne, że umieścił ją w rozpadającej się świątyni, w której tyle dzieci zginęło z krzykiem w płomieniach tylko dlatego, że były zbyt potężne, zbyt potworne...

– Tak – powiedział Santos. Ciężka dłoń legła na jej barku. Malini nie odsunęła się. Nie uderzyła go. Na zmianę czuła z tego powodu dumę i mdłości. – Może być. Cesarz Cándra będzie zadowolony.



Gdy strażnicy zostali już ustawieni w wejściu do Hirany i komandor Džiwan odszedł, zabierając ze sobą Santosa, Malini położyła się na czarpaju, a Pramila otworzyła buteleczkę z lekarstwem, którą nosiła na

szy. Odmierzyła dwie porcje, jak wcześniej obiecała, i wlała je do karafki z winem. Postawiła trunek przy Malini.

– Wypij – poleciła.

Dziewczyna odwróciła twarz. Zamknęła oczy.

– Nie zaczynaj znowu. – Pramila westchnęła. – Wypij, księżniczko Malini, inaczej będę zmuszona wezwać strażników.

Zrobiłaby to. Robiła to wcześniej. Kazała im przytrzymać ręce dziewczyny, a później sama odchylała jej głowę w tył, rozwierała usta, wlewała do środka płyn i obserwowała, jak Malini krztusi się i pluje, a przy tym cały czas powtarzała: „Gdybyś tylko była posłuszna... Posłuszna tak, jak żąda cesarz... Nikt nie chce cię skrzywdzić, księżniczko, zupełnie nikt”.

Malini oparła się na łokciu i podniosła karafkę. Wypiła.

Następnie położyła się z powrotem i czekała, aż ogarnie ją otępienie.

Nie zdołam w taki sposób wytrwać, pomyślała, już czując, że odpływa. Poznaczony sadzą strop wydawał się w nią wpatrywać. Nie zdołam.

– Regent wyznaczył służące, które będą obsługiwały świątynię – mruknęła Pramila. Malini usłyszała, jak kobieta otwiera Księgę Matek, by na nowo rozpocząć recytację lekcji. – Ale ty ich nie zobaczysz, księżniczko. Dopilnowałam tego.

Pramila za dobrze ją знаła.

Powiew wiatru wpadł od strony dziwnego atrium, wystawionego na działanie żywiołów – zwłaszcza w górnej części, gdzie niebo zaglądało przez wielki otwór wykuty w kamieniu. Dziewczyna zadrżała, kuląc się, by jak najlepiej uchronić się przed chłodem.

Użyj tego, co masz, upomniała się. Użyj wszystkiego, czym tylko dysponujesz. Co możesz zrobić? Co masz takiego, co może cię ocalić?

Wykradali jej umysł. Odmawiali jej ludzkiego towarzystwa. Nie miała niczego poza sobą. Niczego poza wściekłością i smutkiem pulsującymi w jej sercu.

Owładnęła nią ciemność. Słyszała głos Pramili, stłumiony i odległy. W pozbawionym światła świecie pomiędzy jawą a snem próbowała przypomnieć sobie swoje dawne mocne strony. Swoją dawną przebiegłość. Otuliła się złością na Ćandrę niczym nową skórą, zupełnie jakby była wężem, który zrzuca jedno ciało i stwarza sobie następne.

Zmusi się do tego, by przetrwać. Zaczeka. A gdy pojawi się okazja ucieczki z Hirany – jakakolwiek – wykorzysta ją.

Obiecała to sobie, a później zapadła się głęboko, bardzo głęboko.
Prosto we wspomnienia krzyków sióstr jej serca, gdy płonęły.

A decorative circular frame with intricate floral and geometric patterns. Inside the frame, the number '5' is written in a stylized font within a smaller circle at the top. Below the number, the name 'AŚOK' is written in a bold, serif font. The background features faint, larger-scale versions of the same decorative pattern.

5

AŚOK

Gdy Aśok miał dziesięć lat, po raz pierwszy wszedł w bezśmiertne wody.

Był to odpowiedni wiek dla pierwszego zanurzenia. Mieszkał w świątyni, odkąd był jedynie raczkującym niemowlęciem. Został wybrany i wyszkolony. Nauczono go, by nie narzekał, gdy siedzi w palącym żarze południowego słońca lub w zimnym nocnym mroku bez świecy. Dowiedział się, jak znosić głód, jak radzić sobie z bólem, gdy dłonie starszego świątynnego rodzeństwa wykręcały mu skórę. Właśnie w taki sposób uczono dzieci ze świątyni Hirana. W taki sposób poznawały cierpienie, siłę i potrzebę wyzbycia się słabości.

Do tamtej chwili był to zwykły poranek. Starsza Sarodź przewodziła jemu i pozostałym w modłach i obowiązkach, obserwowała, jak przygotowywali dary, które pielgrzymi zabiorą ze sobą do domów: fiolki z bezśmiertną wodą – oderwaną od źródła, ale wciąż przepięknie jaśniejącą błękitem w buteleczkach – święte drewno ostrugane do maleńkich wisiorów, delikatne owoce, w których skórkę dziecięce dłonie ostrożnie wcisnęły przyprawę.

Ale gdy wszystko to zostało wykonane, zamiast zwolnić ich jak zwykle, zaprowadziła ich do wody.

– Trzy podróże – powiedziała. – Po trzech podróżach przez wodę zostaniecie starszymi, jak my. To dopiero wasza pierwsza podróż. Nie zapominajcie: ci z was, którzy są dość silni, by przetrwać, wciąż muszą ciężko pracować i stać się jeszcze silniejsi. Naszym obowiązkiem jest utrzymanie wiary i zachowanie pamięci oraz tradycji wspaniałej historii Ahiranji. Nawet jeśli cesarstwo paridżatdwipańskie zapomni, czym kiedyś byliśmy, my tego nie zapomnimy.

Ci z was, którzy są dość silni, by przetrwać.

Aśok nie martwił się. Wiedział, że jest dość silny, ponieważ spoglądał na płaskorzeźby świątynnych starszych z Epoki Kwiatów, tych mężczyzn i kobiet, którzy podbili subkontynent w imieniu jakszów. Którzy dzierżyli straszliwą, niepojętą moc. Spoglądał i myślał: nie będę taki, jak nasi starsi, trzymający się jedynie strzępków potęgi, słabego echa tego, co istniało niegdyś. Nie będę spotykał się z regentem ani kłaniał przed cesarzem z Paridżatu.

Będę taki jak wy.

W chwili gdy po raz pierwszy wynurzył się z bezśmiertnych wód, chwytając powietrze, by wypełnić płuca, w jakiś sposób jednocześnie puste i pełne, wiedział już, że miał rację. Ponieważ w swojej głowie ujrzał sangam. Miejsce z mitów. Świat spoza domeny śmiertelników, w którym spotykały się kosmiczne rzeki, po którym niegdyś potrafili kroczyć świątynni starsi. Tamtego dnia, lata przed tym, jak inne dzieci zaczęły się zmieniać i rosnać w siłę, zanim świątynni starsi uświadomili sobie, czym stały się dzieci, zanim wszystko i wszyscy spłonęli – Aśok już wiedział. Jakszowie go usłyszeli. Powróci chwała Ahiranji.



Teraz.

Teraz stał u zbiegu rzek.

Spotykały się pod jego stopami. Rzeka duszy, rzeka serca, czerwona i głęboka, rzeka nieśmiertelności, tętniąca zielenią życia i złotem bezczasu.

Rzeki żyjących, rzeki zmarłych.

Wszedł głębiej. Woda sięgnęła mu do kostek, do kolan. Zamknął oczy i wstrzymał oddech, a później wypuścił go, powoli i miarowo. Robił to już wcześniej. Wiedział, na czym to polega. Wiedział, że

niewstrzymywany dech może wyzwolić ludzki umysł od ciała i posłać go głęboko w objęcia rzek. W ahiranyjskim lesie jego ciało siedziało ze skrzyżowanymi nogami, wyprostowanymi plecami i mocno zaciśniętymi powiekami, ledwo oddychając. U zbiegu rzek, w sangamie, najświętszym z miejsc, jego dusza dotarła do punktu spotkania.

Czekała na niego w tej samej wirującej wodzie, ledwie cień kobiety. Drżała. Teraz zawsze już drżała. Wokół niej rzeka ciągnęła się oleistym fioletem.

– Nie jest z tobą dobrze – powiedział jej.

– Aśoku – mruknęła, pochylając głowę. – Jest mi wystarczająco dobrze.

– Naprawdę?

– Już niemal znalazłam drogę – rzekła. – Niemal. Jestem pewna.

– Opowiedz mi wszystko.

Zachwiała się przed nim. Jej cień się rozpadał, tusz wymywał się w prąd rzeki. Nie była dość silna, żeby tu przebywać. Każda chwila sprawiała jej ból.

– Nie mogę zostać długo – oznajmiła. W jej słabym, urywającym się głosie słychać było przeproszącą nutę. – Ale obiecuję, że... że nas ocalę. Obiecuję.

Brodząc, podszedł bliżej. Wtedy ją poczuł: jej ból, jej słabość, jej miłość i lojalność. Wyciągnął dłoń, wyciągnął przed siebie smuzkę duszy. Dotknął jej policzka.

Pomyślał, by powiedzieć jej, żeby przyszła do domu. Pomyślał, by powiedzieć jej, żeby wróciła do rodziny, gdzie będzie bezpieczna.

Ale jeśli istniała nadzieja... Jeśli istniała szansa...

– Wiem, co to znaczy być silną – rzekła do niego. – Wiem, że wszystko ma swoją cenę.

Bo miało.

– Zatem bądź silna – mruknął. – A ja będę tutaj.

Zanikła, a on został. Sangam wił się wokół niego.



6

PRIJA

Był to dopiero czwarty tydzień wspinaczek do Hirany, gdy zdarzył się wypadek.

Prija szła na końcu szeregu służących i znajdowała się w połowie zbocza, gdy nagle usłyszała krzyk, który poniósł się w mroku, a później brzęk lampy uderzającej o podłoże. Zamarła. Ponad nią kręta linia świateł zafalowała i znieruchomiła, gdy niosące je osoby również się zatrzymały.

Powoli wciągnęła powietrze. Wyczuła w ustach deszcz, krew lub coś ostrego jak żelazo, co w jakiś sposób przypominało jedno i drugie. Zaparła się podszwami na wilgotnym kamieniu, by zyskać solidne oparcie. Sznur, który trzymała lewą dłonią, śliski od wody, drażnił jej otartą już skórę. Wilgotna lina w kontakcie z uszkodzoną dłonią wywoływała ból, ale Prija ścisnęła ją jeszcze mocniej, odkąd w połowie ich wspinaczki zaczął padać ulewny deszcz, zalewając ich ubrania i niesione zapasy. Teraz już się skończył, ale zdążył sprawić, że kamienna powierzchnia Hirany stała się śliska i niebezpiecznie gładka. Nic dziwnego, że ktoś się przewrócił.

– Co się stało? – wyszeptła idąca za nią Mina.

Mina była młodszą służącą, która zgłosiła się do tej pracy na ochotnika i nawet w łagodnych chwilach była zwykle nerwowa. Krzyk nią

wstrząsnął. Prija słyszała, jak płytko oddychała, w spanikowanym rytmie, od którego Prije aż bolały własne płuca.

– Nie wiem – odparła Prija. Próbowiała mówić spokojnie, by jeszcze bardziej nie wzburzyć Miny. – Wciąż mocno się trzymasz?

– Tak.

– Dobrze. Idę sprawdzić.

– Ale...

– Weź lampę. – Podała ich wspólne źródło światła, które Mina ujęła drżącymi palcami. – Nie zajmie mi to długo.

Podobnie jak Prija kiedyś wiedziała, jak ściągać skórę z kości, tak wiedziała też, jak wspinać się po Hiranie. To właśnie robiły świątynne dzieci: prowadziły pielgrzymów poszukujących błogosławieństwa duchów jakszów po powierzchni Hirany, wskazywały im drogę do świątynnych starszych wybranych przez jakszów. Wtedy nie było tu liny. Przecież pielgrzymka stanowiła podróż, zarówno w wymiarze fizycznym, jak i duchowym. Miała swoją cenę. Niektórzy słabli albo rezygnowali. Niektórzy spadali. Jakszowie żądali od swoich wyznawców siły, podobnie jak żądali jej od rady swojej świątyni.

Jedynie godni mogli dostać się wyżej.

Prija kiedyś była godna.

Bez lampy w dłoni łatwiej jej było się poruszać. Trzymała linę bardzo luźno i wspinała się tak szybko jak umiała. Wraz z Miną pozostały w tyle za innymi służącymi – nerwowość drugiej dziewczyny spowalniała je obie – ale Prija wkrótce dotarła do miejsca, gdzie stała reszta, stłoczona tak ciasno, że ich stopy niemal się stykały.

Służąca najbliższej Prii wychylała się niebezpiecznie, wykręcając dłoń na sznurze. W drugiej trzymała lampę tak, by jej światłem sięgać jak najdalej.

W blasku Prija dostrzegła Simę.

Sima była uwięziona na lewo od liny, kawałek w dół powierzchni Hirany. Musiała się potknąć i ześlizgnęła się, jej ciało zsunęło się po mokrym kamieniu. Rozciągała szeroko ręce i widać było na nich każdy mięsień. Wczepiła się palcami w jedną ze szczelin i knykcie pobielały jej od wysiłku. Reszty dziewczyny nie było widać.

Wpadła do dziury wykutej w kamieniu, otworu przemyślnie ukrytego za szeregiem rzeźb uformowanych tak, by cień padał wzdłuż nich. Z większości kątów nie dałoby się go dostrzec. Jednak teraz, gdy Sima w nim tkwiła, trudno było go przegapić. Trzymał ją niczym bezzębne usta.

Prija nie miała pojęcia, jak głęboka jest rozpadlina, ale myśli, że Sima mogłaby stracić chwyt – że zginęłaby w wyniku upadku albo, co gorsza, zostałaby uwięziona żywcem w mroku, gdzie nikt nie zdołałby do niej dotrzeć – sprawiła, że ogarnęły ją mdłości.

Przyświecającą dziewczynę szarpnęła w tył szorstka dłoń.

– Nie wychylaj się – powiedziała gniewnie Gauri, główna służąca. – Nie mogę pozwolić sobie na to, byś ty też spadła. Ty – krzyknęła do kobiety znajdującej się nieco wyżej i wskazała na nią kijkiem – przyprowadź strażnika spod drzwi. Powiedz im, że dziewczyna się zsunęła. Szybko!

Wywołana zaczęła się wspinać. Była jednak zbyt powolna na wilgotnej powierzchni, z lampą i liną w dłoniach. Zdecydowanie zbyt powolna.

Sima dyszała ciężko, a w mroku nieznacznie rozświetlanym lampą widać było białka jej oczu.

– Nie utrzymam się – wyświszczała.

– Utrzymasz się – odparła Gauri. – Jesteś silna. Nie puszczaj.

Ale Sima była przerażona, jej dłonie z pewnością były równie otarte jak dłonie Prii, a kamień pod nimi stał się śliski jak szkło. Nie zdoła wytrzymać do nadejścia pomocy.

Prija spojrzała w dół, na kamień wykuty na podobieństwo pnączy i liści stapiających się z roślinnością wyrastającą pomiędzy pęknięć.

Kiedys знаła Hiranę, a Hirana знаła ją.

Wciąż ją znała.

Nie była tego pewna pierwszej nocy wspinaczki, gdy potrafiła skupiać się jedynie na posuwaniu się w górę bez utraty panowania nad sobą. Teraz jednak miała już pewność. Gdy wyprostowała się i zmusiła do tego, by odetchnąć – gdy lampy zakołysały się, a palce Simy wysunęły się odrobinę z uchwytu – poczuła pod stopami puls mokrego kamienia; jakby powierzchnia się wiła, a wyrzeźbione na niej pnącza przesuwały się, by ją otulić. Miała wrażenie, że gdyby przycisnęła ucho do Hirany, usłyszałaby falowanie kamieni – jakby były kręgami wielkiej, śpiącej bestii.

Była w stanie przejść w bok. Pozwolić, by ten kręgosłup ją poniósł. Wystarczyłby akt wiary.

Nie powinnam, pomyślała z dystansem. Na duchy, naprawdę nie powinnam.

Ale chodziło o Simę. Jej przyjaciółkę.

Uklękła. Żółte światło lampy rzucało cienie na jej bose stopy. Kamień rozpościerający się pod nimi był czarny, o powierzchni pokrytej szczelinami niczym popękana skorupka jajka, z wyrastającymi spod

spodu porostami i mchami. Dotknęła opuszkami palców roślinności, poczuła jej ciepło pod deszczową wodą.

– Ziemię, chroń mnie – wymruczała. Następnie znów się wyprostowała i odsunęła od liny, idąc w lewo i w mrok.

Ponad sobą usłyszała okrzyki szoku – Gauri wołała jej imię – ale nie uniosła głowy. Szła dalej. Powoli, ostrożnie, przeklinając się w myślach.

Nie chciała tego robić. Będzie tego żałowała.

Chciała to robić. Chciała wiedzieć, czy jest do tego zdolna.

Słyszała spanikowany oddech Simy.

Na tym stopniu znajdowały się wypukłe płaskorzeźby: węże leżące stertami, kobra z rozchyłonym pyskiem i sterczącymi zębami. Prija poczuła ostrą krawędź przy skórze. Zamarła.

Usłyszała w głowie głos. Tym razem nie należał do jej brata. Był niski, kulturalny. Rozbawiony.

Głos starszej.

„Ciebie i Hiranę łączy wyjątkowa więź, prawda, moja mała?” Wspomnienie dłoni na jej barkach. Mająca nad nią sylwetka otulona białą bawełną, z paciorkami ze świętego drewna zwisającymi kaskadą z włosów. „Ale nie zapominaj, że zbudowano ją tak, by miała wzrok. Zatem nie ufaj swoim oczom”.

Zakłęła w duchu. Zamknęła oczy, zupełnie jakby świątynni starsi wciąż żyli i należało ich słuchać, starać się o ich aprobatę. Przesunęła stopę dalej w lewo, ufając swojej skórze. Szorstkość ustąpiła miękkim, splecionym pnączom. Pod nimi czuła solidny kamień.

Krok. Kolejny. I jeszcze jeden. Sprawdzała powierzchnię. Tu popękana. Tam solidna. Wciąż słyszała okrzyki Gauri, jej chrapliwy głos. Kamień opadł nagle i Prija znów się zatrzymała, podwinęła palce u stóp. Oddech Simy był już blisko, bardzo blisko, więc Prija otworzyła oczy.

Sima leżała przed nią. W mroku lśniły białka jej oczu.

Prija cofnęła stopy i przykłęknęła w miejscu na tyle szorstkim, by się nie ześlizgnąć. Następnie położyła się na brzuchu i wyciągnęła dłoń.

– Teraz możesz się wspiąć – rzekła. – Jeśli podciągniesz się na mnie. Musisz jednak puścić ten kamień i złapać moją dłoń. Zrobisz to dla mnie, Simo?

– Ja... – Sima urwała. Jej bezkrwiste palce zdrząły. – Ja... chyba mi się nie uda.

– Uda ci się – odparła spokojnie Prija.

– Pociągnę cię za sobą. Obie zginiemy.

– Nie pociągniesz – oznajmiła Prija, choć nie była tego wcale taka pewna. – No, dawaj.

– Duchy mnie zabiorą – wyszeptła Sima. – Wiem to.

– Jeśli istnieje jakaś sprawiedliwość, to duchy świątynnych starszych i dzieci są teraz wraz z jakszami, gdzieś daleko od Hirany – powiedziała cicho Prija. – A jeśli nie istnieje, to cóż, nie sądzę, żeby pragnęły życia dobrych Ahiranyjczyków, gdy ponad nami jest mnóstwo dostępnych Paridżatczyków.

– Prijo – wycedziła Sima – przestań. Przecież...

– Wpadnę w tarapaty? Możesz mnie odpowiednio ochrzanić, gdy już obie będziemy bezpieczne. Obiecuję, że wtedy cię wysłucham.

Sima wydała z siebie skomlenie, które mogło być próbą zaśmiania się. Zacisnęła mocno powieki.

– Prijo, boję się.

– Nie musisz się bać. Jestem tutaj. – Prija zaparła się ramionami o kamień i przysunęła nieco bliżej. Na tyle blisko, by móc dotknąć dłoni Simy. Czowała, jak palce przyjaciółki drżą. – W Hiranie godni zawsze są bezpieczni. Tak mówiono pielgrzymom. A ty jesteś godna, Simo. Ja tak zdecydowałam. Zatem nic ci się nie stanie.

Uchwyt Simy osłabł. Całym jej ciałem wstrząsnęło i Prija rzuciła się ku niej, czując, jak rozpędza się jej serce. Moment później dłoń Simy znów zacisnęła się na kamieniu.

– Prijo! – Jej głos był piskliwy z przerażenia.

– Złap mnie za rękę – poleciła Prija. – Dalej.

Po długiej, pełnej napięcia chwili Sima zrobiła to. Ścisnęła dłoń Prii w bolesnym, potężnym chwycie. Załkała, krzyknęła i zaczęła się podciągać. Jej paznokcie wbiły się Prii w skórę. Prija zacisnęła zęby i zaparła się stopami o podłoże, modląc się, by obie wyszły z tego cało.

Wreszcie Sima uwolniła się z otworu. Dysząc, obie podniosły się na nogi. Ponad nimi pozostałe służące milczały, być może z obawy, że jeden dźwięk zakłóci ich koncentrację.

Głęboki wdech. Wydech.

– Trzymaj mnie za ręce – powiedziała w końcu Prija. Teraz gdy już uwolniła Simę, wreszcie dopadła ją panika. Czowała jej śpiew we krwi, w gorącym pieczeniu śladów po paznokciach na skórze. – Zaprowadzę cię z powrotem do liny.

Trochę to trwało, ale wreszcie wspięły się, dołączyły do pozostałych i chwyciły sznur. Sima osunęła się na kolana i płakała. Inna służąca pomrukiwała coś do niej, trzymając dłoń na jej głowie.

Prija poczuła ostre szturchnięcie w bark. Obróciła się i ujrzała Gauri. Twarz starszej kobiety była tak pobladła, że aż biała. Gauri nie mrugała.

– Głupia – rzekła. – Obie jesteście głupie. Przestań się mazać, Simo. Jesteśmy spóźnione.

Sima w odpowiedzi wykrztusiła coś niezrozumiałego, jednak podniosła się. Służące znowu ruszyły w górę. Gauri rzuciła Prii ostatnie spojrzenie – pełne przerażenia i furii, do tego zdecydowanie zbyt wnikliwe – po czym obróciła się.

– Mogę dalej nieść lampę, jeśli chcesz – powiedziała Mina. Stała za Priją, drżąc jak liść na wietrze.

Prija zacisnęła i rozprostowała palce dłoni. Bolało ją całe ciało.

– Nie trzeba – odparła. – Dziękuję ci, że ją niosłaś. Ale nic mi nie jest. Daj, wezmę ją od ciebie.



Dwóch strażników czekało przy wejściu, by dokładnie sprawdzić, czy kobiety nie wnoszą broni. Jak zawsze zbadali też laskę Gauri, zanim ją oddali ze skinieniem wyrażającym szacunek. Obydwaj byli żołnierzami przybyłymi wraz z księżniczką z Paridżatu i na resztę służących spoglądali chłodno i z lekceważeniem.

Prija również na nich popatrzyła. Zatęskniła za swoim nożykiem.

– Ona czeka – powiedział jeden z nich, po czym dodał: – Słyszałem, że jakaś dziewczyna spadła. Przykro mi z powodu waszej straty.

Gauri nieznacznie zacisnęła szczęki.

– Miałymy to szczęście, że jej nie straciłyśmy, duchom niech będą dzięki – rzekła. – Posłałam jedną z moich dziewcząt, by poprosiła was o pomoc. Nie domagała się waszego przyjścia?

Wzruszył ramionami z obojętnym wyrazem twarzy.

– Kazano nam się stąd nie ruszać. Ale chyba wszystko jest w porządku, skoro dziewczyna żyje.

– Wszystko jest w porządku – zgodziła się Gauri, ale nie wyglądała na zadowoloną.

Prija nie potrafiła powstrzymać myśli, że gdyby księżniczki strzegł któryś z ich ludzi, na przykład Mithunan, czy nawet jeden z zimnych

mężczyzn z osobistej świty regenta, przyszliby Simie na ratunek. A przynajmniej by spróbowali.

Wartownicy otworzyli wrota. Służąca, która poszła przodem, czekała na nie z twarzą poznaczoną śladami łez. Gdy ujrzała Simę, rozpogodziła się, jednak na odgłos żwawych, zbliżających się kroków znów spochmurniała i opuściła głowę.

W korytarzu wejściowym pojawiła się strażniczka księżniczki.

Pani Pramila była wysoką i surową paridżacką szlachcianką. Zawsze miała na sobie sari haftowane w białe kwiaty jaśminu, symbol wysokiego urodzenia, a jej głowę i ramiona spowijała gruba chusta. Wokół talii nosiła pas, na nim zaś zestaw kluczy i pochwę z nożem. Pomimo całej swojej szlachetnej krwi i doskonałości tkaniny, z której wykonano sari, nie była nikim więcej niż strażniczką więzienną i każdą ze służących – również Prija – już jej nienawidziła i bała się jej.

– Zostały tylko trzy godziny do świtu – oznajmiła chłodno Pramila.

– Deszcz nas opóźnił, moja pani – odparła Gauri. – Monsun jest...

Chciałam powiedzieć, że trudno się wspinać w tej pogodzie. Niemal straciłyśmy jedną z dziewcząt.

Pramila wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć, że to nie jej problem.

– Śpi w północnej komnacie, jak zawsze – rzekła. – Dopilnujcie, żebyście zniknęły, zanim zrobi się jasno. Jeśli do tego czasu nie skończycie pracy, trudno.

– Moja pani.

– Gdy spóźnicie się następnym razem, będę musiała powiadomić regenta o moim niezadowoleniu.

Gauri pochyliła z poważaniem głowę. Prija i pozostałe uczyniły to samo. Gdy tylko Pramila zniknęła w swoim gabinecie, Gauri obróciła się do nich.

– Zaczynamy w kuchni – powiedziała. – Teraz szybko. I jeśli będziecie się ociągać, obiecuję, że stłukę każdą z was tak, że zsiniecie.



Prija rozpaliła ogień w kuchni i wachlarzem podsyciła go do miarowych płomieni. Posiekała cebulę i obrała inne warzywa, po czym odstawiła je na bok, by były naszykowane do gotowania. Następnie przeszła do

jednego z korytarzy, używanego często przez strażników, i zaczęła szorować podłogę z błotnistych śladów ich butów.

– Prijo. – Słyszac to, Prija uniosła głowę zaskoczona. Sima spoglądała na nią z góry, trzymając założone ręce. – Ja... chciałam ci podziękować.

– Nie musisz.

Sima przytaknęła. Miała ściągniętą twarz. W przekrzywieniu jej głowy, w linii ust kryło się pytanie.

– Nigdy nie widziałam cię takiej – powiedziała.

– Jakiej?

– Odważnej. Chyba.

– Ejże – odparła Prija. – Jestem bardzo odważna. Kto złapał jaszczurkę, która dostała się do naszej sypialni, gdy wszystkie pozostałe dziewczyny wrzeszczały? Ja.

– To, co mówiłaś – odparła Sima. – Gdy byłaś... Gdy mnie ratowałaś. Ja... – Zawahała się. – Czy ty...?

Prija czekała. Zastanawiała się, o co Sima spyta. Czy kiedyś pielgrzymowałaś? To byłoby w porządku. W takim przypadku Prija mogłaby przekonująco skłamać. Ale co, gdyby pytanie brzmiało: czy byłaś świątynnym dzieckiem? Jak Prija mogłaby wtedy skłamać, skoro nawet sam pobyt na Hiranie sprawiał, że tak bardzo zbliżała się do swojej przeszłości, że jej skóra wydawała się zbyt ciasna, by ją pomieścić?

Ach, na duchy. Prija miała nadzieję, że Sima o to nie spyta.

– Gauri chce, żebyś znalazła Minę – rzekła w końcu Sima.

– Co?

– Mina zniknęła – wyjaśniła Sima. – Przypuszczam, że się ukrywa. Myślę, że bardzo się wystraszyła.

– Owszem – potwierdziła Prija. Westchnęła i wrzuciła szmatę do wiadra. – Pójdę jej poszukać.

– Skończę pracę za ciebie – oznajmiła Sima. – I, Pri, gdybyś kiedyś czegoś potrzebowała...

– Tak?

Sima uklękła i wyciągnęła mokrą ścierkę.

– Wtedy ze mną porozmawiaj – rzekła. – Jestem twoją dłużniczką. To wszystko.



Prija podjęła wysiłek, żeby znaleźć Minę. Naprawdę. Jeśli jednak dziewczyna płakała w jakimś kącie, to zapewne sama się pojawi w swoim czasie. Po zjrzeniu do kilku małych pomieszczeń w krużganku, w których kiedyś przechowywano rzeźby duchów – teraz stały puste i obrastały kurzem – dała sobie spokój z zadaniem i wykorzystała okazję, by udać się tam, dokąd chciała iść od samego początku.

Za pokojami krużgankowymi, gabinetem pani Pramili, kuchnią, latryną i łaźnią – niedaleko od dawnych kwater mieszkalnych świątynnych starszych – leżało triweni.

Triweni było pomieszczeniem o otwartych ścianach i dachu podtrzymywanym przez wielkie kolumny, wyrzeźbione na podobieństwo jakszów z potężnymi ramionami. Dostępne były stamtąd trzy części świątyni: zakazana północna komnata, w której spała księżniczka, a także sekcje na zachodzie i południu. Pomiędzy kolumnami przezierwały połączenia nieba, słoneczny blask wdzierał się już bez przeszkód od wschodu. Gdyby ktoś był nieostrożny, mógłby wyjść na zewnętrzną powierzchnię Hirany – prosto na jej niebezpieczeństwa.

Prija nie była nieostrożna. Przeszła po powierzchni triweni pokrytej głębokimi, łukowatymi rowkami, mającymi przypominać wodę przy brzegu. Dotarła do postumentu na środku. Wznosił się ponad nim dach, w którego środku wykonano okrągły otwór, niczym okno skierowane ku niebu. Postument był wilgotny, blady, zlany deszczem kamień lśnił.

Podobnie jak wiele razy wcześniej, wymruczała modlitwę i przycisnęła dłonie do powierzchni cokołu. Opuściła głowę.

Przypomniała sobie, że kiedyś na podłodze leżały grube poduchy, na których świątynni starsi mogli wygodnie siedzieć. Zaś ze stropu zwisały kandelabry pełne świec. Przypomniała sobie, jak biegła pomiędzy poduszkami, jak dłoń odciągnęła ją znad skraju, a druga dała jej klapsa w ucho. „Zachowuj się grzeczniej, inaczej spadniesz, ty głupie dziecko”.

Pamiętała szelest jedwabiu ocierającego się o podłogę, koronę z lakierowanego drewna lśniąca w świetle. Głos jej brata. Śmiechy pozostałego rodzeństwa, przemieszane ze sobą. To wszystko i nic więcej.

Z zadumy wyrwał ją hałas: nadmiernie głośny trzask, który rozdarł powietrze. Gwałtownie uniosła głowę.

– Mina?

Odgłos dobiegł z korytarza przed nią. Z północnej komnaty. Jeśli ta głupia dziewczyna poszła w kierunku pokoju więźniarki...

Prija oderwała dłonie od postumentu i wślizgnęła się w ciemny korytarz, w którym ledwie jedna pochodnia dogasała w kinkiecie. Kamienne ściany pokryte były płaskorzeźbami przedstawiającymi jakszów toczących wojnę, podbijających świat, z ciernistymi mieczami trzymanymi w sękatym drewnie dłoni. Farba już dawno temu złuszczyła się i spłowiała, ale obrazy wciąż były wyraźne. Mityczni świątynni starsi z odległej przeszłości stali u boku jakszów. Wpatrywali się w nią przez korony-maski, pozbawieni cech charakterystycznych z wyjątkiem otwartych, wydrążonych piersi. Trzy strumienie wody wylewały się z nich na pole bitwy zasłane zwłokami.

Zmusiwszy się, by się nie zawahać – oraz by się nie ociągać i nie wgapiać w płaskorzeźby, nie spijać opowieści wzrokiem – Prija prześlizgnęła się obok nich, bezgłośnie stawiając bosc stopy.

Nagle zatrzymała się. Podłoga była wilgotna, i to nie od deszczu. Strop i ściany nie miały tu otworów. Przyklęknęła. Dotknęła płynu i uniosła palce do twarzy. Wino.

Z bliska – bardzo bliska – dobiegł odgłos stłumionego łkania.

Prija obróciła głowę.

Na prawo od niej znajdowała się kratownicowa ściana; otwory wykonano na podobieństwo kwiatów. Poprzez nią Prija dostrzegła tkaninę, ciężką jedwabną zasłonę falującą jakby na wietrze, po części zerwaną z haków. Na ziemi leżał metalowy dzbanek, źródło rozlanego wina. Nachyliła się bliżej.

I napotkała kobiety wzrok.

Przez chwilę Prija nie wiedziała, gdzie jest. Znalazła się we własnej przeszłości. Wpatrywała się w inną świątynną córkę leżącą przed nią na podłodze. Wpatrywała się we własne duchy obleczone w ciało.

Szerokie, ciemne oczy. Białka przekrwione od płaczu. Brwi wysokie i gęste, skóra barwy jasnego drewna tekowego. Łkanie uspokoiło się i Prija mogła teraz słyszeć oddech kobiety: nierówny rytm, grzechoczący i zbolący.

Właśnie ten oddech ściągnął Priję z powrotem do rzeczywistości. Znalazła się znów w swojej skórze, drżała na swoich kolanach.

Więźniarka. Wpatrywała się w więźniarkę. W siostrę cesarza. Księżniczkę.

To nie powinno się wydarzyć. Księżniczka powinna spać.

Jednak kratownicowa ściana – ta kratownicowa ściana – stała w korytarzu, do którego żadne służące nie miały prawa wchodzić. Nikomu nie przyszło na myśl, by zasłonić kratownicę czymś więcej niż

zwykłą zasłoną. Nikomu nie przyszło na myśl, że dojdzie do czegoś podobnego.

Odwróć wzrok, pomyślała Prija. Odwróć wzrok.

Powinna była spuścić spojrzenie. Powinna była się skłonić. Zamiast tego wpatrywała się, nie mrugając, w te oczy. Wpatrywała się i wstrzymywała oddech w głębi siebie, w samym swoim rdzeniu, który groził, że pęknie jej między żebrami. Była niczym ptak przyszpilony za skrzydło. Ucieczka zdawała się poza jej zasięgiem.

Więźniarka również na nią spoglądała. Leżała na podłodze, oparta na łokciach, otoczona kurtyną ciemnych, wzburzonych włosów. Wino zaplamiło jej jasne sari krwistą czerwienią. Wciąż przytrzymując wzrok Prii, nachyliła się naprzód.

– Jesteś prawdziwa? – Niski głos, celowo cichy, by nikt nie usłyszał, szorstki od płaczu. – Odezwij się. Muszę się upewnić.

Prija rozchyliła usta. Nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Chciała spytać o to samo.

Więźniarka przełknęła ślinę. Prija usłyszała odgłos w jej gardle, ujrzała przekrzywienie głowy, gdy księżniczka przyglądała się Prii z wyrazem twarzy, którego ta nie była w stanie zrozumieć.

– Zatem prawdziwa. – Jej oczy były obwiedzione czerwienią. – Dobrze.

– Proszę – wyszeptala Prija, tym razem słyszalnie. – Wybacz mi, księżniczko.

Podniosła się na nogi. Skłoniła nisko, zaciskając dłonie za plecami. A następnie odwróciła się i uciekła.

Nie usłyszała niczego za sobą. Jedynie brak płaczu. Jedynie chrapliwy oddech księżniczki zanikający w cichej pustce nocy.

Pospieszyła z powrotem do triwenu.

Na jego środku, na niskim postumencie, siedziała Mina. Była odwrócona plecami do Prii, ale obejrzała się, gdy ta podeszła. Zamrugala. Na jej policzkach widać było ślady łez.

– Prija?

– Nie powinnaś tu być.

– Ja tylko sprzątałam – powiedziała Mina, co było tak oczywistym kłamstwem, że Prija mogła tylko wpatrywać się w nią przez chwilę z otwartymi ustami.

– Zejdz.

– Ja tylko...

– Zejdz stamtąd – powtórzyła Prija. A później, ponieważ język i serce czasami ją zdradzały, dodała: – To nie dla ciebie.

Mina zesła. Skrzyżowała ręce na piersi, przez co wyglądała zupełnie jak dziecko, które coś przeszkrobało.

– Czy wiesz, jak blisko komnat księżniczki się znalazłaś? – zapytała wstrząśnięta Prija. Przez galopujące serce nagle zaczął drżeć jej głos. – Czy wiesz, w jakie kłopoty mogłybyśmy wpaść, gdyby księżniczka nas usłyszała? Albo, duchy brońcie, gdyby znalazła nas tu pani Pramila? Mamy jedno zadanie: przychodzimy tu po ciemku, sprzątamy, szykujemy jedzenie i odchodzimy przed brzaskiem. Nie przeszkadzamy więźniarce. Nie pozwalamy jej się zorientować, że istniejemy. Takie są rozkazy regenta, a my ich przestrzegamy, rozumiesz?

– Ja... przepraszam – wykrztusiła Mina. – Proszę, nie mów o tym Gauri.

– Nie powiem. – Prija złapała dziewczynę za ramię. – Następnym razem pomyśl o dodatkowych pieniądzach, które dostajesz za tę pracę, i zachowuj się odpowiednio, jasne? Pomyśl o swojej przyszłości. A teraz chodź. Wracamy do roboty.

Zostawiły triweni za sobą.

Był już wczesny ranek, gdy służące zeszły z Hirany i wróciły do mahalu. Billu przygotował im półmisek ciepłych potraw i zaraz zaczęły dzielić się roti i kiszonymi warzywami. Gauri szybko się wymówiła, twierdząc, że musi odpocząć.

– My też powinnyśmy się położyć – powiedziała Sima, maczając roti w resztkę wonnego oleju i zalewie. Prija otworzyła usta, a Sima uniosła palec, by jej przerwać. – Nie mów, dopóki nie skończysz jeść, Pri. Proszę.

Prija wywróciła oczyma, przełknęła, co miała w ustach, popiła łykiem wody i powiedziała:

– Jeszcze nie jestem zmęczona.

– To co zamierzasz robić?

– Pójdę do sadu. Billu! – zawołała Prija, a kucharz odwrócił się znad ogromnej sterty cebuli, którą siekał. – Wybieram się do sadu, więc jeśli chcesz, żebym zaniósła coś chłopakom...

– Powinnaś pójść spać – skarcił ją Billu, ale podał jej trochę chlebików paratha i dużą butlę herbaty. Unosząca się nad nią para niosła ciepłą woń kardamonu. – Powiedz im, że jeśli się pospieszą, to załapią się na resztkę cebulowego sabdži. Ale nie dam ci go. Za dużo bałaganu.

Nielicznym zamieszkującym w domostwie ludziom z butwieniem przydzielono zadanie oczyszczania zarażonych obszarów sadu regenta. Współpracowali przy tym ze służącymi zwykle zajmującymi się drzewami. W końcu osoby cierpiące na butwienie były już naznaczone i nie mogły zarazić się ponownie. Tak przynajmniej rozumowano.

Od wielu dni pracowali od samego brzasku, rąbali gałęzie i wrzucali je do ognia. Prija podążyła za zapachem dymu i odnalazła ich przy oczyszczaniu bardzo starego drzewa. Było szerokie, miało gruby pień z rozłożystymi, sięgającymi głęboko korzeniami, teraz na wpół widocznymi, gdyż usunięto warstwę gleby. Z korzeni ściągnięto korę, by wnętrze zaczęło schnąć i szybciej złapało ogień.

Ludzie mieli twarze owinięte tkaniną, by nie wdychać najgorszego dymu, ale Prija nie była tak dobrze przygotowana. Naciągnęła pallu na usta i nos, balansując jedzeniem i butelką na biodrze, a później oddychała płytko, starając się nie myśleć o tych wszystkich rzeczach, które zawsze przychodziły jej do głowy, gdy czuła zapach dymu. Otulające ją ręce brata. Krew. Hirana.

Księżniczka wpatrująca się w nią przekrwionymi oczyma czarnymi jak smoła.

„Jesteś prawdziwa?”

Odepchnęła od siebie to wspomnienie i rozglądała się przez opary, aż wreszcie dostrzegła znajomą niską sylwetkę uginającą się pod ogromną stertą drewna.

– Rukh! – krzyknęła.

Popatrzył nad niesionym naręczem, a gdy ją ujrzał, po jego oczach dało się dostrzec, że się uśmiecha. Z ekscytacją wrzucił drewno do ognia.

– Przyniosłam wszystkim jedzenie! – zawołała i usłyszała odgłosy ulgi ze strony pozostałych mężczyzn, którzy opuścili maczety.

W pobliżu ustawiono kadzie ze słoną wodą. Wszyscy pracownicy obmyli sobie dłonie za pomocą dzbanków, by oczyścić skórę, zanim zaczęli jeść. Niektórzy uważali, że sól powstrzymuje butwienie.

– Jak tam twoje życie jako służącego? – spytała Prija Rukha, gdy rozdała już przyniesione rzeczy i przekazała butlę z herbatą najbliższemu z mężczyzn, który wymruczał podziękowanie.

– Jedzenie jest świetne – odparł chłopak, wycierając dłonie o tunikę. Skupił wzrok na paratha. Szybko złapał jeden z chlebików.

Prija chciała go jeszcze trochę powypytywać. Odkąd zostawiła go pod opieką Khalidy, widywała go bardzo rzadko, zwykle tylko wtedy, gdy wczesnym rankiem przychodził jeść do kuchni wraz z resztą służących. Raz czy dwa miał okazję usiąść przy niej po kolacji i posłuchać opowieści

o jakszach. To wszystko. Jednak teraz zabrał się do jedzenia z takim radosnym animuszem, że nie chciała mu przerywać, więc westchnęła i rzekła:

– Podaj mi dłoń. – Ujęła jego nadgarstek. – Możesz jeść drugą ręką.

– Jest znacznie lepiej – odparł, gdy wziął duży kęs. – Już nie boli tak bardzo.

– Nie mów z pełnymi ustami.

Wepchnął sobie resztę parathy, wypełniając policzki, i szybko przytaknął. Pochyliła głowę, żeby ukryć uśmiech, i przyjrzała się jego palcom. Paciorek spoczywał na nadgarstku Rukha na mocnym sznurku.

Poczuła falę ulgi. Jego butwienie nie poprawiło się, ale też nie pogorszyło. Skóra pozostawała pomarszczona wokół znajdującego się pod nią zawiązka, ale nie pękała. Koralik ze świętego drewna czynił swoją magię.

– Gdy paciorek ostygnie, przyjdź do mnie od razu – poleciła. – Zanim zrobi się gorzej, Rukh. Nie później.

– Dobra – rzucił spokojnie. – Obiecuję – dodał pod jej stanowczym spojrzeniem.

– Chyba powinienes do nich dołączyć – powiedziała, wskazując pozostałych. – I tak muszę iść się położyć. – Powstrzymała ochotę, by zmierzić jego przycięte włosy. Nie spodobałoby mu się to, skoro widzieli go inni.

– Za chwilę – odparł. Zakołysał się lekko na piętach, patrząc pod nogi. – Prijo. Czy mogłabyś... – Zawahał się. – Czy mogłabyś wyświadczyć mi kolejną przysługę?

– Kolejną przysługę? – spytała z niedowierzaniem. – W sensie, że oprócz załatwienia ci pracy? Masz niezły tupet. – Milczała przez chwilę. – Zależy, co to ma być.

– Proszę, nie wchodź w tym tygodniu na Hiranę.

Czegoś takiego się nie spodziewała.

– Cały ten tydzień?

– Cały tydzień – potwierdził i przełknął ciężko ślinę.

Była to prośba tak absurdalna, że dziewczyna mogła jedynie się roześmiać. Kiedy uniósł głowę, popatrzyła na niego z uniesioną brwią.

– Jak zachowam pracę, jeśli nie będę jej wykonywać, co? Myślisz, że regent zatrzymuje kobiety, które nie przykładają się do obowiązków?

– Powiedz, że jesteś chora. Wtedy nie każą ci się wspinać, a sama mówiłaś, że jego żona jest miła, więc nie pozwoli mu cię posyłać – upierał się Rukh z determinacją. – Proszę, Prijo. Wszyscy mówią, że to miejsce jest nawiedzone. I po tym, co stało się z tobą i Simą...

– To Sima upadła – przypomniała Prija. – Nie ja. I chyba nie prosisz mnie, żebym udawała chorobę, prawda?

– Ona nie jest tobą. To ty wydajesz pieniądze na święte drewno dla dzieci z butwieniem. Nikt inny nie marnuje tak na nas monet. To ty dałaś mi tę szansę. Nie ona, nie ktokolwiek inny. – Mówił z poważnym wyrazem twarzy, tak szczerym, że wydawało się to jednocześnie dziecinne i nazbyt dojrzałe jak na jego małe oblicze. – Prijo, po prostu cię proszę. Zaledwie tydzień. Dopóki deszcze nie osłabną.

– Będzie tu dla ciebie miejsce, nieważne, co się ze mną stanie – powiedziała. Może musiał to usłyszeć, zyskać pewność. – Ale nie zamierzam pozwolić, by stała mi się krzywda. Jeśli będę miała wybór, planuję ci pomagać, rozumiesz? Niektórych rzeczy nie możemy kontrolować, Rukh. Oboje wiemy, jaki jest świat. Dopóki tylko będę mogła cię wspierać, nie przestanę. Ale bez pracy stanie się to niemożliwe.

– Mimo to nie powinnaś tam iść – rzekł uparcie chłopak. Gdy spuścił wzrok, Prija zorientowała się, co próbował ukryć.

Poczucie winy.

– Czy istnieje jakiś inny powód, dla którego nie chcesz, żebym się wspinała? – zapytała ostrożnie.

Rukh przez chwilę nic nie odpowiadał, po czym mruknął niepewnie:

– Bo jesteś dla mnie ważna.

– To bardzo słodkie. Dlaczego jeszcze?

– Powiedziałem ci prawdę. – W jego głosie brzmiało poczucie krzywdy, ale Prija była nieprzekonana.

– Nie myl mojego miękkiego serca z głupotą – oznajmiła spokojnym tonem. – Nie za dobrze idzie ci ukrywanie uczuć.

– To nie jest bezpieczne – powtórzył.

– No, mów – zachęcała go Prija. – Co takiego słyszałeś? Czy służące wymyślają opowieści o groźnych i złych duchach? Nie trzeba ci chyba mówić, że lepiej ich nie słuchać.

Pokręcił głową.

– Nieważne. Wróć teraz do jedzenia.

– Rukh.

Czuła niemal przekonanie, że to nie historie o duchach kazały mu przygryzać wargę i ciągnąć za sznurek na nadgarstku, na którym wisiał paciorek. Nie była jednak pewna, jak to z niego wyciągnąć.

– Powinnaś mnie posłuchać – rzucił z frustracją. Cofnął się o krok. I kolejny. – Powinnaś mi zaufać. Ja ci zaufałem.

– Nie tak działa zaufanie – powiedziała mu skonsternowana.

Gdy spróbowała za nim pójść, zaczął biec i wpadł między drzewa. Jeden z mężczyzn zawołał za nim, ostrzegając go, by wrócił, inaczej później dostanie baty. Nie pojawił się jednak ponownie.

W końcu Prija dała sobie spokój z czekaniem na niego i wróciła do sali sypialnej. Rzuciła się na materac, rozdrażniona i zmęczona. Wpatrywała się w sufit, aż wreszcie niechętnie zasnęła.



Kiedy się obudziła, był już wieczór, powietrze pozostawało jedwabiste od gasnącego ciepła, a Sima siedziała ze skrzyżowanymi nogami na sąsiednim posłaniu, nieubrana, z ramionami wciąż wilgotnymi po myciu. Zszywała rozerwany rękaw swojego ćoli.

– Kiepska sprawa – mruknęła Prija.

– Rozdarło się, gdy upadłam – rzekła Sima. – Dlaczego nie odpoczęłaś wcześniej?

– Szukałam Rukha.

Sima parsknęła cicho.

– No jasne.

– Co to ma znaczyć?

– Nic. On ciebie też szukał – oznajmiła Sima lekkim tonem. – Zrobiłaś coś, by go rozzłościć?

– Dlaczego tak mówisz?

– Najwyraźniej nie chce, żebyś zarabiała na życie. Poprosił, żebym ci to dała. – Sima sięgnęła do materaca i chwyciła coś w dłoń. – Powiedział, że odbierze to, jeśli zwrócisz mu po zachodzie słońca.

– Był tutaj? Kiedy czekałam na niego w sadzie? – Prija jęknęła. – Daj to.

Sima upuściła jej na dłoń paciorek ze świętego drewna wciąż nawleczony na sznurek.

– Głupi dzieciak – rzuciła Prija. – Wie, że powinien zawsze to nosić.

– Ścisnęła koralik mocniej i poczuła na skórze promieniujące z niego ciepło.

– Mój upadek musiał go wystraszyć – uznała Sima.

– Owszem – odparła Prija z frustracją. – Ale mówiłam mu, że umiem o siebie zadbać. W końcu zdołałam cię uratować.

Sima pokręciła głową. Naciągnęła bluzkę na wilgotne ramiona i podniosła sobie włosy znad karku.

– To nie powstrzyma go przed zamartwianiem się – rzekła. – On próbuje cię chronić.

– Jest dzieckiem – skomentowała Prija. – Czy nie wie, że to zadaniem starszych jest chronić jego, a nie na odwrót?

– Skąd miałyby to wiedzieć? – zapytała bez ogródek Sima.

Miała oczywiście rację. Zanim Prija przyprowadziła go do mahalu, nie miał nikogo. Jeśli jego rodzina uprawiała rolę, zapewne umarła z głodu, gdy ich plony zostały przeżarte przez butwienie, a wtedy został sam. Zapewne przybył do Hiranaprasthy bez nikogo, kto mógłby się nim zająć.

– Poza tym – ciągnęła Sima – gdy większość z nas widzi dzieci z butwieniem w takim stadium, odwracamy wzrok. Nie ma sensu płakać nad czymś, czego nie zdołamy naprawić.

– Nawet nad chorym dzieckiem?

– Może zwłaszcza nad nim – mruknęła Sima, wygładzając rękawy. – Jest ich tak wiele, że to nie miałyby końca. Prijo, to miłe z twojej strony, że się o niego troszczysz. To miłe, że robisz te wszystkie drobne rzeczy w mieście, ale gdy ten chłopiec umrze, pęknie ci serce. A umrze.

– Mojemu sercu nic nie dolega – ucięła Prija nieco chłodno. – Nie musisz się o mnie martwić.

Po chwili niezręcznego milczenia Sima znów się odezwała, tym razem łagodniej:

– Daj mu kilka dni. Przystanie się zamartwiać. Poinformuję Gauri, że nie czujesz się dobrze.

Prija rozprostowała palce i popatrzyła na paciorek. Kilka dni. Miało to sens. Ale Rukh prosił, żeby nie wspinała się na Hiranę przez tydzień. Jeśli troszczył się o jej bezpieczeństwo, to dlaczego ustawił limit czasu? Dlaczego nie chciał, żeby zupełnie zrezygnowała z tej pracy?

Coś było nie w porządku. Wiedziała to już wtedy, gdy Rukh wygłosił prośbę. Teraz jednak tylko bardziej się upewniła w swoich przypuszczeniach.

Muszę porozmawiać z Bhumiką, pomyślała. Jej żołądek ścisnęła groza. I to teraz.

– Ile zostało czasu do zachodu słońca? – spytała.

– Niewiele.

Gdyby tylko był z nią szczerzy. Nie sądziła, że jest zdolny do podstępności.

– Zatem po prostu będą musiała go zmartwić – rzekła Prija. Uniosła sznurek i zawiązała go sobie na nadgarstku. – Zwróć mu go rano.

Szybko przeszła korytarzami dla służby – labiryntem stworzonym po to, by przemieszczając się po pałacu, nie przecinali drogi szlachcie. W końcu wyszła na centralny ogród mahalu i skierowała się ku pałacowi różanemu.

Pani Bhumika była kobietą ceniącą sobie prywatność i piękno, co znajdowało odzwierciedlenie w jej komnatach. Zamiast mieszkać w szykownym przepychu mahalu, prowadziła domostwo w pałacu różanym położonym na środku terenów zielonych. Jego wrota były otoczone ukwieconymi pierzastymi liśćmi: skupiskami bieli, burgundu, różu i wspaniałej czerwieni.

Zwykle wejście do pałacu pozostawało szeroko otwarte, a na okazałym dywanie salonu tłoczyły się wysoko urodzone kobiety. Siedziały pod stropem wykładanym szmaragdową mozaiką z klejnotów oszlifowanych tak, by przypominały liście, słuchając muzyki, pijąc wino i zabawiając się we frywolne polityczne gierki, do których Prija nie miała zbytnej cierpliwości.

Jednak dziś wrota były zamknięte, w powietrzu wisiała bolesna cisza, a w wejściu stały tylko dwie osoby. Khalida, starsza służąca o skwaszonej twarzy, rozmawiała z inną kobietą. Ta druga trzymała otwarty kuferek i nawet z odległości Prija mogła dostrzec jego zawartość. Fiolki, cyrkiel kalibrowy. Była lekarką.

Prija zatrzymała się, gdy obie kobiety ją dostrzegły.

– Dziewczyno – odezwała się Khalida – co tu robisz?

– Przyszedłam posprzątać komnaty mojej pani – wyjaśniła Prija, skłaniając z szacunkiem głowę i utrzymując skromny ton.

– Nie dziś – odparła Khalida. – Nasza pani nie czuje się dobrze. Nie ma dla ciebie czasu. Odejdź.

Innym razem Prija przekonałaby ją, przekupiła lub wyblagała u Khalidy, by pozwoliła jej wejść. Kończył się jednak czas do zmierzchu, a lekarka wciąż stała, przenosząc pomiędzy nimi wzrok. Prija wiedziała, że przy nieznamomej nie ma co liczyć na nagięcie zasad, zatem znów skłoniła głowę.

Odwróciła się i odeszła. Usłyszała jeszcze głos lekarki wznoszący się w pytaniu i odpowiedź Khalidy:

– ...jedna z przybłęd naszej pani. To wszystko bosci żebracy, co do jednego. Nie może znieść, że sieroty chodzą głodne. Ale lubią jęczeć o ochłapy.

Mam nadzieję, że szczur zje ci włosy, Khalido, pomyślała kwaśno Prija.

Przybędą. Nie była to nieprawda, przynajmniej nie do końca. Tym bardziej jednak te słowa bolały.



Była to noc pełna cudów. Prija dotarła do podstawy Hirany przed czasem, a Gauri nic nie powiedziała, co oznaczało, że księżniczka nie wspomniała pani Pramili o pomyłce Prii. Na szczęście od kilku godzin nie padało, więc powierzchnia Hirany wyschła całkowicie na słońcu. I choć Mina drżała lekliwie, ona również pojawiła się o zmierzchu – truchtała za pozostałymi z wiązką drewna na opał przypiętą do pleców.

– Poniosę to za ciebie – zaproponowała Prija, ale Mina pokręciła głową.

– Och nie. Poradzę sobie. Ale... czy poniesiesz lampę?

Prija zgodziła się i rozpoczęły wspinaczkę. Księżyc był w pełni, tłusty i lśniący, jego srebrny blask niemal dorównywał mocą lampie. Na szczycie Hirany wartownicy sprawdzili, czy służące nie mają broni, a następnie pozwolili im wejść, zaś Pramila przywitała je swoimi zwyczajowymi chłodnymi instrukcjami, zanim zabrały się do pracy.

Prija zamiatała właśnie kuchenną podłogę z popiołu z paleniska, gdy Gauri złapała ją za rękę.

– Chodź – warknęła kobieta. – Mina znowu zaginęła. Znajdź ją i przyprowadź do mnie. Mogę zrozumieć, że wczoraj się wystraszyła, ale dwa razy z rzędu to już za wiele.

– Tak jest – rzekła z szacunkiem Prija. Odstawiła miotłę i ruszyła w stronę wyjścia z kuchni.

– Powiedz jej, że jeśli zrobi to jeszcze raz, straci pracę. Słyszysz mnie, Prijo? Przekaż jej to!

Prija udała się prosto do triweni, ale Miny nie było widać ani na postumencie, ani gdzie indziej.

Powietrze było czyste i chłodne, a Prija została wyłącznie z własnymi wspomnieniami, liniami na podłodze i świadomością, że po drugiej stronie triweni, oddzielona zaledwie korytarzem, znajduje się więźniarka.

Próbowała nie myśleć o księżniczce, jednak nie potrafiła przestać.

Te oczy. Wyobrazila je sobie i przemknęło przez nią coś nienazwanego. Przez chwilę miała wrażenie, że wpatruje się w ciemne lustro. Jej przeszłość wpatrywała się w nią i przemieniała w coś nowego.

Prija wiedziała o księżniczce to, co wszyscy, i nic więcej. Cesarz Ćandra rozkazał swojej siostrze wspiąć się na stos wraz z jej damami dworu, by złożyły się w ofierze tak samo, jak dawno temu uczyniły to matki płomienia. Jednak księżniczka odrzuciła ten zaszczyt. A teraz znalazła się tutaj.

Ty też niemal spłonęłaś, pomyślała Prija, spoglądając w korytarz. Zupełnie jak ja.

Ten głos. Tak chrapliwy. Te usta formujące słowa w półmroku.

„Jesteś prawdziwa?”

Prześtań być taką przekłętą idiotką, upomniała się Prija.

Jednak zorientowała się, że znów przechodzi przez triweni, ledwo zwracając uwagę na otaczające ją aksamitne nocne niebo czy na sylwetki jakszów wyrte w wielkich kolumnach podtrzymujących strop wysoko ponad nią. Szła w taki sposób, jakby leżący przed nią ciemny korytarz i umieszczona w nim kratownicowa ściana były światłem, ona zaś wyjątkowo głupią ćmą.

– Prijo. – Cichy głos. – Stój.

Głos dobiegł zza niej. Obróciła się.

Stała tam Mina. W zgięciu łokcia trzymała małą wiązkę podpałki. Jej twarz była dziwnie blada.

– Potrzebuję twojej pomocy – powiedziała.

– Co się stało? – spytała z niepokojem Prija. – Jesteś ranna?

– Nie.

– A ktoś inny jest ranny? – Kiedy Mina pokręciła głową, Prija zapytała: – No to o co chodzi? – Mina milczała o uderzenie serca zbyt długo. Prija postanowiła naciskać: – Wróćmy do kuchni. Poproszę Simę, żeby zaparzyła ci kubek herbaty. Coś, co pozwoli ci uspokoić nerwy...

– Wiem, czym jesteś – oznajmiła Mina głosem, który pod koniec zadrżał.

Prii słowa nagle uwięzły w gardle.

– Wiedziałam to w chwili, gdy uratowałam Simę. Gdy się poruszała... było to tak, jakbyś chodziła już po Hiranie, jakby powierzchnia cię znała. – Mina z wyraźnym trudem przełknęła ślinę, po czym dodała: – Jesteś świątynną córką. A przynajmniej kiedyś nią byłaś.

– Mylisz się – odparła Prija.

– Ile razy przeszłaś przez wody, zanim rada zginęła? Jesteś jednokrotnie zrodzona? Dwukrotnie?

– Mino – rzekła łagodnie Prija – coś ci się poplątało. Idź już do kuchni.

– Nic mi się nie poplątało – odparła stanowczo służąca. – Nie mam wątpliwości. Wiem, że jesteś świątynnym dzieckiem. Zostałaś wychowana tu, w tej świątyni. Wychowana tak, by władać naszą wiarą. A później regent spalił was wszystkich, prawda? Ciebie i twoich starszych. Jednak ty jakoś przetrwałaś. Ukryłaś się na widoku. Nie jesteś pierwszą, którą spotykam. On powiedział mi, czego wypatrywać. Wiem to.

Mina przeszła przez triweni. Wzięła Priję za rękę. Jej chwyt był jak z żelaza.

– Spójrz na to – powiedziała Mina pewnie i zaciekle.

Więc Prija spojrzała.

Na lewej dłoni Mino, na wpół ukryty pod rąbkiem sari, znajdował się kształt, który Prija wzięła za podpałkę.

Była to maska. Musiała pozostawać ukryta w zawiniątku, które Mina niosła na plecach. Strażnicy nie zauważyli jej, gdy sprawdzali, czy służące nie wnoszą broni. W końcu nie była to broń, a po prostu drewno, ciemne, powykrzywiane i wyrzeźbione w łuki rozciągające się z centralnego zagłębienia. Niemniej była piękna, była znajoma, a każdy jej centymetr powstał z gałęzi świętych drzew. Teraz gdy znalazła się blisko, Prija czuła jej ciepło, wyraziste niczym uderzenia serca tłoczącego krew.

Maska koronna.

Drewniany paciorek na jej nadgarstku nie mieścił w sobie nawet cienia takiej mocy.

Prija wzdrygnęła się wbrew sobie.

– Rozpoznajesz ją – rzekła Mina, a jej drżący głos przepełniał triumf.

– Nie wiem, o co ci chodzi.

– Proszę, Prijo. Wiesz. Na pewno wiesz. – Mina podeszła o krok bliżej. – Możesz mi pomóc odnaleźć bezśmiertne wody. Musisz mi pomóc. Potrzebujemy ich mocy, żeby uwolnić się od cesarstwa, które zawsze nas nienawidziło, od władców, którzy chcą, żebyśmy korzyli się jak psy za zbrodnię tego, że byliśmy lepsi od nich. – Ścisnęła mocniej maskę. – Tak wiele nam skradli. Nasz język. Naszych starszych. Uznali naszą kulturę za brudną, pozwolili, by morzył nas głód. Potrzebujemy wód, Prijo, wszyscy ich potrzebujemy, zanim będzie za późno.

– Ranisz moją rękę – powiedziała spokojnie Prija. – Puść mnie. Wrócimy do pracy i zapomnimy, że to się w ogóle wydarzyło.

– Nie słuchasz mnie? – Na twarzy Mino malowała się rozpacz. – Ten szalony cesarz spalił nas wszystkich. Musimy być silni. Musimy być

tacy jak kiedyś.

– Słucham cię – odparła Prija, wciąż z opanowaniem – i uważam, że powinnyśmy wrócić do pracy. Chyba chcesz ode mnie czegoś, czego nie mogę ci dać.

Spoza triweni dobiegł dźwięk. Dwie służące przechodziły korytarzem, rozmawiając. Prija zeszytniała i zamilkła. Nie wchodzić tu, pomyślała. Na glebę i niebo, proszę, nie wchodzić.

Przeszły dalej. Ich głosy ucichły.

Mina obserwowała ją bacznie jak drapieżnik spoglądający na zwierzynę. Trzęsła się jednak, jakby przerażona własnymi instynktami.

– Pokaż mi drogę do bezśmiertnych wód – powiedziała energicznym szeptem. – Zdradź mi tylko, jak dotrzeć do wód, a dam ci spokój. Nie będę sprawiać problemów.

– Co masz na myśli, mówiąc o problemach? – zapytała Prija.

Mina przełknęła ślinę. Wciąż spoglądała niewzruszenie.

– Być silną oznacza być bezlitosną – oznajmiła. – Wiem to. I nie... nie boję się. Zrobię, co będzie trzeba.

– Silną – powtórzyła Prija. Och, pamiętała, co to znaczyło być silną, kiedy była dziewczynką. – Chcesz przez to powiedzieć, że będziesz mnie torturować? Że jesteś gotowa mnie zabić, by zmusić mnie do pokazania ci drogi? – Kiedy Mina milczała, Prija uśmiechnęła się do niej ostro, stanowczo. – Zresztą i tak nie miałyby to sensu. Nie znam drogi.

– Nie okłamuj mnie – rzekła Mina, nagle głośno i piskliwie, jakby nie była w stanie się kontrolować. Ścisnęła mocniej. Ach, bolało. – Pytałam innych. Mieszkasz w mahalu regenta, odkąd byłaś dziewczynką. Jeśli ktokolwiek zna drogę, to właśnie ty.

– Mino – odezwała się Prija najspokojniej jak tylko potrafiła, choć galopowało jej serce. – Gdybym miała do dyspozycji moc bezśmiertnych wód, czy sądzisz, że naprawdę harowałabym w domostwie regenta? Czy nie byłabym kimś więcej niż służącą? Pomyśl rozsądnie.

– Sądzę, że jesteś tchórzem – odparła Mina z nagłą zjadliwością. – Sądzę, że z własnej woli chcesz podlizywać się regentowi, i brzydzę się tobą. Nijak mu nie dorównujesz.

Prija nie potrafiła spytać, kim jest ten on, nie była w stanie wykrztusić słowa, ponieważ Mina puściła jej rękę i zamiast tego chwyciła jej twarz. Wbiła ostre paznokcie w żuchwę Prii, zacisnęła palce niczym imadło. Jak na drobną kobietę była silna. W jej oczach widniał chorobliwy błysk.

– Powiedz mi prawdę.

Prija czuła, jak dłoń Miny zaciska się coraz mocniej.

– Mino. Przestań.

Paznokcie wbiły się głębiej.

Kiedy Mina nie przestała, Prija zrobiła jedyną rozsądną rzecz, jaka jej została, i nadepnęła dziewczynie na stopę. Najpierw pięta, a później cała masa ciała. Mina wrzasnęła, jej chwyt zelżał i wtedy Prija złapała dłoń wciąż tkwiącą na jej twarzy. Wbiła paznokcie w nadgarstek Miny i uwolniła się.

Mogła w tym momencie zawołać o pomoc. Jednak Mina dyszała przed nią, ściskając koronną maskę, a wcześniej nazwała ją świątynną córką. Strach sprawił, że w płucach Prii zabrakło powietrza. Pomyślała o swoim bracie, o jego rozwartych z przerażenia oczach w żółtym świetle płomieni. Pomyślała o mroku, wodzie i jego głosie w jej uszach.

Nie płacz. Och, Pri, nie płacz. Pokaż mi tylko drogę.

Mina uniosła maskę.

– Mino – powiedziała Prija ostro – nie rób tego. Nie!

– Zaryzykuję wszystko. Zrobię wszystko – oznajmiła Mina głosem napiętym ze strachu i rozpacz, a także czegoś innego. Czegoś jadowego. – Nie mam wyboru. Nie mogę wrócić bez odpowiedzi. Zatem powiedz mi, już. Proszę.

– Jestem z tobą szczerą. Nie wiem.

W ciszy, która nastąpiła, Prija usłyszała huk odległego grzmotu.

– To był twój wybór – oznajmiła Mina. Jej dolna warga drżała. – Mam nadzieję, że to wiesz.

Nałożyła sobie maskę na twarz.

Prija stała nieruchomo. Czowała chłód wszędzie z wyjątkiem miejsca, gdzie paciorek ogrzewał jej nadgarstek. Obserwowała, jak koronna maska przywiera do skóry Miny. Ujrzała, jak w szczelinach pomiędzy paskami drewna skóra służącej natychmiast się rumieni, przeniknięta żarem. Mina wciągnęła gwałtownie powietrze i podniosła głowę. W przyćmionym świetle jej oblicze było niczym lampa, lśniło silnym wewnętrznym światłem, gdy przelewała się przez nią moc świętego drewna.

Mina podeszła o krok bliżej. Nagle zamarła. Spomiędzy jej zaciśniętych zębów wydostało się syknięcie bólu.

– Zdejmij ją – powiedziała nagłaco Prija. – Mino, zdejmij ją, dopóki jeszcze możesz.

Ale Mina nie zdjęła. Wdychała i wydychała powietrze, zgięta z bólu. Gdy uniosła głowę, skóra pomiędzy paskami drewna była już pokryta plamami, ściągnięta. Maską odcinała się od niej, nabrała perłowego blasku kości obgotowanych z mięsa.

Mina wybrała swoją ścieżkę, postanowiła rzucić się w objęcia śmierci. Prija nie zrobi tego samego.

Pobiegła.

Nie dotarła daleko; ledwo zdążyła obrócić ciało w stronę drzwi triwenu, poczuła uderzenie w plecy, które pozbawiło ją tchu i cisnęło nią na podłogę. Jej dłonie plasnęły w kamień. Po ciele rozlał się ból. Uniosła się na kolana i próbowała wstać.

Mina znów posłała ją na posadzkę skutecznym grzmotnięciem łokcia w kręgosłup. Prija przekręciła się na bok, próbując zrzucić z siebie ciężar drugiej dziewczyny albo... Nie. To nie zadziała. Choć Mina była drobna, miała na sobie maskę ze świętego drewna i Prija czuła już nowe siły w dłoniach przyciskających ją do kamienia, słyszała dyszenie za maską, widziała rozszalałe spojrzenie.

Zamiast tego Prija sięgnęła Minie do gardła, próbując odciąć jej dopływ powietrza na wystarczająco długo, by się spod niej wysunąć. Zdołała oprzeć dłonie na skórze Miny i wbić paznokcie w znajdujące się tam ścięgna, zaś Mina w tym czasie wciskała knykcie w barki Prii, a kolano w jej brzuch. Prija zagryzła zęby, mocniej ścisnęła dłoń i...

Mina przygwoździła jej dłonie do podłogi.

– Nie ruszaj się – poleciła.

Prija próbowała oswobodzić dłonie, przekręcić się na bok, lecz Mina jedynie zaciskała chwyt, aż Prija miała wrażenie, że jej ręce płoną, a kości w nadgarstkach chrzęszczą boleśnie.

– Czujesz, to prawda? – spytała Mina. Mocniej napała, a Prija wciągnęła gwałtownie powietrze. – Spróbowałam bezśmiertnych wód. Otrzymałam ich dary.

– No to nie powinnaś mnie potrzebować – wykrztusiła Prija, po czym obróciła policzek do kamienia podłogi i pozwoliła, by jej ciało zwiotczało. Starła się wyglądać, jakby zrezygnowała z walki. Niech Mina wierzy, że wygrała. Ostatecznie w tym momencie, gdy przygwaździła Prii barki, gdy miażdżyła jej kości, gdy wbijała jej kolano w trzewia, rzeczywiście była zwyciężczynią.

Mina również zdała sobie z tego sprawę i przestała tak mocno napierać. Nachyliła się bliżej – na tyle blisko, by Prija poczuła jej skórę pachnącą zgnilizną, spalenizną i dymem.

– Tylko skosztowałam – wyznała Mina. – I nie ze źródła. Jedynie łyk z fiołki. Nie więcej. I to nie... – Przez jej zaciśnięte dłonie przebiegł spazm. Jej skóra rozgrzewała się coraz bardziej. – To nie wystarczy.

Prija znowu spróbowała się wyrwać. Nie zdołała.

– Zdradź mi drogę – powiedziała ciężko Mina. – Nie zostało mi wiele czasu.

– Maska cię zabija.

– Daje mi siłę, której potrzebuję. – Słowa Miny wydawały się pewne, jednak dziewczyna miała czerwone oczy i niemal nie mrugała. Wiedziała, co się z nią dzieje. – Bezśmiertne wody zabijają mnie głodem. Maska zabija mnie mocą. A mnie... to nie obchodzi. – Mówiła teraz w urywany sposób. – Ale potrzebuję odpowiedzi. Dla dobra Ahiranji i innych takich jak ja, którzy pragną ją uratować. Muszę poznać drogę.

– Nie znam drogi, ty idiotko. Ty... biadolący bachorze. Nazwałaś mnie świątynną córką. Wiesz, czym jestem. Nie przyszło ci do głowy zastanowić się, dlaczego tu przychodzę, tak jak ja powinnam zastanowić się, dlaczego ty tu przychodzisz? – Prija wykrzywiła szyję i z bólem uniosła odrobinę głowę. – Ledwo cokolwiek pamiętam. Och, istotnie, przeszłam przez wody. Jestem jednokrotnie zrodzona, ale gdy patrzyłam, jak moje rodzeństwo i starsi płoną, straciłam wszystko. Jestem uszkodzona. Mój umysł... – Prija urwała, obawiając się, że zrobi coś głupiego, na przykład roześmieje się z umierającej, wiszącej nad nią kobiety, która wydawała się gotowa, by połamać jej nadgarstki. – Nie potrafię ci pomóc. Sama starałam się sobie przypomnieć. Przyszłam tu i pomyślałam: teraz spróbuję. Ale być może nigdy mi się to nie uda z powodu twojej lekkomyślności. Jedyne osoby, które mogłyby pokazać ci drogę, już nie żyją.

– Nie. – Głos Miny drżał niczym płomień. Miała rozszalałe spojrzenie. – Nie, nie!

Jej chwyt nieznacznie osłabł, uwaga się rozproszyła. Prija zaryzykowała.

Uderzyła czołem w głowę Miny tak mocno, że załomotało jej w czaszce, a skóra zapiekła ją od żaru świętego drewna. W chwili, której Mina potrzebowała, żeby otrząsnąć się z szoku, Prija zdołała podnieść jedną dłoń i szarpnąć za maskę.

Niezdarnie drapała ją paznokciami, wciskała palce między gorejący żar drewna a spieczone ciało Miny. Poczowała pod opuszkami coś śliskiego i zbyt ciepłego. Uświadomiła sobie z grozą, że skóra wokół oczu Miny spaliła się do mięsa i kości. Mina wydała z siebie straszliwy wrzask, który wzniósł się do wycia odbijającego się echem po całym triweni, po jego kolumnach i szczelinach, przedzierającego się przez napór deszczu, który zaczął padać.

Prija pchnęła ją w tył. Podniosła się na nogi. Opuszki palców miała pokryte pęcherzami. Mina wciąż wiała się na podłodze, ale Prija słyszała

w korytarzu kroki, ujrzała w przejściu Gauri i Simę, które nagle zastygły w bezruchu i otworzyły usta.

– Wyjdźcie stąd! – krzyknęła Prija. – Idźcie!

– Powiedzcie mi – powiedziała chrapliwie Mina, wstając. – Jedna z was. Proszę.

Gdy Sima ujrzała oblicze Mino, krzyknęła i zakryła swoją twarz dłońmi. Cofnęła się o krok.

– Mino – spróbowała Prija – przestań. One nic nie wiedzą. Mino, przestań.

Ale dziewczyna nie słuchała. Ruszyła z szaleńczą koncentracją kogoś, kto znalazł się na skraju śmierci i desperacji, przemknęła po podłodze i chwyciła Gauri za ramię. Gauri wrzasnęła, gdy została wciągnięta do triweni i rzucona na kolumnę. Laska starszej służącej upadła ze stukotem na ziemię. Gauri szarpała się bezskutecznie w uścisku. Mina oddychała tylko, o nic nie pytając, spoglądała jedynie przekrwionymi oczyma.

Gauri zaskomlała. Osunęła się w przód.

Krzyżąc z furią, Prija skoczyła Minie na plecy. Wykrzywiła jej głowę w bok i znów wsunęła palce pod krawędzie obluźowanej maski. Gdy Mina nawet nie drgnęła – na głębę i niebo, czy straciła zdolność odczuwania bólu? – Prija mocno pchnęła ją do przodu i dociskając Gauri do kolumny, raz za razem uderzała głową Mino w kamień. Następnie puściła dziewczynę, która zwiotczała, ale tylko nieznacznie.

– Uciekaj! – warknęła Prija do Gauri. Starsza służąca zatoczyła się, upadła i podniosła z powrotem, gdy Sima chwyciła ją za ramiona i odciągnęła.

– Straż! – wrzasnęła Sima. – Straż, pomocy! Pomocy!

Mina znów odetchnęła, długo, tak że oddech przeszedł w głuche rżenie. Obróciła się z prędkością błyskawicy. Chwyciła Priję za gardło. Podniosła.

Stopy Prii nie dotykały podłogi. Płuca bolały ją i piekły, nie mogła ruszyć rękoma, choć próbowała je podnieść. Traciła kontrolę nad swoim ciałem. Miała wrażenie, że spowija ją wata.

Płuca bolały coraz bardziej. Przed oczyma robiło jej się czarno. Jednak ta ciemność była złożona i pełna faktur, falowała niczym bezświetlna rzeka. Gdy dłoń Mino zacisnęła się odrobinę mocniej, Prija poczuła, jak mrok się rozwiera.

Poczuła wodę u stóp, trzy rzeki łączące się wokół jej kostek, wirujące wokół nóg. W otępiającej ciemności dostrzegła cień swojego brata, nakreślony w czerwieni przez żyły pod jej powiekami. Poczuła

dawne wspomnienia jazgoczące niczym dzwony, rozbrzmiewające o siebie nawzajem: starsza świątynna siostra sprawdzająca jej tolerancję na ból, zanurzająca jej dłoń w coraz gorętszej wodzie na oczach starszych; mały Mandi, jej świątynny brat, pomagający jej układać kwiaty i owoce w kapliczce umieszczonej w ściennej wnęce oraz podkradający soczysty kawałek jędrnego, złotego mango; pielgrzymi leżący nieruchomo przed zamaskowanymi starszymi, błagający o pamiątkę dawnej chwały Ahiranji. Wszystko, co straciła. Części niej.

Wokół siebie słyszała Hiranę, która śpiewała, czekała, oddychała dla niej. Musiała tylko... Musiała tylko...

Otworzyła raptownie oczy.

Prija zacisnęła dłonie na nadgarstku Miny, a linie na podłodze triweni falowały i przesuwały się. Na chwilę pozbawiła zamaskowaną dziewczynę równowagi, dzięki czemu zdołała się oswobodzić i wbić zaciśniętą pięść w żołądek Miny. Gdy ta się zgięła, Prija znów ją grzmotnęła, posyłając na ziemię.

Prija rzeczywiście była jednokrotnie zrodzona i maleńki kłębek pamięci, który odzyskała, wystarczył jej, by skłonić Hiranę, żeby poruszała się wraz z nią. Kamień świątyni nieustannie przesuwał się pod stopami Miny niczym cofające się fale, spychając ją stopniowo na skraj triweni, w miejsce otwarte na zewnętrzny świat. Gdy Mina się zatoczyła, Prija pochyliła się, żeby podnieść laskę Gauri. Minęło ledwie kilka sekund, ale miała wrażenie, że wraz z wypuszczonym oddechem uciekają jej całe epoki.

– Nie masz pojęcia, co znaczy siła – mruknęła. Mówiła głosem chrapliwym, ale spokojnym. Cieszyło ją to. – Nie masz pojęcia. Ale ja się tego nauczyłam. Wiem, co to znaczy nieść w sobie wody.

Wyciągnęła przed siebie laskę Gauri. Jej końcem dotknęła piersi Miny. Nie spuszczając z niej wzroku, powiedziała:

– Idź dalej.

Wreszcie. Wreszcie! Hirana znów do niej przemawiała. Odpowiedź, jaką jej przekazała, gdy dziewczyna znajdowała się na jej zboczu, była pomrukiem śpiącej istoty. Teraz natomiast rozlegał się głos czegoś rozbudzonego. Ledwie szept, ponaglenie, ale wystarczył.

Mina poruszyła się. Wykonywała powolne, niepewne kroki w tył, wciąż w tył, gdy Prija popychała ją laską w kierunku krańca triweni, gdzie przechodziło w nierówny, pełen śmiertelnych pułapek kamień Hirany. Mina zatrzymała się, gdy jej pięty dotknęły krawędzi.

Wpatrywały się w siebie. Padał deszcz.

– Proszę – wyszeptała Mina.

– Kim on jest? – Dłonie Prii były wilgotne od potu i deszczu. Słyszała krzyki zbliżających się osób. – Kim jest ten świątynny syn, który dał ci posmakować bezśmiertnych wód? Który skazał cię na śmierć?

Prija nie widziała przez maskę wyrazu twarzy Miny. Poczuela jednak, gdy dziewczyna wyrwała się z szoku, gdy naparła naprzód. Laska Gauri wykrzywiła się pomiędzy nimi, a z ust Miny dobiegł zacieklej okrzyk, gdy znów próbowała zacisnąć dłonie wokół gardła Prii.

Prija upuściła laskę i chwyciła Minę za przód ćioli. Szał, który czuła, był wszechogarniający. Jak ona śmiała.

– Hirana cię nie oszczędzi – rzekła wściekle. – Nie jesteś godna.

I wtedy obu rękoma mocno pchnęła Minę.

Dziewczyna spadła, nie wydając już żadnego dźwięku.

Prija stała jak wmurowana, wciąż wyciągając przed siebie ręce. Wciągnęła z sykiem powietrze. I jeszcze raz. Szał, który wcześniej ją ogarnął, teraz raptownie ją opuścił. Dłonie zaczęły jej drżeć.

Och, na duchy. Co ona zrobiła? Co się właśnie wydarzyło? Wciąż galopowało jej serce, ale nie czuła swoich kończyn.

Opuściła dłonie. Obróciła się.

W wejściu do północnej komnaty stała więźniarka. Obserwowała ją.

Księżniczka była wyższa, niż Prija się spodziewała. I szczuplejsza. Absurdalnie było myśleć o czymś takim teraz, gdy życie Prii było już skończone – zamordowała inną kobietę przed siostrą cesarza i mówiła o bezśmiertnych wodach. Jednak księżniczka była wysoka i szczupła, a choć wciąż miała zaczerwienione oczy, stała zupełnie nieruchomo, nawet nie mrugając, zaś jej usta ściągnęły się w gładką, nieodgadnioną kreskę. Wyglądała, jakby zupełnie nie odczuwała strachu.

Czy księżniczka widziała, co zrobiła Prija? Czy słyszała, co zostało powiedziane? Nie wyglądała, jakby sądziła, że Prija może ją zabić, i przez jedną szaleńczą chwilę dziewczyna zastanawiała się, czy nie powinna tego zrobić. Nikt nie mógł się dowiedzieć, kim była. Jednak drżała, nie potrafiła, nie mogła.

Do triweni wpadli wartownicy, za którymi widać było służące. Następnie pojawiła się Pramila z nagą klingą w dłoniach.

– Księżniczko Malini!

Pole widzenia Prii wciąż okalała czern. Nie była w stanie myśleć. Nie była w stanie oddychać. Ach, na duchy w górze i w dole, zdawała sobie sprawę, co oni wszyscy widzieli i jak bardzo ją to obciążało. Ściany poznaczone krwią. Prija, byle służąca, która krwawiła. Księżniczka. Księżniczka...

– Pramilo – wydyszała księżniczka.

Prija obserwowała w otępieniu, jak twarz Malini wykrzywia się w płaczu, jak policzki nagle pokrywają jej się czerwonymi plamami. Księżniczka niezgrabnie zacisnęła dłoń na skraju swojej chusty, jakby próbowała naciągnąć ją na twarz, by ochronić się przed wzrokiem mężczyzn, którzy stali z wyciągniętą bronią i wgapiali się w nią. Puściła jednak tkaninę. Drżała jej dłoń. Nagle rozdzwoniły jej się zęby, jakby dopiero teraz ogarnął ją szok. Księżniczka osunęła się na drzwi.

– Pramilo, ach!

Dama Pramila upuściła broń i podbiegła do boku księżniczki, po czym chwyciła ją za ramiona.

– Ty tam – warknęła do jednego z wartowników. – Aresztuj tę służącą. Już.

Mężczyzna przeszedł przez triwien i brutalnie złapał Priję za rękę. Prija ugryzła się we wnętrze policzka. Nie spoglądała na Gauri ani na Simę. Nie zamierzała pokazać, jak bardzo się boi.

– Ona uratowała mi życie – wykrztusiła księżniczka. Spoglądała na Pramile, mrugając raz za razem z przerażoną, szczerą twarzą. – Ta służąca... mnie ocaliła. To była skrytobójczyni, a ona zaryzykowała dla mnie własne życie, a ja... Ach, Pramilo, nie mogę oddychać! Nie mogę oddychać!

Osunęła się Pramili w ramiona. Choć była taka szczupła, jej ciężar pociągnął starszą kobietę na podłogę. Zaś Prija mogła jedynie gapić się z otwartymi ustami, gdy wszyscy pospieszyli księżniczce na ratunek. Strażnik zwolnił uścisk na jej ręku, uspokojony kłamstwem.

Szum deszczu ściągnął go z powrotem do ciała. Aśok usłyszał, jak bębni stoma tysiącami opuszek w glebę. Usłyszał, jak wybija niską, głuchą pieśń w otaczającym go lesie. Odetchnął głęboko i powoli, jakby nawijał i rozwijał linę. Zorientował się, że pada już od jakiegoś czasu i wybudził go nie tylko dźwięk deszczu. Czuł dziwny ból wzdłuż kręgosłupa, a w gardle i oczach zalegał mu ciężar, widmo wyrzutów sumienia, na których odczuwanie nie mógł sobie pozwolić. Żadnych łez. Mężczyźni nie płaczą.

Ale Mina nie żyła.

W sangamie, miejscu leżącym poza ciałem, czuł, jak odchodziła. Czuł ból krwistego żaru maski roztapiającego skórę na jej twarzy, czuł, jak jej ciało ześlizguje się w śmierć. Jej strata ciążyła mu na barkach.

Wyszkolił ją, nauczył, jak walczyć z innymi dziećmi pazurami i zębami, jak posługiwać się klingą, jak zadawać ciosy i rozcinać ludziom tętnice. Nauczył ją tego, co Paridżatczycy wysączyli z kości Ahiranyjczyków. Zasiał w niej świadomość, że wolność Ahiranji jest warta każdej ceny.

A później dał jej fiołkę z wodą i pozwolił dokonać wyboru. Zupełnie jakby jej natura, starannie uformowana żałobą, szkoleniem i ciężką pracą, mogła jej pozwolić wybrać cokolwiek innego.

Stracić taką broń...

Odetchnął i wychylił się do przodu, przyciskając brodę do obojczyków, by złagodzić napięcie wciąż ściskające mu grzbiet.

Choć ciągle lał deszcz, Aśok był suchy. Dobrze wybrał miejsce. Siedział ze skrzyżowanymi nogami w pustym wnętrzu martwego drzewa, w wielkiej skorupie, z której wyskrobano wnętrzności. Wokół niego, na polanie wciąż czarnej i poznaczonej popiołem po spaleniu drzew dotkniętych butwieniem, nie było żadnej podobnej kryjówki. Jego bracia i siostry obozowali w pobliskim zagajniku, lekko osłonięci liśćmi na tyle dużymi, by zatrzymać najgorszy opad. Z tej pozycji byli dla niego niewidzialni, podobnie jak on dla nich.

Cieszyła go ta prywatność. Wcisnął sobie knykcie do oczu, najpierw do lewego, później do prawego, po czym wstał. Pochylił się, by opuścić kryjówkę w pniu, a następnie wyszedł na deszcz, który był czysty, słodki i szokująco zimny.

Pomimo wszystkich porażek Miny w jej śmierci kryła się poezja, która go poruszyła. Najlepiej szła mu wojna – według niego pocałunek klingi na gardle miał w sobie więcej elokwencji niż linijka poematu – siadywał jednak w domach rozkoszy, słuchając, jak poeci snują opowieści o dzielnych buntownikach, jak wplatają je w barwne eposy o Epoce Kwiatów. W przerwach pomiędzy recytacjami zakazanych Mantr Brzozowej Kory wieszczowie wiązali działania zamaskowanej bandy Aśoka z legendarną mocą dawnych świątynnych starszych. Mówili z pasją o tym, jak matki płomienia bezlitośnie wymazały świetlaną przyszłość Ahiranji. Najzdolniejsi poeci potrafili sprawić, że dorośli mężczyźni płakali z wściekłości i żarliwości.

Zastanawiał się, jak potraktują śmierć Miny – bunt na Hiranie, nieudaną walkę z okrutnym regentem?

Będzie musiał rozpuścić tę opowieść.

Nawet jeśli mimo wszystko dotknął go smutek wywołany przez jej opowieść, jej tragedię – nawet jeśli w oczach piekły go łzy za porywczą żołnierką, która bez wahania wybrała śmierć – nie zamierzał przyznawać się do tego przed samym sobą. Niech deszcz zabierze to, czego nie chciał. Niech go wypłucze. Był przywódcą mężczyzn i kobiet, świątynnym synem, który został sprawdzony i dwukrotnie zrodzony. Zaś w sangamie poczuł kogoś innego, czyjaś obecność wyrazistą niczym klinga, skupioną i czystą, która obróciła ku niemu swoje chłodne dłonie i dostrzegła go przez rzekę serca oraz ciała.

Plany. Wiecznie trzeba opracowywać lub zmieniać plany. Nie ma czasu na żalobę.



Kritika czekała na niego pod osłoną szerokich liści, narzuciwszy sobie na głowę długą połę sari. Aśok nie wiedział, od jak dawna tu była.

– Co się dzieje? – spytała.

– Mina do nas nie wróci – odparł. – Nie żyje.

Kobieta gwałtownie wciągnęła powietrze. Jej usta, jej oczy, nawet jej kości wydawały się bardziej ściągać w sobie.

– Zadziałała pochopnie – oznajmił Aśok.

– Jak? – Kritika na próżno wycierała opuszkami palców policzki mokre od łez. – Co zrobiła?

Aśok pokręcił głową. Sangam nie pokazał mu wszystkiego. Nie potrafił. W obrębie jego ograniczonej przestrzeni Aśok mógł czuć bardzo wiele: wspomnienia, emocje, strzępki myśli. Ale Mina nie była dwukrotnie zrodzona. Była ledwie jednokrotnie zrodzona dzięki bezśmiertnym wodom, które spożyła z fiołki. I skontaktowała się z nim dopiero wtedy, gdy zaczęła spadać z Hirany, gdy śmierć stała się nieuchronna. Wszystko, co od niej wyczuł, było wrażeniami, równie mglistymi jak światło przebijające się przez monsunowy deszcz. Ból, topiące się ciało. Błysk przesywających oczu. Szpony grawitacji na jej grzbiecie. Gorzki zwitek niewypowiedzianych słów na jej języku.

Aśoku. Proszę...

Wybacz mi.

Nic z tego nie powiedział Kriticie. Zamiast tego wzruszył ramionami, znów czując, jak spięty żalem jest wciąż jego grzbiet, i rzekł:

– Założyła maskę.

– Myślałam, że to tylko na wyjątkowe sytuacje. Sądzisz, że została odkryta? Zaatakowana?

– Wkrótce się dowiemy. Powiedz Ganamowi, żeby spakował i przeniósł główny obóz.

Ruch oporu przeciwko paridżatdwipańskiej władzy miał rozproszony charakter, składał się z licznych komórek, które nie wykonywały poleceń jednego przywódcy. Jeśli jednak rebelia miała serce, to według Aśoka byli nim właśnie jego ludzie. To oni godzili się stosować przemoc i byli w niej na tyle dobrzy, by przemieszczać się szybko, w ukryciu, by mordować doradców, kupców i cesarskich lojalistów, by powoli podcinać ścięgna podtrzymujące kości cesarstwa. Czasami – na wpół żartobliwie – nazywał główny obóz swoją świątynną radą, jednak

widział wtedy, jak innym rozświetlały się oczy. Ostatnio często rozmyślał o tym, jak użytecznym jarzmem potrafi być opowieść.

Zresztą jego ludzie naprawdę byli swoistą radą, na tyle przebiegłą, że pomagali mu utrzymać sieć szpiegów i sojuszników w szlacheckich domach Paridżatdwipy. Nawet w domostwie regenta, które było irytująco trudno zinfiltrować.

No właśnie. Nie sądził, by Minę przesłuchano, nie mógł jednak mieć pewności. Lepiej przesadzić z ostrożnością, niż patrzeć później na kolejną śmierć w ich gronie.

– Powinnas pójść do mahalu. Sprawdź, czy uda się tam dowiedzieć, jak zginęła.

Kritika przełknęła ciężko ślinę. Pochyliła głowę. Odwróciła się, by odejść, ale Aśok zatrzymał ją, kładąc jej dłoń na barku.

– Ja też ją oplakuję – powiedział.

– Wiem. – Kritika spuściła wzrok. – Nie wątpię w twoje słowa – dodała z narastającą, pełną szacunku intonacją. – Ale...

Urwała. Aśok spojrzał na jej twarz, tak ściągniętą, że nawet widoczne na niej zmarszczki wyglądały jak pasma bólu.

– Powiedz mi – polecił.

– Sarita cierpi – rzekła niechętnie Kritika. – A Bhawanowi... nie zostało już wiele na tym świecie.

Dwoje następnych. Kolejne dwie sztuki broni najpierw wyszkolone, później stracone.

– Zatem tym pilniej musimy odnaleźć bezśmiertne wody. – Wcisnął sobie knykcie w czoło. – Zaczekaj chwilę, Kritiko. Pozwól mi trochę pomyśleć.

Bilans zysków i strat. Sukcesów i ofiar. Stracił Minę, stracił maskę wykonaną ze świętego drewna, stracił parę oczu w generalskim mahalu i przyczółek na Hiranie w zasadzie na darmo. Ta misja składała się wyłącznie z ofiar i strat – żadne sukcesy czy zyski nie równoważyły jej niepowodzenia. Poniósł klęskę.

Jednak gdy był chłopcem, w jego kości wtłoczono prawdy o lojalności wobec większej sprawy, bezlitosnej w swoich żądaniach. Teraz skierował się ku tym prawdom. One również na niego spojrzały, niewzruszone, wszechwiedzące.

Wszystkie klęski rodziły się ze słabości. Taka była prawda. Wiedział, że nie powinien był wysłać Miny do wykonania zadania wymagającego cierpliwości oraz sprytu. Była zbyt pochojna i zacięta, zbyt szczerą. I wiedziała, że umiera. Wiedziała, że oni wszyscy umierają.

Desperacja pozbawiła ją rozsądku. Jako jej przywódca powinien był to przewidzieć.

Ale Aśok pragnął, żeby jej się powiodło. Pragnął tego, ponieważ przypominała mu inną dziewczynę i inne czasy, przypominała stracone nadzieje. Gdyby Mina była choćby jej cieniem...

Opuścił dłoń. Krytyka czekała w milczeniu, czujnie.

– Byłem głupcem – oznajmił wreszcie.

Na sentymenty było miejsce, gdy czemuś służyły, gdy pomagały w dążeniach do wolnej i potężnej Ahiranji, takiej jak niegdyś. Ale nie było miejsca na jego miłość. Krwista czułość miłości była teraz jedynie słabością.

Miłość zwiódła go na manowce i kosztowała Minę życie. Nawet teraz jego słaba natura drżała na myśl o tym, co było konieczne. Nawet teraz przypominał sobie dawno minioną noc, kiedy przyklęknął pod migoczącym blaskiem lamp i położył dłonie na barkach o kostkach delikatnych jak u ptaszka. Na barkach swojej siostry.

Pamiętał, jak ją okłamywał. „Zaczekaj tutaj” – powiedział. „Wróce po ciebie. Obiecuję”.

Patrzyła na niego z taką ufnością. Nigdy nie zapomni tego spojrzenia.

– W domostwie regenta jest służąca. Kobieta imieniem Prija. Powiedz naszemu najnowszemu nabytkowi, że ma mi ją przyprowadzić. Ruch oporu jej potrzebuje.

Już raz próbował ją ocalić. Wypuścił ją. Co jakiś czas wyznaczał lojalne oczy, by ją obserwowały, i dzięki nim widział, jak dorastała bez niego. Uwierzył, że może pozwolić jej żyć w wolności od dążeń, które nieustannie ścisnęły go za gardło. Nie mógł już jednak dłużej okazywać słabości. Wyczuł ją w sangamie. Była przy śmierci Miny. Miała już w sobie siłę, miała tyle mocy – więcej, niż posiadała przez wszystkie te lata, kiedy ją śledził. Mógł ją wykorzystać.

Gdyby tylko podjął decyzję wcześniej. Gdyby tylko powiedział Minie, by się z nią skontaktowała, by się z nią sprzymierzyła. Ale to było już nieistotne. Wciąż istniała droga naprzód. Wciąż mógł wykorzystać dary siostry do własnych celów.

Ahiranja była warta każdej ceny. Nawet niej.

Jako regent Ahiranji Wikram często musiał uczestniczyć w przeciągających się do późna spotkaniach i czasami sprawiało mu to przyjemność. Innym razem stanowiło ciężar. Zdarzało się też, tak jak dziś, że jedno i drugie jednocześnie.

Tego wieczora Wikram bawił się w dyplomatę i zabawiał jednego z niższych książąt Sakety, Prema, który radośnie zaszłył się w burdelu w szemranej okolicy, gdzie pił i dupczył z kilkoma swoimi ludźmi oraz garstką podejrzanych szlachetnie urodzonych kuzynów. Zgodnie ze skomplikowanymi zasadami saketyjskiego prawa rodowodowego Prem uważany był za kuzyna pierwszego stopnia najwyższego księcia, który władał jego miastem-państwem, a zatem posiadał status zbliżony do Wikrama. Pomimo pełnionej funkcji regenta Ahiranji Wikram nie miał w sobie ani kropli szlacheckiej krwi. Wszystko, co zyskał w służbie poprzedniego cesarza Sikandera, było zasługą wyłącznie jego działań jako generała Paridżatdwipy.

Inny niski książę albo członek rodziny panującej z któregoś miasta-państwa mógłby żądać większej służalczości ze strony Wikrama, niż ten gotów był zapewniać, jednak książę Prem był sympatycznym, lekkomyślnym zbereźnikiem i nie sprawiał żadnych kłopotów, nie wymagał niczego poza typowymi uprzejmościami. Odkąd przybył,

odwiedził Wikrama kilkakrotnie i jego towarzystwo okazało się raczej przyjemne, nawet jeśli nieszczególnie pouczające. Potrafił sporo wypić i przy każdej wizycie przynosił ze sobą wyborne saketyjskie trunki z dobrych roczników. Grał w paczisi z wystarczającym wdziękiem, by nie wzbudzać irytacji, miał dopracowane ruchy i rzucał cięte riposty.

Byłby to miły wieczór, podobnie jak wcześniejsze, gdyby nie obecność lorda Santosa. Człowiek ten odmówił gry w paczisi. „Wiem, że inne narody Paridżatdwipy ją lubią – stwierdził szyderczo – jednak w Paridżacie jesteście bardziej wyrafinowani”. Nie tknął saketyjskiego wina ani niczego z bogactwa ahiranyjskich trunków, ustawionych w przepięknie barwionych beczułkach na stole, by mogli się z nich raczyć goście. Zamiast tego zażądał, żeby przyniesiono mu odpowiedni paridżacki alkohol. Nie podzielił się nim z nikim.

Pijąc, wypytywał Wikrama o ahiranyjskie rebelie, które stały się bardziej krwawe od czasu koronacji cesarza Ćandry. Skomentował wysoką liczbę ahiranyjskich służących w mahalu: „Gdyby to był mój mahal, generale Wikramie, wypełniłbym go moimi rodakami” – i zadawał kolejne kąśliwe pytania o harmonogram straży, opierając się na obserwacjach, które przekazywali mu jego zbrojni, rozproszeni pośród sił Wikrama.

Po godzinie bycia jedynym obiektem zainteresowania Santosa Wikram coraz bardziej tracił cierpliwość, zaś księżę Prem atakował wino z niepokojącym entuzjazmem i fałszywym uśmiechem przyklejonym do ust. Mimo to Santos kontynuował.

Właśnie tego mężczyznę przysłał cesarz Ćandra, by węszył po mojej regencji, pomyślał Wikram z histeryczną rozpaczą. Tego bufona. Powinien mu ją oddać. Albo zniszczy Ahiranję w ciągu roku, albo ona zniszczy jego.

Ale Wikram ani nie zamierzał, ani nie mógł tak łatwo zrezygnować z regencji. Od lat utrzymywał w całości ten podzielony naród, płacąc każdą konieczną cenę, by ten przetrwał pod jego władzą. Dopóki cesarz Ćandra nie pozbawi go stanowiska, planował udawać, że nie dostrzega celów Santosa, i robić, co w jego mocy, by utrzymać wszystkie dotychczasowe osiągnięcia.

Fakt, że cesarz na tyle lubił lorda Santosa, by pozwolić mu podważać autorytet Wikrama, nie świadczył dobrze o Ćandrze. Zupełnie nie przypominał swojego starszego brata Aditji, który przynajmniej sprawiał pozory dobrego władcy. Dysponował odpowiednią koterią przyjaciół i doradców wywodzących się ze wszystkich narodów Paridżatdwipy, a zatem pełnym poparciem wszystkich miast-państw. Miał

także poczucie honoru, które powstrzymałoby go przed oddawaniem się czemukolwiek nazbyt ambitnemu.

Szkoda, że odnalazł nową religię i porzucił obowiązki.

– Opowiedz nam o Paridżacie – wtrącił się Prem. – Jak toczy się życie w stolicy? Czy Harsinghar jest tak piękny, jak go zapamiętałem?

– Harsinghar zawsze jest najpiękniejszym z miast – odparł poważnie Santos. – Pałac przechodzi remont.

– Jak to? – zapytał Wikram. Nie ciekawiła go szczególnie architektura, ale potrafił udawać zainteresowanie, jeśli musiał.

– Na cesarskim dworze zostaną postawione posągi nowych matek, żeby można było im dziękować i czcić je ku chwale Paridżatdwipy – oznajmił z dumą Santos, jakby przyłożył do tego rękę.

Trudno było się uśmiechać, słysząc takie deklaracje. Wikram nosił kamyczki modlitewne i modlił się do matek, rankami i wieczorami zapalał dla nich świece w rodzinnej kapliczce. Nie wiedział, jak znaleźć jakiś wspólny teren pomiędzy wersją wiary prezentowaną przez cesarza Chandrę a swoją. Mimo to uśmiechnął się.

– Fascynujące – rzekł Prem, jakby odczuwał stosowny podziw. – A w jaki sposób na dworze zmieści się tak wiele posągów? Czy zostanie powiększony?

Chwila ciszy. Wikram sięgnął po wino i napił się.

– Rzeźby będą przedstawiały wyłącznie matki Narinę i Alori – wyjaśnił Santos. – Pozostałe kobiety otrzymały dar, zostały oczyszczone, ale nie posiadały odpowiednich cech, żeby zostać prawdziwymi matkami płomienia.

Nie były wysoko urodzone, przetłumaczył sobie Wikram. Nie skomentował jednak i nie pozwolił sobie na odrazę. W końcu byłoby to hipokryzją po tym, co sam zrobił.

– Ach, mój błąd – rzucił Prem niefrasobliwie.

Santos uśmiechnął się do niego ściągniętymi ustami z widoczną dezaprobatą, po czym przeniósł wzrok na Wikrama.

– Zmieńmy temat, generale – zaczął. – Chciałbym pomówić o twoich doradcach. Lord Iskar pochodzi z Paridżatu...

– Ach, Santosie – zaprotestował Prem. – Jestem tu, żeby pić i dobrze się bawić, a nie dyskutować o polityce. Nie możemy porozmawiać o czymś innym?

– Dostrzegam, że niezbyt zajmują cię istotne sprawy – rzekł Santos, zupełnie nie starając się ukryć pogardy, co chyba miało sens, jak uznał Wikram ze znużeniem. Subtelność stosowano z konieczności i posługiwali się nią ludzie, którzy wiedzieli, że władzę należy traktować ostrożnie.

Którzy rozumieli, jak łatwo ktoś inny może ją ukraść lub odebrać. Santos miał dostęp do cesarskiego ucha i podzielał toporne przekonania Ćandry o wyższości Paridżatu oraz paridżackiej krwi. Nie potrzebował takich rzeczy jak subtelność. – Niemniej moja rola w cesarskiej polityce jest pierwszoplanowa, książę Premie, i po prostu nie mogę zachowywać się tak jak ty.

– Piastujesz pierwszoplanową rolę w polityce, a jednak cesarz Ćandra przysłał cię tutaj? – skomentował Prem. Czoło Prema zmarszczyło się w wyrazie konsternacji, choć wciąż się uśmiechał, dzięki temu jego oblicze nabrało szyderczego charakteru. – Znalazłeś się bardzo daleko od Paridżatu, Santosie! Poza tym to nie polityka sprowadza ludzi do Ahiranji. – Prem uśmiechnął się, podnosząc kielich. – Tylko przyjemności. Tutejsze burdele są naprawdę wyśmienite.

Na twarzy Santosa pojawiło się coś niepokojącego. Jej szyderczy wyraz nabrał okrutnego zabarwienia. Wikram postanowił interweniować.

– Lord Santos łaskawie zgodził się towarzyszyć księżniczce Malini w imieniu cesarza Ćandry. To wielki zaszczyt. Zrobił to w sposób zasługujący na szacunek.

Uśmiech Prema nieznacznie drgnął, jednak nawet on wydawał się dostrzegać, że lepiej jest nie komentować tematu księżniczki. Santos obrócił się ostentacyjnie, wyłączając Prema z rozmowy.

– Skoro już mowa o księżniczce Malini i jej... kontemplacjach. Istnieją pewne kwestie, które powinniśmy omówić, generale. Cesarz Ćandra chciałby wiedzieć, że jego siostra rozważa konsekwencje swoich decyzji, a jednocześnie pragnie, by najtrudniejszy z jego narodów stał się bardziej uległy. Mam wiele sugestii, które chciałbym przedłożyć w jego imieniu. Niezwykle dobrze znam przemyslenia cesarza w tych kwestiach. Często rozmawialiśmy o Ahiranji.

Wikram nie pozwolił, by na jego twarzy pokazała się złość, ale Prem raczej nie dysponował taką samokontrolą. Książę już wcześniej zmrużył oczy, słysząc zniewagi, jakie kierował do niego Santos – zniewagi zwykłego wysoko urodzonego paridżackiego lorda skierowane do Saketyjczyka książęcej krwi – i w ryzach trzymały go wyłącznie niedbale rzucane przechwałki Santosa o jego bliskości z władcą.

– Masz rację, coś takiego nie mogłoby mnie interesować w polityce – rzucił Prem nadmiernie głośno. – To mój wuj zawsze się nią przejmował, a przecież przed zaledwie miesiącem został usunięty ze stanowiska przez cesarza, nieprawdaż? A może to było przed kwartałem? Liczby nie są moją dobrą stroną, na pewno nie tak dobrą, jak w jego przypadku, ale

pamiętam, jak narzekał, że zostanie stracony. Skazany na śmierć, ot tak – oznajmił radośnie. – Prawdziwy skandal.

– Książę Premie – mruknął Wikram, ale arystokraty nie dało się tak łatwo powstrzymać.

– I nie do końca pamiętam, kto zajął jego miejsce. Ach... – Pstryknięcie palcami. – Chyba jeden z twoich kuzynów. Gratulacje.

Wikram opuścił kielich.

– Lordzie Premie – powiedział – uważam, że jesteś nietrzeźwy.

Żuchwa Santosa drżała z furii.

– Ty zachlany pijaczyno – rzekł tonem sugerującym, że gdyby nie różnica w ich statusie, chętnie użyłby znacznie gorszych słów, a może nawet klingi. – Gdy cesarz Ćandra skończy oczyszczać cesarski dwór i tę przekłętą, zacofaną krainę, niewątpliwie wskaże mu Saketę. Powinno ci to przypomnieć o twoim miejscu.

Prem zerwał się na nogi. Wikram również wstał – spokojniej.

– Pozwól, że wyprowadzę cię, żebyś się przewietrzył, książę Premie. – Nie czekając na odpowiedź, ujął mężczyznę za ramiona i wyciągnął go z pomieszczenia.

Prem nie wydawał się iść chwiejnie. Jeden ze służących regenta w korytarzu popatrzył na niego, bez słów pytając, czy Wikram chciałby, żeby odebrać księcia z jego rąk i odprowadzić do komnaty, w której może dojść do siebie. Wikram nie zareagował. Niezależnie od tego, co się zmieniło, Prem był na tyle istotny, by zasługiwać na jego pełną uwagę. Ostatnim, czego teraz potrzebował, był gniewny list od któregoś ze skrybów najwyższego księcia.

– Przepraszam, przepraszam – powiedział Prem.

– Nie ma potrzeby, lordzie.

– Ile on tu jeszcze zostanie?

– Tyle, ile zechce cesarz Ćandra – odparł Wikram. – A ty?

– Tyle, ile pozwoli moja sakiewka – oznajmił Prem ze śmiechem. – Miałem nadzieję, że zdołamy porozmawiać na osobności. Gdy przyszedłem ostatnim razem, stoczyliśmy wspólną rozgrywkę w paczisi. Chciałbym to powtórzyć.

– Zawsze jesteś mile widziany – zapewnił Wikram, po czym z fałszywą jowialnością klepnął Prema w plecy. Zastanawiał się, czy nie powiedzieć mu, że powinien na siebie uważać. Książę był młody. Rada starszego mężczyzny nie mogła mu zaszkodzić. Sytuacja stała się inna niż kiedyś. Ktoś, kto tego nie dostrzegał, nie pożyje długo.

– Generale, rozumiesz chyba, że grubiaństwo, z jakim traktuje ciebie i mnie, to dopiero początek – rzekł Prem, luźno otaczając ręką

ramiona Wikrama. Zupełnie jakby byli przyjaciółmi. – Niewątpliwie powinniśmy znowu się spotkać, we dwóch, niekoniecznie na gry i wino. Być może jesteś Paridżatczykiem, ale moim zdaniem nie takim, który dobrze się czuje w tej nowej epoce.

Niebezpieczna rozmowa zahaczająca o zdradę. Wikram nic nie odpowiedział. Prem nachylił się bliżej, zniżył głos, wpatrywał się bacznie w regenta. Być może wcale nie był tak pijany, jak generał wcześniej sądził.

– Chodzi mi o to, że cesarz Ćandra zmienia Paridżatdwipę. – Oddech Prema był słodki od anyżu. – Uważa, że ponieważ matki utrwaliły jego dynastię w ogniu, a miasta-państwa pamiętają o swoim długu, będziemy całować po rękach każdego pochodzącego z chowu wsobnego Paridżatczyka, którego sobie ceni. Jednak my, Saketyjczycy, nie zapominamy, że nie jest jedynym potomkiem matek dysponującym prawem do tronu. I przypuszczam, że ty też o tym nie zapominasz, generale. Istnieje inna droga.

Księżę nie był pierwszą osobą, która tak myślała albo to mówiła. A Wikrama niemal kusiło, żeby się z nim zgodzić. Zdawał sobie sprawę, że Prem ma coś do zaoferowania, że chce dokonać jakiegoś targu, wymienić jakieś informacje.

Ale Wikram nie osiągnął swojej pozycji, podejmując niepotrzebne ryzyko.

Jego ostatnie spotkanie ze świeżo koronowanym cesarzem Ćandrą, tuż po śmierci cesarza Sikandera, wypaliło mu się w pamięci. Nowy władca nie zaczął jeszcze wtedy usuwać nieparidżackich doradców ze stanowisk, jeszcze nie nakazał egzekucji starych, szanowanych dwaralskich ministrów wojny albo saketyjskich skarbników, nie polecił spalić szlachcianki ze Srugny oraz księżniczki Aloru. Owszem, zdążył już spalić na stosie słynną kurtyznanę i wszystkie usługujące jej kobiety, ale popularna plotka głosiła, że była ona faworytą cesarza Sikandera, a Ćandra był dobrze znany ze swojej zacieklej odrazy do nieczystych kobiet. Część szlachty uznała to za okrucieństwo, jednak zlekceważyli sprawę, uważając, że można się spodziewać podobnego rozlewu krwi i zamętu, gdy nowy cesarz obejmuje tron.

Nawet nie zaczęli jeszcze wtedy pojmować straszliwych głębin wiary Ćandry ani stopnia, w jakim był jej oddany.

Ćandra zachowywał się sympatycznie, uprzejmie. Uśmiechał się do Wikrama ściągniętymi wargami, łaskawie przyjmował jego ukłony. Zaproponował mu paridżacki szербet z trzciny cukrowej i zmiażdżonych kwiatów, podany przez uroczą służącą. Ćandra wymieniał z Wikramem żartobliwe uwagi. Prowadził lekką rozmowę.

A później rzekł: „Opowiedz mi, jak to zrobiłeś, generale. Opowiedz mi, jak spłonęła świątynna rada. Opowiedz mi, jak zabili dzieci”.

Wikram nigdy nie zapomni wyrazu twarzy cesarza.

Choć służył od wielu lat, uważał, że ludzie nie są z natury okrutni, a każda osoba, do której śmierci Wikram kiedykolwiek przyłożył rękę – nawet świątynne dzieci – zginęła z konieczności. Jednak Ćandra... Ćandra słuchał każdego strasznego szczegółu z blaskiem w oczach i uśmiechem na ustach. I wszystko, co uczynił od tamtego początkowego spotkania, stanowiło potwierdzenie pierwszego uśmiechu, pierwszego błysku zębów, od którego Wikrama przeszedł złowieszczy dreszcz.



„Przydałby mi się taki człowiek jak ty” – powiedział cesarz.

Te słowa. Bijąca z nich rozkosz.

Wikram zrozumiał wtedy, że takiemu człowiekowi nie powinno się wchodzić w drogę.

Prem musiał dostrzec nagle zmianę na jego obliczu, ponieważ jego uśmiech zgasł.

– Generale Wikramie – rzekł – być może posunąłem się za daleko.

– Tak – odparł Wikram. – Obawiam się, że istotnie tak było.

Niemal poczuł ulgę, gdy korytarzem przybiegł strażnik, młody, niedoświadczony, a zaraz za nim dowódca osobistej gwardii Wikrama.

– Księżniczka – powiedział komandor Džiwan. – Zadęto w konchy.

– To była dla mnie przyjemność, księżę Premie – rzekł Wikram. – Być może wkrótce znowu się zobaczymy.

Prem zgodził się uprzejmie, jednak obaj wiedzieli, że Wikram właśnie odrzucił wszelkie wystosowane aluzje.

Nie zamierzał się już nigdy spotykać z saketyjskim księciem.



Wikram wspinał się na Hiraną powoli, z mozołem. Był już zbyt stary na takie wysiłki, a co gorsza, deszcz nie przestawał padać. Idący tuż za nim sługa trzymał mu nad głową parasol, żałośnie nieskuteczny w takiej ulewie. Za każdym razem, gdy trafiał na zagłębienie w powierzchni Hirany, mężczyzna chwiał się, a parasol w jego dłoni drżał i przechylał się.

Przynajmniej towarzyszył mu Džiwan. Dobrze było liczyć na jego obecność, na to, że będzie strzegł jego pleców z łukiem i strzałą w dłoni.

Jedyną drobną przyjemnością była nieobecność Santosa. Zamierzał iść z Wikramem – ale wyraźnie bał się Hirany, a przez wypity alkohol miał problemy z zachowaniem równowagi. Wspinał się przez dwie minuty, po czym dał za wygraną i wrócił na dół. W zastępstwie posłał jednego ze swoich paridżackich strażników, który kroczył za Džiwanem, ściskając linę tak, jakby zależało od niej jego życie.

Wikram nie zadawał sobie trudu, by obawiać się Hirany. Kiedy starsi wciąż żyli, do obowiązków regenta należało pilnowanie świątynnej rady. Co miesiąc jedno z najmłodszych dzieci wprowadzało go na górę, by mógł spożyć posiłek ze starszymi. Nie miał wtedy zbyt wysokiego mniemania o tych reliktach dawno minionych czasów, kiedy Ahiranja

wciąż była potężna; odgrywali jedynie symboliczną rolę. Mimo to uważali ich za osobliwie fascynujących. Byli wobec niego przyjaźni, pokazywali mu nawet drobne magiczne sztuczki, które wciąż potrafili wykonywać, by subtelnie skłaniać powierzchnię Hirany do swojej woli.

Nie obawiał się Hirany. Jednak obawiał się konsekwencji tej nocy.

Skrytobójczyni. Paridżacka księżniczka, wyjąca i płacząca, ogłupiała z przerażenia. Gdyby nie interwencja jednej ze służących – czysty przypadek – cesarska siostra zginęłaby, co przypieczętowałoby wyrok śmierci na samego Wikrama.

Dotarł na szczyt Hirany i strażnicy przy wrotach skłonili się przed nim. Ich dowódca otworzył drzwi i wpuścił go do środka.

– Jest tutaj, lordzie – oznajmił cicho wartownik. – Dama Pramila nie opuściła jej boku.

Weszli do pomieszczenia odchodzącego od zachodniego korytarza. Księżniczka Malini, jedyna siostra cesarza Čandry, króla królów, władcy cesarstwa Paridżatdwipy, klęczała na podłodze i wymiotowała do wiadra.

– Zabierzcie to – wydyszała księżniczka, jedną dłonią odsuwając wiadro, choć niepewnie trzymała się jego krawędzi, by nie stracić równowagi. – Proszę.

– Żebyś zabrudziła podłogę? – dobiegł ponury głos jej więziennej opiekunki. – Nie. Trzymaj je blisko. Dobra dziewczyna.

– Generał Wikram błaga o twoją uwagę, księżniczko – oznajmił strażnik, po czym skłonił głowę i wycofał się z powrotem do korytarza. Zostawił Wikrama samego z kobietami.

Księżniczka uniosła głowę. Miała poszarzałą twarz i wilgotne oczy.

Zanim brat przysłał ją tu, by została uwięziona, odizolowana na Hiranie – *gdzie będzie mogła zastanowić się nad swoimi decyzjami i stanem swojej duszy, podobnie jak ja się nad nimi zastanawiałem, w miejscu pasującym do jej losu*, jak napisał cesarz – Wikram raz ją widział podczas wizyty w cesarskim mahalu w samym Paridżacie. Była uprzejmą i piękną osobą, odzianą w doskonale jedwabie. Królewskie córki nie nosiły koron. Zamiast tego miały na sobie cesarskie symbole: żółte i białe kwiaty jaśminu splecione w aureolę, nagietki i róże, złote i krwawnikowe, świeże i wciąż z kroplami rosy. Przywiązane do podstawy i końca ciężkiego warkocza.

Kobieta, na którą spoglądał teraz, nie przypominała ozdobionej kwiatami paridżackiej księżniczki. Nie przypominała nawet księżniczki, która przed miesiącem przybyła do jego mahalu. Tamta dziewczyna była cicha i posępna, lecz o zdrowym wyglądzie, wysoka i kształtna, z poważnymi ciemnymi oczyma oraz ostrożnym wyrazem ust.

Natomiast osoba, którą miał teraz przed sobą, była chuda i brudna, dyszała histerycznie, skórę miała poznaczoną śladami łez, oczy zapadnięte i przekrwione.

Niech matki płomienia mają go w swojej opiece. Powinien był bardziej przejmować się jej dobrostanem i niech rozkazy cesarza będą przeklęte.

– Księżniczko – odezwał się po dwipańsku, w formalnym języku dworu i ojczystej mowie królewskiej córki – czy zostałam ranna?

– Jedynie wystraszona, lordzie – odparła szybko jej dozorczyńni.

Wikram popatrzył na księżniczkę chwiejącą się na klęczkach, z twarzą zarumienioną od cierpienia.

– Ona potrzebuje lekarza – stwierdził.

– Wcale nie, lordzie – odrzekła Pramila. – Jest delikatnego zdrowia. Potrzebuje jedynie wypoczynku. Lekarstw i wypoczynku.

Wikram nie był przekonany. Zdecydowanie nie był. Jak mógłby być, skoro księżniczka wciąż się trzęsła, jej rozpuszczone włosy były potargane jak u kapłanów, jej ciało stało się brzydko wychudzone?

– Księżniczko Malini – odezwał się znowu – powiedz mi, jak się czujesz.

Dostrzegł, że dziewczyna przełyka ślinę, a później unosi podbródek.

– Skrytobójczyni próbowała pozbawić mnie życia, generale – wychrypiła głosem drżącym niczym płomień. – Mój cesarski brat i władca nigdy nie pozwoliliby na coś podobnego w swoim domostwie.

Ach.

Był świadom ciężaru spoczywających na nim oczu. Z wyjątkiem Dźiwana wszyscy otaczający go strażnicy byli ludźmi Santosa. Zaś Santos miał pod dostatkiem powodów, by donieść cesarzowi o wszelkich niepowodzeniach generała.

Najwyraźniej cesarz Ćandra nieszczęśliwie przejmował się dobrostanem księżniczki. Inaczej nie przysłałby jej tutaj. Niemniej miała w sobie królewską krew i została powierzona opiece Wikrama. Gdyby zginęła z rąk skrytobójczyni podczas uwięzienia w Ahiranji, gdyby Wikram nie zdołał zapewnić jej bezpieczeństwa, gdyby pozwolił, by na jego ziemi przelano cesarską krew...

Cesarz Ćandra nie był znany ze swojej łaskawości. Wikram znów przypomniał sobie głód w jego oczach, gdy władca wypytywał o płonące świątynne dzieci. Takiemu głodowi nie mógł ufać.

– Składam ci przysięgę, córko kwiatów, że dołożę wszelkich wysiłków, byś była tu bezpieczna niczym perła – oznajmił.

Pokręciła głową.

– To nie wystarczy, generale. Jak mogłoby wystarczyć? Och, matki płomienia, ochrońcie mnie. Nie zdołam tu przetrwać samotna i niekochana!

– Księżniczko – wysyczała Pramila – dość. Już cisza.

– Ja... – Twarz dziewczyny posmutniała. – Ja nic tu nie mam. Żadnej służby. Żadnych dam dworu. Żadnych strażników, którym mogłabym ufać. Zostałam wychowana w łagodnych warunkach, generale, ale jestem pewna, że umrę właśnie w takich.

– Księżniczko – rzekł, po czym uklęknął przed nią. Poczuł ból w kolanach. – Twój brat nakazał, żeby trzymać cię w samotności. Zapewnić ci możliwość kontemplacji. Nie mogę dać ci dworu, który dawniej posiadałaś. Byłoby to równoznaczne ze zdradą.

– Jedna osoba do obsługi wystarczy, żeby uspokoić moje serce – wyszeptala Malini. – Generale, ta kobieta, która uratowała mi życie... Czy nie mogłabym dostać właśnie jej? Jest jedynie służącą. Niewątpliwie nie zna niczego oprócz posłuszeństwa. Wątpię, czy nawet posługuje się cywilizowanym językiem. To jakbyś dał mi lojalnego psa. Nie zakłóci moich rozważań. Ale może dzięki temu poczuję się... bezpieczna.

Nie była to nierozsądna prośba.

Jedna służąca. Cóż. Na pewno cesarz nie gniewałby się, gdyby Wikram przydzielił księżniczce jedną prostą dziewczynę z Ahiranji, by zamiatła jej podłogi i pomagała zasnąć w nocy. A lord Santos z pewnością nie sprzeciwiłby się takiemu rozwiązaniu, gdyby Wikram przedstawił je jako sposób na uspokojenie przerażonej dziewczyny. Jedna służąca stanowiła niewielką cenę za uległość księżniczki. Nawet teraz, gdy się na nią spoglądało, można było dostrzec, że wyrównuje jej się oddech. Kolor wracał jej na policzki.

– Cóż mogę zrobić ja, pokorny sługa twojej rodziny – rzekł ostrożnie i miłosernie – oprócz próby zaradzenia twojemu bólowi? Otrzymasz służącą. Obiecuję ci to, księżniczko.



Gdy Wikram porozmawiał już ze strażnikami z Hirany, łkającą księżniczką i swoimi najbliższymi doradcami – a nawet pocieszył żonę, która obudziła się na dźwięk konch i zaraz po jego powrocie prosiła

o wieści o swoich cennych służących – skierował się do prywatnych komnat, stanął na osłoniętym balkonie i przez długą chwilę wpatrywał się w dal, ściskając drewnianą balustradę tak mocno, że trzeszczała w imadle jego dłoni. Służący stojący na baczność przy drzwiach spytał go z wahaniem, czy ma ochotę się przebrać. Jego tunika i dhoti, wykonane z jedwabiu w tak ciemnym odcieniu granatu, że niemal czarne, przemokły, jeszcze bardziej ściemniały od deszczu i potu podczas drogi w górę i w dół Hirany.

– Nie – odparł krótko Wikram. – Przygotuj kąpiel na mój powrót.

Nie chciał mieć na sobie świeżego ubrania do zadania, które go czekało.

Sługa wymruczał potwierdzenie i wycofał się. Wikram opuścił balkon, wrócił do chłodnego wnętrza mahalu i ruszył w głąb budynku. Wkraczał coraz głębiej, mijał wrota i strażników, by dojść do ciemnej klatki schodowej chronionej przez zabarykadowane drzwi i ludzi stojących na straży.

Stał tam Santos. Wikram miał nadzieję, że ten człowiek poszedł spać, ale któryś z jego ludzi musiał poinformować go, gdzie jest generał.

W podziemiach mahalu, przy więziennych celach, czekał na nich kapłan.

– Generale – odezwał się duchowny – podejdz. Jest przygotowana.

Santos skłonił głowę. Choć raz milczał. W obecności kapłana matek wreszcie okazywał stosowny szacunek.

Duchowny miał jasne, zielonobrazowe oczy i znaki nakreślone popiołem na czole oraz podbródki. Był prawdziwym paridżackim kapłanem, a zatem ułożył skrytobójczynię na kamiennej płycie, przykrył ją białą tkaniną i naznaczył jej skórę żywicznymi wonnościami. Naprawił najgorsze skutki jej upadku – wszystkie jej kończyny znajdowały się na właściwych miejscach, choć, jak sądził Wikram, niekoniecznie tak było, kiedy wartownicy znaleźli ją u podstawy Hirany. U jej stóp złożono wieniec kwiatów na wpeł zwiędłych od gorąca.

Kapłani okazywali zmarłym szacunek niezależnie od tego, czy ci na niego zasługiwali, czy nie. Ponadto paridżaccy duchowni szczególnie szanowali kobiety, które odeszły. Tak kazał ich obyczaj.

W świetle lampy Wikram przyjrzał się ciału. Twarzy.

Szybko odwrócił wzrok. Nie dość szybko.

Żadna ilość alkoholu nie zdoła wymazać obrazu tej czaszki. Nie popękała w wyniku upadku. Wyglądała, jakby się... stopiła.

– Maską, którą nosiła, ma w sobie moc – wyjaśnił spokojnie kapłan. Wyciągnął przed siebie dłoń i Wikram dostrzegł, że skóra jest poparzona.

– Jeśli chcesz jej się przyjrzeć, regencie, ujmij ją przez tę tkaninę – dodał, podając generałowi przedmiot. – Ostrożnie.

Przez perfumowaną tkaninę, którą podał mu duchowny, Wikram chwycił drewnianą maskę poplamioną krwią i chrząstkami. Spoglądał w oczodoły, w otwór na usta. Przez materiał czuł bijące od niej gorąco, cieplejsze niż ciało.

– Nazywasz to mocą – mruknął.

– Tak.

– Butwienie?

Kapłan pokręcił głową.

– Ciało tej kobiety jest wolne od nieczystości.

– Zatem co to za przedmiot? – zapytał Santos, zaskakując Wikrama, który zapomniał już o jego obecności. Paridżacki lord miał poszarzałą twarz. – Jakieś ahiranyjskie czary? Myślałem, że ich przeklęta moc zginęła wraz z tymi ich jakszami.

– Nie – odrzekł Wikram, kręcąc głową. – To zapewne tylko wytwór lasu. Tamtejsze drewno zawsze było... niezwykle.

Jeszcze przed pojawieniem się butwienia, pomyślał.

Ze znużeniem uświadomił sobie, ile rzeczy poszło nie tak za jego rządów. Rozpoczęło się butwienie. Świątynne dzieci urosły w siłę. Spłonęły wraz ze swoimi starszymi. Wywoływane przez buntowników niepokoje wzmagaly się nieustannie, w miarę jak z powodu zarazy szerzyły się głód i śmierć, a wieśniacy musieli opuszczać domy przodków. A teraz... to.

– Musi zostać wymierzona sprawiedliwość – oznajmił stanowczo Santos. – Czary... nieważne jakie, stanowią przestępstwo. Ci Ahiranyjczycy uważają, że zdołają przywrócić Epokę Kwiatów. Należy ich ukarać. Muszą nauczyć się, że cesarz Ćandra nie jest słaby.

Wikram przytaknął.

– Buntownicy zostaną przesłuchani i straceni – powiedział. – Pojmanie rebeliantów, którzy stoją za zamachem, zapewne będzie graniczyło z niemożliwością. Najzacieklejsi z nich, zamaskowani, a zatem pozbawieni twarzy, zbyt dobrze umieją znikać w lesie, dokąd nie podąży za nimi żaden rozsądny człowiek. Jednak poeci i śpiewacy, którzy recytują zakazaną ahiranyjską poezję na bazarach i mażą mantry na ścianach, którzy podsuwają wizję wolnej Ahiranji, oni okażą się łatwiejszym celem. Odpowiednimi kozłami ofiarnymi.

Jednak już gdy to mówił, zorientował się, że takie rozwiązanie nie wystarczy. I rzeczywiście wyraz ust Santosa stał się bardziej stanowczy. Lord pokręcił głową.

– Są nam winni więcej, generale – rzekł. – Są winni cesarzowi ofiarę.

Co okaże się wystarczającą sprawiedliwością – wystarczającą ilością krwi, śmierci, cierpienia – dla cesarza, który pragnął spalić własną siostrę?

Co muszę zrobić, by zagwarantować, że moje rządy utrzymają się po wydarzeniach tej nocy?

Wikram pomyślał ponuro o swojej młodej ahiranyjskiej żonie, o jej łagodnych oczach, głupiej, dobrotliwej naturze, o dziecku w jej brzuchu. Jego żonie, która ze swoistą manią opiekowała się sierotami i ofiarami butwienia, która zapewne wprowadziła skrytobójczynię do ich domu, nawet jeśli nieświadomie...

Nie będzie zadowolona z tego, co musiał zrobić. Ale pogodzi się z tym. Nie będzie miała wyboru.

Spojrzał na szczątki skrytobójczyni leżące przed nim na kamiennej płycie, na otwartą skorupę jej twarzy, na nagą, odsłoniętą żuchwę pozbawioną mięsa. Pomieszczenie, pomimo woni wieńca i perfum, wypełniał smród śmierci.

Wikram odłożył maskę na stół.

– Odprawcie nad nią ostatnią posługę – polecił. – Z całym należnym szacunkiem. Rozsypcie popioły. Nie miała żadnej rodziny, która mogłaby je odebrać.

Kapłan skłonił głowę. Rozumiał, jak postępować ze zmarłymi.

– Z całym należnym szacunkiem – powtórzył Santos.

– Czy cesarz by się temu sprzeciwił? – spytał generał.

– Ach, nie – odparł lord. – Nie. Cesarz Ćandra ucieszyłby się, widząc, że dochowano stosownego religijnego obrządku. Przynajmniej buntowniczką zostanie oczyszczona.

Coś, co w zamierzeniu Wikrama było honorowym postępkiem, Santos zdołał zmienić w akt zemsty. I może rzeczywiście nim był. W końcu mieszkańcy Ahiranji woleli grzebać swoich zmarłych. Buntowniczką nie chciałyby zostać spalona.

– Będzie to pierwsze oczyszczenie z wielu – oznajmił Santos. Nie wyglądał już na pijanego ani chełpliwego. Tylko skupionego. W jego twarzy Wikram dostrzegał cień połyskliwego, kruchej zła, które przepełniało cesarza. – Sprawimy, że Ahiranja stanie się czysta, generale. Dla dobra Paridżatu.

Rao nie wiedział, kiedy cesarscy żołnierze zaczęli maszerować przez Hiranaprasthę. Stał w burdelu, oparty plecami o ścianę, w dłoni trzymając na wpół opróżnioną butelkę araku. Na środku pomieszczenia wirowała kurtyzana, obserwowana przez mężczyzn w pijackim upojeniu. Tańczyła pięknie, a każdy ruch jej ozdobionych dzwoneczkami kostek wydobywał żywy, melodyjny dźwięk. Jednak był to mały i podniszczony dom rozkoszy, mający niewiele wspólnego z dużymi różowymi i turkusowymi pałacami stojącymi wzdłuż płynącej przez miasto lśniącej rzeki. Był boleśnie ciasny, sprzedawał tani alkohol, a w jego sali panował taki ścisk, że mężczyźni tłoczyli się ramię w ramię. Człowiek na lewo od Rao od pół godziny wbijał mu łokieć w bok. Rao bolały żebra.

Wolały pić arak, zamiast po prostu opróżniać stopniowo butelkę do kubka sąsiada o ostrym łokciu. Wolały, żeby tancerka już skończyła, a poeta pospieszył się i rozpoczął występ. Choć jednak poeta pojawił się już jakiś czas temu, jego pomocnicy przybywali w odstępach, grupkami. Mieli zastraszone oblicza.

Trzy kobiety, które zwykle go obsługiwały, zostały przeprowadzone przez salę przez mężczyznę, który mierzył groźnym wzrokiem każdego, kto zbyt długo na nie spoglądał. Weszło kilku ludzi

w długich chustach ociekających deszczem, którzy przepchnęli się przez tłum do korytarza prowadzącego do ciasnych pokoików na zapleczu burdelu. Nie dotarli jednak jeszcze młodzi skrybowie – nie widać było żadnych mężczyzn z wygolonymi tonsurami, z oprawionymi rękopisami pod pachami i o palcach poplamionych tuszem, gotowych kopiować słowa poety.

Poeta nie zacznie, dopóki wszyscy nie przyjdą. Nigdy nie zaczynał wcześniej.

Zatem Rao czekał. Udawał, że pije. I obserwował wirującą kurtyzanę.

Zorientował się, że coś jest nie tak, dopiero gdy burdelmama wkroczyła do sali i machnęła obwieszoną bransoletami ręką w stronę muzyków, nakazując im ciszę. Muzyka urwała się nagłym nieharmonijnym potknięciem trzciniowych fletów i cymbałów, gdy grajkowie po kolei niepewnie unosili przed siebie dłonie, widząc jej ponagląjący gest.

Kurtyzana zawirowała po raz ostatni i zatrzymała się, gładko obracając pięty na podłodze wyłożonej szmaragdowymi kafelkami. Plisy jej spódnicy zaszemrały i znieruchomiały. Warkocz zakreślił jej się zwinnie wokół szyi. Nie wychodząc z rytmu – choć nie było już żadnego rytmu, który by nią kierował – klasnęła i skłoniła się, kończąc taniec.

Rao mógł tylko odczuwać podziw. Występ z takim wdziękiem przed zgrają starych pijanych zbereźników był już wystarczającym wyzwaniem, ale zakończenie sześcioczęściowego ahiranyjskiego tańca w trzeciej części wydawało się jeszcze trudniejsze dla kobiety, która ceniła swoją sztukę. Zaś ta kobieta – tańcząca w tej sali trzecią noc z rzędu, za każdym razem wirująca w jawnie wywrotowym układzie, w którym oddawano cześć duchom jakszów, doprawionym akurat odpowiednią liczbą błysnięć biodrem i kostkami, żeby zadowolić klientów – najwyraźniej ceniła ją bardzo wysoko.

– Obawiam się, że na dziś to już koniec, moi lordowie – powiedziała przepaszająco burdelmama, gdy jej dziewczęta przechodziły przez salę i naciągały ciężkie brokatowe zasłony na kratownicowe ściany. Odgłosy miasta natychmiast ucichły. Lekka słodycz nocnego wietrzyku została zastąpiona wonią spoconych mężczyzn, dymu z fajek, perfumowanego olejku i dymu z lamp. – Tego wieczoru żołnierze znowu wyszli.

Pośród zebranych poniosły się pomruki zaskoczenia. Żołnierze nigdy nie zamykali burdeli. Domy rozkoszy stanowiły powód, dla którego Paridżatdwipańcycy przyjeżdżali w ogóle do Ahiranji. Zawsze uważano

ją za bardziej rozwiązłą niż inne części cesarstwa. Ahiranyjczycy nie strzegli tak bacznie czystości swoich kobiet. Dawniej pozwalali nawet mężczyznom wychodzić za mężczyzn, a kobietom za kobiety. Kiedy Rao był jeszcze chłopcem, wraz z przyjaciółmi – co do jednego innymi młodymi szlachcicami z paridżatdwipańskich miast-państw – zdołali dostać w swoje ręce przemycany egzemplarz zakazanej ahiranyjskiej poezji religijnej, czyli Mantr Brzozowej Kory. Śmiali się i żartowali, wykpiwając tekst i siebie nawzajem, by ukryć zażenowanie, kiedy czytali dość wyraziste, lubieżne opowieści przemieszane z poematami o tym, jak jakszowie podbijali naród za narodem, kąpiąc je we krwi.

Dopiero gdy przybył do Ahiranji, gdzie fragmenty z Mantr Brzozowej Kory malowano na ścianach i recytowali je poeci, wykorzystujący burdele jako przykrywkę dla rozpowszechniania propagandy politycznej, zrozumiał, że to, nad czym rumienił się z kolegami, stanowiło źródło wiary i czci dla Ahiranyjczyków, którzy na jednym wierszowanym oddechu łączyli opowieści o uwodzicielskich istotach z kwiatów i ciała, o dwóch mężczyznach pokładających się ze sobą oraz o chwale towarzyszącej podbojowi świata.

Pomruki niezadowolenia, które jeszcze przed chwilą rozbrzmiewały w tłumie, szybko ucichły, w miarę jak dezorientacja ustąpiła ostrożności i strachowi. Mężczyźni podnosili się. Zaczęli wychodzić. Skoro burdel się zamykał, to musiało wydarzyć się coś strasznego. Lepiej znaleźć się w bezpiecznym miejscu, niż czekać, aż żołnierze sami poinformują, w czym rzecz.

Rao przez chwilę się nie ruszał. Burdelmama również stała, patrząc na wychodzących ludzi. Wydawała się w miarę spokojna, ale gdy zaszuwały się zasłony, skóra wokół jej oczu również ściągała się coraz bardziej. Ponad jej górną wargą perlił się pot.

Bała się.

Może wystarczającym powodem do strachu było to, że pozwalała swoim dziewczętom na wywrotowe tańce i użyczała salę ahiranyjskim poetom? Rao miał jednak wrażenie, że obawa na jej obliczu była zbyt rzeczywista, zbyt nagle, żeby mogła wydawać się wydumana.

Powinien był wtedy wyjść. Rao należał jednak do wyznawców bezimiennej wiary i rozumiał świętą moc instynktów – zdawał sobie sprawę, że świadomość ciała może być darem od bezimiennych, prorocstwem zapisanym w dudnieniu serca lub w chłodzie strachu spływającym po kręgosłupie. Wówczas to poczuł: swoiste złowieszcze przeczucia. Nie do końca strach. Nie do końca ciekawość.

Mógł tu zdobyć wiedzę, jeśli zechce po nią sięgnąć.

Zamiast opuścić burdel, przeszedł przez salę i wkroczył do korytarza prowadzącego do salonu poety.

Nie było tam nikogo, kto mógłby go obserwować, mimo to celowo szedł chwiejnym krokiem. Zataczał się niezdarnie jak pijak. Wiedział, że wonieje tytoniem, opium i winem. Miał rozpiętą kurtkę, włosy w nieładzie. Nie widać było po nim żadnych oznak pozycji: na rękach nie miał czakramów w formie bransolet, na szyi nie wisały mu naszyjniki z perłami, nie miał pięknego niebieskiego alorskiego turbanu ani szeregu sztyletów przy pasie. Zamiast tego nosił prosty naszyjnik z kamyczków modlitewnych, pestek owocowych wypolerowanych i połączonych srebrnymi strzałkami, taki sam, jak wszyscy paridżaccy mężczyźni. I tym właśnie był. Nie bezimiennym księciem z Aloru, zrodzonym z przepowiedni, ale wysoko urodzonym z Paridżatu, bogatym, głupkowatym i mającym solidnie w czubie.

Zatrzymał się, osunął na podłogę. Zamknął oczy.

Nasłuchiwał.

Żołnierze w pokoju, płacz kobiet, mężczyźni pomrukujący cicho. Żołnierze zadawali pytania, a jeden z mężczyzn – nie poeta, bo Rao znał jego głos – wyklócał się.

– Jesteśmy uczonymi, proszę panów, i artystami. Nie jesteśmy buntownikami, my tylko omawiamy idee.

– Nikt nie mówił, że jesteście buntownikami – odparł żołnierz, na co jedna z kobiet zanosła się jeszcze głośniejszym płaczem.

Poeta i jego poplecznicy oczywiście byli swego rodzaju buntownikami. Sam słyszał w tym pomieszczeniu, jak mówili o secesji i oporze za pośrednictwem paridżackiej poezji – stosowali metafory z różą i cierniem, z trującym oleandrem, z ogniem i miodem, obracali język paridżacki przeciwko niemu samemu.

Pomyślał o kłamstwach – i prawdach – którymi musiał zapłacić, żeby poznać ich sekrety. O niezgodzie wśród ahiranyjskich wysoko urodzonych. O niciach niepokoju, które łączyły ich samych, a także ich kupców, wojowników, garnarzy i uzdrowicieli. O tym, jak pomyłki, które popełniano w sprawie butwienia, śmierć rolników, zakaz i deprecjonowanie ahiranyjskiego języka oraz literatury – jak wszystko to razem wzięte doprowadziło do nasilenia działań nieznaney liczby zamaskowanych, zbrojnych buntowników, którzy z celową brutalnością mordowali paridżatdwipańskich urzędników oraz kupców. A także o jeszcze większej rzeszy poetów i śpiewaków, którzy szerzyli obraz wolnej Ahiranji.

Poeta i jego zwolennicy nie byli zamaskowanymi rebeliantami z ahiranyjskiego lasu. Stanowili jednak duszę ruchu oporu przeciwko Paridżatdwipie, byli powiązani z wysoko urodzonymi założycielami i Rao dotąd żywił nadzieję, że będą użyteczni.

Teraz niestety ta nadzieja miała lec w gruzach.

Odgłos. Rao uniósł głowę.

– Ej, ty tam – zawołał żołnierz. Miał na sobie paridżacką biel i złoto, a także symbol regenta na turbanie. Stawiał ciężkie kroki solidnymi butami. – Co tu robisz?

Rao nie słyszał, jak mężczyzna się zbliżał. Być może wypił nieco więcej araku, niż przypuszczał.

– Sz...szukam drogi na zewnątrz – wybełkotał. – Proszę pana.

Widział, jak żołnierz rozważa stojące przed nim możliwości: zostawić pijaka, na którego natknął się w korytarzu, i pozwolić, by został wyrzucony przez jednego z bardziej się do tego nadających burdelowych strażników, czy też zaciągnąć go do salonu i przesłuchać wraz z poetą i jego poplecznikami? Rao widział, jak w wojaku gaśnie zainteresowanie nim. Był pijanym głupcem, nie miał w sobie nic charakterystycznego – zadbał o to – zresztą jakie istniało prawdopodobieństwo, że Paridżatczyk będzie wmieszany w ahiranyjski ruch oporu? Pewnie by się zrzygał albo rozplakał. Znacznie lepiej dać sobie z nim spokój.

Rao czknął pijacko i spróbował wstać. Żołnierz wywrócił oczyma, wymruczał pod nosem coś nieprzyjemnego i odwrócił się, by odejść.

Za nimi, w salonie, wrzasnęła jakaś kobieta. Jeden z mężczyzn zaczął krzyczeć, po czym nagle ucichł, a do korytarza dobiegł odgłos uderzenia. Rozbrzmiewały w nim ciało, metal i krew.

Żołnierz odruchowo sięgnął po miecz. Znów popatrzył na domniemanego pijaka. Szok wywołany hałasem sprawił, że Rao wyprostował się i otworzył szeroko oczy. Trzymał się zdecydowanie zbyt stabilnie.

Wojak zmrużył oczy.

– Ej, ty – odezwał się. – Wstawaj.

Rao przelknął ślinę. Poszukał w sobie bełkotliwości, której potrzebował jego głos.

– C...co...

Nie zdążył udać nic więcej. Żołnierz chwycił go za ramię i szarpnął go w górę tak nagle, że gdyby Rao z natury nie był zręczny, wojak zwichnąłby mu bark. Zbrojny pociągnął go przez korytarz do salonu.

Rao został ciśnięty na podłogę. Zamierzał właśnie podeprzeć się dłońmi, gdy jego nos zderzył się z kamieniem posadzki. Kiedy spróbował

się podnieść, pchnął go z powrotem w dół but tego samego zbrojnego, który go znalazł.

Spojrzało na niego kilkanaście par oczu: kilku cesarskich żołnierzy regenta w bieli i złocie oraz z szablami przy pasach, garstka przerażonych kobiet tulących się do siebie, kilku mężczyzn wciąż w chustach, z czego jeden na ziemi z poderżniętym gardłem, leżący w powiększającej się kałuży krwi.

Oraz poeta. Baldew. Był to starszy mężczyzna, przysadzisty w sposób możliwy tylko dla bogatych, z kanciastą żuchwą i wyrazistym orlim nosem. Jego szlachetna twarz zastygła w grymasie furii i strachu.

– Znalazłem go na zewnątrz – poinformował szorstko wojak, który przywłókł tu Rao.

– To jeden z waszych? – inny żołnierz spytał Baldewa.

Poeta spojrzał na Rao.

Rao pomyślał o tym, jak stopniowo szykował dla siebie miejsce w tych spotkaniach, jak powoli przekonywał jednego ze zwolenników Baldewa, żeby wystosował dla niego zaproszenie. Pomyślał o pytaniach, które zadawał poecie, gdy jego nieufność nieco stajała i niechętnie uznał, że Rao nie kieruje się złymi zamiarami, że jest po prostu tym, za kogo się podaje: Paridżatczykiem o akademickich zamiłowaniach, wzniosłych ideałach i pragnieniu oswobodzenia Ahiranji.

Pomyślał o tym, co Baldew mu wyjawiał. O sekrecie po części zdradzonym podczas poprzedniego spotkania w salonie.

„Znam kogoś, kto może być w stanie ci pomóc”.

– Nie znam tego człowieka – rzekł Baldew, przyglądając się Rao z wyraźną pogardą.

– Jesteś pewien?

– Nie przestaję z ludźmi, którzy nie pochodzą z mojego ludu – oznajmił poeta. Miał dźwięczny, grzmiący, aksamitny głos stworzony do poezji i polityki. Teraz wlewał w niego starannie odmierzoną niechęć do pijanego Paridżatczyka leżącego na podłodze i do otaczających go żołnierzy. – Ten dom jest pełen zdeprawowanych paridżackich zboreźników takich jak on. Nie krępujcie się, aresztujcie ich wszystkich. Chętnie zobaczę, jak moja ojczyzna się od nich uwalnia. Nie jest moim uczniem.

Kobiety i mężczyźni starannie unikali spoglądania w jego kierunku. Rao odwzajemnił przysługę i wpatrywał się w podłogę.

– Dobrze – powiedział inny wojak. Mówił łagodnie, ale srebrny otok na jego ramieniu wskazywał, że jest dowódcą. Patrzył niewzruszenie.

– Mam dla ciebie kilka prostych pytań, poeto. Odpowiedz na nie w niewinny sposób i będziesz mógł odejść.

– O proszę, zagadka? – odparł Baldew. Rao podniósł wzrok i ujrzał, że uśmiech poety jest pozbawiony wesołości. Wyłącznie napięcie widoczne w tym uśmiechu wskazywało Rao, że artysta się boi.

I powinien. Pod ostrzem adrenaliny, pod czujną cierpliwością, jaką wykształciły w nim długie lata pobytu na dworze i ćwiczeń z bronią, Rao również się bał.

– Czy byłeś w jakiś sposób zamieszany w atak na mahal regenta? – zapytał dowódca.

– Nie – odparł Baldew.

– Czy w noc, gdy zabrzmiały konchy, przebywałeś tutaj? – Dowódca wciąż mówił łagodnie.

Cisza. Być może Baldew zaczynał rozumieć swoją sytuację.

– Tak – rzekł wreszcie poeta. – Byliśmy tutaj. Ja i moi uczniowie.

– Głosiłeś buntowniczą ideologią polityczną – podsunął żołnierz.

Baldew się nie odezwał.

Dowódca podszedł o krok bliżej, zaciskając dłonie za plecami.

– Czy wiele kobiet przychodzi na twoje... wykłady? – Wzrok oficera zsunął się na stłoczone kobiety, drżące lekko ze strachu. – Mów. Albo zabiję następnego.

– Nie. Niewiele kobiet.

– Jesteś pewien, poeto?

– Szanujące się kobiety nie wchodzi do domów rozkoszy.

– Słyszeliśmy, że ahiranyjskie kobiety nieszczególnie dbają o swoją reputację – rzekł jeden z pozostałych zbrojnych. Inny obok niego roześmiał się. Ci dwaj, co zauważył Rao, nosili nieco inne mundury. Nie mieli na turbanach symboli regenta, a we wspólnej mowie zaban, jaką posłużył się mówiący, nie słychać było śpiewnego ahiranyjskiego akcentu.

– Zatem kim są te kobiety? Dziwkami?

– Trzymaj język za zębami – polecił spokojnie dowódca.

– Przepraszam, komandorze Dżiwanie – odparł mężczyzna, choć nie brzmiał jak ktoś szczególnie skruszony.

– Mów – odezwał się oficer do poety.

– To służące – wyjaśnił sztywno Baldew. – Niańki. Wystarczająco się szanują.

– Zatem nie powinieneś mieć problemów z przypomnieniem sobie jednej szczególnej kobiety. Niskiej i młodej. Nie wyższej niż tamta. – Wskazał jedną z zebranych, która odetchnęła cicho z grozą i złością, nie podnosząc wzroku. – O ciemnej skórze. Znasz ją.

– Taki opis może dotyczyć dowolnej liczby kobiet.

– Miała na imię Mina.

– Nie – powiedział Baldew. – Nie znam nikogo takiego.

– Aż do niedawna – ciągnął komandor – była służącą w mahalu regenta. Próbowwała zabić kogoś, kogo gościł. W paskudny sposób. Na szczęście została powstrzymana. – Chwila milczenia. – Zastanawialiśmy się, dokąd kobieta może się udać, żeby nauczyć się takich rzeczy. Służąca. I oto pojawiaasz się ty, poeto.

Rao niemal słyszał argument formujący się na ustach Baldewa: co ktoś taki jak on mógłby zyskać, atakując gościa regenta?

Wtedy poeta przypomniał sobie, że siostra cesarza była więźniarką pod kuratelą regenta. Rao dostrzegł chwilę, kiedy mężczyzna to sobie uświadomił, jak nagle spochmurniała jego twarz.

Nic, co by powiedział, nie mogło go uratować.

– Znaleźliśmy kilku skrybów zapisujących treści, których nie powinni – podjął komandor. – Czystą herezję ukrytą w ahiranyjskim piśmie.

– Gdzie oni są? – spytała jedna śmiała kobieta. Drżał jej głos.

– Zostali już zabrani na plac kaźni.

– Oszczędźcie przynajmniej kobiety – wyszeptał Baldew. Podczas wszystkich wieczornych wykładów i deklamacji jego głos nigdy nie brzmiał tak słabo.

– Właśnie kobiety stanowią problem – rzucił przeciągle oficer.

– Co z nimi zrobicie? – zapytał poeta niepewnie, po czym dodał spokojniej: – Słyszeliśmy, jak cesarz Ćandra postępuje z kobietami. Proszę...

– To i tak lepsza śmierć, niż zasługują nieczyste kobiety – powiedział głośno jeden z paridżackich żołnierzy. – Wy, Ahiranyjczycy, nie wiecie, jakie macie szczęście.

Komandor ściągnął usta, a następnie obrócił się do swoich ludzi. Wykonał gest.

Okrzążyć ich.

Tego było już za wiele. Jeden z Ahiranyjczyków, który klęczał we krwi swojego rodaka, wrzasnął i rzucił się naprzód. Rozległ się syk stali, okrzyki, rozprysnęła się świeża krew. Nastąpił chaos, w którym kobiety rzuciły się do drzwi.

W tym momencie nie wydawał się istnieć żaden powód, by nie interweniować. Rao nie był pewien, za kogo uważali go żołnierze, ale i tak zamierzali go zabić. Obrócił się zatem i pozbawił jednego z żołnierzy równowagi, z pozoru nieostroźnie szarpiąc się na dłoniach i kolanach po

podłodze. Wydawało się cudem, że w szamotaninie ciał i broni nie został zmiądzony ani zraniony. Kiedy na żebrach poczuł but, uznał, że mu się to należy. Jego głowa zderzyła się z podłogą. Przed oczyma rozbłyły mu gwiazdy.

Ponieważ nie był uzbrojony, nie miał żadnych możliwości, mógł jedynie przetoczyć się siłą rozpędu i chwycić innego żołnierza za nogę. Jęknął. Wszędzie wokół niego krzyczeli mężczyźni. Jeden rzucił książką. Karty zapisane poezją uderzyły o ziemię.

Jedna z kobiet wydostała się przez drzwi i pobiegła korytarzem, ścigana przez żołnierza. Rao został na podłodze.

Zduślił przekleństwo, gdy nóż wylądował mu przy głowie. Podniósł wzrok i ujrzał Baldewa wpatrującego się w niego z zakrwawionym obliczem i siniakiem rozkwitającym nad okiem.

Poeta splunął mu w twarz.

– Paridżacka szumowina – warknął. Było to paskudne wyrażenie, zupełnie nieprzystające do jego dawnych rozsądnych, intelektualnych manier. – Wszyscy jesteście paridżackimi szumowinami!

Poeta zamachnął się dziko na najbliższego strażnika i wtedy został rzucony na podłogę, a później do niej przyciśnięty.

Żołnierz stojący nad Rao – jeden z tych, którzy nie nosili symbolu regenta, ten, który wpatrywał się w dowódcę z ledwo ukrywaną pogardą – po raz pierwszy spojrział na niego z poczuciem wspólnoty.

– Nie powinien był tego robić – skomentował opryskliwie. – Gdy tylko ich przejrzeć, wszyscy okazują się prymitywami.

Rao nic nie odpowiedział. Bolały go żebra. Na twarzy czuł krew.

Gdyby miał miecz, mógłby pozbawić mężczyznę głowy.

Żołnierz wyciągnął dłoń. Rao ją ujął.

– Panie – rzekł wojak do swojego dowódcy.

– Puść go zatem – stwierdził komandor tym samym rozwlekłym głosem. – Chyba możemy się zgodzić, że jest tylko tym, za kogo się podaje.

Żołnierz wciąż się wahał.

– Ja... ja mogę zapłacić – wyjąkał Rao, trochę gardząc sobą za ten fortel. Zaczął się obszukiwać. Zza kołnierza tuniki wyciągnął paridżackie kamyczki modlitewne, pestki połączone srebrem. – M...mogę...

To wreszcie wystarczyło.

– Idź precz – polecił żołnierz. – Uciekaj, pijany gnojku. Następnym razem będziesz wiedział, że lepiej nie przeszkadzać w sprawach cesarstwa, prawda?

– Tak jest, panie – odparł Rao.

Ktoś lepszy mógłby walczyć dzielnie o te płaczące kobiety, o tych mężczyzn. O poetę. Ktoś lepszy nie znalazłby się w tym pokoju, w ogóle w tym burdelu.

Ale Rao nie był lepszym człowiekiem. Był jedynie człowiekiem mającym cel. I jeszcze nie skończył swojej pracy.

Zatoczył się do drzwi.

Poeta nie patrzył na niego. Poeta ocalił mu życie.

Rao zostawił go na śmierć.



Obudził się i zobaczył, że Lata pochyła się nad nim ze zmarszczonym czołem. Widoczny ponad nią sufit był pokryty płaskorzeźbami róż i irysów. Czyli znalazł się znów w Pałacu Iluzji. Z oddali słyszał ciche dźwięki muzyki. Jednak pokoje, które wynajął akurat w tym świetnym domu rozkoszy, w przybytku z różowymi latarniami przy drzwiach, wielkością dorównywały królewskiemu i były dobrze odizolowane od odgłosów z dołu.

– Leż nieruchomo – poleciła Lata. – Czyszczę ci rany. Masz posiniaczone żebra.

– Powiedz mi chociaż, że nie zdjęłaś mi dhoti – powiedział słabo Rao.

Chciał w ten sposób zażartować, ale Lata odparła:

– Nie. Pozwoliłam Premowi to zrobić. Przestań podnosić głowę.

Rao zignorował ją i uniósł wzrok. Prem, niższy księżę Sakety, stał przy końcu otomany. Uśmiechał się.

– Witaj, Rao – rzekł. – Ładnie się urządziłeś.

Rao prychnął cichym śmiechem i znów się położył.

– Przypuszczam zatem, że nie udało ci się przekonać regenta, by nam pomógł? – powiedział.

– Masz szczęście, że mi się to nie udało – skomentował Prem. – Gdybym nie wrócił wcześniej, leżałbyś martwy na ulicy.

– Nie bez powodu mówiłem twoim ludziom, dokąd idę.

– Powinieneś był zabrać ich ze sobą.

– Wydaje mi się, że wtedy trochę za bardzo rzucałbym się w oczy.

– Masz rację – stwierdził Prem. – W ogóle nie powinieneś był wychodzić.

– To było ważne – odparł Rao. I to nie był pierwszy raz, dodał w myślach. Jeśli ludzie Prema nie poinformowali go o zamiarach Rao, to on sam nie zamierzał tego robić.

Prem sięgnął leniwie po fajkę, którą trzymał w fałdach obszernej chusty z wełny w bardzo ciemnym odcieniu granatu, opadającej mu na dłoń i ciasno zawiązanej wokół szyi.

– Zatrzymaliśmy się w naprawdę dobrym burdelu, a ty poszedłeś do jakiejś taniej speluny. Czasami cię nie rozumiem, Rao.

– Poszedłem dla poety. Człowieka imieniem Baldew.

– Co miał takiego, czego potrzebowałeś?

– Informacje o ahiranyjskich buntownikach – przyznał Rao.

– Nie rozumiem, dlaczego buntownicy mieliby zechcieć pomagać naszej sprawie – odparł Prem, jednak słuchał uważnie, a jego oczy lśniły lekko w blasku lampy.

– Nie zechcieliby. Nie mówiłem mu o naszej sprawie. Okłamałem go. Powiedziałem, że chcę wiedzy. – Rao powoli, płytko zaczerpnął tchu. Bolały go żebra i płuca. – I uzyskałem ją.

Prem pyknął z fajki.

– Gdy ostatnim razem poszedłem na jego występ, poeta przyznał mi się, że on i jego sympatycy mogą liczyć na wsparcie i ochronę potężnej osoby w Ahiranji. Mówił mi...

„Nie mogę podać ci imienia. Pewne rzeczy są zbyt cenne. A do części z nich nie jestem dopuszczony”.

„Doprawdy?”

Nieznaczny uśmiech.

„Nie jestem ważnym człowiekiem”.

Poeta się zawahał. Skrzyżowali z Rao spojrzenia. Siedzieli w pokoju na zapleczu burdelu, a światło świtu zakradało się przez okno. Rao odpowiedział szczerym spojrzeniem bogatego głupca o złotym sercu. Najlepszymi kłamstwami zawsze były te, które rozpięto na prawdziwym szkielecie.

„Wróć, a wtedy porozmawiamy, chłopcze”.

– Sympatycy secesji Ahiranji od cesarstwa znajdują się na każdym szczeblu tutejszego rządu – powiedział w końcu Rao. – Nie miałem okazji poznać imienia. Żołnierze pojawili się, zanim dokończyłem z nim sprawę.

– Och, żołnierze. Coś o tym wiem.

– Poeta mnie ocalił – mruknął Rao, myśląc o furii Baldewa. O nożu, który nawet go nie zadrasnął, pomimo całej złości, z jaką został ciśnięty na podłogę. – Choć nie musiał.

- Ach. – Prem znów pociągnął z fajki. Wypuścił obłoczek dymu. – I czemu to zrobił?
- Rao z trudnością podniósł się do pozycji siedzącej.
- Zasłużyłem sobie na jego zaufanie.
- Jak?
- Powiedziałem mu, że czytałem nauki Sunaty. – Zapadło milczenie, które przeciągało się, aż wreszcie Rao rzekł smętnie: – Nie wiesz, kto to Sunata.
- Nie wszyscy lubią książki tak bardzo jak ty.
- Sunata był myślicielem. – Myślicielami nazywano mądrych mężczyzn i kobiety niepowiązanych z żadną wiarą czy wyznaniem. – Jego nauki podważają... Nieważne. – Rao pokręcił głową. Skrzywił się. Na chwilę zapomniał, że jego ciało jest poobtłukiwanym workiem pokrytym siniakami. – Pisał, że we wszechświecie nie istnieje znaczenie. Nie ma losu, szlacheckiej krwi, praw królów do ziemi. Wszystko jest pustką. Świat zyskuje znaczenie tylko wtedy, gdy mu je nadajemy.
- Brzmi wnikliwie – mruknęła Lata, z niepotrzebną stanowczością wciąż nakładając korzenną maść na posiniaczone żebra Rao.
- Nie rozumiem – stwierdził Prem. – Uprość to trochę.
- Ludzie, którzy postępują zgodnie z jego naukami, odrzucają wszystkich królów, wszystkie rody panujące, wszystkie imperia. Wierzą w... samostanowienie. To chyba najbliższe wyjaśnienie.
- Ach – powtórzył Prem. – Przypuszczam, że w takim razie jego nauki nie są zbyt popularne wśród królów, co? Wysoki książę raczej by ich nie docenił.
- Jego księgi palono w Paridżacie – wytłumaczył Rao. – I w Alorze. I w Sakecie...
- Czyli wszędzie – uznał Prem.
- Nie wśród myślicieli – wtrąciła się Lata. Sama była przecież myślicielką i nigdy nie spaliłaby ksiąg. Wydawało się to czymś niewyobrażalnym.
- Zatem czytałaś go?
- Nie – odparła kobieta. – Nie przepadam za tą konkretną odnogą filozofii.
- Miałem nadzieję, że zdołamy skorzystać z tego, co mają buntownicy – powiedział Rao. – Liczyłem na... cóż, teraz to już nieistotne.
- Buntownicy to zamaskowane prymitywy – rzekł Prem. – Chcą zniszczyć paridżatdwipańskie rządy. Chcą przywrócić stare dobre czasy Epoki Kwiatów. – Prem wykrzywił nieznacznie usta. Żaden potomek rodziny panującej w paridżatdwipańskich miastach-państwach nie

pomyślałby o Epoce Kwiatów, czasach poprzedzających zwycięstwo matek nad jakszami, z choćby odrobiną nostalgii. – Nawet jeśli mogą liczyć na wsparcie wysoko urodzonych Ahiranyjczyków, dzięki któremu chcą wykopać stąd resztę z nas, to co właściwie zamierzałeś osiągnąć? Przecież nie jesteśmy tu po to, by pomagać im uwolnić się od cesarstwa.

– Szukałem sposobu, by ją wydostać.

Prem znów odetchnął.

– No tak. Jak zawsze.

– Oczywiście – odparł Rao. – Jak zawsze.

Prem nie nazwał Rao głupcem. Nie w tej kwestii. Być może za bardzo było mu go żal, by umiał to zrobić. Zamiast tego rzekł:

– Przykro mi. Wiem, ile ona dla ciebie znaczy.

Jak zawsze Rao poczuł w trzewiach zażenowanie na myśl, że Prem – że ktokolwiek – niewłaściwie pojmował tę sytuację.

– Ale zrobiłeś, co tylko mogłeś – powiedział Prem. – Ja również. Regent już się ze mną więcej nie spotka. – Kolejna smuga dymu. – Naprawdę szkoda. Cesarz Ćandra wkrótce go zastąpi. A lord Santos jest cholernym idiotą. Będzie po prostu marionetką Ćandry, podpalającą kolejne grupki biednych dziewcząt i marudzącą o czystości paridżackiej kultury, zupełnie jakby reszta z nas znajdowała się na poziomie Ahiranyjczyków i trzeba było nam przewodzić.

Jednak w Ahiranji znajdowali się inni ludzie, którzy mogli okazać się użyteczni, pomyślał Rao. Szlachcice, którzy raczej nie stracą swojej pozycji równie łatwo jak regent. Ahiranyjscy wysoko urodzeni, którzy być może finansowali buntowników. Tych samych buntowników, których można było wykorzystać do wsparcia zamachu stanu przeciwko Ćandrze i do pomocy w uwolnieniu księżniczki Malini.

– Nie powinieneś tu palić – rzekła Lata. Znajoma nuta dezaprobaty w jej głosie wydawała się niczym kojąca maść. – Wyjdź na zewnątrz, Prem.

– Czy on jest taki niedołążny, że mu to szkodzi?

– Nie – odparła kobieta. – Ale nie podoba mi się ten zapach. Idź.

– Jak każe myślicielka – powiedział Prem, skłaniając z uśmiechem głowę.

Odwrócił się do wyjścia, spowity dymem. Opuścił fajkę. Obejrzał się za siebie.

– Rao – odezwał się – wiesz, że Aditja nas potrzebuje. Wiesz, że Paridżatdwipa potrzebuje, żebyśmy osadzili na tronie odpowiedniego brata. Cesarz Aditja. Wyobraź to sobie.

Rao nic nie mówił. Wyobrażał to sobie już wcześniej. Jednak to z winy Aditji ta wizja jeszcze się nie ziszcila.

– Po prostu... – Prem odetchnął. – Udam się do niego. Gdy tylko skończy się festiwal. Powinieneś pojechać ze mną. Będzie cię potrzebował. Zrobiłeś, co mogłeś, żeby ją uratować. Ja również.

– Naprawdę? – odparł Rao.

– Tak – potwierdził Prem. Znow się uśmiechnął, ale w linii jego warg krył się smutek. – Naprawdę.

Rao miał ochotę się spierać i wiedział, że Prem był gotów odpowiednio zareagować, ale wtrąciła się Lata:

– Książę Premie, pozwól mojemu pacjentowi odpocząć.

Przez chwilę panowała cisza.

– Wrócę później, Rao – stwierdził Prem.

Rao położył się i zamknął oczy. Lata krzątała się po pokoju, mrużąc pod nosem o czystej pościeli i wrzącej wodzie.

Pomyślał o Malini tkwiącej tam wysoko, w więzieniu. Tak blisko, ale zbyt daleko, by ktokolwiek z nich mógł do niej dotrzeć.

Pomyślał o liście, który do niego napisała. O pospiesznej, poznaczonej śladami łez bazgraninie, nie w dworskim dwipańskim, nawet nie we wspólnej paridżatdwipańskiej mowie zaban, lecz we współczesnym, miejskim alorskim, którego nauczyła ją jego siostra. Wiadomość została doręczona przez służącą o udreńczonych oczach. Została przekupiona resztkami złota, które zostały Malini. Ślubnymi bransoletami jej matki.

Na liście widniał popiół. Sól i popiół.

Ćandra wysyła mnie do Ahiranji.

I niżej, podkreślone, z cichą desperacją widoczną w krzywiźnie każdej z liter:

Ocal mnie.

Lata przyklęknęła obok niego. Otworzył oczy. Wyglądała na spiętą i zmęczoną.

– To jak, wyjedziesz? – zapytała cicho.

– A jak myślisz?

Przez chwilę milczała.

– Myślę, że musimy zabandażować ci żebra – rzekła w końcu. – Nie ruszaj się. Będzie bolało.

– Nie martw się – odparł Rao, a później przełknął ślinę. Róże z sufitu wpatrywały się w niego, tak czerwone, że kojarzyły się z rozpryskami krwi. – Bardzo dobrze idzie mi wykonywanie poleceń.

Pod mahalem mieściły się cele więzienne. Prija nigdy wcześniej nie miała powodu, by o tym myśleć. Teraz go zyskała.

Strażnicy traktowali ją dość łagodnie. Pozwolili jej samodzielnie wybrać drogę po powierzchni Hirany – podejrzewała, że raczej z konieczności – po czym związali jej ręce i przeprowadzili za sadem regenta i niemal przepełnioną studnią schodkową do osobnej, odciętej zależną kratą klatki schodowej, prowadzącej do trzewi mahalu. Zamknęli ją w celi, kazali siedzieć i odpoczywać, dopóki nie zostanie wezwana, a następnie zostawili ją samą.

W celi miała tylko jedno małe okno, zabezpieczoną prętami, położoną wysoko wąską szczelinę, która niemal nie wpuszczała światła, za to pozwalała swobodnie wlewać się wodzie. Wreszcie przestało padać, ale woda wciąż sączyła się przez okienko powolnym, miarowym strumieniem, ponieważ wszystko, czego gleba nie była w stanie wchłonąć, spływało po pochyłości prosto do Prii.

Zastanawiała się, czy to wszystko – zbcocze, okno, wodę zbierającą się nieuchronnie u jej stóp – zaprojektowano celowo. Po godzinie stania w błotnistej, zimnej cieczy, zbyt otępiała z szoku, by robić cokolwiek innego, uznała ponuro, że zapewne tak. Przesunęła się w najdalszy róg, po czym usiadła i oparła głowę na kolanach.

Gdy tylko zajęła miejsce na podłodze, jej ciało zaczęło dygotać. Nie mogła tego powstrzymać. Zaciśnęła dłonie na łokciach, starając się odzyskać kontrolę nad oddechem. Czuła, jak w piersi wzbiera jej szaleńcza panika.

Chciała sobie przypomnieć czy nie? Och, teraz mogła to przyznać przed samą sobą. Pragnęła czegoś więcej niż tylko strzępków wspomnień. Cóż, jej życzenie się spełniło. Z nadstatkiem. Gdy walczyła z Miną, przez chwilę była znów Priją, świątynnym dzieckiem. W umyśle widziała sangam.

I zabiła kobietę.

Owszem, to Mina próbowała zabić ją. Ale wcale nie zmniejszało to jej szoku.

W dzieciństwie nauczyła się zadawać i znosić ból. Wszystkie świątynne dzieci Hirany kształcono tą samą metodą, jak być silnymi, by miały szansę przetrwać proces stawania się świątynnym starszym. Trzy podróże przez magiczne bezśmiertne wody. Trzy podróże, podczas których mogli zginąć w wyniku utonięcia. Albo w inny, gorszy sposób.

Prija raz zanurzyła się pod wody. Wyłącznie raz. I wyłoniła się z podarunkami. Ze zdolnością manipulowania Hiraną. Z umiejętnością wślizgiwania się do sangamu.

Nie robiła tego, odkąd była dziewczynką. Nie potrafiła.

Popatrzyła na swoje dłonie. Pragnęła pieniędzy. Pragnęła władzy. Może, w największej głębi serca, pragnęła nawet należnych jej darów. Teraz jednak wpatrywała się w drżące palce i zastanawiała, czy jej pragnienia są rozsądne. Może dawniej jej wspomnienia roztrzaskały się, by oszczędzić jej większego bólu.

W końcu, pomimo zimna i wody, przysnęła. W miarę jak podnosiło się słońce, do celi zaczęło się wlewać ciepło, ona zaś spała niespokojnie, śniąc, że woda u jej stóp syczy i wije się, że z mroku obserwują ją oczy.

Kiedy się obudziła, zauważyła, że ktoś przyniósł jej jedzenie. Zjadła, po czym znów zwinęła się na podłodze. Spała i znowu śniła o wodzie. O cieniu brata w płynnej ciemności.

Mijały godziny.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem. Pomyślała, że ponownie przyniesiono jej jedzenie. Zamiast tego poczuła dłoń na ramieniu.

– Chodź – powiedział strażnik. Był uzbrojony po zęby, ale mówił i trzymał ją delikatnie. – Dama Bhumika chce cię zobaczyć.



W komnatach damy Bhumiki w pałacu różanym pełno było kwiatów umieszczonych w oknach w ozdobnych wazach. Cięte lilie dryfowały niczym białe obłoki na wodzie, jakby lekki wietrzyk muskał je delikatnymi dłońmi.

Sama Bhumika spoczywała na otomanie z ametystowego jedwabiu. Nie leżała, choć za jej plecami spiętrzone poduszki. Siedziała wyprostowana z jedną dłonią opartą na wypukłości brzucha. U jej boku stała służąca, wachlując ją. Kiedy Prija weszła do pomieszczenia i skłoniła się nisko, dama nie uśmiechnęła się. Jej oczy były obrzeżone cieniem.

– Wszystko w porządku, dziecko – powiedziała łagodnie. – Mój małżonek poprosił mnie, żebym się tobą zajęła. Nie musisz się obawiać.

– Moja damo – odparła Prija, jeszcze pokorniej się skłaniając.

Bhumika miała reputację łaskawej pani. Od chwili poślubienia regenta przyjmowała do swojego domostwa sieroty oraz osoby toczone butwieniem. Sama wybierała wszystkich strażników oraz służbę, a oni w zamian darzyli ją ogromną lojalnością. Zatem nic dziwnego, że gdy rzekła, by zostawić je same, pokojówka opuściła wachlarz, wartownicy skinęli głowami i wszyscy sprawnie wyszli w milczeniu.

Drzwi zamknęły się ze słyszalnym stuknięciem. Prija uniosła głowę.

Po chwili Bhumika się odezwała:

– Opowiedz mi, co się wydarzyło. – Łagodność zniknęła z jej głosu, zastąpiona stanowczością.

Nie były już służącą i panią. Były dwiema świątynnymi córkami, choć Prija nieczęsto pozwalała sobie myśleć w tych kategoriach. Nie lubiła zanedo analizować, co siostrzeństwo oznaczało dekadę po tym, jak wszyscy ich bliscy spłonęli.

– Mina zaatakowała mnie na Hiranie – zaczęła Prija. – Wiedziała, czym jestem. Chciała, żebym pokazała jej drogę do bezśmiertnych wód. A gdy powiedziałam jej, że nie potrafię, próbowała mnie skrzywdzić. – Przez umysł przemknęły jej obrazy z walki. Były jeszcze zbyt świeże, by mogła je w ogóle uważać za wspomnienia. Wciąż galopowało jej serce. Skóra wciąż mrowiła ją od magii. – Miała koronną maskę.

Prawe oko Bhumiki drgnęło dość ekspresyjnie.

– A później? Co się stało?

– Nałożyła maskę. Skrzywdziła Gauri i chciała zrobić to samo z Simą. A ja... zrzuciłam ją z Hirany.

– Powiedziałaś coś, co mogło cię ujawnić?

Dziewczyna nic nie odrzekła.

– Prijo – powtórzyła z naciskiem Bhumika.

– Tylko do niej. – Nie wspomniała o księżniczce. Ostatecznie nie wiedziała, co Malini zdołała usłyszeć. Mimo to słowa, które padły, wydawały jej się kłamstwem, ścięły jej się na języku w gorzką grozę.

– Jak mogłaś być tak głupia? Niczego cię nie nauczyłam?

– Zamierzała mnie zabić. Co miałam zrobić? Przytulić ją?

Bhumika wywróciła oczyma.

– Na duchy, Prijo. Mogłaś nic nie mówić. Mogłaś zawołać o pomoc. Wiem, że jest tam mnóstwo strażników.

– I miałabym pozwolić, żeby z nią porozmawiali? Wiedziała już, czym byłam. Czym jestem. – Prija uniosła głowę. – Zabicie jej było jedyną rzeczą, którą mogłam zrobić, żeby nas ochronić. Stałoby się gorzej, gdybym przyznała się, czym jestem, i pozwoliła jej dalej żyć, prawda?

– Najwyraźniej tak – odparła zwięźle Bhumika. – A skąd w ogóle wiedziała, czym jesteś?

Prija wzruszyła ramionami. Ach, wiedziała, że to tylko podsyci temperament Bhumiki, zwykle dobrze ukrywany, jednak sama nie znajdowała się w szczególnie dobrym nastroju. Została zaatakowana. Zabiła kogoś i nieważne, ile razy próbowałyby się przekonywać, że jest to coś, do czego została wychowana, że nie miała innego wyboru. Niewątpliwie wstrząsnęło to nią. I złościło ją, że w ogóle cokolwiek czuła, że nie była dość silna, by nie odczuwać niczego.

Łatwiej było wściekać się na Bhumikę niż na siebie.

– Mówiłaś jeszcze komuś innemu o swojej przeszłości?

– Nie jestem głupia.

Przez dłuższą chwilę panowała cisza. Bhumika wpatrywała się w nią, nie mrugając.

– Nie – wreszcie dodała Prija z oślim uporem.

Bhumika zmrużyła oczy. Zabębniła palcami lewej dłoni o kolano.

– Najpierw ratujesz Simę, a teraz...

– Wolałabyś, żebym pozwoliła Simie umrzeć?

– Po to, by ocalić siebie? Tak – warknęła żona generała. – Czy przyszło ci do głowy, że właśnie ratując Simę, mogłaś ujawnić się przed buntowniczką?

Bhumika oczywiście miała rację. W ten sposób Mina się domyśliła. Widziała, jak Prija pewnie chodzi po Hiranie, podobnie jak dawniej

świętynne dzieci.

– Nie umiem robić tyle co ty, dwukrotnie zrodzona – rzekła Prija.

– Nie nazywaj mnie tak.

– Dobrze. Zresztą, Bhumiko, nie umiem robić nawet tego, co powinna umieć jednokrotnie zrodzona taka jak ja. Chodzenie po Hiranie, ratowanie Simy... Owszem, stanowiło to ryzyko, ale każda odważna kobieta by sobie z tym poradziła. Nawet gdybym nie była tym, czym jestem. A dla Simy zaryzykowałabym własne życie.

Jednokrotnie zrodzona powinna być zdolna do swobodnego wchodzenia do sangamu. Powinna być zdolna do oddziaływania z łatwością na powierzchnię Hirany. Powinna odczuwać naturę w całej jej jaśniejącej, żyjącej chwale, gdziekolwiek by się znalazła.

Umiała to wszystko jako dziewczynka. Zanim noc ognia coś w niej złamała.

Dwukrotnie zrodzona Bhumika była jeszcze silniejsza. Zaś trzykrotnie zrodzeni...

Cóż, nie został już nikt spośród nich.

– Myślę – powiedziała powoli Prija – że po prostu zdecydowałaś się na mnie złościć. Nie zrobiłam nic złego. Nie prosiłam, by atakowała mnie buntowniczką szukającą bezśmiertnych wód. I robiłam, co w mojej mocy, by chronić siebie. Oraz ciebie.

– Mogłaś zginąć. Rozumiesz to?

– Owszem.

– Mogłaś zostać oskarżona o to, że sama jesteś skrytobójczynią. Albo buntowniczką. Albo jedną i drugą.

– Naprawdę nie jestem głupia – warknęła Prija. – Nie mam pojęcia, jak często muszę ci to powtarzać. Wiem to.

Czasami nienawidziła Bhumiki. Nie potrafiła nic na to poradzić. W jej świątynnej siostrze kryło się coś, co sprawiało, że wrzała jej krew, a na język wpływała trucizna. Bhumika była jednym wielkim oszustwem: słaba dla świata, lecz z ogniem w sercu. Lubiła wyrafinowane słodczyce, wyrafinowane sari i wyrafinowaną muzykę. Nigdy, przenigdy nie szorowała podłogi. I poślubiła regenta. Tego Prija nijak nie zdoła zrozumieć, nawet jeśli w roli łagodnej żony kobieta ocalała niezliczone żywoty.

Kiedy brat Prii porzucił ją na progu Gautama, to Bhumika ją uratowała. Bhumika, która przybyła w mahoniowym palankinie, zabrała Priję do swojego domostwa i dopilnowała, by dziewczynka otrzymała pożywienie, dach nad głową oraz możliwość nowego życia.

„Nie mogę dać ci mocy. Nie mogę dać ci tego, co straciłyśmy. Nie mogę nawet dać ci rodziny” – powiedziała jej wtedy Bhumika. „Ale mogę dać ci pracę. I to będzie ci musiało wystarczyć”.

– Dziękuję, że wyciągnęłaś mnie z więzienia. – Prija zmusiła się do wypowiedzenia tych słów i złagodzenia tonu. – Jestem bardzo wdzięczna.

– Cóż, to nie mnie powinnaś dziękować – odparła żona generała. – Sama księżniczka wstawiła się za tobą. Powiedziała Wikramowi, że uratowałaś jej życie. Błagała, by pozwolił jej wziąć cię jako służącą. BŁAGAŁA. I co mógł zrobić innego, niż się zgodzić?

– Co? – wychrypiąła Prija.

– Na stoliku przy oknie jest woda z cytryną – rzekła Bhumika. – Nalej sobie szklankę. I mnie również.

Prija tak zrobiła. Nawet nie trzęsły jej się ręce. Jednak gdy podała Bhumice naczynie, ta złagodniała. Jedynie duchy wiedziały, co musiało kryć się w wyrazie twarzy Prii, skoro stąpiło ostrze gniewu kobiety.

– Generał jest w trudnej sytuacji – rzekła Bhumika. – Księżniczka nie jest... ulubioną osobą swojego brata. Niemniej wciąż ma w sobie cesarską krew i jeśli tu umrze, czy to z ręki skrytobójcy, w wyniku choroby, czy jakiegoś przypadku losowego, wówczas generał i jego domostwo zostaną ukarani. My wszyscy zostaniemy ukarani. – Dłoń kobiety przesunęła się lekko na brzuchu. – Księżniczkę należy trzymać w samotności. Tak nakazał cesarz i tak musi być. Jednak jej izolacja oznacza, że Wikram również nie może widywać się z nią regularnie. Nie można jej obserwować ani chronić w takim stopniu, w jakim byśmy chcieli. – Chwila milczenia. – Generał jest skłonny dać jej tę odrobinę, jaką może.

– Czy mówisz mi – powoli Prija – że nie możesz ocalić mnie przed tym zadaniem?

– Nigdy nie potrafiłam cię do niczego zmusić, Prijo. Możesz odejść, jeśli zechcesz. Myślę, że akurat ty znalazłabyś jakiś sposób, żeby przetrwać. Ale jeśli nie odejdziesz i zostaniesz służącą księżniczki, da to wiele nam wszystkim. Generał bardzo martwił się po spotkaniu z księżniczką. Jest chora i słaba, wiele płakała. Nie wierzy, że nic jej nie jest ani że opiekunka przysłana wraz z nią przez cesarza jest w pełni... czujna. Z tego, co widziałam, gdy przybyła, jestem skłonna się zgodzić. Ja sama nie mogę ustawić przy jej drzwiach żadnych lojalnych strażników. Lord Santos ma zbyt wielu szpiegów w domostwie, żebym mogła po kryjomu na cokolwiek wpływać. – Jej usta wykrzywiły się. – Mam tylko ciebie, Prijo.

– Chcesz, żebym ją obserwowała – stwierdziła Prija. – Szpiegowała ją. Ochraniała.

– I byłoby dobrze, gdybyś zdołała utrzymać ją przy życiu, nie demaskując żadnej z nas.

Dziewczyna poczuła się, jakby w jej żołądku zaciążył ołów.

– Zrobię, co w mojej mocy – zdołała wykrztusić.

– Wypij wodę. Wyglądasz okropnie.

– Cały dzień siedziałam w celi. Oczywiście, że wyglądam okropnie.

– Pij.

Prija wypila. Bhumika obserwowała ją przez cały ten czas, nie tykając własnej szklanki, a jej wzrok wydawał się aż nazbyt świadomy.

– Wiem, że chcesz odnaleźć bezśmiertne wody – powiedziała w końcu. – Nie, nie okłamuj mnie, Pri – ucięła, gdy Prija popatrzyła na nią z niedowierzaniem. – Okłamuj samą siebie, jeśli wolisz, ale ja cię znam. I wiem, co uważasz: że jeśli zdołasz je znaleźć, to odnajdziesz również siebie. Ale, Prijo, pamiętasz równie dobrze jak ja, jakiej ceny mogą zażądać wody. Nie chcę, żebyś z tego powodu zginęła. I jeśli zdecydujesz się zamiast tego pomóc mnie, jeśli zgodzisz się obserwować księżniczkę i jej dozorczynię, wówczas przekażę ci informacje i będziesz mogła ocalić znacznie więcej żywołów, niż sobie wyobrażasz.

– Chodzi ci o ocalenie twojego męża – rzekła Prija. Pożałowała tych słów, gdy tylko opuściły jej usta, ale było już za późno i nie dało się ich cofnąć. Zresztą nie były tak do końca nieprawdziwe. Przecież to generał Wikram miał najwięcej do stracenia w wyniku cesarskiego gniewu. Ludzie tacy jak Prija stracili już wszystko.

– No tak. A jak sądzisz, co właściwie stanie się z tym domostwem, jeśli on zginie? Nie, nie odpowiadaj mi – powiedziała Bhumika, gdy Prija rozchyliła wargi. – Oceniaj mnie, jak chcesz, Pri. Nie obchodzi mnie, co myślisz o mnie ani o kimkolwiek innym. Jeśli masz ochotę, nazywaj mnie dziwką albo zdraczką, jest mi to zupełnie obojętne. Chcę tylko zagwarantować taki przebieg wydarzeń, w którym jak najwięcej z nas przeżyje. A zatem będziesz pilnować księżniczki czy nie?

– Jeśli regent tak rozkaże...

– Nie myśl o regencji. Pytam ciebie. Zrobisz to?

Prija popatrzyła Bhumice prosto w oczy.

– Zaufałabyś mi? – spytała.

– Na to wychodzi – odparła łagodnie Bhumika.

Niemniej kobieta wpatrywała się w Priję ostrożnym wzrokiem, tak samo, jak patrzyła na nią zawsze – jakby dziewczyna zamierzała zaraz

rzucić się prosto w przepaść albo kogoś w nią wepchnąć, jakby była nieprzewidywalna.

Prija pomyślała o ciemnych oczach księżniczki, przekrwionych od płaczu. O tym, jak tamta patrzyła na nią, gdy Mina spadła na spotkanie ze śmiercią. W tamtej beznamietnej twarzy nie dało się dostrzec strachu. Tylko spokój i opanowanie.

– Zrobię to – oznajmiła.

Bhumika odetchnęła.

– Dobrze. – Wypiła wodę jednym szybkim łykiem i odstawiła szklankę. – Idź się umyć. Odpocznij. Dopilnuję, czego trzeba.

Prija odwróciła się. Zawahała.

– Bhumiko...

– Co?

– Mina. Skrytobójczyni. – Głos jej się rwał. – Zdradziła mi, że napiła się bezśmiertnych wód z fiołki. I że ta moc ją zabijała. Powiedziała mi, że dostała je od świątynnego dziecka. Wiem już, że mimo wszystko nie jesteśmy same. Że nie jesteśmy ostatnie.

Milczenie.

– Bhumiko – ponagliła dziewczyna.

– Zostaw mnie samą – rzekła kobieta ze znużeniem. – Mam już wystarczająco wiele zmartwień.

– Chyba nie mówisz poważnie.

Bhumika pokręciła głową.

– Nie mówię poważnie? Jeśli gdzieś tam kryje się świątynne dziecko na tyle okrutne, że kupczy bezśmiertnymi wodami, i to jeszcze butelkowanymi, co za szaleństwo, oraz wysyła w ich imię dzieci na śmierć, to nie musimy tego kogoś szukać. Jest niebezpieczny. A my mamy już dość niebezpieczeństw na głowie.

– Przypuszczam, że tak – odparła Prija.

– Dobrze przypuszczasz. A teraz idź się umyć. Paskudnie śmierdzisz.

Prija odwróciła się do wyjścia, lecz zatrzymał ją głos Bhumiki:

– Chodzi o tego chłopca, którego przyprowadziłaś.

Dziewczyna obejrzała się zaniepokojona.

– Nic mu nie jest? Nie jest, prawda?

– Nie dotarły do mnie żadne inne wieści, więc muszę zakładać, że nic mu nie jest – powiedziała Bhumika. – Ale proszę cię, nie przyprowadzaj już kolejnych przybłęd. Wiem, że słynę z dobroczynności, ale nie wszystko może mi uść na sucho, zanim będę musiała tłumaczyć się przed mężem.

Prija nic nie odrzekła, bo co mogłaby powiedzieć?

– Wiem, jak pomagasz w mieście cierpiącym na butwienie – ciągnęła kobieta. – Rozumiesz chyba, że mogłaś poprosić mnie o wsparcie.

Bhumika właśnie dokładnie wskazała, dlaczego Prija nie poprosiła. Ale dziewczyna nie wspomniała o regencie i zamiast tego stwierdziła:

– Nie powinnam być zmuszona do tego, by prosić.

– Nie jestem zdolna do wszystkiego – odparła Bhumika. – Niestety.

Prija dostrzegła wtedy, jak wyczerpana wydawała się kobieta, i poczuła ukłucie wyrzutów na myśl o wszystkich zadaniach, z którymi Bhumika się zmagала. Zanim jednak zdołała coś z siebie wykrztusić, żona generała znów się odezwała:

– Zorganizuję zapas świętego drewna dla tych, dla których zdołam. W mieście i w mahalu.

– A dla Rukha? Potrzebuje więcej niż inni. Częściej.

Chwila ciszy.

– On umiera, Prijo. Dalsze pomaganie mu byłoby marnotrawstwem.

Dziewczyna przełknęła z trudem ślinę.

– To ja go tu przyprowadziłam – oznajmiła. – A teraz nie będzie mnie tu, bym mogła mu pomagać.

– To twoje miękkie serce... – westchnęła Bhumika, a Prija nie miała pojęcia, czy była to obelga, czy nie. Wiedziała tylko, że kobieta odwróciła się do róz na oknach, które szemrały na wietrze, i powiedziała: – Idź już. Zrobię, co będę mogła. Tyle mogę ci obiecać.



Prija zostawiła Bhumikę i udała się do kwater dla służby. Żona generała nie posłała strażnika, by jej pilnował, i dziewczynę to ucieszyło. Potrzebowała czasu na osobności.

Ściemniało się już przed wieczorem, ale Prija nie przypuszczała, żeby tej nocy miała być potrzebna albo oczekiwana na Hiranie. W gasnącym świetle widziała, że rąbek jej sari jest poplamiony wodą, błotem oraz krwią. Gdy to sobie uświadomiła, skrzywiła się. Dopranie tego zajmie jej wieki.

Łatwiej było myśleć o plamach na ubraniu niż o czymkolwiek innym.

– Prijo – wyszeptał głos.

Obróciła się.

Rukh stał w cieniu rzucanym przez szeroką, rzeźbioną kolumnę, zaciskając pięści u boków. Wyglądał nieco nie na miejscu i nawet z odległości dostrzegła, że na jego nadgarstkach malują się cienie podskórnych liści.

Rukh, który ostrzegał ją, żeby nie wspinała się na Hiranę. Wpatrywała się w niego spokojnym wzrokiem – w jego skruszoną, znajomą twarz, w cerę przetykaną zielenią. Opuszką palca dotknęła koralika ze świętego drewna, który miała wciąż na nadgarstku.

– Co ty zrobiłeś, Rukh?

– Tak bardzo przepraszam – powiedział. – Naprawdę. Ale... nie rozmawiałem z tobą, nie prosiłem cię o pomoc, o pracę, tylko dlatego, że ich potrzebowałem. Choć naprawdę potrzebowałem. Polecono mi, żebym z tobą porozmawiał i spróbował dostać się do mahalu. Rozkazano. – Przeknął ślinę. – A teraz chcę, żebyś poszła ze mną. Poza mahal. Proszę?

Polecono. Rozkazano. Kto mu rozkazał?

Przebiegł ją dreszcz. Mogła się domyślić.

Powoli pokręciła głową. Zanim zdążyła się odezwać, Rukh rzucił się naprzód. Chwycił ją za rękę.

– Mówiłem im, że nie przyjdiesz – rzekł szczerze. – Że mi nie wybaczysz. Że nie jesteś taka słaba, jak sądzą. I może... może nie powinnaś przychodzić. Ale obiecali mi, że cię nie skrzywdzą, a ja im wierzę. Poprosili, żebym się upewnił, że nie stała ci się krzywda, więc będziesz bezpieczna. Inaczej ja bym nie... Nie umiałbym... – W jego oczach pojawiły się łzy frustracji.

– Rukh. – Przez chwilę trzymała mu wolną dłoń nad głową, po czym lekko wygładziła mu włosy. – Uspokój się. Mów powoli. Nic nie rozumiem.

Zacisnęła i rozprostowała palce wokół jej nadgarstka. Przez długą chwilę milczała i Prija w końcu westchnęła.

– Jestem głodna – powiedziała. – I zmęczona, poza tym mówiono mi, że paskudnie pachnę. Chcę się tylko wyspać, Rukh. Nie mam najmniejszej ochoty na te gierki.

– Jeśli nie przyjdiesz, to nie wiem, co mi zrobią – wyszeptał.

– Kto?

– Wiesz.

– Chciałabym, żebyś mi powiedział.

Wciąż trzymał jej nadgarstek, ale na tyle lekko, że bez żadnego problemu by mu się wyrwała. Nie zrobiła tego.

– Buntownicy. – Pociągnął nosem i zwiesił głowę, po czym podniósł ku niej wzrok. – Buntownicy z lasu.

Przez chwilę wpatrywała mu się prosto w oczy.

Wydawało jej się, że dobrze wiedziała, kim jest. Wydawało jej się, że był trochę taki, jak kiedyś ona: głodny, skrzywdzony, samotny. Było jej go żal.

Wciąż było jej go żal, to nie uległo zmianie. Ale gdy teraz się w niego wpatrywała, pozwoliła, by opuściły ją wszelkie założenia na jego temat. Tak, był taki, jak kiedyś ona, i to zdecydowanie bardziej niż trochę. Miał swoje tajemnice. Swoje zobowiązania. Dobrze wiedziała, jakie to uczucie.

Martwiło ją to. Martwiła się o niego.

Jest w niebezpieczeństwie, pomyślała. Wciąż mnie potrzebuje.

– Ukradnij mi coś z kuchni – poleciła w końcu. – Wtedy z tobą pójdę.

Na swoich mapach Paridżatczycy nadawali wiele nazw wielkiemu lasowi Ahiranji. Dzielili go, przecinali cienkimi liniami, przydzielali etykiety wszystkim częściom, w których ludzie mogli przetrwać, w których czas nie płynął w dziwny sposób i których nie przeniknęło butwienie: spalonym polom na wschodzie, a na zachodzie gęsto zarośniętym obszarom pradawnych namorzynów, gdzie rozkwiwały bagienne wioski wznoszone na palach. Nazwa za nazwą, każda pieczołowicie transliterowana na paridżacki i wszelkie pozostałe różnicowane pisma oraz języki Paridżatdwipy. Nie uwzględniano jedynie języka ahiranyjskiego.

Został on oczywiście wymazany, zredukowany do garstki sformułowań i słów, którymi ludzie z Ahiranji doprawili wspólną mowę zaban. Jednak Prija, która niegdyś uczyła się tradycyjnego ahiranyjskiego jako świątynna córka, wiedziała, że w tej mowie nigdy nie nazywano lasu. Ahiranja po prostu była lasem. Zadrzewiona kraina w równym stopniu wymykała się nazywaniu jak poszczególne oddechy, w równym stopniu nie dawała się dzielić jak woda. Nazywali miasta i wioski, góry, które nanosili na mapy. Las zostawiali w spokoju.

Nie znaczyło to jednak, że Prija nie rozpoznawała miejsca, do którego zaprowadził ją Rukh. Wymknęli się z mahalu do otaczającej go

Hiranaprasthy. Przeszli przez miasto o pozamykanych drzwiach i pogaszonych latarniach, by dostać się tam, gdzie drzewa zlewały się z domami, a powyżej, na gałęziach, wisiały małe kapliczki jakszów, umieszczone wysoko wśród liści na płaskich deskach przybitych pomiędzy pniami. Szli wąskimi ścieżkami wyznaczonymi wstążkami i chorągiewkami, starannie wytyczonymi pośród drzew przez osoby podróżujące pomiędzy Hiranaprasthą a mniejszymi osiedlami.

Wkrótce jednak zbczyli od znaczników ze wstążek i mogli kierować się wyłącznie jedną lampą oraz drobnymi zadrażnieniami na korze drzew w języku znaków stosowanym przez myśliwych oraz drwali. A później Prija podniosła wzrok i zorientowała się, że znajdują się w Altanie Kości.

Była ona pradawnym miejscem, jednocześnie grobowcem i wejściem na bardzo stary szlak wykonany rękoma jakszów. W Ahiranji istniały miejsca, w których czas biegł inaczej. Ta ścieżka była najmocniejszym z nich i najlepiej oznakowanym. Niektórzy nazywali ją Ścieżką Poszukiwacza, ponieważ wiodła do sąsiedniego kraju Srugna oraz tamtejszych wielkich klasztorów bezimiennego boga, w których kapłani medytowali nad sekretami kosmosu i czcili swoje bóstwo ponad wszelkie inne nieśmiertelne istoty.

Jednak było to również miejsce przeklęte. Okoliczni wieśniacy i drwale poszukujący świętego drewna twierdzili, że słyszą szepty pośród grobów. O świcie odnajdywali ślady stóp w glebie wilgotnej od rosy, a na ziemi zwłoki zwierząt zarażonych butwieniem. Zupełnie jakby przychodziły do Altany, by w niej umrzeć. Albo były tam zostawiane, jak uważali niektórzy, przez widmowe dłonie.

Kiedy ciało zgniło, te duchy wracały, by dokończyć swoją pracę. Ponad Priją i Rukhem wisiały kości nieżywych zwierząt zawieszane na czerwonych i żółtych wstążkach. Połyskiwały żółcią i bielą w świetle lampy. Gdy wiatr szeleścił liśćmi, uwięziona w nich woda opadała zimną mgiełką, a kości uderzały o siebie z dźwiękiem podobnym do szczęknięcia zębami.

– No cóż – stwierdziła Prija spokojnie. – Co za przyjemne miejsce na spotkanie.

– Zwykle nie spotykam się z nimi tutaj. Ale – chłopak wzruszył ramionami, utrzymując ostrożny wyraz twarzy – tym razem tak mi kazano.

Mina nosiła koronną maskę. Piła beśmiertne wody wyrwane ze źródeł i walczyła zaciekle, więc Prija zdawała sobie już sprawę, że ci

buntownicy należą do radykałów, którzy wśród swoich metod nie wahają się stosować morderstwa.

Słyszała plotki i opowieści o rebeliantach noszących maski. Kiedy zabito kupca, ludzie mówili, że widzieli zamaskowaną postać opuszczającą jego haweli. Kiedy teraz zerknęła na Rukh, wracała w myślach do tego wydarzenia, do rebeliantów uderzających szybko i brutalnie.

Wyglądał żałośnie, gdy ciasno się obejmował. Poczowała, jak wzbiera w niej złość na myśl, że wykorzystali głodującego, umierającego chłopca do swoich celów. To nie było w porządku.

Uniosła lampę wyżej. Mrok wydawał się na nią spoglądać spomiędzy liści i kości.

– Co się zwykle dzieje, gdy się z nimi spotykasz? – zapytała.

– Przekazuję im informacje. Zanim wysłali mnie do ciebie, mówiłem im wszystko, co słyszałem na targowiskach. Dawali mi jedzenie.

Niewiele tego jedzenia, pomyślała.

– A świętego drewna nie?

Rukh wzruszył ramionami.

– W porządku – rzekła spokojnie Prija. – Czego wymagali od ciebie w mahalu?

Milczał.

– No, mów – namawiała go. – Na pewno teraz już mi możesz powiedzieć.

– Miałem tylko być ich oczami i uszami – mruknął. – Obserwować cię. I wszystko inne, co interesujące. Wszystko, co mogło im się przydać. To tyle.

Przytaknęła.

– Czy jacyś inni służący robili to samo? – spytała, a chłopiec natychmiast zmarszczył brwi.

– Chyba kilka osób – powiedział po chwili. – Nie wiem. Więcej nas może być w ukryciu.

– Nas?

– Buntowników – doprecyzował.

– Nie jesteś prawdziwym buntownikiem – skomentowała natychmiast dziewczyna.

– Jestem – upierał się.

– Mina była buntowniczką. Umiała zabijać. Ty nie umiesz.

– Skąd wiesz? – odparł Rukh, napinając butnie szczękę.

Przesunęła wzrokiem od jego chudej, drobnej twarzy do zaciśniętych pięści. Zastanawiała się, czy przy obecnym stanie jego dłoni,

szczypiących od rosnących w nich zawiązków, byłby w stanie utrzymać nóż, nawet gdyby ktoś mu go dał. Noże wymagały delikatności.

– Nie umiesz – stwierdziła zwięźle. – Czymkolwiek ona była dla nich, ty nie jesteś tym samym.

– Nic o mnie nie wiesz – mruknął chłopak.

– Najwyraźniej nie.

Wokół nich nie było widać śladu niczyjej obecności. Żadnych wieśniaków, myśliwych czy buntowników. Prija założyła, że po prostu muszą poczekać. Postawiła lampę na ziemi i wyprostowała się.

Wpatrywał się w nią. Ona wpatrywała się w niego.

– Nie tylko tobie wolno jest w coś wierzyć – powiedział cicho Rukh. Prii niepokojąco przypomniał się ton, którego sama używała podczas rozmowy z Bhumiką. – Wolno mi wierzyć, że świat może być lepszy. Wolno mi chcieć pomagać, żeby tak się stało.

Ach, na głębę i niebo, musiała nauczyć się rozmawiać ze swoją świątynną siostrą z większą stanowczością, a mniejszym rozdrażnieniem, gdy znajdują się same. Jeśli tak czuła się Bhumika, gdy Prija się do niej odzywała, to wydawało się cudem, że była w ogóle zdolna do cywilizowanej konwersacji.

– Niczego nie mówiłam, Rukh – rzekła spokojnie.

Zmusiła się do opanowania. Spokój stanowił pancierz, którym się otuliła, gdy stała na ziemi pełnej zmarłych, słuchała odgłosów wiatru i rozmyślała o decyzjach, jakie chłopak musiał podjąć, żeby się tu znaleźć, taki młody, a jednak podporządkowany zabójcom. Wcześniej nie dostrzegła żadnych oznak tego, że buntownicy zatopili w nim szpony. Nie zorientowała się. Jej opanowanie brzmiało jak chłód stali, bo takie właśnie było.

– Uważam jednak, że powinieneś spróbować wierzyć w rzeczy, które nie doprowadzą w przyszłości do śmierci żadnego z nas.

– Oni cię nie skrzywdzą – zapewnił Rukh. – Mówiłem ci. Obiecałem. Poprosili, żebym dopilnował, abyś nie wchodziła na Hiranę. Wtedy byłabyś bezpieczna.

– Poprosili cię o to?

Przytaknął.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Sądziłem, że ty będziesz wiedziała.

Nie umiała jeszcze o tym myśleć. Zapewne wkrótce doczeka się odpowiedzi. Zamiast tego powiedziała więc:

– Gdybym cię posłuchała, gdybym została w mahalu i pozwoliła pozostałym wspiąć się samodzielnie, Mina zapewne spróbowałaby zabić

kogoś innego. – Przypomniała sobie krzyk Simy, ciało Gauri uderzające o kolumnę.

– Nie wiedziałem, że kogoś skrzywdzi – wyszeptał.

Zmierzyła go wzrokiem.

– Nie mówisz komuś, że ma dokądś nie pójść, chyba że istnieje ryzyko, że tej osobie stanie się krzywda. A zatem wiedziałeś. Nie okłamuj się. Zdajesz sobie sprawę, czym zajmują się buntownicy.

Odwrócił głowę.

– Próbuje robić coś ważnego – upierał się, ale jego głos brzmiał słabo.

Prija westchnęła. Nie potrafiła się powstrzymać.

– Czy ludzie, których tak bardzo się boisz, naprawdę są w takim stopniu warci twojej lojalności?

– Są warci mojej lojalności właśnie dlatego, że się ich boję – odparł.

– Są tu, by walczyć z cesarstwem. Widziałem generała Wikrama. Widziałem jego żołnierzy. Jeśli nie będą od nich silniejsi... – Chłopak urwał.

– Umiejętność wzbudzania strachu w dzieciach nie jest siłą, Rukh.

– Oni nie wzbudzają strachu tylko we mnie – prychnął. – Widziałeś, co dzieje się na ulicach. Oni wzbudzają strach w regencie. Inaczej nie posłałby wszystkich swoich zbrojnych do miasta. Na tym polega prawdziwa siła.

Gdyby tylko dysponowała elokwencją Bhumiki lub jej bystrym, instynktownym zrozumieniem ciernistych imperialnych gier o władzę...

– Siła nie musi wyglądać tak, jak przedstawicie to wy i regent – powiedziała w końcu Prija, uznawszy, że wystarczą jej własne niewyszukane słowa, jej prosta wiedza na temat mechanizmów działania świata. – Siłą może być troska o ludzi. Zapewnianie im bezpieczeństwa zamiast narażania ich na niebezpieczeństwo.

Zerknął na nią podejrzliwie.

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że masz siłę?

Roześmiała się odruchowo.

– Nie, Rukh.

Jaką siłę miała? Co tak naprawdę zrobiła, by zmienić cokolwiek w Ahiranji? Myślała o Bhumice, nie o sobie.

Pomysł, że dysponuje jakąkolwiek siłą...

Na Hiranie przez moment ją miała. Szybko poznała jej ograniczenia, najpierw w celi, a później w komnatach Bhumiki. Zaś w chwili, gdy zabijała Minę, ta potęga wydawała się jednocześnie

słabością, przelewającymi się w jej wnętrzu ruchomymi piaskami wściekłości.

– Nie wygłupiaj się – dodała po chwili. – Nie jestem silna.

– Próbowalaś chronić mnie i inne dzieciaki. Próbowalaś sprawić, żebyśmy przynajmniej nie umarli na butwienie. Dałaś mi dom. To pasuje do tego, co właśnie mówiłaś.

Była to dziecięca logika, dziecięce przekonania. Mimo to Prija odwróciła od niego wzrok. Postrzegał ją w zdecydowanie odmienny sposób, niż ona widziała samą siebie, i nie miała pojęcia, jak na to zareagować.

Wiatr znów zaszemrał między kośćmi.

– Naprawdę zabiłaś Minę? – spytał chłopak z wahaniem, opuszczając ręce.

– Mówiłam ci, że tak.

– A czy... czy chciałaś tego?

Prija zaczęła odpowiadać. Przerwała i słowa utknęły jej na języku. Na chwilę wstrzymała oddech. Nasłuchiwała.

Otoczająca ich cisza nie była już pusta. Była czujna. Prija poczuła, jak włoski na karku stają jej dęba. Obróciła się.

Pomiędzy grobami stał mężczyzna. Altana rzucała na niego cienie. Ale jego twarz...

Nosił maskę. Nie koronną, wykonaną ze świętego drewna, tylko maskę ze zwykłego mahoni, wyrzeźbioną tak, by pokazywała wygięte zaciekle usta i oczodoły tak duże, że widać było gęste brwi oraz oczy barwy przerzuconej gleby.

Rukh wystąpił o krok i stanął u jej boku. Wyglądał, jakby chciał się odezwać, ale mężczyzna uniósł dłoń, uciszając go.

– Proszę – oznajmił uprzejmie. – Powiedz mi. Dlaczego ją zabiłaś? – Miał łagodny głos, lecz jego maska sprawiała kpiące wrażenie.

– Czy skrzywdzisz Rukha, żeby zmusić mnie do mówienia?

– Nie – odparł. – Rukh jest jednym z moich ludzi.

– A czy skrzywdzisz mnie?

– To zależy już od ciebie.

Prija usłyszała, jak obok niej Rukh przełyka spazmatycznie ślinę. Podniosła głowę i wyprostowała barki, by wydawać się wyższa. Zaciśnęła zęby. Milczała.

Mężczyzna podszedł o krok. Obserwowała ruchy jego stóp – gładkie i płynne. Wyczuwał ziemię, nie spoglądając na nią, ufał instynktom. Przemieszczał się niemal bezszelestnie. Nic dziwnego, że wiatr i stukanie kości zamaskowały jego zbliżanie się.

– Nie odpowiesz mi?

Prija uznała, że rozumiało się to samo przez się.

– Uklęknij – polecił mężczyzna. – Opuść głowę. Uklęknij. Będziesz posłuszna i będziesz mówić.

Nie widziała jego ust, ale niemal miała pewność, że się uśmiechał.

Zalało ją wspomnienie. Dziecięce pojedynki. Starszy chłopiec, wciąż chudy, ale z każdym dniem wyższy, uśmiechał się do niej. „Uklęknij” – powiedział. „I bądź posłuszna. Powiedz, że jestem lepszy od ciebie. Wiesz przecież, że nie wygrasz, Pri. Równie dobrze możesz poddać się już teraz”.

Ona zaś, niska, bardziej uparta, gotowa dowieść swojej wartości, zagryzła zęby i powiedziała...

– Przekonamy się – mruknęła.

Również podeszła o krok, a później następny, przesuwała stopy jak świątynne dzieci – taniec na ziemi, sposób poruszania wtłoczony w mięśnie i kości. Odsuwała się od Rukha z nadzieją, że będzie miał dość rozsądku, by zostać na miejscu.

Te oczy widoczne przez maskę. Ten konkretny odcień brązu.

Jej nadzieja...

Już niemal miała pewność.

Nie uklęknie. Nie odezwie się, dopóki sama tego nie zechce, dopóki nie otrzyma odpowiedzi, których pragnęła.

Nie czekała, aż ją zaatakuje. Rzuciła się na niego. Zaparł się w miejscu, a ona wykonała zwód w prawo. Obrócił się zwinnie, podążając za nią tym samym zaciekłym manewrem, ona jednak przesuwała się dalej, wsunęła mu się pod rękę.

Obróciła się do niego i zaczęli krążyć wokół siebie, wijąc się niczym drapieznik i zwierzyna. Prija wiedziała, jaka była: muskularna, lecz niezbyt potężnie zbudowana, drobna w porównaniu z jego krzepkim ciałem. Mogła wygrać jedynie sprytem.

Gdy znalazła się w zasięgu, sięgnęła po nóż kuchenny tkwiący w pasie jej sari, wyciągnęła ostrze z improwizowanej pochwy, gdy obracał się ku niej, i wzniosła je. Jego wzrok wyostrzył się i usłyszała, że mężczyzna zaczął szybciej oddychać.

Szybko niczym błyskawica chwycił ją za nadgarstek i zacisnął chwyt, by zmusić ją do rozwarcia palców i wypuszczenia noża. Ale było już za późno. Zdążyła unieść broń na wysokość jego głowy i cięła przez pierwsze nici potrójnie splecionego sznurka mocującego mu maskę do twarzy.

Drugą dłonią szarpnęła za maskę. Nie poczuła kleistego, topiącego się ciała ani żaru parzącego ją w obolałe już opuszki. Nie poczuła niczego poza fakturą drewna i skóry. Spojrzała mu w twarz.

Odepchnął ją w tył tak, że się przewróciła. Przycisnął jej nadgarstki i wtedy jednocześnie przypomniała sobie dzieciństwo, Minę oraz woń palącego się mięsa, otępiającą plataninę wspomnień. Miała wrażenie, jakby czas zwinął się w miejscu, zgiął wpół jak kartka.

– Kiedy byłam dziewczynką – wydyszała – testowałeś mnie w taki sposób.

– I nigdy nie wygrałaś – odparł.

– Byłam młodsza, mniejsza i słabsza, co nie uległo zmianie. Ale wcale nie zamierzałam teraz wygrać. Chciałam przekonać się, czy jesteś... sobą.

Jego chwyt zelżał.

– Prijo – rzekł – jesteś silniejsza niż kiedyś.

– Aśoku.

Bracie. Kości ponad nią, a jego twarz pod nimi, wyrzeźbiona w cienie przez księżycowy blask. Załamał jej się głos.

– Myślałam, że jesteś chory. Myślałam, że umarłeś.

– Bo byłem chory – rzekł cicho. – I też myślałem, że umrę. – Przesuwał wzrokiem po jej twarzy, być może próbując wykryć, jak teraz się czuła: odsłonięta przez emocje, przytłoczona ciężarem czasu. – To długa opowieść.

Przełknęła ślinę. Miała ściśnięte gardło i bolały ją nadgarstki.

– Pozwolisz mi wstać?

Puścił ją. Maską leżała na ziemi pomiędzy nimi.

Rukh obserwował ich, jednocześnie wymizerowany i ożywiony. Popatrzył na Priję, jakby nagle wszystko nabrało dla niego sensu. Popatrzył na nią tak, jakby wreszcie ujrzał ją taką, jaka była naprawdę.

Powiedziała mu, żeby się odsunął. Żeby poczekał w oddali, poza Altaną Kości. Nie potrafiła myśleć. Jej umysł w tym momencie wyjątkowo się skupiał, koncentrował wyłącznie na jej bracie – jej żywym, oddychającym, irytującym bracie.

Ów brat skinął głową i Rukh odszedł. A później brat zaczął swoją opowieść.

Gdy mieszkali na ulicach Hiranaprasthy, oboje cały czas byli głodni. Pamiętała to. Jednak Aśok złapał chorobę – nie butwienie, coś o wiele zwyczajniejszego – co sprawiło, że rzeziło mu w płucach i pluł krwią. Stawał się coraz słabszy, magia opuszczała go wraz z siłami. I wciąż miał pod opieką Priję, małą i głodną, której magia popękała tak samo, jak

jej wspomnienia. Moc, która skazała rodzeństwo na zagładę, wykraczała poza ich pojmowanie.

Martwił się o zapewnienie jej żywności. Budziła go spoconego i drżącego z koszmarów, w których widział, co stanie się z nią po jego śmierci. I nagle, pewnej nocy, gdy dłonie miał zlane krwią, a Prija spała zwinięta u jego boku, podjął decyzję.

– Poszedłem do Bhumiki i poprosiłem, żeby cię przygarnęła – oznajmił.

– Porzuciłeś mnie – mruknęła Prija.

– Pozwoliłem ci odejść.

Było to potwierdzenie czy sprostowanie? Nie wiedziała.

– Nie musiałeś mnie tak po prostu zostawiać – rzekła. – Mogłeś powiedzieć mi prawdę.

– Ach nie. Wydawało mi się, że ze mną koniec. Wydawało mi się, że zostawię cię u tego starego gnojka Gautama, by Bhumika cię uratowała, pójdę do lasu i zginę dobrą ahiranyjską śmiercią. – Jego usta wykrzywił nieznacznym, gorzkim uśmiechem. – I nie potrafiłem się z tobą pożegnać. Nie zniósłbym tego. Byłem słaby.

– Ale nie umarłeś.

– Nie.

– A jednak nie wróciłeś później po mnie.

Nie zamierzała płakać ani wczepiać się w niego jak dziecko. Nie miała by cierpliwości do takich emocji. Nigdy jej nie miał.

– Znalazła mnie pewna kobieta – powiedział. – Wzięła mnie do siebie i zaopiekowała się mną. Powiedziała, że wie, kim jestem. „Pamiętam twój twarz”, mówiła. „Wiele razy pielgrzymowałam na Hiranę. Pamiętam twarze was wszystkich. I mam dla ciebie dar”. Przekazała mi fiołki bezśmiertnej wody. Napoiła mnie wodami. Ocaliła mi życie i zleciła zadanie. Dała mi cel. Dzięki niej wreszcie nauczyłem się wykorzystywać to, czym jesteśmy – mówił Aśok z blaskiem w oczach. – Starsi wyszkolili nas tak, byśmy byli silni. Później wody zapewniły nam dary, jakich nasi starsi nie widywali od pokoleń.

Przesunął dłonią nad ziemią. Prija patrzyła, jak trawa się porusza, jak ugina się niczym pod fizycznym dotykiem.

– Jesteśmy jak świątynni starsi w Epoce Kwiatów, Prijo. Ci trzykrotnie zrodzeni, którzy podbijali całe obszary subkontynentu. Uświadomiłem sobie: chyba mamy dość siły, by odzyskać dla siebie Ahiranę? Z pewnością musimy ją mieć. Paridżatdwipa odmówiła nam prawa do własnych władców. Cesarstwo nazywa nas zdeprawowanymi, choć czerpie od nas rozkosz i na niej zarabia. Pozwala, by butwienie nas

zabijało, i nic z nim nie robi, ponieważ nasze życie nie ma dla niego żadnej wartości. Ten cesarz... – Aśok wykrzywił wargi. – Ten cesarz jest potworem. Ale uświadomiłem sobie to wszystko, jeszcze zanim doszedł do władzy. Uświadomiłem sobie swój cel. Stojące przede mną zadanie. Zaś ty, Prijo, byłaś wtedy tylko dzieckiem.

– Słabym – rzekła. – Myślałeś, że jestem słaba.

– Byłaś dzieckiem – powtórzył, co nie było zaprzeczeniem.

Spojrzała na jego twarz. Jego silną, czerstwą twarz.

– Pijesz z fiolek – wyszeptwała. – Nawet teraz.

Skinął powoli głową.

– Wody utrzymują mnie przy życiu. I dodają sił.

– Wody muszą być brane ze źródła – zripostowała dziewczyna. –

Aśoku, przecież dobrze to wiesz. Pamiętasz, co się działo z pielgrzymami, którzy próbowali pić z fiolek? By się wznieść, potrzebujesz wód ze źródła, bogatych w magię, a nie czegoś, co zostało zabutelkowane, pomniejszone i... osłabione. A jeszcze podawać to innym... – Pomyślała o Minie i poczuła młodości.

– Trzy podróże przez bezśmiertne wody też nie są wolne od niebezpieczeństw – wtrącił się spokojnie. – Wiele świątynnych dzieci zginęło podczas tych prób.

To nie to samo, miała ochotę powiedzieć, ale powstrzymała się.

– Piję, by uzyskać siłę pozwalającą mi sprawić, by ludzie, którzy pragnęli nas spalić, którzy nas poniżają, zniknęli z naszego kraju. A ci, którzy decydują się wypić ze mną, myślą tak samo. To wliczone ryzyko – oznajmił łagodniej, być może w reakcji na grozę malującą się na jej twarzy. – Musimy wytrwać tylko do chwili, aż odnajdziemy bezśmiertne wody i przez nie przejdziemy. Nie dłużej.

– Nie uda wam się – odparła Prija. – To niemożliwe. Droga jest zbyt dobrze ukryta.

– To wymaga czasu – powiedział Aśok. – I dostępu do Hirany, którego nie mam. Wysłałem z tym zadaniem Minę, ale... – Urwał. – Bardzo mi na niej zależało. Żałuję, że musiałaś ją zabić.

– Ja również, bracie. Ale żałuję też, że ona próbowała zabić mnie – zrewanżowała się. – To twoje dzieło. Nie zamierzałam jej krzywdzić. Ale wolałam, by zginęła ona niż ja.

– Tak – zgodził się krótko. Zmierzył ją długim, szacującym spojrzeniem. – Nie powinienem był ukrywać przed tobą mojej pracy. Nie jesteś taka jak Bhumika, nie wykorzystujesz cudzych słabości. Zawsze byłaś ulepiona z mocniejszej gliny. Prijo... siostrze. Nie jesteś już dzieckiem. I jesteś silniejsza niż wtedy, gdy byłaś dzieckiem. Możesz pomóc mi teraz,

jeśli zechcesz. Pomożesz? Znajdziesz dla mnie drogę do bezśmiertnych wód? Masz dostęp do Hirany. Dostęp, czas i więcej cierpliwości, tak myślę, niż miała Mina.

Nie miał pojęcia, do czego zyskała dostęp.

– Dlaczego nie poprosisz Bhumiki? Dlaczego sam nie próbowałeś znaleźć drogi?

– Wokół Hirany kręci się zbyt wielu strażników, żebym mógł dostać się w pobliże – wyjaśnił Aśok. – A Bhumika wyczułaby moją obecność. Nie ma żadnego interesu w pomaganiu mi.

Jego ton ochłodził nagle na wzmiankę o ich wspólnej siostrze, jednak zaraz twarz znów mu się rozpozogdziła.

– Chciałem twojego bezpieczeństwa. Mina nie powinna była cię tknąć – powiedział Aśok głosem mającym złagodzić jej złość, rozbić jej opór niczym kruchą skorupkę jajka.

– Nie powinna była nikogo tknąć – zripostowała Prija. – Ale przecież tak właśnie postępujecie wy, buntownicy. Zabijacie.

– Kieruje nami cel.

– Paridżatdwipa też zabija, kierowana celem.

– Niesprawiedliwym celem. I dobrze o tym wiesz. – Brzmiał nadzwyczaj rozsądnie. Wyglądało na to, że nie była w stanie zbić go z tropu. – Chcą utrzymać swoje imperium i zdają sobie sprawę, że mamy w sobie wielkość, którą muszą zdusić. Pomniejszają nas. Kontrolują. Pozwalają nam umierać z butwienia.

– Butwienia raczej nie powoduje generał – odparła Prija.

– Nie? Niektórzy z nas uważają, że butwienie to AHIRANJA powstająca w proteście przeciwko cesarskiej władzy.

Dziewczyna skrzyżowała ręce.

– To absolutna bzdura, bracie.

– Czyżby? – W oczach Aśoka błyszczało nieziemskie światło. – A z jakiego innego powodu bezśmiertne wody zaczęły przekazywać nam dary? Pokolenia świątynnych dzieci przechodziły przez nie, nie podlegając żadnym zmianom, a tu nagle pojawiliśmy się my. – Wyciągnął przed siebie ręce z rozłożonymi dłońmi. – Nagle zyskaliśmy mityczne moce jakszów. Moc ukazała się w naszych głosach, naszej skórze, naszych duszach. Nagle nadeszło butwienie. Uważasz, że to wszystko dzieje się bez powodu? Że to wszystko nie ma szerszego znaczenia?

– A na co zdały nam się te dary? – warknęła Prija. – Trudno w ogóle mówić o mojej mocy.

– Ale odzyskałaś swoje dawne siły – odparł Aśok. – Jesteś niemal taka, jaka miałaś być. – Wyobraź sobie, co jeszcze moglibyśmy wspólnie

osiągnąć, sugerował jego głos.

Nic na to nie powiedziała, uparcie zachowywała milczenie. Zdawała sobie sprawę, że Hirana ją wzmocniła. Poczula to, gdy położyła się na jej powierzchni i wyciągnęła rękę do Simy. Poczula to, gdy zrzuciła Minę na śmierć. Poszukiwała przecież tej siły.

A jednak.

– Obserwowałam, jak płoną trzykrotnie zrodzeni, tak samo jak ty – powiedziała mu w końcu. – Dary ich nie uratowały. Siła też nie.

– Nie popełnimy takich samych błędów jak oni – odparł Aśok. – Nie zaufamy tym, którym nie powinniśmy.

– Ja nie powinnam ufać tobie – zripostowała Prija, jednak czuła się uradowana, wściekła oraz bardzo bliska łez. Nie potrafiła mu nie ufać. Nie wiedziała jak.

Jego twarz złagodniała. Wyciągnął dłoń, przytrzymał ją pomiędzy nimi, jakby w wyrazie pytania, po czym dotknął knykciami jej policzka.

– Tak bardzo urosłaś – powiedział w zadziwieniu.

– Generalnie tak właśnie działa czas.

– Masz skrzywiony nos. Wcześniej był taki?

Ujęła jego dłoń i odsunęła ją od siebie. Puścił ją.

– Musisz mi uwierzyć, Pri. Martwiłem się o ciebie – powiedział, znów odzyskując powagę. – Pilnowałem cię oczami innych. – Nie spojrział na Rukha. – Choć byłoby to dla mnie prostsze, gdybyś nie mieszkała w domostwie regenta.

– Wylądowałam tam wyłącznie przez ciebie.

– Myślałem, że opuścisz służbę u Bhumiki, gdy dorośniesz. Nie powinna była trzymać cię jako byle służącej.

– Nie jestem już dzieckiem, Aśoku – rzekła Prija spokojnie. – Może i trafiłam do domostwa regenta przez ciebie i Bhumikę, ale żadne z was już nie kontroluje moich decyzji. Jestem dorosłą kobietą. Gdybym tak zdecydowała, mogłabym już być mężatką i matką.

Prychnął.

– Nigdy nie miałaś skłonności do małżeństwa.

– Gdybym tylko żyła w Epoce Kwiatów – powiedziała cierpko, jednak nie pozwoliła sobie odczuwać goryczy – mogłabym poślubić kobietę, jak czyniły pradawne. Jednak i teraz mogłabym zamieszkać z miłą dziewczyną, niezależnie od małżeństwa – dodała, wzruszając ramionami. – Niemniej zdecydowałam zostać w mahalu.

– Dlaczego? – Prija zaczęła odpowiadać, ale Aśok już znowu mówił: – Zostałaś, Prijo, ponieważ tak samo jak ja nie potrafisz zapomnieć, czym powinniśmy być. Czujesz, jakie to niesprawiedliwe, że wszystko ci

odebrano. Może nie chcesz ujrzeć wolnej Ahiranji w taki sposób jak ja, ale pragniesz tego, co prawomocnie ci się należy. I mnie. – Nachylił się bliżej. – Proszę, Pri. Pomóż mi. Pomóż nam obojgu.

Miała wrażenie, że nie stoi już na pokrytej mchem leśnej ziemi, nie jest dorosłą kobietą zaciskającą pięści u boków. Zamiast tego była dzieckiem pokrytym sadzą i krwią. Wciskała głowę w jego pachę, gdy biegł, starając się ją utrzymać, i szeptał: „Nie patrz, Pri. Nie patrz, nie patrz”.

„Pokaż mi tylko drogę...”

– Potrzebujemy bezśmiertnych wód. – Jego głos był niczym wiatr o północy. – Znajdziesz dla nas drogę, Prijo? Pomożesz mi odzyskać to, co nam skradziono?

Pomyślała o Bhumice, ciężarnej i poślubionej mordercy, wykorzystującej wszystko, czym dysponowała, by zapewnić garstce sierot krztynę życia, zaś Ahiranji krztynę stabilności.

Pomyślała o Rukhu, który związał swój los z buntownikami, który miał dłonie przeżarte butwieniem i nie czekała go żadna przyszłość.

Pomyślała o Hiranie. O jej pulsie pod stopami.

Być może samolubne było pragnąć więcej, niż się miało. Być może była to pomyłka. Ale zastanawiała się nad wszystkim tym, co wycierpiała, nad wszystkim, co wycierpiała Ahiranja, i czuła, jak w jej piersi rozkwita ziarno gniewu.

– Tak – powiedziała. – Bracie. Przypuszczam, że tak.

Służąca przybyła wczesnym rankiem. Malini leżała na czarpaju zwinięta na boku, a pomieszczenie przechylało się i kołysało leniwie wokół niej, gdy Pramila odryglowała drzwi i weszła.

– Masz ogromne szczęście – powiedziała. – Twoje nowe obowiązki nie będą szczególnie pracochłonne, a gdy opuścisz służbę u mnie, odejdziesz ze znacznie doskonalszymi umiejętnościami. Być może nawet wzrośnie twoja pozycja w domostwie regenta. Czy to nie byłoby miłe?

– Tak, damo. – Głos, który odpowiedział, był niski i ciepły, ze śpiewną intonacją Ahiranyjki mówiącej w zaban. Malini zamknęła oczy, ciesząc się, że jest odwrócona plecami, i przygotowała się.

Widziała już tę służącą dwukrotnie. Za pierwszym razem, gdy odrętwiałymi rękoma rozlała wino na podłogę, zbyt odurzona igłokwiatem, by móc robić cokolwiek innego poza pełzaniem, łkaniem, wpatrywaniem się w twarz widoczną za kratownicą oraz histerycznym rozmyślaniem, czy wszystko to sobie wyśniła.

Za drugim razem patrzyła, jak służąca morduje kobietę.

Nie pamiętała jej twarzy. Jedynie jej ręce i falujące na nich mięśnie, gdy walczyła. Jedynie sposób, w jaki się wyprostowała, ściągnęła barki, jak wiatr szarpał jej czarne włosy. Pamiętała tylko, jak służąca obróciła się i spojrzała na nią. Szok w jej oczach.

Pamiętała, jak myślała – zastanawiając się jednocześnie, czy służąca ją zabije, a jej umysł wtedy wykręcał się, wykrzywił i analizował to, co widziała i słyszała – że dziewczyna mogłaby się jej przydać.

Mogłaby ją wykorzystać.

Walczyła o tę szansę. Przy Pramili i strażnikach udała, że się przewraca, co pozostawiło bardzo rzeczywistą bliznę na jej biodrze, płakała przy regencie jak rozhisteryzowane dziecko. Wszystko po to, by zdobyć tę służącą, która nie była podporządkowana Santosowi, Pramili ani Ćandrze, która zapewne nie była tylko służącą, a teraz stała przed nią w tym wypalonym więzieniu.

– Księżniczko – rzekła Pramila. Mówiła w urywany sposób, niemal jakby cięła ostrzem, zwracając się do pleców Malini. – Mam twoją nową służącą. Tutaj, tak jak błagałaś. Nie jesteś zadowolona? Nie przywitasz nas odpowiednio?

Malini odetchnęła, by się uspokoić, i podniosła się na łokciach, po czym usiadła. Obróciła się i ustawiła bosc stopy na kamiennej podłodze. Pokój zakołysał się niepokojąco wokół niej, ale zaraz znieruchomiał.

– Ta, która uratowała mi życie – powiedziała powoli, nie spiesząc się ze słowami, by mieć czas na przyjrzenie się kobiecie. – Pamiętam.

Służąca stała w plamie blasku wpadającego z położonego wysoko okna. Połowa jej ciała była oświetlona, połowa kryła się w cieniu. Miała na sobie sari nieco lepszej jakości niż wtedy, gdy Malini widziała ją ostatnio. Ktoś musiał ją wystroić na to spotkanie. Jej włosy, otulone chustą o barwie umbrzy, wylaniały się z tyłu w schludnym warkoczu. Dziewczyna nie była ani piękna, ani urokliwa, ani specjalnie brzydka. Kryło się w niej coś przeciętnego: w sposobie, w jaki stała z lekko wysuniętą głową i nieco opuszczonymi barkami, w prostocie jej stroju, w nieszczególnym wzroście. Gdyby Malini nie widziała jej w triweni, gdyby nie widziała jej w mroku przez kratownicę, w ogóle by jej nie dostrzegła.

– Ta, której zażądałaś od generała, owszem – potwierdziła Pramila. – Skłoń się przed nią, dziewczyno.

Służąca wdrygnęła się lekko, jakby zupełnie zapomniała o Pramili, po czym pokłoniła się. Dotknęła podłogi opuszkami palców. Następnie wstała i wtedy, przypadkiem bądź celowo, skrzyżowała wzrok z Malini.

W świetlnej plamie jej oczy miały barwę ciepłego brązu, a brwi wydawały się bardziej złote niż czarne.

– Podejdź bliżej – poleciła Malini. – Proszę.

Służąca zrobiła to. Przeszła po podłodze, zostawiając damę Pramilę za sobą.

– Jak masz na imię?

– Prija, księżniczko.

– Ja jestem Malini. Ale musisz nazywać mnie damą, nie księżniczką. Wchodzisz teraz w skład mojego domostwa.

Prija zapewne nigdy nie miała powodu, by zapoznawać się z tajnikami tytulatury w domostwach cesarskich kobiet, niemniej posłusznie odpowiedziała:

– Tak, damo.

– Jak zaczęłaś pracę w domostwie regenta, Prijo?

– Jestem sierotą, damo. Regent łaskawie przygarnął mnie, gdy byłam młodą dziewczyną.

– Jakie to miłe z jego strony.

– Jestem regentowi wdzięczna za okazaną uprzejmość – rzekła Prija. Mówiła słuźalczym głosem, ale spojrzenie wciąż skupiała na Malini, jakby była zauroczona. Lekko rozchyliła usta.

– A ja jestem wdzięczna za twoją obecność tutaj, Prijo – odpowiedziała Malini, nie zrywając kontaktu wzrokowego. Służąca patrzyła na nią tak, że księżniczka wpadła w zadumę. – Tak bardzo się boję. Mam problemy z jedzeniem i snem. Być może twoja obecność pomoże mi się nieco uspokoić.

– Mam taką nadzieję, damo.

Gdy Malini wyraziła chęć otrzymania informacji, Pramila rzekła jej zwięźle, że pozostałe słuźące wciąż będą przychodzić, żeby wykonywać większość pracy przy karmieniu strażników, przynoszeniu zapasów i sprzątaniu, ale tylko jedną noc w tygodniu, by nie przeszkadzać Malini w kontemplacji, zaś nowa słuźąca zajmie się wygodami ich obu. Ich kąpielami i posiłkami. „Jeśli masz szczęście, będzie wiedziała, jak cię ubierać i splatać włosy” – rzekła Pramila tonem sugerującym, że nie spodziewa się czegoś podobnego po dziewczynie zamiatającej podłogi, niemniej nie traci nadziei.

– Bardzo by mi się spodobало, gdybyś mogła opowiadać mi historie, Prijo – rzekła szczerze Malini, wychylając się naprzód i splatając przed sobą palce. – Czy zechciałabyś to robić? I strzec mnie podczas snu? Uważam, że bardzo by mi to pomogło.

Prija skinęła głową w milczeniu.

Nie wiedziałabym, czym jesteś, gdybym cię nie widziała, dumala Malini. Gdybyś nie poruszała się tak, jak na Hiranie.

Chyba nie przywykłaś do tego, że ktoś na ciebie patrzy, prawda, Prijo?

Na tę myśl coś ciepłego zagnieździło się w jej brzuchu. Zdołała dostrzec wartość tej kobiety, gdy nie udało się to innym. Nawet jeśli zrobiła to nieświadomie – gdy po odkryciu, że Pramila nie zarygłowała jej pokoju, wyszła chwiejnie na korytarz i zobaczyła służącą w triweni, widziała przed sobą kobietę pełną surowego potencjału. Kogoś potężnego, kto na nią spojrział, zupełnie jakby Malini – chora, zaniedbana, ze splątanymi włosami i otepiałym umysłem – miała w swoim wnętrzu słońce.

Kogoś, kogo mogła wykorzystać, by się uwolnić.

Nie traciła nadziei. Och, na matki, nie traciła jej.

– Pokojówka będzie miała mnóstwo innych obowiązków – powiedziała Pramila od drzwi. – Nie będzie mogła całymi dniami siedzieć przy tobie, księżniczko. Pamiętaj o tym.

– Generał dał ją mnie – odparła Malini. – By zapewnić mi zdrowie i spokój.

Pramila parsknęła.

– A jakie historie może ci opowiadać? Pewnie nawet nie jest piśmienna. Prawda, dziewczyno?

– Jestem ahiranyjską pokojówką – rzekła Prija, co niekoniecznie oznaczało potwierdzenie. – I nikim więcej.

Malini uśmiechnęła się do niej samymi kącikami ust i dostrzegła, że służąca otworzyła oczy nieco szerzej.

Obie wiedziały, że to kłamstwo.

– Moja niańka opowiadała mi ahiranyjskie legendy ludowe – powiedziała Malini. – Moi bracia i ja uważaliśmy je za fascynujące. Znasz je, prawda, Prijo?

– Owszem, damo. W mahalu jest... dziecko, któremu czasami opowiadam takie historie. Z chęcią podzielę się nimi z tobą.

Malini widziała, jak ta dziewczyna zabiła kogoś bez wahania i najwyraźniej bez wyrzutów sumienia. Widziała, jak poruszała się z szokującą zwinnością i brutalną siłą. Ale oto w jej słowach wyraźnie ukazywało się miękkie serce.

– Dziękuję ci – rzekła Malini i uśmiechnęła się. – Bardzo bym tego chciała, Prijo.

Prija nie spędziła na Hiranie jeszcze tygodnia, a już jej się wydawało, że zaraz oszaleje.

Ponieważ nie miała nikogo do pomocy przy praniu ubrań, zamiataniu podłóg, dźwiganiu wody i rozpalaniu ognia – nie wspominając już o karmieniu całego domostwa, w tym strażników przy wrotach – czuła się przytłoczona. Pramila najwyraźniej uważała, że wizyty pozostałych służących raz w tygodniu wystarczą, ale oczywiście nie wystarczały. A Prija sama zaczynała czuć się jak więźniarka.

Pramila wiecznie ją obserwowała, nieustannie miała skwaszoną minę i wciąż sączyły się z niej żale. Nocą pilnowała, by wartownicy ryglowali północną komnatę z Priją i Malini w środku. O świcie ją otwierano, by dziewczyna mogła wrócić do obowiązków.

Malini jedynie... spała. I czasami budziła się, by spoglądać na Priję swoimi niepokojącymi ciemnymi oczyma, zanim poprosiła o drobne przysługi: szklankę wody, odrobinę olejku różanego do odświeżenia poduszek, wilgotną gazę na głowę, by łatwiej jej było znosić upał za dnia.

Nie prosiła o opowieści. Nie pytała, co Prija zrobiła Minie tamtej nocy. Pytania, których nie zadawała, były niczym miecz wiszący przy gardle Prii.

Każdego wieczoru, zanim zaryglowano drzwi, Pramila odwiedzała Malini i wygłaszała wykład na temat matek płomienia. Recytowała liczne

ustępy z grubej książki, którą trzymała otwartą na kolanach. Księżniczka słuchała bez słowa. Następnie Pramila dawała jej wino, które Malini posłusznie wypijała i odurzona zapadała w sen.

Pewnego razu, gdy Prija zajmowała się składaniem czystych sari Malini, usłyszała, jak Pramila mówi o świątynnych dzieciach i starszych. Zorientowała się, że nagle znieruchomiały jej dłonie. Nie potrafiła zmusić się do ruchu, więc słuchała dalej.

– ...a dzieci zdecydowały się pójść w ślady starszych i spłonąć. To honorowa śmierć nawet dla nieczystych – oznajmiła wymownie kobieta.

– Dzieci nie spłonęły dobrowolnie – mruknęła Malini. Leżała na plecach z dłońmi złożonymi na brzuchu, z oczyma otwartymi i wpatrzonymi w sufit. Ten sam sufit, który pokrywała warstwa sadzy z nocy, kiedy rodzina Prii zginęła. – Jak dzieci mogłyby zdecydować, że chcą zostać spalone?

Pramila westchnęła, jakby była zmęczona tym sporem, najwyraźniej trwającym od dawna pomiędzy nimi.

– Znaczenie lekcji jest takie – oznajmiła – że spłonienie jest święte. Kładzie kres ludzkim niedostatkom. Stanowi dar.

Nie zauważały Prii ani o niej nie myślały, nawet gdy tkanina wysunęła jej się z drżących dłoni.

Kiedy wreszcie doszło do cotygodniowej wizyty pozostałych służących, nie wolno jej było wymknąć się na spotkanie z Simą lub Gauri. Chodziła po północnej komnacie, nie spoglądając na księżniczkę, nie nasłuchując kroków swoich koleżanek za ścianami. Później niechętnie zasnęła na słomianym materacu przy drzwiach, otulona chustą.

Spędzała czas, rozmyślając o Bhumice, spoglądającej stanowczym wzrokiem, w zaawansowanej ciąży, desperacko próbującej utrzymać w całości rozpadające się domostwo. Rozmyślała o Aśoku, który żył, który poprosił ją, by go uratowała, by uratowała ich wszystkich dzięki temu, co i tak zamierzała zrobić.

Rozmyślała o Rukhu, dziecku, za które wzięła odpowiedzialność i które zostawiła. O dziecku pragnącym tylko pomóc w budowie lepszego świata.

Przycisnęła ucho do słomianej maty i wyobrażała sobie, że słyszy wody, dziwne, głębokie i potężne, poruszające się gdzieś poniżej. Tuż poza jej zasięgiem.

Cierpliwości. Potrzebowała cierpliwości. Jej więź z Hiraną wzmacniała się. Gdy chodziła po kamiennej podłodze, wydawała jej się ona ciepła niczym ziemia wysuszona słońcem. Płaskorzeźby na ścianie w północnej komnacie zaczęły się poruszać. Subtelnie, duchom niech

będą dzięki. Dochodziło zaledwie do lekkiej zmiany w oczach albo ustach czy też w ustawieniu dłoni jakszów, gdy ociekające jadem palce obracały się w górę lub otwierały się zaciśnięte pięści. Na kwiatkach wokół nich pojawiały się nowe płatki, zawinięte niczym płomień. Jeśli ten efekt się pogłębi, w końcu nawet księżniczka Malini lub Pramila to zauważą.

Kiedyś, gdy była dziewczynką, powiedziano jej, że z Hiraną łączy ją wyjątkowa więź. Potrafiła znaleźć drogę do bezśmiertnych wód z zamkniętymi oczyma, kierując się wyłącznie instynktem. Teraz gdy owa więź na nowo się wzmacniała, ten instynkt wróci.

Taką miała nadzieję.



Służące przyniosły ziarno, opał i olej. Wysprzątały Hiranę do czysta, a za patelnię zostawiły dla Prii wiadomość: odciski palców pospiesznie odbite na kawałku białej tkaniny.

Prija przełknęła gulę w gardle. Dla tych, którzy nie potrafili pisać, była to jedyna pamiątka, jaką mogli zostawić bliskiej osobie, która znalazła się daleko od domu.

Ugotowały śniadanie dla księżniczki: przygotowywane na wolnym ogniu kiczadi posypane kuminem, grube paratha z jogurtem i cukrem oraz malai usiany rodzynkami. Zanim Malini obudziła się późnym rankiem, ospała i ledwo świadoma tego, co dzieje się wokół niej, paratha już stwardniały, kiczadi ostygło, a malai się ściął. Pramila też ledwo tknęła jedzenie. Zupełnie jakby obie gryzło coś, co nie zostawiało miejsca na głód. Zatem to wartownicy zjedli większość, a Prija zostawiła wybrane kąski dla siebie.

Księżniczka ledwo korzystała też z wody, którą Prija grzała każdego ranka. To Pramila używała jej do pobieżnego obmycia się, a później pozwalała Prii czesać sobie włosy i powarkiwiała na nią, gdy dziewczyna trafiła na splątany kosmyk albo wiązała je z powrotem zbyt ciasno. Malini po prostu spała brudna i potargana. Zaś Prija... obserwowała, wykonywała polecenia i czuła, jak rośnie jej pogarda do Pramili.

Nie była pewna, czy kobieta celowo zaniedbuje Malini, czy też uważa, że kwestia karmienia, mycia oraz obsługiwania księżniczki stanowi obowiązek służby, a zatem znajduje się poniżej jej godności.

Podejrzewała jednak, że chodzi o to pierwsze. Żądała, by rozpalać dla niej ogień i podgrzewać jej jedzenie, lecz zupełnie nie obchodził jej dobrostan Malini, jeśli tylko cesarska siostra słuchała świętoszkowatych opowieści i wypijała wieczorne wino.

Priję zdumiewała bezużyteczność wysoko urodzonych kobiet. Coraz bardziej gardziła nimi wszystkimi. Kiedyś sama miała znaczny status, jednak świątynne dzieci wyławiano z wiosek i osad w całej Ahiranji, a później testowano całymi dniami pod kątem siły, odporności i sprytu. Gdyby Prija odmówiła rozpalenia ognia jako dziewczynka, oberwałyby po uszach za lenistwo. Kiedy była dzieckiem, lenistwo stanowiło słabość, której należało się oduczyć.

Dzięki duchom, wkrótce nadejdzie święto i przynajmniej przez chwilę będzie wolna.



– Oczywiście, że nie wyjdiesz.

– Wszyscy służący dostają wolny dzień – rzekła Prija. – Damo – dodała po chwili. Wołała nie rozzłościć Pramili zanadto. Nie wtedy, gdy czegoś od niej potrzebowała.

– Zostaniesz tutaj – oznajmiła powoli kobieta, jakby Prija była głupia. – Słyszysz teraz cesarskiej dziedzicze, dziewczyno. Nie rozumiesz? Wasze miejscowe zwyczaje nie mają tu zastosowania.

Prija była niemal pewna, że słudzy w innych częściach Paridżatdwipy również dostają wolne dni, ale co by jej dało, gdyby to powiedziała, skoro dama Pramila patrzyła na nią jak na idiotkę i najwyraźniej podjęła już decyzję?

– Ja... ja mam inne obowiązki.

– Już nie. Obowiązki pełnisz tutaj – odparła Pramila. – A teraz przynieś mi kolację i kubek herbaty. Dobra dziewczyna.

Prija skinęła głową i wymamrotała potwierdzenie. Podgrzała porcję jedzenia, zaparzyła garnek herbaty z przyprawami i trzcina bambusową. Przez cały czas dłonie trzęsły jej się z powstrzymywanej furii.

Nalała herbatę. Przygotowała talerz. Wróciła do Pramili i rozstawiła posiłek. Opuściła pokornie oczy i rzekła:

– A może mogłabym chociaż porozmawiać z innymi służącymi...

– Tak, tak – odparła kobieta, machając lekceważąco ręką. Zdjęła z pasa klucz i rzuciła go Prii. – Zatrzymaj go, dziewczyno. Mam drugi. Zrób, co trzeba. Ale nie pozwól księżniczce się wałęsać, rozumiesz?

– Tak, proszę pani. Dziękuję.

Przynajmniej w tej kwestii odniosła mały triumf – pozwolono jej porozmawiać z pozostałymi służącymi, a do tego dostała dowód, że Pramila nie czuje już potrzeby jej pilnować. Fałszywa uległość dała jej wolność, pozwoliła stać się niewidzialną i opuścić celę Malini.

Prija znów znajdowała się poza podejrzeniami. I mogła na nowo eksplorować Hiranę.

Odnalazła Simę pod wschodnią komnatą. Przyjaciółka obróciła się gwałtownie, czując dłoń na ramieniu. Otworzyła szeroko oczy i otoczyła Priję ramionami, ściskając ją tak, że prawie połamała jej kości.

– Sporo emocji – rzekła Prija lekko żartobliwie. – Mogłabym pomyśleć, że za mną tęskniłaś.

– Oczywiście, że za tobą tęskniłam. Wiesz, jak nudno jest bez ciebie? Żadna z pozostałych dziewczyn o niczym nie plotkuje, to same idiotki o głowach jak sowy. – Sima pociągnęła nosem. – Ale spójrz tylko na siebie. Twoje sari...

– Kazano mi je nosić.

– Cóż, całkiem przyjemne. Sama nie odmówiłabym nowego sari. – Choć Sima wprawnie naprawiła rozdarcie rękawa po upadku, szew był widoczny, wyglądał jak wypukła blizna na tkaninie. – Dlaczego nie rozmawiałaś z żadną z nas? Szukałam cię. Gauri pytała dozorczyńnię o ciebie, ale usłyszała, że jesteś zajęta i że ma przestać wypytywać.

– Mam w nocy obowiązki, które zajmują mi czas – wyjaśniła Prija. – Nie żeby mi się to podobało. Ja za wami też tęskniłam. Musisz powiedzieć mi o wszystkim, co przegapiłam. O wszystkim, jasne?

Sima roześmiała się.

– Oczywiście. Od czego mam zacząć?

– Najpierw mów o Gauri. I Billu, jeśli chcesz. No i...

I o Rukhu, niemal dodała, ale urwała. Słowa zawisły jej na języku, niewypowiedziane.

Oczywiście. Rukh.

– No i? – ponagliła ją Sima.

Prija pokręciła głową.

– No, mów – powiedziała. – Zaczynaj od nich. I od siebie. Chcę wiedzieć, co porabiałaś beze mnie.

Na szczęście Sima zaczęła opowiadać już bez dalszych namów. Prija słuchała i myślała o problemie z Rukhem. Z Rukhem i jego

lojalnością.

Rukh był lojalny wobec buntowników. Rukh był szpiegiem. Tkwiąc tu, w Hiranie, bez możliwości skorzystania z dnia wolnego, Prija nie mogła go obserwować. Nie mogła chronić go przed nim samym.

Wiedziała, że jej obowiązkiem było powiedzieć o nim Bhumice. Nie miała co do tego wątpliwości.

Ale nie zamierzała tego zrobić.

To postanowienie rozlało się po niej. Zagnieździło się w jej kościach.

Samotny mały sługa nie mógł dowiedzieć się wiele o funkcjonowaniu mahalu. Nie był wyszkolonym szpiegiem, a jedynie dzieckiem. Do tego był młody i idealistyczny, umierający i samotny. Nie zamierzała, nie potrafiła posłać go z powrotem do miasta z niczym, a przecież Bhumika odprawiałaby go, gdyby знаła prawdę, Prija nie miała co do tego wątpliwości.

Dla chłopca z butwieniem, głodnego, pozbawionego rodziny, byłoby to równoznaczne z wyrokiem śmierci.

– Potrzebuję przysługi – rzekła do Simy, gdy ta w końcu ucichła.

– Mów.

– Rukh – powiedziała, a Sima westchnęła, jakby zgadywała, o co chodzi. – Ja... czy mogłabyś upewnić się, że nic mu nie jest? Wciąż jest w miarę nowy w mahalu. Tak naprawdę nie wie, jak wszystko działa. I mogłabyś też sprawdzić, czy ma dość świętego drewna? Czy dama Bhumika mu je przekazała...? Wiem, proszę o wiele.

– Mówiłam ci, że chętnie pomogę ci w każdy możliwy sposób, prawda? Spróbuję.

– Jeśli będzie się zachowywał nietypowo albo jeśli zaczniesz się z jakiegoś powodu martwić, czy mogłabyś... jakoś przesłać mi wiadomość? Zostawić mi notatkę, gdy tu przyjdiesz? – Prija zakłęła w duchu. Nie dało się w subtelny sposób powiedzieć czegokolwiek zbliżonego do „jeśli zdradzi domostwo, daj mi znać”.

Sima zmierzyła ją wzrokiem, zupełnie jakby uznała słowa przyjaciółki za dziwne, jednak skinęła głową.

– Wiesz, że tak zrobię – zapewniła.

Tym razem to Prija ją uściśnęła, tak mocno, że Sima zaprotestowała ze śmiechem, że nie może oddychać. Zatem Prija odsunęła się i rzekła niechętnie:

– Powinam już iść. Księżniczka wkrótce się obudzi. Powinam się przygotować.

– Jesteś bezpieczna? – wypaliła Sima. – I... dobrze się czujesz?

– Jest w porządku.

– A księżniczka...?

– Nie jest trudną panią.

– A jednak wciąż jest bardziej panią, niżbyś chciała, jak sądzę – rzekła Sima z nieznacznym, bardzo gorzkim uśmiechem. Znów wyciągnęła rękę do Prii, ścisnęła jej dłoń i puściła. – Uważaj na siebie. I... porozmawiaj ze mną znowu. Zapewnij mnie, że nic ci nie jest.

Prija pokręciła głową. Czowała w sobie całą nagromadzoną furię. Miała ochotę zrezygnować ze zobowiązań związanych z bezśmiertnymi wodami i cierpiącą księżniczką, po czym wrócić do kojących obciążeń własnego życia. Część niej desperacko pragnęła odejść z Simą, uciec z pułapki, którą sama na siebie zastawiła.

Jednak reszta niej chciała doprowadzić to wszystko do końca.

– A co zrobisz, jeśli coś mi będzie? – spytała.

– Nic – odparła Sima. – Nie będę mogła nic zrobić. Ale mimo to wolałabym wiedzieć. Przyjaciele chcą wiedzieć takie rzeczy.



Nadszedł świt i służące wyszły. Gdy pierwsze światło brzasku przesączyło się nad czarpajem, księżniczka obudziła się. Jęknęła i schowała twarz w dłoniach. Następnie podniosła głowę. Drżały jej ręce. Białka jej oczu były przekrwione.

– Prijo – powiedziała – chciałabym się umyć.

Dziewczyna przywykła do łagodnych, dziwnych próśb ze strony księżniczki, gdy ta na wpół spała. Jednak teraz Malini była zupełnie rozbudzona, stała, mówiła stanowczym i władczym głosem.

Wykonanie tak nieskomplikowanego zadania z pewnością nie będzie oznaczało złamania żadnych praw, ale Prija mimo to dotknęła zdobytego wielkim kosztem klucza wiszącego u jej pasa na łańcuszku. Miała nadzieję, że Pramila jeszcze się nie obudziła.

– Podgrzeję wodę, damo – powiedziała Prija, zaczynając się krzątać po pokoju, by wziąć ręcznik, mydło i grzebień.

– Nie. Potrzebuję zimnej wody. Już teraz, proszę. – Księżniczka wyciągnęła rękę bladą jak drewno sandałowe, przywołując dziewczynę bliżej.

Prija podeszła, a Malini wzięła ją wtedy pod rękę, opierając swoje kruche ciało na niższej sylwetce służącej. Prija nie powinna być zdolna do tego, by tak łatwo ją podeprzeć, ale przecież składała się wyłącznie z mięśni i ścięgien, podczas gdy z Malini zostały kruche kości bez śladu mięśni.

Służąca popatrzyła na dłoń na jej rękę. Przez miękką skórę księżniczki dało się dostrzec żyły w kolorze morza.

Dość absurdalnie Prija pomyślała o Altanie. O brzęku białych kości na wietrze.

Powoli opuściły północną komnatę i przeszły przez triweni. Prija w każdej chwili spodziewała się widoku Pramili, ale na szczęście nie dostrzegła jej, gdy opuściły otwartą przestrzeń i znalazły się w ciemnym korytarzu. Przed wyjściem ze świątyni służące zgasiły wszystkie lampy na ścianach, by oszczędzać olej i knoty.

– Musisz mi wybaczyć, że stanowią tak okropne towarzystwo – rzekła Malini. – Kiedyś byłabym wspaniała, ale nie jestem już taka jak dawniej.

Nagle skrzyżowała wzrok z Priją, która niemal się potknęła. Poczula się jak w momencie, kiedy po raz pierwszy spojrzały na siebie przez kratownicę, jakby przeszła ją błyskawica. Prija nie wiedziała, czy kiedyś przywyknie do dziwnego doznania, że widzi ją, naprawdę widzi ją ktoś, kto dysponuje nad nią władzą.

– Mam paskudne sny – zdradziła Malini jakby tytułem przeprosin. W półmroku jej głos był niczym ptasie skrzydło ocierające się o ucho. – Mam je za każdym razem, gdy śpię. Śnię wtedy o cesarskim mahalu. Śnię o moich ulubionych pomocnicach. Śnię o... – Na moment załamał jej się oddech. – O tym, co zrobił mój brat.

Chwila milczenia. Jej dech stał się cichy niczym stąpanie tygrysich łap.

Prija odwróciła od niej wzrok.

– Tędy, damo – rzekła, prowadząc Malini do komnaty łaziennej.

Nie czekając, aż Prija ją rozbierze, i ignorując niemrawe próby protestu ze strony służącej, księżniczka usiadła na niskim stołku. Niecierpliwie szczesywała sobie potargane włosy z twarzy, podczas gdy Prija dźwigała pełne wiadro letniej już wody, które zostawiły jej koleżanki.

– Zimna, mówiłam.

– Damo...

– Proszę.

Prija poszła do kuchni – był tam zapas wody – i przyniosła kolejne pełne wiadro do łaźni. Postawiła je na podłodze, wzięła chochlę o długiej rączce i zanurzyła ją w naczyniu.

– Podaj mi chochlę – poleciła Malini.

Prija nie spierała się. Księżniczka wzięła od niej czerpak i wylała sobie zimną wodę prosto na głowę. Rozlegl się plusk, gdy ciecz spadła na kamień posadzki, a spomiędzy zaciśniętych zębów Malini dobiegło syknięcie. Kapało jej z włosów i miała przemoczone sari.

Służąca odwróciła się i ostentacyjnie szukała grzebienia, który wsunęła sobie wcześniej w fałdy sari, oraz mydła. Zapomniała o ręczniku. W duchu dumiała nad absurdalnością swojego życia.

– Czy mam ci umyć włosy?

Malini przez chwilę milczała z pochyloną głową. Następnie znów zanurzyła chochlę i wylała sobie jej zawartość na głowę.

– Tak – powiedziała w końcu, gdy po twarzy spływały jej strumyczki. – Jeśli chcesz.

Prija stanęła za nią i pochyliła się. Przytrzymała sobie sari kolanami, by się nie zamoczyło.

Lekko ujęła włosy Malini. Były gęste, ciemne i absolutnie, paskudnie poplątane. Prija nie śmiała myśleć, ile minęło czasu, odkąd ktoś je ostatnio czesał. Na pewno nie robiła tego sama Malini – ech, te wysoko urodzone kobiety – a Pramila nawet nie próbowała. Mimo to służąca delikatnie przesuwiała wzdłuż nich palce, starając się rozluźnić najłżejsze sploty, choć dysponowała zaledwie mokrymi dłońmi.

– Będę musiała użyć olejku – powiedziała ostrożnie – żeby usunąć najgorsze sploty. Teraz nie zdołam zrobić zbyt wiele.

– Moje pokojówki w Paridżacie używały olejku jaśminowego – wspomniała Malini. – Był ulubionym mojej matki, choć ja nigdy za nim szczególnie nie przepadałam.

Księżniczka nawet się nie skrzywiła, gdy Prija zahaczyła o jeden kłęb paznokciem, nie zareagowała, gdy Prija przeprosiła, a później sięgnęła po chochlę i wylała więcej wody na głowę Malini, po czym zaczęła lekko wcierać w nie rzadką mydlaną pianę, żeby je umyć.

Ukryty pod włosami kark Malini był blady, a jej barki przez mokrą tkaninę sprawiały wrażenie ptasich kosteczek. Na szyi widniała stara blizna, wąska, srebrna smużka zakrzywiona jak sierp.

– Mogę zdradzić ci sekret, Prijo?

Gdyby Sima tak się do niej odezwała, dziewczyna konspiracyjnie nachyliłaby się bliżej, zaśmiała się lub uśmiechnęła i rzekła, że może powiedzieć, co tylko chce – lekkie, niewymuszone słowa. Jednak

z księżniczką nie mogła zachowywać się tak swobodnie. Pomyślała o wszystkich pytaniach, jakie Malini jej zadawała, gdy tu przybyła. Płynęły wtedy miarowym, cierpliwym strumieniem, pozwalały cesarskiej siostrze ocenić Priję.

Szukała odpowiednich słów, żałując, że nie ma tak szybkiego umysłu i tak elokwentnego języka jak Bhumika.

– Jestem twoją lojalną służką, moja damo – powiedziała pospiesznie, wypełniając zalegającą ciszę. – Możesz mówić mi, co tylko zechcesz.

Malini przez chwilę milczała, gdy Prija rozplątywała jej włosy, a woda ściekała na podłogę.

– Czy wiesz – zaczęła w końcu – dlaczego Pramila opowiada mi o matkach płomienia?

Ponieważ twój brat chce, żebyś spłonęła, pomyślała Prija. Rozumiała to.

– Nie wiem, moja pani – rzekła. Uznała, że będzie to najbezpieczniejsza odpowiedź.

– Ponieważ mój brat chce, żebym była czysta i honorowa jak one. Ponieważ sądzi, że jedynym sposobem, w jaki kobieta naprawdę może służyć cesarstwu, w jaki może okazać się dobra, jest złożenie ofiary z życia. – Opuściła lekko głowę i spojrzała na swoje dłonie. – Czczę matki, Prijo. Powinnam chcieć zostać jedną z nich. W końcu spłoniecie jest dolą wyłącznie najodważniejszych i najszlachetniejszych kobiet. Ale... bałam się. – Jej głos lekko się załamał. – Nie chciałam spłonąć, Prijo. A teraz każdego ranka budzę się ze snów o płomieniach i mam wrażenie, że płonę.

Służąca przełknęła z trudem ślinę. Jej dłonie znieruchomiały. Słowa Malini to było dla niej zbyt wiele.

Kiedyś płonęły świątynne dzieci.

W tym momencie po części rozumiała, o co chodzi Malini. Prija stała za nią z dłońmi wciąż zaplątanymi w jej włosach, myśląc o ciałach wijących się, wrzeszczących oraz płonących, i zorientowała się, że nic nie trzyma jej teraz w jej ciele z wyjątkiem kapiącej zimnej wody i wilgotnego kosmyka włosów owiniętego wokół kciuka.

– Przysłał mnie tu, bym rozmyślała o wszystkich tych, które spłonęły i oddały się w ofierze. Dobrowolnie i niedobrowolnie. Dobre i złe spłoniecie. – Malini głośno przełknęła ślinę. – Ale to wszystko to samo. I jedynym, co widzę, gdy śpię, są moje damy dworu, a teraz też dzieci. I ogień.

Głos Malini ucichł. Podniosła głowę.

– Zwykle nie mówię w taki sposób – powiedziała. – Przepraszam.
– Proszę, nie przepraszaj, moja damo – bąknęła Prija.
– Zapewne w ogóle bym nie spała, w ogóle bym nie odpoczywała, gdyby nie moje lekarstwo. I teraz ty.
– Nie wiedziałam, że bierzesz jakieś lekarstwo – rzekła tępo Prija.
– Pramila dawkuje mi je do wina – wyjaśniła księżniczka. – To coś robionego z kwiatów. Może z igłokwiatu. Nic więcej nie wiem.
– Lekarstwo warzone z kwiatów – powiedziała Prija powoli. – Rozumiem. – W jej żołądku zagnieździła się groza. To nie mogło być możliwe. A jednak...

Na Starym Bazarze aptekarz sprzedawał dokładnie to samo. Gautam miał tę substancję w małych buteleczkach i korek każdej z nich owinięto ostrzegawczą żółtą nicią. Lekarstwo pozyskiwane z igłokwiatu. Odrobina mogła tłumić ból. Trochę więcej dałoby błogość.

A jeszcze więcej mogłoby zabić.

Czasami podawano je chorym w starannie odmierzanym dawkach, by łagodzić ból, jednak długotrwały kontakt mógł prowadzić do odmiennej choroby, wyniszczającej ciało i umysł, nieuchronnie kończącej się śmiercią bądź czymś straszliwie do niej zbliżonym.

Pramila pragnęła zabić księżniczkę czy jedynie ją osłabić?

Oczywiście było nieważne, czy kobieta dążyła do jej śmierci. Rzecz w tym, czy cesarz jej pragnął i co stanie się z pieczołowicie pielęgnowanym przez Bhumikę sanktuarium, jeśli Ćandra osiągnie swój cel, bo wówczas okaże się, że generał Wikram nie zdołał ochronić Malini, choć się do tego zobowiązał.

Znów popatrzyła na księżniczkę, tym razem bez troski czy wstydu, lecz ze swoistą chłodną złością. Przyjrzała się jej wystającym kościom, jej przezroczystej skórze. Och, знаła kruchość ludzkiego ciała i wiedziała, że jego wytrzymałość ma granice. Nawet jeśli cesarz nie chciał zabić siostry – co zresztą Prija mogła wiedzieć o jego zamiarach? – Malini znajdowała się już blisko śmierci. Pomyślała o wrażliwych płucach, o niepewnym pulsie śmiertelnego serca.

– Jak często przyjmujesz to lekarstwo, moja damo? – spytała spokojnie.

– Co wieczór. Czasami również za dnia, jeśli Pramila uzna, że jestem nadmiernie niespokojna. Czemu pytasz?

Zadarła głowę i obejrzała się na Priję.

Malini nie wyglądała na nieświadomą ani nawet zaciekawioną. W jej uniesionych brwiach kryło się wyzwanie.

– To znaczna ilość lekarstwa. Ale... nie jestem lekarką, a tylko służącą. Co ja mogę wiedzieć? Moja damo.

– Nie do mnie należy decyzja, czy przyjmę lekarstwo, czy też nie – odparła Malini. – Rozumiesz to, oczywiście. Wybór należy do Pramili, a ja muszę się podporządkować.

W końcu księżniczka odwróciła się. Prija sięgnęła po chochlę. Wyplukała włosy Malini, a później chwyciła mydło i uklękła przed księżniczką, by pobieżnie wyszorować jej ręce i stopy odsłonięte przez mokrą tkaninę. Nie zrobiła nic więcej i nie sądziła, by Malini chciała czegokolwiek więcej. Pragnęła chłodu, nie mycia.

Gdy odstawiła lewą stopę księżniczki na podłogę, Prija uniosła wzrok. Nie potrafiła stwierdzić, czy Malini płakała, nie przy tak zaczerwienionych oczach i takiej ilości wody na twarzy. Jednak zuchwa księżniczki drżała lekko, a dłonie leżące na jej kolanach zacisnęły się w pięści.

– Gdy tylko zechcesz umyć się w zimnej wodzie, wystarczy, żebyś dała znać – powiedziała służąca. – Zorganizuję to.

Drżenie nieco złagodniało. Uśmiech Malini był słaby, lecz zdecydowany – białe zęby odznaczały się na tle poszarzałej twarzy.

– Dziękuję ci – powiedziała księżniczka. – To bardzo... miłe z twojej strony, Prijo.

Służąca przełknęła ślinę. Opuściła głowę. Zacisnęła zęby, powstrzymując się przed zadaniem kolczastego pytania przemykającego jej przez głowę:

Czego ode mnie chcesz?

I jeszcze bardziej niebezpiecznego:

Czego ja chcę od ciebie?

Nawet najlojalniejsi strażnicy Bhumiki zaprotestowali, gdy poleciła przygotować palankin.

– Twój stan, damo – mówili. – Dziecko...

– Jest we mnie – odparła Bhumika. – I na razie nigdzie się nie wybiera.

– Jeśli generał Wikram się o tym dowie... – rzekł z wahaniem jeden z nich.

– Nie będzie zadowolony – przyznała Bhumika, posapując, gdy z pewną trudnością wciągała najmocniejsze, wyścielane buty. Obwód brzucha przeszkadzał jej w codziennych czynnościach. – Ale dlaczego miałby o tym usłyszeć? Przynieście mi moją chustę, proszę.

Jedna z dziewczyn ułożyła tkaninę Bhumice na ramionach.

– Nie chcielibyśmy być świadkami dalszych konfliktów pomiędzy tobą a panem, damo – rzekł jeden z wahających się wartowników.

– Może zamiast palankinu powinnam wziąć rydwan bojowy – rzuciła Bhumika w zadumie. Uśmiechnęła się, by pokazać, że żartuje. Łagodniej dodała: – Ruszamy.

Jedynie garstka ludzi lorda Santosa pozostała w domostwie, by działać jako szpiedzy. Unikała ich uwagi, po prostu pilnując, by jej wyjazd nie odbywał się na oczach żadnego z nich, gdy akurat pozostawali na

zmianie w okolicy stajni albo bram mahalu. Dzięki współpracy swoich mężczyzn i kobiet nauczyła się monitorować ich działania: harmonogram zmian, obowiązki, których przydzielania się domagali, pytania, jakie zadawali.

Samego Santosa spotkała tylko raz, gdy przybył do mahalu. Nie potrzebowała wiele czasu, by zrozumieć, kim jest: nadętym bufonem, małostkowym i ograniczonym, wygłodniałym władzy. Nie miała o nim najlepszej opinii.

Santos lubił sądzić, że pilnie obserwuje jej męża. Nie zdał sobie jeszcze sprawy, że jego ludzie również są śledzeni – i zapewne jej sobie nie zda. Brakowało mu rozsądku, by zwracać uwagę na służbę. Podobnie jak wielu jemu podobnych, w ogóle jej nie dostrzegał.

Małżonek Bhumiki pozwolił targowiskom otworzyć się na nowo po najeździe na burdel, choć zrobił to niechętnie, z konieczności. Ostatecznie ludzie musieli kupować żywność. Ulice Hiranaprasthy pozostawały względnie spokojne, lecz mieszkańcy nie mogli zrezygnować z codziennych potrzeb z powodu działalności buntowników albo patroli przeprowadzanych przez generalskich żołnierzy, nawet gdyby chcieli.

Przez siatkę przesuwanych drzwiczek palankinu Bhumika obserwowała mijane tłoczne stragany z żywnością, stoły, na których stały kadzie z gorącym olejem do smażenia słodkowodnych ryb, pakory i samosów, a nawet ryżowych pierożków w sruugnyckim stylu, ze starannie uformowanymi brzegami.

Jako dziewczynka uwielbiała gwar Hiranaprasthy, nieustanny ruch i energię miasta. Nigdy nie mogła cieszyć się nimi bezpośrednio – jako szlachecka córka była chroniona, wolno jej było obserwować miasto tylko przez siatkę palankinu, jak teraz – ale zachowała jego obraz w myślach niczym miniaturowy portret. Hałas. Życie. Jej ciche ciało, ukryte i osłonięte, przyglądające się temu wszystkiemu.

Świat poza palankinem zmienił się od jej dzieciństwa. Wprawdzie dźwięki i ruch pozostały, jednak krawędzie obrazu postrzępiły się. Dało się teraz dostrzec więcej żebraków. Budynek były biedniejsze, bardziej zapuszczone. Z Hiranaprasthy wymyły się barwy. Zaś Bhumika nie była już tylko cichym ciałem, pochłaniającym miasto wyłącznie wzrokiem.

Niesiono ją od gwarne go centrum przez cichsze targowiska, dzielnicę garncarzy, gdzie kiedyś kupowała wytworne niebieskie donice na sadzonki róż, przez połąc zachwaszczonych łąnów i nagie wzgórza upstrzone domami, w kierunku wypalonego, płaskiego pola, gdzie tracono cesarskich zdrajców. Znajdowało się tu niewiele domów – zbiorowisko siedzib mężczyzn i kobiet, którzy strzegli więzienia, a później usuwali

ciała. Za tymi domami majaczył otaczający pole wysoki mur – nieprzystępny, z drewna i kamienia, najeżony spiczastymi drzazgami szkła, które w porannym świetle lśniły niczym zwieńczenie korony.

Zapukała w ściankę palankinu – trzy stuknięcia, prosty sposób, by powiadomić tragarzy, żeby zwolnili. Chwilę później dostrzegła postać wychodzącą z jednego z domów – wiekową kobietę o gęstych siwych włosach upiętych w schludny kok, odzianą w proste szare sari i z brązową chustą narzuconą luźno na ramiona. Kobieta skłoniła głowę. Czekala.

Tragarze postawili palankin Bhumiki na ziemi. Żona generała wyprostowała się, ignorując ukłucia bólu, gdy wstawiała, protesty pleców i bioder nękanych przez niespokojny ciężar dziecka w brzuchu. Podziękowała służącej, która podała jej rękę, po czym ujęła ją wdzięcznie, by móc zakończyć podnoszenie się z choćby odrobiną godności.

– Czy jesteś pewna, że to dobry pomysł, damo? – Służąca zmarszczyła brwi.

– Tak – odparła Bhumika. – W pełni.

Nie trzymała przy sobie służby ani popleczników, którzy byli jej bezwarunkowo posłuszni. Jednak czasami męczyły ją już ich wahania i troski. Które zresztą stały się znacznie trudniejsze do zniesienia od... cóż.

Dotknęła palcami brzucha, po czym schowała dłonie znów pod chustę. Stara kobieta skinęła jej głową na przywitanie.

– Zaczęło się – powiedziała. – Możemy obserwować od wschodu.

Zaprowadziła Bhumikę i jej służącą do schodów na wieżę wychodzącą na plac kaźni. W obrębie murów mieścił się makabryczny teatr śmierci. Zebrał się tam tłum obserwatorów – ciżba mężczyzn stojących ramie w ramie. Najbogatsi siedzieli na położonych wyżej trybunach, zaś miejsca na wieżach strażniczych zajęli wartownicy trzymający łuki w gotowości.

Na środku znajdowały się słonie. Paridżackie słonie bojowe były ogromne, miały ciężkie kły i małe oczka. Bhumika nigdy za nimi nie przepadała, te zaś miały klapki na oczach i ślady po biczach oraz kły poplamione już krwią. Jeden nieszczęsny skryba – możliwy do rozpoznania po tonsurze na głowie – został zepchnięty na skalny cokół i przyciskał głowę do jego powierzchni, podczas gdy komak podprowadził wielkie zwierzę blisko i polecił mu podnieść nogę. A później opuścić.

Wrzaski skryby i wilgotny odgłos jego pękającej czaszki zostały tylko częściowo zagłuszone przez okrzyki tłumu. Bhumika patrzyła i słuchała, nawet nie mrugnawszy. W pewnych aspektach wciąż była świątynną córką.

– Obserwuje z góry – rzekła staruszka – z kilkoma swoimi ludźmi. Spójrz. – Podniosła palec i wskazała postać na jednej z wysokich trybun. I rzeczywiście, siedział tam małżonek Bhumiki, spokojnie obserwujący egzekucję bojowników o niepodległość Ahiranji. Dookoła widziała doradców Wikrama, a u jego boku Santosa, na honorowym miejscu, na które ten człowiek nie zasługiwał.

Dowiedziała się więcej na temat natury Santosa od dziewczyny serwującej wino w noc, kiedy Wikram zabawiał Paridżatczyka oraz księcia z Sakety, a także od starszej kobiety, która zamiatała pokoje gości, w tym Santosa. Rozmawiała z Khalidą, która później przyszła do Bhumiki i potwierdziła, że jej niska opinia o Santosie była całkowicie słuszna. Nie był człowiekiem przebiegłym, ale na pewno zmotywowanym i ambitnym. Trzeba będzie go obserwować.

Komak odprowadził słonia na bok. Nastąpiła chwila przerwy. Bhumika wachlowała twarz dłonią i zastanawiała się nad przyczynami opóźnienia. Dozorcy placu kaźni wybiegli grupkami, dźwigając słomę i drewno na opał, a także wielkie wiadra lepkiego płynu, którym oblewali układane gałęzie. Bhumika wychyliła się, by lepiej się przyjrzeć, ale nie miała pewności, co to było. Olej? Ghi?

Od strony zebranych dobiegło kolejne ryknięcie, gdy wprowadzono wreszcie następnych buntowników. Te postacie nie były zakapturzone, tłum mógł widzieć ich nagie twarze. Po niskim wroście i sylwetkach Bhumika oceniła, że to kobiety. Służące.

Ktoś ubrał je jak panny młode.

Przez zgromadzonych przebiegła fala hałasu. Poruszyli się niespokojnie, cała ciżba zadrżała niczym napinany mięsień.

Ciało Bhumiki z miejsca ogarnął wstręt, zalała ją odraza. Przycisnęła dłoń do ust, by powstrzymać odruch wymiotny.

Nie mogła pozwolić sobie na młodości albo strach. Może później. Ale nie teraz, nie tu. Zatem cesarz Ćandra zamierza oczyścić nasze kobiety, pomyślała z wymuszonym dystansem. Jakie to uprzejme z jego strony, że morduje nas w taki sposób.

Kobietom kazano wejść na stos. Miały związane ręce.

Jeden z mężczyzn przyniósł pochodnię.

Bhumika nie odwróciła wzroku. Było ważne, żeby nie zapomniała, o jaką stawkę toczy się gra – jak łatwo napięcia w Ahiranji mogły dojść do punktu wrzenia, jak delikatna jest równowaga, którą starała się utrzymywać wraz ze swoim małżonkiem.

W powietrze uniósł się smrodliwy dym. Tłum wrzeszczał.



Zmusiła się do myślenia.

Jej mąż przez jakiś czas nie wróci do domu. Towarzyszyli mu doradcy. Najbliżej znajdowało się haweli lorda Iskara. Udadzą się tam. Będą pić, grać w ćaturangę, a w trakcie hazardu, gier strategicznych i w kości zajmą się sprawami polityki. Wiedziała, jak postępują mężczyźni tacy jak oni.

Zaś lord Iskar będzie oczywiście chętnie zabiegał o względy lorda Santosa, skoro stawało się oczywiste, że to Ahiranja jest miejscem, w którym cesarz Ćandra zamierza testować swoją specyficzną formę wiary i w którym Santos być może wkrótce zostanie regentem.

Zatem czekała z dłońmi założonymi przed sobą, gdy arena się opróżniała. Czekała i oddychała płytko, równo, pamiętając o niespokojnym żołądku i ohydny dymie śmierdzącym spalonym mięsem. Czekała, aż usłyszała skrzypienie schodów, a stara kobieta powiedziała:

– Moja damo.

Wtedy obróciła się i popatrzyła, jak komak składa dłonie w geście szacunku. Wciąż czuć było od niego zapach krwi i zwierzęcia. Podniósł wzrok.

– Damo Bhumiko – rzekł.

– Jak twoje dziewczęta, Riśi?

– Dobrze, dobrze. Mam teraz również syna.

– Gratulacje. Jak zdrowie twojej żony?

– W porządku.

– Dziękuję, że mogłeś pozwolić sobie na wymianę uprzejmości ze mną – powiedziała Bhumika. Uśmiechnęła się do niego. Dostrzegła, że z jego barków znika napięcie. – I dziękuję, że przyszedłeś ze mną porozmawiać. – Komak znów pochylił głowę.

– Mam ogromny dług u twojej rodziny, damo. Nie zapominam o nim.

– A ja jestem wdzięczna za twoją lojalność – odparła szczerze. – A teraz powiedz mi, proszę: czy ich torturowano?

– Tak.

– Kobiety również?

Przytaknęła w milczeniu.

– Co mówili?

– Przyznali się do wsparcia ze strony ahiranyjskich wysoko urodzonych. Dających środki na rozprowadzanie ich poezji.

– Podali jakieś imiona?

– Nie. Żadnych imion. Nie znali ich.

Dobrze.

Udzielanie finansowego wsparcia ahiranyjskiej rebelii, nawet w formie sztuki, stanowiło przestępstwo. Bhumice nie wolno byłoby przyznać się do uczestnictwa.

– A ich powiązania z rebeliantami? – spytała z wahaniem.

– Buntownicy nosili maski – odrzekł komak. – Nie wiedzieli nic więcej.

Nie powinna była poczuć ulgi po tych słowach, ale poczuła.

– Dziękuję – powtórzyła.

Podeszła jej służąca z małą sakiewką w dłoni.

– Za twoją pomoc – oznajmiła Bhumika, gdy komak przyjmował woreczek, mrużąc pod nosem wyrazy wdzięczności. – A gdy twój syn będzie gotowy, żeby rozpocząć termin...

– Damo – powiedział. Skłonił się nisko i szybko odszedł, a staruszka podążyła za nim na dół. Teraz tylko Bhumika i jej służąca zostały na górze, ponad placem kaźni zasnutym dymem i pokrytym ciemnymi plamami krwi.

– Czy wracamy do mahalu, damo?

– Nie. Zabierz mnie do domu mojego wuja.



Haweli rodziny Sonali zostało zbudowane w tradycyjnym stylu ahiranyjskim. Jak na standardy paridżackie wydawało się skromne, jednak w oczach Bhumiki było po prostu wyrafinowane.

Paridżatczycy uwielbiali swoje przestronne, kosztowne rezydencje, pełne jasnego marmuru, piaskowca i wysokich kolumn. Architektura Ahiranji w porównaniu z nimi sprawiała wrażenie wstrzemięźliwej, niemal skromnej. Haweli rodu Sonali było w większości otwarte na powietrze, podzielone na części jedynie za pomocą delikatnych mgiełek kratownicowych parawanów ozdobionych motywami liści i kwiatów wyrzeźbionych w drewnie. Osłonięto jedynie sypialnie, odcięte od reszty zasłonami z jasnioletowego jedwabiu.

Weszła na centralny dziedziniec, gdzie studnia wygrywała melodyjną, płynną muzykę. Jedna ze służących przewodziła porannym modłom. W studni pływał niewielki półmisek z kwiatami.

– Damo Bhumiko – powitała ją jedna ze służących. – On nie śpi.

– Wspaniale – odparła. – Zaprowadź mnie do niego.

Pokój jej wuja wychodził na dziedziniec, dzięki czemu mogły do niego wpadać świeża woń wody i delikatne ciepło słońca. Wiedziała, że wuj uwielbiał słuchać rozpryskiwania się kropeł monsunowego deszczu o kamienne płyty oraz ich głębszego echa, gdy zderzały się z wodą ze studni. Chorował od wielu lat i takie małe przyjemności były dla niego bezcenne.

Wchodząc, zapukała lekko we framugę. Powitał ją słodki zapach czerwonych lilii umieszczonych w niebieskich lakierowanych donicach wokół okien i pod ścianami.

– Wuju – przywitała się, klękając przy jego otomanie – to ja.

– Ach – odrzekł łamiącym się głosem. – To ty. – Jego usta wykrzywiły się w uśmiechu.

Wyglądał na starszego. Chudszego. Wokół jego warg dało się dostrzec zmarszczki bólu. Zatem miał zły dzień. Postara się nie wymagać od niego przy tej okazji długiej rozmowy. Odwiedziła go zaledwie kilka tygodni wcześniej, ale czas podkładał się do niego z miarowym okrucieństwem.

– Słyszałem, że twój małżonek miał kłopoty.

– Gdzie to słyszałeś, wuju?

– Nie tylko ty dysponujesz lojalnymi oczami i uszami. – Cmoknął. – Paskudna sprawa. Powinien był okazać łaskę.

– Zrobił to, czego życzył sobie cesarz – mruknęła Bhumika, choć zgadzała się całym sercem.

– Nie powinniśmy spełniać życzeń potężnych ludzi tylko dlatego, że tak nam każą – wychrypiał. – Wiesz to przecież.

Nakrył jej dłoń swoją. Drżały mu palce.

– Jesteśmy sami? – spytał.

Uniosła głowę. Służąca, która ją tu wprowadziła, zniknęła.

– Tak – odpowiedziała.

– Czy pamiętasz, jak po ciebie przyszli?

– Pamiętam – odparła, on jednak pogrążył się we wspomnieniach i jej odpowiedź mu nie wystarczyła.

– Byłaś taka mała – mruknął. – I taka samotna. Nie chciałem, żeby cię zabrali. Mówiłem im, że jest mnóstwo innych dzieci, które mogą nauczyć się służyć w radzie. Ale moja dziewczynka jest Sonali. Zostanie z rodziną.

– Nie było tak strasznie – skłamała. – Traktowali mnie dobrze.

Pokręcił głową, ale nie spierał się.

– Dobra z ciebie dziewczyna – wydyszał. – Dobrze wyszłaś za męża. Zapewniłaś pozycję naszej szlachcie. Nie jesteś tym, czym uczynili cię starsi, i raduje mnie to. Cieszę się, że wraz z twoją ciotką cię uratowaliśmy.

Prija przypadkiem przeżyła masakrę świątynnych dzieci. Do dziś nosiła blizny po tamtej nocy, blizny na swojej naturze i wspomnieniach.

Bhumiki tam nie było.

Jej rodzina nigdy nie chciała, żeby została świątynnym dzieckiem. Ona i jej kuzyn byli ostatnimi z rodu po tym, jak jej rodzice umarli na febrę. A później zmarł też jej kuzyn, po wyniszczającej chorobie, i została tylko Bhumika. Wuj sprowadził ją do domu na pogrzeb. Po pochówku oraz podzieleniu się żywnością i pieśnią poprosił ją, żeby została. On i jej ciotka kłócili się – o herezję, o to, co zrobi świątynna rada, jeśli nie pozwolą jej wrócić, i o to, że musieli jej pozwolić na powrót – jednak wola wuja przeważała.

W czasie gdy pozostałe dzieci ginęły, Bhumika przebywała właśnie w tym domu. Piła herbatę. Słuchała ptaków za kratownicowym oknem. Grała rolę grzecznego ahiranyjskiej szlachcianeczki zamiast pobłogosławionej przez świątynię istoty, którą była naprawdę.

Próbowała wykorzystać to, że przeżyła, by czynić dobro. Gdy regent – starszy i ponury, z rękoma splamionymi krwią jej rodzeństwa – zaczął się do niej zalecać, obdarzyła go uśmiechem. Pocałowała go. Poślubiła go. Nosiła jego dziecko. W zamian zaś zyskała władzę pozwalającą jej chronić osoby zmuszone opuścić dom lub osierocone z powodu butwienia, a także wpływy i środki umożliwiające jej finansowe wspieranie innych Ahiranyjczyków. Owszem, były to drobnostki, ale lepsze to niż nic.

A jednak teraz siedziała w cichej izbie chorego wuja, ściskając jego dłoń, i potrafiła myśleć tylko o krwi pod słońsiową nogą, o wrzaskach dobiegających od stosu. Krew, ciało. Gleba.

Ogień.

Nachyliła się i pocałowała wuja w czoło pod przeredzonymi kosmykami siwych włosów, które wciąż otaczały mu głowę.

– Wszystko, czym jestem, osiągnęłam dzięki tobie – powiedziała. – A teraz śpij. Proszę. Musisz odpocząć.



Poszła do domowej sali modłów.

W domostwie męża nie miała gdzie się modlić. Czcili matki płomienia, dotrzymywał paridżackich zwyczajów, zaś ona...

Ona była jego żoną.

Wuj Gowind nie dbał jakoś szczególnie o salę modłów. Dla pozorów palono tam świece, a znakomicie wyrzeźbione posążki jakszów były oczyszczane z kurzu i polerowane do oleistego połysku przez troskliwe dłonie służby. Jednak u stóp figurek nie leżały nowe ofiary – żadnych owoców, żadnych skorup orzechów kokosowych, żadnych kwiatów – jedynie puste półmiski.

Usiadła tak prosto i schludnie na macie rozłożonej na podłodze, jak tylko umiała, krzyżując nogi. Zamknęła oczy. Odetchnęła. I jeszcze raz. Sięgała oddechem coraz głębiej i głębiej.

Wokół niej rozplótł się sangam.

Otworzyła oczy. Czekwała. Wiedziała, że to tylko kwestia czasu, zanim do niej przyjdzie.

Wody poruszały się wokół niej niczym cienie, głębokie i dziwne.

Pokochała sangam jako dziewczynka, gdy po raz pierwszy do niego weszła. Pokochała jego piękno i dziwność. Pokochała jego moc.

Teraz nie chciała patrzeć na sangam. Wypowiedziała po prostu jego imię:

– Aśoku. Przyjdź.

Przesunęła się naprzód, ciężar wody zafalował wokół niej. Ponad nią gwiazdy rozbłysły i przygasły. I oto był Aśok. On również był cieniem. Gdy się przemieszczał, jego cień rozpadał się na plamy, na chwilę się zamazywał, po czym osadzał się na nowo w świetle padającym przez baldachim z liści.

Zastanawiała się, jak sama wygląda w jego oczach.

– Bhumiko – rzekł. – Sporo minęło.

– Nie przepadam za tym miejscem.

– I nie przepadasz za mną – odparł. – Wiem to. Zatem nie bawmy się w twoją zwyczajową gierkę w uprzejmości. Powiedz mi, czy patrzyłaś, jak umierali?

– Owszem.

– Odbyło się to brutalnie?

– Egzekucje zawsze są brutalne. Inaczej rozmijałyby się z celem.

– Wiedziałem, że zamierzali spalić kobiety. Czy cię to zaskakuje?

– Wiem, że masz swoich szpiegów – odpowiedziała. – Podobnie jak

ja.

– Nie możemy się z tobą równać, ale jakoś sobie radzimy. Ty masz kata, prawda? Ale ja mam człowieka, który zamiata w świątyni matak płomienia. Najwyraźniej nie wszyscy kapłani wspierają oczyszczające zapędy cesarza. Obawiali się, że buntownicy mogą w rewanżu spalić ich świątynię.

– Powinni się obawiać?

Jego cieniste usta wykrzywiły się w uśmiechu.

– Kto wie – odparł, lecz jego uśmiech zaraz przygasł. – Zdajesz sobie oczywiście sprawę, że twój małżonek jest głupcem.

Bhumika nie do końca potrafiła się sprzeciwić. Jednak słowa Aśoka stanowiły atak na nią, nie na Wikrama – na jej wybory, jej ofiary, na życie paridżackiej wysoko urodzonej żony, jakie wiodła, na maskę, jaką założyła.

– Musiał wziąć odwet. Cesarz zażądał zdecydowanych działań. – A przynajmniej tak mówił jej Wikram, marszcząc we frustracji brwi, gdy Bhumika zakwestionowała jego decyzję, by zmiażdżyć buntowników na śmierć. Gdyby wiedziała o paleniu...

Ach, już za późno.

„Należy wyraźnie postawić sprawę” – oznajmił. „Nie zdołasz tego zrozumieć, moja gołąbeczko. Masz miękkie serce”.

– Czyli skazuje poetów i służące na śmierć? Czy twój mąż wie, że zabił tych samych ludzi, których finansujesz z rodzinnej sakiewki? – Gdy Bhumika nie zniżyła się do odpowiedzi, Aśok roześmiał się. – Mówiłem ci, że jest głupcem.

– To ty wprowadziłeś fałszywą służącą do mojego domu – rzekła rzeczowo Bhumika. – To przez ciebie on i jemu podobni uznali takie rozwiązanie za konieczne. Wiedziałaś, że twoje działania spotkają się z konsekwencjami.

– Potrzebne mi wody. – Zniżył głos do płynnego mroku. – Chyba to rozumiesz.

Oczywiście, że rozumiała. Każdego dnia czuła przyciąganie wód. Czuła tęsknotę szarpiącą za krew. Gdyby zawarta w tej tęsknocie moc potrafiła rozpleść żyły z jej ciała, uczyniłaby to. Bhumika rozumiała też, dlaczego Prija wspięła się po Hiranie. Rozumiała, dlaczego sangam nawiedzał jej sny.

– Potrzebuję ich bardziej, niż przypuszczasz – rzekł do niej.

– Spożywałeś wody – powiedziała Bhumika. Ta wiedza tkwiła w jej piersi niczym węzeł. – Oderwane od źródła. Dobrze pojmuję, jak bardzo ich potrzebujesz. Moim zdaniem samodzielnie doprowadziłeś się do takiej desperacji.

Nic nie odrzekł, co samo w sobie stanowiło wystarczającą odpowiedź.

– Dlaczego? – spytała, nie mogąc znieść bólu, jaki czuła na myśl, że pewnego dnia on umrze. Zupełnie jakby była mu cokolwiek winna.

– Już od dawna piję z fiolek – rzekł Aśok cicho. – I daje mi to siłę. Pozwala mi żyć. A teraz moja nowa rodzina, moi żołnierze, moi współbojownicy również spożywają wody. Może i nie są dwukrotnie zrodzeni jak ja. Zdają sobie sprawę, że fiołki ich zabiją. Niemniej i tak to robią, bo tak jak ja wiedzą, że musimy stać się wolni.

Podszedł o krok.

– Odzyskaliśmy leśne osady. Starannie umieściliśmy ludzi tam, gdzie ich potrzebujemy. W domach kupców. W haweli wysoko urodzonych. Zdobyliśmy mecenasów. Nie jesteś jedyną szlachcianką finansującą bunt, Bhumiko. – Nachylił się bliżej. – Poznajemy każdy słaby punkt, każde miejsce, w które należy uderzyć, żeby kości cesarstwa zawałyły się wokół nas.

– Wszystkie te plany nie będą nic oznaczać, jeśli zginiecie, a reszta z nas będzie musiała sprzątać przelaną przez was krew – odparła Bhumika.

– Ja nie zginę – zadeklarował Aśok. – Nikt z nas nie zginie. Znajdziemy wody. Przetrywamy. Powołamy na nowo świątynną radę. Jeśli zdołamy przywrócić choćby cień Epoki Kwiatów, będzie to warte wszelkich wysiłków.

– Och, Aśoku. To nie skończy się tak, jak liczyacie.

– Mamy teraz Priję.

Nawet w sangamie, nawet w miejscu, w którym byli płamami cienia, twarz Bhumiki musiała zdradzić część jej uczuć, ponieważ Aśok dodał:

– Odszukałem ją.

– Twoja cholerna rebeliancka służąca o mało jej nie zabiła.

– Przeprosiłem już za to.

– Ach. Czyli wszystko w porządku – odrzekła Bhumika jadowicie. – A jeśli chodzi o to, że ją macie... Jeśli sądzisz, że masz nad nią jakąkolwiek kontrolę, to w ogóle jej nie znasz.

– Naprawdę ją mam. Powiedziała mi, jak bardzo za mną tęskniła. Jak wciąż mnie kocha. – W jego głosie brzmiało coś jak prawdziwy żal. Prawdziwe uczucie. – Nie wiedziała, że żyję.

Bhumika nie powiedziała, że Prija kilkanaście razy uciekała, żeby go szukać, a strażnicy kilkanaście razy sprowadzali ją z powrotem.

Opłakiwała go, a gdyby wiedziała, że żyje, nigdy by nie spoczęła, nigdy nie dałaby za wygraną...

Zamiast tego rzekła:

– Ona też nie zna drogi. Daj jej spokój.

– Ale znajdzie ją. Wiem, że jej się uda. Z nas wszystkich to ona zawsze umiała ją odnaleźć. Ma dar.

Dar. Tak.

– Zdecydowane działania – rzucił Aśok w zadumie, gdy Bhumika milczała. Potrzebowała chwili, by uświadomić sobie, że powtarzał jej własne słowa na temat Wikrama. – Myślę, że sam muszę podjąć pewne zdecydowane działania. Te biedne służące i skrybowie zasługują na sprawiedliwość. A nie przypuszczam, żebyś ty była skłonna ją zapewnić. – Jego cieniste dłonie zacisnęły się ze skrzypieniem drzew uginających się pod wiatrem. – A teraz moi zwolennicy i ja mamy siły potrzebne, by naprawić świat.

– Cokolwiek planujesz, nie rób tego, Aśoku. Doprowadzisz jedynie do eskalacji. – Miała straszliwe wizje cesarskich żołnierzy maszerujących przez kraj. Upadające drzewa, paleni ludzie, krew na glebie. Ich historia i teraźniejszość ulegają unicestwieniu. Ta odrobina, którą zdołali ocalić ze swojego oporu i sztuki, ze swojej kultury, zostanie utracona.

– Paridżatdwipa jest butwieniem, które musimy wyrwać z Ahiranji – powiedział. – Cesarstwo zdobyło siłę tylko dzięki temu, że nas zmiażdżyło. Nie zasługuje na to, by dłużej trzymać nas pod butem.

– A czym właściwie zamierzasz je zastąpić? Swoją dzielną bandą buntowników?

– Gdy zyskamy potęgę, nie będziemy już nazywani buntownikami.

– Oczywiście. Bardzo przepraszam, starszy Aśoku – rzekła kpiącym tonem. – A z kim będzie handlowała twoja nowa rada? Kto sprzeda im ryż i tkaniny, których potrzebujemy do przetrwania?

– Jesteśmy bogatym narodem, Bhumiko.

– Moja pozycja pozwala mi ocenić znacznie lepiej niż tobie, jak wygląda nasze bogactwo. Mamy las, owszem, drzewa, które można ścinać, i drewno, które można sprzedawać, co jest najbardziej zyskownym rozwiązaniem na krótką metę, choć nawet gdyby Paridżatdwipa chciała w ogóle z nami handlować, na pewno nie zaproponowałiby nam korzystnych warunków. Jednak kultura naszego ludu oparta jest na lesie, który nie jest wycinany. Zaś nasze pola i tenże las są niszczone przez butwienie. Które być może zauważyłeś. – Gdy milczał, dodała: – Aśoku, potrzebujemy sojuszników.

– I będziemy ich mieć – odparł spokojnie. – Gdy się uwolnimy. To liczy się bardziej niż wszystko inne. I jest warte dowolnej ceny.

– Uważasz, że nie chcę innego świata niż obecny? – zapytała. – Uważasz, że chcę, by naszym krajem rządził przybysz z zewnątrz, podporządkowany kaprysom cesarza? Uważasz, że chcę, by nasze rodzeństwo było martwe? Nie rozumiesz, że staram się ocalić to, co zostało z nas, z naszej Ahiranji? Walczę o przetrwanie, zaś ty decydujesz się postawić na szali tę odrobinę, którą mamy, postawić ją na nadzieję, która może nas zniszczyć.

– Nie pudruj swojego kurwienia się – rzekł z zaciekłością, która sprawiła, że Bhumika najpierw przez chwilę milczała, a potem wybuchnęła śmiechem.

– O proszę – powiedziała. – Oto brat, którego znam. Nienawistny gojek, który kiedyś sprął mnie do sińców, żeby zrobić wrażenie na naszych starszych. Żeby dowieść, że jest silniejszy. Myślisz, że zawstydzisz mnie, nazywając mnie kurwą? Myślisz, że nie przehandlowałeś własnego ciała dla swoich celów? Jak sądzisz, czym jest wlewanie sobie śmierci do gardła?

– Nie martw się – odparł. – Nie skrzywdzę cię znowu. Nie jesteś tak silna jak kiedyś. Nie przetrwałabyś tego.

Położył jej dłoń na piersi.

– Ale co innego twój mąż – oznajmił. – I ci paridżaccy wysoko urodzeni. Cóż.

– Aśoku.

Pchnął ją.

Wróciła do siebie. Wstrząśnięta, podniosła się ostrożnie na nogi.

Podłoga dziedzińca była zamiatana z pyłu. Przeszła po niej. Dotarła do swojego palankinu.

– Do domu – powiedziała do swoich strażników. Unieśli palankin i wykonali polecenie.



Wrócił jej małżonek. Gdy przybyła, zastała go w swoich komnatach, w jej pałacu różanym, gdzie właśnie kończył posiłek.

– Zabrałaś palankin – rzekł Wikram, obmywając dłonie w wodzie pachnącej różami.

– Pojechałam odwiedzić wuja.

– Jak jego zdrowie?

Pokręciła głową. Podeszła do niego i w geście powitania przesunęła lekko opuszką palca po grzbiecie jego dłoni.

– Będę się za niego modliła. Zapalę kadzidło dla matek. I spalę jaśmin.

Wikram wydał z siebie pomruk aprobaty. A może współczucia.

– Mam nową pokojówkę – oznajmiła lekko Bhumika, przyjmując szklankę wody cytrynowej podaną przez służącą. – Och, nie patrz na mnie w taki sposób, ukochany. Ta jest godna zaufania. Pochodzi z domostwa mojego wuja.

Jedna dziewczyna uciekła żołnierzom w burdelu. Tylko jedna. Bhumika nie potrafiłaby nie otoczyć jej opieką.

– Nie masz wycucia, komu można zaufać – rzekł generał.

W jego tonie słychać było stanowczość, więc Bhumika spuściła wzrok, skarcona.

– Przez moje miękkie serce zachowuję się głupio – przyznała.

– Powinna zostać przesłuchana przez kogoś wiarygodnego – oznajmił, gdy również otrzymał wodę. Metalowy kubek lśnił kropelkami kondensacji. – Polecę komandorowi Dżiwanowi, by z nią porozmawiał.

Bhumika skinęła głową.

Wikram się zawahał.

– Lord Santos... – zaczął, po czym zamilkł. – Cesarz Ćandra każe palić kobiety.

Nic nie odpowiedziała.

– Tak nie postępuje się w imieniu matek płomienia – ciągnął. – Ten Ćandra... Gdyby rządził starszy z braci, gdyby nie porzucił rodziny i wiary, byłoby inaczej. Jednak niektórzy marzą o czasach dawno minionych i takich, które nigdy nie istniały. Są skłonni zupełnie zniszczyć teraźniejszość, by ziścić te marzenia. Cieszę się, że tego nie widziałas – dodał po chwili, a ona zastanawiała się, czy ją sprawdzał. Czy wiedział. Ale nie. Ten jej biedny, nieświadomy małżonek nigdy jej o nic nie podejrzewał.

– Och, Wikramie – rzekła cicho. – Tak ci współczuję.

Westchnął.

– Nie masz czego współczuć. – Wypił do dna i odstawił kubek. – A teraz chodź tutaj. Opowiedz mi o swoim dniu.

Gdy Wikram wyszedł, Bhumika wróciła do swojego pokoju. Niedługo później przyszła Khalida, balansując na biodrze doniczką z kwiatami. Miała spięty wyraz twarzy.

– Dama Pramila jej nie puści – rzekła. – Tak mówiła mi służąca Gauri. Nie da twojej dziewczynie wolnego dnia. Co zamierzasz zrobić, damo?

– Nic – odparła Bhumika. Przez okno widziała zarysy Hirany okolone słonecznym światłem.

– Mogę nalegać w twoim imieniu, że należy przestrzegać tutejszych zasad traktowania służby.

– To nieistotne. Znajdę sposób, by porozmawiać z Priją.

Znała moc Hirany. Wiedziała, że świątynia już zmieniała Priję. Miała przeczucie i wkrótce przekona się, czy jest ono słuszne.

– Co tam trzymasz? – zapytała Bhumika. – To prezent?

– Jaśmin z samego Paridżatu – odparła Khalida, stawiając doniczkę na oknie przy swojej pani. – Przysłał ci go generał Wikram. Tak, to prezent.

– Jakie to miłe z jego strony – odparła Bhumika i ujrzała, że wargi Khalidy drgnęły na słodczy w jej głosie.

Nie był to odpowiedni pojemnik na kwiat jaśminu i wonne płatki wkrótce zwiędną.

– Jest tutaj?

Khalida wiedziała, że jej pani nie pyta o swojego męża.

– Tak.

– Powiedz mu, żeby wszedł.

Czekając, Bhumika muskała kwiaty palcami. Czuła wokół siebie głęboki, zręczny prąd bezśmiertnych wód. Obserwowała, jak małe kwiateczki schną i zwijają się w sobie pod jej dotykiem. Nie istniał powód, by ich nie zabijać, skoro i tak nie przetrwają.

– Damo Bhumiko.

Męski głos. Męski cień na marmurze podłogi, gdy skłaniał się za jej plecami.

Obróciła się.

Przez lata małżeństwa Bhumika upewniła się przynajmniej co do jednej rzeczy: Wikram był panem swojego mahalu, jednak większość pokojówek i dzieci, żołnierzy i służących, tych, którzy gotowali żywność i rozpalali ogień, którzy dzierżyli łuki i miecze w mroku, była lojalna przede wszystkim wobec niej.

To ona – uprzejma żona regenta, jego mdła gołębica – ich uratowała. Dała im pracę i dom. Nie żądając niczego w zamian.

Przynajmniej na razie.

Nie mówiła o egzekucjach. Nie mówiła o Aśoku.

– Całkiem niedługo możesz być potrzebny – oznajmiła. – I przykro mi z tego powodu, ale muszę poprosić cię o lojalność. Muszę poprosić cię o służbę. Muszę poprosić cię o to, co mi obiecałeś.

Takie zasoby należało wykorzystywać oszczędnie. Były one zbyt cenne, żeby je marnotrawić. Trzeba było je sprawdzić, zanim nadejdzie czas prawdziwej próby.

Oto był jego test. Uniósł wzrok. Metalowa obręcz na jego ręce wskazująca na status lśniła zmatowiałym srebrem.

– Moja damo – odparł – masz ją. Zawsze.



16

PRIJA

Teraz gdy wiedziała już, że Malini śniła o ogniu, Prija zaczęła śnić o wodzie. Czystej, chłodnej, falującej. O rzekach wijących się jej pod nogami, syczących niczym węże.

Gdy Mina ją dusiła, miała nieco podobną halucynację: o wodzie przelewającej się wokół jej kostek, o jej bracie nakreślonym czerwienią, składającym się z płynnego cienia, bardziej pokrytym wodą niż skórą. Chwilę później mogła już korzystać z darów, które od dawna były dla niej niedostępne.

Czas spędzony na Hiranie już ją zmienił, ale teraz świątynia kształtowała też jej sny. Pewnego razu obudziła się w środku nocy i ujrzała, że ziemia pod nią stała się inna, kamień wszędzie pokrywały odciski kwiatów. Zamrugła, zdezorientowana, a one się rozmyły.

Tamtej nocy obudziła się ponownie, co często jej się zdarzało – otoczona atramentową czernią, bez żadnych odgłosów pracujących służących, które przerywałyby ciszę – i uświadomiła sobie, że coś uległo zmianie. Słyszała nowy dźwięk. Nie szum wody przesączającej się przez jej sny. Nie oddech Malini, spowolniony przez lekarstwo i pogłębiony przez sen.

Płacz.

Podniosła się. Przeszła przez ciemny pokój do łóżka księżniczki. Malini leżała zwinięta na boku z twarzą zastygłą w grymasie i ostro cofniętymi łopatkami, uniesionymi niczym skrzydła. Wciąż głęboko spała – tak wpływało na nią zaprawione wino – jednak tkwiła w szponach paskudnego koszmaru.

Prija przyklękła przy czarpaju. Lekko potrząsnęła ramieniem księżniczki, potem trochę mocniej i wreszcie jeszcze silniej, kiedy Malini pozostawała ciasno zwinięta niczym skorupiak.

– Moja damo – wyszeptała, po czym podjęła bardziej stanowczo: – Księżniczko Malini. Obudź się. Obudź się, księżniczko.

Malini szarpnęła się gwałtownie. Nagle poruszyła się z prędkością żmii.

Chwyty, w którym zamknęła nadgarstek Prii, był brutalny. Paznokcie Malini wbiły się w skórę, niehamowane wahaniem czy strachem. Jej oczy otworzyły się raptownie, ale nic nie widziały, patrzyły przez Priję tak, jakby była ze szkła.

Prija instynktownie zacisnęła palce wokół dłoni Malini, więząc ją niczym w imadle. Dobrze wiedziała, co zrobić – jak zacieśnić chwyt tak, by w dłoni księżniczki pojawił się skurcz i by ją puściła albo jak przekręcić jej nadgarstek tak, by kość ustąpiła z trzaskiem.

– Proszę, moja damo – powiedziała zamiast tego, utrzymując miarowy oddech, żeby odsunąć od siebie ból. Tak również umiała. – To tylko ja.

Przez długą chwilę okrutny uścisk Malini nie ustępował. Nagle, powoli, świadomość wróciła do jej oczu. Raptownie puściła Priję, ta jednak wciąż ją trzymała. Spokojnie, ostrożnie rozprostowała palce. Kiedy księżniczka pozostała w bezruchu, Prija opuściła rękę i rzekła:

– Miałaś koszmar.

– Chyba będę wymiotować – rzuciła słabym głosem Malini i obróciła się na bok, zasłaniając usta.

Prija zerwała się w poszukiwaniu miednicy, ale Malini nie miała mdłości. Pozostała tylko przez dłuższy czas na boku ze zwieszoną głową, wciąż się zasłaniając. Następnie podniosła głowę i powiedziała:

– Czasami... moje lekarstwo...

– Nie musisz się tłumaczyć, moja damo.

– Znow śniłam. – Prija obserwowała, jak Malini dłońmi zaciska tkaninę sari w węzły. – Nie jestem... sobą.

Prija żałowała, że nie może porozmawiać z uzdrowicielem albo choćby z Gautamem. Potrafiliby jej powiedzieć, na co zwracać uwagę, gdy kontakt z igłokwiatem przechodzi w pełnowymiarowe zatrucie: rytm

serca, znaczenie paraliżu sennego i okropnych snów, zagrożenia, jakie można odczytać w pulsie lub w niemal przejrzystej skórze.

Jednak nie miała z kim pomówić. Mogła jedynie obserwować, jak stan Malini się pogarsza.

Pomyślała, w jaki sposób pocieszałaby Simę lub nawet Rukha, ale nie potrafiła zapewnić księżniczce podobnej niewymuszonej, swobodnej intymności, z jaką podeszłaby do tamtych dwojga. Zastanawiała się, czy nie położyć Malini dłoni na plecach, ale nie, nie potrafiła.

– Czy chcesz się umyć, moja damo? – zapytała nagle.

– Jeszcze daleko do ranka – odparła beznamiętnie Malini. – Nie mogę opuścić tego pokoju.

– Możesz. Jeśli tylko byś sobie tego życzyła, moja damo.

Służąca miała klucz przypięty do łańcuszka wiszącego u pasa. Odpięła go i uniosła w słabym świetle.

Malini spojrzała na niego. Obróciła się, ustawiając twarz profilem.

– Nie chcę się myć – rzekła, ale nie położyła się na nowo na łóżku, nie zażądała też wody ani jedzenia. Siedziała jedynie zgarbiona z dłońmi zakrzywionymi niczym szpony. Wpatrywała się w nicość.

– A zatem spacer – zaproponowała Prija. – Odrobina ćwiczeń mogłaby zrobić ci dobrze.

– Naprawdę? – Dłonie Malini zacisnęły się nieco mocniej. – Nie sądzę, by spacerowanie wyleczyło mnie z tego, co mnie dręczy.

W głosie księżniczki nie było słyhać goryczki, a jedynie rezygnację.

– I tak się ze mną przejdź. Opowiem ci o jakszach.

Malini wreszcie podniosła oczy. Głębokie, ciemne. Rozważające.

Podniosła się.

– Pramila będzie zła – powiedziała, gdy opuściły pokój i zaczęły iść korytarzem.

– Możemy wrócić, jeśli sobie tego życzysz, moja damo – odparła Prija.

Nie zaskoczyło jej, gdy Malini pokręciła głową. Księżniczka opierała się jej na ramieniu, trzymała się jej, jakby Prija była kręgosłupem stabilizującym jej kruche ciało. Miała już jednak przytomniejszy wyraz twarzy. Odkąd zostały sobie formalnie przedstawione jako dama i służąca, nigdy nie miała tak skupionej miny.

W triweni wiał wiatr – silny, gwałtowny, z głuchym rykiem bestii pędzący trzema otwartymi, pustymi korytarzami Hirany. Prija, odziana w nowe sari, bez chusty, którą mogłaby zarzucić na ramiona, zaczynała żałować decyzji, że wyciągnęła Malini z mrocznej, nieprzyjemnej ciszy

więzienia. W sumie woląla kleiste gorąco monsunowej nocy niż tę dziwną, nietypową o tej porze roku pogodę.

– Pochodzimy w kółko – rzekła Prija. – Raz czy dwa. A później wrócimy do pokoju, jeśli zechcesz. – Najlepiej zanim patrol wartowników przejdzie przez triweni.

– Skrzywdziłam cię? – zapytała nagle Malini.

– Co?

– Twoja dłoń. Zraniłam cię?

– Trochę, moja damo – przyznała Prija.

Księżniczka ujęła ją za prawy nadgarstek i uniosła go do plamy księżycowego blasku. Ściągnęła wargi.

– Nielatwo robią mi się siniaki – powiedziała Prija, ale Malini nie puszczała jej. Spoglądała na jej dłoń tak, jakby potrafiła z niej czytać – z każdego odcisku, każdej skrzywanej i prostej linii – niczym z książki.

Zaś Prija w tym czasie wpatrywała się w Malini, ponieważ – cóż, mogła się do tego przyznać przynajmniej przed samą sobą – ponieważ po prostu miała na to ochotę. Spoglądanie na księżniczkę sprawiało wrażenie zakazanej podniety, lecz z jakiegoś powodu wydawało się mniej przerażające niż napotykanie jej wzroku, który był zbyt... zrównujący. Intymny.

Och, Prija potrafiła się zorientować, kiedy jest zadurzona.

– Jesteś silna – zauważyła Malini. – Czulałam uścisk twojej dłoni. Ale nawet nie próbowałaś mnie powstrzymać.

– Nie chciałam cię skrzywdzić.

– To dziwne – rzekła księżniczka łagodnie. W końcu puściła rękę Prii. – Ja również nie chciałam cię skrzywdzić. Nie lubię działać bezwiednie.

Służąca pokręciła głową.

– W przyszłości zachowam większą ostrożność, jeśli będę musiała cię obudzić – powiedziała.

Znów wzięła Malini pod rękę i zaczęła prowadzić ją wzdłuż skraju triweni.

– A teraz opowieść o jakszach – rzekła.

Przytoczyła Malini prostą opowieść, taką, jaką mówi się dzieciom, o młodzieńcu, drwalu, który urodził się pod złymi gwiazdami. Jeśli się zakocha, jego ukochana osoba podzieli z nim nieszczęście. Każdy mężczyzna lub kobieta, których poślubi, umrze przedwcześnie.

– Zatem unikał innych ludzi – stwierdziła Prija. – A jego rodzina cały czas martwiła się o niego. Lecz później poinformował ich, że jednak znalazł kogoś, kogo chce poślubić.

– Kogo? – zapytała księżniczka.

– Drzewo.

– Drzewo?

– Tak samo zareagowała rodzina – odparła Prija. – Nie podobało im się to, zapewniam. On jednak ozdobił drzewo tak, jakby rzeczywiście stawał z nim do ślubu, snuł mu opowieści, składał ofiary z kwiatów i sekretów, a drzewo pewnego dnia przemieniło się w pięknego mężczyznę. Cały czas było jakszą. Jaksza zbudowało drwalowi mahal z banianu i liści bananowca, a później żyli długo i szczęśliwie. Gdy teraz dzieci rodzą się pod złymi gwiazdami, pierwsze małżeństwo urządzamy im z drzewem, by jakszowie ich pilnowali i by ich drugie małżeństwo z osobą śmiertelną było słodkie.

Malini rzuciła Prii dziwne, nieodgadnione spojrzenie.

– W Ahiranji mężczyźni mogą zakochiwać się w mężczyznach?

Och. Prija przełknęła ślinę. Popelniła błąd. Opowieść przedstawiała być prosta i niewinna, gdy mówiło się ją komuś, kto nie był Ahiranyjczykiem.

Malini z pewnością słyszała historie o lubieżności mieszkańców Ahiranji, o ich gotowości, by sprzedawać rozkosz, o rozwiązłości ich kobiet, o tym, że byli chętni pokładać się z przedstawicielami własnej płci? I z pewnością, jak wszystkich Paridźatczyków, napawało ją to wstrętem.

– Przepraszam, moja damo – rzekła Prija. – Jestem tylko głupią służącą. Powinam była się zastanowić. – Skłoniła głowę w wyrazie skruchy. – Proszę, wybacz mi.

Poczła dłonie Malini na swoich barkach. Nagle ich twarze znalazły się naprzeciwko siebie.

– Proszę, chciałabym usłyszeć twoją odpowiedź – powiedziała księżniczka.

– Chyba mogą to robić wszędzie, moja damo.

Malini pokręciła głową.

– W Paridźacie tak się nie czyni.

Ton jej głosu nie sugerował, by miała ochotę udzielać dalszych wyjaśnień, więc Prija się ich nie domagała. Zamiast tego rzuciła z fałszywą lekkością:

– Cóż, teraz mężczyźni mogą wychodzić wyłącznie za kobiety. Jeden z pierwszych regentów zmienił tutejsze zwyczaje.

– A jednak wciąż istnieją takie opowieści – odparła Malini. – O kobietach również? – W jej głosie dało się usłyszeć pewne wahanie.

– Tak – rzekła Prija. Znow przełknęła ślinę. Dobrze wiedziała, dlaczego tak zaschło jej w gardle. – Co jeszcze mogłabym ci opowiedzieć

o jakszach, moja damo?

– Wszystko – oznajmiła natychmiast Malini. – Cokolwiek. Słyszałam opowieści od moich nianiek, ale były one wyraźnie oczyszczone, dostosowane do grzecznych paridżackich dzieci. Chcę poznać opowieść, jakiej nikt mi nigdy nie opowiadał. – Przerwała, by się zastanowić, po czym podjęła: – Czy możesz opowiedzieć mi coś z Mantr Brzozowej Kory?

– Te historie są zakazane, moja damo – odparła Prija, choć w dzieciństwie wyuczyła się ich na pamięć i wciąż pamiętała fragmenty każdego z poematów, urywane widma wersów.

– Zatem chciałabym wiedzieć, skąd pochodzą jakszowie. To chyba jest w miarę niewinne.

Zapewne nie było niewinne, ale Prija tego nie powiedziała.

Prowadząc księżniczkę nad szczeliną w podłodze, spuściła wzrok. Podłodge pokrytej zagłębieniami wyglądającymi jak fale. Jak woda.

Te fale również się poruszały. Nie były takie, jakimi je pozostawiła poprzedniego dnia.

– Jakszowie pochodzą z tego samego miejsca, co wszystko – rzekła Prija powoli. – Z rzek.

– Rzek?

– Kosmicznych rzek, w których rodzą się wszechświaty. Rzek płynących z żółtka Wielkiego Jaja. Rzek serca i krwi, rzek nieśmiertelności, rzek duszy. Jakszowie zrodzili się w tych rzekach jako ryby i płynęli nimi, aż odnaleźli świat na brzegu. Stamtąd wkroczyli do naszego świata, ale to najmłodsze z nich, Mani Ara, przybyło do Ahiranji i zamieszkało w niej.

– Czym jest Jajo Świata?

– Jajem, z którego zrodził się świat.

– A skąd – mruknęła Malini, lekko przekrzywiwszy głowę – wzięło się Jajo Świata? Z Pawicy Świata?

Prija podjęła znaczny wysiłek, żeby nie wywrócić oczyma.

– A jak według wierzeń Paridżatczyków zrodził się świat, moja damo?

– Z ognia. Uważamy, że inny świat spłonął i wyłonił się z niego nasz. Z popiołu i płomieni.

– A skąd wziął się tamten wcześniejszy? Moja pani – dodała po krótkiej chwili Prija z kolczastą uległością. – Może z jeszcze innego płonącego świata?

– Tak, to cały ciąg płonących światów – odparła cierpko Malini, a jej usta wykrzywiły się leciutko w wyrazie rozbawienia. – Dowiodłaś

swego, Prijo.

Służąca poczuła, jak jej twarz robi się nieznośnie ciepła. Cieszyła się, że ma ciemniejszą cerę niż księżniczka i że na jej skórze nie widać tak łatwo krzywd i pragnień. Odwróciła wzrok.

– Niańka opowiadała mi o jednej rzece – rzekła Malini cicho. – Magicznej rzece ukrytej pod powierzchnią Ahiranji. Nazywanej beśmiertnymi wodami. Być może o niej słyszałaś.

Prija musiała zebrać wszystkie swoje siły, żeby nie zeszywnieć. Muśnięcie dłoni Malini na jej barku, wymieniane opowieści, wszystko to wywołało w niej fałszywe poczucie bezpieczeństwa. Z tego powodu zimny węzeł, jaki uformował się w jej brzuchu, okazał się tym bardziej szokujący.

– Słyszałaś, jak rozmawiałam o nich z Miną – rzekła cicho. – Z buntowniczką. Zgadza się?

Malini nie zaprzeczyła. Zamiast tego powiedziała:

– Wiem, że to martwiło mojego ojca. Że w Ahiranji wśród dzieci pojawiają się dziwne dary. Mówił o tym z moją matką. Twierdził, że trzeba coś z tym zrobić.

Jej ojciec. Cesarz Sikander.

– Moja damo – powiedziała cicho Prija, spychając w głąb małe splot gniewu, który pojawił się w jej sercu – dlaczego mnie tu sprowadziłaś? Dlaczego kłamałaś na mój temat i twierdziłaś, że uratowałam ci życie?

I stało się. Powiedziała to na głos. Wreszcie zmierzyła się z faktem, że popełniła straszliwy błąd, gdy ujawniła się przed Miną i ukryła prawdę przed Bhumiką.

– Nie wiem, dlaczego ta buntowniczka tu była – rzekła w końcu Malini. – Być może chciała mnie zabić. Ale gdy zobaczyłam ciebie, Prijo...

Jej głos ucichł.

– Jesteś silna – podjęła po chwili. – I nie zamierzam wypytywać cię o twoją siłę, ale... bardzo potrzebuję w tym miejscu przyjaciółki. Takiej, która rozumie, jak to jest stracić i opłakiwać ludzi, których kochała. Która ochroni mnie przed moimi obawami. I... I mam nadzieję, że staniesz się dla mnie właśnie taką przyjaciółką.

Przyjaciółką. Zupełnie jakby to było możliwe.

Dotyk Malini był taki lekki. Księżniczka wydawała się krucha i wyglądała na kruchą. Jak możesz być tak miękka, pomyślała bezradnie Prija. Jak możesz wiedzieć, czym jestem, a jednak w taki sposób patrzeć mi prosto w oczy? Jak możesz być tak idiotycznie ufna?

– Nie można się z kimś zaprzyjaźnić, rozmawiając o zmarłych bliskich – Prija wykrztusiła z trudem przez gulę, która urosła jej w gardle.
– Nie, zapewne nie – odparła Malini, wpatrując się w dal.
– Bardziej mi się podobało, gdy mówiłaś o pawicach – zdołała powiedzieć Prija. – Jeśli chcesz, możesz kontynuować.

Księżniczka znów pokręciła głową i wymknął jej się cichy odgłos rozbawienia. Odkąd Prija ją poznała, był to najbliższy śmiechowi dźwięk, jaki słyszała z jej strony. Nie do końca rozumiejąc, co czuje, służąca kolejny raz poprowadziła Malini wokół triweni, patrząc, jak wiatr szarpie księżniczce włosy. Nagle zatrzymała się.

Pramila stała w zachodnim korytarzu, obserwując je. Zaciskała szczęki, a na jej twarzy widniał wyraz furii.

– Nie wolno ci opuszczać celi – wycedziła.

Jej głos chwiał się jak płomień. Przez sekundę Prii wydawało się, że kobieta płacze, lecz zaraz uświadomiła sobie, że ta chwiejność nie jest spowodowana przez łzy, lecz przez złość, tak silną, że Pramila nie była w stanie do końca jej kontrolować. Kobieta przeszła przez triweni, drżąc od naporu targających nią emocji.

Malini nic nie powiedziała.

– Wiedziałam, że znajdziesz sposób, by wykorzystać tę służącą – rzuciła Pramila. – I oto jesteś. Zapłaciłaś jej? Przekupiłaś ją?

– Nie czułam się dobrze – rzekła słabo księżniczka. – Potrzebowałam powietrza.

– Oddaj mi klucz – poleciła Pramila Prii. Wypowiedziała te słowa nagle, wyciągając dłoń.

– Nie – stwierdziła Malini. – Nie oddawaj jej go, Prijo.

Służąca już odpięła klucz. Nie zdążyła zaczepić go znowu u pasa, zanim Pramila go jej wyrwała.

– To taka drobnostka, móc opuścić pokój i poczuć powietrze na twarzy – wykrztusiła Malini głosem bliskim płaczu. – Gdybyś tylko okazała mi choć odrobinę życzliwości, proszę.

– Nie błagaj – skomentowała Pramila z pogardą w głosie. – Za każdym razem, gdy płaczesz i błagasz, wiem, że to wszystko kłamstwo. Wiem, czym jesteś...

– Błagam wyłącznie dlatego, że zamykasz mnie w klatce jak zwierzę. Myślisz, że mój brat chce, bym umarła w ciasnej celi w obcej ziemi?

– Nie, nie przypuszczam, by chciał dla ciebie takiej śmierci. Dobrze wiesz, czego oczekuje.

– Naprawdę chcesz, żebym cierpiała tak jak ona, Pramilo? – zapytała Malini głosem jak aksamit. Błagalnie. Jednak kobieta drgnęła, jakby otrzymała cios.

Pramila syknęła, a jej oczy wypełniły się wściekłością. Bez chwili wahania uniosła dłoń, by uderzyć w twarz Priję – nie Malini. Nie miał to być zdawkowy karcący policzek. Prija natychmiast to dostrzegła. Dłoń Pramili zacisnęła się w pięść najeżoną pierścieniami, twardy splot knykci i metalowych obrączek, od którego służąca zalałaby się krwią. Prija miała tylko sekundę, by poczuć, jak zalewa ją zapierająca dech furia, że karano ją zamiast Malini, zanim sama podniosła dłoń, by odtrącić rękę kobiety.

Nie zdążyła. Malini wpadła na Priję, chwyciła jej nadgarstki zimnymi dłońmi i ustawiła się pomiędzy pięścią Pramili a twarzą służącej. Prija poczuła uderzenie i osłepiający ból, gdy pięść kobiety uderzyła księżniczkę za uchem, a głowa Malini zderzyła się z jej czaszką. Prija nie mogła się ruszyć, nie mogła walczyć – Malini wciąż ją trzymała, wbijając paznokcie w jej ciało tak samo jak wtedy, gdy Prija obudziła ją z koszmaru, naciskała z mocą imadła zakończonego igłami.

– Nie – oznajmiła Malini lekko łamiącym się głosem. – Nie, nie wolno ci.

Prija ledwo widziała przez zasłonę ciała księżniczki, przez jej rozpuszczone ciemne włosy jeszcze bardziej rozwichrzone niż zwykle z powodu wiatru. Czuła jednak oddech księżniczki na swojej skórze i wiedziała, że te słowa są przeznaczone dla niej.

Zamarła zatem. Malini jej nie puszczała.

– Księ...księżniczko – wykrztusiła urywanie Pramila. – Czy jesteś ran...?

– Możesz uderzyć mnie ponownie, jeśli masz ochotę – rzekła Malini. – Ale nie uderzysz Prii. Nie uczestniczy w naszych sprawach. – Wciąż zasłaniała służącą. – Proszę bardzo, Pramilo. Rób, jak uważasz.

– Och! Och. Wydaje ci się, że zawaham się przed uderzeniem cię? – Pramila roześmiała się brzydko, a przez kurtynę włosów Malini Prija dostrzegła jej twarz: wilgotne, pełne furii oczy oraz ironicznie wykrzywione usta. – Wydaje ci się, że nie ośmielę się ciebie skrzywdzić, skoro jesteś tu tylko ze mną? Zaskługujesz na cios.

– Wciąż jestem z tego samego ciała i krwi co cesarz – odparła Malini głosem cichym, lecz opanowanym. – Wciąż jestem księżniczką Paridżatu. Uderz mnie, jeśli chcesz, ale nie zapominaj, że brat przysłał mnie tu w konkretnym celu.

– Zatem wypełnij swój cel – wycedziła Pramila. – Pogódź się z losem, żebym nie musiała już dłużej na ciebie patrzeć.

Malini nic na to nie odpowiedziała, a oblicze Pramili drgnęło, mignęło na nim coś mrocznego, zdecydowanie wykraczającego poza nienawiść. Zaraz potem uspokoiła się. Zapanowała nad furią. Wyprostowała barki. Wygładziła fałdy sari.

– Uważam, że potrzebujesz więcej lekarstwa – oznajmiła. – Jesteś wyczerpana nerwowo, księżniczko Malini.

Malini odetchnęła drżąco. Niemal bezgłośnie.

– Idziemy, księżniczko – rzekła Pramila. – Już.

Przez długą chwilę Malini nie ruszała się, pochylona nad Priją, ściskająca jej nadgarstki w tym bolesnym chwycie. Nagle puściła wreszcie dziewczynę i odsunęła się od niej.

Prija pochyliła głowę. Czekala.

Pramila podniosła dłoń. Malini wydobyła z siebie okrzyk cichy jak szmer spadających liści.

Pramila bez przeszkód uderzyła Priję. Tym razem cios nie był napędzany wściekłością. Uderzyła celowo, chcąc przypomnieć służącej, gdzie jej miejsce, a także przypomnieć to samo Malini, ale skóra rozcinana pierścionkami wcale przez to nie bolała mniej, a w ustach Prija wcale nie poczuła mniejszych mdłości.

– Głupia dziewczyna – oznajmiła Pramila. – Zabierz księżniczkę do jej pokoju. Natychmiast. Za chwilę tam przyjdę.



Nie minęło wiele czasu, zanim Pramila wpadła do środka, niosąc karafkę.

– Wypij – poleciła, stawiając wino przy Malini.

Księżniczka próbowała podnieść naczynie, ale drżały jej dłonie. Ich krótki spacer – gdy pozostawała tak przytomna – wyczerpał ją. Zanim przewróciła wino, Prija przeszła przez pokój. Gdy znalazła się bliżej, Pramila drgnęła – albo szykowała się, by znów ją uderzyć, nie było to do końca jasne – ale Prija popatrzyła na nią i starsza kobieta znieruchomiała. Służąca dostrzegła na twarzy tamtej wyraz wstydu wywołanego spuchniętą, zaczerwienioną wargą Prii. Już wyparowała z niej wściekłość i teraz były tu wszystkie razem. Pramila. Malini. Oraz Prija, która nie miała najmniejszego znaczenia. Która miała pękniętą wargę i zakrwawiony policzek na pamiątkę wstydu Pramili.

Będę musiała przejąć od niej kontrolę nad tym zadaniem, pomyślała Prija. Będę musiała dopilnować, aby księżniczka przestała być podtruwana, inaczej umrze.

Prija pochyliła się i wzięła karafkę od Malini. Nalała porcję i włożyła ją księżniczce w dłoń.

– Teraz ostrożnie, moja damo – przestrzegła.

Pomogła Malini podnieść kubek do ust. Pomogła jej wypić.

Nie była pewna, czy jeśli Pramila znów ją uderzy, zdoła nad sobą zapanować. Ani czy będzie w ogóle tego chciała. Przygryzła zębami język, odwracając swoją uwagę od pulsującego policzka.

Wciąż klęcząc przed Malini, oddała karafkę Pramili, spuszczać pokornie wzrok.

Jeśli znów mnie skrzywdzi, połamię jej palce. Nadgarstek. Uderzę ją w twarz gołą dłonią. Nie zniosę tego. Na pewno nie. Nie...

Pramila odebrała karafkę i bez słowa wyszła z pokoju. Chwilę później Prija usłyszała trzask rygła. Nie miała już klucza i wiedziała, że wraz z Malini będą uwięzione aż do rana.

Odetchnęła, pozbywając się z barków okropnego napięcia.

– Nie za dobrze potrafisz pozwalać, by ktoś umniejszał twoją dumę, prawda? – mruknęła Malini.

– Moja damo, jestem służącą – przypomniała jej Prija. – Nie mam żadnej dumy, którą można by umniejszać.

Lekki uśmiech przemknął po wargach księżniczki.

– Ach, uważasz, że takie kłamstwo musisz prezentować wysoko urodzonej damie, prawda? Ale ja wiem, że masz dumę. Wszyscy ją mamy. Możesz nazywać mnie „damą” i „panią” przy starszych od ciebie, ale dostrzegam w tobie stal.

Malini uniosła dłoń i musnęła knykциями opuchliznę na policzku Prii. Wciąż drżały jej palce. Prija poczuła pieczenie pod dotykiem. Przepaliło się przez jej krew i zaśpiewało, a ona pomyślała: och.

Och nie.

To było coś więcej niż zwykła fascynacja. To było zauroczenie... do tego zupełnie niedogodne.

– Czasami musisz odsunąć na bok swoją dumę i moralność, żeby wygrać wojnę – powiedziała Malini.

Prii na chwilę zadrżał oddech.

– Dziękuję – zdołała wykrztusić. – Za to, że mnie ochroniłaś.

– Nie dziękuj mi. Nie zrobiłam tego dla ciebie. Tylko dla siebie. Gdyby naprawdę mocno cię rozzłościła, skrzywdziłabyś ją. Wtedy by cię odesłano, a ja znowu zostałabym sama.

Malini zaczynała się już chwiać. Odetchnęła, po czym zamknęła oczy i położyła się.

– Zostaniesz blisko mnie, gdy będę spała? – Księżniczka odwróciła twarz. – Jeśli chcesz... możesz też się tu położyć.

Prija przełknęła z trudem ślinę. Czy ona...? Ale nie.

W Paridżacie pewnych rzeczy się nie robiło.

A istnieją też rzeczy, powiedziała sobie stanowczo Prija, których nie zrobię, ponieważ nie jestem taką idiotką o swoim mózdzku.

– Posiedzę przy tobie, moja damo – rzekła. – Dopóki nie zaśniesz.

Malini nie spierała się. Wyraźnie nie miała już na to energii. Leżała nieruchomo z zamkniętymi oczyma. Będzie miała posiniaczoną twarz. Skóra Malini była cienka jak papier.

Oddech. Puls. Barwa jej dziąseł, jej paznokci. Prija nie musiała patrzeć na to wszystko, by zdawać sobie sprawę, że Malini powoli umiera.

Potrzebowała sposobu, żeby utrzymać księżniczkę przy życiu. I potrzebowała siły Hirany. Cierpliwość, powiedział jej Aśok. Cierpliwość i czas były kluczowe. Ale cierpliwość nie mogła wystarczyć na zawsze. Zresztą Prija i tak nigdy nie uskarżała się na jej nadmiar.

Przejmie kontrolę nad podawaniem trucizny. Znów dowiedzie, że jest posłuszna i niezauważalna, by Pramila przekazała jej obowiązki i nie kwestionowała jej motywów. Utrzyma księżniczkę przy życiu – nie tylko dla Bhumiki i domostwa, ale również dlatego, że było to słuszne.

A już na pewno nie dlatego, że tego chciała. Absolutnie nie.

Z początku sądziła, że to kolejny sen.

Woda u jej stóp. Wijący się płyn gładki niczym zwoje liny. Wspomnienie cienia jej brata obrzeżonego czerwienią.

Następnie poczuła śpiewającą poprzez nią magię jakszów. Sól w swoich żyłach.

Przypomniała sobie kosmiczne żyły. Jajo Świata.

(Pawicę Świata. Nie. O tym nie zamierzała myśleć).

Rozejrzała się i przez mgiełkę snu zmusiła się, by widzieć.

Ciemna woda pod nią. Woda rzeki. Trzech rzek, spotykających się i wijących. Rzeki czerwieni tak głębokiej, że niemal czarnej, pulsującej wokół niej, ohydnej od życia. Rzeki zieleni przetykanej złotem, kołyszącej się jak trawa poruszana wiatrem. Rzeki mroku, bezświatlnej, falującej pustką.

Czuła rzeki pod swoimi stopami. Rzeki wijące się przez jej czaszkę. To nie był sen.

To był...

– Prijo. – Głos Bhumiki. Brzmiała, jakby czuła ulgę. – Wreszcie tu jesteś.

Bhumika stała przed nią zanurzona do pasa w wodzie. Była cieniem, ciemnością na tle wody, rzeka wokół niej lśniła lekko różowo, odbijała malujące ją czerwone światło.

– Sangam – powiedziała Prija z zachwytem. – Od tak dawna nie widziałam go we właściwy sposób.

– Wpływ Hirany – mruknęła Bhumika, po czym spytała: – Jak to we właściwy sposób?

– Gdy Mina mnie dusiła, wydawało mi się, że dostrzegam jego przebłyski. Ale nie tak jak teraz.

– Cóż – stwierdziła Bhumika z niezadowoleniem. – Oczywiście nie wspomniałaś mi o tym, gdy rozmawialiśmy.

Prija wzruszyła ramionami.

– Nie wydawało mi się to istotne.

Bhumika westchnęła. Prija odwróciła od niej wzrok i rozejrzała się po sangamie.

Rzeki sunęły wokół niej, ale ponad nią widniały w lustrzanym odbiciu, usiane gwiazdami. Kosmiczne rzeki były jak złożony, pomarszczony świat – dziesiątki światów ściśniętych ze sobą, powiązanych ruchem wody.

– Przynajmniej oszczędza nam to osobistego spotkania – powiedziała Bhumika, obserwując, jak Prija obraca się dookoła, jak zatacza krąg w wodzie, w trzech rzekach kotłujących się wokół jej kolan. – Opowiedz mi o księżniczce.

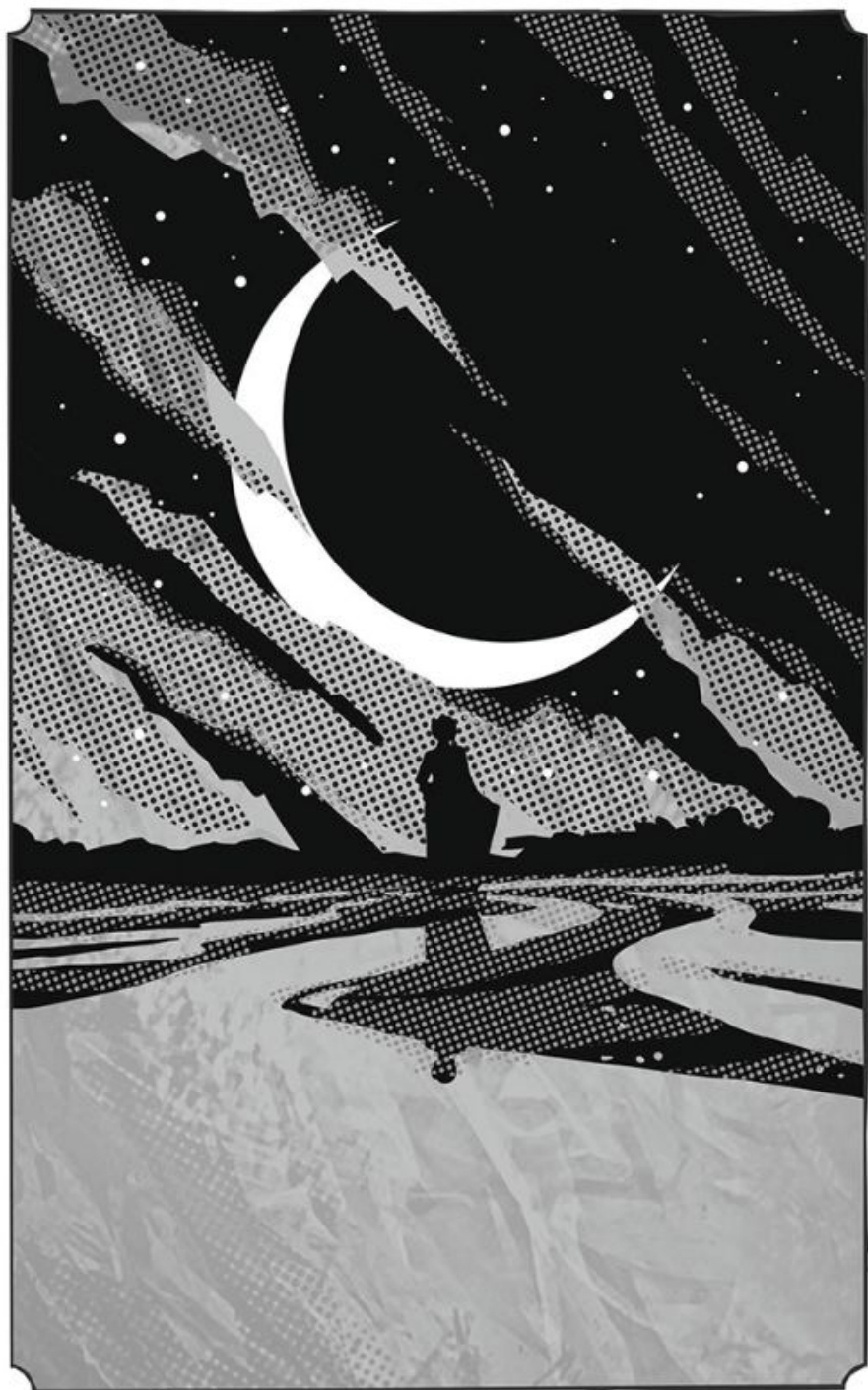
– Jest chora.

– Wiem to, Prijo.

– Pramila podtruwa ją sproszkowanym igłokwiatem podawanym w winie – dodała Prija. – Nie jestem pewna, czy zamierza ją zabić, czy nie, ale...

– Ale sprowadza się to do tego samego – dokończyła Bhumika. – Chyba nie sądzisz, że cesarz zamierza ją zabić?

Bhumika obawiała się, że generał Wikram i jego domostwo stanowią jeden z celów władcy, który pragnął usunąć siostrę i generała jednym paskudnym, oszczędnym zamachem. Jednak Prija nie była już tego taka pewna. Weszła głębiej, podchodząc do Bhumiki, i zbieg kosmicznych rzek sięgnął jej do pasa.



– Nie – rzekła. – Nie za pośrednictwem trucizny. Sądzę, a właściwie jestem niemal przekonana, że chce ją spalić. Jednak jeśli ona dalej będzie odmawiać, być może uzna, że trucizna musi wystarczyć. Śmierć przez igłokwiat byłaby... paskudna. – Odsunęła od siebie tę myśl. – Bhumiko, czy wiesz może, co ona zrobiła, by tak go rozgniewać? Dlaczego on chce ją spalić?

– Nie, tego nie wiem. Być może nic nie zrobiła, Prijo. – W głosie Bhumiki nagle zabrzmiało ogromne zmęczenie. – Dziś w mieście spalono kobiety. Najwyraźniej w ramach wymierzania cesarskiej sprawiedliwości.

– Co? Czy generał Wikram to nakazał?

– Nakazał to jeden z ludzi cesarza, co zresztą nieistotne. Nie ma to znaczenia. Wystarczy, byś wiedziała, że cesarz czerpie przyjemność z palenia kobiet. Daje mu to coś wartościowego. Służy mu jako swoisty cel, choć nie wiem, czy chodzi bardziej o kontrolę czy wiarę.

Prija podeszła jeszcze bliżej i poprzez dziwność sangamu poczuła echo tego, co widziała i słyszała Bhumika: płonące kobiety, ich krzyki.

Zatoczyła się.

– Czyli tego chce cesarz? – zdołała wykrztusić.

– Najwyraźniej.

Woda wokół nich zajaśniała.

Pomiędzy Priją a jej starszą siostrą siostrą zawsze istniał dystans. Przepaść, której nie dało się pokonać mostem słów. Nie były sobie bliskie, gdy siostry starsi wciąż żyli, a Prija była ledwie małą dziewczynką. Zaś w chwili, gdy Bhumika przygarnęła Priję, wyraźnie dała do zrozumienia, że nie mogą być rodziną. Więź pomiędzy nimi nabrała wyrazistości i gorzkiego posmaku, co mimo wszystko je łączyło. I utrudniało wypowiedanie szczerych słów.

Ale coś w tym miejscu – jego dziwność, rzeczny tusz zlewający się w Bhumikę oraz echo jej grozy – rozwiązało Prii język. Pozwoliła, by słowa popłynęły.

– Tak długo nie potrafiłam tu przyjść. Czy tak to jest być dwukrotnie zrodzonym? Móc wchodzić do sangamu i po prostu być czymś więcej niż człowiekiem?

– Jesteśmy w pełni ludźmi – odparła Bhumika. – Nieważne, co umiemy zrobić.

Prija roześmiała się. Rozejrzała się wymownie, gdy rzeki spletały się wokół nich.

– Uważasz, że to jest ludzkie?

– Uważam, że to jest dewiacja. Problem. I na pewno nie coś, czemu powinniśmy folgować.

– Zatem dlaczego tu jesteś? – rzuciła wyzywająco Prija.

– Ponieważ powinnam tu być – warknęła Bhumika. – Ponieważ tak wiele rzeczy się rozpada. Ponieważ tak wiele rzeczy w Ahiranji jest okropnie nie w porządku i muszę stosować wszelkie narzędzia, które znajdują się w moim ograniczonym arsenale.

– Czy spotkałaś się tu z Aśokiem? – spytała bezceremonialnie Prija. Gdy Bhumika milczała, dodała: – Wiem, że on żyje.

– Powinnaś była mi powiedzieć, że się z nim widziałaś – odparła Bhumika.

– Powinnaś była mi powiedzieć, że on żyje.

– Nie chciał, byś wiedziała.

– Och, czyli okłamywałaś mnie z szacunku dla niego. Rozumiem.

– Nigdy cię nie okłamywałam.

– Nie baw się w głupie gierki. Wiedziałaś, że wierzyłam w jego śmierć, i mi na to pozwoliłaś. Dokonałaś świadomego wyboru, żeby ukryć przede mną prawdę. To równoznaczne z kłamstwem.

Gdyby Bhumika składała się w mniejszym stopniu z cienia, a w większym z ciała, zapewne wyglądałaby na zażenowaną.

– On jest niebezpieczny – powiedziała w końcu. – A ja zrobiłam dokładnie to, co uznałam za konieczne dla dziecka, którym byłaś, gdy cię porzucił.

– Ale już nie jestem dzieckiem.

– Ach, Prijo. Nic nie jest takie proste.

– Owszem – przyznała Prija. – I nie proszę cię, żebyś zmniejszyła poziom skomplikowania swojego życia. Znam swoje ograniczenia. – Wiedziała, że brzmi jak zgorzkniała, ale naprawdę jej to nie obchodziło. – Mogę jednak działać wyłącznie w oparciu o posiadaną wiedzę. Właśnie wiedzy się domagam. A zatem będę kontynuować poszukiwanie bezśmiertnych wód. Ponieważ on ich potrzebuje, a więc ja również.

– Aśok chce szerzyć chaos.

– Chce zbudować nowy świat – rzekła defensywnie Prija, choć zdawała sobie sprawę, że powiedziała mu to samo, gdy stali pod Altaną Kości. – Wolną Ahiranję.

– Nie – odparła Bhumika. – On chce powrotu starej Ahiranji. Goni za marzeniem, mirażem, za czasami, gdy Ahiranja była odizolowana, samotna i silna. Ile setek lat temu to było? – W głosie Bhumiki dało się słyszeć wyłącznie pogardę. – On pragnie świata, którego nie da się osiągnąć bez krwi, śmierci i ofiar. W tej kwestii nie różni się od cesarza.

– Ahiranja umiera. Dosłownie butwieje.

– Ale to nie zmienia naszych obowiązków – rzekła Bhumika. – Naszej potrzeby, by utrzymać ją w całości. Jeśli wciąż jesteśmy świątynnymi dziećmi, to nie mogę sobie pozwolić na to, by o tym zapomnieć. Ty również nie.

– Aśok – dobitnie powiedziała Prija – był ostatnią osobą traktującą mnie jak rodzinę.

Uderzenie serca. Dwa.

– Cóż – odparła Bhumika opanowanym głosem. – Skoro tak uważasz, to nic na to nie poradzę.

– Bhumiko, jestem dosłownie twoją służącą.

– A kim innym mogłabyś być? Może moją dawno zaginioną siostrą? Daleką kuzynką? Przecież nie mogłabym cię adoptować, prawda? Status żony generała i wiążące się z nim możliwości wymagają pewnych ofiar. Zawsze tak było.

Nawet w cieniu, nawet w sangamie dłoń Bhumiki przesunęła się machinalnie do jej pasa. Prija poczuła się dziwnie zażenowana. Odwróciła wzrok. Dlaczego zawsze jesteśmy dla siebie takie okropne?

– Tak czy owak – odezwała się nagle Prija – chcę zakończyć jej podtruwanie i w ogóle odciąć ją od igłokwiatu. Jednak to nie ja jestem osobą, która podaje jej wino.

Bhumika zabębniła lekko palcami.

– Czy mogłabyś zostać taką osobą?

– Pramila nieszczególnie poważa służbę. – Prija skrzyżowała ręce. – A już na pewno nie poważa mnie.

– Ale cię potrzebuje.

– Potrzebuje znacznie więcej niż tylko mnie. Ale owszem.

Bhumika skinęła głową, jakby podjęła jakąś decyzję.

– Utrzymaj księżniczkę przy życiu – rzekła. – Jeszcze tylko trochę. To wszystko, o co cię proszę, Prijo. Cokolwiek planujesz z Aśokiem... – Pokręciła głową. – Zrób dla mnie tylko to. Nic więcej.

Wtedy Bhumika wyciągnęła ręce przed siebie i gwałtownie wepchnęła Priję pod wodę.



Prija obudziła się, łapczywie chwytając powietrze.

Malini leżała obok niej na czarpaju pogrążona w głębokim śnie. Słońce właśnie zaczęło wstawać. A Prija niemal byłaby skłonna uwierzyć, że był to tylko sen, gdyby nie wspomnienie stanowczości w oczach Bhumiki. Magia śpiewała i przelewała się w jej krwi.

Linie na podłodze przekształciły się na podobieństwo gwiazd.

Malini wiedziała, że staje się coraz bardziej chora. Coraz trudniej było jej zmusić się do mówienia. Milczenie wydawało się prostsze. Igłokwiat był mroczną sadzawką, otaczającą ją i napierającą na jej język.

Mijały dni. Poprosiła Priję, by trzymała się blisko niej, a Prija wzięła sobie tę prośbę do serca. Służąca często siadała przy niej i opowiadała różne historie: czasami o jakszach, a czasami głupiotki, frywolne opowiadki, które najwyraźniej przypominała sobie z dzieciństwa. Kiedyś mówiła Malini o słoniu, który poprosił swoich mysich przyjaciół, by ocalili go przed myśliwym, przegryzając więzące go liny.

– Czy myszy i słonie posługują się tym samym językiem? – zapytała Malini, gdy Prija była w połowie opowieści.

– Nie szukaj dziury w całym – skarciła ją Prija. – Czy wszystko musi mieć idealny sens, moja damo? To historyjka dla dzieci.

– Uważam, że to słuszne pytanie – odparła księżniczka. Wiedziała, że jej głos jest słaby, że słyhać w nim wyczerpanie, ale zdołała się roześmiać, gdy Prija w udawany sposób zmarszczyła brwi. – A teraz wyobraź sobie, że masz rozmiar słonia, a ja rozmiar myszy. Czy naprawdę mogłybyśmy się porozumieć?

– Cóż, na pewno byłabyś zbyt przerażona, by mówić mi, jak głupie są moje historyjki – skomentowała Prija.

Jednak w miarę jak Malini stawała się coraz bardziej chora, opowieści pojawiały się rzadziej. Zazwyczaj gdy księżniczka wybudzała się z koszmarów, orientowała się, że Prija drzemie na podłodze obok jej czarpaja, z głową opartą na ręce i ciałem obróconym na bok.

Pewnej nocy poczuła, jak czarpaj się przesuwają. Usłyszała skrzypnięcie ramy za swoimi zgarbionymi plecami.

– Prija? – wyszeptała niepewnie.

– Jestem tu.

Malini obróciła się.

– Nie śpię?

– Nie – odparła Prija. – Nie, moja damo.

– To dobrze. – Malini była lekko zachrypnięta. Przeplotła palce przez bambusową siatkę i dostrzegła, że palce Prii powtórzyły jej ruch i znalazły się w odległości pół oddechu od jej knykci. Malini ledwo dostrzegła twarz służącej. W mroku nocy skóra Prii wydawała się upiornie biała, jej usta i żuchwa pozostawały pograżone w cieniu.

Być może to za sprawą igłokwiatu Malini wydawało się, że Prija może w każdej chwili zniknąć, rozwiać się niczym strużka dymu ponad płomieniem świecy. Księżniczka miała ochotę wyciągnąć rękę i dotknąć jej skóry, poczuć zagłębienia i wypukłości knykci i stawów, wszystko to prawdziwe i stanowiące dowód życia.

Ale nie zrobiła tego. Pozostała nieruchomo i słuchała oddechu Prii, obserwowała białka jej oczu, a Prija robiła to samo.

– Dlaczego dama Pramila cię nienawidzi, moja damo? – spytała nagle Prija.

– Czy Pramila coś ci dzisiaj mówiła?

Służąca pokręciła głową.

– Nie, moja damo.

– Dozorcy zawsze nienawidzą swoich więźniów – stwierdziła Malini.

– Moim zdaniem odzywa się do ciebie w inny sposób niż zwykle dozorcy odpowiadają więźniom.

– Naprawdę? – Malini zmarszczyła brwi. – Myślałam, że robi to normalnie. W końcu władza sprawia, że każdy staje się potworem. Przynajmniej odrobinę.

Kąciki ust Prii opadły. Wyglądała... chyba na zatroskaną. To dobrze.

– Proszę, moja damo – powiedziała. – Chcę pomóc.

Malini chciała jej litości. Chciała przywiązać do siebie Priję. Potrzebowała sojuszniczki. Już wcześniej odsłoniła przed nią swoją słabość, przyciągnęła ją do siebie, zrobiła z niej swoją powiernicę. Teraz będzie musiała to powtórzyć. Ale tak trudno jej było zmuszać się do mówienia przez napór igłokwiatu. Wylewać z siebie słowa. Wszystko to było trudne i bolało.

Nastąpiła długa chwila milczenia, gdy Malini zbierała w sobie rezerwy siły i przesuwiała się, by oprzeć na łokciu. Wpatrywała się w Priję przez zasłonę włosów, żałując, że nie umie jej lepiej rozszyfrowywać i że umysł ma tak otumaniony trucizną.

– Jej córka była moją przyjaciółką – wyjaśniła Malini. – Moją damą dworu. Wspięła się na stos, obie damy dworu to zrobiły, zaś ja odmówiłam. Pramila nie umie mi tego wybaczyć. Część niej szczerze wierzy, że dla jej córki był to zaszczyt. Możliwość osiągnięcia nieśmiertelności. Zaś inna jej część zna prawdę: że stos stanowił karę dla mnie. Że jej córka zginęła w płomieniach i bólu przeze mnie. A teraz ja żyję pomimo moich pomyłek, natomiast jej córka nie. Nie może mi wybaczyć żadnej z tych rzeczy.

Prija w widoczny sposób przelknęła ślinę i przesunęła się, by przyjąć lustrzany odpowiednik pozycji księżniczki.

– Dlaczego chciał cię usunąć? – spytała. – Twój brat?

Tak wiele rzeczy Malini mogłaby powiedzieć. Zdradziłam go. Próbowałam go obalić. Zbyt dobrze potrafiłam go przejrzeć i nienawidził mnie za to. Jednak nie były to prawdy, które teraz by jej pomogły. Zresztą jaka prawda mogłaby jej pomóc?

Odsunęła sobie włosy do tyłu i skrzyżowała wzrok z Priją.

– Ponieważ jestem nieczysta.

Oczy służącej otworzyły się odrobinę szerzej.

Spytaj mnie, pomyślała Malini, nie przerywając kontaktu wzrokowego, co sprawia, że jestem nieczysta. Jeśli jesteś dość odważna, spytaj mnie o to.

Ale Prija nie spytała.

– Przykro mi, moja damo – rzekła zamiast tego.

– Pramila chce, żebym umarła na stosie – powiedziała Malini. – Czasami siada przy moim łóżku i opowiada mi, jak błogosławiona będzie nieśmiertelność. A czasami prosi mnie, bym wyobrażała sobie, jakie to uczucie płonąć. Wyobrażałam to sobie i wciąż wyobrażam, Prijo. Raz za razem.

Gdy głos Malini ucichł, a Prija poruszyła się, chcąc wyciągnąć rękę, księżniczka powstrzymała ją dłonią.

– Nie – podjęła. – Ja... nie chcę być pocieszana. – Nagle zaczęła się trząść, zalały ją żal i gniew, nie miała ochoty być dotykana. To byłoby zbyt wiele. Zbyt wiele, gdy jej skóra już wydawała się przepelniona doznaniem. Malini spłyciła oddech. Opuściła dłonie. – Pramila uważa, że sama wybiorę. Stos. Spalenie. Ale może do tego nie dojdzie. Jeśli stanę się jeszcze trochę słabsza, nie dojdzie do tego.

– Nie, chyba nie – uznała Prija.

– Zatem teraz już wiesz. Poprosiłabym cię, żebyś mi wybaczyła, że opowiadam ci o moich krzywdach, ale nie żałuję niczego, co zrobiłam. Chcę, byś to wiedziała, Prijo.

Oto była. Prawda pozbawiona upiększeń i wyciągnięta na wierzch.

Malini otworzyła serce i wylała przed Priją krew, dała jej wszystko, co w jej przeszłości paskudne i czułe, co bolesne i słodkie. Zaś Prija...

Prija nie dotknęła jej, lecz trzymała dłoń blisko dłoni księżniczki. Nie spuszczała z niej wzroku. Spokojnego i pewnego.

– Wiele razy mówiłam ci, moja pani, że jestem tylko służącą – rzekła. – Nie musisz nawet myśleć o tym, że miałabyś mnie przeproszać.

– Ale myślę o tym, Prijo. To wszystko.



Pramila przyszła ją odwiedzić za dnia. Malini zorientowała się tylko dlatego, że obudziła się rozgrzana od żaru południowego słońca i ponieważ głos Prii ją wybudził, wyciągnął z głębokiej sadzawki narkotycznego snu na płyczną niemal pełnej świadomości, gdzie pokój leniwie kołysał się wokół niej, ale wciąż była w stanie myśleć. I słyszeć, na przykład gdy Pramila przysiadła na krawędzi czarpaju i drewniana rama zaskrzypiała.

– Księżniczka odpoczywa, moja damo – powiedziała Prija. Malini nie otwierała oczu i oddychała miarowo. – Mogę spróbować ją obudzić, jeśli sobie życzysz, ale śpi głęboko.

Pramila wydała z siebie potwierdzający odgłos. Odchrząknęła.

– Twoja twarz – rzekła. – Czy czujesz w niej ból?

Przez chwilę panowało milczenie.

– Nie, moja damo – odparła Prija.

– Nie powinnam była cię uderzyć – stwierdziła sztywno kobieta. – Nigdy wcześniej nie uderzyłam żadnej z moich służących. To poniżej

mojej godności. Ale tutaj, w tym miejscu... – Zabębniła palcami o coś twardego. Może o Księżę Matek. – Księżniczka sprawia, że się zapominam.

Malini wciąż nie otwierała oczu. Nie zamierzała tego robić. Wystarczyło jej, że słyszała ich głosy.

– Być może wydaje ci się, że trochę ją kochasz – kontynuowała Pramila. – Jest olśniewającą panią dla kogoś tak pośledniego i nieokrzesanego jak ty. Ale pamiętaj, dziewczyno, że ona wszystkich wykorzystuje. Nawet mnie. Jak myślisz, dlaczego nie dopuszczam do niej strażników? Chodzi tu o coś więcej niż tylko pobożność. Opętałyby ich swoją śliczną twarzyczką i słodkimi słówkami. Jest manipulatką. Nieważne, co by mówiła, nie zapominaj, że jesteś jedynie pyłem pod jej stopami. Wspomnij to, gdy następnym razem poprosi cię o drobną przysługę. – Kobieta zniżyła głos. – I gdy następnym razem wzbudzi mój gniew.

– Pani, ja jej nie darzę podziwem – odparła Prija urywanym głosem. – Ja tylko... chciałabym utrzymać to stanowisko. Mam pod opieką osoby, które są ode mnie zależne. Nie mogę pozwolić sobie na stratę dochodów.

– Wbrew temu, co księżniczka może ci mówić, to ja decyduję, czy tu zostaniesz, czy nie – oznajmiła Pramila z nutą aprobaty w głosie. – Nie licząc jednej nieszczęśliwej pomyłki, byłaś dotąd dobrą pracownicą. Nie musisz się niczego obawiać, jeśli tylko będziesz pamiętać, kogo... roztropniej słuchać.

– Och, dziękuję – rzekła Prija. – Tak bardzo ci dziękuję, damo Pramilo.

Malini usłyszała szelest stóp Prii podchodzącej bliżej do Pramili.

– Damo Pramilo, pozwól mi, proszę, być bardziej pomocną. Mogłabym wieczorami zapalać kadzidło w twoim gabinecie, by osłodzić ci powietrze. Albo przygotowywać twoje ulubione dania, jeśli dysponujemy składnikami. I mogłabym również... podawać księżniczce jej lekarstwo. I tak już przynoszę jej wieczorny posiłek. To żaden kłopot dla mnie, by podawać jej też wino, zanim zaśnie. – Prija urwała na chwilę, po czym dodała: – Ufa mi. Nie będzie grymasić.

Przez moment panowało milczenie. Pramila poruszyła się, sari zaszeleściło wokół niej.

– Wbrew temu, co możesz sądzić i co jest rozsądne, kocham księżniczkę – powiedziała Pramila łamiącym się głosem, jakby ktoś wyrwał z niej te słowa. Poniekąd tak było. – Kocham ją na tyle, że chcę dla niej tego, co najlepsze, nawet jeśli ona tego nie chce.

- Zatem pozwól, bym przejęła od ciebie to brzemię – odparła Prija.
– Proszę.
– W porządku. Jeśli tylko będziesz pamiętać, komu jesteś winna lojalność.
– Oczywiście, pani. Zrobię wszystko, by wykazać swoją użyteczność – oznajmiła Prija szczerze.

Malini nieznacznie uchyliła oczy. W wąskim skrawku pola widzenia dostrzegła Priję – przejętą i prostolinijną, z wyciągniętą dłonią – i Pramile podającą jej fiołkę z igłokwiatem.



Zapadł zmierzch. Pramila wróciła, by znów nauczać Malini o matkach. Księżniczka słuchała jednym uchem, obserwując drzwi i zastanawiając się, co robi Prija. Czy posłusznie dodaje jej do wina dawkę igłokwiatu? A może wlała całą buteleczkę, by Malini zmarła szybko i bezboleśnie?

Raczej nie. Niemniej nie przestawała sobie tego wyobrażać.

Prija ukloniła się Pramili i weszła do pokoju. Gdy starsza kobieta wstała, by wyjść, służąca odezwała się:

– Dama Pramila zleciła mi podawać ci lekarstwo – rzekła do Malini, po czym spojrzała na Pramile z ukosa, jakby szukając jej aprobaty. Kobieta skinęła głową, a Prija wtedy przyklęknęła, trzymając w dłoniach karafkę.

Księżniczka popatrzyła najpierw na naczynie, a następnie na służącą.

– Wiem co nieco o lekarstwie uzyskiwanym z igłokwiatu – powiedziała cicho Prija. Pramila stała przy drzwiach i raczej nie mogła jej usłyszeć.

W tych brązowych oczach, w sposobie, w jaki trzymała wino, zupełnie jakby stanowiło dar, a nie truciznę, jakby było czymś cennym, kryła się wiadomość.

Zaufaj mi.

Na tym polegał problem z zawiązywaniem sojuszy. W pewnym momencie nieuchronnie nadchodziła chwila, kiedy trzeba było podjąć decyzję: czy mogę zaufać tej osobie? Czy udało mi się zyskać jej lojalność? Czy jej uprzejmość jest fasadą, za którą kryje się nóż?

Malini dokonała wyboru. Okazało się to prostsze, niż powinno.

– Naprawdę? – odparła równie cicho. – Cóż, tak się składa, że ja również.

Skrzyżowała wzrok z Priją. Nie odrywając od niej oczu, wzięła karafkę i pociągnęła z niej duży łyk.

Gdy Rao usłyszał o egzekucjach i spaleniu kobiet, zasiedli z Premem i ponuro, metodycznie zajęli się trzema butelkami wina.

Poczuł bolesną ulgę, że Prem nie kpił z niego, a tylko nalewał do naczyń, pozwalając Rao opierać się na sobie i opowiadał mu prostolinijne historie o ich młodości, na co Rao mógł oferować jedynie bełkotliwe odpowiedzi.

– Pamiętasz, jak razem z Aditją próbowaliście nauczyć się tańca na wesele mojej ciotki? – Prem już dawno przestał pić i teraz pykał z fajki, która otulała mu twarz chmurą słodko pachnącego dymu. – Byliście naprawdę do dupy. Obydwojaj. Nie mogłem uwierzyć, gdy Aditja podbił ci oko.

– To był tradycyjny saketyjski taniec – zdołał wyburczeć Rao, choć pokój wciąż kręcił się ogłupiająco wokół niego. – Nigdy wcześniej nie tańczyliśmy z kijkami.

– To nie różni się za bardzo od używania szabel, nie sądzisz? Powinniście byli sobie poradzić.

To zupełnie różniło się od używania szabel. Obaj byli niezdarni, niezręczni, bardziej nawykli do nauki i broni niż do tańca. Do tego Aditja rzeczywiście próbował ciskać swoimi bliźniaczymi kijkami jak szablami. Właśnie w ten sposób grzmotnął Rao w twarz.

Aditja przeproszał go wtedy wylewnie za podbite oko. „Mogłem okazać więcej rozsądku” – rzekł w ten swój cierpiętniczy, żarliwy sposób. „Przepraszam, Rao. Muszę więcej poćwiczyć”. Chwila milczenia. „Najlepiej sam”.

Tyle mniej więcej Rao opowiedział Premowi, opierając mu głowę na barku zasłoniętym chustą i czując, jak ramię przyjaciela podnosi się i opada pod nim w rytm jego oddechu. Prem pomrukiwał i śmiał się we wszystkich odpowiednich miejscach, a Rao wreszcie ucichł i zamknął oczy. Pokój wciąż wirował. Rao uświadomił sobie, że później zrobi mu się niedobrze. Nie obchodziło go to.

– Co z nim? – zapytała Lata.

– Och, chyba w porządku – odparł Prem z typową dla siebie lekkością. – Wkrótce zaśnie.

Lata usiadła – usłyszał szelest jej ubrań, kłapanięcie ciała – po czym zaczęła rozmawiać z Premem po cichu, a Rao w tym czasie na zmianę odpływał i odzyskiwał przytomność.

– ...święte drewno – mówił Prem. Jego głos był stłumiony. Rao słyszał, jak wystukuje fajkę, oczyszczając ją z popiołu. – Powiedz mi, że wierzysz, że to prawda.

– Ahiranyjczycy uważają, że gdy jakszowie umierali, z ich ofiary powstawały te drzewa – oznajmiła Lata po chwili. – Według nich pnie są nasączone mocą jakszów. A jeśli chodzi o to, w co ja wierzę... kto może mieć pewność, jakie właściwości ma to drewno?

Rao pomyślał sennie, że nigdy nie brał Prema za człowieka zainteresowanego wiarą innych osób. Może pewnego dnia, gdy to wszystko już się skończy, zabierze go do najstarszych świętych ogrodów w Alorze – tych, gdzie można czytać dawne losy wyryte w żyjących pniach. Może by mu się to spodobało. Będzie musiał go zapytać.

Pochłonął go sen i nie słyszał już nic więcej.



Następnego dnia obudził się z pulsującą głową i spierzchniętym językiem, czego w pełni się spodziewał. Pozwolił sobie na złe samopoczucie jednego ranka i wyłącznie tego jednego.

Potem wrócił do podstawowego zadania, jakim były próby uwolnienia Malini.

Prem w milczeniu wpatrywał się w niego krytycznie, gdy Rao ubierał się jak saketyjski lord w pożyczony od niego strój, cały w bladych zieleniach i niebieskościach. Gdy otulił sobie ramiona chustą, Prem powiedział:

– Przynajmniej weź ze sobą stalowy bicz. Możesz pożyczyć go od jednego z moich ludzi, jeśli chcesz. – Wskazał dwóch strażników stojących przy drzwiach. Żaden z nich nie wyglądał na szczególnie zachwyconego tym pomysłem.

Rao pokręcił głową.

– Żaden saketyjski wysoko urodzony nie ruszyłby się nigdzie bez broni – rzekł Prem.

Z zasady żaden alorski ksiązę również nigdzie nie ruszał się bez broni. Jednak Rao dla zachowania subtelności odłożył czakramy i sztylety. Nie mówił o tym Premowi, który doskonale o tym wiedział i tylko chciał podrażnić się z przyjacielem.

– Nigdzie? – powtórzył Rao, zawiązując szarfę. – W takim razie jestem zaskoczony, że wciąż masz wszystkie kończyny, jeśli wziąć pod uwagę, ile pijesz.

– Szkoliliśmy się tak, by umieć radzić sobie z walką w dowolnej sytuacji – odparł Prem, udając urażonego. – Również w stanie upojenia.

– Cóż, a ja wolę niczego przy sobie nie nosić. Mam większą szansę odciąć sobie dłoń, niż się obronić, nieważne, czy jestem trzeźwy, czy nie.

– Powiniennem cię pouczyć. Poszerzyć twój repertuar.

– Może później – powiedział Rao. Lata czekała i choć nie wyglądała na zniecierpliwioną, lekko uniesione brwi sugerowały, że nieszczególnie pasuje jej opóźnienie.

Wynajęli palankiny, by zawiozły ich z domu rozkoszy do tradycyjnej ahiranyjskiej posiadłości, gdzie mieszkał lord, z którym mieli się spotkać. Służący zaprowadzili ich do bawialni, w której na niskiej otomanie siedział mężczyzna wsparty o poduszki. Pod kratownicowymi oknami starannie ułożono misy z jaskrawoczerwonymi liliami. Jedno z naczyń znajdowało się przy otomanie i barwną plamą kontrastowało z bladym ubraniem starca oraz białym kocem rozłożonym na jego nogach.

Lata zorganizowała tę prezentację, wypytawszy dyskretnie miejskich myślicieli, którzy otrzymywali wsparcie i opiekę od ahiranyjskich wysoko urodzonych. Zawsze istnieli ludzie, którzy cenili możliwość rozmowy z myślicielem i pragnęli poznać część wiedzy, jaką każdy z mędrców nosił w sobie. Takim człowiekiem był lord Gowind, ostatni męski potomek pradawnej ahiranyjskiej szlacheckiej rodziny,

który wyraził zainteresowanie nauczaniem Laty i pragnął poznać ją oraz jej mecenasa.

Rao był tego dnia owym mecenasem: lordem Radżanem, kuzynem Prema, saketyjskim szlachcicem o akademickich zamiłowaniach. Przypominał sobie o tym, gdy wraz z Latą witali się z lordem Gowindem i przekazywali mu wyrazy szacunku.

Lata ukloniła się elegancko, a następnie przyklęknęła obok otomany wraz z Rao. Przyniosła ze sobą dary: książki zapisane własnoręcznie i oprawione w jedwab. Rao nie potrafił sobie wyobrazić, ile czasu zajęło jej dokończenie tak potężnych rękopisów, wymagających licznych godzin spędzonych przy świetle lampy, ale oddała tomy dobrowolnie. Opisała przy tym ich zawartość – zebrane przez nią opowieści, zapisane i poddane krytycznej analizie filozofie – ku wyraźnemu zadowoleniu Gowinda.

– To skromny dar, mój lordzie – powiedziała. – Niemniej dar od mojego mecenasa lorda Radżana, który z wielką radością i zainteresowaniem dowiedział się, że ciekawi cię moja wiedza.

– Ach, dar od twojego mecenasa! Rozumiem, rozumiem. Jakie to szczodre z twojej strony, lordzie Radżanie – rzekł Gowind dobrotliwie, drżącymi dłońmi przyjmując książki od Laty. Położył je sobie na kolanach i w nabożnym skupieniu przyłożył palec do jedwabnej powierzchni. Rao domyślił się w tym momencie, w jaki sposób Gowind będzie czytał te książki, gdy znajdzie się sam: powoli, delektując się każdą stroną, lekko podtrzymując grzbiet, by chronić delikatne stronicie. – Wiedza jest czymś bezcennym – podjął Gowind. – Ale godziny pracy włożone w te dzieła są warte pieniędzy w znaczącej kwocie, zatem tym bardziej je doceniam. Dziękuję ci za poświęcony czas, myślicielko.

Lata skłoniła w odpowiedzi głowę, w milczeniu przyjmując pochwały.

– Co skłoniło cię do takiej szczodrości, lordzie Radżanie?

– Wiele kwestii, lordzie Gowindzie – odparł Rao z uśmiechem, pozwalając, by do jego słów dostała się odrobina saketyjskiego akcentu. W końcu liczyła się wiarygodność. – Jednak nie można nie docenić radości płynącej ze sprawienia przyjemności innemu uczonemu.

Gowind prychnął cichutko.

– Paridżatdwipańscy lordowie rzadko odwiedzają Ahiranję, by toczyć dysputy intelektualne.

– Tak mi mówiono – odrzekł Rao. Zastanawiał się, czy lord Gowind wiedział, że Prem i jego świta mieszkają w burdelu. Postanowił nie pytać.

– Przybywają tu, by zajmować się rzeczami, które poza granicami Ahiranji uznawano by za niestosowne – kontynuował Gowind. – Dla przykładu, nie sądziłem, że Saketyjczycy dopuszczają możliwość podróżowania z młodymi kobietami, z którymi nie są spokrewnieni. Czy nie zabrałeś żadnej starszej kobiety w charakterze przyzwoitki, lordzie Radżanie? Powinieneś się wstydzić.

Ach. Rao nawet nie zastanawiał się nad niestosownością tej kwestii, przynajmniej nie tak, jak powinien. Zakładał, że w pomieszczeniu będą obecne służące zajmujące się swoim panem i jego gośćmi, jednak lord Gowind po ich przyjeździe odprawił całą służbę. Poza tym on i Prem tak często podróżowali z Latą, że już dawno przestał uważać za dziwne, że pozostaje z nią sam na sam.

Wbrew sobie Rao poczuł, jak się rumieni. Kusilo go, by dalej przyklejać sobie uśmiech, by wykorzystał go jako maskę, jednak zamiast tego pozwolił, by twarz mu spoważniała, po czym zaczął zbierać słowa i sformułowania, których potrzebował, by wygładzić kanciaste aspekty tej rozmowy.

Jednak to Lata przemówiła pierwsza.

– Moja nauczycielka kształciła siostrę lorda Radżana – oznajmiła. – W ten sposób staliśmy się niczym rodzina. Połączona wiedzą.

– Kuzyni w wiedzy? – spytał Gowind, unosząc brwi.

– Więź uczniów jednego myśliciela może być dla nas silniejsza niż więź krwi – powiedziała. – A przynajmniej tak uważa wielu myślicieli. W moich oczach pobyt w jego towarzystwie jest w pełni honorowy.

– A w oczach społeczeństwa? – mruknął Gowind, a w jego drżącym głosie pojawiła się lekka karcąca nuta.

– Paridżatdwipa nie jest cesarstwem ujednoczonych wartości, mój lordzie – rzekła Lata, uśmiechając się.

– Istotnie, nie jest. – We wzroku Gowinda błysnęła wnikliwość. – Cóż, to nie moja sprawa – dodał łagodnie, zupełnie jakby przed chwilą nie zrobił z tego swojej sprawy. – Przypuszczam, że czegoś ode mnie chcesz, lordzie Radżanie. Być może zaplanowałeś subtelne podejście, jednak jestem starcem i nie mam już czasu na podobne gierki.

Lord Gowind niewątpliwie był stary i kruchy, jednak Rao nie przypuszczał, by brakowało mu cierpliwości do polityki. Nie powiedział tego jednak na głos. Usiadł prosto i złożył dłonie przed sobą ze schludnością lorda, którego udawał – lorda przywykłego do posługiwania się piórem i atramentem zamiast bronią. Wychylił się do przodu. Przemówił.

– Potrzebuję rady kogoś mądrego, lordzie Gowindzie. Jesteś dla mnie szanowanym człowiekiem, który dysponuje gruntowną wiedzą na temat... często burzliwej ahiranyjskiej polityki. Pragnę nieco poprawić swoją znajomość Ahiranji. – Te słowa stanowiły ryzyko. Jednak gdy Gowind nie zamarł ze strachu, nie zareagował, jakby Rao zamierzał zaciągnąć go przed regenta jako zdrajcę, a jedynie zmruczył w zainteresowaniu oczy, Rao podjął: – Rozumiemy, że istnieją ahiranyjscy wysoko urodzeni, którzy finansują poetów. Śpiewaków. Skrybów i myślicieli. Oraz... innych buntowników.

– Finansowanie sztuki nie powinno być uważane za bunt – skomentował Gowind z łagodnością, którą Rao uznał za fałszywą. – A jedynie za oznakę kultury.

– Buntownicy w Ahiranji robią coś więcej niż tylko pisanie poematów i śpiewanie pieśni – wskazał Rao. – W Sakecie również słyszymy co nieco. I jesteśmy świadomi istnienia bezkompromisowego ruchu oporu. Wiemy, że mordowano kupców i szlachciców istotnych dla cesarstwa. – Przerwał na chwilę, zastanawiając się nad postacią, w którą wcielał się aż do tej chwili. – Wszystkich troje z nas interesuje wiedza, czyż nie, mój lordzie?

Gowind skinął lekko głową w wyrazie potwierdzenia.

– Zatem porozmawiajmy jako uczeni – rzekł Rao. – Porozmawiajmy teoretycznie o ideach, które nie mają związku z tym, co być może tak naprawdę robimy, a być może nie.

– Podzielim to stanowisko – cicho powiedział Gowind. – Kontynuuj, lordzie Radżanie.

– A zatem, teoretycznie, kipi tu znaczny gniew. Widziałem w Ahiranji głodnych ludzi, żebraków, mój lordzie. Znacznie więcej niż w Sakecie.

Tak naprawdę Rao nigdy nie był w Sakecie, ale Prem wspominał o liczbie zabiedzonych osób w Ahiranji, o stopniu tutejszej nędzy. I z pewnością było ich tu więcej, niż Rao widział w Alorze lub w Paridżacie.

– W takich warunkach przemoc ze strony buntowników staje się zrozumiała. I niektórzy mogą z nią sympatyzować.

– Gniew – powtórzył Gowind. Zakaszła i pomasaował sobie gardło. – Musisz dysponować naprawdę płytkim zrozumieniem Ahiranji, skoro to, co napędza bunt, nazywasz „gniewem”.

– Zatem jak należy to nazywać? – zapytał Rao.

– Powinieneś zrozumieć, że w Ahiranji nie ma czegoś takiego jak jednolity bunt. Metody każdej grupy są odmienne. Jednak jednoczy je nie

wściekłość, tylko wizja. Marzenie.

– O czym marzą, mój lordzie?

– Na potrzeby akademickiej dyskusji, w której bierze udział nas troje, wysunę następującą hipotezę: każde miasto-państwo Paridżatdwipy, każdy wysoko urodzony, każdy król i ksiązę są związani z cesarzem Ćandrą poprzez pradawne przysięgi. Jednak Ahiranjia nie jest związana ani przysięgą, ani z wyboru. Jest podbitym narodem. Zatem wszyscy buntownicy w naszej krainie marzą oczywiście o Ahiranjii, która jest wolna.

– Ale przypuszczam, że znaczenie tej wolności stanowi bardziej skomplikowaną kwestię – mruknęła Lata.

Gowind pochylił głowę.

– Zatem ci ahiranyjscy wysoko urodzeni, którzy podzielają marzenie buntowników, finansują je zgodnie ze swoimi upodobaniami. Niektórzy uważają, że wolność zdobywa się poprzez zabijanie. Inni widzą ścieżkę w sztuce.

A jaką ścieżkę ty wybrałeś? – pomyślał Rao. Czy masz powiązania z buntownikami, którzy łakną krwi? Czy zechcesz sprzymierzyć się z nami i pomóc uwolnić naszą księżniczkę?

– Interesujące – rzekł uprzejmie zamiast tego. – To marzenie o wolnym kraju jest... godne podziwu. – Zaczekał chwilę, po czym dodał łagodnie: – Nie tylko Ahiranyjczycy marzą o innym świecie.

Mógł w tym momencie powiedzieć: w Paridżatdwipie jest wielu takich, którzy chętnie ujrzeliby na tronie innego cesarza, pragnących cesarstwa pozostającego w radosnej jedności, a nie gniecionego butem przez władcę, który uważa, że Paridżat pełni dominującą rolę. Jednak Gowind prychnął, osunął się słabo na poduszki i machnięciem dłoni uciszył Rao.

– Istotnie, istotnie. Ale to, co się dzieje poza naszymi granicami, nieszczególnie mnie interesuje. Prawdę mówiąc, nawet to, co dzieje się w obrębie naszych granic, nie ma już dla mnie takiego znaczenia jak kiedyś. Marzenia są jedynie marzeniami – oznajmił. – Już dawno temu zorientowałem się, jak ograniczona jest wizja skonstruowana na wierze oraz ideałach. I jak niebezpieczna.

– Lordzie Gowindzie... – zaczął Rao, ale starzec pokręcił głową.

– Jesteś młodym człowiekiem, lordzie Radżanie, a młodzi ludzie wierzą w rozmaite rzeczy. Często w ich imię umierają. I zabijają. Regent spalił kobiety, ahiranyjskie kobiety. Słyszałeś o tym?

Rao przelknął ślinę. Utrzymał opanowany wyraz twarzy.

– Owszem, lordzie Gowindzie.

– Czy regent sądził, że działa słusznie, że służy wyższemu ideałom? Na pewno ktoś tak sądził – stwierdził Gowind, a Rao nie miał wątpliwości, że miał na myśli lorda Santosa. – Jednak ten akt wiary będzie kosztował nas wszystkich. Zabił w imię wiary i teraz buntownicy odpowiedzą tym samym. Jeśli jesteś gotów posłuchać rady starca, to zalecam, żebyście opuścili miasto, dopóki jeszcze możecie. Żebyście zupełnie opuścili Ahiranję. Wyjedźcie szybko. Zapomnijcie o naszych problemach. Nie znajdziesz tu pomocy, lordzie Radżanie, ani ode mnie, ani od nikogo innego. Lepiej, żebyś przebywał gdzie indziej, kiedy buntownicy będą brali krwawy odwet. A nastąpi to niedługo, tak myślę.

– Myślisz czy wiesz? – spytał Rao, dając sobie spokój z subtelnością. Łomotało mu serce.

Gowind pokręcił głową, co nie było żadną odpowiedzią. Następnie zamknął oczy, najwyraźniej ogromnie zmęczony.

– Minęło wiele czasu – wymamrotał. – Wiele czasu, odkąd tyle mówiłem. Dziękuję wam za książki, lordzie Radżanie i młoda myślicielko. Zapewnią mi radość w nadchodzących czasach. Jakiegokolwiek one będą. Sądzę jednak, że muszę teraz odpocząć. Powinniście już ruszać.

Ciepła noc. Komary brzęczały, świerszcze cykały, a haweli było oświetlone tak jasno, że wyglądało niczym mały księżyc na czarnym tle miasta, upstrzonym jedynie ognikami. Wyglądało pięknie, ale...

Na duchy, ależ był zmęczony.

Zdusił ziewnięcie, po czym krzyknął cicho, gdy poczuł dłoń na ramieniu.

– Jak warta? – spytał Nikhil.

– Och – odparł Dżitesz. – W porządku.

– Na pewno właśnie nie zasypiałeś. – Nikhil mówił rozbawionym głosem. – Przynajmniej próbuj wyglądać jak porządny strażnik. To wyjątkowa noc.

Lord Iskar wyprawił huczną uroczystość, by upamiętnić zarówno koniec pory monsunowej, jak i narodziny swojego pierwszego dziecka. Druga żona dała mu syna, tłuste i zdrowe niemowlę, któremu nałożono srebrne łańcuszki na nadgarstki i kostki, by strzegły go przed nieszczęściem, i nakreślono popiołem znaczek na czole dla matek płomienia. Najwyraźniej żona i syn lorda promienieli i czuli się świetnie, a sam Iskar kazał ustawić kosze z owocami i wspaniałymi miodowymi ciasteczkami, by to uczcić. Ze swojego stanowiska pod salą, w której

świętowano, Dżitesz był w stanie dostrzec przez drewniane okno kratownicowe matkę siedzącą z dzieckiem na podwyższeniu oraz dumnego lorda stojącego u ich boku i witającego gości.

Przybyła cała paridżacka elita Ahiranji, odziana w doskonale jedwabie, ze złotymi szpilami w turbanach, a także wspaniałymi sznurami pereł i rubinów na szyjach. Nie pojawił się żaden wysoko urodzony Ahiranyjczyk, ale to nie stanowiło zaskoczenia. Dżitesz słyszał, że lord Iskar szybko zaprzyjaźnił się z jakimś lordem Santosem z Paridżatu, który był blisko samego cesarza i najwyraźniej nie miał wysokiej opinii o ludziach niepochozących z jego ojczyzny.

– Stań prosto – polecił Nikhil. – Idzie tu dowódca.

Mówił drwiąco. Żaden z wartowników nie lubił nowego dowódcy, który również był Paridżatczykiem, awansowanym, ponieważ lord Iskar chciał zrobić przyjemność nowemu przyjacielowi, a nie w nagrodę za jakieś szczególne zasługi.

Dżitesz i Nikhil przyzwyczaili się oczywiście do sytuacji. Lordowie robili to, dzięki czemu mogli coś zyskać, a zwykli ludzie musieli się z tym pogodzić. Jednak to właśnie ten mężczyzna irytował ich najbardziej. Wciąż chciał z nimi rozmawiać. Próbował się z nimi zaprzyjaźnić.

– Idzie gadać o polityce – mruknął Dżitesz.

– Duchy, ratujcie nas – jęknął Nikhil.

Najwyraźniej poprzedniej nocy na świątyni matek płomienia nabazgrano zakazany wers z Mantr Brzozowej Kory. „Coś o krwi i prawości” – mówiła pokojówka, która to widziała, gdy Dżitesz ją spytał. „Nie wiem. Myślisz, że mam czas na poezję?”

Wartownik nie uważał, by stanowiło to wielki problem. Przecież słowa można było zmazać. Jednak komendant wściekł się i chciał, by wszyscy to wiedzieli. Niestety, jego ludzie stanowili przymusową widownię.

– Nikt nie idzie na wojnę za poetów i kurwy – głosił paridżacki dowódca idącemu obok niego żołnierzowi w swoim na zmianę szorstkim i melodyjnym zaban, zupełnie jakby nie wiedział, czy chce mówić jak rodacy wojaka, czy jak jego ociekająca klejnotami rodzina. – Och, ludzie lubią narzekać, to prawda, ale powinni się cieszyć, że spalono te kobiety. Będą teraz czczone. Nieśmiertelne. – Pociągnął nosem, jakby chciał powiedzieć, że on nie okazałby się tak miły. – Była to szczodra śmierć, lepsza niż zmiżdżenie im czaszek.

– Tak jest, dowódco – odparł cierpiący już długo żołnierz.

– Słuchasz mnie w ogóle? – zapytał oficer. Dżitesz nie musiał na niego spoglądać, by wiedzieć, że miał skwaszoną minę i usta

wykrzywione w jedną stronę. – Wy, prowincjusze, nie macie najmniejszego pojęcia, jak świat powinien...

Umilkł nagle. Dżitesz niemal westchnął z ulgą.

Rozległ się bulgotliwy odgłos. Dżitesz znów podniósł wzrok, zastanawiając się, co się wydarzyło.

Wtedy ujrzał rękojeść noża wystającą dowódcy z gardła.

Żołnierz, który kroczył obok niego, wydał z siebie zduszony okrzyk strachu. Nikhil gorączkowo szukał klingi, zaś Dżitesz... stanął jak słup, zauważywszy sylwetkę na dachu.

Pomyślał, że zaraz zwymiotuje, gdy mężczyzna zeskoczył tuż przed nim.

Skrytobójca miał na sobie staromodną ahiranyjską maskę z ciemnego mahoni z dużymi oczodołami umożliwiającymi maksymalny kąt widzenia.

– Nikt nie idzie na wojnę za poetów i kurwy – powtórzył powoli, z opanowaniem. – Czy nie tak właśnie powiedziałeś?

Wysoko urodzony dowódca wypluł trochę krwi, po czym osunął się na ziemię.

Zamaskowany człowiek sięgnął w dół, obrócił nóż i wyciągnął go. Dowódca leżał nieruchomo.

– No dobrze, przyjaciele – oznajmił mężczyzna uprzejmie. – Będziecie musieli ruszać się nieco szybciej. Może i jesteście zdrajcami Ahiranji, ale nie przestajecie być moimi rodakami. – Wykonał kolejny krok naprzód. – Chciałbym zapewnić wam uczciwą walkę. I uczciwą ahiranyjską śmierć.

Z tyłu szarfy wysunął niewielki sierp.

Nikhil wreszcie rzucił się do przodu, zamachując się mieczem w powietrzu.

Buntownik prześlizgnął się pod klingą, która opadała po łuku. Ruchem pełnym wdzięku jak w tańcu przemknął za Nikhila i poderznął mu gardło. Drugi żołnierz krzyknął bezradnie, gdy rebeliant obrócił się i ten sam sierp wbił mu w pierś.

Dżitesz nie był idiotą. Odwrócił się i zaczął biec.

Wskoczył do haweli i ruszył spieszenie korytarzem, trafiając prosto w ramiona dwóch innych wartowników. Wpadł na nich z taką siłą, że jeden z nich, odtrącony, zaklął. Za nimi dało się widzieć i słyszeć uroczystość: gości, delikatne dźwięki płynące z tanpury, migotanie lampy. Otworzył usta, by krzyknąć.

Było już za późno.

Rozległ się wrzask, gdy pierwszy zamaskowany buntownik wyłonił się jak spod ziemi – i rzeczywiście musiał pojawić się znikąd, ponieważ wyglądało to tak, jakby zdarł grubą drewnianą kratownicę, złuszczył ją niczym tkaninę, a przecież było to niemożliwe – po czym podciął gardło któremuś z gości. Wrzaski nasiliły się, gdy dostrzeżono trzech następnych. I jeszcze jednego.

Wartownicy trzymający Dżitesza puścili go i sięgnęli po miecze. Dżitesz został w miejscu, jakby wrósł w ziemię z przerażenia.

Przy podwyższeniu lord Iskar wyciągnął szablę. Twarz miał poszarzałą ze strachu. Obok niego stał regent, który mówił coś, wołał, również wyciągał szablę, gestami kazał zbrojnym iść na wroga. Jak zauważył Dżitesz, buntownicy byli wybredni. Zabili jednego z najbogatszych kupców w mieście. Żonę najpotężniejszego poborcy podatkowego. Następnie ruszyli w stronę żony lorda Iskara, która wrzasnęła, ściskając mocno dziecko. Jej mąż zasłonił ją swoim ciałem.

Dżitesz zauważył, jak nóż leci w powietrzu i wbija się w gardło Iskara. Później tłum spanikowanych gości wpadł na niego falą i strażnik został wypchnięty z sali.

Biegł korytarzami haweli, potykając się, oślepiiony strachem. Biegł nawet wtedy, gdy usłyszał wrzaski z wyższych poziomów rezydencji, a w oknach dostrzegł pierwsze oznaki złotego ognia. Biegł, gdy inni wartownicy dostrzegli pożar i wołali: „Wody, wody!”.

Biegł. I nagle ktoś stanął przed nim, blokując mu drogę.

– Dobrze się spisałeś – powiedziała zamaskowana postać. Nie był to wcześniejszy buntownik. Ten miał młodszy głos, jaśniejsze oczy. – Dobra ucieczka. Obserwowaliśmy cię. Ale teraz już się nie ruszaj.

Strażnik próbował znów uciekać, ale miał wrażenie, że ziemia przechyla się pod jego nogami. Upadł.

Zastygł w bezruchu i wpatrywał się w sylwetkę ponad sobą.

– Dziękuję – rzekł buntownik. – Wyciągnął nóż zza pasa. – To znacznie ułatwi sprawę.

Trucizna potrzebuje czasu, żeby opuścić ciało. Niemniej wydawało się, że stan Malini poprawił się niemal od razu. Pozostała przytomna w nocy, zamiast z miejsca wpaść w letarg.

– Zapal lampę – nalegała. – Chcę spróbować pochodzić.

Czy ktoś by zauważył, że Prija zużyła więcej oleju niż zazwyczaj? Starsze służące w mahalu na pewno dostrzegłyby coś takiego. I skomentowały. Jednak Prija nie sądziła, by tutaj kogokolwiek to obeszło. Na pewno nie Pramilę.

Malini przytrzymała się ściany i szła wokół pokoju na niepewnych nogach. Prija obserwowała, siedząc na czarpaju opuszczonym przez księżniczkę, jak ta przyciska dłonie do kamienia, jak wyczuwa krawędzie i krzywizny.

– Mam wrażenie, że ściany ciągle się zmieniają – rzekła Malini z lekkim śmiechem i roziskrzonymi oczyma. – I czuję się, jakbym pływała. Mam takie niepewne nogi.

– Chcesz spróbować puścić się ścianą? – spytała Prija.

– Nie jestem przekonana, czy to rozsądne – odparła Malini. Spojrzała na osmalony wizerunek jakszy na murze, po czym odetchnęła i zdecydowała: – Czemu nie.

Prija wstała i przeszła przez płamę światła padającego z lampy.

– Proszę – powiedziała, wyciągając przed siebie otwarte dłonie. – Pozwól, że ci pomogę.

– Dziękuję – odparła księżniczka. Wykonała chwiejny krok i ułożyła palce nad palcami Prii. – Chyba chcę chodzić sama.

– Zatem pozwól mi po prostu trzymać dłonie pod twoimi – rzekła Prija. – Spróbuj chodzić, moja damo, a ja zdążę złapać cię w razie potrzeby.

Ich dłonie nie stykały się, ale dzieliły to samo powietrze, tę samą plamę cienia, gdy Malini wykonywała kolejne chwiejne kroki, a Prija szła przed nią tyłem.

Księżniczka skrzyżowała z nią wzrok, a jej twarz rozjaśniła się w uśmiechu.

– Dobrze ci idzie – pochwaliła ją Prija, a Malini uśmiechnęła się szerzej.

– Mniej kręci mi się w głowie niż jeszcze przed chwilą – zgodziła się. – Nigdy nie sądziłam, że pewnego dnia ktoś pogratuluje mi, że się nie przewracam. – W jej głosie pojawiła się tęskna nuta. – Powinnaś ujrzyć mnie taką, jaka jestem naprawdę. Bardzo bym tego chciała. Kiedyś nosiłam najcudowniejsze jedwabne sari w całym Paridżacie i wplatałam kwiaty we włosy niczym koronę. Byłam wtedy piękna.

Prija przełknęła z trudem ślinę.

Wciąż jesteś.

– Gdy jesteś tak ubrana, musisz poruszać się w specjalny sposób – ciągnęła Malini, wyraźnie nieświadoma tego, co myślała Prija. – I zachowywać w specjalny sposób. Nie wolno ci się garbić, tak jak ja teraz. Ani opuszczać głowy. Nie możesz okazywać żadnej słabości. Musisz wyglądać na silną.

– Silną – powtórzyła Prija, obracając się lekko, by dopasować się do zakrętu pokoju. Malini również skrzyżowała, jakby tańczyły. – Jak to? Chyba nie w taki sposób jak żołnierz?

Księżniczka roześmiała się.

– Nie, nie jak żołnierz. Silną jak... Ach, chyba prościej będzie ci pokazać.

Wyprostowała plecy. Zadarła głowę, formując szyję elegancką linię, a jej oczy nagle ochłodziły. Poruszała się z wdziękiem, unosząc nogi z subtelnym szarpnięciem. Prija potrafiła dostrzec, że przy nadmiernie długim sari – niepraktycznym, jakiego sama nigdy by nie założyła – jego poły trzepotałyby wtedy na styku z podłogą. Przez chwilę Malini wydawała się zupełnie przemieniona, nietykalna i rzeczywiście silna.

Jednak była to siła zupełnie inna niż wszystko, z czym Prija dotąd się zetknęła.

Nagle księżniczka potknęła się. Prija natychmiast ujęła jej dłonie i wzięła na siebie jej ciężar. Znajdowały się tak blisko siebie, twarz Malini była tuż przy jej twarzy, ich oddechy się mieszały. Ich oczy się spotkały. Księżniczka znów zaśmiała się lekko i trochę cofnęła. Prija zrobiła to samo. Dudniło jej serce.

Wciąż trzymały się za ręce.

– Jak tu było przed laty? – spytała Malini dziwnym głosem. Wyraźnie próbowała zdystansować się od tego, co właśnie się wydarzyło pomiędzy nimi, i skutecznie jej to wychodziło. Prija poczuła się, jakby ktoś oblał ją zimną wodą. Księżniczka nie powiedziała „zanim spłonęła świątynia”, ale o to właśnie jej chodziło.

Jeśli Prija zamknęła oczy, potrafiła to sobie wyobrazić: płaskorzeźby pomalowane wyrazistymi odcieniami zieleni i niebieskiego, z czerwonymi oczami i czerwonymi ustami. Niebieskie podłogi i złoty lakier na wielkich kolumnach, które podtrzymywały ściany. Lampy z barwionego szkła w lichtarzach. Śmiejące się dzieci. Starsi w świetnych, miękkich jedwabiach.

Kiedy się jednak rozejrzała, nic z tego nie zostało. Jedynie pyłki kurzu w powietrzu i osmalone, puste ściany. Jedynie obserwująca ją Malini.

– A jak było w cesarskim mahalu? – zapytała Prija w odpowiedzi.

Księżniczka uśmiechnęła się łobuzersko, pokazując, że rozumie, co Prija chce osiągnąć, ale nie przeszkadza jej to.

– Jest piękny. Rozległy. Wszędzie ogrody, Prijo. Takie piękne ogrody. Moje damy dworu i ja bawiłyśmy się w nich, gdy byłyśmy małe. – Niespokojnie przesunęła palcami po palcach Prii. – Chciałabym, żebyś opowiedziała mi o sobie – rzekła Malini łagodnym głosem. – Chcę wiedzieć o tobie wszystko.

Prii zaschło nagle w ustach.

– O mnie? Nie jestem zbyt interesująca.

– Na pewno jesteś. Pozwól, że ci to udowodnię. Podczas gry. – Mówiła niemal kokieteryjnie. – Powiedz mi jedną rzecz, której teraz chcesz.

– Chcę?

– Tak. Czego chcesz? No, mów. Ocenię, czy mimo wszystko jesteś nijaka.

Pytanie wydawało się niebezpieczne. Prija pokręciła głową, a Malini przekrzywiła swoją.

– No, powiedz – namawiała księżniczka. – Wszyscy czegoś chcą. Na przykład ja. Chcę słodycze, które mój słodki brat Aditja zawsze kupował mi na urodziny, kiedy byłam małą dziewczynką. Laddu, ale inne niż wszystko, co dotąd jadłaś. Maczane w syropie różanym i migdałach w cukrze, obsypane złotym pyłem. Och, były idealne. Nie jadłam ich od lat. No to czego chcesz?

– W tym momencie chyba tych słodyczy – rzekła Prija na wpół poważnie. Laddu maczane w syropie różanym brzmiały dekadenco, a ona nagle zapragnęła zachowywać się dekadenco. Miała ochotę na coś pysznego.

– Nie oszukuj – skarciła ją Malini. – Musisz wybrać coś swojego. I nie jedzenie. Ja wybrałam jedzenie.

– Nie możesz zagarnąć całego!

– Mogę. I tak zrobię.

– Z całym szacunkiem – powiedziała Prija tonem wyrażającym absolutny brak szacunku – ale to nieuczciwe.

– To ja cię oceniam. Mam prawo ustalać parametry próby. A teraz mów, czego chcesz najbardziej.

Prija nie uważała się za skomplikowaną osobę, ale nieczęsto myślała o swoich pragnieniach. Czego właściwie chciała? Przypomnieć sobie siebie, swoją przeszłość. Jeszcze przez kilka dni widzieć Rukha żywego. Chciała, by Aśokowi nic się nie stało i by był... inny. Zdolny ją kochać. No i Bhumika. Chciała, by Bhumika ją szanowała.

Wszystko to były większe pragnienia, niż Prija gotowa była przyznać... i na pewno Malini nie chciałyby ich usłyszeć, nawet gdyby Prii wolno było je zdradzić.

– Może chcę nauczyć się chodzić w taki sposób jak ty – rzekła, wyciągając szyję i odrobinę nachylając podbródek w imitacji królewskiej pozy księżniczki.

– Naprawdę? Mogłabym cię nauczyć.

– Na duchy, nie – odparła Prija i patrzyła, jak wargi Malini znów drżą. – Ludzie mówiliby, że udaję księżniczkę. Wysztychano by mnie, moja damo. Nie.

– Zatem potrzebuję innej odpowiedzi.

Prija zastanawiała się przez chwilę. Trudno jej się jednak myślało, gdy Malini wciąż trzymała ją za rękę, gdy pocierała kciukami o wewnętrzną stronę jej nadgarstków, tam gdzie tętniła krew. Gdzieś w tym wszystkim kryła się obietnica – w dotyku, w uśmiechu, w radości wypisanej na twarzy księżniczki, w kokieteryjnej nucie w jej głosie. Prija

nie miała pojęcia, jak na to zareagować. Albo co zrobić z własnym wariującym sercem.

– W lesie można znaleźć orzechy kokosowe – wypaliła. – Czasami furazerzy lub drwale zbierają je i sprzedają na bazarze. Tylko najbogatsi mogą pozwolić sobie na ich zakup.

– Mówiłam, że żadnego jedzenia – odparła karcącym tonem Malini, ale słuchała uważnie.

– Niezupełnie są jadalne. Są... lasem, moja damo, są całkowicie ahiranyjskie, i można w nich znaleźć dziwne rzeczy. Niespodziewane. Czasami w środku trafia się na kwiaty. Ciemnopurpurowe, fioletowe lub czarne. O barwach cieni. Bogacze umieszczają je w swoich kapliczkach. Przynajmniej kiedyś tak było. – Co zamożniejsi pielgrzymi przynosili też niegdyś te orzechy kokosowe do Hirany. Prija rozłupała raz jeden z nich i niemal rozplakała się, gdy ze środka wyskoczyły kwiaty, gdy potoczyły się przepięknie po jej dłoniach, opadając kaskadą mroku. – Chciałabym jeden z takich kokosów. Chciałabym złożyć taką ofiarę. Byłoby to błahe, głupie i... nie pomogłoby nikomu, kogo straciłam. Ani nie przyniosłoby mi żadnego szczęścia. Byłoby to wołanie w pustkę. Ale część osób, które straciłam, właśnie czegoś takiego by chciała... – Prija urwała na chwilę. – Zwykle nie jestem taka błaha, ale tego chcę – dodała zaraz. – Teraz, tutaj? Tak, właśnie tego chcę.

Malini wciąż wpatrywała się w nią bez słowa. Z jej twarzy zniknęło całe rozbawienie, zostawiając beznamiętne oblicze.

– Co za poważna odpowiedź – mruknęła.

– Przepraszam.

– Jesteś naprawdę interesującą osobą – skomentowała księżniczka. – Pomyślałam tak, gdy tylko cię ujrzałam, i jeszcze nie zdarzyło się nic, co przekonałoby mnie do zmiany zdania.

Malini powiedziała to w taki sposób, jakby stanowiło obrazę, jakby słowa Prii w jakiś sposób okazały się afrontem, ciosem, w jakiś sposób ją zraniły. Kiedy Prija zamrugła z niezrozumieniem, księżniczka nagle ją puściła, wróciła do swojego czarpaju i opadła na niego, po czym odwróciła głowę.

– Dobrze się czujesz? – spytała Prija z niepokojem.

– Tak – wycedziła Malini, ale nie spojrzała na Priję.

Prija nie rozumiała tak całkowitej zmiany nastroju, ale krzywizna pleców Malini i to, jak obejmowała się rękoma, świadczyło o tym, że nie życzy sobie żadnych dalszych pytań. Zupełnie jakby czytając jej w myślach, księżniczka rzekła cicho:

– Bardzo chciałabym zostać sama.

– Oczywiście – odparła Prija bez zastanowienia i ruszyła do drzwi. Dopiero gdy dotknęła klamki, przypomniała sobie, że nie ma już klucza. Drzwi zamykano na noc.

Jednak pod jej dłonią Hirana słuchała. Powietrze uległo zmianie. Drzwi uchyliły się lekko.

Ach.

Prija obejrzała się za siebie. Malini wciąż leżała zwinięta w kłębek.

– Dam ci odpocząć – rzekła Prija. – Idę na mały spacer. Nie zajmie mi to długo.

Gdy księżniczka nie zaprotestowała, Prija opuściła komnatę.

W jej ślady podążyła cisza. Z gatunku tych, które są najeżone cierniami.



Triweni było puste. Nie padał deszcz. Nie wiał zimny wiatr. Być może monsun już się kończył. Kiedy podniosła wzrok ku niebu, dostrzegła migotanie gwiazd.

Przeszła kilka kroków w stronę postumentu i... potknęła się.

Z cichym „uch” odzyskała równowagę, po czym wyprostowała się. Było to dziwne. Przecież знаła triweni. Chodziła tędy tak wiele razy. Triweni ją podtrzymywało, a jednak teraz chybiła, zahaczyła o zagłębienie. Zdarzenie z Malini wytrąciło ją z równowagi, ale nie aż tak bardzo.

Spojrzała pod nogi.

Linie na podłodze zdecydowanie się zmieniły. Zamiast tańczyć jak fale na brzegu, połączyły się ze sobą, stały się poszarpane i dziwne.

Wyglądały jak płomienie. Jak ostrzeżenie.

Rozległ się brzęk. Wrzask. Dostrzegła w korytarzu cień jednego ze strażników. A później biegnącą ku niej Pramile.

– Księżniczka – wydyszała gwałtownie kobieta. – Jest bezpieczna? Ktoś tu jest?

Prija pokręciła głową, wciąż próbując nadażyć myślami za sytuacją.

– Tylko... tylko wartownicy przy wrotach świątyni. Tak przynajmniej sędzę, moja damo. Coś się stało?

Pramila podeszła bliżej. Na policzki wystąpiły jej kolorowe plamy.

– Doszło do strasznego ataku w mieście, na dom jednego z doradców generała... i nikt jeszcze nie miał wieści od samego generała...
Och!

Prija usłyszała za sobą szmer kroków Malini, zanim zauważyła ją samą, stojącą w drzwiach północnej komnaty.

– Przepraszam – rzekła Prija, klnąc w duchu. Nie chciała tak szybko stracić kruchego zaufania Pramili. – Zostawiłam otwarte drzwi. Jestem taka...

– Coś się pali – odezwała się Malini. – Proszę, powiedzcie mi, że nie śnię.

Prija powoli, głęboko zaczerpnęła tchu i wtedy do jej nosa dostała się gryząca woń.

Podeszła na skraj triwenu i stanęła na krawędzi. Poniżej miała nierówną powierzchnię Hirany i nic by jej nie zatrzymało, gdyby się potknęła. Ale już się nie potknie. Hirana była jej, a ona z kolei należała do Hirany. Świątynia zmieniała się właśnie dla niej.

Hirana podtrzymywała ją, gdy wyglądała w stronę miasta.

W dole zauważyła żółte i pomarańczowe płomienie.

Rzeczywiście coś płonęło.

Buntownicy zaatakowali.

Prija obróciła się bez zastanowienia i pobiegła do drzwi. Pędziła korytarzem. Minęła zapalone lampy. I wtedy złapali ją strażnicy i wepchnęli z powrotem do świątyni, po czym zatrzasnęli wrota. Jeden kłął, gmerając dłonią przy broni – jeśli odruchowo próbował dźgnąć ją nożem, wyszło mu to fatalnie – a drugi trzymał ją za ramiona i mamrotał do niej jakieś bzdury. Musiała minąć chwila, zanim dźwięk jego głosu stał się czymś więcej niż tylko szumem.

– ...nikt nie może opuszczać Hirany. Nasze rozkazy uległy zmianie. Wiem, że się boisz, ale musisz się uspokoić.

– Jestem spokojna – zdołała powiedzieć Prija, wyciszając ciało. – Jestem spokojna. Nie będę już uciekać.

Wartownik puścił ją, a ona się wycofała. Szła, aż straciła strażników i wrota z pola widzenia.

Nie mogła wymknąć się tędy.

Inna dłoń chwyciła ją za ramię. Prija była już podenerwowana. Zawirowała w miejscu i przyszpiliła do ściany osobę, która jej dotykała.

Malini wypuściła szybko powietrze. Bez drgnienia powieką napotkała wzrok Prii.

– Puść mnie – rzekła. – Nie mamy czasu.

– Gdzie jest Pramila?

– Nie wiem. Pobiegłam za tobą. No, chodź. Chcę porozmawiać z tobą na osobności.

Ostatecznie to Prija prowadziła. Pociągnęła Malini do rzadko używanego bocznego korytarza, a stamtąd do komnaty w krużganku. Pomieszczenie było niewielkie, przeznaczone wyłącznie do medytacji i modlitwy, ale gdy już zamknęły za sobą drzwi, Prija mimo wszystko próbowała krążyć tam i z powrotem w ograniczonej przestrzeni. Rozmyślała o ludziach w mahalu i panika ścisnęła jej płuca.

– Muszę iść – powiedziała. – Nie mogę tu zostać. Ja...

– Strażnicy cię zatrzymali – odparła Malini. – Myślisz, że zdołasz ich ominąć?

Prija pokręciła głową, ale nie była to prawdziwa odpowiedź. Potrafiła myśleć tylko o Simie, Rukhu i Bhumice, o zapachu ognia i o własnej krwi, która zdawała się śpiewać jej w żyłach: *biegnij do nich, biegnij do nich, biegnij do nich*.

– Prijo – rzekła księżniczka powoli, celowo łagodnym głosem – posłuchaj mnie. Uspokój się. Czy uważasz, że zdołasz ich ominąć?

Prija potrzebowała chwili, by uświadomić sobie, że Malini nie próbuje przemówić jej do rozsądku. Poważnie pytała, czy zdoła przedostać się przez strażników. Rozbiegane myśli Prii zatrzymały się. Malini wzięła ją za ręce i splotła ich palce, zmuszając Priję, by stanęła.

– Nie chcę cię teraz o to prosić – powiedziała księżniczka. – Naprawdę nie chcę. Myślałam, że może z czasem... ale nie pojawi się już lepsza okazja i musimy ją wykorzystać, póki to możliwe. Mogłabyś zabić wartowników, gdybyś chciała. Mogłabyś usunąć Pramiłę. Mogłabyś uwolnić nas obie. Zgadza się?

– Przeceniasz moją siłę – odparła ostrożnie Prija. – Nie jestem... taka.

– Tak wiele dla mnie zrobiłaś – mówiła Malini. – Wiem, że próbujesz ocalić mi życie. Czy zależy ci na mnie na tyle, by zrobić jeszcze więcej?

Prija rozważała wyrwanie się. Próbowała rozplątać ich palce i poczuła, jak Malini ścisnęła je mocniej, jak przyciąga ją do siebie bliżej, aż nic ich już nie dzieliło i Prija spoglądała księżniczkę prosto w twarz, w cieniłą szarość jej błagających oczu.

– W tych okolicznościach strażnicy raczej nie będą postępować zgodnie ze zwyczajowymi procedurami, ale przyjechali ze mną z Paridżatu. Znam ich. Ten z bujnymi wąsami przy każdym deszczu narzeka, że boli go prawe kolano. A po drodze tutaj padało naprawdę często. Młodszy lepiej radzi sobie z bronią dystansową niż w zwarciu. Jeśli

ma wybór, preferuje czakram lub łuk. Ale jeśli najpierw zaatakujesz starszego i tniesz go po kolanach, wtedy młodszy nie pomyśli o odwrocie, a gdy już wejdzie z tobą w zwarcie, łatwiej ci będzie sobie z nim poradzić. – Malini w miarowym, niemal hipnotycznym rytmie wciąż gładziła jej palce. – Możesz nas stąd wydostać, Prijo. Teraz gdy mają rozproszoną uwagę, a na dole panuje chaos... Uda ci się. A ja ci pomogę.

Prija wpatrywała się w nią. W otępieniu pokręciła głową. Myślała o konsekwencjach dla mahalu, dla Bhumiki, jeśli księżniczka ucieknie z Hirany.

– Ja... ja nie mogę. Moja damo.

– Nie musisz ich zabijać – rzekła szybko Malini, wciąż trzymając ją mocno. – Nie proszę o to. Chcę tylko, żebyś zastanowiła się, co się ze mną stanie, jeśli tu zostanę. Jakakolwiek szansa czeka mnie wyłącznie poza murami Hirany. Mogłabyś udać się ze mną. – Zniżyła głos. – Dokądkolwiek pójde, ty też możesz.

Malini miała błagalny wyraz twarzy, mówiła przymilnym, skrzywdzonym głosem, jednak z determinacją zaciskała szczęki, a w jej oczach lśniła desperacja niepasująca do tonu.

Jej dłonie zaciskające się na palcach Prii wydawały się lekkie. Wszystko w niej kojarzyło się z kruchością. Tak idealną, że Prii przychodziły na myśl przedstawienia wystawiane podczas festiwalu, w których występują aktorki w maskach teatralnych pomalowanych szafranem i cynobrem, przedstawiających zastygłe wyrazy twarzy – oszołomione lub radosne, zaciekle lub łagodne – pasujące do ich ról w opowieści.

Prija miała wrażenie, że jej galopujący puls, przyspieszony paniką, na moment się zawahał. Zamarła i poczuła, jak jej dotychczasowe zrozumienie księżniczki i całej tej sytuacji obraca się na nice.

Nagle przypomniała sobie słowa Bhumiki z sangamu: „Muszę stosować wszelkie narzędzia, które znajdują się w moim arsenale”.

Księżniczka była córką cesarstwa. Była uwięziona i zdesperowana.

A Prija była... użyteczna.

Jaka okazała się głupia.

– A co dostanę w zamian, jeśli pomogę ci stąd uciec? – spytała Prija, czując, jak ogarniają ją wściekłość i upokorzenie. – Liczyłaś na to, że zaryzykuję życie jedynie z dobroci serca? – Wszystkie te delikatne muśnięcia, te uśmiechy... Dłonie Malini na jej dłoniach, splecione oddechy, które mogły przejść w zetknięcie warg. Wszystko to stanowiło jedynie smycz z obrozą starannie nałożoną Prii na szyję, gotową do zaciśnięcia

w odpowiedniej chwili. – A może sądziłaś, że zrobię to za pocałunek? Naprawdę masz o mnie tak kiepskie mniemanie?

Przez twarz księżniczki coś przemknęło, ale zbyt szybko, by dało się to rozszyfrować.

– Prijo, cokolwiek myślisz, mylisz się.

– Pramila mówiła mi, żebym ci nie ufała. Mówiła, że skłaniasz innych, by cię pokochali. Że jesteś manipulatorką.

Malini nic nie odrzekła.

– Straciłaś na mnie energię – powiedziała Prija. – Nie jestem zdolna do zrobienia tego, czego chcesz.

– Jesteś. Proszę, Prijo. Jeśli ktokolwiek może pomóc mi uciec z Hirany, to tylko ty. Nie ma nikogo poza tobą.

– Oczywiście, że tak uważasz – odparła gorzko Prija. – Przecież widziałas mnie z Miną. Patrzyłaś, jak ją zabijam, i nawet nie wyglądałaś na wystraszoną. Nie rozumiesz, że powinnaś się mnie bać? Nie rozumiesz, jak łatwo mogłabym cię zabić? – Tym razem to ona silniej ścisnęła dłonie księżniczki, trzymając ją mocno. – Mam tak wiele powodów, żeby was nienawidzić. Ciebie, z twoją cesarską krwią, a także twojego ojca i braci, którzy z radością patrzyli, jak świątynne dzieci Ahiranji zostały rzucone na stos i podpalone. – Priję zaskoczyła ilość jadu we własnym głosie oraz to, jak żar wypływał na powierzchnię jej skóry, jak czuła się pełna furii i rozdrażniona. – Nie mam powodu, by pomagać dziecku cesarskiej rodziny, która rozkazała stracenie moich bliskich. Mogłabym teraz skrócić ci kark, a ty nijak nie zdołałabyś mnie powstrzymać. Mogłabym zrzucić cię z Hirany. Jeśli sądzisz, że mam dość siły, żeby zabić wszystkich strażników, to wiesz, że równie łatwo poradziłabym sobie z tobą i uwolniła się.

– Nie boję się śmierci z twojej ręki – oznajmiła Malini.

A to dlaczego?

Z twarzy księżniczki zniknęła część kruchości. Ulotniła się.

– Tamtej nocy, kiedy widziałas mnie w moim pokoju na podłodze, przekonałam Pramile, żeby zostawiła mi wino. Byłam dla niej miła. Słodka, uległa. Od kilku dni. Wiesz przecież, jak to działa. Zostawiła wino. A ja piłam, piłam, piłam. Rozważyłam swoje możliwości. Pomyślałam: albo stanę się na tyle chora, że będzie musiała poszukać pomocy, zapewnić mi dostęp do lekarza, którego będę błagała o możliwość ucieczki z tego więzienia, albo też po prostu umrę. – Głos Malini lekko drżał. – Ale wtedy wystraszyłam się i przewróciłam naczynie na podłogę. Nie wiedziałam już, co jest rzeczywiste. Do tego nie miałam ochoty umierać w kałuży własnych wymiocin.

Prija zdawała sobie sprawę, że właśnie wtedy się pojawiła. Przypomniała sobie oczy Malini w mroku. Jej chrapliwy głos, jej słowa: „Jesteś prawdziwa?”. Wzdrygnęła się.

– Czy to cię zaniepokoiło? – spytała księżniczka. Jej głos stwardniał.
– Lubię cię, Prijo. Ale obawiam się, że kończy mi się czas, by ciągnąć naszą relację na dotychczasowych zasadach pełnych uprzejmości. Jeśli generał Wikram nie żyje, to kto wie kogo mój brat wyznaczy na następnego regenta i co się ze mną stanie.

I tak znajdowały się już blisko siebie, a jednak Malini w jakiś sposób podeszła o krok i wysunęła dłoń z uścisku Prii. Następnie dotknęła opuszkami podbródka Prii, jej palce znalazły się tak blisko jej ust, tak ciepłe i pewne, niemożliwe do zignorowania.

– Zabij mnie albo uratuj – powiedziała cicho Malini. – Ale zrób cokolwiek, Prijo. Mój brat chce, żebym tu zmarniała albo błagała go o uświęcone spalenie, ale nie zrobię tego. Nie licząc pozyskania twojej życzliwości, nie zdołałam uczynić niczego, by zmienić okoliczności, więc proszę, wyświadcz mi tę przysługę i zakończ moje cierpienia w ten czy inny sposób. Chyba jesteś na tyle ludzka, by to zrobić.

Prija odsunęła się gwałtownie od dłoni księżniczki.

– Jeśli komukolwiek powiesz, czym jestem – rzekła gniewnie – to osobiście wleję ci tę truciznę z igłokwiatu do gardła.

– Nigdy nie groziłam, że komuś zdradzę twoje sekrety, Prijo.

– Nie masz pojęcia o moich sekretach.

– Wiesz dobrze, że mam.

– Nie wstydzę się, że cię pragnę – wypaliła Prija, choć wstydziła się swoich emocji wobec Malini, ponieważ wychodziła przez to na głupiotką istotkę zaślepioną miłością, nienadającą się do zadania, jakie wyznaczyła jej siostra. Na nieudacznicę. – Ale nie podoba mi się, że wykorzystujesz moje uczucia przeciwko mnie, i nie pozwolę ci na to ponownie. Mów komu tylko chcesz, że cię pragnę. Ale jeśli będziesz mówiła, czym jestem...

– Już ci powiedziałam – przerwała jej Malini – że nigdy nie groziłam, że cię zdemaskuję. Mogłam to zrobić dawno temu, a jednak nie zrobiłam i nie zrobię.

Z gardła Prii wyrwał się zduszony śmiech.

– Jakie to szczodre z twojej strony! Ale chcesz, żebym pozostała po twojej stronie, prawda? Beze mnie nie masz tu nikogo. Nikogo.

Malini nic na to nie odrzekła. Z jej twarzy zupełnie zniknęła już kruchość i teraz jej oblicze wydawało się niemal nieodgadnione.

– Ukryj się tu przed Pramila, jeśli chcesz – dodała Prija, obracając się. – Nie zamierzam ci pomagać.

– Naprawdę jesteś gotowa potępić mnie za to, co robię, żeby przetrwać? – zapytała księżniczka. Gdy Prija nie odpowiedziała, Malini rzekła szybko: – Mogłybyśmy pójść na układ. Mogłabym zaoferować ci inne rzeczy w zamian za pomoc.

Prija zatrzymała się. Odwróciła.

– Na przykład? Nic nie masz.

– Powiedz mi, czego potrzebujesz i chcesz. Targuj się ze mną. Owszem, nie jestem taka miękka i naiwna, jak sądziłaś. Owszem, chcę żyć i jestem skłonna użyć cię w tym celu. I co z tego? Nie pozwól, by wzbudzało to twój gniew, Prijo. Wykorzystaj to. Już nigdy nie zyskasz takiej władzy nad członkiem paridžadwipańskiej rodziny panującej. Jestem księżniczką. Wiem, jak bije serce cesarstwa, jak działają jego mechanizmy. Mam sojuszników, którzy czekają na mnie poza tym więzieniem. I istnieją rzeczy, których chcesz, Prijo. Mówiłaś mi. Wiem to. Wykorzystaj mnie.

Prija spojrzała na Malini. Na jej jasnobrązową, ciemnooką twarz – okoloną potarganymi lokami, wychudłą z choroby. Pomyślała, jaka była głupia, że nie zorientowała się, iż księżniczka może w niej czytać jak w otwartej księdze.

– Jesteś użyteczna – rzekła Malini, gdy Prija dalej się w nią wpatrywała, a serce dudniło jej z furii i wstydu. – Dzięki temu, czym jesteś. Ale ja również mogę ci się przydać.

– Chyba stanowię dobrą broń – powiedziała cicho Prija. Znów przypomniała sobie Minę, odczuwaną wtedy wściekłość, spadające ciało dziewczyny, woń ognia i pieczonego mięsa, która będzie ją nękać latami.

Och, na duchy, pomyślała Prija ze swoistą rozpaczą. W co właśnie zamieniam się z własnej woli? Czym się staję? Czy szansa przypomnienia sobie, czym jestem, jest warta tego wszystkiego?

Zupełnie jakby przyzwane tymi myślami, opadło ją nowe wspomnienie. Woda rozlana na podłodze. Woń ghi i rodzynek w powietrzu. Jedna ze świątynnych sióstr obraca się ku niej z zaskoczeniem, ściskając się za szyję. Starszy, o opuszczonych kącikach ust, posmutniały, rozpala płomień...

Nie chciała tego pamiętać.

– Prijo – wydyszała Malini – proszę.

Prija uświadomiła sobie, że drży.

– Nie potrafię – odparła ostro Prija. – Nie teraz.

– Prijo.

– Nie teraz.

Opuściła nagle pokój.

Nie zaszła daleko.

Gdy znalazła się poza zasięgiem przygasającej lampy, poza zasięgiem Malini, uklękła samotnie i skuliła się z głową na kolanach. Trzęsła się.

Musiała się dowiedzieć, czy Bhumika jest bezpieczna. Czy generalski mahal – wraz z Rukhem, Simą, Gauri, wszystkimi ludźmi, którzy tam mieszkali – jest bezpieczny.

Skoro nie mogła udać się tam osobiście, zamierzała wykorzystać jedyną drogę wyjścia z Hirany, która była dla niej dostępna.

Urywany oddech. Jeden po drugim, a później następny, coraz głębsze. I głębsze.

Zapadła się znów do sangamu. Rzeczna woda wzniosła się na jej spotkanie.

Zawsze nosił na szyi zapasową fiolkę z wodami. Dotknął jej teraz, gdy przemykali przez las, gdy w nozdrzach czuli zapach krwi zakrzepłej na ich ubraniach i paznokciach. Krytyka obróciła się na krótką chwilę, by na niego spojrzeć. Na jej policzku widniała ciemna smuga.

– Nie zatrzymuj się – powiedział.

Fiolka nie była gorąca, nie parzyła mocą tak jak święte drewno. Jednak coś wydawało się... dziwne. Coś w bezśmiertnych wodach w jego krwi. W jego czaszce.

Wokół znajdowali się inni buntownicy, przedzierający się przez las z wprawą ludzi, którzy się w nim urodzili. Kilku niesło kosy na długich drzewcach i wycinało drogę dla pozostałych. Była to niezmacona kraina, nieskalana obecnością cesarstwa, nie było tu nawet ahiranyjskich osad. Ani kapliczek jakszów zawieszonych pomiędzy gałęziami czy przybitych do szerokich pni wokół nich. Był to teren niczyj, a zatem idealny. Potrzebowali schronienia. I odpoczynku.

Zadali silny cios cesarskiemu reżimowi. Było to słuszne, było to sprawiedliwe po tym, co regent im odebrał. Paridżatdwipa postanowiła wykorzystać strach, zamienić wiarę w broń? Zatem Ahiranja uczyni to samo.

Od przodu dobiegł ich odgłos. Łupnięcie. Inni zatrzymali się, a Aśok zagryzł zęby i postąpił naprzód. Podobnie jak pozostali, potrafił rozpoznać dźwięk upadającego ciała.

Sarita leżała w miejscu, w którym się przewróciła, w zakrwawionym ubraniu, z zakrwawionymi palcami, z kosą leżącą u jej boku. Nawet stojąc nad nią, Aśok widział, że miała mokrą skórę.

Woda spożyta z fiołki po raz pierwszy dawała ogromny wzrost siły fizycznej, a także przekazywała część magii wód. W miarę jednak jak jej wpływ się zmniejszał, ciało zaczynało się trząść i ulegało straszliwemu osłabieniu. Po krótkim czasie woda i krew wspólnie opuszczały organizm, wylewając się z ust, uszu, oczu. Tak rozpoczynała się śmierć z zatrucia.

U Sarity trwało to krótko.

Odkąd zaczęła służyć buntowi, wypila zawartość dwóch albo trzech fiołek i zawsze miała problemy z odpędzaniem od siebie śmierci. W haweli starego lorda walczyła zaciekle, skręciła kark kilku mężczyznom, posługując się wyłącznie siłą dłoni. A teraz umierała. Jednak zaledwie odrobina więcej wody dałaby jej trochę więcej czasu. Tylko odrobina...

Na jego nadgarstku zacisnęła się dłoń. Krytyka stanęła obok niego.

– Ledwo co ci zostało – powiedziała cicho, by nie usłyszeli jej inni. – Masz najwyżej trzy albo cztery fiołki, a kto wie kiedy zdołasz uzupełnić zapasy. Proszę cię, Aśoku. Nie rób tego.

Znieruchomiał, wciąż trzymając palce na buteleczce ukrytej w kieszeni, gotów ją wyciągnąć. Puścił ją jednak i przyklęknął, a później tę samą dłoń położył delikatnie na czole Sarity.

– Sarito – powiedział łagodnie – dzielna kobieto. Dobrze się spisałaś.

Jej oczy uchyliły się nieznacznie. Widać było prawie tylko białka, źrenice wyglądały jak punkciki ciemności, jak dwie krwawe ranki wzbierające pod czubkiem igły.

– Sarito, Sarito – powtarzał jej imię niczym kołysankę. Na jej widok krwawiło mu serce. Co za strata. – Boli cię?

Jej usta ułożyły się bezdźwięcznie w słowo: tak.

– Kritiko – rzekł – czy możesz...

– Tak – odparła ze smutkiem. Chwyciła go za barki, ponaglając w ten sposób, by wstał. – Stanie się.

Podniósł się i odszedł.

Usłyszał unoszone ostrze kosy. Opadające. A później nic.

W ciszy tej chwili, gdy nie rozpraszało go nic poza oddechami otaczających go śmiertelników, brzęczeniem owadów i wołaniami ptaków

pośród drzew, wreszcie zrozumiał, co go tak niepokoiło. Co wołało go przez krew.

Głos z sangamu wykrzykiwał jego imię.

Oddalił się kawałek bardziej, aż znalazł drzewo na tyle stare i duże, by mógł się o nie oprzeć. Otuliło go.

Zwolennik najbliższej niego zobaczył, że siada, i skinął ponuro głową. Aśok nie potrzebował dalszego potwierdzenia, że nikt nie będzie mu teraz przeszkadzał, chyba że znajdą ich żołnierze generała. To zaś uważał za mało prawdopodobne.

Zamknął oczy. Oddychał.



Siostra wołała go w sangamie, a on przybył. Była cieniem klęczącym w bystro płynącej wodzie. Uniosła głowę, gdy tylko się pojawił.

– Co ty zrobiłaś? – spytała go natychmiast.

– Zatem widziałaś płomienie.

– Oczywiście, że widziałam, Aśoku. Dlaczego?

– Sprawiedliwość – odparł krótko. – Myślałaś, że palenie kobiet żywcem i miażdżenie mężczyznom czaszek nie spotka się z konsekwencjami? Daj spokój.

– Zabiliście generała Wikrama?

To pytanie go zaskoczyło.

– Naprawdę się tym przejmujesz?

– Przejmuję się tym, co oznaczałaby jego śmierć – wycedziła.

– Rozumiem. Chodzi ci o Bhumikę. – Przynął się bliżej niej. – Nie, nie zabiłem go. Rozwahałem to – przyznał, z niemalą przyjemnością myśląc o przerażonej twarzy regenta – ale pewne rzeczy nie powinny nastąpić. Zadowoliliem się lordem Iskarem i jego rodziną.

– Aśoku.

– Trzeba było odplacić za śmierć naszych – powiedział łagodnie. Wciąż była taka naiwna. Nie rozumiała, jak funkcjonował świat ani jakiej ceny żądała władza. Przynajmniej nie tak jak on. – I to już nastąpiło. Lord Iskar z talentem służył regentowi, prawda? Był wybitnym geniuszem finansowym. Bez niego Wikram nie zdołał zapanować nad innymi lordami. Nikt nie będzie wiedział, jak cokolwiek osiągnąć. Może gdy

zaczną się wyklócać, kiedy stracą dochody, przypomną sobie, że nie powinno się igrzać z duchem Ahiranji.

– Prowadzisz do eskalacji – rzekła Prija. – Pogorszysz całą sytuację. Generał w odwecie zabije mnóstwo ludzi.

– To on doprowadził do eskalacji. Kazał stracić wszystkich tych mężczyzn i kobiety w imię czego? „Ataku”, w którym nie zginął nikt oprócz Miny? Twój regent jest głupcem albo jego pan jest głupcem. Cesarz musi zrozumieć, że nie mogą pozbawić nas języka, zakazać naszych opowieści, morzyć nas głodem, a później wręcz nas zabijać, zupełnie bez konsekwencji. Nie żałuję tego, Prijo. I ty też nie powinnaś.

– Zobaczysz, że przez ciebie Ahiranja utonie we krwi. – Brzmiała w tym momencie tak bardzo jak Bhumika, pełna dezaprobaty i sztywna, że miał ochotę się roześmiać.

Zamiast tego przyklęknął jak ona.

– Czy znalazłaś już drogę do bezśmiertnych wód, Pri? Jeśli naprawdę chcesz, żeby było mniej krwawo, to właśnie powinnaś zrobić.

– Skoro zamierzasz mnie okłamywać, przynajmniej rób to w przekonujący sposób – prychnęła dziewczyna. – Jeśli dam ci bezśmiertne wody, użyjesz ich, żeby zbudować armię, by mordować, by...

– ...żyć – dokończył. – Potrzebuję bezśmiertnych wód, by żyć.

Było to jak cios i spodziewał się tego. Słyszał efekt w ciężarce ciszy, która zapadła.

– To jakbyś trzymał sobie ostrze na gardle, by zmusić mnie do posłuszeństwa – powiedziała w końcu. – Wszystko, co mówisz, brzmi jak groźba.

– Prawda nie stanowi groźby – odparł łagodnie. – Pri, nigdy nie chciałem tego dla ciebie. Celowo przydzieliłem Minie to zadanie. Ale teraz to ty jesteś moją jedyną nadzieją. I nie kłamię. Poleje się mniej krwi, jeśli ja i moi zwolennicy zyskamy siłę potrzebną nam do dokonania ataku, który pozbawi Paridżatdwipę kontroli nad Ahiranją.

Tak naprawdę potrzebowali wód, jeśli chcieli być pewni sukcesu. Miał plany. Wiedział, kto konkretnie musi zginąć, żeby powalić cesarską potęgę na kolana. Spędził wiele czasu na rozważaniach. Każde morderstwo przeprowadzone przez niego i jego popleczników służyło osłabieniu paridżatdwipańskiej kontroli i wyrwaniu chwastów cesarskiej władzy wraz z korzeniami.

– Wiesz, jak powiadają: gdy zabijasz, jeden cios kosą jest czystszy niż tuzin ciosów buzydyanem.

Dzięki bezśmiertnym wodom mogli być jak kosa: silniejsi niż w normalnych okolicznościach pozwoliłyby im ograniczone szeregi

i niewystarczające fundusze. Mogliby zabijać precyzyjnie i szybko, oczyścić Ahiranę za jednym zamachem.

Bez wód mieli niewielkie szanse na sukces. Będą musieli zachowywać się brutalnie. Będą musieli palić i patroszyć Ahiranę, zabijać swoich, żeby zniszczyć cesarstwo. Nie da się czysto pielnić chwastów. Rozpocznie się wojna, na skutek której całe pola zbóż ogarnie ogień i po której zostanie jedynie popiół i głód. I nawet wtedy, gdy zostanie już dokonana zapłata ahiranyjską krwią, nie będzie żadnych gwarancji sukcesu. Żadnej pewności, że Ahirania odzyska wolność.

Jedynie Prija mogła odszukać wody. Jedynie Prija mogła odnaleźć drogę z Hirany i dać Aśokowi oraz jego zwolennikom siłę, której potrzebowali. Nikt inny.

Prija wyciągnęła ku niemu rękę, lecz znieruchomiała. Cofnęła ją z wahaniem. Zanurzyła w zbiegu rzek.

– Nie jestem pewna, czy mogę dać ci to, czego potrzebujesz – powiedziała wreszcie. W jej głosie słychać było pewną bezbronność, brzmiał niemal pytająco. – Nie jestem pewna, czy mogę dać ci wody. I nie jestem pewna, czy mogę dać je sobie.

– Zatem zgadzasz się z Bhumiką? Chcesz korzyć się przed Paridżatczykami w zamian za nędzne ochłapy, które raczą nam rzucać? Nie pragniesz już tego, do czego mamy prawo?

– A co zrobisz z tym prawem, Aśoku? O co w ogóle wam chodzi? – spytała stanowczo. – Czym mamy się stać?

– Moglibyśmy zrobić tak wiele dobrego, Prijo – powiedział jej szczerze. – Trzykrotnie zrodzeni potrafili wpływać na butwienie. Wtedy to było coś nowego, podobnie jak my, ale umieli to kontrolować. Mogą nie podobać ci się nasze metody. Nie muszą. Ale gdy już zawładniemy Ahiranją, możemy sprawić, by nasz kraj stał się lepszy. Nasz lud postawilibyśmy na pierwszym miejscu, by wreszcie nakarmienie go i otoczenie opieką stało się najważniejsze. Moglibyśmy ocalić naszą kulturę, naszą historię. Może nawet zupełnie zakończyć butwienie.

– Stając się mordercami? – wyszeptała Prija. – Zamieniając się w broń?

Tak.

– Ty też zabijałaś – odparł. – To żaden wstyd być tak silnym, by móc sięgać po to, co ci się należy.

– Może to powinien być wstyd – rzekła. Znów wahała się przez chwilę, po czym popłynęły z niej słowa: – Pamiętam więcej. Hirana zaczyna mi odpowiadać. Czasami wyczuwam dym i jest wtedy tak, jakby mnie dusił. Słyszę krzyki...

Popatrzyła na niego jak cień, który dopiero zaczyna sobie przypominać to, czego on nigdy nie potrafił zapomnieć.

– Aśoku, czy możesz mi obiecać, że nie... Że zrobisz tylko tyle, ile potrzeba, żeby uwolnić Ahiranję? Że nie będziesz zabijał każdego Paridżatczyka w naszej krainie? Znam twój gniew. Czuję go. I twój żal. Oraz twój głód... czegoś lepszego. Ale czy możesz mi obiecać, że nie utopisz Ahiranji we krwi?

– Obiecuję robić to, co jest najlepsze dla Ahiranji.

– To nie odpowiedź – odparła.

– Obiecuję uczynić nas takimi, jakimi byliśmy kiedyś.

– To wciąż nie odpowiedź – wyszeptwała Prija. – Aśoku. Bracie. Nie można powierzyć ci takiej władzy, jaką kiedyś posiadaliśmy.

Jej słowa były niczym nóż powoli zrywający mu skórę z kości.

– Wychowałem cię – zdołał wydusić z siebie przez ból jej potępienia.

– Wiem.

– Gdy byliśmy głodni, gdy nie mieliśmy niczego, oddawałem ci ostatni kęs. Siedziałem ze sztyłem w dłoni, gdy spałaś na ulicy, by nie stała ci się krzywda. W Hiranie uratowałem ci życie.

– Wiem – wykrztusiła. – Aśoku, wiem to wszystko.

Ale nie powiedziała już nic więcej.

Przypomniał sobie, jak obudził się w skorupie drzewa ze świadomością, że Mina nie żyje. Że przez jego słabość rebelia została pozbawiona szpiega, że on sam stracił cenną broń.

Nie formował Prii w broń. Oddał ją Bhumice. I tak mu dziękowała?

– Tak wielu rzeczy nie pamiętasz z naszego dzieciństwa, Prijo. Ale czy pamiętasz, jak byliśmy szkoleni?

Cisza. Po chwili powiedziała:

– Pamiętam ból.

– Właśnie tak uczono nas, jak być silnymi. Tak uczono nas siły, byśmy mogli przetrwać i rządzić. Ból może być troskliwym nauczycielem. Duchy mi świadkiem, że mi go nie brakowało.

Ale ty, pomyślał, czy ty też go zaznałaś?

Jej siostra była zbyt słaba. Zbyt nieświadoma tego, czym powinna być.

– Wiesz, dlaczego w sangamie jesteśmy jedynie cieniami? – zapytała ją. – Zastanawiałaś się kiedyś nad tym?

– Nie.

– Rozmawialiśmy o tym w gronie tych z nas, którzy byli starsi. Wszystkie nasze dary stanowią odzwierciedlenie mocy posiadanych przez

jakszów. Nawet to. Właśnie jakszowie niegdyś podróżowali kosmicznymi rzekami i przybyli do naszego świata. Uważam, że kiedy się tu zjawiamy, przemieszcza się tylko nasza część związana z jakszami. – Zaciśnął dłoń w pięść i położył ją sobie na obojczyku, ponad sercem. – Gdy kosztujesz bezśmiertnych wód, wycinają w tobie miejsce dla darów jakszów. Moc jakszów jest jak kukulka w gnieździe twojego ciała. Jednak, co gorsza, możesz przekonać siebie, że to naprawdę ty. Dopiero gdy ta moc gaśnie, uświadamiasz sobie, że część ciebie została usunięta.

– To nie ma żadnego sensu – powiedziała mu. Ale słuchała.

– Ta część ciebie, która tutaj stoi, to część, która nie jest człowiekiem – kontynuował. – Ta część ciebie, która tutaj stoi, jest częścią, którą wycięły bezśmiertne wody, wypatroszoną i opróżnioną, by zrobić miejsce na moc. Nie czujesz tego dzień w dzień, ale ja owszem. Za każdym razem, gdy piję wody, nowy fragment mnie zostaje oderwany. – Przygotowywał się na to, co konieczne, by ją nauczyć. – Chcesz wiedzieć, czym jesteśmy, Prijo? Proszę bardzo. Pokażę ci.

Zorientowała się chwilę za późno. Kiedyś zareagowałaby znacznie szybciej, uchyliła się, odskoczyła albo użyła zębów. Życie w mahalu sprawiło, że stała się wolniejsza. Nie zdołała nic zrobić, zanim cień jego pięści wbił się w jej pierś, a formujący ją ciemny dym rozwiął się.

Zaciśnął pięść wokół miejsca, w którym powinno znajdować się jej serce. Zaciśkał ją coraz mocniej. I przekręcał.

Wrzasnęła, a jej cień załśnił przerażającym bólem.

– Wiem, że to boli – powiedział szorstko. – Wiem. Sam cały czas tak się czuję. Ogołocony, wypaczony i... nieludzki, Prijo. Oto nasze dziedzictwo.

Niczym dziura w sercu, pomyślał. Jakby twoja dusza była zniszczoną, zawalającą się budowlą i przesączało się przez ciebie światło.

Coś ohydneho i słodkiego przepływało przez niego w odpowiedzi na jej ból. Uznał, że jest to satysfakcja wywołana obserwowaniem, jak trafia do niej nauczka.

– Moja wola jest silniejsza od twojej, Pri. Zawsze była. Ratowałem ci życie, a teraz mówię ci: uratuj moje. Jesteś mi to winna. Inaczej skazesz mnie na śmierć właśnie w takich męczarniach. Chcę, by ta ohyda, która w nas tkwi, na coś się zdała – ciągnął. – Chcę wykorzystać ją do czegoś większego. Do czegoś dobrego. Dla Ahiranji takiej, jaka powinna być, wolna od cesarstwa. Dla naszego domu.

Wyszarpnął dłoń. Ciemność spłynęła do wody z jej cienistej sylwetki, wybuchając czarnymi płomieniami, zanim się rozmyła. Prija

poruszyła gwałtownie rękoma, jakby chciała dotknąć swojej piersi, ale nie śmiała.

– Mogłeś być miłszy – wykrztusiła. – Akurat ty, który wycierpiałeś to, co ja... Myślałam, że mogę ufać ci jako mojemu bratu.

Pokręcił głową.

– Rodzina nie ma obowiązku być dla ciebie miła. Za to ma obowiązek pilnować, żebyś stawała się lepsza. Silniejsza. Jestem wierny rodzinie. Jestem jej wierny teraz i zawsze byłem.

Jego głos stał się czulszy.

– Odszukaj bezśmiertne wody. Pamiętaj, kim jesteś, i bądź silna. – Gdy nie chciała na niego spojrzeć, gdy wciąż trzymała opuszczoną głowę, dodał: – Prijo. Musiałaś wiedzieć.

Wyciągnął do niej rękę, ale odskoczyła od niego. Odrzuciła go z dzikim odgłosem, który nie składał się ze słów, a jedynie z uczuć. Rzuciła się z powrotem do wody i rozmyła w nicość. Uciekła od niego i od prawdy.

W oddali wyczuwał migotanie Bhumiki. I jednego ze swoich buntowników, tych nielicznych, którzy wypili wody, by walczyć u jego boku. Zamknął oczy i zanurzył twarz pod powierzchnię.



24

PRIJA

Została wtrącona z powrotem w fizyczny świat. Poczwała, jak wody ciała, nieśmiertelności i duszy wzbierają jej w gardle, dławiąc ją, i złapała się za szyję, łapczywie chwytając powietrze. Paliła ją skóra. Nie miała pojęcia, gdzie rozpoczyna się ziemia lub kończy niebo, nie wiedziała, gdzie jest góra, gdzie jest zewnątrz. Wciąż miała wrażenie, że tonie lub przeżywa coś tak zbliżonego do tonięcia, że nie miało znaczenia, czy wciąż otacza ją woda albo czy jej część wciąż tkwi w potrzasku w sangamie, rozrywana przez furję Aśoka.

– Prijo. Jesteś ranna? Mów do mnie. Po cichu.

Uchyliła oczy. Malini klęczała przy niej. Nie była ani jednokrotnie, ani dwukrotnie, ani trzykrotnie zrodzona. Była całkowicie śmiertelna. Skupiała wzrok na Prii, zaciskała mocno wargi. A zatem Prija nie przebywała już w sangamie i nie było tu Aśoka. Nie mógł jej skrzywdzić.

Aśok próbował ją skrzywdzić.

Jej dłoń uniosła się do piersi. Skrzywdził ją. Miejsce, w którym to zrobił, było niczym płonąca w jej wnętrzu gwiazda. Nie potrafiła tam oddychać.

– Prijo – powtórzyła księżniczka. Jej głos był zupełnie spokojny, ale brzmiała w nim powaga, którą Malini posługiwała się niczym zbroją. Z opanowaniem mierzyła Priję wzrokiem. – Musisz to przerwać.

Przerwać...?

Dopiero wtedy Prija uświadomiła sobie, że otaczają je mech i kwiaty, pnącza wijące się po kamiennych ścianach, wyłaniające się spomiędzy szczelin. Wyglądało to tak, jakby sam kamień się poruszał, przekształcał, by przepuścić wokół siebie roślinność.

– Pramila – wydyszała. – Jeśli to zobaczy...

– Nie wiem, gdzie ona jest – odparła Malini – ani kiedy wróci, lecz właśnie dlatego musisz być cicho.

– Przepraszam – wykrztusiła Prija, choć nie miała za co przeproszać, w przeciwieństwie do Malini. Próbowwała się skoncentrować, unieść głowę, ale nadal czuła furję Aśoka, jakby wciąż jego pięść tkwiła w jej piersi. Odetchnęła – i zapadła się w mrok.

Twarz Malini, chłodna i zdecydowana, była ostatnim, co widziała.

Dzień, w którym Malini nauczyła się trzymać nóż, był również dniem, w którym nauczyła się łąkać.

Wraz z Nariną bawiły się w ogrodzie kwiatowym jej matki, pełnym lili i wodnych lotosów w białych sadzawkach, cynii oraz ketmii. Wcierały się w dwaralskich kupców przekraczających granicę Paridźatdwipy i wchodzących w niebezpieczną dzicz terenów należących do nomadycznych Baburów oraz Dźagatajów. Potrzebowały do tego peleryn – z jakiegoś powodu Narina utrzymywała, że kupcy zawsze noszą grube peleryny – ale także broni.

– By chronić nasze towary – wyjaśniła Narina.

– Spodziewałabym się, że mamy strażników do ochrony towarów – powiedziała Malini.

– Nie wszyscy mają strażników – prychnęła Narina.

– Rozumiem. Zatem nie jesteśmy zbyt dobrymi kupcami. Inaczej stać by nas było na ochronę, nie?

Alori westchnęła cicho.

– Nie kłóćcie się, proszę – rzekła. – Zresztą wiem, skąd możemy wziąć broń.

Alori była jedyną córką króla Aloru, mającego tylu synów, że dałoby się utworzyć z nich małą armię. Była cicha, drobna i miała dar

pozwalający jej zniknąć z pola widzenia, przestać rzucać się w oczy. Jednak jej milczenie nie oznaczało nieśmiałości. Pewnym krokiem zaprowadziła Narinę i Malini do pomieszczenia, w którym spali najmłodszy z jej bezimiennych braci. W drodze przez korytarze słyszały z dołu łomot drewna i brzęk łańcuchów. Cesarscy książęta – bracia Malini – oraz ich kawalerowie dworu byli zajęci sparingami na dziedzińcu ćwiczebnym.

Dziewczynki weszły do pomieszczenia i zaczęły grzebać w kufrze ustawionym u stóp jednego z łóżek. Chłopcy nie trzymali w sypialni swoich buzdyanów, szabli czy innych co bardziej imponujących elementów oręża. Na dnie skrzyni znalazły jednak dwa katary w skórzanych pochwach i dwa sztylety z wizerunkami ryb o wylupiastych oczach na rękojeściach. Dopiero gdy opuszczały pokój, Malini wpadła na to, żeby poszukać pod materacami. Właśnie tam sama chowała swoje skarby i jej instynkt został nagrodzony, gdy wymacała prosty nóż. Nie był na tyle dobrze wykonany, by uchodzić za sztylet. Ostrze nie było wygięte, a na rękojeści brakowało dekoracji. Broń była prosta, brutalna i ostra. Malini schowała ją do kieszeni.

Pobiegły z powrotem do ogrodu, gdzie wybuchnęły śmiechem.

To Alori zaproponowała, że pokaże Malini, jak używać noża.

– Bracia mnie nauczyli – wyjaśniła. – Zobacz, tak się trzyma.

Istniał odpowiedni sposób dzierżenia ostrza. Potrzebna była pewność siebie i dopasowanie się do rękojeści. Malini wysunęła nóż przed siebie i poczuła, jak w jej piersi rozpląwa się dziwne, płomienne doznanie. Uśmiechnęła się.

– Ochrońmy nasze towary – powiedziała.

Udawała, że jest bandytą Baburem, stojącym na krawędzi wysokiego skały i wymachującym przed sobą klingą, gdy Narina i Alori – znajdujące się poniżej i pokrzykujące do niej dzielnie – nagle dziwnie zamilkły.

Malini była rozsądnym dzieckiem. Opuściła nóż do boku, wyprostowała się i obróciła. Za sobą ujrzała sylwetkę mężczyzny, ledwo widoczną na tle słońca. Znała jednak kształt tych barków, tego turbanu ozdobionego na krawędzi perłami i pojedynczym pawim piórem na czubku. Na stopach miał pantofle ze złota, bogato barwione cynobrem.

Stał przed nią Candra. Był młody, zaledwie kilka lat starszy od niej. Jednak jego oczy już przybrały hardy, stanowczy wyraz kogoś, kto wścieka się na swój los. Popatrzył na nią z odrazą i Malini nagle stała się świadoma swoich odkrytych włosów, bosych i brudnych stóp. Trzymanej broni.

– Malini – odezwał się – skąd wzięłaś ten nóż?

Dziewczynka nic nie odpowiedziała. Czują, jak dłonie robią się jej gorące.

– Usłyszałem was w korytarzu – rzekł, podchodząc bliżej. – Och, wiem, myślałyście, że nikt was nie zauważy. Ale nie byłem na dziedzińcu ćwiczebnym wraz z pozostałymi. Modliłem się przy rodzinnym ołtarzu. Rozmawiałem z najwyższym kapłanem.

– O czym? – zapytała Malini.

Może jeśli uda, że wszystko jest w porządku, że nie widzi jego wykrzywionych warg, jego zmrużonych oczu – jego gniew się rozmyje. Kierowała się taką szaloną nadzieją.

Jednak jego usta ściągnęły się jeszcze bardziej.

– Oddaj mi to – polecił.

Alori opowiadała jej ze śmiechem, jak pchnięciem pod żebra można zabić mężczyznę. Jak podciąć ścięgno. Jak poderznąć gardło.

Mówiła to wszystko spokojnym, swobodnym tonem. Wszystko to usłyszała od swoich braci, zupełnie jakby dziewczynka miała takie samo prawo do broni i wiedzy, jakby w pełni oczekiwali, że będzie przelewała krew własnymi rękoma.

Ćandra nauczył ją, jak to jest odczuwać strach. I wstyd. Jak mogą zagnieździć się w żołądku, ciężkie niczym kamienie. Jak mogą przekształcić ludzką naturę w coś uległego i spętanego.

Malini pomyślała o wszystkich sposobach, na jakie można użyć noża, by kogoś zabić albo okaleczyć. Dłoń świerbiła ją od żądzы krwi. Podała jednak bratu oręż ostrzem do przodu. Ćandra wzięła go.

– Co ci mówiłem, gdy ostatnim razem zachowałeś się nieodpowiednio?

– Przepraszam – odparła Malini.

– Skłoń głowę – polecił, jakby jej nie usłyszał.

Chwycił ją za włosy.

I zaczął ciąć.

– Mówiłem ci – mówił, przerysując jej warkocz, a drugą dłonią brutalnie ściskając włosy przy nasadzie – że kobiety stanowią odbicie matek płomienia. Urodziłaś się, żeby być świętą, Malini. Mówiłem ci, że jeśli nie będziesz zachowywać się odpowiednio, trzeba cię będzie tego nauczyć.

Malini widziała Narinę tuż obok nich, z zarumienioną twarzą i zaciśniętymi pięściami. Alori weszła pod osłonę drzew i zupełnie znieruchomiała. Obserwowała.

Nigdy nie zapomni wyrazu twarzy przyjaciółek.

Próbowała go odsunąć, odpychała go z całej siły, oburącz. On jednak tylko odchylił jej mocniej głowę i ciął bardziej zaciekle. Poczula przeszywający ból. Zranił jej skórę. Zapiekło, a później pociekła jej strużka krwi.

Wtedy to poczuła, tak samo jak czuła wiele razy w późniejszych latach: oszałamiające wrażenie, że gdy ciął jej włosy, miał również ochotę przeciąć jej szyję. Że gdy ją krzywdził, to mocniej ją kochał, a zatem chciał ją krzywdzić jeszcze bardziej, zupełnie jakby zniszczenie jej stanowiło jedyny sposób, by zachowała czystość.

Wtedy zaczęła łkać. Łkała, ponieważ szarpanie się nic jej nie dało, a nie potrafiła zmusić się, by błagać. I wtedy jego cięcia stały się łagodniejsze, zupełnie jakby łzy stanowiły oznakę podporządkowania, dowód porażki, mógł więc pozwolić sobie na to, by okazać siostrze łaskę. Zupełnie jakby przez cały czas właśnie tego pragnął.

Nauczyła się. Łzy były swoistą bronią, nawet jeśli sprawiały, że jej wściekłość tliła się, gniła i szamotała w jej wnętrzu.

– Ćandra – odezwał się głos. Ostrze trzymane przez brata zatrzymało się.

Starszy brat Malini, Aditja, stał na werandzie wychodzącej na ogród. Wciąż miał na sobie strój do sparingów, czyli jedynie dhoti i nic, co zasłaniałoby nagą klatkę piersiową. Nie nosił turbanu, który ukrywały śliskie od potu włosy. Szybkim krokiem przeszedł przez ogród. Za nim, w cieniu, stała ich matka. Naciągnęła pallu na twarz i spuściła głowę.

Gdy Malini ujrziała Aditję, zapłakała jeszcze mocniej, wydawała z siebie potężne szloch, choć w jej sercu kryły się złość i furia.

– Zostaw ją – polecił Aditja. W jego głosie brzmiało zmęczenie.

– Miała broń. Kobieta powinna wiedzieć, żeby jej nie używać.

– Jest dzieckiem. Pozwól matce zająć się jej zdyscyplinowaniem.

– Matka by ją zepsuła, gdyby mogła – mruknął Ćandra. – Kapłani mówią...

– Nie obchodzi mnie, co mówią kapłani – odparł Aditja. – Chodź ze mną, Malini.

Nie trzeba jej było tego mówić dwa razy. Pobiegła do niego.

Aditja poprowadził ją na werandę. Po chwili dołączyły do nich Narina i Alori.

– Nikt inny nie myśli tak jak on, gołąbeczku – rzekł łagodnie Aditja. Lekko pogładził ścięte końcówki jej włosów. – Nadeszły bardziej oświecone czasy. Ale nie potrzebujesz noża. Masz wystarczająco wielu strażników, by cię ochronili, oraz dwóch braci, którzy cię kochają.

– A kto ochroni mnie przed braćmi? – spytała Malini.

– Ćandra naprawdę nie chciał cię skrzywdzić.

Malini wiedziała, że Aditja się myli. Ćandra chciał ją skrzywdzić. I udało mu się to.

Ale Aditja by tego nie zrozumiał, gdyby spróbowała mu wyjaśnić, więc nie zrobiła tego.

Tamtej nocy, gdy wraz z Nariną i Alori skuliły się jak szczeniaczki pod jednym kocem, Alori wcisnęła pomiędzy nich ostrze w pochwie. Kolejny nóż jej brata.

– On chce, byśmy go miały – rzekła Alori i dodała: – Jemu jest przykro, Malini.

Jednak to nie książę Aloru był odpowiedzialny za jej ból.

Tamtego dnia nauczyła się, by wykorzystywać pancierz potulności, zamiast okazywać prawdziwy charakter swojej furii. Gdy Ćandra obcinał jej włosy, nauczyła się, że oczekiwano po niej konkretnego zachowania i jeśli tych oczekiwań nie spełni, zapłaci za to.

Jedynie jej matka wiedziała, o co jej chodziło. Pewnego razu usiadła wraz z nią na huśtawce w tym samym ogrodzie.

– Zamierzam uczyć ciebie i twoje dziewczęta – oznajmiła matka po długiej ciszy. – Jest na to najwyższa pora. Filozofia strategii wojskowej i dowództwa, nauki pierwszych matek, oto rzeczy, które powinna znać księżniczka.

Malini milczała. Nikt nie dał jej nigdy do zrozumienia, a już na pewno nie potulna matka, że taka wiedza jest przeznaczona dla księżniczek.

– Gdy byłam małą, ojciec wziął myślicielkę, by mnie edukowała – ciągnęła matka. – Spróbuję zrobić tak samo dla ciebie, moje kwiatowe dziecko, ale do tego dnia będę dawać ci to, co sama posiadam. Takie rzeczy pomogą ci przetrwać jako córce Paridżatu. Kwiatkowi z ciernistym sercem.

– Nie jestem ciernista – rzekła Malini. – Płakałam.

– Płacz wcale cię nie umniejsza – odparła matka. Opuszkami palców dotknęła ściętych włosów dziewczynki. – Uważaj z łzami – dodała z wyuczoną powściągliwością. – Są krwią ducha. Jeśli będziesz płakać zbyt wiele, wyczerpie cię to i twoja dusza stanie się jak zraniony kwiat.

Ale matka się myliła. Jeśli będzie płakać wystarczająco wiele, jej natura stanie się niczym kamień obracany przez wodę, aż jego powierzchnia stanie się gładka i odporna na krzywdy. Gdy nazbyt długo używało się łez w charakterze narzędzia, można było zapomnieć, jak to jest odczuwać prawdziwy smutek.

Przynajmniej to stanowiło pewną niewielką łaskę.



Ściany oddychały. Gdy opuściła pokój w krużganku, idąc powoli w mroku, widziała, jak pnącza wspinają się na mury, jak mech rozprzestrzenia się w pajęczynie spękań na podłodze. Teraz korzenie i liście pulsowały w rytm oddechu Prii, która leżała nieprzytomna. Malini dostrzegą, że powieki dziewczyny trzepoczą niespokojnie, ale nie podnoszą się.

Oczy lekko skośne jak u kota, orli nos i ostre kości policzkowe. Nie dałoby się jej przebrać i uczynić z niej szlachcianki. Była nieładna i silna. Właśnie taka, jakiej potrzebowała Malini. Księżniczka to wiedziała od pierwszej chwili, gdy zauważyła ją w ciemności przez kratownicę.

Upewniła się w tym, gdy usłyszała krzyki z korytarza, przycisnęła dłoń do drzwi celi i poczuła, jak rygiel się zwalnia, jakby tylko czekał na jej dotknięcie. Gdy wymknęła się i obserwowała, jak Prija pozbawia buntowniczkę życia.

Prija była możliwością, była nadzieją. Jedyłą, na jaką Malini mogła liczyć.

– Prijo. Obudź się – rzekła z naciskiem. Spojrzała przez pnącza na koniec korytarza. Wystarczyłoby, żeby jeden strażnik zajrzał tu w poszukiwaniu jej albo – matki brońcie – Pramila wyłoniłaby się zza rogu.

– Prijo. Obudź się!

Prija jęknęła i oprzytomniała. Oczy Malini były suche, ale zastanawiała się, czy znowu nie wywołać łez, nie udać miękkiej i nie zmiękczyć w ten sposób Prii.

Ale nie. Wcześniej nie zdołała toczyć tej gry w odpowiedni sposób. Pożar w dole pozbawił ją na chwilę zdrowego rozsądku i zbyt szybko się odsłoniła. Całe to starannie pielęgnowane zaufanie, ujawniane słabości – wszystko poszło na marne.

Albo będzie potrzebowała nowego podstępu, by zdobyć przychylność Prii, zaskarbić sobie jej usługi, albo też ucieknie się do szczerości.

Ale najpierw...

– Prijo – powiedziała – skończ z tym. Ze swoją... magią.

– Próbuję.

Obserwowała, jak pierś Prii wznosi się i opada, jak jej dłonie zaciskają się, gdy dziewczyna unosi się na łokciach.

– Co ci się stało? – mruknęła Malini.

– Przestań mówić. I daj mi pomyśleć.

Prija wpatrywała się w dal, skupiała na punkcie daleko za Malini. Oddychała powoli, głęboko. Księżniczka klęczała w milczeniu. Nie dotykała otaczającej ją roślinności, jedynie obserwowała, jak się cofa, jak zapada się znów w podłogę i ściany.

Prija z podziwem i strachem popatrzyła na swoje dłonie.

– Na glebę i niebo – wyszeptano. – Podziałało.

Następnie podniosła głowę, podciągnęła się do pozycji siedzącej i spojrzała na Malini. Miała brzydki wyraz twarzy: ściągnięte usta, zaciśnięte zęby, zmrużone oczy. Wyglądała, jakby miała ochotę zadusić Malini.

– Od dawna wiem, że nie mogę nikomu ufać – rzekła Prija. – Zdaję sobie sprawę, jaki jest świat. Potraktowałam cię, jakbym była zupełnie głupia. Wydawało mi się, że trochę rozumiem, czym jesteś. Obserwowałam, jak ci się pogarsza. I jak płaczesz. Obawiałam się, że będę musiała patrzeć na twoją śmierć. Ale to wszystko, co mówiłaś i robiłaś... to było kłamstwo, prawda? – Pokręciła zaciekle głową i wyciągnęła przed siebie rękę. – Nie, nie odpowiadaj. Wiem, że to było kłamstwo.

Nie kłamałam, pomyślała Malini. Oczywiście potrafiła kłamać. Robiła to tak często. Ale wartość prawdy starannie ukształtowanej tak, by spełniała potrzeby jej widowni, była znacznie wyższa i znacznie trudniej było ją obalić.

Lubiła Priję. Lubiła solidny chwyt jej rąk, sposób, w jaki rysowały się jej mięśnie, jak się uśmiechała, wciąż z dziwną rezerwą, ledwie błyskając białymi zębami i z dołeczkiem pokazującym się na jednym policzku.

Malini nie wiedziała, co czuć na widok furii i poczucia zdrady widocznych na obliczu Prii. Z piersi rozchodził jej się ból kojarzący się z doznaniem po zjedzeniu w całości zielonej papryczki chili, co zrobiła, gdy była mała, głównie dlatego, że niania jej tego zabroniła – pulsujący ból, któremu jednak towarzyszy intensywna słodycz. Nie była pewna, czy jej to nie odpowiada, czy też przagnie więcej.

Nie chcę, żebyś mnie nienawidziła, pomyślała. Chcę, żebyś mnie lubiła. To absurdalne, ale dlaczego inaczej prosiłabym cię, żebyś wyobrażała sobie mnie w moich najlepszych sari? Dlaczego prosiłabym cię, żebyś wyobrażała sobie mnie piękną?

Taka prawda nie mogła przynieść jej niczego dobrego. A potrzebowała Prii.

– Powinnaś posłuchać, co mam do zaproponowania – powtórzyła zatem. – Nawet jeśli nie chcesz pomóc mi w ucieczce, przynajmniej

posłuchaj.

– Z całym szacunkiem – odparła kąśliwie Prija – ale nie muszę cię słuchać. Niczego nie masz do zaoferowania.

Prija miała rację. Wszystko, co Malini pielęgnowała, gdy mieszkała na dworze – ogród lojalnych szlachcianek, królów, lordów i książąt, sieć szeptów dostarczających jej nektaru wiedzy – zniknęło, zwiędło, zostało pochłonięte przez ogień lub po prostu znalazło się poza jej zasięgiem. Nawet jej umysł nie był już taki jak kiedyś z powodu igłokwiatu. Nie miała niczego i nikogo. Mogła oferować Prii wyłącznie przysługi i zobowiązania, które pewnego dnia być może zdoła spłacić.

Wychyliła się do przodu i przycisnęła dłoń do chłodnej podłogi, jeszcze przed momentem pokrytej mchem. Nie bawiła się w żadną gierkę, którą Prija by zaraz odrzuciła. Zamiast tego skrzyżowała wzrok z dziewczyną i myślała: jestem wysoko urodzoną córką Paridżatu. Przeżyłam siostry mojego serca. Przyciągałam mężczyzn do mojej sprawy. Wciąż żyję, pomimo wiary i płomienia.

Wysłuchasz mnie. Nakazuję to.

Wlała tę myśl w swoje kończyny, w krzywiznę szyi, w pewność dłoni leżącej na ziemi, w dumnie sterczące łopatki.

Wystarczyło to, by choć na chwilę przyszpilić Priję. Zaledwie wystarczyło.

– Zdaję sobie sprawę, że nie masz dobrego zdania o Paridżatczykach – zaczęła księżniczka. – Ale kochasz Ahiranję. I wiesz, że cesarz Ćndra wkrótce usunie waszego regenta.

– Nawet jeśli, to co mnie to obchodzi?

– Chcesz, by jeden z jego kumotrów władał twoim krajem? Fanatyczny zwolennik jedności Paridżatdwipy pod jednym płomieniem wiary? Cokolwiek sądzisz o generale Wikramie, nie jest idealistą. Idealiści są zdecydowanie najgorszymi władcami.

Co ona robiła? Próbowwała wyjaśniać politykę służącą?

Ale Prija nie jest zwykłą służącą, wyszeptał głos w jej głowie. Brzmiał jak jej własny głos... sprzed. Zanim zaczęła codziennie pić truciznę i myśli zaczęły jej się rwać. Był to słodki głos, mówiący eleganckim nadwornym dwipańskim z melodią kojarzącą się z łodzią sunącą po głębokich wodach. Jest świątynnym dzieckiem, czyż nie? Posiada więcej mocy w małym palcu niż ty w całym ciele. Nie masz pojęcia, co ona wie. Nie masz pojęcia, co potrafi.

– Co stracisz, słuchając mnie? – spytała Malini.

Prija zawahała się. Gdzieś z Hirany dobiegł dźwięk. Wołano czyjeś imię. Zaciśnęła usta i wzięła Malini pod rękę, by razem wstały.

– Wystarczająco wiele stracę – odparła Prija. – Ale chyba i tak posłucham.

Gorycz w jej głosie... Ach, gdyby Malini miała skłonności do popadania w niechęć do samej siebie, zrobiłaby to teraz. W sercu Prii kryło się coś szokująco delikatnego. Nigdy nie widziała czegoś podobnego. Gdy dziewczyna mówiła o składaniu ofiary z kokosa i kwiatów dla ahiranyjskich duchów, gdy opowiadała o oplakiwaniu zmarłych, księżniczka była pewna, że czuje to serce w swoich dłoniach, że czuje mięsień kruchy niczym jajko, mieszczący w sobie cały świat, i że wylewa się z niego współczucie równie straszliwe i ożywcze jak krew.

Ale Malini nie miała w zwyczaju żałować, więc niczego nie czuła.



Pramila nie była nawet zła. Prija gładko splotła bajeczkę o tym, jak Malini uciekła w strachu i panice, ona zaś ją znalazła, uspokoiła i przyprowadziła z powrotem najszybciej jak mogła – co stanowiło rażące kłamstwo, ale takie, w które kobieta była skłonna uwierzyć. Pramila wciąż płakała i drżała. Gdy upewniła się już, że księżniczka jest bezpieczna, odwróciła się i zamknęła w swoim pokoju. By dalej płakać, uznała Malini.

W końcu nie tylko ona i Prija żyły ze strasznymi wspomnieniami ognia.

Prija krążyła niespokojnie po pokoju, a Malini siedziała nieruchomo na czarpaju ze skrzyżowanymi nogami i wyprostowanymi plecami. Bez żadnych wstępów księżniczka powiedziała:

– Mój brat chce mojej śmierci, bo próbowałam sprawić, by nasz starszy brat przejął od niego tron.

Prija zatrzymała się.

– Aditja opuścił wiarę – dodała Malini. Nie miała pojęcia, co Prija wie, a czego nie, w temacie paridżackiej polityki. Najlepiej opowiedzieć jej wszystko. – Doznał wizji i został kapłanem bezimiennego boga. Musiał w tym celu zrezygnować z tytułu następcy tronu Paridżatdwipy. Nie mógł być cesarzem. Zatem został nam Čandra. Ale ja wiedziałam w głębi duszy, że to Aditja powinien rządzić. Wiedziałam, że byłby w tym znacznie lepszy niż Čandra, ponieważ przewyższa go w każdym aspekcie. Poza tym wiedziałam, że jego status jako pierworodnego syna naszego ojca i jego natura zapewnią mu poparcie narodów składających się na

Paridżatdwipę. Wyszukałam więc tych królów i książąt, a później zaczęłam zabiegać o ich względy. Uzyskałam ich wsparcie. Wtedy Ćandra odkrył moje zamiary.

– Mówiłaś mi, że jesteś nieczysta – rzekła Prija. Wyrzuciła te słowa tak, jakby stanowiły zarzut.

Nieczysta. Tak, Malini zasugerowała, że to przez swoje pragnienia stała się nieczysta. Nie było to... nieprawdą. Ale księżniczka zawsze dobrze ukrywała swoje pragnienia. Gdyby Ćandra znał jej prawdziwą naturę, jej odmienność, fakt, że wolała kobiety od mężczyzn, być może szybciej wylądowałaby na stosie. Ale nie znał.

– Owszem – odparła krótko. Obserwowała, jak Prija na nią patrzy, jak się wzdryga, jak nie dowierza. – Jednak trafiłam tu z powodu tego, co on nazwał zdradą.

– A czy próba obalenia cesarza nie była zdradą?

– Nie byłyby, gdyby mi się udało – odparła Malini. – I wciąż mogę osiągnąć ten cel. Królestwa Paridżatdwipy nie zapomniały Epoki Kwiatów ani ofiary matek. Złożyły przysięgę przed naszym rodem, że zjednoczą się pod władzą syna z linii Diwjanśi. Honor nie pozwala im jej złamać. Ale w wizji Ćandry znajdują się nie u jego boku, lecz pod jego stopami. Zaproponowałam im alternatywę, która zapewni im status, jaki on chce im odebrać. Dość tego.

Dość tego. Zupełnie jakby organizacja zamachu przeciwko cesarzowi Paridżatdwipy, potężnego cesarstwa miast-państw, lasów i mórz, była błahostką, niczym istotnym. Był to cel, dla którego się zaharowywała, dla którego zaryzykowała wszystko. I tak wiele przegrała. Siostry jej serca, Narinę i Alori. Pozycję na dworze. Wolność. A także zdrowie i umysł, które traciła kawałek po kawałku. Gdyby Ćandra postawił na swoim, podjęta przez nią próba obalenia go kosztowałaby ją również życie.

– I naprawdę sądzisz, że ten nieudolny brat, który zostawił cesarstwo w rękach kogoś znienawidzonego przez wszystkich, nadaje się do rządzenia?

Malini musiała się postarać, żeby się nie wzdrygnąć. Pomyślała o Aditji, o jego moralności, jego dobroci, o tym, jak spoglądał na nią z czułością. Nieudolny, owszem. Nie mogła zaprzeczyć, jaki był. Ale i tak był lepszym człowiekiem niż Ćandra. Nigdy nie trzymał noża przy jej skórze. Nigdy nie próbował spalić jej żywcem.

Musiała przyznać, że nie spodziewała się po Aditji zbyt wiele. Ale, na matki, jeśli przysięga naródów wymagała męskiego potomka Diwjanśi na tronie Paridżatdwipy, to kto inny oprócz niego mógł na nim zasiąść?

– Powiem po prostu, że mężczyźni z mojej rodziny mają problem z nadgorliwością religijną. Ale Aditja jest dobrym człowiekiem. A Ćandra nie.

– Co sprawia, że jest taki zły? – spytała Prija.

Księżniczka przełknęła ślinę.

– Czy nie wystarczy za dowód, że pali kobiety? Że chce spalić mnie. Jest... ambitny. – Nie zamierzała opowiadać Prii o swoim dzieciństwie. O tych wszystkich latach krycia się, grozy, której nikt chyba nie dostrzegął ani nie rozumiał. Nie zamierzała rozmawiać o wszystkich Srugnytach, Saketyjczykach i Alorczykach, których rozwścieczył na długo przed tym, jak zasiadł na tronie. – Ćandra kieruje się wizją, jak według niego powinien wyglądać świat. To okropna wizja. A on jest gotów rzezać świat do krwi, by się do niej dopasował.

W oczach Prii coś błysnęło.

– Ćandra zniszczy Ahiranję w znanym ci kształcie – ciągnęła Malini. – Ale Aditja nie robi tego. A w zamian za to, że mi pomożesz... mogę poprosić go o więcej, niż macie. Więcej niż to, co jest teraz.

– Mów.

– Taka sama władza, jaką posiadają wszystkie miasta-państwa Paridżatdwipy. Wasi własni władcy. Stanowiska na dworze, by pomagać w zarządzaniu cesarstwem. Wolność w ramach cesarstwa.

– Nie możesz mi tego obiecać – rzekła natychmiast Prija. Miała szeroko otwarte oczy.

– Aditja cieszy się znacznym poparciem – zripostowała księżniczka. – I dysponuje elementem zaskoczenia. Ćandra nie wie, jakie siły zgromadziły się przeciwko niemu. Nie wie nawet, gdzie przebywa Aditja. Wie tylko, że to ja go zdradziłam, że podsyciłam niechęć przeciwko jego rządowi. Ja i moje damy dworu. Zresztą czy ja, jego płaczliwa siostra, wraz z dwiema głupawo uśmiechniętymi kobietami byłyśmy w ogóle zdolne poważnie zagrozić jego tronowi?

– Czego chcesz za to wszystko? – zapytała Prija. – Żeby już cię nie podtruwano? Żeby wypuścić cię z Hirany? Nie uwolnię cię, ponieważ domostwo regenta znalazłoby się wtedy w bezpośrednim niebezpieczeństwie. Musisz poprosić o coś innego.

– Chcę być wolna – rzekła Malini. – Wiesz to. – Odłożyła to pragnienie na bok. Pozwoliła, by schowało się głęboko. – Jednak potrzebuję też innych rzeczy. Sama nie mogę uciec z Hirany, ale... czy twoje dary ci na to pozwolą?

– Być może – odparła Prija z rezerwą.

Było to niemal potwierdzenie.

– W Hiranapraście czeka mężczyzna, który jest mi lojalny – powiedziała Malini. A przynajmniej taką miała nadzieję. – Czeka na wiadomość ode mnie. W zamian za przyszłość Ahiranji proszę tylko, żebyś zanosła mu wiadomość i przyniosła mi jego odpowiedź.

– Jaką wiadomość?

– Jeśli ty mnie nie uwolnisz, on spróbuje znaleźć jakiś sposób – wyjaśniła księżniczka. – Cichy sposób, który nie zdemaskuje naszych planów. Jeśli taki w ogóle jest możliwy. A jeśli nie... – Wykrzywiła dłoń, zacisnęła je w pięści. – Wtedy będę wdzięczna, że wiem, jak postępują sprawy i że mogę posłać wieści do Aditji.

Prija zupełnie się nie poruszała. Malini spoglądała na nią, oceniając napięcie jej ciała, jej obróconą głowę, i zastanawiała się, ile jeszcze potrzeba, by dziewczyna się złamała.

– Mówisz, że nienawidzisz osób o cesarskiej krwi – mruknęła księżniczka. – Mówisz, że spłonęli ci, których kochałaś. Cóż, ja też straciłam na stosie ukochane osoby. Na rozkaz mojego brata. Zrzućmy go wspólnie z tronu, Prijo.

Na te słowa na twarzy Prii pojawiła się otwartość, bolesna otwartość. Z szeroko otwartymi oczyma i rozchyłonymi ustami starała się coś powiedzieć. Po chwili to wszystko zniknęło z jej oblicza, zostawiając jedynie determinację.

– Jeśli to zrobię... jeśli ci pomogę... to nie będziemy już panią i służącą – rzekła powoli. – Poza tym miejscem możesz być cesarską księżniczką, a ja nikiem, ale tutaj jestem przydatna. Mam coś, czego potrzebujesz. I nie zamierzam być twoim narzędziem ani bronią. Będę ci równa. Czy się rozumiemy?

Prija nie cierpiała być umniejszana. Nie cierpiała być niezauważana. Nie cierpiała, gdy ją lekceważono. Malini dostrzegła to, gdy Pramila ją uderzyła, gdy przez krótką chwilę w oczach Prii zalsniło mroczne wyrachowanie.

Malini miała zatem szczęście, że tak łatwo było napotkać wzrok Prii. Spojrzeć w jej twarz i dać jej to, czego chciała, po prostu dzięki szczerości. Uważała za drobne błogosławieństwo, że nie musi manipulować Priją.

– Jesteś niezwykle potężna – powiedziała Malini. – Nie wiem, czy uznasz, że tobą manipuluję, czy nie, ale proszę, uwierz w jedno: gdy mówiłam, że potrzebuję przyjaciółki, nie kłamałam. I byłaś bardzo... miła. – Ach, będzie tęskniła za tą sympatią. – Musisz zatem podać mi swój tytuł. Jak chcesz być nazywana? Jak mam do ciebie mówić? Starsza?

– Po prostu Prija. Tak jak już mnie nazywasz.

- W takim razie ja będę dla ciebie po prostu Malini.
- W porządku. Umowa stoi – rzekła Prija, a Malini poczuła, jak wzlatuje jej serce, choć jednocześnie zacisnął się jej żołądek.
Umowy i przysięgi. Nie było im końca.
- No dobrze, Malini. Opowiedz mi o tym mężczyźnie i gdzie mogę go znaleźć.

Dowiedziała się o pożarze, gdy rozbrzmiały konchy. Ktoś zaatakował haweli lorda Iskara, oznajmił jej kapitan, gdy przybył z dodatkowymi żołnierzami, by strzec jej siedziby. Nie wiedział jednak nic więcej.

Czekała w pałacu różanym, by przekonać się, czy cokolwiek – ktokolwiek – zaatakuje też mahal. Nie miała pojęcia, czy jej mąż żyje. Mogła tylko siedzieć, myśleć i zmuszać się do zachowania spokoju.

Dołączyli do niej najsłabsi członkowie mahalu: najmłodsze i najstarsze służące, kilkoro dzieci i garstka targanych butwieniem, którzy służyli po cichu w domostwie. Stali na samym skraju pomieszczenia, w cieniu, podczas gdy dzieci siąkały nosami przez łyż, a służące zachowywały stoickie milczenie.

Pośród dotkniętych zarazą dostrzegła chłopca, którego Prija sprowadziła do domostwa. Khalida nie była szczęśliwa, gdy Bhumika pozwoliła przydzielić młodzikowi stanowisko. Jednak chłopiec od tamtej pory nie sprawiał żadnych problemów. Nie skierowano na jego temat żadnych skarg do Khalidy, a za jej pośrednictwem do Bhumiki. W zasadzie Bhumika poświęciła mu bardzo niewiele myśli, odkąd go zatrudniła.

Myślała o nim teraz. Łatwiej było patrzeć na niego – na zgarbione barki i opuszczony podbródek, na to, jak wydawał się mały i czujny, tak

samo jak Prija, gdy Bhumika ją przygarnęła – niż zastanawiać się, co mogło się dzieć poza murami jej siedziby.

– Podejdz tu, chłopcze – powiedziała, kiwając lekko na niego.

Zbliżył się powoli, po czym zatrzymał się i wykonał niezręczny ukłon. Był ubrany w praktyczną tunikę i dhoti, strój wydawany wszystkim służącym w mahalu, jednak jego chusta była brudna i postrzępiona.

– Twoja chusta jest zabrudzona – rzekła. – Czy masz coś innego?

Pokręcił głową.

– Nie, moja damo – odparł głosem chrapliwym z nerwów.

– Prosiłeś?

Znów pokręcił głową.

Zerknęła na Khalidę, która uniesieniem brwi i lekkim ruchem głowy zakomunikowała, że chłopiec nie prosił o nową chustę ani o jakąkolwiek pomoc.

– Gdybyś mogła, Khalido – odezwała się Bhumika.

– Moja pani?

– Moja zapasowa brązowa chusta. Proszę.

Khalida przyniosła chustę. Była prosta, lecz dobrze wykonana z wysokiej jakości, solidnej wełny. Zapewni młodzikowi ciepło, a nie będzie na niej widać plam. Zarzuciła mu ją na ramiona i powiedziała mu to wszystko.

Zauważyła, że chłopiec się trzęsie.

– Rukh – rzekła, a on się wystraszył. – Nie masz powodu do obaw – mówiła łagodnie. – Znajdujemy się w środku mahalu i jesteśmy dobrze chronieni. Wszystko będzie w porządku. Nic ci się nie stanie.

Chłopiec pokiwał powoli głową, nie spotykając jej wzroku. Owinął się mocniej chustą, dotykając materiału tak, jakby był cenny, bezcenny. Wart więcej niż skóra na jego grzbiecie.

Strażnik zapukał do drzwi i wszedł do środka.

– Moja pani – odezwał się. – Jest tutaj.

Bhumika wstała najszybciej jak umiała, a zatem nawet nie w połowie tak szybko, jak by chciała.

– Zabierz mnie do niego – poleciła.

Wikram leżał na łóżku w swoich prywatnych komnatach, bez tuniki. Lekarz bandażował właśnie świeżą ranę w jego boku, głębokie i krwawe cięcie. Generał podniósł na nią wzrok, a Bhumika odetchnęła z wyrazem ulgi i grozy.

– Mężu – powiedziała i usiadła przy nim. Wikram ujął jej dłoń. Pachniał dymem i krwią.

– Cieszę się – rzekł urywanym głosem – tak bardzo się cieszę, że tu jesteś.

Opowiedział jej wszystko. Lord Iskar świętował narodziny syna. Była to piękna uroczystość. A później zaatakowali buntownicy.

– A lord Santos? – spytała.

– Nietknięty – odparł. – Nalegał, że poprowadzi oddział do miasta w poszukiwaniu buntowników. – Zaciśnął zęby, wyraźnie ukazując frustrację i ból. – Próbowałem go powstrzymać, ale przeszkodziła mi rana.

– Odnaleziono ich? – spytała. Jednak nie to tak naprawdę chciała wiedzieć. Raczej chodziło jej o to, co Santos zrobił w mieście, niepilnowany przez jej męża. Ilu niewinnych przechodniów skrzywdził? Ile domów i zakładów uszkodził? Jakie zniszczenia pozostawił za sobą? Poczwała frustrację i złość wywołane faktem, że jej ranny małżonek nie mógł przewodzić odwetowi, że Santos zyskiwał władzę szybciej, niż się spodziewała.

– Nie wiem. Posłałem ludzi, by za nim podążali. Wkrótce otrzymam wieści o szkodach – powiedział ponuro Wikram. – Ale na razie pozostaję w nieświadomości. Nie mogłem odejść. Nie mogłem pójść za nim. Zostałem z ciałem lorda Iskara, gdy... jego żona... – Przełknął spazmatycznie ślinę. – Było tyle krwi – wykrztusił. – Wybacz mi. Nie powinienem z tobą o tym rozmawiać.

– Lord Iskar nie żyje? – Bhumika zdawała sobie sprawę, że do jej głosu znów wkradła się nuta grozy.

– Tak.

– A jego żona?

– Też. Między innymi. Tak.

Wydawała z siebie stosowne uspokajające pomruki i kciukiem gładziła jego dłoń, lecz w tym czasie jej myśli galopowały.

Z furią pomyślała o Aśoku.

– Co się teraz stanie? – zapytała cicho. Próbowała sprawiać wrażenie, że obawia się konkretnie o Wikrama, a nie o kogokolwiek lub cokolwiek innego.

– Lord Santos wykorzystuje już tę tragedię, żeby zwiększyć swoje wpływy – odparł generał. – A cesarz... Cesarz będzie chciał tego, co zawsze.

– Rozumiem. Skoro tak wygląda sytuacja... Co musisz zrobić, mężu?

– Przypomnę Santosowi, że nie jest regentem Ahiranji. Dopóki cesarz nie mianuje go nim, ten tytuł należy do mnie – rzekł Wikram stanowczo. – Utrzymam władzę. Zabiję buntowników. Każdego

zamaskowanego buntownika. A jeśli cesarz zażąda spalenia kobiet... – Odetchnął z bólem. – Wówczas zrobię, co będzie trzeba. Nastanie pokój.

Nie tak się uśmierza konflikty, pomyślała Bhumika, ale zachowała to dla siebie.

– Jestem zmęczony – powiedział, przykładając knykcie do czoła. Jego twarz wyrażała wyczerpanie. – Zmęczony zabijaniem. Zmęczony próbami zrobienia czegoś z tą przeklętą krainą. Ale to mój jedyny tron i muszę starać się go zachować. Robiłem dla Ahiranji, co tylko mogłem, i nie zamierzam przerywać.

– Buntownicy zabili lorda Iskara, niech matki się nad nim zlitują, ponieważ poetę i jego kobiety skazano na śmierć – rzekła łagodnie Bhumika. Tak łagodnie, jakby jej głos był niskim stopniem na niezwykle delikatnej podłodze z waty cukrowej. – Być może kolejne śmierci jedynie pogorszą sprawę.

– Ciesz się, że cię tam nie było – odparł Wikram. – Inaczej nie mówiłabyś takich głupich rzeczy. – Wygładził jej włosy. Uważał, że ją pociesza. – Tak czy inaczej, nastąpią kolejne śmierci. Obiecuję ci jednak, że moja ścieżka będzie mniej krwawa niż ta, którą wyrąbałby Santos.



Bhumika została u boku męża w pełnych napięcia godzinach, które nastąpiły. Pomagała lekarzowi podawać słabą mieszankę wina z igłokwiatem, a służącym usuwać resztę krwi i popiołu z ciała generała. Gdy lekarz został już odprawiony, Bhumika pomogła mężowi założyć świeżą tunikę i dhoti z lekkiego jedwabiu, które nie będą podrażniać zranienia. Choć pamiętała o ranie, to zanim skończyli, mimo wszystko był poszarzały z bólu.

Chwilę później przy drzwiach rozległ się hałas. Komandor Džiwan wkroczył bez zapowiedzi w biało-złotej zbroi poplamionej ziemią i krwią oraz z ponurym wyrazem twarzy. Zerknął na Bhumikę, odwrócił wzrok i skłonił się.

– Mój lordzie – odezwał się – czy czujesz się dobrze?

– Bez uprzejmości – uciął Wikram. – Mów wszystko.

Džiwan powiedział.

Gdy opisywał, co lord Santos i jego ludzie zrobili w mieście, twarz generała stawała się coraz bardziej zachmurzona. Kiedy Džiwan zamilkł,

oblicze Wikrama było już tak ściągnięte bólem i złością, że Bhumika automatycznie sięgnęła po wino z igłokwiatem zostawione przez lekarza. Zaczęła je nalewać, ale Wikram zrobił dłonią oszczędny, gniewny gest.

– Nie.

Odstawiła kubek i dzbanek.

– Przyrowadź mi lorda Santosa, gdy tylko wróci – polecił Wikram komandorowi. – W tej samej chwili, w której wróci. Chcę, by trafił tutaj. Natychmiast. Wyrażam się jasno?

– Już wraca, mój lordzie – rzekł Dżiwan. – Moi ludzie śledzą jego ruchy. Zajmę się tym.

– Idź – rzekł generał.

Komandor znów się skłonił, po czym odwrócił się na pięcie i wyszedł.

– Bhumiko – powiedział w końcu Wikram – musisz teraz odejść.

Pokręciła głową i ujęła jego dłoń w swoje. Spuściła wzrok.

– Nie odejdę, dopóki nie zyskam pewności, że dobrze się czujesz – mruknęła, jak przystało na oddaną żonę. Zanim zdążył znów zaprotestować, ścisnęła mu dłoń i puściła. – Ale zaczekam na balkonie, aż lord Santos wyjdzie. Obiecuję.

Wymknęła się na ocieniony balkon, nie dając mu czasu, by znów zdążył ją odprawić. Widziała stamtąd tereny mahalu. Niebo. Gdy stała na skraju balkonu, nie dostrzegał jej już z łóżka. Musiałby wstać, żeby odnaleźć ją wzrokiem, albo krzyknąć, gdyby zechciał ją odesłać. Nie zaskoczyło jej, że zachował milczenie.

Nie minęło wiele czasu, zanim drzwi znów się otworzyły i zapowiedziano lorda Santosa.

Głosy były stłumione, ale Bhumika słyszała ciężki tupot butów Santosa. Jego powitanie. Wikram nie odpowiedział uprzejmościami.

– Słyszałem, co zrobiłeś, lordzie Santosie – powiedział.

Generał podczas rozmów z lordem wykorzystywał dotąd ton stosowany w celach dyplomatycznych, do łagodzenia sytuacji, manipulowania, utrzymywania pokoju podczas przemierzania najbardziej ciernistych obszarów polityki.

Teraz ten ton zniknął. Mijająca krwawa noc najwyraźniej strzaskała resztki cierpliwości regenta.

– Czy mam ci opowiedzieć, co widzieli moi żołnierze? – spytał zjadliwie. – Splądrowane budynki. Mężczyzn i kobiety uciekających, by ratować życie po tym, jak zniszczono im domy. Żebraków z poderżniętymi gardłami.

– Ahiranyjskich żebraków – rzucił lekceważąco Santos.

– Dokonałeś również szkód w Dzielnicy Różowych Latarni. W źródle dochodu ahiranyjskich wysoko urodzonych. Jesteś chyba świadom znaczenia domów rozkoszy dla tutejszej gospodarki? Dla kufrów cesarza? Na pewno jesteś. Powiedz mi więc, lordzie Santosie: dlaczego to zrobiłeś?

Nastąpiła chwila ciszy.

– Ahiranyjczycy zabili lorda Iskara – rzekł w końcu Santos powoli, niedowierzająco. – I niemal zabili ciebie.

– Dlaczego to zrobiłeś? – powtórzył dobitnie Wikram.

Bhumika skrzywiła się. Jej małżonek nie ukrywał gniewu.

Powinien był wypić igłokwiat, gdy mu go podawała. Środek złagodziłby ból i pozwolił kontrolować temperament, który regent zwykle trzymał na wodzy. Cierpienie natomiast pozwoliło mu zanadto rozgorzeć.

– Zrobiłem to, co konieczne, by przypomnieć Ahiranyjczykom, gdzie ich miejsce – powiedział Santos po chwili. Jego głos stał się nagle oleisty, ulepkowaty. Bhumika mocniej chwyciła balustradę i słuchała jego brzmienia, zagrożenia kryjącego się w nagłej służalczości lorda. – Dawno nie przebywałeś w sercu cesarstwa, generale. Być może nie rozumiesz, jakiego rodzaju rządów oczekuje od ciebie cesarz Ćandra. Gdy takie bydlęta jak ci Ahiranyjczycy zabijają naszych, należy zmiażdżyć ich większą potęgą. Wszystkich musi spotkać sprawiedliwość.

– A ty najwyraźniej nie rozumiesz Ahiranji, lordzie – rzekł Wikram spokojnym głosem, który nijak nie skrywał jego furii. – Nie rozumiesz jej mieszkańców. Na pewno nie tak jak ja. Nie wiesz, jak z nimi postępować. Twoja metoda przemieni ich we wściekłe psy kąsające rękę panów.

Usłyszała pełne bólu stęknienie, gdy generał poprawił pozycję na łóżku. Kiedy go zostawiała, opierał się na poduszkach ułożonych na zagłówku. Gdy teraz słuchała przejęcia w jego głosie, wyobrażała sobie, że wychylił się naprzód, że naciągał ranę, wpatrując się w Santosa. Żałowała, że nie jest tam w środku, skąd mogłaby odczytywać wyraz twarzy i język ciała obu mężczyzn. Teraz mogła jednak tylko stać i słuchać, oceniać forsowne oddechy małżonka i ciężar milczenia Santosa.

– Oto coś, co wiem o Ahiranji – podjął Wikram. – Gdy buntownik zostaje skazany na śmierć, czy to skryba, czy morderca, Ahiranyjczycy mówią do siebie: „Ten człowiek złamał prawo. Być może zasługuje, by umrzeć”. Gdy kobiety płonęły, ludzie mówili: „Były buntowniczkami. Musiały zrobić coś, co spowodowało na nie ten los. To, co stało się z nimi, nie stanie się ze mną”. Szukają przyczyn, prawideł, a dzięki tym prawidłom uczą się, że dopóki tylko są posłuszni, będą bezpieczni. Ich nauczycielem jest strach. Jednak tej nocy, lordzie Santosie, zabijałeś

mężczyzn i kobiety, którzy nie byli buntownikami, którzy nie mieli pojęcia, co stało się lordowi Iskarowi. Którzy widzieli, jak lord z Paridżatu, czyli ty, Santosie, atakujesz ich niesprowokowany. Ci Ahiranyjczycy popatrzą na twoje dzieło i będą przerażeni. Żli. Uznają, że spotkała ich niesprawiedliwość. Zarówno wysoko urodzeni, jak i plebs.

Umilkł na chwilę, po czym dodał:

– Gdy płonęły świątynne dzieci, dowiedziałem się, jak daleko można posunąć się z ludem Ahiranji. Jak czyn najwyraźniej pozbawiony sensu może uczynić z nich wrogów. A ty, lordzie Santosie, posunąłeś się za daleko. Zjednoczyłeś Ahiranyjczyków. Cesarz ci za to nie dziękuje.

Santos nic nie odrzekł, jednak Bhumika potrafiła wyobrazić sobie wyraz jego twarzy.

Powiedziałeś zbyt wiele, mężu, pomyślała.

Santos nie należał do ludzi, którzy dobrze przyjmują upomnienia. Miał zbyt rozdętą dumę, a Wikram ją zdruzgotał. Obawiała się, że Santos zbierze te wszystkie resztki, te wszystkie drzazgi odłupane słowami Wikrama, i zrobi z nich broń.

A jej małżonek jeszcze nie skończył mówić.

– Będę musiał okazać pobłażliwość, żeby nadrobić twój błąd w ocenie sytuacji – ciągnął generał. – Powinienem zamknąć miasto dla bezpieczeństwa. Jednak Ahiranyjczycy zechcą świętować festiwal ciemnego księżycy.

– Heretycki festiwal – skomentował Santos słabo, potulnie.

– Festiwal, który ma znaczenie dla Ahiranji – odparł Wikram wciąż spokojnie, dobitnie – który pozwoli im zorganizować pomimo działań buntowników, by okazać w ten sposób życzliwość cesarza i moją. Nie zamierzam zrobić nowych buntowników z obywateli Ahiranji, lordzie Santosie. Pozwolę, by ich wdzięczność zatriumfowała nad oburzeniem.

Santos wydał z siebie odgłos. Śmiech. Gwałtowny i wysoki. Och, jakże żałowała, że nie widzi jego twarzy. Jego miny.

– Rozumiem – powiedział. – Zaprzyjaźnisz się z nimi, tak? No oczywiście. Ty, z tą twoją ahiranyjską żoneczką i bezcennymi, wysoko urodzonymi ahiranyjskimi sojusznikami. Praktycznie stałeś się jednym z nich. – Jego słowa ociekały odrazą.

Usłyszała łomot kroków. Przez chwilę zastanawiała się, czy lord wypadnie na balkon, i przygotowała się na to: rozluźniła ramiona, otworzyła szerzej oczy, starała się stać mała, niegroźna, jak najmniej kojarzyć się z czujną słuchaczką i obserwatorką, którą w istocie była. Usłyszała jednak, że zatrzymał się i przemówił. Jego głos dobiegał teraz z większej odległości, jakby przeszedł przez pokój.

– Ahiranja nie będzie wiecznie twoja. Już teraz ledwo jest. Próbuj zyskać przychyłność Ahiranyjczyków, jeśli chcesz. Pozwól im prowadzić burdele i czcić ich potwornych bogów. Pozwól im! Ale ich przychyłność nie uratuje twojej regencji, Wikramie. To cesarz decyduje, kto będzie rządził. I to cesarz przysłał mnie tutaj. Da mi Ahiranję.

– Zrobię wszystko, czego cesarz będzie ode mnie wymagał – oznajmił generał. – Wszystko, czego zażąda. Ale jeszcze nie mianował cię moim następcą. – Uderzenie serca. – Jak zawsze to dla mnie przyjemność móc cię widzieć, lordzie Santosie.

Usłyszała trzaśnięcie drzwi. Santos zniknął.

Gdy nabrała pewności, że nie wróci, weszła z powrotem do pokoju. Wikram znów opierał się na poduszkach. Zamknął oczy i lekko rozchylił usta, oddychając przez ból. Podeszła do niego, zastanawiając się już, jakie konsekwencje ta nieszczęsna rozmowa przyniesie jego regencji. Jakie przyniesie Ahiranji.

Starła się nie myśleć o tym, jak mąż mówił o jej ludzie. W jego obecności starła się nie myśleć o bardzo wielu rzeczach.

Nalała wina do kubka.

– Wypij – powiedziała i przyłożyła mu krawędź naczynia do ust. Mówiła łagodnym głosem i przywołała na twarz wyraz współczucia, zupełnie jakby zakończona rozmowa nie miała dla niej żadnego znaczenia. – Potrzebujesz odpoczynku. Pozwól choć raz, by twoja żona o ciebie zadbała.

Nie otwierając oczu, z pełną ufnością wypił.

Byla to jedna z najprostszych rzeczy w jej zyciu. W koncu to ona odpowiadala za cale jedzenie. To ona szykowala wieczorny posilek: paratha, pikle, male miseczki dhalu albo jogurtu, jezeli byly dostepne. Przygotowala dla Pramili talerz i zaprawila jej herbate odrobiną igłokwiatu. Miała nadzieję, że słodycz cukru, którego dosypała, ukryje jego smak.

Rękoma trzęsącymi się znacznie mniej, niż powinny, zważywszy na to, jak była zdenerwowana, Prija dokończyła obowiązki w kuchni. Podczas ostatniej wizyty służące zostawiły worki z ryżem i pełnoziarnistą mąką, woreczki zmielonych przypraw i sakwy z cebulą oraz imbirem. Gdy Prija podniosła mąkę, ujrzała świstek papieru opadający na podłogę. Pochyliła się i podniosła go.

Był to list napisany atramentem w kolorze indygo, rozmazany po długim pobycie pomiędzy dwoma pakunkami, choć ktoś zadał sobie pewien trud, by go wysuszyć, i wcisnął kawałek materiału pomiędzy dwie krawędzie, by zabezpieczyć napis. Rozpoznała rękę Simy i jej toporny zabran. Sima nieczęsto pisała i niepewnie posługiwała się znakami.

Bądź bezpieczna. Myślę o tobie.

Pod spodem przyjaciółka narysowała ptaszka, grubego, świeżo opierzonego gołąbka, z drobiazgową dokładnością zaznaczyła ciemne

oczka i pulchny brzusek.

Pomyślała o Simie siedzącej i starannie zapisującej dla niej słowa na kartce. Poczowała, jak w gardle rośnie jej gula.

Wcisnęła notatkę pod ćoli, dokończyła gotowanie i z przyklejonym do twarzy uśmiechem zabrała jedzenie do komnaty Pramili.



Gdy wreszcie wróciła do pokoju Malini, zobaczyła, że księżniczka leży na podłodze z szeroko otwartymi oczyma i przyciska policzek do kamiennej płyty. Prija podbiegła do niej.

– Co się stało? Dobrze się czujesz?

– Najwyraźniej nie – wydyszała Malini. – Właśnie... zemdlałam.

– Jak...?

– Zrobiło mi się czarno przed oczyma – wyjaśniła księżniczka. – I poczułam mdłości. A teraz jestem na podłodze. Tyle wiem. Proszę, pomóż mi wstać.

Prija pomogła, wzięła na siebie ciężar Malini, podnosząc ją do pozycji siedzącej. Czowała jej lepką skórę.

– Zawroty głowy miną – powiedziała stanowczo księżniczka. Wyglądała na złą. – Wszystko to przejdzie. To naturalny efekt odstawienia igłokwiatu, prawda?

– Nie wiem – odparła bezradnie Prija.

– Mówiłaś, że znasz działanie trucizny.

– Bo znam. Ale nie jestem uzdrowicielką.

– No dobrze. – Malini zacisnęła zęby. Uniosła wyżej głowę, zupełnie jakby walczyła z jakąś niewidoczną siłą ciągnącą jej czaszkę w dół. Ostrożnie wstała, po czym usiadła na czarpaju.

Prija obserwowała ją.

– To utrzymujący się efekt igłokwiatu – dodała po chwili księżniczka, zupełnie jakby chciała uspokoić je obie. – Nic więcej. Z czasem mi się polepszy. Jesteś gotowa, Prijo? Zajął się Pramilą?

– Śpi. Sprawdziłam. Jeśli przyjdą strażnicy...

– Nie przyjdą do mojego pokoju – odparła Malini. – Wiedzą, by tego nie robić.

– A jeśli jednak przyjdą?

– Wtedy udam, że śpię. Jeśli mnie obudzą, to powiem im, że nie mam pojęcia, gdzie jesteście.

– Zatem jestem gotowa – oznajmiła Prija.

– Pamiętasz...

– Pamiętam wszystko, co mi mówiłaś – rzekła niecierpliwie Prija. – Mamy umowę, Malini. O nic się nie martw.

Malini powiedziała jej, że musi się udać do Pałacu Iluzji. Prija знаła to miejsce. Był to dom rozkoszy w dość eleganckiej – choć niezbyt szanowanej – części Dzielnicy Różowych Latarni. Nazwa stanowiła zarówno dowcip, jak i kpinę, a pochodziła od miana pałacu z dawnego mitu spotykanego na całym subkontynencie – pałacu pięknej królowej, która miała wielu małżonków.

Wiedziała, że ma się spotkać z młodym lordem, który się tam zatrzymał, dalekim kuzynem pomniejszego księcia z Sakety, choć według Malini nie był to jego prawdziwy rodowód. Miała przekazać wiadomość i pytania księżniczki, a później wrócić. Wszystko to, zanim Pramila się obudzi.

Będzie potrzebowała szczęścia.

Narzuciła sobie chustę na ramiona.

– Prijo. – Ciemne oczy Malini miały nieodgadniony wyraz.

– Tak?

Nic. Przez długą chwilę.

– Mam nadzieję, że wrócisz bezpiecznie – rzekła w końcu księżniczka. – Mam nadzieję, że nic ci się nie stanie. Będę o tobie myślała.

Dlaczego Malini wciąż utrzymywała, że naprawdę się przejmuje? Prija czuła się przez to odsłonięta. Owszem, chciała, by księżniczka się o nią troszczyła, chciała pławić się w tej trosce, wtopić w nią. Jednak reszta niej zachowywała ostrożność. Reszta niej potrzebowała pancerza.

– Oczywiście, że będziesz – odpowiedziała. – Jestem tu twoją jedyną sojuszniką. Beze mnie byłabyś bezradna.

Malini nawet się nie wzdygnęła, ale w jej bezruchu kryło się coś, co sprawiło, że serce Prii ścisnęło się lekko od niechcianego poczucia winy.

– Wrócę niedługo – mruknęła Prija. – Czekaj i miej się na baczności.

Opuściła pokój i weszła do triwenu.

Rozpościerająca się na zewnątrz ciemność wydawała się niemal absolutna. Sierp księżycy połyskiwał blado, światła miasta były jak złote kropki rozrzucone na czarnym tle.

Zamknęła oczy. Poczowała szarpnięcie magii, rzekę płynącą pod jej stopami. Pomyślała o tym, jak Hirana przesuwała się wcześniej pod nią, jak płaskorzeźby stawały się wyraźniejsze, jak wskrzeszały się na ścianach ze stanu zniszczenia. Pomyślała o tym, jak jej więź z Hiraną również stała się silniejsza.

Odetchnęła, by się uspokoić, i weszła na powierzchnię Hirany.

Kamień pod jej stopami był ciepły. Czuła pod podeszwami nowy mech.

Zrobiła krok w dół. I kolejny. I jeszcze jeden.

Jakaś kobieta chce się widzieć z twoim kuzynem, lordzie Premie – oznajmił jeden z jego ludzi. – Wygląda jak służąca.

To było zaskoczenie. Prem i Rao popatrzyli sobie prosto w oczy. Ten pierwszy zacisnął stanowczo szczęki i ściągnął usta.

Przez trzy dni, które minęły od zamordowania lorda Iskara, nawet domy rozkoszy ogarnęła atmosfera niepokoju. Ludzie Prema pobieżnie sprawdzili szkody w okolicy powstałe jako pokłosie ataku buntowników oraz odwetu ze strony sił władzy. Widzieli porozbijane stragany, splądrowane domy, martwych żebraków stratowanych przez konie, leżących w zapomnieniu na rogach ulic. Dom rozkoszy, w którym się zatrzymali, przetrwał, jak się zdaje, czystym przypadkiem.

Zebrawi wystarczającą ilość informacji, by założyć, że to lord Santos stał za szkodami dokonanymi w mieście. „Właśnie czegoś tak głupiego można się spodziewać po kimś jego pokroju” – powiedział Prem z niesmakiem w głosie. Rao przytaknęła i próbował zrozumieć decyzję generała Wikrama, aby jednak nie zamykać miasta. Zastanawiał się, czy czyn jednego lorda wiąże się z postępowaniem drugiego, czy wielkoduszność Wikrama stanowiła reakcję na brutalność Santosa i co ich decyzje mówią o bieżącej równowadze władzy w mahalu regenta. Gdyby

miał więcej czasu – i więcej zasobów – Rao poszukiwałyby odpowiedzi niczym drapieżca, który poczuł woń krwi.

– Kto ją wpuścił? – zapytał Prem. – Żaden ze strażników jej nie zatrzymał?

– A dlaczego mieliby zatrzymywać służącą? – odparła Lata. Siedziała na stercie poduszek z książką w dłoni. Odwróciła stronę, nie podnosząc wzroku. – Nikt nie zatrzymuje służby.

– A powinno się, zwłaszcza po tym, co się stało z lordem Iskarem. Nie zapominajmy też o zdarzeniu w świątyni – mruknął Prem. – Poza tym może być nasłana przez tego nadętego lorda Santosa. Nie sądzę, by miał co do mnie jakieś podejrzenia, ale powinniśmy być ostrożni. Kim ona jest? Paridżatką?

– Chyba Ahiranyjką, mój lordzie.

– Zatem raczej nie jest nasłana przez niego – stwierdził Prem, uspokajając się. Wychylił się do przodu, opierając łokcie na kolanach. Na podłodze pomiędzy nim a Rao leżał jedwabny haftowany krzyż, plansza do gry w paczisi. Z lekkim brzękiem rzucił obok niej sześć muszelek kauri. Jedna z nich upadła otworem do góry i mężczyzna zaklął łagodnie.

– Przegrywam – rzekł i zebrał muszelki. – Więc idź, jeśli chcesz. Czy to umówione spotkanie?

– Nie – odparł Rao, po czym zwrócił się do strażnika: – Mówiła, do czego jestem jej potrzebny?

– Nie, mój lordzie.

Rao wstał, krzywiąc się, gdy poczuł nagły ból we wciąż zaleczającej się ranie. Słuchał wieczornej ciszy. Owady brzęczały pod tarasem. Fontanna pluskała wodą. A on podjął decyzję.

– Pójdę.

Służąca stała w korytarzu. Była zwykłą Ahiranyjką w prostym sari, dwudziestoparoletnią, z rozpuszczonymi czarnymi włosami i ciemną skórą, orlim nosem oraz przenikliwym wzrokiem. Ukłoniła się przed nim zdawkowo i rzekła bez wstępow:

– Powiedziała mi, żebyś szukała mężczyzny, który nazywa się lord Radżan i jest kuzynem niższego księcia Sakety. Czy to ty?

Rao był zbity z tropu jej bezpośredniością.

– Kto pyta?

– Moja... pani – odparła niepewnie, przerywając na chwilę przed słowem „pani”, jakby miała problemy z odpowiednim określeniem. – Czy jesteś lordem Radżanem?

– Owszem. Podaj mi imię swojej pani.

Ahiranyjka pokręciła głową.

– Kazała mi powiedzieć, że dawno temu ukradła ci nóż. Nie sztylet. Nóż. – Służąca powtórzyła to, jakby nauczyła się na pamięć. – I mam też dodać, że cieszyła się, gdy zwróciłeś go swojej siostrze i jej. Ta broń dała jej nadzieję. – Napotkała jego wzrok i wpatrywała się w niego bacznie. – Być może teraz kojarzysz już moją panią?

– Chodź ze mną – polecił cicho i otworzył pierwsze drzwi, które miał przed sobą. Weszła za nim do łaźni, a on zamknął drzwi. – Skąd mam wiedzieć, że naprawdę jesteś od niej? – spytał szorstko. Nadzieja sprawiła, że łamał mu się głos.

Pokojówka wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia. Czy ktoś inny zna tę opowieść?

Rao przełknął ślinę.

– Nikt żyjący – wykrztusił. – Ale ktoś mógł ją z niej wyciągnąć na torturach.

– Ale tak się nie stało – odparła zwięźle służąca. – I nie mam wiele czasu. Muszę do niej wrócić, a mam pytania, na które są jej potrzebne odpowiedzi.

– Pytaj.

– Czy możesz ją uratować? – zapytała bez ogródek. – Wydostać ją? Podejmujesz próby?

– Podejmuję – odrzekł Rao. – Ale przez to, że trzeba zachowywać tajemnicę, stanowi to... wyzwanie. Nie jestem pewien, czy zdołam ją uwolnić – przyznał z trudnością. – Ale nie ustanie w staraniach.

– Dobrze. Teraz księżę Aditja. Wciąż żyje? Nic mu nie jest?

– Z tego, co wiem z doniesień, to żyje i jest w dobrym zdrowiu.

– Ma przy sobie wielu zwolenników?

– Może nawet więcej, niż ona liczyła – odpowiedział Rao. – Postarałem się skierować wszystkich godnych zaufania tam, gdzie powinni się znaleźć.

Nie wspomniał o mrówczej pracy swojego ojca nad zjednoczeniem królestw Paridżatdwipy przeciwko cesarzowi pod nieobecność Malini. Przed ustawieniem stosu, w czasach, gdy kładła podwaliny pod swoją intrygę, płynnym alorskim napisała list do króla Wiradźa, błagając go o pomoc. Spotkała się z nim w sekrecie dzięki pomocy Alori i Rao, by omówić nadzieje i obawy dotyczące rządów Aditji. Jego ojciec był jedną z pierwszych osób przekonanych do sprawy.

Po tym, jak Alori spłonęła, a Malini uwięziono, ojciec przejął tę pracę. Podobnie jak, w niewielkim stopniu, Rao.

Ale służąca nie musiała słyszeć tego wszystkiego. Nie wiedział, czy była świadoma, że tak naprawdę jest księciem Aloru, ale szczerze nie

chciał, by wiedziała.

Nachyliła się bliżej i mówiła teraz bardziej natarczywie:

– Kto? Przynajmniej tytuły, jeśli nie imiona.

– Lordowie z samego Paridżatu. Kilku niższych książąt z Sakety, choć nie skontaktowano się jeszcze z najwyższym księciem ani z jego najbliższymi faworytami. Ich ludzie wyruszyli okreśną drogą, wzdłuż cesarskich granic, do Srugny. Nic nie wskazuje na to, że ich zauważono. Pamiętaj, żeby jej o tym powiedzieć. Będzie chciała się dowiedzieć.

– Kto jeszcze? Muszą być inni.

– Na pewno zapamiętasz to wszystko?

– Zapamiętam – odparła służąca z lekką niecierpliwością w głosie.

– Mów, mój lordzie.

– Dwaralski sułtan wysłał emisariuszy w swoim imieniu wraz z jeźdźcami. – I czyż nie rzucali się w oczy na śnieżnobiałych wierzchowcach z krwistoczerwonymi siodłami. Ale dziewczyna o tym też nie musiała wiedzieć. – Nasze szeregi są znaczne. I król Srugny powiązał z nami swój los.

Nawet jeśli te informacje zrobiły wrażenie na pokojówce albo wzbudziły jej niepokój, nawet jeśli rozumiała konsekwencje tego, co jej mówił, nie okazała tego po sobie. Doceniał jej opanowanie.

– Dobrze. Powiem jej to.

– A co z nią? Jak jej się wiedzie? – spytał z nadzieją, że w jego głosie nie odbiło się to, co czuł w sercu.

Służąca obrzuciła go uważnym spojrzeniem.

– Nie jest z nią dobrze. Od dawna jest chora.

– Czy generał Wikram przysłał do niej lekarza?

Dziewczyna uśmiechnęła się nieznacznie i pokręciła głową.

– Generał ma ograniczoną kontrolę nad warunkami jej uwięzienia. Na rozkaz cesarza, jak słyszałam. Poza tym to właśnie lekarstwo ją zabija. Ona to wie.

– A kim ty jesteś dla niej?

– Jej jedyną damą dworu, mój lordzie. Pilnującą, by już jej nie podtruwano.

– A jakie masz z tego korzyści?

– Ach, mój lordzie. Robię to wyłącznie z miłości oraz lojalności, które czuję w sercu.

W tym żarcie kryje się ziarno prawdy, pomyślał. Zorientował się po tym, jak przekrzywiała podbródek, jak układała wargi przy wypowiedaniu tych słów. Malini potrafiła zjednywać sobie ludzi, czy im się to podobało, czy nie. A jednak nie była to cała prawda.

– Masz coś, czego mógłbym użyć, by ją uwolnić? – zapytał Rao. Wysiłki Prema zawiodły. Zostało mu tylko to: nadzieja, że pokojówka da mu jakąś możliwość i odpowiedź. – Jakąkolwiek wiedzę, jakiegokolwiek informacje. Jakichkolwiek sojuszników, których mógłbym wykorzystać?

– Nie wiem. – Dziewczyna odwróciła od niego wzrok, gdy w korytarzu rozległy się kroki, a później ucichły w oddali. – Nie powinieneś szturmować świątyni czy robić czegoś równie głupiego. Po Hiranie nie da się łatwo wejść i zejść. Jej powierzchnia jest niebezpieczna. I są też wartownicy. Musiałbyś przedostać się przez mahal generała, później przez tereny świątynne i wspiąć się inną trasą niż bezpieczna ścieżka oznaczona liną. Nie zdołałbyś tego zrobić. Nawet z armią.

– Ale ty to umiesz.

Na jej ustach wykwitł krzywy uśmieszek.

– Nikt nie zauważa służących, mój lordzie. I jestem Ahiranyjką. Znam Hiranę lepiej, niż ty kiedykolwiek zdołałbyś ją poznać. Ale księżniczka nie zdoła zejść z Hirany, by odzyskać wolność, a ja nie mogę tak po prostu wyprowadzić jej przez wrota.

– Niczego mi nie przysłała?

– Niczego oprócz informacji, które ci przekazałam o jej stanie zdrowia, oraz pytań, które już ci zadałam.

– Nie podała mi sposobu, w jaki mogę ją uratować?

– Moim zdaniem miała nadzieję, że sam znajdziesz taki sposób. Mój lordzie.

Wywołało to jego śmiech. Jej zaban był pospolity, mina nienawistna. Zorientował się, że ją polubił, i nieco go to przeraziło.

– Podasz mi swoje imię?

– Prija – powiedziała po chwili wahania.

Prija. Imię popularne w całej Paridżatdwipie. Słodkie imię zarówno dla pyzatyńskich dziewczynek, jak i potulnych panien młodych. Ta kobieta nie należała ani do jednych, ani do drugich.

– Prija – powtórzył. – Dziękuję, że do mnie przysłałaś. Proszę, przekaz swojej pani w zamian moją wiadomość. – Odetchnięcie. – Powiedz jej, że nie może tracić nadziei. Że jej praca jeszcze nie została zakończona. Że... będę czekał na wieści od niej i dalej podejmował próby uratowania jej. I... – Zamrugnął, nie chcąc okazywać emocji przed tą kobietą. – Jestem jej lojalnym sługą. Tak jak jej obiecałem. Nie zapomniałem i nigdy nie zapomnę przysięgi, jaką złożyliśmy nad nożem.



Najpierw położyła płasko tkaninę i palcami wygładziła ją na lakierowanym stoliku. Następnie umieściła na niej nóż. W porównaniu ze stolikiem i muślinem broń wydawała się toporna i brzydka, nieozdobiona, o ostrej krawędzi i praktycznym czubku.

Ale był to jego nóż.

Nie posłał po wino, herbatę czy wysokie szklanki z lassi albo szербetem, które w gorące popołudnie pokrywałyby się kropelkami. Nie było żadnej służby, która by im przeszkadzała. Mieszkał w cesarskim mahalu, odkąd był ośmioletnim chłopcem. Przysłano go tam, by zacieśnić więzi pomiędzy Alorem a Paridżatem, i przez cały ten czas nigdy nie znalazł się sam na sam z cesarską księżniczką.

Teraz byli sami.

Przez długą chwilę panowało milczenie.

– Mój ojciec nie żyje – powiedziała Malini.

Niemal podskoczył, gdy się odezwała.

– Ja... wiem. Wyrazy współczucia, księżniczko.

– A mój brat, mój uprzejmy, honorowy brat, zniknął tam, gdzie nikt nie może go znaleźć. Został jedynie Ćandra. By podpalić stos pod ojcem. By zasiąść na jego tronie. Jestem pewna, że gdy zabierałeś Aditję do ogrodu bezimiennego, nie chciałeś, by tak się stało.

– Nie, księżniczko. Nie chciałem. Ale działania bezimiennego pozostają poza kontrolą śmiertelników. Tak czy inaczej Aditja odnalazłaby ogród. I usłyszałyby naszego boga. Taki jest jego los, zapisany w gwiazdach jego narodzin.

– Nie wierzę, że tak to właśnie wygląda – odrzekła księżniczka. – Że nie mamy wyboru. I nawet jeśli los jest w nas wypalony przez gwiazdy, to nie sądzę, że nie możemy naginać się do potrzeb naszych czasów i zbacać z zapisanej nam ścieżki. – Dotknęła opuszkami palców tępej części ostrza. Na jej skórze wciąż znajdował się popiół pozostały po tym, jak dotknęła szczątków ojca w ostatnim rytualnym akcie żałobnym. – Chcę, żeby Ćandra został usunięty z tronu, którego nie powinien dostać. I chcę, żeby zasiadł na nim Aditja. Pomożesz mi?

Napotkał jej spojrzenie. Nie były to nieśmiałe, spuszczone oczy. Potulna i skromna dziewczyna, tak łatwo wpadająca w płacz, której spodziewał się Rao, którą zawsze znał, zniknęła. Siedząca przed nim

księżniczka była poważna i spokojna, przyszpilała go wzrokiem równie skutecznie jak sztylet wbity w gardło.

– Wtedy ty, ja i wszyscy, których cenimy, znaleźlibyśmy się w niebezpieczeństwie – powiedział Rao.

– Mam listy od Aditji – odparła. – Wiem, gdzie przebywa, i przekonam go do powrotu. Los czy nie los, zna swój obowiązek.

Rao na chwilę wstrzymał oddech.

– Wiesz, gdzie on jest? Naprawdę?

– Mam swoich szpiegów i swoje kobiety. A mój brat nie miał sumienia, by zostawić mnie bez słowa.

– Co z nim? Czy on... – dopytywał się Rao.

Malini pokręciła głową. Nie da mu tego. Jeszcze nie.

– Wiesz, czym jest Ćandra – powiedziała. – Wiesz, co robi. Zapewniam cię, książę Rao, że twoje obawy nie są nieuzasadnione. Mój brat jest tą samą istotą, którą był jako chłopiec i młody mężczyzna. Uważa, że zasady jego wiary oczyszczą jego dłonie z krwi. Sądzi, że jego okrucieństwa stanowią błogosławieństwo.

– Nie popełnił żadnych okrucieństw.

– Jeśli los jest zapisany w gwiazdach, to jestem pewna, że jego okrucieństwa również są tam zapisane – rzekła Malini. – Spytaj swoich kapłanów. A jeszcze lepiej spytaj swoje serce. Nie musisz być wiernym żadnego boga, by wiedzieć, co on zrobi.

Pomyślał o tym wszystkim, co wiedział o naturze Ćandry. Dorastał przecież u jego boku. Wzdrygnął się.

Malini wciąż się w niego wpatrywała.

– Łączy nas umowa, książę Rao – powiedziała. – Zgadza się?

Odetchnął i wstał wraz z nią. Owinęła nóż muślinem i ujęła go.

– Tak – odparł. Zgadza się.

Jego siostra Alori stała ze skrzyżowanymi ramionami w rogu przedsionka. Pozornie wypatrywała, czy ktoś nie idzie, ale tak naprawdę nie zwracała na nic uwagi. Unosiła twarz do góry, chwytając na nią skośne promienie wpadające przez położone wysoko szczeliny okienne. Na ich skraju bawiły się ptaki, zielone papużki z jaskrawopomarańczowymi dziobami. Ich trzepoczące skrzydełka rzucały cienie na głowę Alori.

Popatrzyła wtedy na niego spod ocienionych oczu.

– Czy już, bracie? Zgodziłeś się?

– Tak – odpowiedział jej. – Już.



Wrócił do komnaty. Przed Premem wciąż leżała plansza do paczisi, choć do gry dołączyło już kilku jego ludzi. Uniósł głowę, gdy wszedł Rao.

– Czyli dobrze się rozmawiało w łaźni? – W jego głosie zabrzmiała żartobliwa nuta. – Muszę przyznać, nigdy nie wiedziałem, że lubisz tak ciemne kobiety.

– Jesteś głupcem, Prem – odparł Rao ze znużeniem. Minął jego i Latę, wciąż pochyloną nad książką, po czym wyszedł na taras.

Potrzebował chłodnego powietrza. Chciał zapomnieć.

Nie miała pojęcia, po jakim czasie Pramila się obudzi, a rozsądek podpowiadał jej, że lepiej wrócić na Hiranę jak najszybciej. Z pewnością przed brzaskiem.

Ale od tak dawna była pozbawiona wolności. Przywykła do swobody przemieszczania się, do możliwości opuszczania mahalu i chodzenia na rynek, kupowania świeżych owoców lub porannych dosa ze słodkimi sosami przebijającymi się przez delikatną koronkę ciasta z ciecierzycowej mąki. Lubiała chować się wraz z Simą przed Gauri, upijać winem palmowym w sadzie, śmiać tak mocno, że aż kłuło ją w boku. Tęskniła za możliwością spania na własnym materacu.

Tęskniła trochę za Rukhem. A gdy pomyślała o jego wyrazie twarzy, kiedy ostatnim razem rozmawiali, gdy pomyślała o Aśoku i o tym, co człowiek taki jak jej brat był w stanie zrobić z zauroczonym dzieciakiem gotowym dla niego umrzeć...

Ale nie mogła pójść do Rukha. Nie miała żadnej wymówki, żeby znaleźć się w mahalu czy dotknąć choćby cieni dawnego życia.

Ale mogła zrobić coś innego.

Dom na skraju lasu wyglądał dokładnie tak samo jak wtedy, gdy odwiedziła go ostatnio. Uznała to za dziwne, skoro tak wiele innych rzeczy się zmieniło.

Zastukała lekko do drzwi. Czekala.

Uchyliły się nieznacznie i czujny wzrok Gautama skrzyżował się z jej spojrzeniem. Zupełnie nie wyglądał na zmęczonego. W wyrazie jego twarzy kryło się pewne napięcie i groza. Nawet w mroku dostrzegala, że zaciskał dłoń na rękojeści sierpa, który trzymał w gotowości.

– Prijo. Co tu robisz?

– Muszę z tobą porozmawiać. Nie zajmie mi to długo.

– Jest środek nocy, ty głupia kobieto.

Sprawiał wrażenie, jakby zamierzał zatrzaskać jej drzwi przed nosem, więc Prija nachyliła się i wcisnęła ciało pomiędzy drzwi a framugę. Wpatrywała się w niego ze spokojną miną, nawet nie mrugając.

– Gautamie – powiedziała – przysłał mnie mój brat. Wpuść mnie. I opuść sierp.

Jak przypuszczała, zawahał się. A później posłuchał.

Poprowadził ją przez warsztat, a później przez swoje prywatne pokoje na centralny dziedziniec domu. Stamtąd wskazał jej drogę do innego pomieszczenia, zakurzonego i cichego, po czym zamknął za nimi drzwi.

– Jak interesy, Gautamie? Wciąż kwitną?

– Dlaczego cię przysłał?

Pokręciła nieznacznie głową, nie spuszczać z niego wzroku. Wydawał się pocić bardziej obficie pod miarowym ciężarem jej spojrzenia. Przynajmniej tego nauczyła się od Malini: oczy umiały przyszpilać, wiązać i przymuszać równie potężnie jak magia.

– Nie przysłał – odparła. – Od jak dawna wiesz, że mój brat żyje?

Wzrok Gautama stał się twardy jak krzemień.

– Wyjdź.

– Kiedyś się przyjaźniliście – rzekła.

– Nigdy się nie przyjaźniliśmy.

– Byłeś mu coś winien. Albo wiedział na tyle dużo, by wymusić na tobie posłuszeństwo. To wystarczający stopień przyjaźni. A zatem od jak dawna wiedziałeś? – Gdy Gautam wciąż milczał, dodała: – Widziałam się z nim. Nie okłamuj mnie.

Mężczyzna wyglądał, jakby uszło z niego powietrze.

– Wiedziałem cały czas. Nie lubię go, rozumiesz? Ale trudno mu czegokolwiek odmówić. Zna zbyt wielu ludzi. I dobrze płaci. W tych czasach tylko nielicznych na to stać.

– Skradzionymi pieniędzmi.

– Pieniądze to pieniądze – odparł Gautam. – Nie spodziewałem się wykładu na temat etyki od kogoś takiego jak ty.

Zignorowała jego małostkowość.

– A co mój brat kupuje od ciebie za te pieniądze?

Skrzyżował ręce na piersi.

– Skoro wrócił do twojego życia, to powinnaś sama go zapytać. Nie mieszaj mnie ani moich ludzi znowu w wasze sprawy.

– Boisz się – uznała. – Nie musisz zaprzeczać, Gautamie. Zdaję sobie sprawę, jaki jest mój brat. Boisz się, co ci robi, jeśli mi powiesz. Ale nie wie, że tu jestem. A ty na pewno rozumiesz, że branie pieniędzy od niebezpiecznych ludzi zawsze wiąże się z konsekwencjami.

– Nie pouczaj mnie – odrzekł zwięźle. – Jesteś tylko zamiataczką podłóg, szczurzyca. Pewnie też dziwką...

– Przestań gadać – poleciała Prija z nutą złości w głosie. Jednym ruchem wysupłała mu sierp ze spoczonej dłoni i złamała rękojęść.

Gautamowi poruszyła się grdyka. Otworzył szerzej oczy.

– Zapominasz – odezwała się spokojnie Prija – że czymkolwiek jest mój brat, ja również taka jestem. Jeśli boisz się jego, to powinieneś bać się również mnie. Och, zdaję sobie sprawę, że zwykle jestem bardzo miła, i chciałabym wciąż taka być. W końcu kiedyś pozwoliłeś mi spać na swojej wycieraczce i było to uprzejme z twojej strony. Jestem za to wdzięczna. Możesz się odezwać, jeśli masz ochotę.

Wydał z siebie zduszony odgłos. Nic nie powiedział.

– A zatem co od ciebie kupuje? – spytała ponownie.

Gautam pomasaował sobie gardło knykciami.

– Ja... – Odchrząknął. – Zaczął przychodzić niewiele ponad rok temu. Mówił, że potrzebuje zapasów. Kończyło mu się to, co miał. Zwykle lekarstwa do opatrywania ran i na choroby. Ale również...

– Nie krępuj się – ponagliła go niecierpliwie dziewczyna.

– Gdy moja matka jeszcze żyła, regularnie pielgrzymowała na Hiranę – powiedział Gautam. – I płaciła za to innym pielgrzymom. Musisz zrozumieć. Wiedziała, że to niebezpieczne, ale zamoczony w tym chrust niemal uchodzi za święte drewno. I niektórym z jej klientów to wystarczyło. Tobie jednak nigdy czegoś takiego nie sprzedałem, Prijo. Przysięgam.

– Bezśmiertne wody – mruknęła Prija. – Tak myślałam. I gdzie one są?

Nachylił się i uniósł klapę zamaskowaną w podłodze. Poniżej w mrok sięgały schody.

Mężczyzna zdjął lampę ze ściany i zapalił ją sprawnie. Jej przyćmiony blask pomógł im zejść niżej i oświetlił wiszącą na ścianach niewielką, wyraźnie już przetrzebioną kolekcję buteleczek z porządnego, barwionego szkła. Starannie zakorkowane flaszki były wypełnione wodą, która lśniła w migoczącej ciemności stłumioną dziwnością. Prija powoli dotknęła opuszkami palców jednej z nich. Była chłodna, nie rozpalona jak święta maska. Jednak coś w jej sercu – w tej części, którą Aśok zmiażdżył w imadle dłoni – rozpoznało zew zawartości.



– Nie możesz ich wziąć – rzekł Gautam za jej plecami cicho, z desperacją. – Nie możesz. Powiązałem z nim swój los. Obiecałem mu to wszystko. Wszystko, co mi zostało, należy do niego.

– Nie wezmę ich – odparła Prija. Przesunęła palcem po jednej z fiolek. – Ale powinnam je zniszczyć.

– Proszę – powiedział mężczyzna. – Nie. Proszę.

Stuknęła lekko palcem w szkło. Obserwowała, jak buteleczka kołysze się na haku.

– Nazwałeś mnie szcurzycą – rzekła. – Dodałeś też parę innych rzeczy, które zapewne uważasz za niemile.

Milczał.

– Chcę, byś pamiętał, że jeśli tylko nie dasz mi powodu, żebym stała się czymś więcej, pozostanę taka uprzejma, jak teraz. I chcę, żebyś wyświadczył tej zamiatającej podłogi dziwce uprzejmość i podzielił się z nią odrobiną swojej wiedzy. – Obróciła się, by popatrzeć bezpośrednio na niego. – W zamian zostawię to wszystko w spokoju. Mój brat nie musi o niczym wiedzieć.

Gautam odetchnął drżąco z ulgą.

– Czego chcesz się dowiedzieć? – spytał.

– Opowiedz mi o igłokwiecie – poleciła. – Jak konkretnie wpływa na ciało jego długotrwałe przyjmowanie. I jak wyglądają konsekwencje, jeśli się go odstawi.



Ataki zawrotów głowy pogorszyły się po wyjściu Prii. Drgawki wstrząsały ciałem Malini i zdarzały się długie chwile, kiedy nic nie widziała ani nie słyszała, po czym odkrywała, że przybrała inną pozycję. Opierała się o ścianę lub leżała na podłodze, jakby jej ciało nie należało do niej.

Nikt by nie przyszedł, gdyby zawołała. W końcu dopilnowały tego wraz z Priją.

Prii nie było przez godzinę. Dwie. Trzy. Malini zmuszała się do pozostawania na czarpaju; leżała skulona na boku jak małe dziecko, chowając dłonie w zagłębieniu brzucha, zupełnie jakby ciepło skóry mogło je tam zatrzymać.

Być może Prija zginęła, pomyślała księżniczka. Niedorzeczne. Ale czas biegł inaczej, gdy było się więźniem i własne ciało nie chciało słuchać.

Usłyszała za sobą szelest stóp. Uniosła głowę i...

Nikogo tam nie było.

Nie potrafiła zostać na czarpaju, gdy dziwne odgłosy ocierały się o jej uszy. Czuła się odsłonięta i wystraszona, serce skowyczało jej w piersi. Opuściła posłanie, przez chwilę odczuwając zawroty głowy – i przeszła po podłodze. Osunęła się po ścianie.

Szumiało w niej wspomnienie ognia. Zamknęła oczy i słuchała trzasków pękającego drewna i ciała syczącego w płomieniach. Wrzasków. Nie czuła się dobrze. Niedobrze. Nie. Dostrzegła dwa cienie przemierzające podłogę. Obserwowała je. Nieprawdziwe. To nie jest prawdziwe. Nieprawdziwe.



- Moja da... – Prija urwała. – Malini. Wróciłam. Dlaczego siedzisz w kącie?
- Uznałam to za konieczne – wychrypiała księżniczka. Nie poruszyła się, gdy Prija do niej podeszła. Tym razem nie usłyszała kroków, co przynajmniej wydawało się normalne. Prija zawsze poruszała się z dziwnym, cichym wdziękiem. Jej twarz wydawała się boleśnie żywa, ciemna i rzeczywista nad twarzą Malini. – Znalazłaś go?
- Tak – odparła Prija, klękając.
- Zdoła mnie uwolnić?
- Służąca przez chwilę milczała.
- A zatem nie.
- Przekazał dla ciebie wiadomości.
- Mów – rzekła Malini.
- Prija opowiedziała jej. Księżniczkę pocieszało, że jej praca nie poszła na marne. Aditja dysponował wszystkimi narzędziami, które zdołała dla niego przygotować – wszystkim, co było mu potrzebne, żeby zetrzeć Ćandrę w pył. Jednak to nie wystarczało, żeby ją stąd uwolnić: z jej więzienia, z zatrucia, z czarnych śladów ognia na otaczających ją ścianach.
- Czy lord Radżan próbował bezpośrednich negocjacji z generałem Wikramem? – zapytała Malini. – Wikram ma mnóstwo do stracenia w wyniku rządów Ćandry, a więcej do zyskania od Aditji. Mogłaby wyniknąć z tego korzyść.
- Nie wiem – odparła Prija. – Nie przyszło mi do głowy, że powinnam coś takiego zasugerować.
- No tak. Nie mogło przyjść.
- Prija zmarszczyła brwi.
- Nie strosz się tak, Prijo – mruknęła księżniczka. – To moje sprawy, nie twoje. Od zawsze wychowywano mnie pod kątem polityki.

Znała jednak Rao. Doceniał subtelność, bardziej delikatne rozgrywki o władzę. Właśnie dlatego zawsze tak dobrze się dogadywali, właśnie dlatego tak mocno przyjaźnił się z Aditją. Na pewno wpadł na to, by w jakiś sposób skontaktować się z Wikramem. To podejście najwyraźniej nie przyniosło owoców.

– Wkrótce musisz wrócić – powiedziała Malini. – Musisz mu powiedzieć...

Ach. Nie potrafiła sobie przypomnieć, co Prija powinna mu powiedzieć. Odpowiednie słowa wymknęły jej się z umysłu. Drżały jej lekko dłonie.

To przejdzie.

– Musisz to wypić – rzekła Prija. W dłoniach trzymała kubek. Kiedy go przyniosła? Czy z nim weszła? Malini nie miała pojęcia.

– Co to?

– Bardzo, bardzo mała dawka igłokwiatu – wyjaśniła służąca z poważnym wyrazem twarzy. – Udało mi się porozmawiać z uzdrowicielem. Twoje ciało przyzwyczało się do trucizny. Najwyraźniej zbyt raptowne jej odstawienie może zabić równie pewnie jak dalsza konsumpcja. Musimy dać ci jeszcze kilka dawek. Zaledwie kilka. Będę je starannie odmierzać i za każdym razem zmniejszać ilość o połowę. Nawet to nie jest zapewne bezpieczne, ale... to najszybszy sposób, by uwolnić cię od igłokwiatu.

– Ach – mruknęła Malini. Popatrzyła na dłoń Prii, na kubek i zaciśnięte na nim silne palce o wąskich kostkach. – To sporo wyjaśnia.

Wyciągnęła rękę, lecz zaraz ją cofnęła.

– Zabierz to – oznajmiła. – Nie wypiję.

– Dlaczego nie?

– Bo nie chcę.

– Malini – rzekła Prija.

– Nie. Nie tknę tego ponownie. To, co ze mną zrobiło... – Gorycz trucizny na jej języku. Umysł otulony okropną mgłą, duszącym oparem. Żal owijający się wokół niej niczym szepcząca, nieustannie zaciskająca się pętla. – Nie. Nie chcę tego.

– Umrzesz, jeśli tego nie wypijesz – powiedziała bezceremonialnie Prija. – Dotąd tak bardzo mi ufałaś. Teraz również mi zaufaj.

Ufała z konieczności. Ale naprawdę ufała. W końcu powierzyła Prii wiedzę o istnieniu Rao. Tego samego Rao, który dotrzymał obietnicy i czekał na wieści od niej.

– W takim razie nie teraz – rzekła księżniczka. – Jeszcze nie teraz.

– Czemu nie?

Malini spojrzała poza nią.

Za ramionami Prii, w pomieszczeniu falującym, jakby było oglądane przez rozgrzane powietrze, stały dwie postacie. Obserwowały ją. Dym unosił im się z włosów. Ich gwiazdne korony płonęły. Malini spojrzała na nie i wyciągnęła ręce. Pole widzenia znów się jej zakłósało i ogarnął ją mrok.



Narina zawsze była najładniejsza z nich. Długi, wąski nos, wyraźne łuki brwi, które wyskubywała, by stały się jeszcze bardziej strzeliste. Wysokie kości policzkowe, na które nakładała róż. Na modłę ludu swojego ojca czerniła zęby, przez co jej wargi wydawały się jeszcze czerwiejsze.

Stała i wpatrywała się w Malini z osmalonym uśmiechem. Żadnych zębów, jedynie sadza i popiół.

– Tęskniłyśmy za tobą, siostró serca – powiedziała.

– Nie musisz nic mówić – rzekła Alori z czułością. – Wiemy, że ty za nami też tęskniłaś.

Czas mijał. Przemykał. Jednak Malini wciąż siedziała na podłodze, a Prija potrząsała nią, by ją obudzić, gdy te dwie zjawy przesuwały się po pokoju niczym miraż barwnego dymu, czerwony jedwab przelewał się i połyskiwał, gwiazdy w ich włosach lśniły niczym rozżarzone węgle.

– Malini. Malini!

Och, ależ bolała ją głowa.

– Jeśli to jakiś fortel mający pomóc ci w ucieczce, to jest niebezpieczny – rzekła Prija. Drżał jej głos. – Pramila nie śpi. Zdołałam odwrócić jej uwagę, ale... proszę cię. Musisz to wypić. Proszę.

– Jak się miewa moja matka? – zapytała Narina. Przekrzywiła głowę na bok z trzaskiem pękającego chrustu. – Nie mów, wiem. Nie muszę nawet zgadywać. Skręciła się w sploty żałoby z mojego powodu. Obwinia cię o wszystko. To lepiej, niż obwiniać cesarza. Albo samą siebie.

Alori nic nie mówiła. Spoglądała na Malini oczyma niczym smutne jamy, głębokie i ciemne.

– Moja matka nigdy ci nie wybaczy – mruknęła Narina. – Mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę.

– Oczywiście, że tak.

– Co? – spytała zdezorientowana Prija. Zaniepokojona. – Nie rozumiem.

– Czy ona uważa, że jestem teraz nieśmiertelna? Stałam się matką płomienia? Ty tak uważasz?

– Nie wiem już, w co wierzyć – przyznała szczerze księżniczka. Klęcząc przed nią, Prija spuściła głowę i zakłęła.

Prija.

Kiedy Prija rozmawiała z Pramilą? Od jak dawna Malini siedziała na podłodze i wpatrywała się w kotłujący się powoli opar martwego uśmiechu Nariny?

– Po prostu wypij – wyszeptła Prija z lękiem. – Proszę.

Malini pokręciła głową. Nagle, ohydnie się zakołysawszy, Narina i Alori znalazły się przy niej, przed nią.

– Czy pamiętasz, jak obie ścięłyśmy sobie włosy po tym, jak brat obciął twoje? Użyłyśmy srebrnych nożyc i skróciłyśmy swoje jeszcze bardziej. Moja matka była wściekła – oznajmiła Narina. – Powiedziała: „Czym jesteś bez swojej chwalebnej korony?”. Ale teraz noszę koronę ognia i zostały ze mnie chrząstki oraz pył, więc chyba nie ma to już znaczenia.

– Straciłaś tak wiele – rzekła Alori z nieskończoną łagodnością, nieskończonym smutkiem, gdy jej palce delikatnie niczym pajęczyna muskały czoło Malini. A Malini... nie poczuła niczego.

Ponieważ nie było ich tutaj.

– Twoje przepiękne jedwabie. Twoje klejnoty. Sieć sojuszników. Przyjaciół. Władza. Wszystko przepadło. A kim jesteś bez nich?

– Jesteś okrutna – mruknęła Malini. – A nigdy taka nie byłaś, bezimienna księżniczko.

– Czym jest twoje imię pod tymi wszystkimi wytwornościami, które straciłaś? – wyszeptła Alori. – Jak nazwali cię bezimienni w dniu, w którym się urodziłaś?

– To twoja wiara, nie moja – odparła Malini.

– Ale wcale nie staje się przez to mniej prawdziwa – powiedziała Alori. – Wierz w to albo nie, ale los cię odnajdzie. Tak samo jak odnalazł mnie. Zostałaś nazwana na długo przed swoim urodzeniem, księżniczko. Twoja opowieść została zapisana.

Czy zostało zapisane, że Malini przeżyje, podczas gdy Narina i Alori spłoną? Czy zostało zapisane, że przeżyje i zostanie sprowadzona do takiego stanu? Tak ciężko pracowała, by stworzyć sobie nieprzeniknioną zbroję potęgi. Zapoznawała się z klasycznymi tekstami na temat wojny, władzy i polityki, czytała przy blasku księżyca, podczas

gdy wszyscy w mahalu spali. Zadzierzgiwała przyjaźnie z żonami królów i siostrami księżąt.

– A teraz nie masz niczego – rzekła Narina głosem pełnym żywicy i popiołu. – Nawet nas.

Nie ma swoich sióstr serca. Nie ma do kogo się zwrócić.

– Mam Priję – wykrztusiła i przez spowijający ją tuman usłyszała napór głosu na uszy: *Tak, tak, jestem tutaj, proszę...*

Śmiech.

– Służącą o potwornych darach, która nawet szczególnie cię nie lubi?

– Och, przecież mnie lubi.

– Polubiła fałszywą ciebie. – Łagodny głos. – Tę ciebie, którą sama dla niej stworzyłaś. Uformowałaś się w coś ciepłego i skrzywdzonego, niczym tłusty zajęc schwytyany w potrzask. Chyba nie wiedziała, czy chce cię uratować, czy pochłonać w całości. Ale przecież nie jesteś zajęcem, prawda? Jeśli już, to jesteś nocnym kwiatem, cennym tylko przez krótką chwilę, zanim zwiędnie.

Nie był to głos Alori ani Nariny. Zafalowały i...

To była... ona sama. Księżniczka Malini, córka Paridżatu, ukoronowana obfitością kwiatów, jasnych jaśminów przechodzących w nagietki, na podobieństwo wschodzącego słońca. Księżniczka Malini w sari z jedwabiu o barwie pawiej zieleni, z wieńcem z zaplecionych złotych róż wokół talii, ze sznurem nabrzmiałych pereł wokół gardła.

Była wszystkim, czym Malini już nie była. I uśmiechała się.

– Ty – powiedziała chrapliwie – też nie jesteś prawdziwa.

Wydawało się łatwo – łatwo i słusznie – odsunąć dawną siebie, odepchnąć ją, a następnie stłuc pięściami, gdy coś brzydkiego i rozwścieczonego wdzierało się jej do płuc, oczu i ust na myśl o Narinie i Alori zwiniętych wraz z nią w jej łóżku albo o pogrzebie jej matki, albo ojca, albo o Aditji porzucającym ją jedynie z listem i pocałunkiem w czoło. Brzydota narosła w skowyt i teraz Malini wrzeszczała i śmiała się, choć Prija uciszała ją i ścisła jej pięści, marszcząc z niepokojem brwi, to z Priją szarpała się cały czas...

– Co tu się dzieje?

Głos Pramili.

– Nie wiem, moja pani. Po prostu... zaatakowała mnie. – Prija mówiła rozgorączkowanym głosem. Ścisła dłonie Malini, unieruchamiała je.

– Potrzebuje lekarstwa – rzekła Pramila. – Masz je? Daj mi je i...

Malini roześmiała się. I śmiała. Ledwo była w stanie oddychać przez śmiech, ale zmuszała się do tego, obnażała zęby w uśmiechu, myślała o Narinie.

– Twoja córka – rzekła do Pramili. – Twoja Narina, którą wciąż oplakujesz... w poranek jej śmierci... czy wiedziałas? Gdy wypła wino z opium i czekała, aż kapłani po nas przyjdą, przycisnęła głowę do mojego ramienia i powiedziała mi: „Chcę zobaczyć matkę”. Czy wiedziałas, że to powiedziała? Nie mam pojęcia, czy kiedyś ci mówiłam. Chyba chciałam ci tego oszczędzić. Nawet nie wiem dlaczego.

Pramila wzdrygnęła się całym ciałem, zupełnie jakby Malini ją uderzyła. Czy ją uderzyła? Pramila oparła dłoń o ścianę. Czy płakała?

– Powinam wezwać straż – mruknęła kobieta. – Powinam... mogą ją zmusić, by wypła, sprawdzę, czy nie...

– Moja damo...

– Nie zasługuję na to – łkała Pramila. – Ja...

– Ja ją zmuszę do wypicia – mówiła Prija. – Przysięgam. Poradzę sobie z nią. Proszę, damo Pramilo.

– Nie mogę. Nie mogę. Nie...

– Proszę, damo Pramilo – błagała Prija. – Proszę, oszczędź sobie tego.

Kobieta zaszlochała raz jeszcze. Skinęła głową. Miała spuchniętą, brzydką twarz. Obróciła się. Wyszła.

Prija odetchnęła, a Malini chwyciła ją za ręce, gdy jej ciało zadrżało wbrew jej woli.

– Musisz wypić, i to natychmiast – rzekła Prija. – Jak sama widziałas, mogę cię do tego zmusić, jeśli będzie trzeba.

Malini obróciła głowę.

– Nie jesteś sobą – powiedziała Prija łagodnie.

– Nie jesteś pierwszą, która mi to dziś mówi.

– Co?

– Mam halucynacje – odparła niecierpliwie Malini. – Nadażaj, Prijo.

Nie chciała wyjaśniać, że gdy Narina i Alori pojawiły się wcześniej, musiała z nimi porozmawiać. Nie uważała za ważne, czy były nieśmiertelne albo stanowiły zwidy. Liczyło się tylko to – ich strata była bolesna i dotkliwa, ona zaś miała ochotę grzebać w ranie, znów czuć ich świeży krew.

– Musisz powiedzieć Rao, żeby wyjechał – zamiast tego rzuciła nagląco Malini. – Każ mu wyjechać. Powiedz mu, że Aditja go potrzebuje.

– Rao – powtórzyła Prija. Jej usta ostrożnie uformowały to imię. – Oczywiście.

– To nie jest jego imię – rzekła Malini. – Żadne z nich nie ma imion. Jedynie określenia dla reszty z nas, by przypiąć ich niczym tkaninę przed szyciem. Rozumiesz?

– Ani trochę – przyznała Prija.

– Alorska rodzina królewska – wyjaśniła Malini. – Czczą bezimiennego boga. Utrzymują swoje imiona w tajemnicy. Szepczą je. Ponieważ ich imiona oznaczają ich los. Ja tylko... Teraz ufam tylko jemu. I chcę, by wynikało z tego coś dobrego. Nie zdoła mnie stąd wyciągnąć. Wie to. Ja też to wiem. Jego obecność tutaj na nic się nie zda. Ale jeśli pojedzie do Aditji... Jeśli mogę zakosztować choćby odrobiny zemsty...

Ogień wpełzł jej po języku.

Przed jej oczyma płonął stos. Stał przed nią Ćandra. Czyjeś dłonie ciągnęły ją ku płomieniom. Żadna z jej starannie dobranych, ciętych kwestii nie zadziałała. Wszyscy ci książęta i królowie będą patrzyli, jak płonie. Tak wielu z nich było sojusznikami, których przeciągnęła na swoją stronę pięknymi słówkami, umowami i, owszem, pieniędzmi. Wyciągnęła rękę do Ćandry, szarpała się zaciekle. Jeśli muszę spłonąć, to zabiorę ze sobą ciebie i twój tron.

Ale to nie był Ćandra. Tylko Prija leżąca pod nią na kamiennej podłodze, przyszpilona rękoma Malini, spoglądająca na nią tymi klarownymi oczyma, otoczonymi rzęsami bardziej brązowymi niż czarnymi. Na tle jej ciemnej skóry wyglądały niczym złoto.

Absurdalna myśl, jednak na powrót sprowadziła Malini do jej ciała. Zwiotczała, a Prija chwyciła ją i przytrzymała mocno.

– Cicho – powiedziała Prija. – Inaczej Pramila cię usłyszy.

Czy Malini robiła hałas? Nie zdawała sobie z tego sprawy. Zagryzła zęby, opuściła głowę.

– Pozwoliłaś mi się trzymać, choć bez żadnego wysiłku mogłaś mnie powalić na ziemię.

– Nie chcę cię skrzywdzić – rzekła Prija spokojnym, pewnym głosem. Mówiła to już, Malini pamiętała. Dawno temu.

– A dlaczego nie? – dopytywała się księżniczka.

– Ponieważ łączy nas umowa.

– Ach nie. Nie. To nie dlatego.

Zwiotczała jeszcze nieco bardziej i przebiegł przez nią spazm bólu. Zjawy. Płomień. Pajęczynowe duchy Nariny i Alori tańczące wokół niej.

– Malini. Księżniczko. Daj spokój, proszę. Pozwól, że pomogę ci wrócić do łóżka.

Malini pozwoliła się przesunąć. Prija podniosła ją jak dziecko i ułożyła na czarpaju.

– Troszczysz się – rzekła Malini. – Troszczysz się o mnie. Nie podoba ci się, że tak bardzo cię potrzebuję i że próbowałam ci dać to, czego ode mnie potrzebujesz... Co sama sądziłam, że ode mnie potrzebujesz... By dostać to, czego sama potrzebowałam od ciebie. A mimo to troszczysz się. Nie okłamuj mnie i nie przekonuj mnie, że wcale nie. Widzę to na twojej twarzy.

– Nie wiesz, co widzisz – mruknęła Prija. Jej czoło przecięła zmarszczka.

– Dobrze wiem, co widzę – odpowiedziała Malini. – Ale nie rozumiem dlaczego. Och, mogłam zrozumieć, gdy sądziłaś, że jestem delikatna i ranna. Ale teraz, gdy już wiesz, że cię okłamywałam i wykorzystywałam, gdy już wiesz, że jestem zdrajczynią, nieczystą, że mam twarde serce, że jestem cesarstwem, a cesarstwo jest mną...

– Nie wiem – odparła Prija głosem niczym smagnięcie bicia. – Nie wiem, dlaczego się troszczę, czy to wystarczy? Może po prostu nie jestem na tyle potworna, bym lubiła patrzeć, jak inna istota ludzka cierpi, nieważne, jak twarde ma serce.

– Szczerza dobroć serca nie ma ze mną nic wspólnego – powiedziała powoli Malini. Słowa wypływały z niej wolno i gęsto niczym miód. – Nie jestem pewna, czy wierzę, że ktokolwiek taki istnieje. Wszyscy czegoś chcą. Na tym polega przetrwanie, na tym polega władza.

– Zatem twoje dotychczasowe życie było okropne i smutne – odrzekła bez ogródek Prija.

– Wcale nie. Mam wszystko, czego potrzebuję. – Lojalnych przyjaciół. Lojalnych sojuszników. – Kiedyś miałam wszystko. Kiedyś...

Urwała.

Cisza. Przez jedno uderzenie serce, potem przez następne. Później Prija powiedziała:

– Nie dowodzisz swojej siły, odmawiając igłokwiatu.

– Potrafię z nim walczyć – rzuciła słabo Malini.

Prija dotknęła jej dłoni. Miała szorstkie palce, ale niezwykle miękkie dotyk.

– Nie sądzę, byś potrafiła – rzekła Prija. – Raczej nikt nie potrafi.

– Wszystkie ciała cierpią i umierają tak samo, czy ci się to podoba, czy nie – oznajmiła pomocnie Alori.

– Nie ma cię tu, więc się zamknij – ucięła Malini.

– Widzę, że wciąż jesteś niemiła – odparła Alori i westchnęła przesadnie.

– Nie może się powstrzymać – powiedziała Narina.

– Nawet w moim umyśle jesteście dla mnie okropne – rzekła Malini. Bolały ją oczy. – Jeśli wam powiem, że za wami tęsknię... cóż. Obie wiedziałyście to, gdy żyłyście. A teraz nie ma to znaczenia dla nikogo oprócz mnie. Zatem nie powiem.

– Malini. – Prija splotła z nią palce. – Proszę. Skup się na mnie. Igłokwiat. Wypijesz go?

Prija. Prija pochylająca się nad nią. Prija ściskająca jej dłoń, próbująca wciągnąć ją z powrotem w stabilny świat.

Włosy Prii były tak bardzo proste, tak ciemne, gdy spływały po krzywiznie jej ucha. Dziwne. Nie była ładna, nie, ale jej części były ładne. Jej części.

– Na tak wiele sposobów mogłabym cię przekonać, żebyś mnie uwolniła. – Mroczne myśli, jasne myśli, niczym błysk cienia na skórze. – Chciałabym dysponować siłą, by móc użyć cię tak, jak potrzebuję, żeby stąd uciec – powiedziała Malini. – A jednak mimo wszystko się cieszę, że nie potrafię.

Prija jedynie spoglądała na nią, nawet nie drgnęła.

– Proszę – rzekła. – Wypij.

I wreszcie Malini wzięła niewielki łyżeczek. Zmusiła się do przełknięcia gorzkiej słodyczy. A później zapadła z powrotem w mroczny letarg, wciąż spleciona z Priją palcami.

Pierwszej nocy nie odeszła od Malini. Starannie odmierzyła tynkturę z igłokwiatu i modliła się, by nie popełnić błędu, by nie okazało się, że Gautam wprowadził ją w błąd, by Malini przeżyła. Od poprzedniej dawki, kiedy księżniczka przycisnęła Priję do podłogi i wpadła w szal, Malini zachowywała całkowite milczenie i nie otwierała oczu. Gdyby Prija nie przykładła jej dłoni do ust, żeby przekonać się, czy oddycha, albo nie sprawdzała jej pulsu na nadgarstku – a robiła to raz za razem – mogłaby uznać, że Malini zmarła.

Siedziała przy księżniczce na plecionym czarpaju i namawiała ją, by wypila mieszanekę z igłokwiatem, przekonywała ją do otwarcia ust. Oparła sobie Malini na kolanach i napoiła ją nierozcieńczoną tynkturą, bez dodatku wina, żeby było jej łatwiej.

– Wyjdiesz z tego – powiedziała, gdy Malini zakaszłała i przyłożyła głowę do ręki Prii, wciąż nie otwierając oczu.

Przesunęła dłonią po włosach księżniczki, jakby była ona dzieckiem łatwo uspokajającym się pod łagodnym dotykiem.

– Będzie dobrze.

Miała nadzieję, że to nie kłamstwo.

Prija przysypiała i wybudzała się z wyczerpujących snów. Gdy mrugała po otwarciu oczu, przechodząc od snu do jawy, płaskorzeźby

wydawały się tańczyć na ścianach pod jej wzrokiem, otaczały ją nieprzerwanym kręgiem. Hirana pulsowała pod jej stopami. Zaś Malini dalej spała, oddychając ciepło i miarowo u jej boku.

Następnego dnia księżniczka wciąż żyła, ale nadal spała, nic nie jadła, a wodę i igłokwiat przyjmowała tylko wtedy, gdy udawało się ją przekonać. Kolejnej nocy Prija znów ją tuliła, obserwując wznoszącą się i opadającą pierś Malini.

Pozwólcie jej żyć, myślała Prija. Nie dajcie mi się obudzić i stwierdzić, że jest zimna. Pozwólcie jej żyć.

Pragnienie, by Malini żyła, było po prostu ludzkie, po prostu naturalne. Nic więcej.

Ujęła dłoń księżniczki i trzymała ją mocno.

– Nigdy się nie zemścisz, jeśli nie przeżyjesz – rzekła Prija do Malini. – Jeśli mnie słyszysz, nie zapominaj o tym.

Dopiero następnego dnia, w środku burzy, księżniczka wreszcie się obudziła. Wypiła odrobinę wody. Wyciągnęła dłoń i znów spłótła palce z palcami Prii.

– Powiedz Rao – wyszeptwała, gdy Prija spytała ją, jak się czuje, gdy próbowała przekonać ją, by coś zjadła, by więcej odpoczęła, by wzięła kolejną starannie odmierzoną dawkę. – Powiedz mu, żeby wyjechał.

Wtedy znowu zasnęła. Jej palce dotykające Prii były chłodne.



Prija ponownie podtruła Pramilę. Najpierw z niepokojem krążyła po triwieni, czekając na odpowiednią chwilę, a później zeszła po Hiranie w mroku nocy.

Ludzie regenta prowadzili patrole w znaczącej, onieśmielającej liczbie. Jednak nocne bazyry mimo to tętniły ludźmi, którzy kręcili się z upartą radością wśród stoisk z jedzeniem, mówili głośno, uśmiechali się butnie. Pomiędzy domami porozwieszano barwne transparenty. Na każdej werandzie umieszczono latarnie, jeszcze nie zapalone.

Prija, zdezorientowana tym harmidrem, dopiero po chwili przypomniała sobie, że następnej nocy odbędzie się festiwal ciemnego księżyca, kiedy to domostwa przekazują szczodre podarunki dla ubogich, kiedy je się złote dżalebi i mleczne słodycze, kiedy ustawia się dziesiątki latarni na gankach, by rozświetlić mrok. Potrzebowała jeszcze więcej

czasu, żeby po słyszanych dookoła plotkach domyślić się, że regent wydał wyraźne pozwolenie, aby festiwal przebiegał w normalny sposób. Nikt nie wydawał się wiedzieć, dlaczego właściwie tak zdecydował, ale gdy szła ulicami, tu i owdzie dobiegały ją pomruki niezadowolenia z powodu tego, co w mieście zrobili paridżatdwipańscy żołnierze. I rzeczywiście, dostrzegła kilka budynków o wyraźnie zniszczonych drewnianych szkieletach, do tej pory nie naprawiono w nich szkód.

Zdołała w miarę łatwo wejść do Pałacu Iluzji. Wystarczyło, że podeszła odpowiednio pewnym krokiem do wejścia dla służby z miotłą w dłoni – skradzioną z ganku pechowego domu – i niezainteresowani strażnicy ją wpuścili. Później była już po prostu kolejną niezauważalną służącą przemykającą korytarzami przy akompaniamencie grających w oddali sitarów i kobiet nucących miłosne pieśni.

Lord Radżan – bądź też Rao, bezimienny książę czy jak tam chciała nazywać go Malini – wyszedł jej na spotkanie. Poprosiła jednego z jego ludzi, by go powiadomił – uznała, że to wartownicy, ponieważ palili i snuli się pod jego drzwiami ze znacznie większym spokojem niż jacykolwiek inni zbrojni, których widywała wcześniej – a on pojawił się, obciążając kurtę, jakby właśnie wygrzebał się z łóżka.

– O co chodzi? Co mówiła?

Prija opowiedziała mu. Pod koniec spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– Nie mogę jej tak po prostu zostawić.

– Właśnie tego od ciebie oczekuje. Mówi, że potrzebuje cię Aditja.

Rao przyjrzał się jej, objął wzrokiem jej oblicze, zupełnie jakby potrafił odczytać coś w wyrazie jej twarzy, w zmarszczonych brwiach i skrzywieniu ust.

– Tak – rzekł w końcu. – Zgadza się. Ale potrzebuje też jej. Aditja jest... inny niż ona.

Nie wiedziała, czego oczekiwać po człowieku mieszkającym w burdelu. Ale Rao był jak jelonek: o łagodnych oczach, lecz niepozbowiony instynktownego sprytu.

– Mówiłam ci, że jest chora – powiedziała Prija. – Prawdę mówiąc... bałam się, że umrze. I wciąż nie jestem pewna, czy z tego wyjdzie. Nie zdoła ci pomóc. Nie ma dość siły, żeby uciec. I w więzieniu nie ma nikogo, komu mogłaby zaufać, oprócz mnie.

Mogłabym pomóc jej w ucieczce, pomyślała Prija, gdy Rao nieco zrzędał mina i uniósł dłoń do czoła. Mogłabym przyprowadzić ją tu, do tego mężczyzny. Nie byłoby łatwo sprowadzić ją z Hirany, nie w jej stanie.

Ale zdołałabym to zrobić. Może – na pewno – byłaby wtedy bezpieczniejsza.

Ale Prija przede wszystkim nie była lojalna wobec Malini. Była lojalna wobec siebie, wobec Bhumiki i wobec Ahiranji.

Rao poruszył grdyką.

– Jesteś pewna?

– Na tyle pewna, na ile to możliwe.

– Nie mogę jej zostawić i zaryzykować, że umrze tu sama – powiedział.

– Nie jest sama – odparła Prija. – Ma mnie.

Księżę skłonił głowę.

– To nie wystarczy.

– To więcej, niż może liczyć większość ludzi. Ale... obiecuję, jeśli to w ogóle coś warte, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, by utrzymać ją przy życiu. Wykorzystam wszystko, czym dysponuję, żeby pomóc jej przetrwać, aż ty albo twój księżę po nią wrócicie.

Nie powinna była składać tak poważnej obietnicy. Nie chciała z jej powodu wiązać się z Malini tak silnymi emocjami i takim długiem, ale czy mogła ją teraz zostawić – po tym, jak przez dwie noce obserwowała ją we śnie, przerażona, że księżniczka może w każdej chwili umrzeć?

– Spełniłam obowiązek, rozmawiając z tobą – rzekła. – Ale teraz muszę do niej wrócić. Mój lordzie. – Skłoniła głowę.

Nic nie odpowiedział.

Prem siedział sam, pomimo gorąca owinięty obszerną chustą, z otwartą karafką wina w dłoniach. Z wyrazem zadumy na twarzy pił bezpośrednio z naczynia.

– Konie są gotowe – oznajmił. – Moi ludzie organizują zapasy. Próbowałem spotkać się z generałem Wikramem, żeby się z nim pożegnać, ale, dzięki niech będą matkom, chwilowo nie przyjmuje gości. Napijesz się ze mną?

Rao oparł się o ścianę.

– Księżniczka Malini może być umierająca – powiedział. Więcej nie był w stanie z siebie wykrztusić.

Prem najpierw otworzył szerzej oczy, po czym przymknął je w wyrazie zrozumienia.

– Tamta służąca przyszła od niej – rzekł. – Mogłem się domyślić, że dziewczyna jest jedną z jej pajaków. Na bogów, ta kobieta potrafi dobierać ludzi, nie sądzisz? – Prem obrócił się i z trzaskiem odstawił wino. Pociągnął się za kołnierz tuniki. – Co zamierzasz zrobić?

– Chcę ją ocalić – odparł Rao. – Ale wiem, że to niemożliwe. Zresztą ona sama już tego od nas nie oczekuje.

– Dobrze. Ja też tego nie oczekuję. – Gdy Rao popatrzył na niego z niedowierzaniem, Prem pokręcił głową. – Nie patrz tak na mnie. Wiesz,

że nie da się jej wyciągnąć w łatwy sposób. I choć na dworze była dzielna, choć tak doskonale działała na rzecz sprawy cesarza Aditji, nie jest już... kluczowa.

– Doprawdy? – mruknął Rao.

– Aditja wróci po nią, Rao. Gdy wojna zostanie wygrana.

– Nie wróci, jeśli ona umrze.

– Wówczas zostanie zapamiętana po złożonych przez nią ofiarach, a cesarz Aditja ją uhonoruje – oznajmił stanowczo Prem. – Śmierć czeka nas wszystkich, Rao. W przypadku niektórych z nas będzie ona dobra, w przypadku innych nie. Przynajmniej nie zginie w płomieniach.

– Jak moja siostra.

Prem nie wzdrygnął się na te słowa, jedynie skinął głową i napił się.

– Jak twoja siostra, owszem. – Znów wypił łyk i westchnął. – Ach, przepraszam cię, Rao. Nie jestem dobrym towarzyszem.

– W porządku.

Choć wcale nie było w porządku.

– Przykro mi z powodu twojej straty. Naprawdę. Ale... – Prem pokręcił głową. – Straciliśmy już tak wiele, a nasz zamach stanu nawet się tak naprawdę nie zaczął. Ale tak to bywa, prawda? Usunięcie despoty ze stanowiska ma swoją cenę. Po prostu nieszczególnie mam ochotę ją płacić.

Ckliwy komentarz ze strony pogodnego zwykle księcia. Rao czekał, przez chwilę zastygły w bezruchu, gdy Prem się w niego wpatrywał.

– Nie możesz wiecznie usychać z tęsknoty – rzekł wreszcie Prem. – I tak nigdy nie była ci pisana.

Rao musiał powstrzymać śmiech. Prem zupełnie nic nie rozumiał. Nie miał pojęcia, kim była dla niego Malini. Nie wiedział, co wyszeptano mu dawno temu, jaki sekret należał wyłącznie do niego w mroku.

– Przykro mi – powiedział, wstając. – Byłem głupcem. Ja... – Obrócił się. – Za chwilę wrócę.

– Rao...

– Za chwilę! – zawołał i wypadł przez drzwi.



Znalezienie pokojówki wydawało się niewykonalne. W mroku tłocznej nocy, na ulicy, która nigdy nie zasypiała, powinno być niemożliwe. Ale gdy

wybiegł z domu rozkoszy, dostrzegł jej cień, kształt jej barków i bladość jej sari, kiedy przemieszczała się pomiędzy oświetlonymi straganami. Zrównał się z nią.

– Zaczekaj – wydyszał.

Obróciła się szybkim łukiem i zauważył, że zaciska pięść. Trzymała w niej nóż, paskudne kuchenne ostrze. Miała na tyle rozsądku, by nim nie wywijać. Ścisnęła go u boku, trzymając rękę pod kątem, zupełnie jakby była gotowa w razie potrzeby wypatroszyć intruza. Miała surowy wyraz twarzy, który nieznacznie odtajał, gdy uświadomiła sobie, kogo ma przed sobą.

– Czego chcesz?

– Przekazać ci wiadomość.

– Już mi ją przekazałeś. Ja przekazałam ci jej wiadomość. O co więcej chodzi?

– Tylko o jedno. Powiedz jej, że będę przy wejściu na Ścieżkę Poszukiwacza – oznajmił. – Zaczekamy na nią przy grobowcu.

– Przy Altanie Kości – poprawiła go służąca. – Tak to nazywamy.

– Altanie Kości – zgodził się. – Powiedz jej, że będę czekał aż do zakończenia festiwalu ciemnego księżycy. Jeśli zdoła uciec, zabierzemy ją ze sobą. Jeśli pośle wieści, spróbujemy po nią przyjść. Ja spróbuję po nią przyjść.

– Nie chciałaby tego – odparła pokojówka z napięciem.

– Wiem – rzekł Rao. – Ale... ona może ocenić ryzyko i zmienić zdanie. Chcę, żeby miała wybór. – Po krótkiej chwili dodał z zenującym sentymentalizmem: – Jeśli umiera, może zechcieć, by zatroszczyli się o nią bliscy.

– Bardziej, niż chciałaby, żeby jej sprawa zwyciężyła? – Służąca roześmiała się. – Nie znasz jej tak dobrze, jak ci się wydaje, mój lordzie.

– Znam ją tak dobrze, jak potrzebuję.

Nie mógł jej powiedzieć, że w głębi serca wiedział, iż Malini przeżyje. Takie rzeczy nie były przeznaczone dla obcych. Nie mógł zdradzić jej tajemnic bezimiennych, żyjącej w jego krwi wyszeptanej odpowiedzi, która mówiła mu więcej o Malini, niż wiedziała nawet sama księżniczka.

– Powiedz jej to – rzekł. – O nic więcej nie proszę.

Gdy służąca zniknęła, znacznie wolniejszym krokiem wrócił do domu rozkoszy. Bolało go w boku. Prem zniknął. Niewątpliwie po to, żeby zorganizować swoich ludzi albo odespać alkohol.



Lata znalazła go, gdy siedział na schodkach tarasu w ich niedorzecznym pokoju.

– Już zbyt długo zwlekasz – powiedziała w panującej ciszy. – Pora jechać do Aditji. Czeka na ciebie.

– Gdy byłem ranny, słowami poety zapytałaś mnie, co chcę robić.

– Nie możesz robić tego, co chcesz – rzekła Lata. – Prawda?

– Nie mogę. – Pokręcił głową.

Wpatrywała się w niego z zupełnym spokojem. Zanim Malini wypadła z łask, Lata nominalnie była służącą w cesarskim mahalu. Jednak tak naprawdę była uczennicą myślicielki, która uczyła Malini, Alori oraz Narinę jako dzieci. Na tyle, na ile to możliwe, знаła tajniki dziwnych brzemion bezimiennej wiary: ich radości, ich wymagania. Ich koszt.

– Lato – odezwał się – dlaczego nigdy nie nazywasz mnie Rao?

Przyjrzała mu się uważnie. Następnie przeszła przez pomieszczenie i usiadła obok niego.

– Może nie jestem kapłanką, ale jestem myślicielką – powiedziała w końcu. – Rozumiem znaczenie, jakie przykładacie do imion. I wiem, że tak naprawdę nie masz na imię Rao. Wiem, że trzymacie się najstarszych zwyczajów i płacicie wiążącą się z nimi cenę. Nie muszę nazywać cię przydomkiem. Czczę imię, które wyszeptano przy twoich narodzinach.

– Znasz je?

Pokręciła głową.

– Skąd miałabym je znać?

– Moja siostra je znała – odparł. – Podała mi swoje tuż przed śmiercią. A ja... podałem jej swoje.

– Miałam okazję rozmawiać z księżniczką tuż przed wejściem na stos – powiedziała cicho Lata. – I tak by mi go nie zdradziła. Rozumiem, że przekazanie go jest czymś... znaczącym. Wyjątkowym.

Rao skinął głową.

– Gdy twoje imię stanowi przepowiednię, rozsądnie jest utrzymywać je w sekrecie. Tak przynajmniej zawsze mnie uczono. Wymawiamy je tylko wtedy, gdy nadchodzi odpowiednia pora. Gdy przepowiednia zbliża się do spełnienia. Gdy nasz głos ma cel.

Znał opowieść o tym, jak nadano mu imię. Jak to matka i ojciec zanieśli go do ogrodu świątynnego w Alorze, przyjemnej i żyznej doliny

pełnej drzew, z których zwisały klejnoty nanizane na nici. Jak kapłan odziany w błękit zabrał Rao do klasztoru i wyszukał jego imię w niezgłębionym mroku boga. Rao wrócił do tego ogrodu w wieku pięciu lat i otrzymał dar w postaci swojego imienia. Nosił go od tamtego czasu – ciężar jego ostrych spółgłosek i miękkich samogłosek. Ciężar towarzyszącej mu obietnicy.

– Alori... – Przełknął ślinę. – Moja siostra. Jej prawdziwe imię brzmiało... Staroalorski jest trudny do przetłumaczenia, ale oznaczało „Ta, która spłonie na stosie”. I tak się stało.

– Imię związane ze śmiercią to straszliwe brzemię – powiedziała Lata z tak mądrym współczuciem, że nie ośmielił się na nią spojrzeć.

– Była silna. Poradziła sobie z tym... dobrze. – Lepiej, niż poradziłyby sobie sam Rao. – Moje imię nie przepowiada śmierci. Moje imię...

– Możesz mi je podać, jeśli chcesz – rzekła łagodnie Lata. – Albo nie.

Podniósł wzrok w nicość. Pomyślał o swojej siostrze, o jej milczeniu i przebiegłości, o tym, jak dotknęła czołem jego ramienia i powiedziała mu: „Nie płacz, proszę. Nic mi nie jest. Przez całe życie wiedziałam, że pewnego dnia spłonę”.

– Nie – odparł. – To nie jest słuszna pora. Wiem to.

Wstał, krzywiąc się lekko, gdy naciągnął ranę w boku.

– Ale jest to słuszna pora, żebym rozpoczął podróż do Srugny. Zrobiłem tu wszystko, co mogłem. Los księżniczki Malini nie jest już w moich rękach.

Wspinała się na Hiranę z zamkniętymi oczami. Wiatr żądlął ją w policzki, szarpał jej włosami. W pewnym momencie zatrzymała się, przycisnęła głowę do kamienia, zakleszczyła stopę w szczelinie pełnej żwiru oraz mchu i użyła uwolnionych dłoni, by luźno zapleść sobie włosy.

Znacznie lepiej.

Co by powiedziała Bhumika, gdyby mnie teraz zobaczyła? – pomyślała Prija z niemalym rozbawieniem. Balansującą na śmiertelnej pułapce, podpierającą się jedynie moją upartą głową? Być może wykorzystałaby okazję, by na nią nawrzeszczeć.

Gdy weszła do Hirany – prześlizgnąwszy się przez ciche korytarze, przez cienie rzucane przez dogasające lampy – zajrzała do Malini.

Księżniczka spała. Na jej policzkach pojawił się kolor, jej ciało wydawało się spokojniejsze. Zaś mała dawka igłokwiatu, którą zostawiła jej Prija, została wzięta.

Może mimo wszystko przeżyje.

Prija opuściła głowę na splot czarpaju przy Malini. Słuchała jej oddechu, jego miarowego, uspokajającego rytmu.

Później weszła do sangamu.

Unikała tego dłużej, niż powinna. Na myśl, że miałyby znowu zobaczyć się z Aśokiem, jej pierś zapłonęła echem bólu, wspomnieniem zdrady. Najbardziej przerażał ją jednak fałszywie uprzejmy sposób, w jaki na nią patrzył i z nią rozmawiał, zanim rzuciła się pod kosmiczne wody i wróciła do ciała.

Skrzywdził ją z miłości. W ich rodzinie w taki sposób działała siła. Otworzyła usta. Zawołała Bhumikę w bezdennym splocie wód. Gdy wzywała Aśoka, wyła, lecz to było coś cichszego. Skinięcie.

I Bhumika przybyła. Wzniosła się, cień rozwinął się z wody.

– Mów – powiedziała krótko.

Prija opowiedziała Bhumice wszystko tak zwięźle, jak umiała. Mówiła o pakcie z Malini, o spotkaniu z jednym z sojuszników księżniczki, o wysiłkach Malini, by zastąpić cesarza Ćandrę na tronie jego bratem Aditją.

– Zatem wojna czeka nas niezależnie od wszystkiego – rzekła Bhumika. – Paridžatdwipa obróci się przeciwko sobie. Wylądowaliśmy w jeszcze większym bałaganie, niż przypuszczałam. – W jej głosie brzmiało zmęczenie.

– Co zrobisz? – spytała Prija, myśląc o generale i o dzieciach mieszkających w mahalu. O przyszłości.

– Nie wiem. Nie mam władzy, by wszystko naprawić, nieważne, jak kompetentna bym się nie zdawała.

– Nie o to mi chodziło.

Bhumika cmoknęła, jakby chciała powiedzieć, że to nieistotne.

– To ja powinnam spytać ciebie, jak się masz. Aśok cię skrzywdził.

Prija powstrzymała chęć, by przytknąć pięść do swojej piersi, do miejsca, gdzie Aśok wsunął dłoń w jej duszę i przekręcił.

– Wiem, że Aśok jest silny. Że może być niebezpieczny, kiedy tego potrzebuje. Myślałam tylko... – Prija urwała.

– Myślałaś, że pod tym wszystkim wciąż jest dobrym człowiekiem.

– Jest dobrym człowiekiem – warknęła Prija, po czym zmusiła się, by znów przerwać, i odwróciła wzrok od Bhumiki, żeby spojrzeć na kosmos wijący się wokół nich, płynny i dziwny. Jeśli nie był dobry, to jak Prija mogła być dobra? Jak którekolwiek z nich mogło być?

– Pamiętasz go jako chłopca – rzekła Bhumika. – Nie widzisz... człowieka, którym jest teraz.

– Pamiętam, że ocalił mi życie. Że troszczył się o mnie. Czasami mam wrażenie, że niemal przypominam sobie tamtą noc, i nie potrafię go nienawidzić, bo... – Załamał jej się głos. – Nie lubię rozmawiać o moich uczuciach. Nie podoba mi się to, Bhumiko, i przysięgam, że gdybym

umiała wyrwać z siebie ten gniew, gdybym potrafiła nie czuć tego, co czuję, gdybym mogła całkowicie wymazać tamtą noc...

– Wiem – odparła Bhumika. – Wiem. Czy pamiętasz, jak po twoim przybyciu do mahalu od czasu do czasu wołałam cię do moich komnat i rozmawiałam z tobą na osobności?

– Zawsze miałaś słodycze – powiedziała natychmiast Prija. Było to jej najsilniejsze wspomnienie z tamtego okresu. Po latach niedojadania dziwnie absorbował ją głód. – Kiedyś nawet ras malai. Obsypane płatkami róż.

– Przekonałam Wikrama, że staram się o dziecko – rzekła Bhumika. – Spodobał mu się ten pomysł. Dzięki temu miałam dla ciebie słodycze. I czas, Prijo. Przez krótki okres. – Zawahała się. – Pri, starałam się być dla ciebie rodziną. Naprawdę.

Prije coś zabolalo w piersi.

– Wiem – odparła z wysiłkiem. – Wiem to. Nie powinnaś mnie słuchać, gdy jestem zła. Albo w ogóle. Nigdy nie jestem dla ciebie szczególnie sprawiedliwa.

– Czy to przeprosiny?

– Nie – odrzekła Prija. – To są przeprosiny: przepraszam. Naciesz się nimi, bo nie zamierzam ich powtarzać.

Słowa te zapadły pomiędzy nimi, niezręczne, ciężkie jak kamień.

– Proszę, przestań – powiedziała w końcu Bhumika. W jej głosie pojawiła się łagodniejsza nuta, gdy kobieta przesunęła się w wodzie, gdy powierzchnia zafalowała bezgłośnie wokół jej cienia. – Przypuszczam, że teraz tego nie pamiętasz, ale byłaś taka cicha, gdy pojawiłaś się w mahalu. Nie nieśmiała... Po prostu niechętnie się odzywałaś. Próbowałam rozmawiać z tobą o naszym dzieciństwie. O Hiranie. O tym, jak ty i Aśok uciekliście. A ty nie chciałaś mi nic mówić. Wówczas sądziłam, że to szok. Byłaś dzieckiem. Prerażonym, skrzywdzonym i porzuconym. Ale teraz już tak nie uważam. Dokonałaś wyboru, Prijo. Chciałaś to wszystko od siebie odrzucić.

– Nie możesz tego wiedzieć.

– Wiem, jaka jesteś uparta. Nigdy mnie nie słuchałaś – stwierdziła Bhumika. – Przynajmniej nie do końca. Jest w tobie coś takiego... żywiłowego. Podobnie jak w Aśoku.

– Chcesz powiedzieć, że jestem do niego podobna?

– Chcę powiedzieć, że poszukiwałaś bezśmiertnych wód. Sprzymierzyłaś się z Aśokiem i zerwałaś z nim. Zawarłaś umowę z księżniczką z Paridzattwipy. Wszystko to bez mojego udziału, z własnej woli. Podążasz ścieżką, którą ja sama nie mogę kroczyć, Prijo, i nigdy nie

ogładasz się na to, co zostawiasz za sobą. – Mówiła łagodnie, lecz przez to jej słowa tylko jeszcze mocniej raniły. – Kierujesz się zasadami moralnymi, których nie umiem pojąć. Na swój sposób jesteś nie mniej niebezpieczna niż Aśok. Tak, powinnam była dostrzec to w tobie już dawno temu.

Wyobrażenie Bhumiki, kim Prija była – fakt, że uważała ją za jakąś zdumiewającą, dziwną, zacieklą i żywiołową istotę – sprawiało, że dziewczyna miała ochotę roześmiać się z niedowierzaniem.

– Nigdy nie osiągnęłam niczego, zupełnie niczego – rzekła Prija. – Byłam... zaledwie służącą. Część mnie jest strzaskana. Stoję pośród tych elementów i nie potrafię donikąd dojść. Utknęłam w miejscu, Bhumiko. Przez cały ten czas po prostu byłam cicho. Po prostu trwałam.

– Moim zdaniem milczałaś cierpliwie. A teraz znalazłaś się dokładnie tam, gdzie zamierzałaś trafić cały czas: na Hiranie, z bezśmiertnymi wodami niemal w zasięgu – mówiła Bhumika głosem wyrażającym przekonanie. – Dostrzegam, że stajesz się silniejsza.

– Nigdy tego nie planowałam.

– Doprawdy? – Chwila ciszy. – Nie będę już próbowała cię kontrolować, Pri. Proszę cię jednak, byś przemyślała jedno: czy którakolwiek z osób, którym zaufałaś, naprawdę jest tego warta?

– Ufam tobie – zdołała wykrztusić dziewczyna.

Bhumika powoli, pewnie pokręciła głową.

– Nie – rzekła. – Nie sądzę, by rzeczywiście tak było. Wracaj, Prijo. I proszę, jeszcze przez chwilę trzymaj księżniczkę w zamknięciu i zapewnij jej bezpieczeństwo. Dla mnie.

– Co zamierzasz? – spytała nie po raz pierwszy Prija.

Bhumika przez moment milczała, po czym powiedziała:

– Jeszcze nie wiem. Ale zacznę od rozmowy z Wikramem. Poradzę mu, by wytyczył dla nas taką ścieżkę podczas wojny, która pozwoli przetrwać nam wszystkim. A jeśli nie posłucha... – Cień przebiegł przez jej głos, cień o czarnych skrzydłach. – Cóż. Ty i Aśok nie jesteście jedynymi świątynnymi dziećmi.

– Życzę ci szczęścia. Chyba wszyscy jesteśmy od niego zależni.

– Tak – odparła Bhumika. – Wszyscy.



Wróciła do swojego ciała. Zerknęła na śpiącą postać Malini, po czym wymknęła się z pokoju, żeby przejść się po triweni. Znów padało. Podłoga była śliska, niemal pokryta wodą, wyglądała jak wielkie lustro.

Jeśli Bhumika miała rację... Gdyby postanowiła się nie odzywać. Gdyby postanowiła zapomnieć...

Odchyliła głowę w tył, wystawiając twarz na deszcz. Ostatnia ulewa ustępującego monsunu. Wspięła się na postument. Czując chłodny i wilgotny kamień pod bosymi stopami, uniosła twarz ku niebu. Gleba. Niebo.

Pokaż mi tylko drogę.

– Dlaczego? – wyszeptwała. – Dlaczego musiałam pokazać ci drogę, Aśoku? Co takiego wiedziałam, czego nie wiedziałeś ty?

Odpowiedź znajdowała się w niej. Zawsze tak było. Poskładała się jednak tak, by stać się mała. Tamtą noc ognia i śmierci zaciskała w pięści. Była zbyt przerażona, że ktoś ją jej pozbawi, by ją uwolnić, żeby umiała uczynić cokolwiek innego poza jej ukryciem. Poprzez żalobę, głód i poczucie straty, poprzez przybycie do mahalu, poprzez picie i śmianie się z Simą pod osłoną drzew – cały ten czas nosiła ją w sobie. Ukrywała ją, by nie dało się jej dotknąć ani przemienić.

Nadeszła pora, by rozprostować palce. Nadeszła pora, by ujrzeć, co się w nich kryło.

Po raz pierwszy od dziesięciu lat Prija wróciła myślą do nocy, kiedy spłonęły świątynne dzieci.

Prija szarpnęła za ciężkie wiadro z wodą i zakłęła, gdy przechyliło się niebezpiecznie, a fala oblała rąbek jej ghagra ćoli.

– Nandi! Pomóż mi!

– Nie mogę – odparł Nandi, jakby urażony. Siedział na środku pomieszczenia, celowo zasłaniając dłońmi oczy. Przebywał w takiej pozycji i zawodził od dobrych dziesięciu minut. Wcześniej zetknął się z rękodziełem niektórych starszych świątynnych dzieci, które hodowały na ścianach pęcherze zarodników. Nandi dotknął tam, gdzie nie powinien, i żółty pyłek trafił go prosto w twarz.

W normalnych okolicznościach Prija zaciągnęłaby go prosto do jednego ze starszych na połajankę i by umyła mu oczy oraz zadano tynkturę powstrzymującą infekcję, jednak tego wieczoru starsi wyraźnie zakazali grupie, do której należała Prija – najmłodszym i najmniejszym dzieciom – opuszczać ich pokoje. Jeden z dwukrotnie zrodzonych stracił kontrolę nad skotłowanym splotem pnączy, które rozbiły kamień i wgryzły się pod powierzchnię świątyni, powodując spore szkody. Roztrzaskały schody Hirany, uniemożliwiając pielgrzymom wspinaczkę.

Hirana zawsze była niebezpieczna i zmienna. Czasami ścieżka używana przez pielgrzymów znikwała z dnia na dzień. Czasami w triweni rozkwitały dziwne kwiaty, fioletowe, czarne i jaskraworóżowe, które

najstarsi musieli wyskubywać z czią, mamrocząc modlitwy. Jednak w swoich zmiennych nastrojach Hirana nie była złośliwa, nie tak, jak potrafili być śmiertelnicy. A przynajmniej tak mówił starszy Bodżał. Narzekał hałaśliwie każdemu innemu starszemu, który gotów był słuchać, że „przeklęte” dzieci całkowicie i w pełni zniszczyły Hiranę. Zamykał się dopiero wtedy, gdy starszy Sendhil osaczał go i pytał cicho, czy zamierza osobiście skrytykować za to dzieci.

Starszy Bodżał nie potrafił na to odpowiedzieć.

Starsza Ćandni nie komentowała zmian na Hiranie. Nie mówiła nic nawet o nowych pęknięciach, które otwierały się w mroku i pochwyciły niektórych ludzi generała w swoje paszcze. Nikt nie zginął, ponieważ starsi zainterweniowali, jednak jeden z mężczyzn złamał nogę pod paskudnym kątem, co sprawiło, że potrójnie zrodzeni Sandżana i Riti – będący teraz starszymi, choć żaden z innych starszych tak ich nie nazywał – śmiali się do rozpuku, zupełnie jakby krew i kości były tak okropnie śmieszne. Jednak gdy Prija spytała o to starszą Ćandni, ta jedynie pokręciła głową i powiedziała Prii, żeby uważała na siebie.

– Nie jesteś taka jak oni – rzekła. – Ciesz się z tego.

Prija uznała, że są to dziwne słowa. Była dokładnie taka sama jak pozostali, nawet jeśli została tylko jednokrotnie zrodzona. Przeszła przez bezśmiertne wody podczas festiwalu ciemnego księżyca wraz z innymi: najmłodszymi dziećmi próbującymi zostać jednokrotnie zrodzonymi, z jednokrotnie zrodzonymi, którzy chcieli stać się dwukrotnie zrodzeni, oraz z dwukrotnie zrodzonymi chcącymi awansować do starszeństwa. Wyłoniła się z wód, łapczywie chwytając powietrze, lecz trojgu jej rówieśników się to nie udało. Siedziała w izbie chorych, czekając, by się przekonać, czy wody ogarną ją z opóźnieniem, czy ześlą na nią gorączkę i osłabienie, jak to się czasami zdarzało.

I podobnie jak wszystkie dzieci, które przetrwały swoją podróż, tę nienaturalną i nieszczęsną podróż, stała się... dziwna. Dwukrotnie zrodzeni nagle zyskiwali możliwość kontrolowana małych kwiatów, wypuszczania pyłków za pośrednictwem pączków. Trzykrotnie zrodzeni rozcinali kamień wyłącznie za pomocą liści i cierni. Zaś Prija i Nandi parli chwiejnie przez sny o spotykających się wodach, kroczyli po sangamie z pradawnych opowieści.

„Żaden starszy nie chodził tam od stuleci” – wyszeptwała starsza Kana. Zaś o reszcie strażniczka dawnej wiedzy powiedziała: „Żaden starszy nie dysponował taką mocą od Epoki Kwiatów”.

Choć posiadli mityczne dary, Prija i Nandi wciąż byli dziećmi, a Nandi wciąż był mazgajem. Prija odstawiła wiadro i walczyła ze sobą, by

znowu na niego nie warknąć.

– Odchyl głowę w tył i otwórz oczy – poleciała.

– Nie wrzeszcz na mnie!

– Nie wrzeszczę! – zripostowała Prija. – A jeśli nie chcesz, żebym krzyczała, to przestań być taki, taki...

Nandi siąknął nosem.

Dając za wygraną, Prija podeszła do niego i delikatnie pociągnęła go naprzód. Gdy znalazł się blisko wiadra, odciągnęła mu dłonie od oczu i zmyła pyłek, podczas gdy on mrugał raptownie.

– Lepiej? – spytała.

– Ch...chyba tak.

– Dobrze.

– Czy wy dwoje się szykujecie?

Prija i Nandi odwrócili się jednocześnie i ujrzeli trzykrotnie zrodzoną Sandżaną opierającą się o drzwi. Miała na sobie ciemnożółte sari, włosy rozpuściła na ramiona, a maang tikka na jej czole lśniło rubinową czerwienią niczym ciężka kropla krwi. Smuga mchu rozkwitła pod jej bosymi stopami, ale zwiędła, gdy dziewczyna wykonała krok naprzód.

– Zajmuje to wam całe epoki i jestem znudzona – rzekła Sandżana.

– Riti jest dziś marudny, zaś Aśok dostał jakiegoś paskudnego bólu żołądka, nie chce niczego jeść, a przygotowano tyle cudownego jedzenia. Co się tak guzdrzecie?

– Nandi miał pył w oczach – wyjaśniła Prija.

– Ach – odparła Sandżana. – I... to dlatego masz mokre ubranie, Prijo?

Prija skrzywiła się paskudnie w odpowiedzi, a Sandżana zachichotała.

– Dlaczego skrzywdziłaś tych mężczyzn? – spytała nagle Prija, myśląc o człowieku o złamanej nodze. Może nie powinna była pytać. Może Sandżana trzepnie ją za to w ucho. Dziewczyna miała spokojny wyraz twarzy i nie unosiła brwi, więc Prija się nie obawiała.

– Kogo?

– Paridżackich żołnierzy.

– Wystraszyło cię to, gołąbeczko?

– Nie tak łatwo mnie wystraszyć – odrzekła Prija. Obie wiedziały, że nie do końca było to zaprzeczenie.

Sandżana w odpowiedzi uśmiechnęła się krzywo.

– Bo to Paridżatczycy powinni bać się nas – oznajmiła. – Ale ty nie musisz bać się mnie. Jesteśmy rodziną.

Sandżana nieraz uderzyła Priję, kradła jej kolację i śmiała się donośnie, gdy Prija upadała podczas ćwiczeń albo zasypiała przy medytacji. Ale Prija wiedziała, że dziewczyna mówiła szczerze. Okrucieństwo stanowiło element ich szkolenia, dzięki niemu serce pokrywało się odciskami w taki sam sposób, jak dłonie pokrywały się odciskami od używania noża. Słabość należało wypalić. Sandżana zawsze starała się dążyć do tego, by Prija nabierała sił i mogła przetrwać dwie kolejne podróże przez wody. By mogła przeżyć.

– Dziś wieczorem Riti i ja zostaniemy mianowani starszymi – oznajmiła Sandżana. – Chcę więc, żebyś wyglądała ładnie.

– Wyglądam ładnie.

Sandżana przyklęknęła. Dotknęła rąbka stroju Prii.

– Proszę – powiedziała. – Spróbujmy sprawić, żebyś była nieco ładniejsza. Pamiętaj, tylko troszkę. Nie jestem jakszą, nie umiem czynić tak potężnej magii.

– Ha, ha – odparła beznamiętnie Prija, zaraz jednak zamilkła, gdy Sandżana lekko przejechała palcami tam i z powrotem po jej spódnicy i powietrze wypełniło się odległym szmerem trawy.

Wilgotny rąbek stroju pokrył się delikatnym szlachkiem prawdziwych liści o żyłkach cienkich jak złote nici.

– I już – rzekła Sandżana. – Czyż nie wygląda ślicznie?

Puściła rąbek, pozwalając mu opaść. Z szeleszczącym szeptem musnął kostki Prii, jakby liście wciąż żyły.

– Ty też wyglądasz bardzo przystojnie, Nandi – dodała Sandżana.

– Dziękuję – odparł cicho Nandi. Wciąż garbił się przy wiadrze.

Sandżana roześmiała się – nie do końca okrutnie i nie do końca przyjemnie – po czym zamaszystym krokiem opuściła pokój.

By zadośćuczynić Prii za swoje łyzy, Nandi uczesał jej włosy i nałożył na nie odrobinę olejku, żeby lśniły, stały się puszyste i pachniały słodyczą. W zamian wtarła mu też trochę specyfiku we fryzurę i znów sprawdziła jego oczy. Nie wyglądały już na opuchnięte i chłopak nie siąkał nosem, więc Prija pociągnęła go na ucztę. Czuła, jak coś się piecze, i zastanawiała się, czy służący przygotowali jej ulubiony świąteczny półmisek z ryżem barwionym na zielono i żółto, usianym migdałami, pistacjami oraz napęczniałymi rodzynkami, zwieńczonym pierożkami i oblanym bulionem, który był jednocześnie słodki i silnie przyprawiony.

– Zaczekaj, Prijo. Powinniśmy odstawić wiadro – powiedział do niej Nandi nagłym głosem. – Jeśli starsza Ćandni to zobaczy, zorientuje się, że nie wykonaliśmy polecenia. Mieliśmy zostać w pokoju i udać się prosto na ucztę, będzie więc wiedziała, że tak nie zrobiliśmy.

– Tylko nas skrzyczy – odparła Prija, wzruszając ramionami.

– Albo każe nam wcześniej opuścić ucztę. Lub powie, że nic nie możemy zjeść.

Właśnie taką karę mogłoby wybrać któreś ze starszych. Myśląc tęsknie o barwionym ryżu, Prija westchnęła.

– Dobrze, chodźmy je odstawić. Ale szybko, inaczej naprawdę się spóźnimy.

Łatwiej było nieść wiadro wspólnie, choć Nandi marudził, że Prija przyniosła je przepelnione, a dziewczynka w zamian odwarkiwała, że napełniła je i przyniosła bez zastanowienia, a to wina Nandiego, że uszkodził sobie oczy...

Usłyszeli głosy. Zatrzymali się.

– Starsi – wysyczał Nandi. Nie zawracając sobie głowy odpowiadaniem, Prija zawlokła wiadro do bocznego pokoju w krużganku i pociągnęła chłopaka za sobą.

Odgłosy kroków zbliżyły się.

– Powinniśmy poczekać na powrót Bhumiki. – Głos starszego Bodźala.

– Myślisz, że wróci? Poważnie? Zaraz po tym, jak ta dziewczyna przeszła przez wody, pobiegła z powrotem na łono rodziny jak tchórz – odparła starsza Sarodź.

– Jej rodzina dotrzymuje wiary. Przyprawdzą ją z powrotem.

Parsknięcie.

– Dotrzymuje wiary? Ledwo. Sonali widzą, z której strony wieje wiatr. Nigdy jej nie zwrócą, zważ moje słowa. Użyją jej, by zawiązać odpowiedni sojusz, i zapomną, że kiedykolwiek służyła.

– Mimo to...

– Stali się znacznie silniejsi. – Nowy głos mówił nagłym szeptem. Starszy Sendhil. – Z każdą minutą. Z każdą godziną. Teraz nie można się wahać. Wkrótce będzie nas za mało, by sobie poradzić. Cesarz przyśle armię. Ahiranjā poniesie konsekwencje.

Nandi otworzył usta. Prija zakryła je dłonią, zanim cokolwiek zdążyło się z nich wydobyć.

– Wydadź choć dźwięk – wyszeptala – a zacisnę ci też nos.

Ucichł.

– Są silni w sposób, jakiego ich nauczyliśmy. Być może to jest potrzebne.

– To, czego żąda cesarz Sikander, jest niewyobrażalne. Nieludzkie.

– To dlatego idziemy wraz z nimi – odparła spokojnie starsza Sarodź. – Są naszą rodziną. Idziemy razem.

– Ale z pewnością musimy omówić...

– Nie. – Głos starszej Ćandni. Smutny, ale nieugięty. – Nie, nie sądzę.

I omówiliśmy to już dostatecznie. Doszliśmy do porozumienia.

Milczenie. Po chwili Sarodź odezwała się ciężkim tonem:

– To będzie nasz koniec.

– Konieczny koniec, moim zdaniem – rzekła łagodnie Ćandni. Prija przygryzła dolną wargę na te słowa. – W tej kwestii generał się nie myli.

Dobiegły pomruki, których dziewczynka nie dosłyszała, a później znów rozległy się kroki.

Starszy Bodzał. Starszy Sendhil. Starsza Sarodź. Starsza Ćandni. Rozmawiali o sile i dziwności. O świątynnych dzieciach.

Prii nigdy nie chwalono za intelekt, ale wiedziała wystarczająco wiele, by poczuć ukłucie strachu. Napotkała spojrzenie Nandiego. Odkryła mu usta.

– Jak sądzisz, co mieli na myśli? – wyszeptał chłopak.

Prija przełknęła z trudem ślinę.

– Nie wiem.

Uczta w północnej komnacie była już w pełnym rozkwicie, poduszki ułożono w kręgu, a na podłodze rozstawiono półmiski, w tym – jak Prija liczyła – barwiony ryż i pierożki. Gdy przyszli, starsza Ćandni zamknęła za nimi drzwi. Byli ostatnimi z dzieci.

Na ścianach zawieszono tkaniny o jaskrawych kolorach. Prija otarła się o jedną z nich. Pachniała słodko, żywicznie, jak ghi albo trzcina cukrowa. I była lekko... wilgotna.

Starsza Ćandni dotknęła dłonią głowy Prii. Następnie pochyliła się i pocałowała ją w czoło.

– Lewe drzwi – mruknęła Ćandni.

Palce starszej wydawały się zimne i lekko drżały.

Nie powiedziała do Prii nic więcej, ale to, co mówiła... ach.

– Zostań tu – syknęła Prija do Nandiego, który usiadł bez sprzeciwu.

Sandżana i Aśok zajmowali miejsca obok siebie. Gdy Prija spoczęła obok nich, Sandżana powiedziała:

– W końcu. Co będziesz pić? Mam nadzieję, że nie wino, choć chyba śmiesznie byłoby patrzeć, jak ci szkodzi.

– Muszę wam coś powiedzieć – rzekła Prija cicho. Musiała wydawać się zdenerwowana, ponieważ oboje bacznie na nią spojrzeli. Aśok ścisnął szklanekę letniej wody i wyglądał nieco niewyraźnie. W miarę jak Prija ciągnęła, twarz Sandżany ściągała się strachem lub furią,

dziewczynka nie umiała tego stwierdzić. Sandżana wzięła ją za nadgarstek i powiedziała:

– Porozmawiamy z nimi. Teraz.

Wstała i... zatoczyła się. Uniosła dłoń do głowy, opuszki do skroni, i przelknęła z trudem ślinę.

Upadła.

Prija nigdy nie potrafiła przypomnieć sobie wyraźnie, co stało się później. Pamiętała jedynie krzyki i jej rodzeństwo próbujące użyć darów otrzymanych od wód. W jakiś sposób im się to udawało. Ziemia rozszczepiła się. Kamienie przewalały się, poruszane pnączami i korzeniami, ich furią przeplataną magią. Wszystkim jednak coś dolegało i stopniowo opadali na ziemię, targani mdłościami.

– Jedzenie – mruknął nagle Aśok. Jego twarz wykrzywiła się w grymasie, gdy rozglądał się dookoła. Wstał nagle i wziął Priję za rękę. – Idziemy.

Pociągnął ją pomiędzy leżącymi ciałami.

Usłyszała hałas: przeszywający odgłos i krzyk. Aśok ciągnął ją dalej i dalej, ku lewym drzwiom, jak mu mówiła. Obejrzała się za siebie. Nandi. Musiała wziąć Nandiego...

– Chodź, Prijo – polecił ostro Aśok. – No chodź. Ach.

Drzwi blokowali żołnierze. Paridżaccy żołnierze. Żołądek Prii wyrócił się na widok tych intruzów w miejscu przeznaczonym dla ahiranyjskich pielgrzymów i sług oraz jej świątynnej rodziny.

Aśok wepchnął ją za siebie.

Zawsze był dobrym wojownikiem. Wszyscy nimi byli. Ale pozostałe świątynne dzieci zostały otrute i ledwo zachowywały świadomość, nie były w stanie walczyć jak w normalnych okolicznościach. Aśok nie poddał się podobnym efektom. Uniósł przed siebie dłoń i przez ściany oraz podłogę wystrzeliły pnącza. Jeden z żołnierzy wydał okrzyk przerażenia i rozległ się brzęk upadającej stali.

Aśok chwycił upuszczoną broń i drżącą dłonią wykonał cięcie.

Prija poczuła na twarzy coś wilgotnego i ciepłego. Zmusiła się do tego, by nie zacisnąć powiek. Zamiast tego chwyciła mały nożyk snycerski ze stołu, przy którym jedno z jej rodzeństwa padło nieprzytomne, z czołem na przewróconym półmisku z jedzeniem i zacisniętą na nim dłonią mokrą od potu.

Wraz z Aśokiem parli naprzód bez najmniejszego wdzięku, rejestrowali jedynie paskudny nacisk ciał i krew, Aśok ją ciągnął, Aśok zatrząskiwiał drzwi, Prija obracała się, napotykała spojrzenie Nandiego po

drugiej stronie pomieszczenia, widziała jego głowę wygiętą pod paskudnym kątem, niewłaściwym, pozbawionym śladu życia.

Ostatnim, co dostrzegła, zanim Aśok chwycił ją w ramiona, była starsza Sarodź przytykająca płomień lampy do jednej z wiszących tkanin. Pokój zaczął płonąć. Sarodź zerwała materiał ze ściany i Prija dostrzegła, że spada on na jedno z jej rodzeństwa.

– Nie patrz. – Aśok wyciągnął ją na zewnątrz.

Zaatakował żołnierzy brutalnie, oszczędnie, jednemu rozcinając tętnicę, innego tnąc po szyi, tracąc nóż w czymś oczodole. Odstawił Priję na ziemię, by móc walczyć, ale gdy sztylet wbił mu się u stóp, podniósł ją z powrotem i pobiegł.

– Prijo – wykrztusił jej we włosy głosem przebijającym się przez szum jej własnej krwi, który słyszała w uszach. – Prijo, gdzie jest droga do bezśmiertnych wód?

– Nie wiem!

– Wiesz. Wiesz. Nie zawieź nas teraz.

Podobnie jak wszystkie elementy Hirany, wejście do bezśmiertnych wód przesuwano się. Czasami starsi robili rytuał z poszukiwania go. Jednak Prija nigdy nie miała z tym trudności. Nie była najlepszą wojowniczką – ani też najsprytniejszą czy najsilniejszą – ale nawet z zamkniętymi oczyma umiała bezbłędnie odnaleźć drogę.

Zaskoczyło to starszą Ćandni, gdy odkryła w niej ten talent. Wszyscy starsi ją sprawdzali. Zasłaniali jej oczy. Obracali ją, aż kręciło jej się w głowie. Wypytywali ją w nocy, o świcie, w środku dnia. Zawsze znała ścieżkę.

Nikt nie potrafił wyjaśnić jej daru. Słyszała kiedyś, jak starsi rozmawiają o tym w pokoju Ćandni, gdy skuliła się do snu na podłodze przy posłaniu starszej.

– To dziwna więź – mruknęła Sarodź. – Im dłużej tu jesteśmy, tym bardziej czujemy się połączeni z Hiraną, to wiadomo. Ale ta dziewczynka jest... inna.

Palce Ćandni przesunęły się delikatnie przez jej włosy.

– Niewiele dzieci rodzi się na Hiranie – powiedziała. – Nic dziwnego, że zyskała wyjątkowy kontakt ze świątynią.

– Nie powinny się tu rodzić – stwierdził Sendhil i w jego tonie kryło się coś, co sprawiło, że Ćandni znieruchomiała.

– Skoro tak mówisz – mruknęła Ćandni, przykrywając Priję kocem.

Nie wspominała o tym więcej. I nie miało to już znaczenia. Prija mocno zacisnęła powieki. Uniosła drżącą dłoń znad ramienia Aśoka

i wskazała drogę. Przeklął – nie wiedziała, czy ze strachu, czy w ramach podziękowania – i podążył za jej wskazówkami.

Wejście było umieszczone w podłodze w nieoświetlonym korytarzu. Aśok zatrzymał się z poślizgiem. Wciąż ją trzymając, zeskoczył w ciemność, zatoczył się lekko na pierwszym stopniu, potem na drugim. Prija otworzyła wtedy oczy i obserwowała, jak chłopak używa swoich darów z dwukrotnego zrodzenia i dotyka palcami otworu ponad nimi.

Przejście zamknęło się i znaleźli się w mroku.

Schodzili do serca Hirany, do żółtka jaja.

Dotarli na poziom gruntu. Nawet przez zamknięte powieki widziała i czuła napór lśniącej wody. Jej szarpnięcia. Była bardziej jak gwiazdy niż rzeka.

– Nie patrz, Prijo – wyszeptał. Zatem nie patrzyła. Wcisnęła mu głowę w bark tak mocno, że czuła na oczach nacisk tkaniny klejącej się od jej łez i jego potu. Wciąż wyczuwała dym. – Nie patrz. Pokazuj mi tylko drogę.

– Jaką drogę?

– Stąd – odparł. Głos mu lekko drżał. Pachniał miedzią. – Znasz Hiranę lepiej niż ktokolwiek. A ona zna ciebie.

Kapanie wody w oddali. Fosforyzujące niebieskie światło otaczające ich zewsząd, wciskające się jej pod powieki. Nie mylił się. Czasami miała wrażenie, że Hirana jest jej kolejną kończyną. Zaniósł ją nad skraj wody i szukał przejścia. Wskazała je. Tunele. Dalej leżały tunele.

– Nie mogę dotknąć wody – wydyszała. – Nie mogę, nie mogę. A co, jeśli umrę?

– Cicho – wyszeptał. – Cicho. Nie upuszczę cię.

Wcisnęła mu twarz pod brodę. Trzymał ją, choć trzęsły mu się ręce, choć przeklinał i słyszała, że płacze.

– Nic nam nie będzie – zapewnił stłumionym, drżącym głosem. – Nie bój się.

Ostatecznie wspólnie otworzyli drogę. Przekształcili kamień i wyłonili się wolni i samotni wśród roślinności otaczającej Hiranę.

Ponad nimi wciąż płonął stos.

– Nie patrz – powtórzył Aśok. I choć powinien być zbyt słaby, żeby znowu ją podnieść, usłyszała, jak odetchnął i mimo wszystko to zrobił. Otuliła go nogami w pasie i rękoma wokół szyi, nie próbując być silna. A on tym razem jej o to nie prosił.

Minęły dwa dni, zanim liście na spódnicy Prii zwiędły.



Lata. Wraz z Aśokiem spędzili na ulicach lata, głodni i kąsani przez komary, kradnąc jedzenie i żebrząc, gdy nie było czego kraść. Brat czasami bił innych mężczyzn i rabował pieniądze. Sprzymierzał się ze złymi ludźmi i z takimi jak Gautam, na którego można było wpływać strachem, przysługami oraz niespłaconymi długami. Jednak w miarę jak stawał się coraz bardziej chory, jego dary wydawały się gasnąć. Zaś dary Prii zawsze były słabe. Poza Hiraną osłabły jeszcze mocniej, podobnie jak jej wspomnienia.

Ćandni coś w niej ujrzała. Ale to działo się w innym życiu.

Teraz Prija stała na postumencie z deszczem w oczach i zaciągała się tak głębokimi, płaczącymi oddechami, że bolały ją od nich płuca.

Ale znalazła drogę. Tamtej nocy. To ona ocaliła Aśoka, a on ocalił ją.

Ocalił mnie. Ocaliłam jego.

Uświadomiła sobie, że płacze. Osłoniła oczy grzbietami dłoni, wściekła na samą siebie, że łka jak mała dziewczynka. Nieważne, ile miała lat, wyglądało na to, że rodzina wciąż dysponuje mocą, by ją skrzywdzić.

Ocalili się nawzajem. Zostawił ją Bhumice, by ta ją wychowała, ponieważ ją kochał. Skrzywdził ją, ponieważ ją kochał.

Miłość. Zupełnie jakby miłość potrafiła wszystko wytłumaczyć. Zupełnie jakby świadomość, że był okrutny, nienawistny i gotowy ją skrzywdzić mogła zmniejszyć ból w jej sercu.

Zeszła z postumentu. Materiał sari kleił jej się do skóry. Włosy ociekały wodą. Gdy przeszła przez triweni i wkroczyła w korytarz prowadzący do kuchni, zostawiała za sobą wilgotne ślady, a kamień pod nimi migotał przez chwilę, zupełnie jakby stąpał wraz z nią.

Nie miała już w sobie pustki. Czymkolwiek była – bronią, potworem, osobą przeklętą czy pełną darów – była wreszcie cała. Poniżej niej Hirana wydawała się ciepła. Stanowiła jej przedłużenie.

Cały czas знаła drogę.

Hirana zaprowadziła ją do pokoju w krużganku – małego, nierzucającego się w oczy – o który kiedyś starannie dbano. Nawet w tamtych dawno minionych czasach był skromny i nagi, nie licząc wzoru fal wyrzytego na ścianach i podłodze.

Linie wiły się wokół stóp Prii, gdy szła.

Droga do bezśmiertnych wód nie była niezmienna. Pojawiała się tam, gdzie sama postanowiła. Jako mała dziewczynka Prija nieraz kładła się nad otworem, przechylała głowę nad krawędzią w różnych pomieszczeniach, nasłuchując wycia z jaskini poniżej, pustki obecnej w jej kamiennej skorupie. Brzmiał jak pełen smutku. Jak morze. Jak pieśń.

Teraz w podłodze nie było widać otworu. Ale Prija uklękła. Oparła dłonie na kamieniu.

Nie powinna być zdolna samodzielnie otworzyć drogi, przecież została tylko jednokrotnie zrodzona, nie posiadała silniejszych darów innych dzieci. Jednak bezśmiertne wody chciały być odnalezione. Hirana została uformowana świętynnymi dłońmi, ciałem świętynnych dzieci – żywym i martwym – a teraz poruszała się, wczepiała w nią i zmieniała wokół niej zgodnie z prądami i prądem jej serca. Hirana pragnęła tego dla niej.

Ziemia zakołysała się pod nią, wielkie kamienne fale cofnęły się. Ziemia stanęła otworem.

Prija wpatrywała się w mrok. Zacisnęła zęby na języku, poczuła lekki ból osadzający ją w rzeczywistości i usiadła na skraju. Spuściła stopy. Przez chwilę na nic nimi nie trafiała, lecz zaraz ziemia znów się poruszyła i roślinność uformowała stopień pod jej podeszwami.

Wyprostowała się. Zrobiła kolejny krok. I jeszcze jeden.

Droga w dół w ciemności była długa. Przynajmniej pamięć nie okłamywała jej w tej kwestii. Zanim dotarła do dna, zanim poczuła pod stopami zimną glinę, zanim otulił ją chłód głębokiego mroku, zaschło jej już w gardle i opuściła ją cała obecna w niej magia.

Ale już jej nie potrzebowała. Bezśmiertne wody leżały przed nią długim zwojem kojarzącym się z wielkim poskręcany węże. W ciemności pod światem lśniły lekkim błękitem. W ciszy usłyszała uderzenie bębna, szept, muzykę w swojej duszy.

Prija spojrzała w wody. Pomyślała o Bhumice błagającej ją, by nie podążała tą ścieżką, jej wzroku mówiącym, że nie liczy na to, iż zdoła kontrolować Priję, i nigdy na to nie liczyła. Pomyślała o Aśoku przekraczającym dłoń w jej piersi, napędzanym furją, i o tym, jak opiekował się nią, gdy była mała i zostali sami. Pomyślała o Rukhu, którym również próbowała się opiekować i chronić go na swój skromny sposób, na nowo przeżywając dzieciństwo.

Prija nie znalazła się tu dla nich albo wbrew nim. Ich głosy wciąż jej towarzyszyły, ale pod nimi wszystkimi leżała jedna prosta prawda: Prija pragnęła odnaleźć bezśmiertne wody nie dla Aśoka czy martwego

rodzeństwa ze świątyni, lecz dla siebie. Zawsze tego pragnęła. I teraz znalazła się tutaj.

Nie pozwalała już sobie dalej myśleć. Wykonała krok naprzód, potem kolejny, i zanurzyła się.

Pęd wody. Objęcia ciśnienia wokół jej czaszki, kościana obręcz wokół płuc, fosforyzujący błękit wychodzący na spotkanie otwierających się oczu, a później...

Cisza.

To jak robimy dalej?

– Robimy? – Głos Kritiki był pełen szacunku, jak zawsze.

Ach, ta wiecznie czujna Kritika.

– Co dacie nam w zamian za broń? – spytał mężczyzna niecierpliwie.

Ludzie przed nimi byli Ahiranyjczykami i Srugnytami, którzy zajęli tę wioskę – porzuconą, gdy ogarnęło ją butwienie – jakby była ich. Komuś kiepsko poszło wypalanie butwienia, wciąż obecnego wokół nich w postaci barwnych kwiatów zwisających ze ścian, śliskich i jaskrawych jak jad. Wielkie zakręcone korzenie, pulsujące cielistą świadomością, wylewały się ze szczelin w podłogach. U większości mężczyzn dało się dostrzec jakiś akcent butwienia: kurz dziwności w żyłach na ich dłoniach, pyłek we włosach lub fakturę kory na twarzach. Nosili święte drewno, nawet jeśli nie mogło im się zdać na wiele. Przynajmniej dzięki niemu nie byli jeszcze wszyscy martwi.

Aśok oraz bracia i siostry, którzy dołączyli do niego w picciu bezśmiertnych wód, byli bezpieczni od butwienia, a przynajmniej tak to wyglądało. Pozostali jego zwolennicy podjęli stosowne środki ostrożności i zasłonili usta oraz nosy materiałem, schowali dłonie w rękawiczkach, zawiesili paciorki ze świętego drewna na długich sznurach na szyjach.

Ci bandyci, bojówkarze, nie mieli dla czego żyć i nikt inny nie był chętny prowadzić z nimi handlu wymiennego. Wprawdzie butwienie nie mogło przenosić się z człowieka na człowieka, jednak wciąż stroniono od osób dotkniętych chorobą. Tylko nieliczne inne gangi brałyby pod uwagę skrzywdzenie ich, ale nikt nie zamierzał z nimi handlować, a jeśli oceniać po wychudłej twarzy mężczyzny i jego wyrazistych kościach policzkowych, nie zostało im wiele żywności. Z tego powodu byli gotowi wymienić swoją niezłą broń na niedorzecznie niewiele towarów, a jednocześnie stawali się zupełnie nieprzewidywalni. Albo ludzie Aśoka odejdą ze wszystkim, czego pragnęli, albo też bandyci spróbują dopilnować, żeby odeszli z niczym.

Aśoka trochę korciło, by rzucić worek ryżu na podłogę i przekonać się, co zrobią. Postanowił jednak zachować rozsądek.

– Nie jestem nierozsądny. Ja...

I wtedy to go ogarnęło. Niczym fala. Przebiegła przez niego gwiazdzista moc. Jej wrażenie przelało się przez podszyt, przez przewody żywiczne w drzewach, przez dudniące serce lasu. Poczul to wszystko przez korzeń, który się w niego wdarł, kiedy Aśok wkroczył do wody raz, a później drugi, kiedy wydrążył się, by rzeka wiecznie wiała się w jego wnętrzu, by wiązała go ze źródłem.

Kritika obróciła się gwałtownie, by na niego spojrzeć.

– Co się z nim dzieje? – spytał mężczyzna.

Jeden z chłopców Aśoka chwycił go za rękę. Podpierając go, wprowadził go chwiejnie z chaty na światło.

– Nie martw się – dobiegł go głos Kritiki. – Tak naprawdę nie przyszlismy tu po waszą broń...

Dwóch kolejnych jego ludzi czekało pod drzwiami. Odprowadzili go w cień pod drzewami, z dala od podejrzliwych oczu mężczyzn toczonych butwieniem.

Bez wskazówek z jego strony poplecznicy ustawili się wokół niego luźnym kręgiem, przygotowali sierpy i z ponurymi minami zaparli się stopami.

– Co się stało? – zapytał jeden z nich.

– Potrzebuję ciszy – rzekł. – Proszę.

Potwierdzili skinieniami głów. Bariera zacisnęła się mocniej.

Prija. Odnalazła drogę.

Odzyskał równowagę, puls wrócił mu do mniej szaleńczego rytmu. Musiał być spokojny. Oddychał raz za razem. Musiał wejść do sangamu.

Wkroczył tam niezgrabnie niczym zataczające się zwierzę. Padł na kolana w wodzie.

– Prija!

To on ją szkolił. To on ją stworzył. Zapewniał jej bezpieczeństwo, gdy wszyscy inni zginęli i nie został im nikt poza sobą nawzajem.

– Prija!

Żebrał u obcych o pieniądze i żywność. Albo groził im, by mu je dali. Kiedy zaczął chorować – krew, gdy kasłał, obręcz bólu ściskająca płuca – zadźgał mężczyznę nożem za porcję jedzenia, którą tamten trzymał pod pachą. Obserwował, jak jadła, i cieszył się, że miał w sobie dość siły, by dla niej zabić, a jednocześnie przerażało go, że wkrótce nie będzie zdolny nawet do tego.

Oddał ją. Podrzucił ją Bhumice, ich siostrze, która wyglądała jak obca w swoich świetnie utkanych sari i z chłodnymi oczyma, poślubionej mężczyźnie, który miał ręce splamione krwią ich rodzeństwa. Wyciął sobie serce. Kiedy był umierającym chłopcem i nie miał niczego, to Prija była jego sercem.

Krzyczał do niej w sangamie, a ona nie przychodziła.

Woda poruszyła się wokół niego. Poczł Bhumikę, jej obecność, po drugiej stronie wody. Jednak ona równie dobrze jak on wiedziała, co się wydarzyło, poczuła to przez więź łączącą wychowanych w świątyni i obsypanych darami.

Wtedy uświadomił sobie, że Prija nie przyjdzie.

Dziewczyna, którą uratował. Dziewczyna, którą porzucił.

W porządku. Niech tak będzie.

Miała bezśmiertne wody. Otworzyła drogę. A droga była wszystkim, czego potrzebował.

Wrócił do swojego ciała. Jego rodzina otaczała go kręgiem, cała trzydziestka spoglądała na niego.

Niektórzy trzymali metalową broń. Inni kołki i klepki wyrzeźbane ze świętego drewna, palące żarem i zapowiedzią przemocy.

Kritika przeszła pomiędzy nimi. Wycierała sierp z krwi.

– Załatwiliśmy sprawę z tymi ludźmi – oznajmiła. – I mamy to, czego potrzebowaliśmy.

Zawsze byli niedoceniani, dopóki nie nałożyli masek.

Regent wciąż jeszcze nie odnalazł ich schronień, jednak potrzebowali żywności, broni i pieniędzy. Szlachcice, którzy ich finansowali, stali się ostrożniejsi po ataku na lorda Iskara, nie wiedzieli bowiem, co nastąpi podczas regencji lorda Santosa. Bo to, że przejmie regencję, wydawało się pewne jak wschód słońca.

Jednak ci tocenieni butwieniem wyrzutkowie posiadali również coś, czego Aśok potrzebował bardziej niż jedzenia.

– Masz to?

Kritika skinęła głową i pokazała mu.

Wieśniacy posiadali kiedyś tradycyjną radę. Większość ich bogactw została zabrana przez łupieżców pod postacią bojówkarzy i innych bandytów lub zdesperowanych ludzi, którzy przechodzili przez tę okolicę, ale nikt nie wziął najcenniejszych rzeczy, jakie kiedyś miała rada.

Worek wyglądał, jakby zawierał śmieci: buteleczki ze szkła, drewna lub wysuszonej skóry. Nic wartościowego dla niedouczonego oczu.

Wyciągnął rękę. Poczul to szarpnięcie, jadowitą tęsknotę. Po kolei wyciągnął naczynka z bezśmiertnymi wodami.



Pogrzebali ciała. Wziął ze sobą do tego zadania trzech najsilniejszych towarzyszy. Następnie gdy w bezpiecznej odległości rozbili obóz, opowiedział swoim ludziom wszystko.

Kritika milczała przez długą chwilę. Za jej plecami, wokół niej, pozostali słuchali i czekali z uwagą. Po chwili powiedziała:

– Co powinniśmy teraz zrobić, Aśoku?

Pomyślał o Prii. O tym, jak próbował uczynić ją silną.

O jej nieobecności.

– Znajdziemy ją – rzekł. – I odbierzemy jej drogę. Być silnym oznacza robić to, co konieczne, niezależnie od kosztów.

Kritika skinęła głową.

– Wtedy pozwolisz nam wszystkim napić się wody z tobą – stwierdziła. – I dołączyć do ciebie w ratowaniu naszego kraju.

Trzydzieścioro pijących. Dużo. Będą potrzebowali więcej wody, żeby podtrzymała ich siły, a Aśok – który od lat poszukiwał fiolek z bezśmiertnymi wodami – wiedział, że nie będzie to możliwe. Gdyby wypili wszystko dzisiaj, byłaby to ich ostatnia akcja. Gdyby wkrótce nie znaleźli bezśmiertnych wód, oznaczałoby to dla nich dosłownie śmierć.

– Poświęciliście już dość. Nie mogę was wszystkich o to prosić.

– Jestem starsza od ciebie, Aśoku, ale nie tak stara, jak wydajesz się sądzić – rzekła Kritika ze swoją zwyczajową powagą. – Wciąż mam w sobie pragnienie, by szukać wolności. By palić paridżatdwipańskich

żołnierzy i lordów, by ujrzeć, jak regent zawisa na sznurze. Pozwól mi na to. Pozwól na to nam wszystkim.

– Możemy wszyscy umrzeć – powiedział w końcu Aśok. – Być może nie zdobędziemy mojej siostry. Być może zabiją nas Paridżatdwipańcy. Niewykluczone, że to będzie nasz koniec.

Kritika milczała. Znała kształt myśli Aśoka, jego słów, jego ciszy. Wiedziała, że jeszcze nie skończył.

– Skoro wiemy, że może to oznaczać naszą śmierć – powiedział powoli – że może to być ostatnia chwila, kiedy jesteśmy tak silni, powinniśmy zniszczyć tyle naszych celów, ile to tylko możliwe. Szlachciców i bogaczy, kupców i lekarzy potrzebnych Paridżatdwipie do tego, by dalej wbijać pazury w naszą ziemię. Powinniśmy zabijać ich wszystkich. Nieważne, czy zdobędziemy moją siostrę, czy nie, musimy uzyskać jakąś formę zwycięstwa. – Popatrzył na Kritikę. – Jesteś gotowa? Zaryzykować wszystko, co mamy?

– Szykowałeś się na to – odparła. – Wszyscy się szykowaliśmy.

Tak. Zgromadzili broń. Dysponowali lojalnymi mężczyznami i kobietami, a także ludźmi, których lojalność kupili za pomocą strachu, nadziei, pieniędzy lub jakiejś alchemicznej kombinacji tych trzech czynników.

– Jestem skłonny przyjąć odrobinę trucizny – powiedział Ganam.

– Wszyscy jesteśmy – rzekł inny chłopiec. – Dla tego celu.

Jego umysł mknął szybko niczym ptak. Tych, którzy nie potrafili walczyć, mogli zostawić w lesie. Najmłodszych i najstarszych. A reszta...

Reszta stała już przed nim. Mężczyźni i kobiety, którzy zjednoczyli się, by uwolnić Ahiranję. Którzy zrzucili kajdany obcej władzy. Którzy pragnęli czegoś lepszego niż butwienie, które pozbawiło ich domów, zabiło ich bliskich. Niż głód, który nastąpił, gdy regent nie zatroszczył się o to, by wszyscy mieli co włożyć do ust.

I Kritika, kobieta, która ocaliła go, gdy sądził, że umrze. Jej poznaczona zmarszczkami twarz była zdeterminowana i nieustępliwa.

Wiedziała, co nadciąga. Wszyscy wiedzieli.

– Nie możemy już dłużej zachowywać ostrożności – powiedział. – Masz rację. Ostrożność nic nam nie dała. To nasz ostatni bastion. Nasz ostatni skowyt wściekłości. Pokażmy im, że jesteśmy dziedzicami lasu, braćmi i siostrami. Dziedzicami bezśmiertnych wód. Pokażmy im kły i pazury, zakończmy rządy Paridżatczyków.

Kritika rozdzieliła fiołki. Jedynie łyk. Potrzebny był tylko łyk.

W jego dłoń również włożyła buteleczkę. Trzęsły mu się palce. Nie zostało mu wiele czasu.

- Zajmujemy Hiranę. Zajmujemy jej magię - oznajmił. -
Zajmujemy Ahiranję.
- Ostatni bastion - rzekła Kritika.
- Zgromadzeni w kręgu wokół niego unieśli fiolki i wypili.



36

BHUMIKA

Wróciła do ciała z chrapliwym jękiem. Aśok. Niech będzie przeklęty. Miała wrażenie, że jad jego wściekłości przelewa się jej w czaszce. Podniosła się z podłogi, otoczona przez krzątające się pokojówki, i oznajmiła:

- Muszę zobaczyć się z mężem.
- Czy mam wezwać lekarza? – spytała służąca.
- Lekarza? Nie. Wezwij mojego męża. I tylko jego.

Usiadła na poduszce leżącej na podłodze. Przyjęła szklankę czegoś słodkiego i chłodnego; wypila powoli, by uspokoić drżenie kończyn. Wszedł Wikram, wciąż poruszający się ostrożnie w wyniku odniesionej rany, a za nim jego najbliżsi strażnicy. Po jego znużonych oczach zgadywała, że był na jakimś spotkaniu. Widywała już wcześniej ten wyraz.

– Coś nie tak z dzieckiem? – zapytał nagle, spoglądając na nią z troską. Podniosła się, kręcąc głową.

- Nic mi nie jest – odparła. – Przypuszczam, że dziecku również.
- Zatem dlaczego tu jestem, Bhumiko?

– Prosiłam o rozmowę z tobą na osobności – powiedziała, zerkając przelotnie na komandora, który wpatrywał się przed siebie, skupiając się na czymś niekonkretnym w oddali.

– Zostaw nas, Dziwanie – polecił krótko Wikram, a oficer skinął głową i wyszedł.

– No i? – Głos generała zahaczał o zniecierpliwienie, jego uwaga już uciekała, skoro wiedział, że nic bezpośrednio nie zagraża zdrowiu jego żony.

– Mam wieści – rzekła Bhumika. – Straszliwe ostrzeżenie. Nie mogę już dłużej trzymać go przed tobą w tajemnicy.

– Mów – odparł z kamiennym obliczem.

Wahała się przez chwilę, po czym zaczęła:

– Moja rodzina jest stara i szanowana, Wikramie. A ja... jestem gotowa słuchać. Czasami ludzie czują się... swobodniej, gdy rozmawiają ze mną, niż mogliby przy tobie. I słyszałam szept o buntownikach. Uważam, że grozi nam wielkie niebezpieczeństwo. Grozi ono miastu. Należy chronić mahal i zebrać ludzi w obrębie jego murów.

– Powiedz mi, kto z tobą rozmawiał – polecił. – Ahiranyjscy wysoko urodzeni? Plotkujące pokojówki? Jakiś strażnik albo kupiec?

– Wolę nie mówić.

– Bhumiko. Potrzebne mi imiona. Natychmiast.

– Jeśli ktoś zwraca się do kobiety o wysokiej pozycji i prosi o anonimowość, ujawnienie imienia tej osoby sprawi, że ta kobieta nigdy już nie otrzyma kolejnego ostrzeżenia – powiedziała ostrożnie Bhumika.

– W ogóle nikt nie powinien się do ciebie zwracać – odparł generał, a jego kamienne oblicze nadało głosowi ciężar ołowiu. – Jesteś moją małżonką. A ja jestem regentem. Powinni byli zwrócić się do mnie.

– Nie przekazałam ci niczego nieprawdziwego – rzekła cicho Bhumika. – Przykro mi, że stanowią źródło tych wieści. Ale jestem twoją żoną. Nie okłamałabym cię w takiej kwestii.

– Każdy, kto dysponuje wiedzą wartą przekazania, powinien być pomówić z dowolnym z moich doradców – rzekł z lekceważącą łagodnością. – Albo z moimi strażnikami. Moimi ludźmi. Nie z tobą. Usłyszałaś pozbawione podstaw, szkodliwe plotki, Bhumiko, nic więcej. Nikt nie powinien się do ciebie zwracać w twoim wrażliwym stanie.

Pełna prawda wisiała jej na końcu języka.

Tak wiele razy chciała być z nim szczerą. Tak wiele razy omal nie powiedziała mu, czym była.

Gdy za niego wyszła, otoczyła ją iluzja. Nie zawsze ją skrywała, jednak czasami przysłała jej oczy. Czasami wierzyła, że kocha Wikrama. Czasami była mu wdzięczna za wspaniały mahal, za danie jej możliwości zapewnienia bezpieczeństwa garstce ludzi.

Och, starannie odsuwała te uczucia od siebie, by pamiętać, co kryje się pod tym wszystkim. Poślubiła regenta Ahiranji. Poślubiła człowieka, który podzegał do zamordowania jej rodzeństwa i spaliłby również ją, gdyby nie miała rodziny, która kochała ją zbyt mocno, żeby z niej zrezygnować; rodziny, która dysponowała wpływami politycznymi pozwalającymi wymazać jej przeszłość, by ją ocalić. Jeśli jednak żyje się z kimś wystarczająco długo, śpi w łóżku tej osoby, nawet jeśli wynika to z pobudek politycznych, zaczyna się coś czuć. Takie rzeczy są nieuniknione.

Jednak to nie miłość próbowała teraz ściągnąć prawdę z jej języka. To złość wyrastająca z furii wzbudzała w niej chęć, by mówić.

Miał o niej tak niską opinię. Tak niską.

Wiesz tak niewiele, mężu, myślała. Mój świątynny brat dobrze wykorzystywał czas – gromadził siły, czekał, aż będzie mógł przejąć moc bezśmiertnych wód, zanim zamorduje ciebie oraz wszystkich innych Paridźatczyków w tym kraju. A teraz moja głupia siostra odnalazła drogę do wód i sama zagarnęła ich moc, zamiast oddać ją jemu. Zatem jeśli chcesz, by twoja władza przetrwała, Wikramie, jeśli chcesz, by Ahiranja nie spłynęła krwią, posłuchasz mnie. Posłuchasz.

Nie. Nie mogła mu tego powiedzieć. Mimo to czuła w sobie jad, gdy rzekła:

– Czy wspomnisz moje ostrzeżenie, gdy buntownicy rozerwą miasto na strzępy, gdy nasz dom i zależne od nas osoby spłoną? Pożałujesz, że mnie nie posłuchałeś, Wikramie, tylko dlatego, że jestem jedynie twoją żoną. Jeśli nie umiesz mi zaufać, to dlaczego mnie poślubiłeś?

Powiedziała zbyt wiele. Zdawała sobie z tego sprawę, gdy spoglądała mu w twarz.

– Mówisz nieproszona – oznajmił. – Twoja pozycja nie pozwala ci zwracać się do mnie w taki sposób. Nie pozwala ci nawet na to, by mnie pouczać. – Jego twarz ściągnęła się. Widziała, że zmagał się z własną złością, że próbował się jej opierać, lecz poddał się i dodał: – Gdybym chciał mądrej i roztropnej żony, poślubiłbym kobietę z Paridźatu.

– Zyskałeś lojalność ahiranyjskich wysoko urodzonych, ponieważ poślubiłeś mnie, kobietę Sonali – rzekła nie bez dumy, a na pewno nie bez gniewu. – Wiem, ile to jest warte. Po tym, jak zabiłeś świątynne dzieci, woleliby splunąć na twój cień. I jaka wysoko urodzona Paridźatka zechciałaby ciebie, piastującego stanowisko regenta wyłącznie na podstawie zasług zamiast banalnych więzów pokrewieństwa?

Nagle znalazł się tuż przy niej. Zaciśnął dłonie na jej ramionach. Dopiero po chwili zarejestrowała ból, poczuła ukąszenia jego palców, ich niedbałą, mimowolną siłę miażdżącą mięśnie jej rąk, jej kości.

– Dość. – Potrzaskała ją, zaledwie odrobinę, jakby była zwierzęciem, które należy zmusić do spokoju, a jej od tego zadzwoniły zęby i zaciśnęły się wnętrzności. – Imiona, Bhumiko, albo nic.

Nie obnażyła przed nim zębów. Nie zaciśnęła dłoni wokół jego gardła. Spuściła wzrok. Imiona albo milczenie? Cóż, zatem będzie musiała zaoferować mu milczenie.

Jej nagła potulność musiała go zaskoczyć. Poczuła, że jego uścisk nieco słabnie. Spojrzała na Wikrama i zorientowała się, że on zerka na wypukłość jej brzucha.

– Wezwę lekarza – powiedział i usłyszała w tych słowach bogactwo znaczeń: obawę, że być może skrzywdził ją, a co za tym idzie: skrzywdził tkwiące w niej dziecko. Przekonanie, że wszystko, co mówiła, stanowiło owoc jej ciała, jej ciąży, tak zwanych kobiecych słabości serca i organizmu, a nie świadectwo jej intelektu, jej zmysłu politycznego i wszystkiego, czym była. – Koniec z tym. – Położył dłoń na jej brzuchu, ciepłą i władcą. – Tylko dziecko się liczy, Bhumiko. Skup się na nim.

Dziecko nie powinno być łańcuchem służącym do tego, by skuć kobietę niczym bydło na roli, nie powinno być celem samym w sobie, życiem, którego sama by nie wybrała. A jednak w tym momencie poczuła z bolesnym rozżaleniem, że Wikram użyłby tego dziecka, żeby ją pomniejszyć i odsunąć na bok. Nienawidziła go za to, że skradł cichą i dziwną intymność jej oraz produktu jej ciała i krwi, by uczynić z tego broń.

– Tak uczynię – rzekła łagodnie. – Przepraszam.

Bolały ją ręce. Nie mogła polegać na Wikramie. Nie mogła go nawet wykorzystać. Będzie musiała sama walczyć z Aśokiem. Niech więc tak będzie.



37

PRIJA

Znajdowała się pod wodą przez minuty, godziny lub stulecia. Nie wiedziała.

Woda płynęła przez nią. Przelewała się przez jej płuca. Przez krew. Nie była zimna ani słodka. Była niczym nieustępliwy ogień przeżerający jej mięśnie i szpik. Pomyślała, że umiera, z początku szaleńczo, a później ze spokojem, gdy jej strach dryfował w dal wraz ze wszystkim innym, co się w niej znajdowało. Miała wrażenie, że została wypłukana do czysta. Jakby była jednym z tych orzechów kokosowych, które kiedyś pragnęła stawiać na ołtarzu. Rozszczepiona, z wydrapanymi, posiniałymi wnętrzościami, które rozkwitły.

Obrazy wymykały się jej z umysłu równie szybko, jak się pojawiały: wielkie rzeźbione twarze z drewna obracające się ku niej, pożerane przez płomień wylewający się z ich ust. Pękające ciała, trzy rzeki wód wyciekające z ich wnętrz, które były puste, otwarte na próżnię. Głosy jazgotały jej w uszach, ale nie potrafiła ich zrozumieć. Wierzyła stopami i machała rękoma, wznosząc się lub zanurzając głębiej. Nie umiała odnaleźć się w przestrzeni. Musiała zaczerpnąć tchu. Musiała się wydostać.

Słyszała dudnienie ciszy.

W te miejsca w jej duszy i kościach, które zostały wydrążone, wlewała się magia.

Widziała pod sobą sangam. Widziała cały świat. Czowała las Ahiranji: każde drzewo, każdy owoc, każde pełznące pnącze, owady przekopujące się przez glebę. Czowała swoich pobratymców. Bhumikę w jej pałacu różanym. Aśoka w głębi lasu, kroczącego po ziemi bogatej w kości. Czowała też inne dusze. Innych pobratymców. W lesie byli inni tacy jak ona, którzy przemieszczali się, oddychali i żyli.

Nie była taka samotna, jak uważała od tak dawna.

Wypuściła gwałtownie powietrze – z zaskoczenia, śmiejąc się lub spazmatycznie chwytając na nowo oddech, nie miała pewności – a woda wlała się głębiej i szerzej, pochłaniała ją, podczas gdy ona pochłaniała wodę.

Później nie było już niczego. Przez długi czas.



Później. Później.

Jej głowa przebiła powierzchnię wody. Wdychała chłodne powietrze, chwytając je łapczywie, bolały ją płuca.

Przetrwiała. Była dwukrotnie zrodzona.

Nie czuła niczego pod stopami, gdy wierzgała nimi, by utrzymać się na powierzchni. Była jedynie woda, bezdenne pod jej ciałem. Powierzchnia wokół niej migotała, jakby upstrzona plamkami słonecznego światła przeciskającego się przez liście. Jednak tak głęboko pod ziemią nie było drzew ani korzeni. Ponad nią znajdowała się tylko ciemna jaskinia Hirany.

Podpłynęła na brzóg i podciągnęła się na chłodną ziemię. Ubrania miała przemoczone, ciężkie. Tak samo włosy. Wyżęła je lekko. Jej wnętrznosci wciąż śpiewały i paliły, choć było jej zimno.

Nie pamiętała, co dokładnie nastąpiło, gdy zanurzyła się pod wody. Wspomnienia już zaczęły się jej wymykać niczym piasek przesypany się między palcami. Wiedziała jednak, co czuła teraz: moc, którą promieniował każdy skrawek jej ciała. Moc rozkwitającą niczym kwiaty pod powiekami, gdy je zacisnęła i wydała z siebie chrapliwy, radosny śmiech. Kiedy na powrót otworzyła oczy, ujrzała małe pąki, które

rozwinęły się spod gleby pod jej kolanami. Zaciśnęła palce wokół jednego z nich. Był ciepły.

Odetchnęła powoli, czując, jak magia przelewa się przez nią z szokującą, wspaniałą swobodą. Ziemia zadrżała nieznacznie. Następnie jej powierzchnia rozstąpiła się i nagle wszędzie wokół niej pojawiły się pączki, a korzenie i liście wyłaniały się z paszczy chłodnej gleby.

Prija znów się roześmiała. Nie umiała się powstrzymać. Była dwukrotnie zrodzona, odnalazła wody, była silna. Czuła się niewyciężona. Czuła się tak, jakby mogła w tym momencie odwrócić się i znowu zanurzyć pod wodę, przyjąć na siebie całą moc trzykrotnie zrodzonych.

Ale nie. Nikt tak nigdy nie zrobił. Chyba nie bez powodu? Nie wiedziała. Niczego nie wiedziała. Ale jej wiedza lub niewiedza były nieistotne. Miała to. Miała dar żyjący w niej.

Pamiętała, że niektóre dzieci, które wzniosły się z wody, umarły... później. Ale jeśli tak miał wyglądać jej los, nie zamierzała zastanawiać się nad tym teraz. Poprzez blask niewyciężonej mocy czuła Aśoka miotającego się w jej czaszce, wołającego ją, rozwścieczonego.

Pragnął tego, co ona miała. I wiedziała – z sięgającą do szpiku kości pewnością kobiety, która wcześniej czuła jego pięść wokół swojego serca – że nie może mu tego dać.

Wspinała się coraz wyżej. A gdy wyłoniła się na powierzchnię Hirany, obróciła się i spojrzała na wejście do bezśmiertnych wód. Nachyliła się do przodu. Dotknęła palcami kamienia. Tą samą krwawiącą, szarpiącą mocą ściągnęła skałę za sobą. Zapieczętowała drogę.

Teraz Aśok nie zdoła jej odnaleźć bez niej.

Szła przez Hiranę, przez puste korytarze, przez triweni. Powietrze było chłodne i miękkie, podłoga dziwnie ciepła. Zupełnie jakby Hirana ożyła, śpiewała w jej obecności – w obecności dwukrotnie zrodzonej kroczącej po jej powierzchni.

W korytarzu prowadzącym do pokoju Malini było cicho. Pchnęła lekko drzwi, spodziewając się znaleźć księżniczkę w takim stanie, w jakim ją zostawiła, śpiącą na czarpaju. Zamiast tego Malini siedziała i trzymała się za policzek. Pomiędzy jej palcami Prija dostrzegła mroczny cień siniaka.

Wyczuła za sobą ruch od strony narożnika przy drzwiach. Nagle coś ostrego znalazło się pod jej brodą. Poczowała coś ciepłego. Wilgoć nie wody, lecz krwi, dłoń Pramili drżącą na ostrzu.

Ty truć mi pierwsza.

Malini nie powiedziała tego, oczywiście. Ale pomyślała. Siedziała zupełnie nieruchomo, z pięściami zaciśniętymi na kolanach oraz szeroko rozwartymi oczyma, i myślała o tym z całą kotłującą się w niej furią. Nie musiała udawać delikatności lub słabości, gdy Pramila stanęła przed nią, by ją oskarżyć o potajemne podtrucie, gdy ją spoliczkowała, gdy nazwała ją istotą nieczystą, złą do szpiku kości. Księżniczka czuła na języku smak metalu, utrzymujące się wspomnienie igłokwiatu starannie zaaplikowanego jej przez Priję ostatnim razem, gdy Malini obudziła się na chwilę.

Kiedy Pramila uderzała ją drugi i trzeci raz, księżniczka sprzeciwiła się wszystkiemu, co kobieta mówiła. Nie, nie podtruła jej. Nie, nie istniał żaden spisek przeciwko niej. Malini posłusznie wypijała wino, przyjmowała lekarstwo zgodnie z oczekiwaniami. Nie, Prija nie zdradziła Pramili. Prija była lojalna.

A jednak, pomimo wszystkich jej kłamstw, wypowiedanych z całą szczerością, jaką księżniczka umiała z siebie wykrzesać, oto jak wyglądała sytuacja: Pramila z zaczerwienionymi oczyma i wściekłą, z dłonią trzęsącą się na rękojeści noża. Prija z lekko uniesioną głową i wąską strużką krwi spływającą jej po szyi.

– Dlaczego trzymasz nóż przy gardle mojej służącej? – zapytała Malini, pozwalając, by w jej ostatnie słowa wdarło się drżenie. Nie miała z tym trudności. To naprawdę niezwykle, jak głos trzęsący się z wściekłości przypomina głos trzęsący się ze strachu. Jak Pramila śmiała. Jak ona śmiała. – Pramilo, nie rozumiem. Dlaczego to robisz? Co takiego zrobiłam, by cię urazić?

– Och, nie próbuj ze mną tych sztuczek, ty szczwana suko – odparła Pramila gniewnie, a jej dłoń poruszyła się lekko od siły targających nią emocji. – Być może zajęło mi to trochę czasu, Malini, ale teraz już wiem. Użyłaś tej dziewczki, żeby mnie podtruć, prawda? Chcesz mojej śmierci. Cóż, nie mogę cię zabić... – Chwiejny oddech. – Ale ona jest zdrajczynią.

Prija była przemoczona. Włosy kleiły jej się do ramion. Woda ociekała jej z rąbka sari, a krew na szyi zmieniła się z czerwonej w bladoróżową. Gdzie ona właściwie dotąd przebywała? Malini tkwiła w oparach mdłości od matki jedne wiedzą jak dawna i najwyraźniej sporo się wydarzyło podczas jej nieświadomości. Przekląć to wszystko.

Prija wydawała się dziwnie spokojna. Napotkała wzrok księżniczki. Co chciała jej przekazać? Co oznaczał ten spokój?

Malini nie potrafiła zrozumieć. Była zmęczona, wyczerpana snami pełnymi wyrzutów sumienia i trucizną.

– Prija jest lojalną służącą – zdołała wykrztusić niepewnym głosem.

– Lojalną wobec ciebie.

– Jest dobrą dziewczyną – powiedziała księżniczka, choć zdawała sobie sprawę, że ciągnięcie tego kłamstwa niczemu nie służy. A jednak wciąż widziała ten nóż. – Prostą dziewczyną.

– Nawet nie wiem, czyby cię zasmuciło, gdybyś ją straciła – wycedziła Pramila. – Po mojej Narinie pewnie nawet nie zapłakałaś, prawda? A miała być dla ciebie jak siostra. Och, przecież z radością pozwoliłaś jej umrzeć. Jakie znaczenie może mieć dla ciebie prosta, głupia pokojówka?

Tym razem to nie przypadkowe drgnięcie utoczyło krwi ze skóry Prii. Był to celowy ruch dłoni Pramili. Służąca lekko rozchyliła usta.

A Malini poczuła, jak coś w jej wnętrzu się zaciska.

Zamknięta w tym więzieniu stała się cieniem dawnej siebie. Dręczyła ją przeszłość. Przeszłość spowitej w kwiaty księżniczki Paridżatu o przebiegłym uśmiechu i głosie pełnym tajemnic, która dysponowała chęciami i środkami, by zrzucić Ćandrę z tronu. Teraz możliwość

ponownego stania się choćby cieniem tamtej kobiety leżała tak daleko poza jej zasięgiem.

Jednak nagle przestało to już mieć znaczenie. Nagle jej kręgosłup stał się jak z żelaza. Na języku czuła smak krwi, zupełnie jakby rana Prii krwawiła w jej wnętrzu. Nie potrzebowała kwiatów, dworu czy łask należnych księżniczce, żeby być tym, kim była.

– Pramilo – oznajmiła. Wylał się z niej jej dawny głos, głęboki jak woda. – Opuść nóż. Nigdy dotąd nie zabijałaś. Czy zamierzasz zacząć od niej?

Pramila znieruchomiała. Dotąd Malini drżała, a teraz jej nagła siła stała się bronią samą w sobie.

– Potrafię zrobić to, co trzeba – wykrztusiła starsza kobieta.

– A czy trzeba zabić zwykłą służącą? – spytała Malini, pozwalając, by głos spłynął z jej warg niczym jedwabna pętla. – Daj spokój, Pramilo. Nigdy nie byłaś okrutna. – Kłamstwo, jednak takie, w które Pramila wierzyła i które ugodzi ją jak prawda. – Jedynym morderstwem, które powinnaś popełnić, jest zabicie mnie. I nawet przed tym się opierasz, nieprawdaż? Podajesz mi igłokwiat, ale za mało, by zabić mnie szybko. Błagasz mnie, żebym wybrała stos, ale sama go pode mną nie podpalisz. W tej kwestii jesteś bardzo podobna do mojego brata. – Malini pozwoliła, by do jej głosu wkradła się litość. – On też nie może znieść myśli, że powaląby sobie ręce krwią. Postanowił zrzucić moją śmierć na ciebie. Powiedz mi, czy jest niezadowolony, że wciąż żyję? Czy moje dalsze istnienie uważa za porażkę?

– Tak wiele razy marzyłam, że sama cię zabiję – wycedziła Pramila. – Uwierz mi. Nie boję się krwi na rękach. Ale w przeciwieństwie do ciebie, księżniczko, próbuję robić to, co słuszne. Tyle razy starałam się przekonać cię, że śmierć cię oczyści. Ale teraz, gdy przebudziłam się wielokrotnie ze snu przetykanego koszmarami, gdy śniłam narkotyczne sny, w których moja córka krzyczy... – Pramila przełknęła z trudem ślinę. Uniosła nóż nieznacznie wyżej.

Szersza strużka krwi spłynęła po skórze Prii.

– Nie skrzywdź jej – rzekła Malini, z przerażeniem słysząc, że głos zadrzał jej teraz mimowolnie. Na matki, czymś innym było wprawiać go w drżenie, gdy tego chciała, a zupełnie innym słyszeć w nim niepewność, kiedy już na chwilę zdołała objąć Pramilę władczą aurą i być może zdoła to powtórzyć. – Przestań... Pramilo, ona jest niczym.

– Niczym – powtórzyła starsza kobieta. – Niczym, a jednak... spojrz tylko na siebie. Zamierzasz się rozplakać? Myślę, że to możliwe. Jeśli ponizasz się już do tego, by płakać nad służącą, to... dobrze. Dobrze! –

Śmiech Pramili brzmiał bardziej jak łkanie, jak niepokojąca wstęga smutku. – Zabrałaś mi wszystko!

Dawniej Malini czuła się bezradna. Teraz ta bezradność zniknęła, choć powinna w niej trwać. Pulsował jej policzek. W głowie wirowały gwiazdy.

– Jeśli ją zabijesz – odezwała się głosem wydającym się dobiegać skądś poza nią, z jakiegoś dawnego życia wykraczającego poza śmiertelność – to nie masz pojęcia, co to ze mną zrobi. Dopilnuję, żeby spotkał cię upadek, Pramilo. Dopilnuję, żeby spotkał on twoje żyjące córki. Wymażę z tego świata wszystko, co sprawia ci radość. Zamorduję więcej niż tylko twoje ciało. Zamorduję twoje serce, ducha i całą pamięć twojego imienia oraz rodu. Przysięgam.

– Naprawdę? Naprawdę to zrobisz? – Dłoń Pramili nie drżała już na nożu, trzymała go tak blisko gardła Prii, że służąca nie była w stanie przez niego oddychać. – Nie znajdujesz się już w Paridżacie, księżniczko Malini. Nie masz pod ręką szpiegów, żadni płaszczący się głupi chłopcy nie podążają za tobą na każdym kroku. Jesteś brudną, nieczystą zdrajczynią i umrzesz w obcej ziemi w należytym ci hańbie.

– Wciąż jestem tym, czym byłam zawsze – odparła Malini, choć wiedziała, że Pramila tego nie zrozumie. Kobieta nigdy nie rozumiała nawet własnego dziecka, mądrej i uszczypliwiej Nariny, która zginęła, wierząc w coś ważnego, która wciąż nawiedzała Malini. – Wprowadziłam w ruch wiele kwestii, Pramilo. Mogę wprowadzić kolejne, zanim przyjdzie po mnie śmierć.

Kobieta roześmiała się.

– Co za puste groźby, Malini! Nigdy nie sądziłam, że zobaczę, jak tupiesz nóżką i pokrzykujesz jak mała dziewczynka, a jednak robisz to. Przecież...

Pramila nagle urwała i zakrztusiła się. Coś owinęło się jej wokół gardła: wielki, sękaty splot pnący, gleby i korzeni.

Malini tak bardzo skupiała się na nożu przyciskanym do szyi Prii, że nie zauważała, co działo się na ziemi. Teraz jednak dostrzegła cienkie macki ciernistych winorośli, które wypełzły z podłogi, przepłotły się przez kratownicę ukrytą za zasłoną i przez szczelinę pod ciężkimi drzwiami. Wpełzły po ciele Prii, po jej nadgarstku i ramieniu, aż na jej kark, gdzie spotkały się całym kłębem wokół gardła Pramili.



Pnącza zacisnęły się mocniej. Wyglądająca na bardziej zirytowaną niż przed chwilą – jeśli w ogóle można było mówić o jakichkolwiek jej emocjach – Prija sięgnęła do nadgarstka Pramili i chwyciła go mocno. Palce kobiety zdrząły, gdy starała się zaczerpnąć tchu i walczyła z chwytem służącej. Nóż brzęknął o podłogę.

– Przepraszam – rzekła Prija, pochylając się i podnosząc broń. Cierniste macki odsunęły się od niej, nie zostawiając śladu na jej ubraniu i skórze. – Nie miałam pewności, czy zdołam to zrobić.

– Robiłaś coś podobnego już wcześniej? – zapytała Malini, czując dziwny głód u podstawy czaszki, gdy obserwowała, jak Prija obraca nóż w dłoni. Powiedz mi, czym jesteś, mówił ten głód. Powiedz mi, czym jesteś, czym jest każda twoja warstwa, powiedz mi, jak mogę cię wykorzystać...

– Nie. – Służąca schowała nóż. – Nie. Znalazłam coś, co niegdyś należało do mojego ludu. A teraz mam nowe... dary. I nową broń.

Nauczycielka księżniczki z dzieciństwa – myślicielka, którą matka kazała jej nazywać nianią, gdyby ktokolwiek pytał – przekazała Malini, Narinie i Alori wiedzę o Ahiranyjczykach oraz rządzącej nimi niegdyś radzie. Wprawdzie Malini już wcześniej wiedziała, co Ahiranyjczycy kiedyś umieli zrobić – wyciągnęła te informacje z dawnych szkolnych zwojów na temat Epoki Kwiatów i z ludowych opowieści – jednak to myślicielka szczegółowo opisała jej wszystkie dary, które tamci kiedyś rzekomo posiadali. Nieludzka siła. Władza nad naturą, tak mocna, że umieli rozrywać ziemię i poddawać ją swojej woli. Był to odprysk straszliwej magii jakszów, zrodzony w wyniku prób przeprowadzanych w ich świętych bezśmiertnych wodach. Wodach, które zostały utracone, gdy zginęli świątynni starsi i ich dzieci.

Prija spojrzała na Pramilę, która wciąż starała się chwycać powietrze. Ciągle trzymała nóż.

– Zabijesz ją? – spytała Malini, wychylając się na czarpaju. Ból, jaki czuła w policzku i żuchwie, jedynie nasilał jej żądzę krwi.

Być może jednak zabrzmiała zbyt entuzjastycznie, ponieważ Prija zmierzyla ją spojrzeniem i zmarszczyła czoło.

– Nie – oznajmiła służąca, gdy Pramila osuwała się za jej plecami na podłogę. Zamknięte powieki kobiety trzepotały. – Jest teraz nieprzytomna. Nie może nas skrzywdzić. W końcu nie będziemy tu już długo.

– Wolalabym, żebyś ją zabiła – powiedziała Malini.

Prija milczała przez chwilę. Następnie ręką do przodu podała nóż księżniczce. Kocie oczy Prii pozostawały półprzymknięte, jej wargi

zaciskały się w wąską linię. Wyglądała jak rzeźba jednej z matek, wcielenie surowej furii.

– Skoro chcesz jej śmierci, to sama ją zadaj – rzekła.

Przez moment Malini to rozważała. Szczerze rozważała. Miała przed sobą nóż. Pramila wciąż leżała na podłodze. Byłoby to proste.

Ale nie potrafiła zapomnieć twarzy Nariny. Jej szeptu, zanim podeszły do stosu.

„Chcę zobaczyć matkę”.

Prija odczekała jeszcze jedno uderzenie serca. Cofnęła dłoń – wraz z nożem.

– Tak sądziłam – stwierdziła.

Cierniste pnącza wiły się po podłodze, podążając za jej krokami. Wyglądała niemal dokładnie tak jak zawsze: z orlim nosem, ciemnoskóra, z włosami może nieco bardziej mokrymi i potarganymi niż zwykle. A jednak otaczała ją aura mocy, widoczna w kamieniu i roślinności, w leżącej nieruchomo Pramili.

W tym, jak trzymała nóż, jak nie dało się w niej dostrzec nawet śladu pokory.

Prija już wcześniej twierdziła, że są sobie równe. Teraz jednak spoglądała na Malini tak, jakby to ona była służącą i petentką, a Prija spadkobierczynią pradawnego tronu.

– Ostatni układ – rzekła Prija głosem szorstkim jak szelest liści. Machinalnie uniosła dłoń, by zetrzeć sobie krew z gardła. – Malini. Pójdź ze mną na ostatni układ.

– Czego mogłabyś ode mnie chcieć? – spytała księżniczka przez wyschnięte gardło.

– Nie ma wiele czasu. Ktoś po mnie idzie. – Prija wypowiadała te słowa ostrożnie. Nie mrugała. – Ktoś chce wód, które przekazały mi ten dar. Ktoś chce nowej mocy, większej mocy, by móc zniszczyć władzę Paridżatdwipy nad Ahiranją.

– Skąd buntownik wie, że znalazłaś te magiczne wody?

– Czuje to – odparła krótko Prija.

– Czy jest tutaj wiele osób obdarzonych magią?

– Ahiranja nie jest podobna do Paridżatu.

– Nic nie wiesz o Paridżacie.

– Stanowię część Paridżatdwipy, nieprawdaż? – odparła Prija. – Sporo wiem o tym, jak to jest należeć do twojego kraju. Zapewne więcej niż ty.

Malini popatrzyła na nią. Pomyślała, że w ogóle nie zna tej kobiety.

A jednak nie przerażało jej to w takim stopniu, w jakim powinno. Zdawała sobie sprawę, jak wiele twarzy posiadali ludzie, poukrywane jedna za drugą, potworne i dobre, tchórzliwe i odważne, wszystkie z nich prawdziwe. Już za młodu nauczyła się, że brat wychowywany w świetnych warunkach może bez powodu zmienić się w brutala. Bez żadnego powodu. Spotykała się z lordami, księżętami i królami, by przekonywać ich do wizji cesarza Aditji na tronie. Znała rozmiary i siłę ich osobistych armii, imiona ich żon, zakres ich chciwości i szeptu o ich grzechach. Poznała ich i nauczyła się ich, jak człowiek uczy się każdego nieznanego. Odkrywała ich osobiście, zaglądała im do wnętrza i kontrolowała ich, a przy tym wciąż była świadoma, że pod tymi wszystkimi starannie skatalogowanymi pragnieniami i słabościami zapewne leżało zatrzęsienie tożsamości, których nigdy nie zobaczy.

Twarz, którą Prija przybrała teraz, była znajoma. Nosila ją, gdy zabiła tamtą służącą w triweni, gdy Malini pierwszy raz wejrzała w nią i pomyślała: ona mogłaby mi się przydać. Była to twarz świętynnej córki, onieśmielającej i dziwnej. Prija nie była zaledwie pokojówką albo bronią. Była czymś więcej, a księżniczka nie umiała jej opisać.

– Malini – powiedziała Prija z nagłym niepokojem – rozumiesz mnie?

– Tak.

– Potrzebujesz dawki igłokwiatu. – Prija dotknęła dłonią gardła, nie rany, tylko zakorkowanej buteleczki wciąż wiszącej bezpiecznie na sznurku.

Malini po chwili pokręciła głową.

– Nie potrzebuję go – zapewniła. To nie choroba rozpraszała jej uwagę. Opuszki palców mrowiły ją, jakby w ich wnętrzu płonął ogień. – Kontynuuj.

– Malini...

– Mów dalej o tym swoim układzie – rzuciła księżniczka ostro. – Podobno nie mamy wiele czasu.

Dłoń Prii znieruchomiała.

– Dobrze – rzekła. – Chcę wolności dla Ahiranji. Pełnej. Nie życzliwości czy szczodrości ze strony twojego cesarza Aditji, nie łaski zsyłanej z wysoka. Ahiranja nie potrzebuje być kolejnym krajem powiązanim z cesarstwem. Pragnę naszej niepodległości. Uwolnię cię, Malini. Dopilnuję, żebyś dotarła do swojego bezimiennego księcia i jego ludzi. Zaś ty w zamian obiecasz, że oddasz mi Ahiranję.

– Tobie – powiedziała powoli księżniczka. – I co z nią zrobisz? Zostaniesz jej królową?

Usta Prii wykrzywiły się w uśmiechu.

– Nie zostanę – oznajmiła. – Ale przynależność do Paridżatdwipy nie dała temu krajowi nic dobrego. Możesz zapewnić, jak uprzejmie traktowałby nas twój brat Aditja, ale zawsze byłibyśmy psami u jego stołu. Zawsze byłibyśmy gniewni, gdybyśmy pozostali przykuci łańcuchami do jego cesarstwa.

Malini przez chwilę nic nie mówiła. Taka przysięga wiązała się z konsekwencjami. Nie mogła sama jednostronnie zmienić kształtu Paridżatdwipy. Nie mogła wiedzieć, co powiedzą Aditja i jego ludzie w reakcji na głupią przysięgę kobiety.

Och, przysięgi można było łamać. Oczywiście, że tak. A jednak perspektywa okłamania Prii nie wydawała się całkiem... bezpieczna. Co gorsza, Malini po prostu nie chciała łamać złożonej jej obietnicy.

Skądś poniżej nich dobiegł dźwięk. Prija zacisnęła mocniej szczęki.

– Przysięgnij mi to albo w ten czy inny sposób tutaj zginiesz.

– Zatem mimo wszystko mnie zabijesz?

– Nie, ty głupia kobieto – odparła Prija z roziskrzonym wzrokiem. – Nie. Nigdy bym tego nie zrobiła.

Malini nie była pewna, czy rozumiała, co poczuła w tym momencie, czy pojmowała tę rozszalałą burzę emocji, ale rozumiała, jaki przedłożono jej wybór.

– Przysięgam – powiedziała. – Jeśli uratujesz mi życie, jeśli spotkam się z Rao, wówczas Ahiranja będzie twoja.

– W porządku. – Prija odetchnęła powoli. Otaczające ją ciernie cofnęły się. Pnącze zaciskające się na gardle Pramili zwiędło. – Musimy iść. Już.

Gdy rozbrzmiała koncha, Bhumika była przygotowana. Siedziała w swoich komnatach w pałacu różanym z otwartymi kratownicami okiennymi. Wsłuchiwała się w hałaśliwy dźwięk odbijający się echem nad Hiraną, nad miastem migoczącym już blaskiem płomieni.

Trudno było prześledzić ścieżkę ognia, ale Bhumika próbowała. Najsilniejsze światło biło z okolic samego mahalu, z dzielnicy, którą zamieszkiwali najbogatsi. Wszyscy doradcy jej małżonka. Wysoko urodzeni Paridżatdwipańczycy. Kupcy. Najstarsze szlacheckie rodziny Ahiranji.

Jej wuj.

Obróciła się i napotkała wzrok Khalidy.

– Wezwij tu służących – poleciła. – Po cichu.

Nadeszła idealna chwila. Strażnicy będą zajęci strzeżeniem bezpieczeństwa mahalu. Nie zainteresują się garstką kobiet i dzieci biegnących do azylu, zwłaszcza gdy Khalida będzie w tak oczywisty sposób eskortować ich na rozkaz ich łaskawej pani.

Czekała. Słuchała krzyków w oddali. W jej umyśle migotał sangam, pełen furii i bólu Aśoka, wilgotny od krwi.

Wprowadzono służące i dzieci. Spoglądali na nią nerwowo. Niektórzy młodszy płakali.

– Miasto płonie – oznajmiła Bhumika bez wstępów. – Buntownicy zaatakowali tych, których uważają za zagrożenie dla Ahiranji oraz jej potencjalnej wolności. – Wszystko i wszyscy pozostali, drewniane domy Hiranaprasthy, ich mieszkańcy, nawet niewinna służba z mahalu, były przez jej brata uważane za straty uboczne. – Zaatakują mahal. Być może przełamia linię obrony. I przyjdą po nas. – Popatrzyła po kolei po nich wszystkich. – Gdy dawałam wam miejsce w tym domostwie, obiecałam wam, że będziecie bezpieczni. Nie pozwolę, by tej nocy moja przysięga została złamana.

Milczeli z zapartym tchem. Nawet dzieci się uciszyły.

– Otrzymacie broń – powiedziała. – Mam łuki dla tych, którzy umieli polować, zanim tu przybyli. Topory dla najsilniejszych z was. Sztylety dla najmniejszych. Khalida pokaże wam, jak przygotować wrzątek i gorący olej, które można łączyć z murów, jeśli będzie trzeba. Mam jednak nadzieję, że takie środki nie okażą się konieczne.

– Okażą się konieczne – odezwał się głos. – Pani Bhumiko, przykro mi. Mamy zdrajcę.

Jedna ze służących, Gauri, pociągnęła Rukha za rękę, by znalazł się na przedzie. Rzuciła go na podłogę. Nie miał chusty. Jego nagie, przerośnięte butwieniem ręce były pokryte liśćmi, ociekające żywicą ciernie wystawały mu z barków.

– Powiedz jej – poleciła służąca. – Powiedz jej to, co mówiłeś mnie.

– To moja wina, że wedrą się do mahalu – wykrztusił chłopiec. – Buntownicy poprosili mnie, żebym dla nich szpiegował. Żebym obserwował... – Urwał, usta odmówiły mu posłuszeństwa. – Żebym obserwował... kogoś. I znalazł drogę do środka.

By kogoś obserwował. Oczywiście.

Och, Prijo...

– I czy znalazłeś drogę do środka, jak prosili? – spytała Bhumika, utrzymując spokojny ton.

– Czasami strażnicy nie pilnują odpowiednio bram – wyjaśnił. – Czasami gdy przywożone są zapasy... Czasami jem w kuchni i widzę... Czasami ktoś może się wślizgnąć. Tak powiedziałem buntownikom.

– Ci buntownicy nie będą się wkradać jak złodzieje – rzekła Bhumika, myśląc o ogniu, o dymie. O tępej sile wściekłości Aśoka rozrywającej miasto. – Mimo to zdradziłeś domostwo, które się o ciebie troszczyło, Rukhu.

Wzdrygnął się.

– Przyjmę każdą karę, jaką uznasz za słuszną, moja damo – wyszeptał.

– A jaka kara powinna zostać wymierzona za współudział w zabójstwie niewinnych służących z tego mahalu? Za śmierć ludzi mojego małżonka i być może również samego regenta?

Chłopak znowu przełknął ślinę. Nie chciał tego mówić. Ale ona czekała.

– Śmierć – oznajmił w końcu. – Moja śmierć.

– Śmierć spotka cię wkrótce, nawet jeśli to nie ja ją wymierzę – zauważyła Bhumika. – Ten święty paciorek na twoim nadgarstku nie zdoła powstrzymać butwienia, które w tobie widzę.

Sklonił głowę.

Inna służąca przepchnęła się na przód.

– On jest teraz z nami, moja pani – powiedziała pospiesznie, opierając dłoń na ramieniu Rukha. – Na pewno tylko to się liczy. On... został tylko zwiedziony. Jest jedynie dzieckiem.

Prija uratowała tego chłopca. Bhumika to wiedziała. Tego umierającego chłopca, który był młody i głupi. Zaś służąca, która przyjaźniła się z Priją, obserwowała teraz Bhumikę z ostrożnością, ale i determinacją.

Gdy Bhumika spojrzała na Rukha, miał równie dzielny wyraz twarzy. Zaciskał małe piąstki.

– Nie musiałem mówić ci prawdy, moja damo. Nie musiałem. Nikt by nie wiedział. Ale nie chciałem, by ktoś tu ucierpiał. Ja zawsze... zawsze chciałem zrobić coś dobrego, coś ważnego. – W jego głosie dało się słyszeć łaknienie wykraczające poza jego wiek. – Pomagałem buntownikom, bo chciałem za coś walczyć. Chciałem, by moje życie miało znaczenie. Ale tu...

Znów urwał. Sima mocniej ścisnęła jego ramię.

– Nikt mnie nigdy nie chronił – wypalił. – Ani nie był dla mnie miły. A tu... ona... ty... niektórzy chronią.

Nie wypowiedział imienia Prii, jednak i tak malowało się ono na jego obliczu i w jego słowach.

– Nieważne, jaka będzie kara, przyjmę ją – rzekł drżącym głosem. – Ja... ja nawet umrę, damo Bhumiko. Ale wolałbym zrobić, co tylko będę mógł, żeby ochronić mahal. Tego właśnie bym chciał.

– Zatem oto moja kara dla ciebie, chłopcze – odparła Bhumika. – Jeśli chcesz coś zmienić, będziesz to czynił w mojej służbie. Będziesz służył mi lojalnie aż do śmierci. Koniec ze zdradami. Będziesz mój aż do twojego ostatniego tchu. Czy przysięgniesz to na swoją duszę i życie?

Za jego plecami przez drzwi skryte w cieniu weszły postacie. Dostrzegła błysk srebra. Wąskiego jak blizna od ostrza sierpa.

– Tak – odparł.

– Przysięgnij.

– Przysięgam, damo Bhumiko.

– Dobrze. Jeśli jeszcze kiedyś zdradzisz mnie albo kogoś z moich ludzi, zginiesz.

– Tak, moja damo – odrzekł słabym głosem. Sima wreszcie zmniejszyła nacisk na jego bark i z jej ramion również zniknęło napięcie.

Rozstrzygnąwszy tę kwestię, Bhumika rozejrzała się po otaczającym ją gronie. Zostało im bardzo niewiele czasu.

– Zostanie wam zaprezentowana broń – powiedziała. – I sposób posługiwania się nią. Żołnierze dadzą wam wskazówki – dodała, pokazując podbródkiem mężczyznę stojącego przy drzwiach. Na nieskazitelnej biało-złotej zbroi na jego ramieniu lśniła obręcz dowódcy. Skinął głową i wykonał gest. Jego ludzie rozeszli się w półkole.



Khalida pomogła Bhumice zasiąść wygodnie na poduszkach rozłożonych na podłodze pod otwartym oknem, które wpuszczało wietrzyk niosący woń dymu.

Otaczały ją róże rosnące obficie w glinianych i lakierowanych donicach. Na ich ciernistych łodygach, wijących się z ogrodu do jej okien, rozkwiatały słodkie i delikatne kwiaty. Miękkie rośliny o pierzastych liściach spływały z płaskiego dachu. Każda z nich była starannie doglądana przez nią samą. Przez jej dłonie oraz, co najważniejsze, jej magię. Za każdym razem, gdy zacerpywała tchu, poruszały się wraz z nią, zupełnie jakby jej klatka piersiowa była ich glebą, schronieniem dla ich korzeni.

„Istnieje moc, która jest agresywna i na pokaz. Istnieje też moc, która narasta powoli i staje się coraz silniejsza z czasem poświęconym do jej splecenia”. Była to dawna lekcja przekazana przez starszą Sarodź. Bhumika odtwarzała ją w myślach, czekając.

– Aśoku – wyszeptała – przyjdź po mnie. Przekonamy się, kto jest silniejszy.



40

MITHUNAN

Regent krzyczał już od jakiegoś czasu, domagając się, by przyprawiono do niego komandora Dżiwana. Nigdzie nie było jednak widać oficera ani żadnego z osobistych strażników generała. Zniknęli również ludzie lorda Santosa i nikt nie był w stanie stwierdzić, gdzie się znajdują, choć jeden z odźwiernych twierdził, że kilka godzin wcześniej wyjechali w pełni uzbrojeni przez stajnie.

Wszędzie panował chaos. W jakiś sposób Mithunan – zaledwie pomniejszy wartownik, który pełnił straż na murach, ćwiczył, by od czasu do czasu wypuścić strzałę, uderzał w dzwon sygnalizujący zmianę warty i niewiele więcej – otrzymał miecz i został posłany do walki.

I w jakiś sposób trafił w ręce buntownika.

Rebeliant przycisnął go do ziemi za gardło. Raz. Drugi. Puścił. Ponad sobą Mithunan widział falującą maskę. Obok niej pojawiła się druga. Było ich dwóch.

Dźwięk obutej stopy uderzającej w ciało na ziemi. Trzech.

Za murami mahalu znalazło się ich znacznie więcej.

– Pokaż nam drogę do siedziby damy – powiedział klęczący rebeliant. – Albo zabijemy cię na miejscu.

Nie chciał tego. Byłoby to złe. Wiedział to. Ale wszędzie słyszał wrzaski i świst spadających strzał. Uderzenia i syk stali. Słyszał też wokół

siebie ciężkie oddechy innych strażników, rannych i umierających.

Nie chciał umierać.

Na lewo od niego jeden z innych wartowników uniósł się na łokciach i łapczywie chwycił powietrze.

– Nie zrobimy tego – wykrztusił wartownik. – Nie...

Urwał. W pierś wepchnięto mu drewniany miecz. Wokół rękojeści jego skóra płonęła, pokrywając się pęcherzami od gorąca. Mithunan wzdrygnął się.

– No i? – odezwał się klęczący rebeliant, wciąż go obserwując. – Co wybierasz?

– Pokażę ci – odrzekł Mithunan. Przełknął z trudem ślinę. – Proszę.

Nie.

Buntownik podciągnął go na nogi.



Żona regenta miała własny miniaturowy pałac na centralnym dziedzińcu mahalu. Gdy Mithunan chwiejnie podążał w jego kierunku z dziwnym drewnianym nożem przy plecach, potrafił tylko zastanawiać się, w jakim stopniu dym i zbrojne zmagania przekształciły nawet taki zwyczajny, maleńki fort z kwiatów. Treliaże róż, białe i żółte kwiaty na oknach – wszystko to wydawało się jakoś bujniejsze i ciemniejsze. Zieleń pnączy była głębsza, nabrała niemal oleistego zabarwienia. Okienne absurdalnie stały otworem. Zamiast kratownic widać było liście przeplecione z cieniami.

– Nie robi szczególnego wrażenia – dobiegł głos niższego z buntowników. Kobiety, jeśli oceniać po tonie.

Mężczyzna mruknął w odpowiedzi.

Pchnął nożem w przód.

Przez długą chwilę Mithunan nic nie czuł. Spuścił wzrok i dostrzegł czubek ostrza wystający mu z brzucha, otoczony krwią, zupełnie jak we śnie. Nagle zaczął się trząść. Upadł, gdy wyszarpięto nóż.

Nie powinieneś być ufać, że buntownicy cię oszczędzą, pomyślał i głos jego umysłu zabrzmiał nieco podobnie jak głos jego dowódcy – niski, drwiący, oceniający pomruk. I tak zamierzali cię zabić. Głupi chłopak.

– Trochę minie, zanim od tego umrzesz – oznajmiła kobieta. Przeszła ponad nim.

Jednak gdy dwoje rebeliantów zbliżyło się do pałacu, nagle oblał ich deszcz strzał – z dachu, z okien. Zakłęli i zaczęli z przerażającą zwinnością skakać pomiędzy pociskami. Wyglądało to jak taniec.

Wtedy ziemia... poruszyła się.

Kwiaty poszarpane jak szkło. Ciernie wygrzebujące się spod gleby, ostre niczym noże. Niczym zęby.

Słyszał to wszystko jak przez wodę. Widział, jak falują, jak się przekształcają, gdy jego już zawodził wzrok.

Ziemia połknęła stopy kobiety. Ta wrzasnęła, szarpiąc się, ale rabatka pięknych kwiatów posadzonych dawno temu własnoręcznie przez damę Bhumikę w jakiś sposób pochłonęła ją aż do kostek. Gleba wyglądała jak zakrwawiona.

Coś zielonego przebiło się przez pierś rebelianta-mężczyzny.

Tobie też trochę minie, zanim od tego umrzesz, chciał wyręzić Mithunan, jednak nie był już zdolny mówić. Wszystko się z niego wysączyło.

Ciemność otuliła go niczym płaszcz.

Dotarły do triweni. Malini czuła tam dym. Słyszała odległe dźwięki, głosy i krzyki.

– Sprowadzę cię na dół – powiedziała Prija.

Malini ze skrajy triweni spojrzała na Hiranę. Powierzchnia była nierówna, pełna śliskich odcinków i ostrych występów. Gdy wspinała się na górę, ścisnęła linę, a o jej bezpieczeństwo dbali strażnicy. Jednak w części Hirany rozpościerającej się przed nią nie było liny. Choć miała obok siebie Priję, i tak poczuła mdłości.

– Chyba nie ma innej drogi – mruknęła.

– Nie ma – potwierdziła Prija. – Już nie.

Malini przygotowała się psychicznie. Jeśli chciała odzyskać wolność, musiała to zrobić. I śmierć w wyniku upadku zamiast od trucizny czy w płomieniach byłaby czymś... nowym. Przynajmniej miała choć taki wybór.

Pozwoliła Prii wziąć się za rękę. Pierwszy krok postawiła na gruncie, który wydawał się zdradziecki i kruchy. Zupełnie jakby stała na popękanej skorupie i pod spodem miała jedynie pustkę. Później jednak powierzchnia wyrównała się. Mech wślizgnął się jej pomiędzy palce stóp. Przelknęła ślinę i skupiła wzrok na twarzy Prii.

– Mów mi, gdzie mam stawać.

– Idź po prostu za mną – odparła Prija. – O właśnie. O tak.
Wokół nich zawirował wietrzyk. Przyniósł znów woń dymu.

Księżniczka wpatrywała się w Priję i podążała za nią.

– Tak trzymaj – rzekła Prija głosem jak wiatr przelatujący przez liście. Być może chciała, żeby brzmiał kojąco. Nie wyszło. Nie do końca. – Szybciej, jeśli możesz.

– Nie mogę – wycedziła Malini.

Chciała wyjaśnić Prii, jak niewiele sił jej zostało. Jednak nagle usłyszała świst, a później łupnięcie. Prija zakłęła i puściła ją. Strzała wylądowała na ziemi u ich stóp. Malini wzdrygnęła się, walcząc z odruchem, by skulić się w kłębek albo, co gorsza, rzucić się w tył. Przez chwilę chwiała się, samodzielnie odzyskując równowagę, balansując na małej skalnej wypukłości.

Kolejny pocisk świsnął w powietrzu, a Malini zerwała się, by się przed nim uchylić.

Grunt ustąpił z trzaskiem i nagle zatoczyła się, znów kołysała się bez żadnej podpory, krzyżując przerażony wzrok z Priją. Wyczuwała ogarniającą ją panikę. Zaraz spadnie. Przewróciła się z bezdźwięcznym wrzaskiem.

I została złapana. Czuła na plecach mech, który ułożył się za nią na podobieństwo siatki. Dudniło jej serce. Zaciśnęła spoconą dłoń na skale. Tej, która akurat znalazła się pod ręką. Czuła, jak mech dalej posykuje i przekształca się za jej grzbietem, jak splata się z nienaturalną prędkością, otulając jej ciało.

Prijo...

Prija wpatrywała się w nią z otwartymi ustami.

– Nie wiedziałam, że tak umiem – powiedziała słabym głosem. Następnie, jakby wyrwała się ze stuporu, podeszła i podniosła Malini z powrotem na nogi. Nie zrobiła tego wyłącznie siłą fizyczną, choć księżniczka czuła żelazny uścisk jej dłoni i widziała zaciśnięte szczęki. Malini zdawała sobie sprawę, że dodatkowo została popchnięta przez roślinność, jakby stanowiła ona przedłużenie Prii, jakby odpowiadała na jej ruchy.

Ścisnęła nadgarstki Prii.

– Nie puszczaj mnie znowu – wydyszała.

– Nie puszczę.

– Nawet gdyby groziło nam naszpikowanie. Nie puszczaj.

– Nie puszczę – powtórzyła Prija, delikatnie opierając opuszki palców na skórze Malini, na jej galopującym pulsie. Zacieśniła chwyt i popatrzyła księżniczce w oczy. Miała poszarzałą twarz.

Schodziły po zloczu Hirany. Powoli, bardzo powoli. Wylądowała następna strzała, a Prija zakłęła gwałtownie i pociągnęła Malini w dół, za skałę. Obnażyła zęby – była to jedyna oznaka jej wściekłości, odkąd rozpoczęły zejście – po czym z powrotem podniosła księżniczkę i zaczęła ją prowadzić dalej.

– Nie próbują nas skrzywdzić – rzekła Prija cicho. – Chcą nas na tyle wystraszyć, żebyśmy stanęły, bo wtedy będą mogli po nas przyjść. Zatem możemy z tego wyjść z życiem, Malini. Obiecuję.

Malini mogłaby zapłakać, kiedy znów poczuła pod stopami solidny grunt. Jednak nie była kobietą, która tak się zachowuje, więc jedynie skinęła Prii głową, wyprostowała plecy i spojrzała w kierunku generalskiego mahalu.

Był dobrze chroniony wysokimi, niepokonanymi murami. Jak każdy tłoczny mahal, w normalnych okolicznościach nie byłby szczelny – służący i goście powinni się z niego wylewać i do niego wlewać – jednak Malini dostrzegła, że rozpoczęto już odcinanie drogi. W kratownicowych oknach było ciemno. Na dachu stali łucznicy, a groty ich strzał gorzały płomieniem.

Miasto Hiranaprastha płonęło. Dym kłębił się w powietrzu.

– Jedno z nich jest tutaj – wycedziła Prija. – Nie. Więcej. – Wciąż trzymała dłoń Malini i teraz na chwilę ścisnęła je jeszcze mocniej, zanim wreszcie puściła. Następnie odwróciła się w kierunku otwartego terenu, poznaczonego wyłącznie kępami wyższych drzew.

Pod pniami tych drzew poruszył się cień. Zaledwie przez moment.

Malini stała nieruchomo, wiatr szarpał jej włosy.

I nagle, raptownie, pojawili się.

Dwoje ludzi w drewnianych maskach przedstawiających wielkie, przerażające, rzeźbione twarze pognało ku nim. Prija bezceremonialnie pchnęła Malini na ziemię, a księżniczka opadła bez protestu. Nie chciała umierać w taki sposób – nie, gdy wolność majaczyła już tak blisko, nie, gdy miała szansę dotrzeć do Rao i Aditji, dokonać zemsty, której tak pożałowała. A walka nigdy nie stanowiła jej mocnej strony.

W przeciwieństwie do niej Prija poruszała się z jadowitą zwinnością żmii. Nie była wysoka, ale w jej ramionach, w węzłach mięśni jej rąk kryła się siła. Pierwszego buntownika uderzyła barkiem w żołądek i wylądowała wraz z nim na ziemi. Rebeliant został pozbawiony tchu, ale szybko doszedł do siebie i wymierzył pięść w twarz Prii.

Uchyliła się, ale straciła przez to chwyt i buntownik podniósł się, po czym znów ją zaatakował. To uderzenie nie chybiło. Prija została uderzona w bok i ciężko legła na ziemi. Zamaskowany rebeliant dopadł do

niej z pięściami. A Malini mimo wszystko wstała, napędzana jakimś szalonym instynktem, zupełnie jakby jej marna siła mogła wystarczyć do odpędzenia tych ludzi.

Ale Prija... Prija się śmiała. Buntownik znieruchomiał, gdy jego towarzysz zatrzymał się za nim, nie spiesząc się już tak do walki.

– Jeśli mnie zabijecie, droga odejdzie wraz ze mną – wysyczała Prija. – Jeśli mnie zabijecie, wszyscy umrzecie, sącząc z desperacją zawartość swoich fiolek.

Rebeliant stojący ponad nią zamarł w bezruchu.

– Zamknęłam ją – naciskała. – Ukryłam ją na nowo. Droga do beśmiertnych wód zniknęła.

Rebeliant wahał się jeszcze przez chwilę.

Ziemia zatrzęsała się pod ich stopami, wielkie ciernie wystrzeliły spod jej powierzchni. Stojący buntownik krzyknął i przewrócił się w tył. Na jego ręce rozkwitła krwista linia. Na drewnie maski zarysowała się biała kreska uszkodzenia, niebezpiecznie blisko oczodołu.

Niższy rebeliant – przypuszczalnie kobieta – rozłożył przed sobą dłonie. Zupełnie jakby w ten sposób mogła powstrzymać ciernie. I może mogła.

Ciernie zaczęły się skręcać i zawijać.

– Nie tylko ty masz dary. – Spod maski dobiegł głuchy głos, zniekształcony przez drewno. – Ja też jestem pobłogosławiona przez wody.

– Pobłogosławiona przez fiołkę – wycedziła Prija. – Jesteś chodzącym trupem. Nie pożyczysz długo.

Nawet jeśli buntowniczką miała jakieś przemyślenia na ten temat, maska dobrze je ukryła.

– Mogłaś ocalić nas wszystkich, gdybyś tylko pokazała nam drogę. Powinniśmy być po tej samej stronie.

– Powiedz to swojemu przywódcy – odparła Prija. – Powiedz mu, że to przez niego znaleźliśmy się w tej sytuacji. Nie przeze mnie. Ja chcę tego, czego zawsze chciałam. – Nie ruszyła nawet dłonią, a ciernie zaczęły się rozplątywać, jeżyć się. Działo się to powoli. Zbyt powoli.

– Twoja wola nie jest silniejsza od mojej – rzekła buntowniczką. – Nie wierzysz w sprawę. Nie słyszysz niczemu.

– Jestem silniejsza, niż sądzisz – odpowiedziała Prija. I wtedy pod rebeliantami zaczęła pękać ziemia. Ciernie groźnie podsunęły się bliżej. – Wasz przywódca nie chce moich zwłok – oznajmiła, gdy tamci próbowali utrzymać równowagę. – Obie to wiemy. Ale ja? Nie miałabym nic

przeciwno zabiciu was wszystkich. Zatem mam dla was prostą radę: uciekajcie.

Nie chcieli tego, wydawało się to oczywiste. Jednak gleba miesiła im się pod stopami, nowe ciernie wypełzały z niej niczym rozciągnięte palce, szarpiące i zakręcone. Buntownicy obrócili się więc i rozpoczęli gorączkowy odwrót.

Prija nawet się za nimi nie obejrzała. Dyszała z rękoma pokrytymi siniakami, wpatrując się w coś leżącego za nimi. Malini podążyła za kierunkiem jej wzroku. Dostrzegła to samo.

W pobliżu mahalu stał mężczyzna. Nie zbliżał się ku nim. Księżniczka nie miała nawet pewności, czy je widzi. Oczy jego maski były niczym czarne jamy. Stał z łukiem opartym o nogę, w żaden sposób nie pokazując, że zamierza go użyć. Odchylił głowę w tył, jakby coś potwierdzał albo rzucał wyzwanie.

– Chodź – mruknęła Prija, cofając się o krok. I następny. Malini ze świstem wciągnęła powietrze i ruszyła za nią.

Wyglądało na to, że teraz była ich kolej uciekać.



W mieście nie wyróżniały się tak bardzo, jak Malini się obawiała, ponieważ na skutek przemocy szerzonej przez buntowników i równie brutalnej reakcji żołnierzy generała rozpełtał się chaos. Drewniane domy Hiranaprasthy nie były w stanie go wytrzymać. Wkrótce obie kobiety przemykały przez płonący labirynt budynków. Nawet gdyby Malini nie spędziła ostatnich miesięcy uwięziona w pojedynczym pokoju, przytłoczyłyby ją rozmiar i skala tego szaleństwa.

Mogła jednak tylko zaciskać zęby i zmuszać się do stawiania kolejnych kroków, nieważne, jak bardzo jej ciało chciało dać za wygraną. Tłum ją popychał i napierał na nią, a Prija ścisnęła ją jeszcze mocniej.

– Nie puszczaj mnie – powiedziała Prija. – Trzymaj mnie, jakbyśmy wciąż schodziły z Hirany. O tak.

– Czuję ogień – rzekła Malini głosem zduszonym przez ten zapach i wywołane nim wspomnienia.

– Wiem – odparła Prija. – Wiem. – Mrugała powiekami, łały jej się łzy, białka poczerwieniały jej od dymu. Przez bardzo krótką chwilę nie spoglądała na Malini, lecz jakby przez nią, tkwiła w mroku własnej

przeszłości. – Nie myśl o tym. – Zacieśniła chwyt. – Nie możemy o tym myśleć. Musimy iść dalej.

Prija prowadziła je, kierowana zadaniem, które sobie wyznaczyła, przez wąskie zaułki i szerokie ulice pełne ludzi, krzyków oraz chaosu. Gestem wskazała księżniczce, by zakryła sobie twarz pallu, żeby odciąć się od gryzącego smrodu, widziała bowiem, że oczy Malini również łzawią od dymu. Nie zatrzymuj się, powtarzała sobie księżniczka. Idź dalej, jesteśmy tak blisko. Tak bardzo blisko.

Widziała już w oddali las, gdy nagle Prija skręciła w bok, wciągając Malini pod osłonę skalnej wnęki. Obok nich wciąż przelewał się tłum.

Prija miała na twarzy wyraz determinacji.

– Ruszaj dalej – rzekła dziewczyna. – Idź do swojego lojalnego zwolennika, jakkolwiek ma na imię. Czeka na ciebie pod Altaną Kości. Wskażę ci drogę, to niedaleko stąd. Idź, a on zabierze cię do brata.

– Myślisz, że zdołam przeżyć tu sama? – spytała niedowierzająco księżniczka. – Zapewniam cię, że mam o sobie bardzo wysokie mniemanie, ale nie za bardzo potrafię przeprawić się przez płonące miasto tak, by w tym czasie nie umrzeć.

– Wszyscy uczymy się przez doświadczenie.

– Licząc na to, że nie zginiemy, gdy sytuacja zdecydowanie nam nie sprzyja?

Malini nie mówiła tego poważnie, ale Prija przytaknęła, zaciskając stanowczo usta i spoglądając na nią poważnie.

– Tak – powiedziała.

– Poprosiłaś mnie, żebym coś obiecała – rzekła Malini. – Poprosiłaś mnie, żebym złożyła ci przysięgę dla dobra twojej Ahiranji. Nie spróbujesz dopilnować, żebym przeżyła i mogła ją spełnić?

– Moi przyjaciele są w mahalu – wykrztusiła Prija.

Jej przyjaciele. Tamte inne służące. Księżniczka przełknęła ślinę i oznajmiła spokojnie:

– Zatem znajdują się za solidnymi murami i są na tyle bezpieczni, na ile to teraz możliwe.

Ale Prija jej nie słuchała.

– Mam w sobie moc. Ten obecny we mnie dar. I jest teraz silniejszy, niż będzie kiedykolwiek. Muszę im pomóc. Jeśli coś im się stanie, ja...

– Czy jesteś silniejsza niż wszyscy buntownicy atakujący mahal i pałacy to miasto razem wzięci? – spytała Malini. – Czy jesteś sprytniejsza, bardziej przebiegła, lepiej wyposażona i znajdujesz się w odpowiedniejszym miejscu, by ich pokonać?

– Chcesz mnie tylko namówić, bym zrobiła to, czego potrzebujesz.

– Tak – przyznała księżniczka. – Ale to wcale nie sprawia, że się mylę. Ocal mnie, a być może ocalisz też Ahiranję. Ocal mnie, a twój kraj dostanie inną szansę niż tylko buntownicy i los, który przygotował dla was cesarz. Proszę.

Prija nie była pewna, jak postąpić. Malini wiedziała to, dostrzegając to w jej oczach, w kącikach jej ust naprężonych jak cięciwa łuku. I nie mogła już zrobić nic więcej, by ją przekonać.

– Masz rację – rzekła Prija. – Złożyłam ci obietnicę. A ty złożyłaś ją mnie.

Nagle obróciła się na pięcie i ruszyła w kierunku lasu. Malini nie miała wyboru i musiała pójść za nią.



Weszły już głęboko w mrok labiryntu drzew, gdy Prija nagle się zatrzymała.

– Prijo – odezwała się cicho Malini. Coś usłyszała? Zobaczyła? – O co chodzi?

Dziewczyna kołysała się niepewnie na nogach. Powoli obróciła się do Malini i zamrugała. Podniosła rękę, by otrzeć oczy.

Na dłoni, którą cofnęła, widniały krwawe smugi.

– Coś – rzekła Prija. – Coś jest... nie tak.

Malini nie zdążyła nic zrobić ani powiedzieć – Prija osunęła się na ziemię.



42

AŚOK

Ledwo już wyczuwał Priję.

Stał przed przysadzistym małym fortem – pałacem różanym, brzydkim tworem Bhumiki, co do tego nie miał wątpliwości – położonym w centrum mahalu. Dookoła rozpościerały się ogrody, a mury samego pałacu powstały ze splecionych cierni. Dorównujących długością męskiemu ramieniu. Ostrego niczym klinga. Pokrytych krwią i chrząstkami.

Znajdowała się w obrębie tych ścian. Ale nie było tam Prii.

– Mógłbym cię dosięgnąć, Bhumiko – mruknął z zamkniętymi oczyma. – Gdybym spróbował, mógłbym to zrobić.

– Mają łuczników na dachu – powiedziała cicho jedna z jego dziewcząt. Stała pod osłoną cienia z uniesioną maską.

– Niezbyt dobrych – odparł spokojnie Aśok. – Tamtych wytracili na zewnętrznych murach.

Bardziej martwił go wrzący płyn, który wciąż lano z góry. Tania sztuczka, ale skuteczna w świetle ograniczonych zasobów.

Przecież mahal został zdobyty.

Aśok stracił zaledwie kilkoro ludzi. Nie było jasne, czy zabiły ich ciernie, czy strzały, ale uważał za mało prawdopodobne, by ktokolwiek inny niż Bhumika położył kres ich życiu. Jego siostra o łagodnym głosie,

zbyt wysoko urodzona, by brudzić sobie ręce, zawsze okazywała się potworną przeciwniczką, gdy pozwalała sobie oddać się prawdziwej walce. To się najwyraźniej nie zmieniło.

Nieistotne. Niech sobie tu gnije. I tak jej nie potrzebował.

Gdy wróci – gdy będzie już trzykrotnie zrodzony i wchłonie całą moc wód – wówczas porozmawiają o przyszłości Ahiranji. Wtedy jego wola zatriumfuje nad jej wolą.

– Za mną – polecił i odwrócił się. Oddalił się od pałacu różanego, opuścił mahal, doszedł do Hirany. Majaczyła nad nimi. Wspięli się wspólnie, korzystając z pomocy liny.

Gdy ostatnim razem znajdował się w świątyni, jego świątynne rodzeństwo spłonęło. Po ich śmierci latami dręczyły go koszmary. Dawna wściekłość wrzała w nim teraz, gdy wspinał się i spoglądał na ryty, jednocześnie znajome i zmienione przez upływ czasu. Kiedyś był to jego dom. Kiedyś to wszystko było jego.

Na górze dobrze wykorzystał nagromadzoną wściekłość. Sprawnie zabili nielicznych strażników, na których się natknęli. Zbadali pomieszczenia. Nie znaleźli niczego, jedynie nieprzytomną kobietę leżącą na ziemi w północnej komnacie. Nie była to księżniczka. Szkoda, pomyślał.

Gestem przywołał jednego ze swoich ludzi.

– Obudź ją – powiedział. – Przesłuchaj. Sprawdź, czy wie cokolwiek użytecznego o mojej siostrze.

Mężczyzna skinął głową i wyciągnął sierp zza pasa.

Aśok zostawił go i wrócił do triweni.

Jesteś moja, pomyślał, przemawiając do Hirany w zaciszu własnej czaszki. Położył dłoń na postumencie. A ja jestem twój. Miałem powód, by tu nie zginąć. Zatem pokaż mi drogę.

Kamień pod jego dłonią pozostał zimny i obojętny. Aśok nie czuł jego ciepła jak wtedy, gdy był chłopcem. Postument był nieruchomy i chłodny niczym kamienne zwłoki. Aśok miał nadzieję, że być może odnajdzie drogę bez Prii. Teraz gdy potęga regenta została rozbita – gdy Hiranaprastha płonęła, a Hirana w zasadzie należała do niego – liczył na to, że świątynia mu się podda. Była to słaba nadzieja, sprzeczna ze wszelkim rozsądkiem.

Nieistotne.

Weszła jedna z jego kobiet, wycierając dłonie z krwi. Za nią kolejnych troje buntowników obserwowało go, czekając na rozkazy.

– Szukamy dalej – oznajmił. Odeszli. Aśok obszedł całą Hiranę, zaglądając do każdego pokoju w krużgankach, do wszystkich miejsc, gdzie

jego rodzeństwo kiedyś biegało, walczyło, bawiło się i modliło. Wkroczył do sangamu, licząc na to, że Hirana wyczuje to i wreszcie mu się podda. Jednak wejście do bezśmiertnych wód nie pojawiło się. Nie potrafił go znaleźć.

Być może gdyby medytował, gdyby spędził tu wiele dni, tak jak ona, natknąłby się na przejście.

Ale nie mógł sobie na to pozwolić. Bezśmiertne wody pływały we krwi jego zwolenników, szybko zmieniając się w truciznę. Pozbawiały ich siły. Pozbawiały życia. Musiał zadziałać, zanim skończy im się czas.

Bądź przekłeta, Prijo.

– Wychodzimy – powiedział wreszcie swoim poplecznikom, pokonany przez stertę kamieni. – Znów będziemy szukać mojej siostry.

– Przepraszam – rzekł inny z jego ludzi. Przez maskę Aśok nie widział wyrazu jego twarzy, jednak w głosie tego człowieka brzmiało zażenowanie. – Nie powinienem był pozwolić jej uciec.

– Nie masz za co przeproszać – odparł Aśok. – Wciąż mamy nowe siły. Znajdziemy drogę.



43

PRIJA

Pierwszym krokiem po wejściu w bezśmiertne wody było wynurzenie się z nich. Jeśli udało się zanurzyć pod ten kosmiczny błękit i wyłonić się z powrotem z wciąż działającym ciałem – cóż, oznaczało to pomniejszy cud.

Kolejnym krokiem było przetrwanie nadchodzących godzin. Prija nie zapomniała izby chorych, nie zapomniała dwukrotnie i jednokrotnie zrodzonych, którzy tam zmarli, ogarnięci gorączką, zagubieni na swoich posłaniach. Nie przypuszczała jednak, że to samo spotka ją teraz, gdy Hirana sama wezwała ją do wód, gdy Prija nie czuła niczego oprócz swoistej błogości, kiedy zanurzyła się w nich i kiedy rozwinął się przed nią sangam.

Ale oto właśnie pluła żółcią w krzaki.

To jej wina, że pozwoliła sobie głupio uważać się za wyjątkową. Nie była wyjątkowa. A teraz umierała.

Chwasty więdły i ożywały w szaleńczym cyklu pod jej dłońmi, gdy targały nią torsje. Klęła, opierając się niepewnie na dłoniach i kolanach.

– Możesz wstać? – zapytała Malini. Jej głos dobiegał z bliska. Klęczała przy Prii, skupiając wzrok na ścieżce za nimi. Być może wypatrywała innych osób szukających schronienia albo żołnierzy.

– Mogę. Daj mi tylko chwilkę.

Z wielkim wysiłkiem Prija podniosła się chwiejnie na nogi.

I upadła.

– No cóż, najwyraźniej nie – uznała Malini.

– Będę musiała – wycedziła Prija. – Nie możemy tu zostać. Nie przy tym wszystkim, co dzieje się w mieście.

Księżniczka milczała przez chwilę, po czym rzekła:

– Rozumiesz chyba, że moje siły są... ograniczone.

– Oczywiście.

– Zatem wybacz mi, jeśli to się źle skończy. No, dawaj. Obejmij mnie.

Prija ją objęła. Malini zdołała jakoś postawić je obie na nogi. Prija wciskała twarz w jej bark i mocno wczepiała się dłońmi w bluzkę księżniczki.

– Co ci się właściwie stało? – wyszeptła Malini we włosy Prii głosem lekkim jak piórko.

Ta zaś zadrżała, nie tylko z gorączki, i odrzekła:

– Nie umiem tego wyjaśnić.

– Nie umiesz?

– No dobrze, nie mogę. Moja magia to... moja sprawa.

– Zatem niech ta magia i twoje dary pozostaną tajemnicą, skoro muszą – stwierdziła Malini. – Powiedz mi tylko, którędy musimy pójść, żeby dotrzeć do tej Altany Kości.

Prija przekazała jej wskazówki. I księżniczka zaczęła iść – powoli, ostrożnie, pamiętając o ciężarce potykającej się dziewczyny w swoich ramionach. Prija raz za razem zmuszała się do stawiania stóp przed sobą, choć miała wrażenie, że krew w jej ciele jest niczym cofająca się fala.

– Prijo – wyszeptła Malini. – Prijo, Prijo. Słuchaj mojego głosu.

– Dlaczego powtarzasz moje imię?

– Bo mi nie odpowiadasz.

Prija odetchnęła gwałtownie.

– Przepraszam, że cię wystraszyłam.

– Nie boję się – odparła księżniczka ze złością. Wciąż podtrzymywała Priję, wciąż wykorzystywała całą swoją siłę, by ciągnąć dziewczynę przez wielkie, ciemne liście.

– Oczywiście, że się boisz – skomentowała Prija. Chciała, by jej słowa zabrzmiały łagodnie, wyrozumiale, ale wycedziła je z bólem, a Malini je zignorowała.

Szły. I szły.

– Nie mogę cię już dłużej ciągnąć – rzekła Malini, gdy minęły wieki.
– Będziemy musiały tu zaczekać.

Na co? – pomyślała Prija. Ale nie zapytała. Księżniczka drżała, zlana potem, z poszarzałą twarzą. Opierała się o sękaty pień drzewa, oblewało ją światło słońca. W miejscu gdzie uderzyła ją Pramila, jej policzek był siny.

– Igłokwiat – powiedziała słabo Prija.

– Wolalabym, żebyś już odpuściła ten temat – powiedziała Malini, jednak po chwili zakłęła i wyciągnęła rękę do Prii. Ta obróciła głowę, by księżniczka mogła zdjąć jej łańcuszek z szyi.

Malini musnęła wargi odrobiną tynktury. Skrzywiła się.

– Już – oznajmiła. – Nie musimy więcej o tym rozmawiać.

– Zawieś to... sobie na szyi.

Malini zmierzyła Priję nieodgadnionym spojrzeniem i przełożyła sobie łańcuszek przez głowę. Maleńka buteleczka zawisała w zagłębieniu pod jej gardłem.

– Dlaczego chcesz wiedzieć o mojej magii? – zapytała Prija. – Dlaczego to dla ciebie istotne?

– Mówiłam ci już, że mnie interesujesz – odparła księżniczka. – Chcę wiedzieć o tobie wszystko.

– Mówiłaś to, bym pomyślała sobie, że... mnie lubisz – powiedziała Prija urywanym głosem.

Malini skupiła spojrzenie swoich ciemnoszarych oczu na jej oczach.

– Naprawdę cię lubię – oznajmiła.

– Proszę, nie mów tak.

– Pomogłaś mi. Próbowalaś uratować mnie przed trucizną. Pocięczałaś mnie. Gdy rzeczywistość wydawała się odległa i nie wiedziałam, co jest prawdziwe, ty...

– Proszę – rzekła Prija, brzdąc, jakby tym razem błagała. – Przestań.

Nie chciała znów dać się przekonać do głupich myśli, nie chciała pozwolić sobie zanadto polubić Malini. Nie chciała jej ufać, nie chciała się z nią zaprzyjaźnić. Nie chciała jej pragnąć. A byłoby to takie proste po tym wszystkim, przez co razem przeszły – po tym, jak widziała, że Malini niemal umiera, a później jak w oczach księżniczki pojawiają się furia i chłód, kiedy Pramila trzymała nóż przy gardle Prii. Wisiała na skraju przepaści. Nie chciała spaść.

Zapadło pomiędzy nimi milczenie.

Później Malini odezwała się nieodgadnionym głosem:

– Skoro tak mówisz. Zatem być może to okaże się dla ciebie strawniejsze: chcę zrozumieć świat, w którym żyję, choć jest dziwny. Chcę

go zrozumieć, żeby umieć w nim przetrwać. Już za młodu nauczyłam się, jakie to ważne, by pojąć naturę tego, co mnie otacza, ale także potrzebę rozumienia szerszych kwestii: religii, strategii wojskowej, polityki wraz z jej licznymi gierkami. Twoja magia wcale się od tego nie różni.

Tak rzeczywiście było lepiej. Łatwiej do ogarnięcia. Dzięki temu serce Prii wydawało się mniej odsłonięte, mniej posiniaczone.

– Pod Hiraną płynie rzeka – rzekła Prija w aksamitnej ciszy brzęczących owadów i nierównego oddechu Malini. – Twoja niańka miała co do tego rację. Jednak nie jest dostępna dla każdego. Uważam, że gdyby generał Wikram albo jakiś cesarski żołnierz próbowali wyrębać sobie do niej drogę, niczego by nie znaleźli. To... magia. Do tego żywa. I pozwoliła mi się odnaleźć dzięki temu, czym jestem.

Prija przerwała na chwilę, po czym podjęła:

– Wszystkie obrzędy w Ahiranji są trzyczęściowe. Nie wiem, czy tak samo jest w Paridżacie czy innych miejscach, ale zawsze wiedzieliśmy, jako dzieci, że musimy przejść przez te wody trzykrotnie, jeśli chcemy uzyskać dary jakszów. Od czasu założenia Paridżatdwipy obrzęd pozwalał naszym starszym uzyskać tylko najdrobniejsze z darów. Moc kontrolowania Hirany. Nic więcej. Jednak ja i moje rodzeństwo przeszliśmy przez wody w festiwal ciemnego księżyca i... nagle staliśmy się tacy, jak starsi w Epoce Kwiatów. Gdy my, młodszy, przechodziliśmy wody po raz pierwszy, ulegaliśmy przemianie. Jednak ci, którzy pokonywali je drugi albo trzeci raz... – Prija pokręciła głową. – To jakby za pierwszym razem zostało zasadzone ziarno i dorastało w środku aż do tamtej chwili. Coś, co rozwijało się w wodach, być może całymi latami, rozkwitło w nas. A nasi starsi... Cóż, powinno to ich ucieszyć. Ale tak się nie stało. Bo uznali... – Prija przełknęła ślinę. Czy powinna to zdradzić? Te ohydne podejrzenia, które mieli względem jej rodzeństwa, względem niej? – Butwienie pojawiło się jednocześnie z naszymi mocami – powiedziała w końcu. – Wtedy miało mniejszą skalę, było słabsze, ale oni się bali. Sądziły, że to my stanowimy przyczynę. I że jesteśmy potworami. Byliśmy zbyt silni. A zatem zabili nas. I zginęli wraz z nami.

Prija oparła się na łokciach. Roślinność pod nią była miękka. Kojąca.

– Szukałam znowu wód – rzekła. – Szukałam drogi do nich. I znalazłam ją. Ale towarzyszyła temu cena. I teraz ją płacę.

Malini wydała zduszony odgłos, jednak Prija nie spoglądała na nią.

– Nie chcę litości – oznajmiła, wciąż wpatrując się w rośliny.

– Co miałaś nadzieję osiągnąć? – zapytała cicho księżniczka po kilku uderzeniach serca.

– Próbowałam odnaleźć... siebie. Po tym, jak pozostali zginęli, mój umysł... chyba próbował mnie chronić. Tak wiele zapomniałam. Nie mogłam już nawet używać darów, które miałam wcześniej.

– I odnalazłaś się?

Dziewczyna pokręciła głową.

– Nie wiem już, co to znaczy być świątynnym dzieckiem. Może oznacza to być użytecznym dla ludzi, którzy pragną władzy – rzekła, w końcu spoglądając na Malini. – Może oznacza być potworem. Czasami mam takie wrażenie. Ale może... może znaczy coś innego. Wraz z innymi dziećmi umieliśmy kontrolować Hiranę. Kontrolować naturę. Ktoś mi kiedyś powiedział, że najsilniejsi z nas umieli nawet kontrolować butwienie. Może być mną oznacza... być lekarstwem.

Zaczęła rozważać tę perspektywę dopiero teraz, gdy czuła, jak moc z niej wypływa i faluje. Gdy zaznała już jej słodczy uderzającej do głowy. Czy magia rzeczywiście mogła być potworna, skoro zdawała się tak słodka?

– Myślisz, że możesz mieć w sobie moc, by zakończyć butwienie? – spytała Malini.

– Możliwe – odparła Prija. – Wszystko to jest... niewiadome. Nie mam pojęcia. Zresztą to już teraz nieistotne, prawda? Nie przeżyję, by wypróbować ten pomysł.

Korzenie drzew w poszyciu poruszyły się lekko, zadrżały, zaskrzypiały w glebie, wyciągając się ku Prii.

– Powinam je odgonić? – zapytała księżniczka dziwnym, cierpkim głosem. – A może je przywołujesz?

Prija westchnęła, nagle czując się bardziej zmęczona.

– Zostaw mnie. Idź do tego swojego lorda Radźana. Idź do swojego brata. Zrób to, na co liczyłaś. Wiem, że tego chcesz. Nie udawaj, że przejmujesz się, co się ze mną stanie.

– Ocaliłaś mi życie – powiedziała Malini. – I to więcej niż raz.

– I wciąż się tym nie przejmujesz. Wiem to. Idź.

Wyczuwała, że Malini się nad tym zastanawia. Księżniczka miała już igłokwiat. Prija właśnie dlatego poleciła jej wziąć buteleczkę. Malini mogła ją tu zostawić, udać się do Altany Kości i rozpocząć podróż do Srugny. Gdyby się pospieszyła, być może nawet dogoniłaby Rao i pozostałych.

– I tak umieram – dodała Prija. – Jakie to ma znaczenie? – Posłużyłam już swojemu celowi, pomyślała.

– No właśnie, jakie – odparła Malini zdecydowanie zbyt ostrym głosem.

Nagle nie siedziała już pod drzewem. Pochylała się nad Priją, spoglądając na nią bacznie, a w kącikach jej ust czaiła się jakaś zaciekłość. To zwróciło uwagę Prii nawet przez otępienie wywołane gorączką. Księżniczka często wydawała się krucha, przebiegła lub przejrzysta jak szkło. Ale zaciekła? Raczej nie.

– Nie musisz wierzyć, że się tobą przejmuję, Prijo. Musisz tylko uwierzyć, że cię potrzebuję. I tak jest.

– Masz igłokwiat. Znasz drogę.

– Potrzebuję cię – powtórzyła Malini. Tak wiele kryło się w tych słowach, w kształcie jej warg. – To co mogę zrobić, by zapewnić ci przeżycie? Znasz jakiegoś uzdrowiciela?

Prija pomyślała o Gautamie i o tym, w jakich okolicznościach się rozstali.

– Nie – odparła.

– Zatem jak mogę ci pomóc?

Przebiegł przez nią dreszcz. Zaczynało jej być zimno. Był to zły znak w przypadku gorączki.

– Istnieje ktoś, kto mnie uratuje. – Traciła siły, ale wiedziała, co wyczuwała w wodach: sangam i las przeplecione ze sobą. Wyczuwała innych pobratymców. Może nawet trzykrotnie zrodzonych, ponieważ ich obecność sprawiała zdecydowanie odmienne wrażenie niż jej dwukrotnie zrodzonego rodzeństwa, wydawała się w sangamie jakby ostrzejsza, jednocześnie wyrazistsza i jaśniejsza.

– Gdzie?

Prija próbowała mówić. Przełknęła ślinę. Uniosła dłoń, wskazując drogę, i w reakcji na ten gest na pniach drzew wyrzyły się znaki. Galopowało jej serce.

– Tamtędy. Idź... za znakami na drzewach. O kształcie palców.

– Jakże pomocne – rzekła Malini, jednak nawet przez otępienie Prija słyszała strach kryjący się za cierpkim tonem księżniczki. – Oprzyj się o mnie znowu.

Minęło sporo czasu, zanim Malini zdołała na powrót podnieść Priję. Księżniczka dyszała, wyczerpana, jednak ścisnęła Priję w żelaznym chwycie.

– To nie niańka opowiadała mi o ahiranyjskich jakszach i magicznych wodach – rzekła. – Żadna szanująca się służąca nie ryzykowałaby w ten sposób swojego stanowiska.

– Nie? – Prija sądziła, że wie co nieco o tym, jak to jest być szanującą się służącą.

Ale Malini tylko się na to nieznacznie uśmiechnęła ściągniętymi wargami, posuwając się dalej na niepewnych nogach.

– Nie – powiedziała. – Nie była to zwykła służąca, która musiałaby się martwić o utratę pracy. Mówiła mi to moja nauczycielka, myślicielka. Kształciła mnie. Ponieważ kobiety z rodziny mojej matki były wykształcone. Jak księżęta. Nauczyła mnie też tego: żadnej wojny nie da się wygrać bez sojuszników.

– Twoi sojusznicy są przy Altanie.

– Ale ja jestem tutaj, w tym przeklętym lesie. Ty również.

– Czy toczymy teraz wojnę, Malini?

– Tak. Nieustannie.



Długo, bardzo długo czekali w bezksiężycowym mroku w Altanie Kości. Czekali, gdy Hiranaprastha rozjarzała się festiwalowymi światłami, które stały się na tyle jasne, że blask był widoczny nawet przez gęsty las. Czekali, aż nadszedł różanopalczy świt, na przybycie Malini.

Rao obiecał, że będzie czekał na nią całą noc, a zatem tak uczynił, wraz z Latą, Premem oraz wszystkimi ludźmi Prema. Nastął dzień. Miasto wciąż migotało, zarówno od słońca, jak i świateł. Festiwal chyba już się skończył? Ale Rao nie znał się na ahiranyjskich tradycjach. Nie miał pewności.

Czekał dalej.

Mężczyźni byli niespokojni. Jeden z posłańców w służbie Prema – mężczyzna nawykły do podróżowania po rozległych terenach cesarstwa – zabawiał pozostałych, opowiadając im o dziwnej naturze Ścieżki Poszukiwacza.

– Na każdej mapie Srugna leży poza lasami. Zwykle jest to długa podróż. Zajmująca tygodnie. Ale las Ahiranji nie zawsze poddaje się zwykłym zasadom i na Ścieżce Poszukiwacza czas biegnie inaczej – mówił posłaniec.

– Inaczej? – spytał z wyraźnym sceptycyzmem jeden z mężczyzn. Opowiadający wzruszył ramionami.

– Jedyne, co mogę wam rzec, to że jeśli wyruszyście tą ścieżką, dotrzecie do Srugny w ciągu dni, nie tygodni. Miejscowi uważają, że zbudowali ją jakszowie. Z tego, co się orientuję, tak właśnie było.

– Czy ścieżka żąda zapłaty?

Rao i pozostali obrócili się. Lata stała z tyłu, w cieniu drzew. Nie był w stanie do końca rozszyfrować jej miny.

– Nie wiem, o co ci chodzi – powiedział posłaniec.

– Żadna opowieść nie twierdzi, że jakszowie są z natury dobrodusznymi istotami – wyjaśniła kobieta. – Nawet dla swoich. Jeśli stworzyli ścieżkę, jeśli wciąż istnieje ona po ich upadku, to nie mam wątpliwości, że jej magia stanowi miecz obosieczny.

– Cóż, na pewno nie jest to bezpieczna droga – odparł posłaniec w zadumie. – Zdarza się, że ktoś na niej zaginie. Albo trafia się na czyjeś ciało. Ale w niczym nie różni się to od podróżowania przez lasy w zwykły sposób. Równie dobrze można zarobić strzałę od kłusownika albo zostać pożartym przez dzikie zwierzę.

– Czy ostatnim razem przemierzałeś ją samotnie?

Mężczyzna pokręcił głową.

– A jak wielu z was dotarło do drugiego końca?

– To nieistotne – przerwał stanowczo Prem. – Idziemy szybką trasą, czy wam się to podoba, czy nie. – W jego głosie próżno było szukać zwyczajowej ospałej łagodności. Był to głos, który nie dopuszczał możliwości sprzeciwu. – Zbyt długo zostaliśmy w Ahiranji.

Za Lata dobiegł szmer. Z ponurą miną pojawił się jeden z mężczyzn, którzy pełnili straż.

– Miasto płonie – oznajmił.

– Jak to płonie? – warknął Prem.

– Nie wiem – rzekł bezradnie wartownik. – Podeszedłem do skraju lasu i, mój lordzie, dym nie pochodzi od festiwalowych świateł. To coś znacznie poważniejszego.

Prem i Rao popatrzyli z niepokojem po sobie. Dym z miasta zaczynał wlewać się między drzewa. Z ich pozycji trudno było określić przyczynę, jednak Rao wyczuwał w powietrzu płonące drewno i wyraźną woń spalonego mięsa. Zakrył nos, zaskoczony, że nie poczuł tego wcześniej ani nie zorientował się, że od strony Hiranaprasthy idzie fala żaru.

Las Ahiranji nie poddawał się zwykłym zasadom. W jakiś sposób jego dziwny charakter tłumił najgorsze efekty pożaru, dopóki nie podeszli bliżej jego granic.

– Trzeba wysłać kogoś, by sprawdził, co się dzieje – powiedział Rao do Prema.

Prem skrzyżował ręce na piersi.

– Moim zdaniem powinniśmy ruszać bezpośrednio do Srugny – rzekł. – Najszybciej jak to możliwe.

– Tam są Paridżatdwipańcycy i musimy się dowiedzieć, co się z nimi stało – stwierdził ponuro Rao. – Musimy się dowiedzieć, jakie niebezpieczeństwa zostawiamy sobie za plecami.

Strażnik, który przyniósł wieści, zgłosił się na ochotnika do zwiadu.

– Jeśli trafisz na jakiegokolwiek problemy, od razu wracaj – polecił mu Prem. – Rozumiesz?

– Tak, mój lordzie – odparł mężczyzna. Skłonił głowę, wyprostował się i poprawił bicz u pasa. – Nie zajmie mi to długo.

– Nie więcej niż godzinę, inaczej będziemy musieli cię zostawić.

– Tak jest, mój lordzie – zgodził się strażnik, po czym jeszcze raz się skłonił i odszedł.

Rao osunął się na drzewo i potarł sobie czoło. Prem usiadł na ziemi obok niego, krzywiąc się.

– Jesteś ranny? – zapytał Rao.

– Ja? Nie. Poza tym jestem bardziej zainteresowany rozmową o tobie.

Rao popatrzył na niego. Prem rzucił mu krzywy uśmiech.

– Tyle tęsknoty – mruknął Prem. – Chyba nigdy nie czułem tego, co ty.

– Nie jestem zakochany w księżniczce Malini – stwierdził Rao. – To nie dlatego tu czekałem tak długo.

Prem parsknął z niedowierzaniem.

– Skoro tak mówisz.

– Premie. Ona była najbliższą przyjaciółką mojej siostry.

– Czy chcesz mi powiedzieć, że zostawiłeś rodzinę, ukryłeś się tu pod przybraną tożsamością, bratałeś się z Ahiranyjczykami i odmawiałeś wyjazdu ze mną, bo traktujesz ją jak siostrę?

– Nie! Nie. – Rao odetchnął głęboko. – Jestem tu, bo znam Aditję. – Obniżył głos do szeptu. – On jej potrzebuje.

Prem milczał przez chwilę. Jego uśmiešek przeszedł w wyraz większej zadumy.

– Bez niej zdołał zgromadzić mnóstwo popleczników.

– Doprawdy? Byłem przy tym, gdy zdecydował się odejść – rzekł Rao. – Gdy zdecydował się zostać kapłanem, porzucić rolę następcy tronu

i wybrać inną drogę.

– A teraz dostrzega błąd tego postępowania.

– Byłem przy tym – upierał się Rao najciszej jak tylko umiał – gdy Malini pisała do niego list za listem, przekonując go, by znów sięgnął po swoje dziedzictwo. Byłem przy tym, gdy przekonywała kolejnych lordów, wojowników, książąt i królów, by dołączyli do sprawy jej brata. Byłem przy tym, gdy... gdy stała przed dworem, nazywała Ćandzę fałszywym cesarzem na skradzionym tronie i ogłaszała, że wypowiada się w imieniu matek płomienia. Gdy obiecywała mu upadek.

– Przykładasz zbyt dużą wagę do dramatyzmu – powiedział w końcu Prem. – Ci lordowie i królowie mają dobry powód, by nie chcieć Ćandry na cesarskim tronie. Bez niej również zwróciliby się do Aditji.

– Nie jestem tego taki pewien. Aditja wycofał się z polityki. Być może niektórzy by go odszukali. Ale potęga, która zgromadziła się wokół niego... To ona dostrzegła słabość, dostrzegła potrzebę i to wykorzystała. To ona dała mu to wszystko. A bez niej...

– Nic mu nie będzie.

On wciąż uważa, że ją kocham, pomyślał Rao.

– Bez niej – podjął cicho – nie wiedziałby, co robić. Zostałem wychowany u jego boku, Premie. Byłem mu towarzyszem, jednym z najbliższych mu lordów od czasów dzieciństwa. Znam go.

Prem zerknął na niego, ale powiedział tylko:

– Ktoś się zbliża.

Wtedy Rao usłyszał stukot kopyt. Zgrzyt metalu o metal, szabel wyciąganych z pochew. Prem gwizdnął cicho i chwilę później jego ludzie pojawili się na drzewach za jego plecami.

Z oddali doszło rżenie wystraszonych koni. Odgłosy zsiadających ludzi. Zwierzęta były zbyt przerażone lasem, by do niego wejść. Ahiranyjczycy to wiedzieli. Nawet Rao to wiedział. Jednak zbliżający się mężczyźni ciągnęli rozszalałe wierzchowce za sobą, najwyraźniej na rozkaz człowieka wrzeszczącego zza ich pleców.

– Powinniśmy iść – mruknął Rao.

– Myślałem, że to ty chcesz się dowiedzieć, jakie niebezpieczeństwa zostawiamy za plecami – odszepnął Prem. Skupiał wzrok przed sobą i ledwo poruszał ustami. – Cóż, teraz już wiemy.

Po chwili w ich polu widzenia pojawiło się dziesięć postaci. Pododdział żołnierzy ubranych w paridżackie biel i złoto. Przed nimi, z szablą na gardle, siedł człowiek Prema wysłany na zwiady do miasta.

Rao natychmiast sięgnął po czakram, który miał na nadgarstku. Dookoła niego ludzie Prema położyli dłonie na biczach. Ci z tyłu,

pozostający niemal w cieniu Ścieżki Poszukiwacza, sięgnęli po łuki. Jeszcze dalej Lata wślizgnęła się w mrok, szukając osłony.

– Ach. To nie będzie potrzebne. Opuśćcie broń – odezwał się głos. Jeden z ludzi wystąpił do przodu, a Prem zaklął i ze zgrzytliwym sykiem stali odpiął bicz z pasa.

– Santos.

– Zamierzaliśmy położyć kres twojemu kurwieniu się, książę Premie – oznajmił lord Santos. Oczy mu błyszczały. – I twojemu, książę Rao – dodał, skłaniając głowę w parodii szacunku. – Choć spodziewałem się znaleźć lorda Radżana. Cóż za przyjemna niespodzianka, że zamiast tego trafiłem na ciebie! Niestety, burdel spłonął. A was w nim nie było.

– Wypuść mojego strażnika, Santosie – zażądał Prem. – Inaczej popełnisz zbrodnię przeciwko królewskiej krwi Sakety.

– Działam w imieniu cesarza – odwarknął Santos. – Chronię jego interesy. I przyszło mi do głowy, że to ciekawe, iż niższy książę spędza tak wiele czasu w Ahiranji akurat w tym samym czasie, gdy została tu uwięziona siostra cesarza. Bardzo zagadkowe.

– Mówiłem ci już – rzekł Prem, obnażając zęby w czymś, co nieznacznie przypominało uśmiech. – Przyjeżdżam do Ahiranji dla przyjemności.

– A ty, książę Rao? Wyłącznie dla przyjemności?

– Czego chcesz? – spytał bez ogródek Rao. Saketyjczyk mrugał raz za razem, wyraźnie przerażony, starał się oddychać pod naporem klingi. Rao nagle stwierdził, że nie ma cierpliwości do gierek. – Za życie chłopaka?

– Wiem, dlaczego tu jesteście – powiedział Santos. – Chcę dowiedzieć się, dokąd zmierzacie. Chcę dowiedzieć się, z kim spiskujecie przeciwko cesarzowi.

– Obawiam się, że nie masz pełnomocnictw do zadawania tak napastliwych pytań, lordzie Santosie – odparł Prem. – Pozwól, że ci to wyjaśnię, ponieważ wydajesz mi się wyjątkowo ograniczony. Otóż nie jesteś nikim więcej, jak tylko lordem z paridżackiego chowu wsobnego, który uwielbia zlizywać Ćandrze pot ze stóp. My natomiast jesteśmy synami królewskiej krwi z miast-państw Paridżatdwipy. Nie jesteś nam równy. Chyba że Ćandra oddał ci już regencję Ahiranji?

– Jestem doradcą cesarza – wycedził Santos przez zaciśnięte zęby.

– Od czasu Epoki Kwiatów wszyscy nasi przodkowie byli doradcami cesarzy – zripostował Prem, wskazując siebie i Rao. – Nasi krewni są doradcami cesarza i zawsze wykorzystywali swoją krew oraz serca w służbie ogółu. A ty jesteś byle pacholkiem.

– Nie zasługujecie na to, by mu służyć – rzekł Santos, z gorączkowym błyskiem w oku sięgając po szablę. – Dostaliście za dużo wolności. To Paridżat was ocalił i to paridżacka krew powinna znajdować się na szczycie. Wasza zdrada tylko tego dowodzi. On was przewyższa we wszystkim.

– Nie jest ci przyjacielem – drażnił się Prem. – Wiesz o tym, prawda? – Cmoknął. – Biedny gołąbeczek. Widzę, że jednak nie wiedziałeś.

– Zerwę ci skórę z kości, książątko.

– Wielkie słowa. Podejdź bliżej, jeśli mówisz poważnie.

Rao i Prem cofnęli się o krok, a później kolejny, wchodząc głębiej na Ścieżkę Poszukiwacza. Powietrze zafalowało dziwnie wokół nich. Dostrzegli wahanie w oczach paridżackich żołnierzy, którzy wyraźnie obawiali się dziwnej ciszy lasu i pamiętali z dzieciństwa straszliwe opowieści o Ahiranji.

– Wracaj tam, skąd przyszedłeś! – zawołał Prem. – Idź przysiąść sobie na tronie regenta. Przecież to właśnie tam chcesz teraz być. A może Ćandra wymaga, żebyś najpierw dowiódł swojej wartości?

– Mów – nakazał gniewnie Santos. – Opuść broń i mów, jak zdradziłeś cesarza, inaczej twój człowiek zginie.

Saketyjski chłopak obserwował ich.

– Moi ludzie wiedzą, wobec kogo powinni być lojalni – oznajmił Prem.

Chłopiec zamknął oczy. Rzucił się do przodu z krzykiem, starając się odzyskać wolność. Trzymający go paridżacki żołnierz gwałtownie szarpnął szablą.

Trysnęła krew i wartownik Prema zginął.

Niemal w tej samej chwili, na polecenie Prema, z tyłu wyleciała salwa strzał.

– Szybko – powiedział Rao, gdy Prem opuścił dłoń, a Paridżatczycy pochylili się, unosząc tarcze lub ręce. Jednemu z nich pocisk przeszył nadgarstek. – Do lasu. Możemy spróbować ich prześcignąć.

– I zaprowadzić prosto do Aditji? – spytał z niedowierzaniem Prem. – Daj spokój, Rao. Jeśli zostaniemy i będziemy walczyć...

– Zginjemy.

– Nie boję się śmierci.

– Może nie – odparł Rao. – Ale wolałbyś wygrać, prawda?

Prem zawahał się.

– Zaufaj mi, Premie. Nie znają terenu. Mamy przewodnika. Nie będą wiedzieli, czego się tam spodziewać. Mam plan...

– Cokolwiek zamierzacie – zawołała Lata głośniej, niż kiedykolwiek Rao słyszał w jej przypadku – to pospieszcie się!

– Ufam ci – rzucił szorstko Prem. Wykonał kolejny gest i gwizdnął ostro. Jego ludzie weszli na Ścieżkę Poszukiwacza.

Paridżatczycy przezwyciężyli wahanie, ujęli wodze koni i podążyli za nimi.



45

BHUMIKA

W powietrzu unosiła się woń spalenizny i rozgrzanego metalu. Bhumika siedziała nieruchomo, otoczona swoimi ludźmi, i czuła krew skapującą z cierni, czuła kłęby dymu wznoszące się znad miasta i przesączające się przez okna zablokowane pnączami.

Wszedł Dżiwan. Stał przed nią. Pokręcił głową.

– Złe wieści, moja damo.

– Mów.

– Twój małżonek żyje.

Każda zwykła żona uradowałaby się na wiadomość, że jej mąż przetrwał. Jednak Bhumika przygryzła język, aż poczuła krew.

Jej brat nie był nawet na tyle uprzejmy, żeby pozbawić ją konieczności podejmowania tej decyzji.

– Co mam z nim zrobić? – zapytał oficer.

– Przyrowadź go do pałacu różanego – poleciła. – Znajdź pokój, w którym można go zamknąć. Wtedy się z nim zobaczę.



Dziwan umieścił Wikrama w komnacie Khalidy przylegającej do sypialni Bhumiki. Generał leżał na wpół przytomny na materacu służącej. W boku ziała mu wielka rana, lustrzane odbicie tej, którą otrzymał w haweli lorda Iskara, pobieżnie opatrzona kawałkiem tkaniny wyrwanym z żołnierskiej tuniki. Bhumika zastanawiała się, jaka biedna dusza go ocaliła, być może kosztem własnego życia.

Usiadła na podłodze obok niego.

– Buntownicy – wychrypiał pytającym tonem podszytym strachem.

– Wokół pałacu różanego rośnie mur z pnączy – wyjaśniła Bhumika. – Nikt przez niego nie przejdzie.

Nie kwestionował jej słów. Być może rany chwilowo go otumanily.

– Zajęli miasto – rzekł. – Mahal... Nie powinni byli przebić się przez mury mahalu. Nie byli zorganizowaną armią. Paridžadwipa bez problemu powinna była sobie z nimi poradzić. Jak przedostali się za mury?

Bhumika milczała. Obserwowała, jak jego oblicze wykrzywia się w wyrazie cierpienia.

– Tak wielu moich ludzi zginęło – powiedział.

Nie wiedziała, co zrobi, gdy go zobaczy. Ale gdy ujrzała jego twarz, jej zdradzieckie serce zmiękło.

– Nawet dom mojego wuja spłonął – rzekła cicho, z bólem myśląc o tamtym pięknym starym haweli. O kwiatach, które pielęgnowała dla wuja, ciemnoczerwonych liliach karmionych jej sercem i magią, które zamieniły się w popiół przy jego łóżku. Czuła to. Ale nie miała w sobie miejsca na żalobę ani w odniesieniu do bieżącego zadania, ani do roli, w jakiej się znalazła. Mogła jedynie starannie poskładać te emocje, schować je do czasu, aż będzie mogła pograć się w smutku.

Oczywiście jeśli taki dzień w ogóle nadejdzie.

– Niektórzy wysoko urodzeni uciekli z miasta i być może mój wuj do nich dołączył. Nie wierzę, by miał na to siły, niech gleba i niebo go chronią. Ale będę sobie wyobrażać, że zmarł w spokoju w swoim łóżu. Taką uprzejmość sobie wyświadczam.

Wikram patrzył jakby poprzez nią. Ledwo wydawał się słyszeć jej głos.

– Nie rozumiem – powiedział. – Nie potrafię. To zupełnie jakby...

Zamilkł. Zdawała sobie sprawę, że pomyślał o świątynnych dzieciach.

– Poszukam pomocy u cesarza – oznajmił w końcu.

– Pozbawi cię stanowiska – odparła Bhumika. – Albo każe zabić. I wtedy nie będziesz już miał niczego.

– Mam koneksje. Oczywiście nigdzie w Paridżatdwipie nie dałby mi tronu, a na pewno nie mam już serca do kampanii wojskowych, ale zawsze jest praca dla człowieka, który umie piastować władzę. – Chwila przerwy. – Może w Sakecie. To zielona kraina. Piękna. Byłaby dobrym miejscem dla dzieci.

– Nie mam ochoty opuszczać Ahiranji. To mój dom.

– Nie znasz niczego oprócz Ahiranji – rzucił lekceważąco. Spróbował wstać. Syknął z bólu. – Nauczysz się. Gdzie ten przekłety lekarz?

– Nie opuszczę Ahiranji – oznajmiła Bhumika. – Zamierzam tu zostać. Przykro mi, mężu. Nie możesz zmusić mnie do wyjazdu.

Poszarzał z bólu, a jego wargi zsiniały i wystąpiły na nie plamy.

– Jesteś moją żoną – powiedział ostro. – I nosisz moje dziecko.

– Tak. – Proste słowa. – Ale nie należę do ciebie. A dziecko wciąż jest moje, jest moim ciałem i krwią, moją substancją i mlekiem. Pewnego dnia to się zmieni. Wszystkie dzieci wyrastają ze swoich matek. Ale na razie pozostaje ze mną, bo musi.

– Dość tego, Bhumiko. Wezwij mi lekarza. Mam pracę do wykonania, jeśli chcemy przetrwać.

Pokręciła głową.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał.

Wikram nie był przygotowany na to, co potrafią osoby dotknięte przez bezśmiertne wody. Zaś buntownicy Aśoka nie byli przygotowani na nią. Aśok nigdy jej nie doceniał. Tak samo jak Wikram. Tak samo jak Prija.

Na szczęście sama Bhumika zawsze się doceniała.

Powinieneś być mnie posłuchać, miała ochotę powiedzieć. Powinieneś być uniknąć eskalacji konfliktu z buntownikami. Powinieneś być się domyślić, że lepiej nie wiązać losu z cesarzem, który pali kobiety, który niszczy swoich sojuszników, który marzy o świecie oczyszczonym przez wiarę i płomień.

Powinieneś być zaufać kobiecie, którą poślubiłeś.

– Nigdy tego nie chciałam – rzekła natomiast. To przynajmniej było prawdą. – Chciałam pokoju. Byłam chętna płacić cenę, jakiej żądał pokój, nawet jeśli byłby niepewny. Ale teraz to już minęło, mężu. Teraz gdy buntownicy i twoi ludzie rozdarli Hiranaprasthę pomiędzy siebie jak psy, zamierzam robić to, co jest konieczne. Obejmę rolę, którą kiedyś pełniłam.

Wreszcie spojrział na nią i ją ujrzał. Rumieniec na jej twarzy, z której promieniowała moc. Zaś za nią...

Ciernie wciskające się przez okno z nienaturalną świadomością.

Dostrzegła zrozumienie w jego oczach. Była to chłodna, czysta groza mówiąca jej, że nigdy jej nie podejrzewał, że nigdy się jej nie bał. Nigdy nie zdawał sobie sprawy, że jego ahiranyjska wysoko urodzona żona, poślubiona z przyczyn politycznych i dla urody, dla możliwości urodzenia dziecka, które teraz w sobie nosiła, jest takim samym potworem jak te, które niegdyś palił.

– Nie wrócisz do swojego cesarza – powiedziała mu. – Przykro mi z tego powodu, Wikramie. Życie niektórych cenię bardziej niż twoje. I tak naprawdę... – Przełknęła ślinę. – Staralam się.

Podniosła się. Chciał złapać rąbek jej sari. Odsunęła się, zanim zdążył jej dotknąć.

– Lekarza – zawołał za nią. – Bhumiko. Choć tyle.

Próbował wstać. Usłyszała, że znów jęknął z bólu.

Zamknęła i zaryglowała za sobą drzwi, nie oglądając się za siebie.

Wszystko, co zbudowała, właśnie się rozsypało.

Jej bezpieczna tożsamość. Jej małżeństwo. Jej naród żyjący w kruchym pokoju. Nie mogła już dłużej wykorzystywać potęgi Paridżatdwipy, by chronić własną. Teraz potrzebowała siły Ahiranji. Siły beśmiertnych wód i jej magii korzeni oraz pnączy.

Potrzebowała Prii.

Wiele z osób, które przetrwały w pałacu różanym, było bardzo starych lub bardzo młodych. Znajdowali się jednak wśród nich ludzie Dżiwana i strażnicy, którzy szukali schronienia. Trafili się również silni ogrodnicy i kucharze o dłoniach pokrytych oparzeniami i odciskami. A także pokojówki, nawykłe do ciężkiej pracy przy targaniu wiader i opału, przy wspinaniu się na Hiranę. Właśnie do nich wszystkich przemówiła.

Opowiedziała im, że nie wszystkie świątynne dzieci zginęły.

Opowiedziała im o darach Prii, tak podobnych do jej darów. Opowiedziała im, że udało się odnaleźć drogę do wód. Opowiedziała im, że istnieje szansa na przywrócenie mocy, jaka kiedyś przenikała Ahiranję. Była wobec nich bardziej szczerą niż kiedykolwiek wobec Wikrama.

– A jeśli pójdziecie ze mną lub jeśli będziecie strzec pałacu różanego na mój powrót – ciągnęła – jeśli będzie działać jako lojalna świta, jeśli pomożecie mi odszukać świątynne dziecko, wówczas dzięki wam Ahiranja zyska nadzieję. Będzie miała szansę przetrwać, nawet jeśli cesarstwo obróci się przeciwko nam. A zatem... – Rozejrzała się po nich. – Pójdziecie?

– Wszyscy znamy opowieści o świątynnej radzie – powiedział gburowato jeden z kucharzy. – Ci z nas, którzy urodzili się i wychowali

w mieście, spotykali ich osobiście. Wiemy, co im uczyniono. Dzieciom. – Spuścił wzrok na swoje dłonie. Poznaczone rankami, nie tylko od gotowania, ale też od naciągania łuku. – Ja pójdę.

– Ja też chcę pójść – rzekła służąca Sima. Dołączyło kilka innych głosów oferujących udział w wyprawie albo straż na pałacowych murach.

– To nie będzie prosta podróż dla żadnego z nas – oznajmiła Bhumika, gdy już wszyscy ochotnicy się zgłosili i wyznaczono im role. – A jeśli chodzi o tych, którzy zostaną... Każdej nocy będę się modliła o siłę dla moich cierni, żeby wytrzymały.

Nie mogła później liczyć na odpoczynek. Czekają ją długie planowanie, a gdy wreszcie znalazła chwilę dla siebie, by przymknąć oczy, usłyszała odgłos kroków. Stało przed nią dziecko z butwieniem na skórze i nadzieją w oczach.

– Rukh – odezwała się. – Czego chcesz?

– Idę z tobą – powiedział. – Prawda? Kazałaś mi obiecać, że będę ci służył. No to muszę iść. Muszę ci pomóc ją odnaleźć.

W czekającej ich podróży nie było miejsca dla dziecka. Powinna mu odmówić. Jednak gdyby go zostawiła, zniszczyłaby część jego nadziei, a zorientowała się, że nie jest do tego zdolna.

– Tak – rzekła. – Idź spakować swoje rzeczy.

Sama również nie nadawała się do tej podróży. Nie potrafiła nawet jeszcze wyobrazić sobie własnego dziecka. Kiedy tego próbowała, nie dostrzegała niczego. Czuła jedynie obcość swojego ciała, szarpnięcia i ból koncentrujące się u podstawy kręgosłupa. A jednak kochała to dziecko, ponieważ było jej, ponieważ oddychało i śniło w niej.

– Zasługujesz na coś lepszego – mruknęła, przesuwając dłonią po wypukłości brzucha. Tam i z powrotem. – Ale co poradzimy. Jest praca do wykonania.



46

PRIJA

Lóżko. Zielone łóżko. Łóżko wody. Znajdowała się pod powierzchnią kłębiącej się rzeki i była porośnięta kwiatami lotosu, których korzenie okręcały się wokół jej nadgarstków i gardła.

Skrecała się i obracała wraz z nimi, zaniepokojona faktem, że otaczająca ją ciecz nie jest zimna, tylko ciepła. Kojarzyła odległe, że kiedyś sprawiała jej ból, że parzyła, ale teraz poruszała się wokół niej z temperaturą i ospałą konsystencją krwi.

Sięgnęła sobie do gardła, rozplątała korzenie, wzniosła się ku powierzchni. Znajdowała się w sangamie albo w czymś bardzo przypominającym sangam, z krętymi rzekami i gwiazdami przemykającymi w pasmach i skupiskach po wodzie. Jednak woda była głęboka, bardzo głęboka, pełna kwitnących kwiatów: lili i innych, skreconych, z gatunków, których nie potrafiła nazwać.

Nie powinna się tu znajdować. Zaledwie chwilę wcześniej była gdzie indziej. Prawda? Malini ją podtrzymywała. Pamiętała to. Malini ją podtrzymywała, a jej głos, którym rozkazywała Prii, żeby z nią została, proszę...

Sadzonko. Spójrz.

Znów popatrzyła na wodę, z której się wyłoniła. Poprzez mrok ujrzała ciało.

Jej własna twarz leżała pod osadami. Z jej własnymi włosami, rozłożystym obłokiem czarnych pasm. Były tam również jej własne oczy, zamknięte jak we śnie. Z piersi wykwitał jej wielki lotos, przedzierający się spośród odsłoniętych żeber. Z oczu sypały się płatki nagietka, usiane złotem i karneolem, sączyły się spod powiek.

Nie było to jej lustrzane odbicie. Wiedziała to. Zaś gdyby nie miała pewności, to ponizej, w falującej powoli szarości rzecznego koryta, dostrzegala kilkanaście kolejnych oplecionych postaci, przytrzymywanych przez korzenie lotosu, z włosami rozwianymi w wodzie, z ciałami składającymi się w połowie z korzeni, w połowie z ciała, pięknych i dziwnych.

Ciało tak podobne do jej własnego, znajdujące się ponad resztą, poruszało się. Usta rozchyliły się i był w nich kwiat, który rozwinął się w ciernie, jaskrawoniebieskie i czarne, zaś w jego sercu tkwił kosmos.

Chwyliła gwałtownie powietrze i przesunęła się w wodzie, próbując płynąć, skręcić, jednak wciąż ścisnęły ją postronki tych potężnych lotosowych korzeni.

Ciało podniosło się z wody. Jego oczy otworzyły się. Oczy o złotych płatkach. Karmazynowe niczym krew.

Sunęło ku niej. Dotknęło palcami jej zuchwy. Palce miało ciepłe jak święte drewno. Czerwony śmiech. To nie była ona. To nie mogła być ona.

Pogładziło ją po policzku.

– Spójrz tylko na siebie – powiedziało głosem, który nie był jej. – Jesteś taka nowa. A jednak taka pusta.

– Czym jesteś? – wyszeptała Prija.

– Nie rozpoznajesz tego, co czcisz? – zapytało jej odbicie. Uśmiechnęło się.

Prija wzdrygnęła się – z zaskoczenia, całym ciałem – a jaksza roześmiało się. Woda była ciepła jak krew, postać jakszy z rzeźbionego drewna i ciała, jego oczy jak krwisty kwiat.

– Wycięłaś sobie serce, żeby się ze mną spotkać – powiedziało. – Nie spytasz mnie o przysługę?

Prija nic nie mówiła. Nie potrafiła. Zaniemówiła z zachwytu i podziwu. Zaś jaksza tylko pokręciło głową, sypiąc z barków czarnymi płatkami, i uśmiechało się dalej.

– Chcę wrócić – rzekła wreszcie Prija. – Proszę.

Jaksza skinęło głową. Cofnęło palce – ale wcześniej jeden z jego paznokci wyostrzył się, stał się cienki niczym igła, i nakreślił krwistą kreskę na jej policzku. Jaksza przyłożyło jej do twarzy dłoń tak przypominającą jej własną. Dotknęło jej krwią jej warg.

– Och, sadzonko – wyszeptano stworzenie. – Spotkamy się znowu, ty i ja. W ten czy inny sposób.

Przez chwilę widziała cały świat.

Widziała ocean kotłujący się wzdłuż krawędzi wielkiego subkontynentu Paridżatdwipy. Widziała góry zwieńczone śniegiem na granicy Dwarali. Widziała dwaralski Lal Qila, fort stojący na skraju znanego świata. Widziała Paridżat i otoczony kwiatami cesarski mahal w Harsingharze.

Widziała butwienie. Widziała je wszędzie, naprawdę wszędzie. I widziała, jak rośnie, jak się zmienia. Widziała, że wcale nie jest butwieniem, tylko kwitnieniem, rozkwitaniem. Widziała kilkanaście istot z rzeźną wodą sączącą się z palców i goździkami zamiast oczu, które wzniosły się z gleby świata i odetchnęły...

Obudziła się, nie chwytając raptownie powietrza czy z niepokojem, tylko powoli. Zupełnie jakby tylko śniła. Zupełnie jakby wcale nie znajdowała się przed chwilą w sangamie. Leżała na materacu na podłodze przysadzistego, chłodnego domu, słodko pachnącego wilgocią. Malini przysiadła obok niej na kolanach.

Rzuciła się na Priję i objęła ją.

Co...?

– Co to za miejsce, do którego nas przywiodłaś? – spytała księżniczka niebezpiecznie cichym głosem. – Ta kobieta nie pozwala mi opuścić tego pokoju. A mężczyzna...

Malini nagle umilkła. Prija poczuła, jak się od niej odsuwa, zobaczyła, jak się na powrót uspokaja, jak pokornie spuszcza wzrok.

Stała za nią starsza Ćandni.

Serce Prii wydało z siebie ostre łupnięcie.

Już wcześniej czuła obecność kogoś z rodzeństwa, a przynajmniej takie miała wrażenie. Kogoś jak z rodziny, ciernia ostrego jak igła w leśnym gąszczu. Ale nie spodziewała się tego.

Dzieciństwo. Ćandni pisząca przy biurku. Dłoń Ćandni w jej włosach.

Uczta. Krew. Ogień.

Ćandni weszła w głąb chaty, w półmrok. Jednak Prija ją widziała. Jej twarz o ostrych kościach policzkowych i włosy, które całkowicie posiwiały, związane w kok tuż nad karkiem. Miała nowe zmarszczki i chodziła w sposób świadczący o tym, że dręczy ją ból.

– Przyprowadziła cię tu twoja towarzyszką – rzekła Ćandni miękko. Prija potrzebowała chwili, by uświadomić sobie, że kobieta mówi klasycznym ahiranyjskim, wyłączając w ten sposób z rozmowy Malini

nierozumiejącą tego języka. – Powiedziała, że prosiłaś, by cię tu przywieść.

Prija przełknęła ślinę. Miała sucho w gardle. Czowała się po części tak, jakby wciąż tkwiła uwięziona w jakimś straszliwym, gorączkowym śnie.

– Prosiłam.

– A jednak chyba nie zdawałaś sobie sprawy, że ujrzysz tu mnie. Prawda? – Oczy Ćandni śledziły każdy ruch na twarzy Prii, każdy tik i skurcz mięśni w jej ciele.

Prija żałowała, że w przeciwieństwie do Malini nie potrafi odsączyć z oblicza wszystkich emocji. Niemniej nawet nie drgnęła. Wpatrywała się w Ćandni, nie mrugając, aż oczy zaczęły ją piec tak dotkliwie, jak to coś splątanego w jej sercu, czego nie umiała nazwać.

– Wyczułam, że jest tu ktoś taki jak ja – rzekła. – Ale nie, nie oczekiwałam... ciebie.

– Sądziłaś, że nie żyję?

Miałam taką nadzieję, pomyślała Prija, ale w kolejnym uderzeniu serca uświadomiła sobie, że to nieprawda. Niemniej żadna odpowiedź nie mogła jej pomóc ani pozwolić Malini wyjść z tego bez szwanku.

– Cała świątynna rada nie żyje. I starsi, i dzieci. A przynajmniej wszyscy powinni nie żyć – powiedziała Prija.

Zabiłaś nas. Powinnaś okazać przyzwoitość i umrzeć razem z nami.

– Niektórzy z nas postanowili zginąć wraz z dziećmi – oznajmiła Ćandni. – A niektórzy wybrali to.

To. Prija rozejrzała się. Pleśń na drewnianych ścianach. Owady biegające i pełzające po deskach spróchniałych i pokrytych wilgotnymi plamami. Woda kapiąca z nieszczelnego dachu.

Malini obserwowała ją spod półprzymkniętych powiek, na pozór obojętnie. Jednak Prija wiedziała lepiej.

– To nie do końca wygnanie – zdołała wykrztusić Prija. – Wciąż jesteś w Ahiranji.

– To nie wygnanie – odparła Ćandni. Wciąż miękko. Tak miękko. Podeszła o krok bliżej i Prija uświadomiła sobie, że nie jest to łagodność, którą wcześniej podejrzewała, tylko uspokajający głos, jakiego używa się w stosunku do dzikiego zwierzęcia. By uspić jego czujność, zanim nałoży mu się obrożę albo pośle na rzeź. – Wciąż mamy pracę do wykonania. A przynajmniej tak nam się wydawało.

– Kto jeszcze tu jest?

– Tylko Sendhil. Reszta odeszła. Ale on cię nie skrzywdzi.

Ćandni pochyliła się z trudnością. Położyła Prii dłoń na czole. Dziewczyna nie poruszyła się. Jedyne wpatrywała się w kobietę.

– Jak mnie uratowałaś? Myślałam, że wody już mnie pokonały.

– Nie uratowałam cię. Wyszłaś z tego sama, Prijo, podobnie jak wychodziły dzieci zabierane do izby chorych w świątyni. Albo nie.

Popatrzyły po sobie z nieufnością, niczym zwierciadlane odbicia rozproszone w półświatle.

– Ustąpiła ci gorączka. – Ćandni opuściła dłoń. – To dobrze. Czyli będziesz żyła.

– Gdybym wiedziała, że to ty, nigdy bym tu nie przyszła – oznajmiła Prija. – Spodziewałabym się, że zabijesz mnie w tej samej chwili, gdy mnie ujrzysz.

– Nie powinnam była pozwolić ci przeżyć, Prijo. Nie wtedy. I nie teraz. Powinnam była cię zabić, gdy twoja towarzyszka cię tu przyprowadziła. Tak wygląda prawda.

– To dlaczego tego nie zrobiłaś? – spytała Prija z nagłą złością, tak silną, że czuła, iż się trzęsie, choć wcześniej nie zdawała sobie z tego sprawy. – Przecież nie zdołałabym cię powstrzymać.

– Gdy ci się polepszy, porozmawiamy.

Ćandni zaczęła się podnosić, ale Prija złapała ją za ramię. Nie ścisnęła mocno. Nie musiała. Kości starszej kobiety, które czuła pod dłonią, były ostre pod skórą, kruche jak skorupki.

– Już mi lepiej – powiedziała Prija w zaban i wspólna mowa spłynęła swobodniej z jej warg. – I już możemy porozmawiać.

Jestem silniejsza, pomyślała, twardo wytrzymując spojrzenie Ćandni. Nie jestem już dzieckiem. I dasz mi odpowiedzi.

– W porządku – odparła kobieta w starannym zaban. – Skoro jesteś zdrowa, to wstawaj. Wyjdź za mną na zewnątrz i porozmawiamy. Same.



Ćandni nie wyświadczyła jej tej uprzejmości, by odwrócić wzrok, gdy Prija się podnosiła. Malini wstała wraz z nią i schludnie złożyła dłonie przed sobą. Nie wyszła za Priją i Ćandni z pokoju, choć Prija czuła ciężar jej wzroku.

Prija czuła ból. W każdej części ciała. Wielka siła, jaką miała zaraz po wyłonieniu się z bezśmiertnych wód, zniknęła, i teraz dziewczyna

miała wrażenie, że została wysączona. Przynajmniej jednak gorączka ustąpiła. Nie groziła jej śmierć i była w sporej mierze sobą – i jako ona sama czuła się wściekła i zmęczona, całkowicie odsłonięta. Nie wiedziała, czy woli udusić Ćandni, czy nad nią płakać.

– Tędy – rzekła kobieta. Przytrzymując się ściany, zaprowadziła Priję na tył chaty. Siedział tam Sendhil z kapturem narzuconym na głowę. Wyglądał, jakby spał, ale dziewczyna była pewna, że jest inaczej. Raczej się nie śpi, gdy dziecko, które kiedyś chciało się zamordować, wraca do ciebie, już dorosłe.

– Jak żyłaś od czasu upadku świątynnej rady? – zapytała Ćandni.

– Upadku – powtórzyła Prija. – To raczej nie do końca oddaje przebieg wydarzeń.

Kobieta milczała przez chwilę, po czym rzekła:

– Nieważne.

Wydawało się, jakby w tym momencie opuściła ją część wcześniejszej miękkości. W jej miejsce pojawiły się lekko zgarbione ramiona, nagle pochyłona głowa. Wyglądała na pokonaną.

– Jak określa się wiarę w najstarszych ahiranyjskich tekstach? – spytała wreszcie.

– Nie wiem – odparła Prija.

– Kiedyś cię tego uczyłam.

– Nie pamiętam.

Ćandni obróciła się w jej stronę. W świetle dnia jej twarz była ściągnięta i pomarszczona, niemal krucha.

– Wydrążenie – powiedziała. – Określa się ją jako wydrążenie.

Odwróciła wzrok od Prii i zaczęła powoli, z mozołem obchodzić budynek.

– Uważaliśmy, że to rozumiemy. Wydrążenie pozwalające oskrobać nas ze słabości. Wydrążenie czyniące z ciebie naczynie na prawdę i wiedzę. Wydrążenie oczyszczające cię. – Chwila milczenia. – Wtedy twoje rodzeństwo weszło w bezśmiertne wody i wróciło z nieznanymi mieszkańcami w ich głowach. A my zrozumieliśmy, że się myliliśmy. Cokolwiek wróciło, nosiło ich skóry, ale nie było nimi. I wówczas zaczęło się butwienie. To, co żyje w tobie, co wróciło razem z nimi, było matką butwienia. Zarazą. Musieliśmy ją zakończyć, zanim ona zakończy świat. Cesarz bał się was i chciał waszej śmierci. My chcieliśmy końca butwienia. Uznaliśmy, że to słuszne.

Prija pomyślała o swoim rodzeństwie. O małym Nandim, o Sandźanie. Gdy się odezwała, drżał jej głos:

– Byliśmy tylko dziećmi.

– Trzykrotnie zrodzeni byli młodymi starszymi, gotowymi wstąpić do naszego kręgu. Już nie byli dziećmi. A reszta... – Ćandni wypuściła z siebie powietrze. Gdy kobieta przerwała, by dojść do siebie, Prija nie była pewna, czy to westchnienie, czy ból przy oddychaniu. – Dzieci, które potrafią zmieniać kształt gór i kierować korzeniami oraz liśćmi, nie są już dziećmi. Są czymś, co jedynie wygląda jak dziecko. Kierował nami obowiązek, Prijo.

– Zatem dlaczego uratowałaś mi życie? Jeśli byliśmy potworami, które trzeba zniszczyć dla dobra waszego obowiązku, to dlaczego próbowałaś mnie oszczędzić?

– Czasami robimy głupie rzeczy – odparła Ćandni ze smutkiem w głosie. – To nie ma już znaczenia. Tamten czas dawno przeminął. Musisz zrozumieć tylko jedno, nawet jeśli nie zdołasz tego przebaczyć: pragnęliśmy powstrzymać rozwój i rozprzestrzenianie się butwienia. Baliśmy się, co się stanie ze światem. I przybyliśmy tu, żeby szukać sposobu na ochronienie naszej Ahiranji. Żeby zniszczyć pozostałe butwienie. I żeby... opłakiwać. – Nieco załamał jej się głos. – A teraz, dla własnego dobra, krocź ostrożnie. Moimi śladami.

Za chatą, w której mieszkali Sendhil i Ćandni, leżała pusta polanka. Być może kiedyś uprawiano na niej warzywa albo trzymano zwierzęta, ale teraz była obszarem nietkniętym ludzkimi rękami, pokrytym splątanym gąszczem traw o wiciach cienkich jak włosy. Na środku stało pojedyncze drzewo. W ziemię wokół niego wetknięto głęboko w glebę kawałki drewna.

– Możesz popatrzeć na drzewo – rzekła kobieta. – Przyjrzyj mu się, jeśli potrzebujesz, ale nie przekraczaj obwodu świętego drewna.

Drzewo było kolosem kojarzącym się z namorzynami, o pomarszczonym pniu i opadających gałęziach porośniętych drobnymi listkami, jasnymi niczym perły. Prija podeszła do niego i poczuła gorąco świętego drewna pulsujące przed nią niczym bijące serce.

– Co to jest? Co...?

Myliła się, sądząc, że pień jest po prostu pomarszczony. Z bliska widziała jego butwienie: róż rannego ciała pomiędzy prążkami drewna, miarowy puls w korzeniach, konary obwisłe ku ziemi.

Twarze.

Sarodź. Bodźal. Nie wszyscy starsi. Ale wystarczająco wielu z nich.

Prija poczuła, jak żółć podchodzi jej do gardła.

– Zaczęło się wkrótce po tym, jak tu przybyliśmy. Pierwszy zaczął chorować i umarł. Wtedy drzewo uległo zmianie. Moim zdaniem skradło jego duszę. Później następna osoba. I trzecia. Zostaliśmy tylko Sendhil i ja.

Czekamy. – Mówiła przerażająco spokojnym głosem. – Nie wiem, jaka klątwa kryje się w tobie i pozostałych dzieciach... ale wygląda na to, że tkwiła też w nas. Objawia się w taki sposób, jak widzisz.

– Ich ciała?

– Spalone. Ale to nieistotne. Butwienie nas dopadło. To chyba pośmiertna klątwa. – Prija usłyszała, jak Ćandni podchodzi bliżej, i po raz pierwszy pomyślała, że w jej ruchach niemal słyszy skrzywienie drewna, że jej skóra nie wygląda po prostu na ściągniętą, ale w świetle jest jak popękana kora.

Prija nie wpatrywała się w kobietę, tylko w znajdujące się przed nią drzewo. W toczące je butwienie. Jakże sprawiedliwe się to wydawało.

– Mylisz się, sądząc, że jesteśmy objawem butwienia. Jesteśmy lekarstwem. Mam co do tego pewność. – Zadarła głowę, aż spoglądała w niebo poprzecinane gałęziami, i wymrugiwała z oczu niechciane łzy. – Mówiono mi, że trzykrotnie zrodzeni potrafili je kontrolować. Może nawet usuwać.

– Kto ci to mówił?

– Czy to prawda? Potrafili je kontrolować?

– Potrafili – odparła Ćandni po chwili. – Tak.

– Byliście głupcami – z trudem wykrztusiła Prija przez odczuwany smutek i gniew. Wszystkie dzieci zasłużyły na lepszy los niż śmierć, która je spotkała. Pomyślała o uśmiechu Sandżany oraz łagodnym spojrzeniu Nandiego i poczuła się przygnieciona przez ciężar tego, w jakim stopniu nie byli wydrążeni, jak wydrążony był świat bez nich. – To my przez cały czas stanowiliśmy odpowiedź, a wy nas odrzuciliście. Zniszczyliście.

– Być może – odparła ciężko Ćandni.

– Żadne być może – wycedziła Prija. – A zatem, czy warto było zamordować moich braci i siostry? Dla przekonania?

Prija obróciła się. Ćandni wpatrywała się w drzewo. Może myślała o innych utraconych starszych, którzy byli dla niej jak rodzeństwo. A może myślała o zamordowanych przez nich dzieciach.

– Takiego dokonaliśmy wyboru – powiedziała w końcu. – Wierzyliśmy, że jesteście potworami. Ty wierzysz, że nie. Zrobiliśmy to, co w naszym mniemaniu było słuszne, i możesz nas za to potępić. Ale to niczego nie zmienia.

– Dlaczego akurat ja wciąż żyję?

– Urodziłaś się na Hiranie – odrzekła Ćandni ze zrezygnowaniem. – Nie zostałam po prostu wychowana w świątyni, lecz się w niej urodziłam. Wiesz to przecież.

– Owszem. Ale nieważne, czy urodzeni tam, czy wychowani, wszyscy zostaliśmy zabrani od naszych rodzin krwi i otrzymaliśmy nową rodzinę, przecięto nam dawne więzi. Taka była cena awansu na świątynnego starszego, czyż nie? Oddaj rodzinę krwi. Wybierz rodzinę braci i sióstr w służbie. I moja rodzina spłonęła na Hiranie. – Prija pomyślała o dłoni Ćandni na jej włosach, kiedy spała. Pomyślała, co to znaczyło być urodzonym w świątyni, podczas gdy pozostałe dzieci zostały przysposobione do służby. Wiedziała, co to znaczyło, co pozostało niewypowiedziane pomiędzy nimi. I nie miało to znaczenia. – Gdybym miała rodzinę krwi, właśnie tak bym jej powiedziała.

– Ach – powiedziała Ćandni. – Zatem chyba oszczędziłam ci sentymentalności. Dla marzenia, które powinnam od siebie odsunąć. Mówiłam ci, że to było głupie.

– Bo było.

Kobieta uśmiechnęła się smutno.

– Zdecydowanie – powiedziała. Zupełnie jakby wiedziała, że ostatecznie do tego przyjdzie, że Prija stanie przed drzewem, które nie było do końca drzewem, o korzeniach nabrzmiałych od krwi i ciał zmarłych. – Pewne rzeczy są nieuniknione – ciągnęła kobieta. – Pływy morskie. Świt. Być może, pomimo wszelkich naszych wysiłków, butwienie również jest nieuniknione. I ty jesteś nieunikniona. – Znów spojrzała na drzewo. – Jestem zbyt stara i zmęczona, by zrobić coś więcej. Zatem oto moja odpowiedź: Prijo, pozwalam ci żyć, bo nie mogę powstrzymać wpływów. – Ćandni pokręciła głową. – A skoro już ci lepiej, to powinnaś stąd odejść.

Ból i zdrada ogarnęły go mgłą, z której nie był w stanie się podnieść. Cała jego ciężka praca. Lata ofiar dla cesarstwa. Wojny, które toczył, paktów i sojuszy, które zawarł, regencja, którą otrzymał. Żona, którą poślubił. Dzieci, które spalił. Wszystko przepadło.

Drzwi otworzyły się z lekkim stuknięciem. Mężczyźni, którzy weszli, przez chwilę pozostawali w cieniu. Słyszał ich kroki. Z trudnością uniósł głowę i obserwował, jak podchodzą. Pierwszy był młody strażnik, wyrostek o zimnych oczach, który nawet nie skłonił głowy. Drugi...

– Dziwan – wydyszał ciężko generał z większą ulgą, niż potrafił przekazać. – Dzięki matkom, że tu jesteś.

Dziwan cicho zamknął drzwi za sobą. Nie miał na sobie kolorów Paridżatdwipy – ani czystej bieli, ani złota. Jego tunika była prosta i ciemna. Jednak na ramieniu wciąż nosił obręcz symbolizującą pozycję dowódcy osobistej straży regenta, miał także chustę zawiązaną od barku do pasa z węzłem na biodrze, haftowaną białą nicią w imperialny jaśmin.

– Mój lordzie – rzekł oficer. Przyklęknął. – To zaprawdę zły dzień.

– Czy możemy uciec bez przeszkód? – spytał Wikram. – Dziwanie, moja rana jest poważna. Będę potrzebował lekarza, zanim rozpoczniemy podróż do Paridżatu. – Stęknął, unosząc się na łokciach. – Pomóż mi wstać.

Teraz się pospieszmy. Czy na korytarzu są jacyś buntownicy? Masz więcej ludzi?

Dziwan pomógł mu usiąść prosto. Dłoń dowódcy pewnie podtrzymywała plecy generała. Drugi strażnik klęknął obok niego. Dziwan jedną ręką odwiązał chustę.

– Co ty robisz, człowieku? – dopytywał generał. Gdy chusta zwisała luźno, wreszcie zrozumiał.

– Ach, ach – rzekł młodzik, przyciskając dłoń do piersi Wikrama. – Nie ruszaj się, mój lordzie.

– Pracujesz dla niej – wyszeptał generał. Dowódca jego osobistej straży. Człowiek, który przez tyle lat dbał o jego bezpieczeństwo, chronił go przed atakami. Jak to możliwe? – Pracujesz dla tej mojej potwornej żony... mojej...

– Nie mów tego, mój lordzie – powiedział spokojnie Dziwan, chwytając go mocniej, by go lepiej przytrzymać. – Złe słowa są poniżej twojej godności.

Wikram roześmiał się bezradnie, ponieważ nie mógł uwierzyć, co stało się z nim i z jego życiem. Nawet jego szczątki rozpadały się teraz wokół niego w pył. Czy cokolwiek mogło być obecnie poniżej jego godności?

– Zdrowie damy Bhumiki nie pozwala jej czynić tego, co konieczne – stwierdził szorstko żołnierz, który służył mu od tak dawna. – Poza tym właśnie po to tutaj jestem. To mój cel.

– Czy naprawdę nikomu nie mogę ufać? – wydyszał generał. – Po tym wszystkim, co zrobiłem? Jak bardzo starałem się zrobić coś z tym miejscem? Czy skażesz mnie bez litości, bez sądu, bez sprawiedliwości?

– Przykro mi, mój lordzie – odparł Dziwan, choć nie brzmiał, jakby było mu szczególnie przykro. – Przypuszczam, że czeka cię sąd w innym życiu i miejscu. Ale nie tu i nie teraz.

Na szyję narzucono mu tkaninę. Szarpał się, ale młody strażnik przytrzymał go skutecznie, brutalnie wbił mu łokieć w brzuch, by na moment pozbawić go tchu, oszołomić tak, by znieruchomiał. Ta chwila wystarczyła. Było już za późno.

Wikram poczuł, jak pęta się zaciska.

Jak przypuszczał Rao, żołnierze Santosa próbowali wciągnąć konie na Ścieżkę Poszukiwacza, co zapewniło grupie Prema trochę czasu. Akurat tyle, by zorganizować pułapkę.

– Dorastałem na imperialnym dworze – powiedział Rao do zebranych ludzi, gdy zatrzymali się, by złapać dech. – Poznałem tradycyjne metody, szeroko zakrojone strategie sięgające jeszcze Epoki Kwiatów. Jeśli Santos wciąż jest takim purystą, jak pamiętam, to będzie trzymał się dozwolonych zasad prowadzenia wojen. Bez koni czy rydwanów będzie miał problemy. Użyje szabli. Nie wykorzysta łuczników, miotaczy czakramów ani biczy – tłumaczył Rao, wskazując stalowy bicz zwinięty u boku Prema. – Nie zbruka swoich zbrojnych bronią innych narodów. Jest nieodpowiednio wyposażony, by poradzić sobie z pułapką.

Prem otarł pot z czoła. Wciąż miał na sobie ciężką chustę, mocno związaną, by mu nie przeszkadzała.

– Racja, jest purystą – rzekł. – W porządku. Spróbujmy.

– Mogę użyć łuku – zaproponowała Lata.

– Będziesz trzymać się z dala od walki – powiedział jej stanowczo Prem. Lata skłoniła głowę, zgadzając się, ale Rao upewnił się, że mimo wszystko ma przy sobie nóż do rzucania.

Saketyjczycy stanęli w cieniu z przygotowanymi stalowymi biczami. Rao dołączył do nich. Trzymał w palcach czakram, który ściągnął sobie z nadgarstka.

Gdy ludzie Santosa się pojawili, okazało się, że został im tylko jeden koń. Zapewne pozostałe uciekły, do cna wystraszone przez las. Biedne zwierzęta.

Prem wstrzymywał swoich podwładnych, dopóki Rao nie cisnął pierwszym czakramem. Kiedy rzucił drugim, wypuścili deszcz strzał. Gdy tylko ostatni pocisk został wypuszczony – a Paridżatczycy albo stłoczyli się na środku ścieżki, by uniknąć ataków, albo leżeli zakrwawieni na ziemi – Prem i jego zbrojni wystąpili naprzód, rozcinając biczami powietrze.

Rao zeskoczył z gałęzi i przemknął wokół walczących, by samemu nie oberwać końcówką bicia. Właśnie wtedy dostrzegł Santosa odpełzającego od zamieszania.

Wyciągnął sztylety zza pasa. Skoczył na mężczyznę i... chybił, ponieważ Santos przeturlał się pod ostrzem i zerwał na nogi znacznie zwinniej, niż Rao się po nim spodziewał.

Rao zaklął, obrócił broń w dłoni i wsunął ją z powrotem za pas. Santos w tym czasie wyciągnął szablę.

Szabla niezbyt dobrze spisywała się przeciwko stalowemu biczowi, ale była bardzo skuteczna w zwarciu przeciwko tradycyjnej alorskiej broni, przeznaczonej albo do ciskania, albo do prozaicznego dźgania. Rao miał jeszcze na rękę cztery czakramy i kilka sztyletów do rzucania przy pasie. Odskoczył i zamachnął się ostrzem w Santosa. Chybił.

Byłoby miło, wręcz przyjemnie, gdyby Santos był złym wojownikiem. Dorastał jednak w rodzinie szlacheckiej i wiedział, jak radzić sobie z paridżacką szablą. Miał idealne ruchy – gwałtowne cięcia i pchnięcia pod precyzyjnymi kątami, przed którymi Rao musiał się uchylać, żałując, że sam nie ma stalowego bicia.

Saketyjczycy nagle ruszyli jak jeden mąż, a Prem wyskoczył przed nich i użył bicia w falującym zamachu, którym trafił Santosa w dłoń ściskającą szablę. Rozciął skórę. Mężczyzna zaklął z bólu, ale nie puścił broni.

– Dwóch na jednego? Gdzie wasz honor? – ryknął Santos.

– Pamiętaj, by powiedzieć Ćandrze, jakie z nas niehonorowe psy, oczywiście jeśli wygrasz – rzucił radośnie Prem, po czym znów wykonał biczem ostre cięcie, przed którym Santos z trudem umknął.

Przez błysk bicia Rao zauważył postać podchodzącą do Prema od tyłu z wyciągniętą szablą. Ktoś przedarł się przez kordon ustawiony przez ludzi Saketyjczyka. Nie było czasu na zastanawianie się. Kierując się

instynktem, Rao zerwał czakram z nadgarstka i cisnął ostrym dyskiem w paridżackiego żołnierza.

Rozciął mężczyźnie czaszkę. Jednak tamten zdążył wcześniej ugodzić Prema w ramię.

Bicz Prema upadł. Jego chusta, rozerwana przez klingę, zsunęła mu się z barków.

A Rao... zmartwiał.

Na odsłoniętym gardle Prema, na jego krwawiącej ręce, znajdowały się... ślady. Blizny.

Nie. Nie blizny. Spirale kory wielkością dorównujące dłoni Rao. Rozpełzające się od nich żyły rysowały się zielenią. Krew lejąca mu się z ran nie była do końca czerwona. Nie była do końca ludzka.

Santos wykorzystał to, że Rao zamarł w szoku, a Prem starał się, pomimo odniesionej rany, z powrotem zakryć się chustą. Rzucił się na niższego księcia.

Prem otworzył szeroko oczy, Sięgnął po bicz. Przerażony Rao starał się złapać za jeden ze swoich czakramów, noży, cokolwiek...

Bicz Prema błysnął w powietrzu, przebijając się przez zbroję Santosa, okrwawiając mu ręce i rozcinając wargę. Jednak Santos zdążył już wcześniej wymierzyć pchnięcie. Jego szabla gładko wbiła się Premowi prosto w brzuch.

Umysł Rao na chwilę rozbłysnął bielą. Dostrzegł, że obok niego przemyka strzała. Słyszał stłumione okrzyki, zupełnie jakby jego uszy znalazły się pod wodą, a ta woda była dudnieniem jego krwawej furii przelewającym mu się przez czaszkę. Gdy się otrząsnął, zorientował się, że przyparł Santosa do ziemi. Paridżatczyk wrzeszczał o pomoc do swoich ludzi, do Ćandry, do kogokolwiek.

Wciąż działając jak we mgle, Rao wbił jeden ze swoich czakramów w dłoń Santosa. Wbił go mocno i brutalnie – czuł, jak kości pękają pod stałą niczym karki małych włochatych zwierzątek.

– Pochodzi z królewskiej rodziny w Sakecie – wychrypiał Rao. – Nie miałeś prawa. Tyle gadasz o honorze, ale nie miałeś prawa.

– Za cesarza – wydyszał Santos. Na zębach miał krew. – Za cesarza, za Paridżat. Moi ludzie, ochronie mnie!

Ale jeden ze zbrojnych Prema znalazł się już za Rao. Inny pochylał się nad samym Premem i mówił coś do niego rozgorączkowanym tonem. Była też Lata, próbująca zatamować upływ krwi. Po jej twarzy lały się łzy. Walka zapewne dobiegła już końca i Rao wiedział, wiedział dobrze, że powinien wziąć Santosa na zakładnika, że Aditja mógłby go wykorzystać.

– Ćandra nie jest naszym cesarzem – oznajmił Rao szorstkim głosem.

Usta Santosa wciąż były otwarte, wciąż wrzeszczały, więc Rao uniósł zakrwawioną dłoń i wyciągnął zza pasa jeden ze swoich noży. Bez wahania wbił go Paridźatczykowi w gardło.



Rozłożyli obóz. Ludzie Prema nie odeszli. Wydawało się cudem, że zostali, ale Rao to zaakceptował. Sądził, że butwienie na skórze Prema skłoni ich do ucieczki, jednak oni jedynie pokręcili głowami.

– Wiedzieliśmy, co mu dolega, mój lordzie – powiedział jeden z nich. – Jest naszym panem. Poinformował nas. Wyjaśnił. To się nie przenosi. Nie pomiędzy ludźmi.

Wraz z nimi rozstawił namiot, w którym złożyli Prema. Gdy skończyli, przyklęknął na ziemi i obserwował, jak Lata przygotowuje swoje tynktury. Z zaczerwienionymi oczyma szykowała bandażę. Ona również wiedziała. Cały czas. Wyglądało na to, że tylko Rao tkwił w mroku.

Nie mógł spytać Prema, dlaczego mu nie powiedział. Mógł jedynie czuć, jak krew wysycha mu na ubraniu, i patrzeć, jak rozerwany szablą brzuch Saketyjczyka wznosi się i opada. Nie potrafił pojąć, jak Prem zdołał to przeżyć.

– To cię nie zarazi – rzekła Lata ostrożnym, spokojnym głosem. – Nie kłamał w tej kwestii. Gdzie jego fajka?

– Jego fajka?

– Analgetyk – wyjaśniła. – Przytępia ból. Pomagał mu w ostatnich miesiącach.

– Na nic się nie zda – wychrypiął Prem. – Już od jakiegoś czasu nie działa. A teraz... – Dotknął dłonią brzucha. Zaklął.

– Nie macaj – warknęła Lata.

– A jaką różnicę to teraz zrobi?

Nie odpowiedziała. Prem zamknął oczy. Miał pobladłą, ściągniętą skórę.

– Popełniłeś błąd, przyjeżdżając do Ahiranji – powiedział Rao, czując, jak żołądek ściska mu się z bezradności. Miał ochotę wrzasnąć na przyjaciela, potrząsnąć nim. – Powinieneś być pić wino w Sakecie.

– To nigdy nie było w moim stylu – odparł z trudnością Prem. Bandaże, którymi Lata owinęła mu brzuch, były już mokre od krwi. – Nie zrozum mnie źle, Rao. Lubię dobre wino. Ale widok odpowiedniego człowieka na tronie...

– Ahiranjia ci to zrobiła. Próby koronowania Aditji ci to zrobiły.

– Ahiranjia mi tego nie zrobiła – odrzekł chrapliwie Prem. – Byłem chory, zanim tu dotarłem.

Rao pokręcił głową.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Jak to możliwe?

– To butwienie – odezwał się Prem. – Nie wiem, jak się roznosi, ale występuje również w Sakecie. Setki ludzi zmarły z jego powodu. Najwyższy książę jak dotąd zdołał utrzymać sprawę w tajemnicy, ale... – Mężczyzna zakasłał. Rozległ się mokry dźwięk, bulgotliwy od krwi. Lata szybko wytarła mu ją z warg. – Ostatnie dwa lata. Ukorzeniło się. Trudno je dalej ignorować. Musi już być wszędzie.

– Nie dotarło do Aloru – stwierdził Rao.

Ale jak mógł mieć pewność? Dorastał w Paridźacie i bywał w Alorze rzadko. Jego starsi bracia umiejętnie wspierali ojca, ale istniały takie aspekty zarządzania miastem-państwem ich urodzenia, w które nigdy nie wtajemniczali Rao. Jeśli dziwna zaraza zaatakowała tamtejsze pola i gospodarstwa, tamtejsze stada bydła, to czy któryś z nich by mu o tym powiedział?

– Rao. Ćandra. On. On rozzłościł matki. Używając ich imion dla politycznych zysków. Wspaniałe kobiety z dawnych czasów nie umarły dla takich jak on. A teraz karzą nas wszystkich.

– Chyba nie wierzysz, że to dlatego jesteś... taki.

– A z jakiego innego powodu butwienie tak by się pogorszyło? – spytał Prem. – Znam wolę matek. Czuję ją. – Skrzywił się znowu. Odetchnął nierówno i dodał: – A co mówi twój bezimienny bóg? Sprzeciwia się?

– Tylko bez teologicznych kłótni – rzekł Rao. – Nie teraz.

– No nie wiem – uznał Prem. – Teraz wygląda na idealną chwilę. – Próbował wyciągnąć rękę, ale jęknął z bólu.

Zatem to Rao wyciągnął rękę do niego i chwycił jego dłoń.

– Musimy go usunąć, Rao – mruknął Prem. – Niech matki mi pomogą, szanuję twoją wiarę, nawet jeśli jest dziwna. Ale książę Aditja powinien odsunąć kapłaństwo na bok i stać się cesarzem, którego potrzebuje Paridźatdwipa.

Rao przelknął ślinę. Skinął głową. Pod palcami czuł korę na skórze Prema, włóknistą i szorstką.

– Nie zostałem dlatego, że miałem nadzieję ją uratować – podjął Prem. – Zostałem, bo wiedziałem, że on nie posłucha nikogo z nas poza tobą. Podzielasz jego wiarę. Jesteś jego najdroższym przyjacielem. Jeśli powiesz mu, by wrócił, przejął koronę, złożył ofiarę ze swojego powołania... – Kolejny kaszel. – Musiałem zaprowadzić cię do niego. Przykro mi, że... tego nie dokończę.

– Nie – powiedział Rao. – Nie.

Śmierć w mroku namiotu, na leśnej ścieżce, tak daleko od domu, że Saketa i Alor wydawały się niczym odległe sny... Nie, Prem nie powinien umrzeć w taki sposób.

– Powiedz mi jedno – poprosił Prem wilgotnym głosem. – Uznaj to za przysługę.

– Co tylko chcesz.

– Kim tak naprawdę jesteś? – zapytał Prem. – Jakim proroctwem nazwał cię twój bezimienny bóg? Co wiesz o tym, co nadejdzie?

– Niektóre proroctwa są mało istotne – odparł Rao.

– Ale twoje nie jest.

Imienia nie powinno się wypowiadać, dopóki nie nadejdzie właściwy czas. Powinno się je wypowiadać dopiero wtedy, gdy zbliża się wypełnienie przepowiedni. A jednak...

To przecież nie było właściwie zdradzanie imienia. Tajemnica przekazana umierającemu pozostaje tajemnicą. A jeśli oceniać po wyrazie oczu Prema, po profilu odwróconej twarzy Laty, po jej zgarbionych ramionach, nie zostało mu wiele.

Rao nachylił się bliżej. Zaczął szeptać Premowi do ucha. Sylabę za sylabą.

Przez chwilę Prem milczał, po czym wydał z siebie chrapliwy śmiech.

– Nic dziwnego, że dla niej zostałeś – skomentował. – Nic dziwnego.



Lata czekała na zewnątrz namiotu. Było jasno.

– Mogę odprawić dla niego ostatni obrzęd – wyrzekła z trudem.

Rao przelknął ślinę. Miał wrażenie, że jego gardło jest wypełnione szkłem.

– W Sakecie nie pozwala się kobietom na wykonywanie obrzędów pogrzebowych.

– Nie ma nikogo innego. – Mówiła łagodnie, ze zdystansowanym wyrazem twarzy.

– Nie pozwalają na to w Srugnie. Ani w Dwarali. Ani w Paridźacie. Nie...

– Nie ma nikogo innego – powtórzyła.

Skinął głową. Czuł się niemożliwie zmęczony.

– Dziękuję – powiedział – że się nim opiekujesz.

– Jaki cel ma wiedza, która nie jest wykorzystywana?

Wszyscy mężczyźni czekali. Słuchali, jak Rao informuje ich o śmierci Prema.

– Nie chciałby, żebyśmy wrócili do Sakety – mruknął jeden z ulubionych graczy w paczisi Prema. – Idziemy do cesarza Aditji. Tego by pragnął.

Pogrzebali go. Tu, w lesie. Nie mieli innego wyjścia.

Musieli iść dalej. W tej kwestii też nie mieli innego wyjścia. Malini nie przyszła, a Prem nie żył.

– Opowiedz mi, jak jest w lakowych ogrodach – zdołał wykrztusić Rao do Laty, gdy parli dalej.

Zabierz mnie stąd, chciał powiedzieć. Snuj mi historię, która pozwoli mi na chwilę zostawić za sobą ból, stratę i butwienie tego miejsca. Proszę, daj mi tę pociechę.

Stopy Laty chrzęściły w wysokiej trawie. Sunęła kijem po ziemi przed nimi, ostrzegając ewentualne śpiące węże, że idą ludzie i że najlepiej jest umknąć, zostawić ich w spokoju.

– Wiem o ogrodach mniej niż ty – odparła.

– Tyle o nich czytałaś. Wiem, że masz o nich wiedzę. Proszę.

– Jest to miejsce skonstruowane w imię wizji – oznajmiła w końcu.

– I podobnie jak wszystkie rzeczy zrodzone z wizji, stanowi nieracjonalną sztuczkę.

– Brzmisz, jakbyś coś cytowała.

– Bardzo spostrzegawczo. Cytuję. Teksty mojej nauczycielki.

– Co to znaczy „nieracjonalna sztuczka”?

Uniosła głowę, mrużąc oczy pod słońce.

– Sam się wkrótce przekonasz – odparła. – Spójrz.

Przed nimi rozciągał się parów, przez który przerzucono most z korzeni, wyrzeźbiony pomiędzy skalnymi urwiskami. Dalej na ścieżce widział świątynny ogród. Wielkie opactwo.

Dotarli do Srugny. Odnaleźli lakowe ogrody, w których czekał Aditja. U końca ścieżki czekali na nich ludzie. Nie żołnierze Paridżatdwipy w cesarskiej bieli i złocie, tylko dwaralscy jeźdźcy, saketyjscy wasale, nawet alorscy wojownicy. Ludzie jego ojca, wysłani, by zapewnić, że Aditja przejmie tron.

Rao popatrzył na nich wszystkich i pomyślał o słowach, które będzie musiał wypowiedzieć.

Niski ksiązę Sakety nie żyje. Ksiązę Prem nie żyje. Ale ja tu jestem, Aditjo. Jestem tu.

Sendhil wszedł do chaty i zsunął kaptur z głowy, odsłaniając łąty mchu na czaszce. Klęknął, trzymając luźno przed sobą sękatę dłoń.

– Powinnaś była ją zabić.

– Yhm.

– Powinnaś była pozwolić mi to zrobić, skoro sama nie umiałaś.

– Nie miałyby to sensu – odparła Ćandni. – Nic, co zrobiliśmy, nie zdołało tego powstrzymać. Poza tym nie tylko ona przeżyła.

Sendhil mruknął w odpowiedzi. Kiedyś był tak elokwentny. Miał tak trzeźwy umysł. Wciąż pamiętała, jak szła u boku jego i wszystkich pozostałych starszych, grupą złożoną z dzieci, które dorastały wraz z nią, i z ludzi, którzy ich wychowali, odziani w świetne jedwabie, a na skórze czuli wiatr przewiewający Hiranę.

Wszyscy już odeszli.

Spojrzała na swoje dłonie. Opuszki palców pokryły się spiralami wyglądającymi jak twarde drzewa. W jej żyłach płynął wysięk, trująca żywica, która wkrótce ją zabije. Wkrótce jej twarz przestanie należeć do niej.

Pomyślała o twarzy Prii wykrzywionej w grymasie nienawiści.

Można mieć dziecko, trzymać to dziecko przy swojej skórze, wychować je.

Można zdradzić samą siebie i własne wartości dla tego dziecka. Można pozwolić temu dziecku uciec, nawet jeśli się wie, że powinno umrzeć, nawet jeśli się wie, nieważne, jak silna i pewna wydaje się jego dłoń w twojej dłoni, że jest zarazą i należy usunąć je ze świata, by dać temu światu szansę na przetrwanie.

To dziecko może spojrzeć na ciebie z furią i pogardą, a później zostawić cię na śmierć.

Wraz z Sendhilem długo siedzieli bez słowa. Nagle Sendhil odetchnął cicho, powoli, i powiedział:

– Słyszę nadchodzących ludzi.

Ćandni pomyślała o bólu, który poczuje, gdy wstanie, gdy zmusi wszystkie swoje zdrewniałe stawy, by poruszyły się ze skrzypieniem. Zatem nie wstała. Gdy mężczyźni i kobiety wkroczyli do chaty, wciąż klęczała na podłodze. Słyszała, że kolejni otaczają dom od zewnątrz. Liczyła kroki. Przynajmniej dwudziestka.

Podniosła wzrok i napotkała spojrzenie Aśoka.

– Już dawno odeszła – rzekła do niego. – Ale wiesz to.

Uklęknał.

– A zatem żyjesz – stwierdził.

Ćandni pochyliła głowę. Zastanawiała się, czy ją uderzy, czy też po prostu przeciągnie jej po szyi wspaniałym sierpem, który trzymał. Za jego plecami jego ludzie badali chatę, niektórzy wychodzili z niej i udawali się w stronę zdradzieckiego ogrodu oraz cielistego drzewa. Żadne z nich nie należało do dzieci, które nauczała lub wychowywała.

Przynajmniej to ją cieszyło.

– Co z nią zrobiłaś? – zapytał Aśok.

– Opiekowałam się nią, aż wyzdrowiała, po tym jak wody ją osłabiły – wyjaśniła beznamiętnie. – A gdy jej się poprawiło, odeszła. Nic więcej nie wiem.

– Powinniśmy byli poderżnąć jej gardło – rzekł Sendhil. – Ale ta głupia kobieta tego nie zrobiła.

Aśok zmierzył go ostrym spojrzeniem, po czym znów skierował uwagę na Ćandni.

– Dokąd poszła?

– Nie wiem.

– Musiałaś widzieć, w jakim kierunku się udała.

Ćandni pokręciła powoli głową.

– Wydaje mi się, że chyba życzysz jej źle. – Westchnęła. – Zawsze targaly tobą silne emocje, Aśoku. Miałam nadzieję, że opuszczą cię z biegiem czasu.

– To dziwne, skoro zamierzałaś sprawić, żebym nie miał żadnego czasu na nic. Ale to nieistotne. Wciąż żyję, wciąż umieram. Powiedz mi więc, gdzie jest moja siostra, starsza – rzekł głosem, który się trząsał, jadowitym i zarazem dziecinnym od rozbrzmiewającego w nim smutku, drżącym z furii zrodzonej ze zranionej miłości. – Powiedz mi albo będę zmuszony wyrwać z ciebie tę wiedzę.

Nagle chyba sobie przypomniał o otaczających go ludziach i na jego twarzy znów pojawił się wyraz stanowczości. Znacznie pewniejszym głosem powtórzył polecenie:

– Powiedz mi, gdzie mogę znaleźć Priję.

Milczała.

– Aśoku – odezwała się kobieta, która weszła do chaty – jest tam coś, co powinieneś zobaczyć.

Podniósł się i opuścił dom. Gdy wrócił, jego usta miały ponury wyraz. Znowu uklęknął przy Ćandni, spojrzał na butwienie na jej ciele, na odznaczające się, przemieniające kości widoczne pod jej stwardniałą skórą.

– Gdybym wiedział, że żyjesz, zabiłbym cię już dawno temu – oznajmił Aśok. – Teraz widzę, że życie wymierzyło ci sprawiedliwość. Ale wciąż mogę cię skrzywdzić, starsza. I mogę cię zabić: szybko lub powoli. Nie pragnę zadawać ci bólu, ale zrobię to, jeśli to mi pomoże ją znaleźć. Jest teraz znacznie ważniejsza od ciebie. Cenię ją wyżej niż jakąkolwiek sprawiedliwość, przed którą powinniście stanąć.

– A jednak nie mam dla ciebie odpowiedzi – odparła Ćandni. – Skrzywdź mnie, jeśli taka twoja wola. Skrzywdź Sendhila. Nie potrafimy ci jej dać.

Aśok skinął głową.

– Powiedz mi – rzekł. – Była na Hiranie na długo przed resztą z nas. Była tam jako niemowlę. Czy jest twoja?

– To nieważne – odrzekła Ćandni. – Czy powstała z mojego ciała, czy też podrzucono ją u podstawy Hirany, wciąż poplamioną krwią narodzin, jaką to robi różnicę? Uważałam ją za swoją. Był to błąd z mojej strony.

Aśok znów skinął głową. Wstał.

– Przywiążcie ją do drzewa – polecił. – Ich oboje. Zobaczemy, co się z nimi stanie.



50

PRIJA

Prija powiedziała Malini tylko to, że skierują się bezpośrednio w stronę Ścieżki Poszukiwacza. Gdy Malini zasugerowała Altanę Kości, Prija pokręciła głową.

– Twój książę już dawno odszedł. Lepiej, żebyśmy spróbowały go dogonić.

Kroczyła przed siebie, wskazując drogę. Przez jakiś czas szły. I szły. Otaczały je gęsto rosnące drzewa o ciężkich liściach zwisających na ścieżkę pomiędzy pniami i konarami.

– A zatem – odezwała się Malini po jakimś czasie – twoi starsi jednak żyją. – Prija słyszała za sobą jej ostrożne kroki. – W ich domu było bardzo dziwnie. Ledwo co do mnie mówili.

Prija dosłownie ugryzła się w język. Była tak bardzo... zła.

– Prijo, czy mogłabyś na chwilę stanąć? Albo zwolnić? – W głosie księżniczki słychać było napięcie. – Musisz być wyczerpana. Ja na pewno jestem.

Prija nie miała ochoty zatrzymywać się ani zwalniać. Zatrzymanie się oznaczałoby myślenie, a nie miała ochoty myśleć. Na pewno nie o drzewie z twarzami z ciała i kory, o zrezygnowanej, toczonej butwieniem twarzy Ćandni czy o emocjach, jakie wzbudzało w niej to wszystko. Była przerażona i zrozpaczona, ale przede wszystkim zła.

– Prijo. – Dłoń Malini zacisnęła się na jej barku. – Zatrzymaj się – powtórzyła łagodnie.

Palce księżniczki wydawały się nadmiernie ciepłe. Prija mogłaby je strząsnąć. Ale nie zrobiła tego. Stała nieruchomo i zamknęła oczy, uspokajając oddech i nasłuchując szelestu drzew. Cichego szmeru wody.

– Nie chcę o tym rozmawiać – wycedziła. Przeknęła ślinę. – Słyszysz strumień. Chce mi się pić. Chodźmy.

Gęsty labirynt drzew wkrótce się przerzedził, otwierając się na otaczającą nieduże jezioro skarpe usianą szarymi kamieniami. Jezioro zasilały srebrzyste, kręte kaskady spadające po niskich, obsypanych zielenią gładkach. Woda falowała lekko po spłynięciu z wodospadu. Była czysta, nietknięta przez nic, co przypominałoby butwienie. Prija zaczęła tam schodzić. Usłyszała ze strony Malini prychnięcie, które mogło być przekleństwem, po czym księżniczka ruszyła za nią.

Prija przyklękła na brzegu, nabrała w dłonie chłodnej, przejrzystej wody i uniosła ją do ust. Napiła się. Następnie ochlapała sobie twarz i zamrugła, by pozbyć się wilgoci z oczu. Ach, na duchy, czuła się nieczysta, zupełnie jakby to, co tkwiło w jej umyśle, skalało jej skórę. Widok starszej Ćandni, starszego Sendhila, drzewa...

– Moi starsi – wykrztusiła. – Nie chcę rozmawiać o moich starszych.

– Wiem – mruknęła Malini.

– Oni... Ćandni... mówiła, że myśleli... myśleli, że nie jesteśmy nawet ludźmi. Że ja nie jestem człowiekiem. Uważa mnie za potwora. Moja... moja rodzina. Tak właśnie o mnie myślą. Czy ty sądzisz, że jestem potworem, Malini?

Usłyszała zbliżające się kroki księżniczki. Tak naprawdę nie chciała jednak słyszeć reakcji Malini. Nagle wystraszyła się, że cesarska siostra potwierdzi jej słowa. Zatem znów się odezwała, słowa zaczęły się z niej wylewać:

– Bo przypuszczam, że tak właśnie sądzisz. Albo się tego obawiam. Och, jesteś dla mnie urocza, jesteś bardzo dobra w byciu uroczą, ale jesteś też kobietą, która zorganizowała spisek przeciwko cesarzowi. Wiele w sobie kryjesz, Malini. Jest w tobie znacznie więcej, niż jesteś skłonna mi pokazać, i przeraża mnie to. Mam wrażenie, że cały czas czekam, aż obrócisz się przeciwko mnie.

– Przy tobie zawsze byłam sobą – odparła księżniczka. Mówiła ostrożnym głosem. Opanowanym. – Ale wszyscy mamy więcej niż jedną twarz. Musimy mieć ich wiele, żeby przetrwać, prawda? To naturalne. Normalne. – Znalazła się teraz przy ramieniu Prii, również przykucnęła. –

Ta twarz, którą znasz, nie porzuciła cię w lesie, gdy upadłaś. Niosłam cię, gdy byłam słaba, do ludzi, którzy mnie szczerze przerażali, i zostałam z tobą. To byłam cała ja.

Prija zdawała sobie sprawę, że to prawda. Jak jednak mogła ufać Malini? Jeśli nie mogła ufać nawet sobie?

– Ale reszta ciebie – rzekła Prija niepewnie. – Twoje pozostałe twarze...

– Niektóre części mnie są potworne – stwierdziła księżniczka, a gdy Prija obróciła się do niej, ujrzała, że Malini ścisną buteleczkę z igłokwiatem wiszącą jej na szyi. – Wiesz dlaczego? Kobieta o moim statusie i rodowodzie, jak powiedział mi Ćandra, powinna służyć swojej rodzinie. Wszyscy mówili mi, że powinnam być posłuszna ojcu oraz braciom, a pewnego dnia także mężowi. Ale Aditja i Ćandra dokonali swoich wyborów, a ja ich po prostu nie akceptowałam. Nie byłam posłuszna. Bo moi bracia się mylili. Ale przede wszystkim, Prijo, jestem potworna, ponieważ mam pragnienia. Pragnienia, które odczuwam przez całe życie, a których nie powinnam odczuwać. Zawsze chciałam rzeczy, które naraziłyby mnie na niebezpieczeństwo.

Głos trząsł jej się lekko, jakby również znalazła się na krawędzi, jak Prija.

– Unikałam małżeństwa. Nigdy dobrowolnie nie spłodzę dzieci z mężczyzną. A co jest bardziej potworne niż to? Z natury być niezdolną do wypełnienia swojego celu? Pragnąć kochać po prostu dla miłości, po prostu dlatego, że się chce?

Skupiły na sobie wzrok. Prija nie potrafiła odwrócić oczu.

Dzieliło je od siebie tak niewiele.

Od tak dawna przepaść ziejąca w Prii oddzielała jej przeszłość od teraźniejszości. Ale to... tę szczelinę potrafiła pokonać. Byłoby to proste. Na tę myśl zaparło jej dech, a jej skóra nagle wydała się za ciasna, gorąca i mrowiąca.

Odwróciła się jednak i spuściła nogi do sadzawki, wsunęła stopy do chłodnej wody. Gdy wstała, woda sięgała jej do kolan.

– Chcę się umyć – powiedziała. – Chcę... – Przełknęła ślinę. – Kto wie kiedy znowu będziemy mieć okazję.

Cała była pokryta potem, krwią i brudem, więc woda rzeczywiście była mile widziana. Weszła głębiej, aż dotarła do podnóża wodospadu, zanurzona po pas. Zanurzyła twarz. Podniosła się i przejechała palcami przez wilgotne resztki warkocza.

– Zaczekaj – powiedziała Malini. Nagle jej głos był tuż przy uchu Prii. Stała w wodzie obok niej, otoczona połami swojego sari unoszącymi

się w wodzie. – Pomogę ci.

Księżniczka z wahaniem dotknęła palcami końcówki jej warkocza. W jej oczach kryło się pytanie. A Prija... skinęła głową. Obróciła się plecami.

Malini ujęła ciężki od wody warkocz i zaczęła go ostrożnie rozplątywać.

– Moje włosy są łatwiejsze w obsłudze niż twoje – zdołała wykrztusić Prija. – Nie kręć się.

Malini pracowała powoli, delikatnie wsuwając opuszki w poplątane miejsca.

– Wiem, że próbujesz uniknąć rozmowy o nas – stwierdziła.

O nas.

– Pozwolisz mi na to? – spytała Prija.

– A czy naprawdę tego ode mnie chcesz?

Czuła szarpnięcia dłoni księżniczki, od których łaskotała ją skóra. Zaprzeczyła ruchem głowy i wiedziała, że Malini to widzi i czuje.

– Nigdy nie kłamałam o tym, że cię pragnę – rzekła cicho księżniczka. – Ani oczyma, ani słowami. Nigdy, gdy cię dotykałam. Wszystko to było prawdą. – Kolejne pociągnięcie. Prija czuła, jak ostatni odcinek warkocza rozplątuje się, jak nacisk na jej skórę słabnie. – Już mi pomagasz. Uratowałaś mi życie, Prijo. Jestem wolna. Nic nie zyskuję, ani dla cesarstwa, ani dla moich celów, mówiąc ci o tym. Rozumiesz?

Malini przycisnęła płasko dłoń do pleców Prii. Woda była zimna, a gorąco jej skóry, jej rozłożonych palców, paliło. Położyła dłoń na bluzce Prii, pod fałdą jej sari, pomiędzy łopatką a kręgosłupem, tam gdzie serce dudniło w klatce żeber. Jakby próbowała utrzymać szaleńczy rytm serca Prii w swojej dłoni.

– Dlaczego? – zapytała Prija. – Dlaczego miałabyś...? – Urwała. Nie wiedziała, jak spytać. Dlaczego miałabyś mnie pragnąć? Dlaczego weszłaś za mną do wody, ściskasz moje serce i przemawiasz do mnie takim głosem, jakbyś za mną tęskniła?

Zupełnie jakby księżniczka usłyszała jej myśli, rzekła:

– Myślałam, że umrzesz. – Krótki, urywany oddech. – Myślałam, że to może być koniec, kiedy przewróciłaś się w lesie. I ja...

Prija obróciła się. Woda poruszyła się pomiędzy nimi.

– Prijo – powiedziała Malini, a jej głos był niski i wygłodniały, wciągał Priję niczym grawitacja.

– Malini – odrzekła. Dotknęła dłonią twarzy księżniczki.

A wtedy dłonie Malini zacisnęły się na szwach óli Prii i przyciągnęły ją bliżej. Nastąpiła chwila, jedna chwila, kiedy Prija

spoglądała Malini w oczy, a Malini spoglądała w jej oczy, i wreszcie, wreszcie Prija przestała myśleć, jedynie poruszyła się. Nachyliła się bliżej.



Wtedy usta Malini zetknęły się z jej ustami, boleśnie słodkie, ich trące ciepło sprawiało, że wszystko, co w Prii było napastliwe i wygłodniałe, wezbrało z prędkością, która ją oszołomiła. W jakiś sposób dłonie Prii znalazły się we włosach Malini – w tych niedorzecznych, splątanych włosach, których nigdy nie da się rozplątać. Później obie zaczęły się chwiejnie cofać, aż Prija poczuła na plecach chłodny kamień. Otaczała je spadająca woda, a dłonie Malini były teraz na jej barkach, jej gardle, jej żuchwie. I Malini unosiła jej twarz, całowała ją z furią roztapiającą się w słodycz, z czułością równie silną jak krew, z furią, która płonęła.

Lakowe ogrody Srugny były labiryntem przeplatających się klasztorów. Rao siedł, ledwo zauważając cokolwiek. Zebrali się kapłani. Byli tam lordowie z Dwarali w szatach o wysokich kołnierzach i z lukami na plecach, Srugnyci z lancami w dłoniach, Saketyjczycy ze stalowymi biczami zwiniętymi u pasów, jego własni Alorczycy z rzędami sztyletów na biodrach i stalowymi czakramami na nadgarstkach, a nawet Paridżatczycy, ubrani w lekkie tkaniny, z szablami i kamykami modlitewnymi wskazującymi na ich status. Przyszło tak wielu różniących się od siebie lordów i szlachciców, że niemal całkowicie wypełnili schody klasztoru.

Mężczyzna zszedł po stopniach na biegnącą przy nich ścieżkę. Miał na sobie dhoti i chustę w kolorze błękitu, nagą pierś i włosy splecione w długi warkocz. Zanim jeszcze uniósł głowę, zanim jeszcze jego wargi uformowały się w uśmiech, Rao go poznał.

– Cesarzu Aditjo. – Rao uklęknął. Usłyszał, jak za jego plecami ludzie Prema, jego ludzie, również kłękają przy akompaniamencie skrzypienia i zgrzytu skóry oraz zbroi. – Przybyliśmy.

– Rao – odparł łagodnie Aditja. – Nie jestem cesarzem.

– Jeszcze nie – rzekł dwaralski lord ze skrajów schodów. – Ale będziesz nim. Przyszliśmy tu, by to zagwarantować.

Aditja pokonał dzielącą ich odległość. Zielone liście kruszyły się bezgłośnie pod jego bosymi stopami. Ptaki śpiewały. Wyciągnął rękę do Rao, który ją ujął. Kiedy Rao wstał, znalazł się w silnym uścisku. Aditja przycisnęła policzek do jego policzka.

– Rao – powiedział Aditja z roziskrzonym wzrokiem. – Ach, tęskniłem za tobą. Co ci zajęło tak długo?

– Malini – zdołał wykrztusić Rao.

– Jest z tobą? – zapytał Aditja. W jego spojrzeniu kryło się tyle nadziei.

Rao pokręcił głową i nadzieja zgasła.

– Chodź zatem – odezwał się Aditja. – Porozmawiamy o tym, co się wydarzyło.



Usiedli w pomieszczeniu, które nie mogło być niczym innym niż osobistą komnatą Aditji. Była schludna i prosta, wyglądała zupełnie jak sypialnia kapłana, z czarpajem do spania i kufrem z książkami, starannie zamkniętym, by nie dopuszczać do środka ciepła i wilgoci. Nie było świec. Nocą jedyne światło pochodziło z szerokiego okna wychodzącego na lakowy ogród i jego roślinność. Złote śpiewające ptaki przemykały z gałęzi na gałąź, ćwierkając wesoło.

– Cieszę się, że próbowałeś ją uratować – powiedział Aditja, gdy Rao skończył już z trudem opowiadać, co go spotkało. – I... kondolencje z powodu twojej straty.

Rao przełknął ślinę. Obawiał się, że gdyby odezwał się zbyt szybko, zacząłby płakać. Smutek naciskał na niego niczym ciężkie dłonie, jednak nie mógł sobie pozwolić, by nad nim zapanował.

– Tak – zdołał wykrztusić. – Prem. On by... – Jego leniwy uśmiech. Wieczny wieniec dymu z fajki. Te przebiegłe oczy i niezmacona uprzejmość, usta zawsze gotowe do żartu, śmiechu, napitku. Co Rao robi bez niego? Zamknął oczy. Jedno uderzenie serca, tylko na tyle sobie pozwolił, by poradzić sobie z ogarniającym go smutkiem. – Kiedyś był również twoim przyjacielem, Aditjo.

Aditja skinął głową.

– Jest tu jeden z jego kuzynów... lord Narajan. Trzeba będzie mu powiedzieć.

– Zrobię to. – Rao przyjrzał się przyjacielowi, troska na chwilę zepchnęła w nim żal na bok. – A ty... Wszystko z tobą w porządku? Wydajesz się nieswój.

– Przykro mi – rzekł wtedy Aditja. I wreszcie w jego głosie pojawił się prawdziwy smutek. Teraz gdy znaleźli się sam na sam, gdy już nie otaczali ich Saketyjczycy, Dwaralczyki, Srugnyki i lordowie z Paridżatu, jego barki zgarbiły się. Z jego twarzy zniknął wyraz spokoju. – Obawiam się, że nie jestem przyjacielem, którego kiedyś znałeś. I nie jestem przysłym cesarzem, którego potrzebują ci ludzie. Mówiłem im... Ach. – Dotknął opuszkami palców czoła, jakby próbował pozbyć się niewidocznego bólu. – Mówiłem im, że czekam na znak od mojego boga. By mnie zwolnił ze służby i pozwolił zająć się wojną.

– I zostali?

Aditja uśmiechnął się z napięciem.

– Żaden człowiek wiary, w cokolwiek by wierzył, nie wypacza dobrowolnie woli boga.

Rao pomyślał o butwiejącym, kwitnącym Premie, o chorobie toczącej jego i jego lud obwiniającym Ćandrę, który wypaczył wiarę w matki płomienia.

– I czy będziesz czekał, aż twój bóg przemówi, Aditjo? Bo ci ludzie nie zostaną tu na zawsze, zaś Ćandrę należy obalić.

– Jeśli pragną obalenia Ćandry, zaczekają.

Miał rację. Paridżatdwipa zrodziła się z ofiary matek płomienia i kwitła pod jednoczącą władzą ich potomków. Epoka Kwiatów stanowiła tak silną pamięć kulturową dla nich wszystkich – wiarę wykraczającą poza bogów lub duchy – że zastąpienie czymś cesarskiej dynastii, spajającej ich razem niczym nić postrzępioną tkaninę, wydawało się bluźnierstwem.

Jeśli chcieli usunąć Ćandrę, potrzebowali Aditji. Nie mógł go zastąpić nikt inny.

– Czy naprawdę trzeba go obalić? – spytał nagle Aditja, jakby czytał Rao w myślach.

– Tak – odparł Rao równie szybko. – Mój ojciec dołączył do tej sprawy. Moja siostra za nią zginęła. Twoja siostra jest uwięziona lub również nie żyje, ponieważ chciała usunąć go z tronu. A Prem... – Urwał na chwilę. – Tak, Ćandrę trzeba obalić. Wiesz to, nieważne, w jakim stopniu jesteś teraz kapłanem.

Całe cesarskie rodzeństwo miało takie same oczy, pomyślał Rao, gdy Aditja na niego spojrzał: głębokie i ciemne, zdolne kogoś przyszpilić i trzymać siłą samej czystej charyzmy.

– Czy podasz mi swoje imię, Rao? Swoje prawdziwe imię?
– Jako kapłan bezimiennego powinienes wiedzieć, że nie należy mnie o to pytać.

– Nie pytam cię jako kapłan – odparł cicho Aditja. – Tylko jako przyjaciel.

– Nie – odparł Rao. – Pytasz mnie jako księżę mianowany cesarzem. Pytasz mnie, bo gdy wtedy, przed laty, wkroczyłeś do ogrodu bezimiennego, gdy wkroczyłeś tam ze mną, spotkało cię objawienie. Przypuszczam, że od tamtego czasu miałeś wiele innych objawień jako kapłan. Ale obraz wciąż pozostaje niekompletny, prawda? Przyszłość jest cieniem rzucanym przez wielką bestię albo światem widzianym przez falującą wodę. Potrzebujesz jeszcze odrobinę więcej. Wystarczy wskazówka albo słowo i zyskasz pewność, że to, co według ciebie nadejdzie, jest prawdziwe. – Rao przełknął ślinę i odwrócił wzrok, by spojrzeć na ogród. Widział niebieskie ptaki. Żółte. – Całość losu nie jest przeznaczona dla takich śmiertelników jak my. Zatem nie. Nie podam ci mojego imienia. Nie jest dla ciebie.

– Można by pomyśleć, że to ty jesteś kapłanem, nie ja – powiedział łagodnie Aditja.

– Jestem wiernym bezimiennego dłużej niż ty.

Aditja nigdy nie wpadał łatwo w złość i to nie uległo zmianie. Bez słowa skłonił głowę. Jedyнным znakiem, że czuł się poruszony albo skrzywdzony, było lekkie ściągnięcie ust.

– Chodź – rzekł. – Chcę ci pokazać wizję. To, co ukazał mi bezimienny bóg.



Aditja zaprowadził go do cichej części ogrodu otoczonej ochronnym murem wrzecionowatych drzew lakowych, obsypanych ciężkimi czerwonymi liśćmi. Tam na postumencie stała misa z wodą.

– Napełniamy ją ze zbiornika znajdującego się pod ogrodami. – Aditja wskazał kanały w ziemi. Podeszedł do postumentu. – Czy pamiętasz noc, gdy zabrałeś mnie do ogrodów w Paridżacie?

Oczywiście, że Rao pamiętał.

– Byliśmy pijani – powiedział. – Gdybyśmy byli trzeźwi, nie zabrałbym cię tam.

Niemniej pili, Aditja znów wypytywał go o imię, tak samo jak zawsze, nieustępliwie, uparcie, ale z urokiem i uśmiechem na ustach.

– Proroctwa nie wypowiada się ot tak – odparł wtedy Rao, również się uśmiechając. – Nieważne, jakie by było. Wiesz, że imię mojej babki ciotecznej liczyło trzy strony? I w całości dotyczyło tego, w jaki sposób po piętnastu latach będą nawadniane pola we wschodnim Alorze.

– Naprawdę?

Rao przytaknął.

– Cóż, przynajmniej uszczęśliwiła rolników. Zwiększyła plony.

– A na co wpłynie twoje imię?

Rao pokręcił głową, czując w żołądku mdłości niewywołane wyłącznie trunkiem.

– Jeśli tak interesuje cię wiara w bezimiennego – rzekł Rao, nie mając pojęcia, co wyniknie z jego słów – to zostaw wino i wstań, pokażę ci twoją przyszłość.

Weszli do ogrodów, śmiejąc się i zataczając, po czym dotarli do postumentu takiego samego jak ten, który teraz mieli przed sobą.

Obecnie Aditja przyjął rolę, którą Rao pełnił tak dawno temu. Z bezgłośną czią oparł dłonie na krawędzi misy. Przesuwał nimi wzdłuż rantu. Tam i z powrotem. Zaczął cicho wygłaszać modlitwę w archaicznym alorskim.

Rao nastawił się psychicznie, podszedł do misy i przybrał taką samą pozycję. Opuścił głowę, by spojrzeć w wodę.

Wokół nich liście drzew lakowych zaszeleściły i zaszemrały, po czym dziwnie ucichły.

Gdy obcuje się z bezimiennym, gdy kapłan lub pijany alorski ksiądz kładzie dłonie na misie widzenia i śpiewa pradawną modlitwę, wówczas szuka się głosu wszechświata.

W wodzie znajdowały się drzwi. Drzwi w jego umyśle. Rao krótko popatrzył na Aditję, a następnie przeszedł przez nie.



Świat mieści się w pustce.

Niektóre kraje, niektóre narody, niektóre wiary uważają, że przypomina ona wodę lub rzeki. Jednak Rao wiedział lepiej. Gdy był chłopcem, jeszcze zanim został wysłany na wychowanie do Paridżatu,

kapłan rodziny nauczał go w ogrodzie bezimiennego sąsiadującym z alorskim mahalem królewskim.

Zanim nastąpiło życie, istniała pustka. Zaś w pustce, w jej beświelnej niepoznawalności, kryła się prawda o bezimiennym bogu.

Widział głos bezimiennego i słyszał jego brzmienie w uszach. Maską, drewniana maska. Maską, która była twarzą z ciała, jaśminu i igłokwiatu, jaskrawych nagietków i upajających, słodkich róż. Twarz na ciele wypełzającym z głębokich, dziwnych wód. Usłyszał głos bezimiennego.

Nadejście. Nieuniknione nadejście.

Ujrzał, jak kwiaty więdną w ogniu. Ujrzał stos. Usłyszał krzyki kobiet. Głos swojej siostry.

Nadejście, nadejście. Nadchodzą w wodzie, nadchodzą w ogniu. Nadchodzą.

Ta drzazga – ten odprysk wizji Aditji – przebiła się przez niego.

Wrócili do ogrodu. Wrócili do siebie.

Obydwaj oddychali chrapliwie i nierówno, ale Aditja pierwszy odnalazł na nowo równowagę.

Wyraz twarzy Aditji był jak nie z tego świata, jego oczy stały się zupełnie czarne. Zamrugał raz, i ponownie, po czym jego oczy wróciły do zwykłej ciemnej szarości. Jednak gdy się odezwał, w jego głosie wciąż dało się słyszeć dar bezimiennego, niewątpliwą wiedzę o tym, co zostało przesądzone z góry.

– Do Paridżatdwipy nadchodzi choroba. Nadchodzi ona do każdej krainy, zarówno cesarskiej, jak i nie, rodzi się świadomość, która zniszczy wszystko, co jest dla nas ważne. Właśnie to ujrzałem, gdy zabrałeś mnie do ogrodów modlitewnych i bezimienny przemówił do mnie. Gdybym po narodzinach został nazwany przepowiednią, brzmiałaby ona tak: „Ujrzysz, jak nadchodzą, i w oku bezimiennego boga dostrzeżesz sposób pozwalający sprawić, by odeszli”. – Na twarzy Aditji widać było ból. – Teraz gdy już ich widziałeś, wiesz, dlaczego zrezygnowałem z tronu. Dlaczego szukałem zrozumienia, co obiecał mi bezimienny.

Tak, Rao już to wiedział. Wizja okazała się tak przytłaczająca, że aż się zatoczył pod jej wpływem. Ziemia stała się potworna. Ciało stało się potworne. Pomyślał o martwym Premie, o płatkach nagietków wysypujących mu się z oczu.

– Czym oni są? – wykrztusił.

– Tego nie wiem – odparł poważnie Aditja.

W zwyczaju kapłanów leżały odosobnienie i medytacja, poddanie się losowi. Przeciwiństwo sprawowania władzy, kiedy to człowiek

w nieunikniony sposób dzierży w garści los całych mas ludzi.

– Zatem dlaczego zgodziłeś się z Malini? Dlaczego w ogóle pozwoliłeś na ten bunt?

– Bezimienny nie daje mi odpowiedzi – rzekł Aditja. – A w jego milczeniu przemawia moja siostra. Powtarza się nam, żebyśmy ufali losowi, Rao. Zastanawiam się... zastanawiam, czy godzenie się na działanie zgodnie z wolą i przekonaniem mojej siostry jest tym, czego chce ode mnie bezimienny. Albo... czy jej marzenie odwodzi mnie od prawdy. Pozwalam więc, by ludzie gromadzili się przy mnie i nazywali mnie cesarzem, w nadziei, że odpowiedź nadejdzie.

Zamilkł na chwilę.

– Oczywiście tęsknię za sobą – dodał głosem tak cichym, że brzmiał jak wyznanie. – Tęsknię za moim dawnym losem i celem. I choć cała Paridżatdwipa: tron, korona, cesarstwo, cała reszta nie ma znaczenia w porównaniu z niebezpieczeństwami zagrażającymi światu, wciąż tęsknię za dawnym życiem.

Aditja puścił misę. Odsunął się od niej i stanął obok Rao.

– Tron Paridżatdwipy, władza nad moim ojcem i jego ziemią, nad wszystkimi ziemiami cesarstwa, to nie jest drobnostka – odparł Rao.

– Wiem, że tak uważasz. Część mnie również wciąż tak sądzi, wbrew prawdzie. Zapewne już teraz rozumiesz, dlaczego chciałem poznać twoje imię? Być może żaden śmiertelnik nie zasługuje na pełen obraz losu. Być może żaden człowiek nie jest w stanie zrozumieć czegoś takiego. Jednak rozdierają mnie dwa wielkie zamysły. Potrzebuję przewodnictwa. I gdy przechodzisz tak daleką drogę, by służyć w tej wojnie, gdy przychodzisz z imieniem, które stanowi przepowiednię, muszę spytać. I liczyć na to, że jesteś moją odpowiedzią.

– Nie mogę go wypowiedzieć – odrzekł ze smutkiem Rao. – Jeszcze nie.

– A jednak dotyczy ono mnie, prawda? – Gdy Rao nic nie odpowiedział, Aditja odetchnął i skinął głową. – Po prostu wolałbym, żebyś mi je podał, bym mógł wiedzieć, co robić.

– To nie działa w taki sposób – odparł Rao. – Wiesz przecież. I... Aditjo. – Urwał na chwilę. – Nie jestem człowiekiem, który łatwo wpada w gniew. Ale to, co Ćandra zrobił z naszymi siostrami, z damą Nariną, to, jak zakpił z wiary, by je spalić... – Rao starał się uspokoić, utkwiał wzrok w schludnych konturach kapłańskiej chusty Aditji. – On zawsze był okrutny. Okrutny i mściwy. Ale nie muszę być kapłanem bezimiennego, by dostrzegać, że to tylko początek tego, do czego jest zdolny i co jeszcze zrobi po tym, jak zyskał władzę. A jeśli ty tego nie dostrzegasz, jeśli nie

widzisz, że to ty musisz go odsunąć, wówczas istotnie nie jesteś przyjacielem, którego kiedyś znałem. Niezależnie od wizji, jaką zesłał ci bezimienny, gdy zabrałem cię do ogrodów, nie ma wątpliwości, co musisz zrobić.

Aditja wzdrygnął się, jakby został uderzony. Rao przesunął sobie dłonią po twarzy.

– Muszę... muszę odpocząć – wychrypiał. – Aditjo. Co do twojej siostry...

– Moi ludzie obserwują Ścieżkę Poszukiwacza – rzekł Aditja. – Wypatrują światła albo obcych. Jeśli Malini przyjdzie, będziemy wiedzieli. Zapewniam cię.

– Była uwięziona w Hiranapraście. Na Hiranie – szorstko powiedział Rao. – Może nie żyć.

– Ach, Rao. – W głosie Aditji zabrzmiała litość. – Obaj wiemy, że żyje. A teraz odpocznij. Masz za sobą straszliwą podróż.

Nie wiemy, pomyślał Rao. Umysł wyostrzyły mu histeryczna furia i rozpacz. My nie wiemy.

Ale ja wiem.



52

MALINI

Leżały obok siebie na brzegu jeziora, pozwalając, by sari schły im w ciepło. Nie padał deszcz, co stanowiło pociechę. Był po prostu słoneczny dzień i wiał lekki wietrzyk, który mieszał się z chłodem wody poniżej nich.

Po tym wszystkim, przez co przeszła Malini – po spaleniu sióstr jej serca, podtruwaniu i więzieniu, ucieczce z Priją przez płonące miasto, po tym, jak Prija otarła się o śmierć – ta chwila wydawała się błogosławieństwem. Dawno nie była tak blisko szczęścia jak teraz, gdy całowała się z Priją w chłodnej wodzie, ścisnęła jej rękę, dotykała jej ciepłej skóry, leżała obok niej w cichym ciepłe słonecznych promieni.

Być może później uświadomi sobie głupotę decyzji, by wejść za Priją do wody, by działać zgodnie ze swoimi pragnieniami. Jednak teraz nie czuła ani wstydu, ani żalu. Chciała prostych rzeczy i chciała cieszyć się tą chwilą tak długo, jak tylko mogła, nawet jeśli skała wbijała jej się w biodro. Chciała mieć czas, by zapamiętać kształt i dotyk ust Prii, nauczyć się jej skóry na ślepo. Śmiać się z nią, rozmawiać z nią i poznawać ją bez żadnych łączących je paktów czy bolesnych długów.

– Rozumiesz chyba, że nie stajesz się przez to potworem – mruknęła Prija. Leżała obrócona do księżniczki, słońce oświetlało jej

ciemnobrązową skórę, włosy rozciągały się wokół niej ciemną połacią. – Przez to, że mnie pragniesz. Wiesz to, prawda?

Malini miała ochotę wyjaśnić, że potworność nie była czymś wrodzonym, jak wydawała się uważać Prija. Było to coś, co na ciebie narzucano, łańcuch lub trucizna nakładane przez nieczułe ręce.

Ale nie to Prija chciała usłyszeć.

– Wiem – odparła krótko księżniczka. – Zupełnie nie wstydzę się tej części mnie.

Bardziej wstydziła się swojej wściekłości, jej żelaznego ciężaru wiecznie obecnego w jej sercu. Zażenowanie wzbudzały w niej wszystkie te rzeczy, które pragnęła uczynić Ćandrze, ale tylko z powodu wielkiej rozkoszy, jaką odczuwała na myśl o jego przyszłym cierpieniu. Zasługiwał na cierpienie. Jednak radując się jego bólem, stawiała się do niego podobna bardziej, niżby chciała.

– Sądzę, że mimo wszystko możesz być dobrą osobą – powiedziała Prija powoli.

– Tak? – Malini uśmiechnęła się. – Tak szybko zmieniasz zdanie?

– No dobrze, część ciebie może być dobra – poprawiła się Prija. – Ta część, która chce sprawić, by świat stał się lepszy. Pragniesz sprawiedliwości dla siebie i dla osób, które kochasz, bo odmówiono ci praw. Uważasz, że świat jest ci za to coś winien.

– Musisz popracować nad łóżkowymi pogaduszkami, Prijo – rzekła cierpko Malini, a Prija roześmiała się ciepło. – I mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, że możesz mówić o sobie, świątynne dziecko.

Prija pokręciła głową. Wesołość zgasła na jej ustach i w jej oczach. Zadumała się.

– Nigdy nie pragnęłam sprawiedliwości. Może powinnam była, ale tak naprawdę chodziło mi o to, by odzyskać siebie. A teraz już tylko chcę wiedzieć, chcę dowieść, że świątynni starsi się mylili. Że Paridzátwdwipa się myliła. Moi bracia, moje siostry i ja nigdy nie byliśmy potworami. Nie zasługiwaliśmy na to, co nam zrobiono. Chcę w to wierzyć. Chcę, by to było prawdą, a jeśli nie jest, to chcę, żeby się nią stało. Ale ty, Malini, ty chcesz przekształcić świat.

– Chcę tylko wymienić osobę zasiadającą na cesarskim tronie – odparła księżniczka, jednak nie wydawało się to całkowitą prawdą nawet w jej uszach.

Prija wyciągnęła rękę i przesunęła opuszkami palców po policzku Malini. Wpatrywała się w księżniczkę klarownym wzrokiem i ze zmarszczonym czołem, czytała w jej kościach, jakby były mapą.

– Ta twarz. Ta twarz tuż przede mną. Twarz, którą mi pokazałaś. To, że mnie pocałowałaś. Znam ją. Znam ciebie – rzekła Prija. – Dobrze wiem, kim jesteś. Istnieją inne wersje ciebie, których nie znam. Ale ta... – Musnęła palcami wargi Malini. – Ta jest moja.

Przez chwilę Malini miała wrażenie, jakby może właśnie tym była. Jakby nie było w niej nic więcej, żadnej księżniczki z Paridżatu, żadnej polityczki, żadnej osoby królewskiej krwi. Tylko to, tylko ona sama, pod pewną dłonią Prii. Ktoś zadowolony.

Przetoczyła się, zwiększając dystans pomiędzy nimi. Prija cofnęła dłoń i być może zrozumiała znaczenie tego gestu, ponieważ sama obróciła się na brzuch i oparła na łokciach. Nie dotykała już Malini. Zamiast tego spuściła wzrok na gardło księżniczki, gdzie na łańcuszku wisiała fiołka z igłokwiatem.

– Masz wystarczająco?

Malini zacisnęła dłoń na buteleczce. Wydawała się ciężka w jej chwycie, łańcuszek promieniował chłodem metalu.

– Nie potrzebuję go już.

– Jesteś pewna?

– Nie ma tu żadnego lekarza, który udzieliliby mi porady, więc nie jestem. Oczywiście, że nie jestem pewna. Ale czuję się już dość dobrze. – „Dość dobrze” musiało wystarczyć. Nie zamierzała brać więcej igłokwiatu, chyba że nie będzie miała wyboru.

– Skoro już go nie chcesz, to po co go nosisz?

– Chcesz, żebym go wyrzuciła?

– Nie – odrzekła Prija. – Ale... sądziłam, że tak zrobisz.

– I niby tak dobrze mnie znasz – odparła księżniczka bez zgryźliwości. Opuściła dłoń. – To przypomnienie.

– O czym?

Mogła znów okazać nonszalancję. Mogła odmówić Prii prawdziwej odpowiedzi. Zamiast tego powiedziała jednak:

– O cenie, którą muszę zapłacić, żeby Ćandra stracił tron.

– Mogę? – zapytała Prija.

Malini nie wiedziała, co Prija zamierzała, jednak skinęła głową.

– Możesz.

Prija opuszkami palców musnęła buteleczkę, po czym bardziej stanowczo przycisnęła ją do tkaniny óli księżniczki.

– Przypomnienie – powtórzyła Prija łagodnie.

Rośliny w glebie wokół nich i osad w sadzawce drgnęły. Powietrze znieruchomiało. Rozległ się dźwięk pęknięcia.

Resztki esencji z igłokwiatu rozwinęły się w nowe życie, rozszczepiały fiolet, aż zostały z niej drzazgi, które spadły na ziemię. Kwiat był brzydki, spiczasty, o barwie głębokiej czerni, niczym rzeka w bezksiężycową noc.

Malini pomyślała o opowieści, którą słyszała od Prii, opowieści o wierze, o skorupie kokosa wypełnionej obfitością kwiatów, które można było złożyć w ofierze jakszom i zmarłym. O czymś błahym. Czymś płynącym prosto z serca.

– Nie zwiędnie – rzekła Prija. – A przynajmniej nie przede mną, tak myślę. To przypomnienie, ale... nie tylko utraty.

Opuściła dłoń, a księżniczka natychmiast podniosła swoją i dotknęła czarnych igłowatych krawędzi. Pod jej palcami wydawały się dziwnie jedwabiste. Kwiat żył, choć przechodził przez niego łańcuszek, choć pęk przebijał metal. Pociągnęła za łańcuszek, tak by kwiat schował się pod coli, gdzie dziwnie naciskał jej na skórę.

– Jesteś przerażająca – oznajmiła Malini, jednak nie było po niej widać strachu. Niemal żałowała, że kwiat nie okazał się ostry, by mogła czuć na piersi wywołany nim ból.

Prija parsknęła.

– Nie sądzę – odparła. A później, z uroczym skrepowaniem, założyła sobie włosy za ucho i odwróciła wzrok. – Powinnyśmy ruszać dalej.

Prija wiedziała o Malini więcej, niż sądziła. Zaś Malini czuła się absurdalnie oszołomiona tym, jak bardzo lubiła kobietę, którą zrobiła z niej Prija, nawet jeśli tylko na krótki czas.

Znam cię.

Prija znieruchomiała. Obróciła nieznacznie głowę. Znajdowała się na tyle blisko, że Malini dostrzegła napięcie w jej barkach. Nozdrza falujące jak u zwierzęcia wężącego w powietrzu. Prija podniosła się nagle.

– Musimy iść – oznajmiła. – Szybko. Najszybciej jak się da.

– O co chodzi?

– Ludzie, których spotkałyśmy w mahalu. Ci, z którymi walczyłam. Są tu. Czuję ich. Chodź już, Malini.

Księżniczka nie zadawała dalszych pytań. Pozwoliła Prii się podnieść. Ruszyła za nią przez zarośla pomiędzy wysokimi, cienkimi drzewami. A gdy Prija zaczęła biec, zrobiła to samo.



Ostre drewno pod piętami. Żądłące ukąszenia liści i gałązek na twarzy i rękach, podczas gdy ponad nimi migotało światło słońca. Malini nie słyszała niczego oprócz dudnienia własnego serca, brzydkiego świstu oddechu. Nie była w formie do ucieczki, nawet jeśli chodziło o ratowanie własnego życia.

– Nie oglądaj się za siebie! – zawołała Prija. – Nie oglądaj, tylko biegnij!

A Malini zamierzała postępować zgodnie z jej poleceniami, naprawdę. Ale coś złapało ją za kostkę – być może korzeń, którego nie dostrzegła, ale wydawało się czymś nowym, co przepchnęło się przez glebę i pozbawiło ją równowagi. Przewróciła się, krzycząc cicho, a Prija ją złapała, po czym obie zatoczyły się i zatrzymały, otoczone przez wysokie drzewa i dziesięć zamaskowanych postaci, które wyłoniły się z cieni.

Były osaczone.

Prija obróciła się, biorąc Malini za rękę, jakby chciała wepchnąć ją za siebie. Jednak księżniczka nie miała gdzie się schować, a Prija nie miała jak obronić jej przed kręgiem buntowników w maskach z ciemnego drewna. Dłonie Prii na chwilę ścisnęły mocniej jej ramiona, po czym puściły.

– Nie ruszaj się – poleciła Prija. Podniosła dłoni.

Ziemia rozszczępiła się, trawa zapadła się w sobie, przez darń przebiły się długie ciernie. Malini zachowywała zupełny bezruch, gdy kolce przechodziły przez ziemię u jej stóp, gdy drzewa skrzypiały, jakby jakaś straszliwa siła kazała im wykrzywiać się w stronę miejsca, gdzie stali buntownicy.

Którzy również unieśli dłonie. Pchnęli pod ziemię to, co stworzyła Prija.

– To nie zadziała, Pri. – Męski głos. Niski, pewny. Jeden z rebeliantów wystąpił naprzód. – Wszyscy piliśmy dziś z fiolek. – Czarne oczy ocienione maską. – Opuść dłoń i podejdź posłusznie, dobrze? Marnujesz energię. Na pewno to rozumiesz.

Jego słowa zostały powtórzone przez pozostałych buntowników ze szmerem brzmiącym jak wiatr wśród liści. Okaż posłuszeństwo. Okaż posłuszeństwo.

Prii zadrżała dłoń. Otworzyła ją ku niebu i drzewa jęknęły groźnie. W odpowiedzi zamaskowany buntownik przekrzywił głowę i korzeń

wyłonił się spod ziemi, po czym owinął jej się ciasno wokół nadgarstka.

– Nie chcę cię skrzywdzić – powiedział. – Ale zrobię to, jeśli będę musiał.

– Aśoku – odparła – puść mnie.

– Klęknij – polecił i znów rozległo się to szepczące echo. Chór.

Jeden z cierni w ziemi pękł. Rykoszetował. Wolną dłonią Prija pchnęła Malini bardziej za siebie. Prija wydała z siebie odgłos brzącający, jakby została uderzona. W ciszy, która później zapadła, księżniczka ujrzała, że po włosach Prii spływa strumyczek krwi, plamiąc jej szyję i tył bluzki.

Prija popatrzyła na Malini rozszalałym wzrokiem.

Księżniczkę oszołomiła ich wspólna bezradność.

Następnie Prija odwróciła się. Klęknęła powoli.

Buntownik podszedł. Choć był potężny, poruszał się niemal bezdźwięcznie. Zdjął maskę, ukazując twarz wyglądającą tak, jakby składała się wyłącznie z ostrych kątów, ocienioną szczecinią na żuchwie. Nie spoglądał na Malini ani na swoich towarzyszy. Zdawał się nie dostrzegać niczego poza Priją.

– Nie chcę z tobą walczyć – rzekł.

– Ale walczyłeś – odparła z napięciem, jakby zmagając się z wielkim ciężarem.

– Umrę, Prijo. Wszyscy umrzemy. – Również uklęknął. – Czy tego chcesz?

– Wiesz przecież, że nie.

– Zatem zdradz mi drogę – namawiał. – Pokaż mi ją. Możemy pójść tam razem. – Wyciągnął przed siebie otwartą dłoń. – Okazałem się lepszy od ciebie. Silniejszy. To sprawiedliwe.

Prija ostro pokręciła głową.

– Naprawdę zamierzasz odmówić mi moich praw jako twojemu świątynnemu bratu? Odmówisz mi szansy, żebym mógł dać Ahirani wolność potrzebną jej do przetrwania?

Oczywiście. Oczywiście, że również był świątynnym dzieckiem. Malini powinna była się domyślić. Powinna była poskładać elementy. Ale nie poruszyła się. Słuchała z nadzieją, że może to się skończyć lepiej niż wszystkie zgubne następstwa, które się przed nią jawiły.

– Czy odmówiłabym ci okazji uczynienia z nas właśnie tego, czego obawiali się starsi? – Księżniczka nie widziała twarzy Prii, ale mogła ją sobie wyobrazić: obnażone zęby, butnie wystawiona żuchwa. – Tak, odmówiłabym.

– Zachowujesz się jak dziecko – odparł. – Wiesz, co trzeba zrobić. Wiesz, że jedyną szansą dla Ahiranji jest wolność od władzy cesarza i jego ideologii. Naszą jedyną szansą, żeby stać się czymś więcej niż tylko butwienie, żeby odzyskać naszą niszczoną przez Paridżatdwipę tożsamość, umniejszaną z każdym dniem, z każdym rokiem, są właśnie bezśmiertne wody. Nasze sprawiedliwe dłonie muszą pokryć się krwią tamtych. A jednak wciąż nam tego odmawiasz.

– Nie odmawiam – warknęła Prija. – Ale nie dam ci tego w taki sposób, Aśoku. Nie tak, jak tego chcesz.

Mężczyzna – buntownik, świątynny syn – imieniem Aśok wstał, rozciągając się na pełną wysokość.

– Zatem w jaki? – spytał niebezpiecznie spokojnym głosem. – Chcesz, żebym się płaszczył, Prijo? Może później nadejdzie czas, by przekształcić świat i rządzić bardziej w zgodzie z twoimi wyobrażeniami. Ale teraz dysponujesz bronią, której nie potrafisz odpowiednio użyć. I która mi się należy.

– Chcę, żebyś ze mną porozmawiał. Żebyś posłużył się rozsądkiem. Ale ty zapędziłeś się w róg, czyż nie? Zabijasz wszystko, co kochasz. Siebie. Swoich zwolenników. I nie widzisz żadnej drogi wyjścia z tej sytuacji poza tą jedną. – Krew wciąż leciała Prii z głowy, skapywała na ziemię. – Może mimo wszystko powinnam podziękować ci za to, że mnie porzuciłeś. Gdybym z tobą została, mnie również byś zabijał. Przynajmniej teraz tylko mnie krzywdzisz.

– Mówiłem ci już. Nie pragnę cię krzywdzić.

– Skoro tak twierdzisz – odrzekła Prija, a Malini usłyszała w jej głosie szyderstwo, wyzwanie.

Twarz Aśoka pociemniała.

Mówiąc, Prija lekko się przesuwiała, starała się ostrożnie ustawić przed Malini. Ale w końcu, niestety, Aśok na nią spojrział. Przekrzywił głowę i wpatrywał się w nią z uwagą.

– Dama z Paridżatu – oznajmił łagodnie. – Co powinienem o tym myśleć, Prijo? Czy ona jest zakładniczką? – Podszedł o krok bliżej. Przyjrzał jej się bacznie od stóp do głów.

– Aśoku – powiedziała Prija – nie.

– Można kogoś skrzywdzić na tak wiele sposobów – rzekł uprzejmie. – Pamiętasz, jak Sandżana kiedyś uderzyła Nandiego, bo chciała cię zmusić, byś dała jej coś, czego chciała? Co to było, spinka do włosów?

– Bransoletka – odparła słabym głosem Prija.

– Zrobiła to, bo wiedziała, że gdyby uderzyła ciebie, nie oddałabyś jej. Jednak za bardzo troszczyłaś się o Nandiego, by móc patrzeć, jak cierpi. Jestem pewien, że ta zasada wciąż obowiązuje. – Chwila milczenia. – To twoja ostatnia szansa, Prijo.

Malini napotkała jego wzrok. Dostrzegła w nim błysk. Potrafiła rozpoznać człowieka, który czerpie przyjemność z bólu, i on właśnie taki był, nawet jeśli sam przed sobą nie przyznawał się do tkwiącego w nim mroku.

Prija obróciła głowę. Przenosiła wzrok pomiędzy Malini a Aśokiem nie ze strachem, nie z bezradnością, lecz ze swoistą zawziętą furią.

– Czasami naprawdę cię nienawidzę, Aśoku – powiedziała Prija cicho. – Przysięgam.

Rozległ się odgłos przypominający pęknięcie. Ciernie rozprostowały się. Prija zerwała się na nogi i rzuciła bratu na plecy, drapała mu twarz niczym kocica. Zaklął i wbił jej łokieć w brzuch. Nie wydała żadnego dźwięku – musiał pozbawić ją tchu – i upadła ciężko na glebę.

Pozostali buntownicy zbliżyli się, ale ziemia zatrzęsła się i rozszczępiła, podrzucając Priję z powrotem w górę. Skoczyła na nogi. Chwyciła Malini za rękę i ścisnęła ją tuż przy sobie z maniackim blaskiem w oczach.

– Potrzebuję mnie – wychrypiała. – Nie martw się. Trzymaj się blisko.

Nagle przy gardle księżniczki, przy jej barkach pojawiły się dłonie. Wykręciła się z furią, zamachnęła pięścią, nie dbając o to, na czym wyląduje, i poczuła ukłucie bólu w knykciach. Drewno. Maski. Powinna była bardziej uważać, ale nie była wojowniczką i nie wiedziała, co robić.

Pnącza wspięły się jej po rękach, paskudne kolce wbiły się w napastnika. Żeby jej pomóc, Prija wymierzyła cios, który przekrzywił maskę. Buntownik zaklął i puścił ją, a wtedy Malini znalazła się na ziemi. Prija zasłaniała ją. Choć stała w obliczu przewagi liczebnej wrogów, starała się chronić księżniczkę.

Rebelianci mieli przy sobie drewnianą broń i z tak bliska Malini czuła sączące się z niej ciepło – dziwną, niezmienną magię.

Myśl, powtarzała sobie. Myśl, myśl.

Gorąco znajdowało się bliżej, niż powinno. Spojrzała w dół.

Na ziemi leżał sztylet. Został wykonany z drewna wypolerowanego tak, by uzyskać ostrą krawędź, a gdy po niego sięgnęła, oparzył ją w palce. Powstrzymała przekleństwo i wypuściła go. Następnie owinęła dłoń swoim pallu i ponowiła próbę.

Wróciła myślą do lekcji, których udzielała jej Alori. O tym, jak używać noża. Jak wbić go komuś w trzewia albo zabić. O pustej jamie serca. Pomyślała o kruchości własnego ciała i kości, o tym, jak wiele wciąż musiała osiągnąć.

Złapała mocno drewno, przyzwyczajając się do jego palącego ciepła. Wyprostowała się. W umyśle odsunęła na bok Malini, którą była przy wodospadzie. Odsunęła kobietę, którą była od tygodni, ocaloną przez Priję, widzianą jej oczyma, dłońmi i sercem. Pomyślała o bólu, o tym, jak można go wykorzystać, a także o lekcjach, których mogą cię nauczyć wrogowie, nawet jeśli nieświadomie.

Pomyślała o jej własnej zjawie, która ją nawiedzała: księżniczce z Paridżatu o zimnych oczach.

Pomyślała o całkowitej ufności Prii pod jej dotykiem.

Wstała i rzuciła się Prii na plecy, chwyciła ją za bok. Czowała jej lepką krew, bicie swojego spanikowanego serca. Zmusiła się, by się nie trząść. Nic dobrego nie mogło wyniknąć z niepewnej dłoni.

Następnie pewnym ruchem, bez wahania, przycisnęła czubek noża pod żebrami Prii.

Prija z początku nie wiedziała, co czuje. Dłonie na jej talii. Na rękach. Już chciała je strącić, ale usłyszała w uchu pomruk. Głos Malini.

– Prijo. Proszę.

Wciąż jednak rozważała odrzucenie księżniczki w tył. Uchwyt Malini krępował jej ruchy, a przecież zostały całkowicie otoczone. Prija potrzebowała możliwości ruchu, musiała ją chronić.

Czuła szarpnięcia magii naginającej glebę, drzewa, inne rośliny do jej woli. Czuła nienaturalną siłę swoich dłoni. Ale to nie wystarczało. Wokół niej znajdowali się buntownicy, którzy wypili bezśmiertne wody z fiolek. A Aśok obserwował ją z litością i rozbawieniem w oczach.

Oczach, które otworzyły się szerzej na pół sekundy przed tym, jak poczuła nóż przy skórze.

– Zabiję ją, zanim pozwolę wam ją zabrać – oznajmiła Malini.

Ustawiła czubek noża w zagłębieniu pod żebrami Prii. Było to dobre miejsce do przyłożenia broni. Lepsze niż szyja. Pod kątem, pod jakim ją trzymała, mogła wsunąć ją Prii prosto w serce.

Rebelianci znieruchomieli w szoku. A Prija...

Prija nic nie robiła. Czuła, jak krew wciąż ścieka jej po głowie i ramionach z rany we włosach.

– Prija mogłaby cię z miejsca zabić – rzekł Aśok.

Malini roześmiała się – przepięknym śmiechem, brzmiałym niczym klinga wysuwana z pochwy.

– Mogłaby. Ale tego nie zrobi.

Prija oddychała płytko. Nie wiedziała, czy się boi, czy też nie. Pot wystąpił jej na skórę. Drewniany nóż palił. Nie była pewna, czy w ogóle czuje się zdradzona.

– Znam Priję. Każdy skrawek jej serca. – Sposób, w jaki księżniczka wypowiedziała słowo „serca”, tak dziko, zupełnie jakby rzeczywiście mówiła o mięśniu pulsującym w piersi Prii, sprawił, że zaparło jej dech. – Nie tknie mnie. Mogłaby łatwo złamać mi rękę, ale nie zrobi tego.

Była to bitwa woli. Aśok wpatrywał się w Malini, patrzył jej prosto w oczy. A księżniczka odpowiadała spojrzeniem. Prija wiedziała, co sobie myśli: że to podstęp.

Ale to wcale nie był podstęp. Prija czuła, jak pewna jest dłoń Malini... i nie robiła niczego. Wciąż nie robiła niczego. Stała tylko i oddychała, zupełnie jakby nóż pod jej żebrami był mile widzianym przyjacielem. Może była w szoku. Nie miała pojęcia. Czuła ciepło Malini na swoich plecach. Bicie serca księżniczki, szybkie z przerażenia.

– Odsuń się od niej, Prijo – powiedział cicho Aśok.

– Nie zrobi tego – powtórzyła Malini. – Woli, żebym ją skrzywdziła, żebym ją zabiła, niż dać ci to, czego chcesz. Aśoku, w twoim interesie leży, żeby wypuścić nas obie. Bo zapewniam cię, że nie zdołam doprowadzić cię do twoich bezśmiertnych wód. Jeśli Prija umrze, wiedza o ich lokalizacji umrze wraz z nią. A ja ucieszę się, że również zginę ze świadomością, że uratowałam moje cesarstwo przed tobą i tobie podobnymi.

Coś błysnęło w oczach Aśoka. Prija zauważyła, w jaki sposób przesunął wzrokiem po Malini, jak przyjrzał się jej skórze, na tyle jasnej, że ujawniającej, iż nie przywykła do pracy na zewnątrz, jej chudości, brakowi mięśni, sari, jakie miała na sobie, kosztowniejszemu niż wszystko, co on lub Prija kiedykolwiek posiadali. Przesunął się nieznacznie.

I nóż również przesunął się nieznacznie. Ledwie zarysował skórę.

– Może i jesteś szybki – rzekła Malini. – Ale ja mogę być szybsza. To co zamierzasz?

Aśok wykonał krok naprzód. Kolejny. Księżniczka stała nieruchomo.

– O co chodzi, Prijo? – zapytał. – Przesunął po niej spojrzeniem. – Pozwolisz tej paridżackiej kurwie, by cię zamordowała, tylko by zrobić mi

na złość?

– Nie powinienes być taki niegrzeczny wobec kobiet trzymających broń – stwierdziła Malini, ściskając Priję mocniej. – To nierozsądne.

Znów popatrzył na Malini. Jego usta wykrzywiły się brzydko.

– No to ją zabij – powiedział. – Dawaj.

– Wolę odejść.

– Cóż, nie możesz. A więc zabij ją albo opuść nóż. Zaczekam.

– Potrzebujesz jej – syknęła księżniczka.

– Ale ty jej nie zabijesz – odparł Aśok, mrużąc oczy. – Jesteś na to za miękka. Znam wasz lud. Szybciej poderzniesz gardło sobie niż jej. Nie pozwolę jej odejść. I co teraz zrobisz?

Ach, Aśoku, pomyślała Prija z rozpaczą. Zupełnie jej nie znasz.

Prija poczuła, jak nadgarstek Malini się przesuwa, jak mięśnie trzymające nóż napinają się stopniowo.

Chwila wydawała się rozciągać w czasie. Malini zwalniała chwyt czy podciągała ostrze wyżej? W tym momencie Prija nie była pewna, nie mogła być pewna. Była w stanie tylko stać i wyczuwać zieloną magię życia w otaczającym ją lesie, w glebie pod jej stopami.

Magia przesunęła się. Szarpnęła.

Spadł deszcz kamieni ciśniętych dłońmi ludzi ukrytych za drzewami. Ziemia zadrżała, gdy postacie pojawiły się w cieniach pomiędzy pniami. Stojący wokół nich buntownicy zostali teraz otoczeni przez służące, kucharzy i ogrodników, których Prija знаła przez niemal całe życie.

Przewodziła im Bhumika.

Miała też ze sobą prawdziwych żołnierzy, w tym najlojalniejszych ludzi regenta. Prija rozpoznała Dżiwana, który nie miał już na sobie barw Paridżatdwipy, choć wciąż nosił dowódczą obręcz z polerowanego srebra. Sierp, który trzymała Khalida, zdawał się być przedłużeniem jej ramienia. Mrowie służących w zbrojach, główny kucharz ściskający wielki buzdygan.

Aśok obrócił się gwałtownie.

– Nie słyszałeś, jak nadchodzi, bracie? – rozbrzmiał słodki, czysty głos Bhumiki. Wyszła z tłumy z zaczerwienioną od gorąca, lecz uśmiechniętą twarzą.

– Nie podchodź bliżej – ostrzegł ją Aśok. – Inaczej będę zmuszony z tobą walczyć, a nie chcę tego.

– Będziesz ze mną walczył w moim stanie? – spytała Bhumika, kładąc dłoń na wypukłości brzucha. Uniosła wyzywająco brew.

– Będę, jeśli przyjdzie co do czego – odparł szorstko Aśok. – Ale nie chcę.

– To dziwne, że nigdy nie chcesz walczyć, a jednak zawsze to robisz – ciągnęła Bhumika, podchodząc z demonstracyjnym opanowaniem. Niektórzy buntownicy odsuwali jej się z drogi, jakby nie do końca wiedzieli, co robić. Wkrótce stanęła tuż przed Aśokiem i wpatrywała mu się w twarz. – A gdy byliśmy dziećmi... cóż. Pamiętasz. Zawsze wygrywałam.

– Już nie jesteśmy dziećmi – odrzekł.

– Owszem, nie jesteśmy – zgodziła się Bhumika.

Dłoń, którą trzymała u boku, poruszyła się lekko. Był to niemal niezauważalny znak, ale Prija nauczyła się go bardzo wcześnie jako służąca – gdy wciąż istniała nadzieja, że wykształci odpowiednie manieri i pokorę, by móc służyć podczas uczt i uroczystości, na skinienie i zawołanie wysoko urodzonych kobiet. Gest oznaczał: obserwuj mnie, wkrótce możesz być potrzebna.

– Nie pokonasz mnie – oznajmiła Bhumika. – Masz swoich zatrutych fiołkami popleczników, w waszych żyłach płyną skażone wody. Ale ja nie jestem jedyną dwukrotnie zrodzoną, która staje dziś przed tobą.

Prija przykryła dłoń Malini swoją. Poczula, jak księżniczka wzdryga się jak ogar przyuczony do smyczy. Palce Malini zaciśnięte na nożu drżały teraz, rozgrzane od świętego drewna i wilgotne od potu.

– Puść mnie – wyszeptala Prija.

– Nie mogę mu pozwolić, by cię wziął – odpowiedziała szorstko księżniczka.

Prija mogłaby się wyrwać. Mogłaby połamać Malini palce. Mogłaby spętać ją pnączami i cierniami, by się łatwo uwolnić.

– Puść mnie – powtórzyła.

Do oswobodzenia się nie potrzebowała siły. Tylko tego. Najdelikatniejszego dotyku, najlżejszego nacisku palców na rękę Malini. Jedynie swojego głosu. Odchyliła się w tył, pozwalając, by księżniczka przejęła na siebie część jej ciężaru.

– Proszę, Malini – rzekła. – Zaufaj mi.

Księżniczka odetchnęła drżąco. Puściła ją.

Dłoń Bhumiki poruszyła się łukiem. Prija również przesunęła dłoń, jakby ciągnęła ją przez wodę, i zaczerpnęła z tkwiącej w niej mocy.

W powietrzu pojawił się deszcz lśniących, śmiercionośnych odłamków cierni.

Nigdy wcześniej nie widziała czegoś podobnego. Nigdy wcześniej nie zrobiła czegoś podobnego. Wyczuwała korzenie pod glebą, każdy

głęboko sięgający pęd i każdy nieznaczny kielek zieleni – a później je wyciągała. Ziemia kruszyła się nierówno, zapadała się i zaciskała mocno wokół stóp buntowników, przewracała ich i połykała ich broń.

Prija niezdarnie zmagала się z nową mocą, wlewając ją w wykonywane czynności. Nie zdołałaby tego osiągnąć bez Bhumiki. To umiejętności jej świątynnej siostry pozwoliły rozszczepić ciernie na ostre drzazgi i owijać ziemię wokół kończyn.

Po raz pierwszy Prija zrozumiała potęgę mocy, którą Bhumika ukrywała przez te długie lata. Widziała, jak rebelianci starają się czerpać ze swoich przeklętych zdolności i nie wychodzi im to, ponieważ nie mogą dorównać jej i Bhumice. Ich dary wydawały się napędzać nawzajem. Tak jak spadająca woda uderza mocniej za sprawą swojego ciężaru, tak ich wspólne moce okazywały się silniejsze.

Aśok zatoczył się w tył. Sięgnął po swoje dary, ale to jakby próbować iść pod prąd. Czują w sangamie, jak migocze.

– Jesteśmy od ciebie silniejsze, bracie – powiedziała Bhumika; jej słodki głos był jak morderczy pocałunek.

Ziemia zmaciła się pod nim, pozbawiając go równowagi. Przewrócił się.

Co potrafiliby zrobić potrójnie zrodzeni, pomyślała szaleńczo Prija, gdyby wiedzieli, co ich moce potrafią dziać wspólnie. To jak pieśń...

Aśok naciągnął maskę, by chronić twarz. Pozostali buntownicy zrobili to samo. Widziała, jak jego barki wznoszą się i opadają. Jak rozdyma się jego pierś.

Grzmotnął dłońmi i trawa zafalowała pod nim. Podczas gdy Prija wykorzystała pęd upadku, by poderwać się z powrotem na nogi, on użył go, by rzucić się w przód z brutalną siłą. Kiedy Bhumika cisnęła ku niemu ciężkim pnączem, szerszym niż jego tors, złapał je, szarpnął jak za bicz i posłał z powrotem ku Bhumice.

Ta rozdarła je w powietrzu na dwie części, które upadły na ziemię, po czym powolnym krokiem podeszła ku niemu pomiędzy rozszczepionymi fragmentami.

– To jak, skrzywdzisz mnie? – spytała łagodnie. – Swoją świątynną siostrę?

Prija dostrzegła, jak zacisnął pięść. Jak ją wzniósł. Podeszła, unosząc dłoń.

Zgiął się wpół, trzymając za pierś.

Jego usta rozchyliły się i wylał się z nich strumień krwi z wodą. Dwoje z jego buntowników, którzy wyrwali się z objęć ziemi, podbiegło do

niego i chwyciło go za ramiona, gdy starał się unieść głowę. Przyłożył pięść do ust.

– Być może nie – powiedział niewyraźnie.

Bhumika wykorzystała to, że stracił kontrolę nad sytuacją. Zmrużyła oczy i znów rozerwała pod nim ziemię. Upadł naprzód. Dwoje rebeliantów go złapało.

– Odwrót! – krzyknęło jedno. Gdy ziemia zakotłowała się wokół nich, a drzewa zaczęły się przechylać, rzucili się gwałtownie w tył, a później pobiegli, niepewnie trzymając Aśoka pomiędzy sobą.

– Dajcie im uciec – powiedziała Bhumika, a jej ludzie, którzy zaczęli już podchodzić, zatrzymali się nagle. Przyłożyła knykcie do ust, tak samo jak wcześniej Aśok, a w jej oczach pojawił się wyraz zastanowienia i coś wyglądającego niemal jak żal.

– Mamy to, czego potrzebujemy – rzekła. – Prijo. Nic ci nie jest?

Nic mi nie jest – odparła Prija w oszołomieniu. – Nic.

Nagle zorientowała się, że klęczy. Czy to planowała? Nie była pewna. Malini przypadła do niej, ich kolana się zetknęły.

– Prijo – powiedziała księżniczka, dzwoniąc zębami, jakby ogarnął ją chłód albo szok. – Prijo. Jesteś ranna?

– Nie. Nie, nie jestem ranna.

– Nie chciałam... – zaczęła Malini, lecz urwała. – Ja bym nigdy... ja... nie sądzę, żebym...

Wszystkie jej słowa się rwały. Prija nie wiedziała, co myśleć, gdy na nią patrzyła. Być może sama była w lekkim szoku.

Przycisnęła czoło do czoła księżniczki.

– Oddychaj ze mną – wyszeptwała, gdy świat wokół nich uspokajał się, a moc Bhumiki i Prii spletały las z powrotem do wcześniejszego stanu. Gleba wygładziła się, drzewa wyprostowały. Liście szeleściły na wietrze.

Gdy Malini się odsunęła, na jej czole widniała smużka jaskrawej krwi. Prija dotknęła dłonią swojej głowy i skrzywiła się.

– Proszę – rzekła Bhumika. Stała nad nimi z tkaniną w dłoni. Prija wzięła ją i przycisnęła mocno do rany. Nie sądziła, żeby była głęboka. Rany głowy zawsze nadmiernie krwawiły, nawet te płytkie.

W końcu Prija rozejrzała się z zaskoczeniem, po czym zaczęła się śmiać.

– Wy... wy wszyscy. Czy to naprawdę komandor Dżiwan? Billu? Ty... Bhumiko?

– Chyba zabrakło ci słów, Prijo – powiedziała poważnie Bhumika. Prija przez śmiech czuła łzy napływające jej do oczu. Zdusiła je.

– Bałam się o ciebie – odezwała się ochryple.

– A ja o ciebie, choć nie wiem, dlaczego zawracam sobie głowę, skoro i tak zawsze wpadasz w kłopoty. – Bhumika zerknęła na Malini, która stała teraz za Priją i obserwowała je obie jastrzębim wzrokiem. – Dlaczego jesteś w lesie z siostrą cesarza?

– Zginęłaby, gdybym zostawiła ją na Hiranie – odparła Prija.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

– Damo Bhumiko – rzekła Malini, skłaniając lekko głowę w geście szlachcianki witającej się z szanowaną osobą równą jej pozycją. Po chwili Bhumika odwzajemniła ukłon.

– Powinnyśmy porozmawiać na osobności – stwierdziła Bhumika.

We trzy oddaliły się kawałek od reszty, choć gdy szły, Prija oglądała się za siebie, wypatrując w tłumie znajomych twarzy. Bhumika z trudnością usiadła na przeciętym pniu drzewa, wspierając się o rękę Prii, gdy zajmowała miejsce. Prija przyklęknęła, Malini poszła w jej ślady. Niedaleko od nich przycupnęła Khalida ze zmrużonymi oczyma i skrzyżowanymi rękoma.

Teraz gdy nie wykorzystywała już swoich darów wynikających z dwukrotnego zrodzenia, Bhumika wyglądała na obolałą i zmęczoną. Prija wiedziała, że jej dziecko wkrótce będzie chciało wyjść na świat, i poczuła ukłucie troski, gdy Bhumika ostrożnie wyprostowała się na siedzisku i westchnęła cicho.

– Mów – powiedziała Bhumika.

To Prija miała wyjaśnić nowy układ pomiędzy nimi. Możliwość samodzielnych rządów dla Ahiranji, całkowitą wolność od Paridżatdwipy. Gdy mówiła, obserwowała, jak Malini przesuwając wzrokiem pomiędzy nimi, jak rozważa wszystko, co widziała: wspólne dary Bhumiki i Prii, ich nieformalny sposób rozmowy, by wyciągnąć własne wnioski na temat łączącej je więzi.

Gdy skończyła, Bhumika skinęła głową.

– Rozumiem – stwierdziła, po czym z zadumany wyrazem twarzy pochyliła się lekko do przodu. – Moim zdaniem różnica pomiędzy miejscem w cesarstwie a miejscem poza nim jako sprzymierzony kraj jest... pomijalna. Być może zauważyłaś, że nasze plony i rolnicy mocno

ucierpieli. Nie zdołamy się łatwo wyżywić. Mamy słabą pozycję. Żeby przetrwać jako niepodległy naród, musielibyśmy stać się jak każde inne miasto-państwo Paridżatdwipy we wszystkim prócz nazwy. I wciąż nie dysponowalibyśmy wpływami na dworze cesarskim.

– Nie mogę obiecać wam jednocześnie wpływów na dworze i wolności – odrzekła Malini. – Ale jeśli chodzi o niepodległość... Damo Bhumiko, symbole z pewnością mają znaczenie, nieprawdaż? Nikt nie zapomina, czym byli Ahiranyjczycy w Epoce Kwiatów. Paridżatdwipa nie zapomina o tym, jak wasi świątynni przodkowie i jakszowie zagarnęli niemal wszystko. Jak wszystkim rządzą. Mój naród uważa, tak dla równowagi, że nie byłibyście przyjemnymi panami.

Przerwała na chwilę, po czym podjęła:

– Podporządkowanie was jako narodu wasalnego miało dotąd dla Paridżatdwipy znaczenie symbolu. Symbolu o wielkiej mocy, pokazującego, że nikt nie może bez konsekwencji wystąpić przeciwko narodom Paridżatdwipy. Wasza wolność, nawet jeśli będą towarzyszyły jej więzi handlowe lub innej natury z cesarstwem, stanie się z kolei symbolem dla waszego ludu, że nie znajdujecie się już pod butem Paridżatdwipy. Być może nawet wystarczyłoby to, żeby podporządkowali się wam ahiranyjscy buntownicy.

Bhumika wciąż wyglądała na obolałą i zmęczoną, ale w jej oczach zabłyśło nowe światło.

– Gdyby twój brat Aditja zwyciężył, być może moglibyśmy dojść do porozumienia, że wolność symboliczna byłaby... pomocna – powiedziała ostrożnie Bhumika. – Ale dopóki nie zwycięży, Ahiranja pozostaje narażona na działania cesarza Ćandry oraz innych narodów Paridżatdwipy. Nie mamy odpowiednich sił, żeby się przed nimi bronić.

– Chyba dysponujecie źródłem mocy, która może was ochronić – rzekła Malini. – Szukali go buntownicy. A Prija stanowi klucz.

Wreszcie obie spojrzały na Priję.

– Księżniczko Malini, uważam, że ty i ja chyba powinnyśmy dalsze rozmowy prowadzić we dwie – stwierdziła Bhumika.

Prija miała ochotę zaprotestować. Przecież była raczej mocno zaangażowana w to wszystko. Wtedy jednak Bhumika powiedziała:

– Prijo, w mojej świątyni jest ktoś, z kim chyba chciałabyś się spotkać. – Uśmiechnęła się nieznacznie, ale szczerze.

Malini nie dotknęła jej. Nie próbowała jej powstrzymać. Jej palce, spoczywające na kolanach, drgnęły nieznacznie, po czym rzekła pewnym głosem:

– Dziękuję ci, Prijo. Możesz iść. Dama Bhumika i ja poradzimy sobie.

Prija zaczęła odchodzić. Obejrzała się przez ramię tylko raz. Malini była odwrócona do niej tyłem. Jej twarz niewidoczna i nieodgadniona.

Nie dotknęła rany pod żebrami. Zdjęła zakrwawioną tkaninę z głowy, zmięła ją i poszła dalej.



„W mojej świątynie jest ktoś, z kim chyba chciałabyś się spotkać”.

Sima. Była tam Sima. Stała wśród innych służących i rozmawiała z wojownikiem, u którego boku wisiał buzdygan. Dziewczyna podniosła wzrok, a później zaczęła biec ku niej przez las.

– Prija!

Sima przytuliła ją mocno.

– Tyle przede mną ukrywałaś.

– Musiałam – odparła Prija, po czym zakasłała, gdy Sima ścisnęła ją silniej. Oparzelina pod jej żebrami piekła bólem, nad którym nie chciała się zastanawiać, bólem sięgającym głębiej niż skóra i jej umiejętność zrozumienia przewrotnego serca, które w niej biło. – Ściskasz mnie za mocno.

– Jesteś dużą dziewczynką, wytrzymasz.

– Mam twoje włosy w ustach.

Sima roześmiała się przez łzy i odsunęła. Uśmiechnęła się do Prii szeroko, choć nie przestawała płakać.

– Przepraszam – rzekła. – Po prostu tak się cieszę, że żyjesz.

– A ja się cieszę, że ty żyjesz – odparła Prija. – Co tu robisz? I czy to... czy ty nosisz sierp?

– To nie oczywiste? Jestem tu, by bezpiecznie sprowadzić cię do domu. I noszę go, bo miasto jest w ruinie i teraz przewodzi nam dama Bhumika. A zatem to właśnie tak. – Uśmiech Simy przygasł, a później zniknął. – Nie do końca mogę liczyć na zarobek, skoro regent nie żyje.

Prija rozejrzała się po otaczających ją ludziach, spojrzała na komandora Dżiwana przyglądającego się jej stanowczym wzrokiem. No oczywiście, regent nie żył.

– Rukh – rzekła Sima. – Pewnie chcesz go zobaczyć.

Prija poczuła nagle, jak serce podchodzi jej do gardła.

– Zobaczyć go? Jest tu?

Sima przytaknęła.

– Co on tu robi? – zapytała Prija. Kto przyprowadzał chłopca, dziecko, do tego lasu, do krwi i wojny?

– Pani Bhumika kazała mu przyjść – wyjaśniła Sima. Zawahała się, po czym dodała: – Pani Bhumika... ona wie, że Rukh zrobił coś, czego nie powinien był. Rozmawiał z niewłaściwymi ludźmi.

A zatem Bhumika się dowiedziała.

Być może obecność Rukha stanowiła karę – dla samego chłopca albo dla Prii za to, że przyprowadziła go do mahalu. Jednak Bhumika raczej nie zdecydowałaby się dobrowolnie na taką bezduszość, więc Prija nie była pewna, czy może w to uwierzyć.

– Tak, chcę się z nim zobaczyć – powiedziała. – Proszę.

Sima przytaknęła.

– Tylko lepiej się przygotuj. Nie jest już taki jak kiedyś.

Rzeczywiście mocno mu się pogorszyło. Wszystkie jego włosy miały już teraz fakturę ciemnych jak atrament liści. Żył uwydatniały mu się na skórze ciemną zielenią. Na rękach pojawiły się pierścienie wyglądające jak sęki. Nawet cienie pod oczami wydawały się bardziej jak drewno niż ciało. Siedział w niewielkiej odległości od reszty grupy, pod osłoną drzewa, opatulony kocem. Gdy podeszła, wstał i pozwolił, by koc opadł mu do stóp.

Spojrzał na nią. Ona spojrzała na niego.

– Rukh – rzekła. – Nie przywitasz się ze mną?

– Jesteś pewna, że tego chcesz?

Mogłaby mu powiedzieć, że butwienie jej nie przeraża. Mogłaby go zapewnić na kilkanaście innych sposobów.

Zamiast tego podeszła do niego, pochyliła się i przytuliła go ostrożnie. Robiła to po raz pierwszy i chciała, by wiedział, że może ją odepchnąć. Ale nie robił tego. Pozostał nieruchomo.

– Tak się cieszę, że znowu cię widzę – oznajmiła.

Czuła w nim napięcie. W jego sztywnej postawie, w zaciśniętych pięściach, w gotowości na wszystko, co mogło go zaatakować. I poczuła też, jak się rozluźnił.

– Przepraszam – wydyszał. – Przepraszam.

Wtedy przytuliła go mocniej, z uczuciem, jakby tylko jej ramiona miały moc, by zapewnić mu bezpieczeństwo.

– Przepraszam, że dołączyłem do buntowników – wykrztusił. – Przepraszam, że nie byłem lojalny. Ale teraz już jestem. Zostaję tu, z tobą, Simą i damą Bhumiką, złożyłem obietnicę i naprawdę przepraszam.

– To nieistotne – odrzekła. – To wszystko nie jest istotne. Nic ci nie jest.

– Powiedziałem damie Bhumice, czym jestem. Powiedziałem Gauri. Ja... – Urwał, jakby nie potrafił się przed nią wytłumaczyć. Jakby nie potrafił znaleźć słów, by określić, dlaczego zmienił zdanie. Dlaczego chciał zostać z nią i z Bhumiką.

– To inaczej: mieć dom. Prawda?

Wydał wargi, by mu się nie trzęsły. Skinął głową bez słowa.

– Nic ci nie jest – rzekła łagodnie. – Obojgu nam nic nie jest. Nie masz za co przeproszać, Rukh, zupełnie za nic. – Znowu go przytuliła, wciskając twarz w liście i zawijasy na jego głowie. – I przepraszam, że cię tulę, gdy jestem zalana krwią.

– To nic – odpowiedział słumionym i spokojniejszym głosem. Pociągnął lekko nosem. – Nie przeszkadza mi. Ale nie pachnie najlepiej.

– No raczej.

Wtedy go puściła, zanim któreś z nich zdążyłoby poczuć się niezręcznie. Rukh wygładził sobie ubranie. Wytarł oczy.

– Wiele wydarzyło się w Hiranapraście, odkąd ją opuściłam – rzekła Prija. – Może oboje opowiecie mi wszystko, co możecie?

Część okropnego poczucia winy wreszcie zniknęła z twarzy Rukha. Sima przysunęła się bliżej i oboje zaczęli snuć opowieść, podczas gdy Prija myślała o bezśmiertnych wodach. O kryjącej się w nich obietnicy. I nadziei.

Myślała o swoim martwym rodzeństwie. O trzykrotnie zrodzonych, takich jak Sandżana, którzy potrafili wpływać na butwienie. Myślała o tym, co mogłaby zrobić, by uratować Rukha, gdyby dysponowała takimi mocami.

To, czym była – czym byli też Aśok i Bhumika – mogłaby wykorzystać dla sprawy, która nie jest tylko potworna lub przeklęta. Dla czegoś dobrego. Mogłaby go ocalić.

Lekarstwo. Nie przekleństwo.

Być może.



55

AŚOK

Zaczęli umierać. Jedno, drugie. Później trzecie.

– Trzykrotnie zmarli – mruknął, gdy zamykał im oczy. Muskał milcząco nadgarstki. Gdyby tylko kryła się w tym magia, jak było w wyjściu z życiem z wód. Ale śmierć stanowiła porażkę, a bezśmiertne wody niczego nie dawały w zamian za to, co odbierały.

Słuchał rozbrzmiewającego wokół udręczonego dyszenia osób z płucami pełnymi płynu i czuł też ściskanie we własnej piersi. Czuł, jak również z niego wysączają się siły.

Szli dalej. Wyczuwał Priję i Bhumikę. Był w stanie podążać za pulsem ich obecności w sangamie i roślinności obecnej w glebie, aż odnajdzie je na nowo, a wtedy zagarnie wiedzę Prii, posługując się podstępem, przemocą lub, jeśli będzie trzeba, nawet błaganiem u jej stóp.

Nagle Aśok poczuł się gorzej. Krew pojawiła mu się w pocie, w oczach.

Zatrzymał się wraz ze swoimi zwolennikami w cieniu Altany. Nie było tu pogrzebanych żadnych ciał, ale Aśok potrafił myśleć tylko o tym, jak pięknie tam jest i jak dobre to miejsce do złożenia jego kości.

Nie chciał spłonąć po śmierci. Miał już dość ognia.

– Aśoku. – Przyklęknęła obok niego Kritika. Otworzyła torbę na ramię i ostrożnie wyciągnęła koronną maskę, pilnując, by dotykać jej

wyłącznie przez tkaninę, którą była owinięta. Położyła ją na ziemi, a następnie podniosła mały przedmiot. Szklany, świecący błękitem.

Została tylko jedna fiołka.

Kritika położyła ją sobie na dłoni.

– Musisz wypić – powiedziała.

Gdy zamrugła, dostrzegł krew na jej rzęsach i zastanowił się, jakie przerażające rzeczy wody robiły z nią od środka.

– Musisz wypić – powtórzyła. – Musisz przetrwać.

– Kritiko...

– Musisz stać się potrójnie zrodzonym, musisz stać się najwyższym starszym i założyć tę maskę. – Pchnęła ją ku niemu. – Musisz ocalić Ahiranję. Zatem pij.

Chciał tego. Był spragniony. Wyszło mu w gardle, czuł się pusty jak skorupa, która za chwilę zapadnie się do wewnątrz.

Ale nie potrafił wypić.

– Byłaś ze mną dłużej niż ktokolwiek. Powiem ci prawdę – mruknął. Kritika nachyliła się bliżej, by go wysłuchać. – Nie mam dość siły, by zrobić to, co trzeba. Nie przetrwam, by odnaleźć siostrę i walczyć o nią oraz o powrót na Hiranę. Zatem nie wypiję.

Kritika milczała, ale zaczęła jej lekko drżeć warga. Ta oznaka jej niepokoju niemal skłoniła go do ustąpienia.

– Jesteś naszą jedyną nadzieją, Aśoku – rzekła. – Zawsze nią byłeś. Nie poddawaj się teraz rozpaczy, błagam cię. Wciąż istnieje przyszłość dla Ahiranji i dla nas.

Z nosa wyciekła jej strużka krwi.

Nie zniesie jej śmierci. Nie zdoła.

Przez krótką, mroczną chwilę rozważał, czy nie zakończyć życia ich obojga. Byłoby to proste. Być może nawet honorowe. Jak wyjęte z dramatycznej powieści odgrywanej przez aktorów w maskach na wioskowej scenie. Miał u pasa nóż, broń o ostrej kłindze.

– Jestem tak wdzięczny za to, że wtedy, przed laty, mnie uratowałaś, że nie umiem tego wyrazić słowami – powiedział zamiast tego. – Gdybyś nie podała mi wód, zmarłbym na chorobę pożerającą mi płuca. Zmarłbym w hańbie i samotności. Jeśli ten bunt zdołał cokolwiek osiągnąć, to tylko dzięki tobie.

– Pielgrzymowałam na Hiranę z tego samego powodu co inni, Aśoku – odparła Kritika, delikatnie przesuwając fiołkę w palcach. – Chciałam czegoś lepszego dla siebie. Dla mojej rodziny, dla Ahiranji. A gdy zapadła ciemność i sądziłam, że już niczego nie da się ocalić... ach, ocaliło mnie to, że cię znalazłam.

– Nigdy nie miałem matki – rzekł. – I ty... nie jesteś moją matką. –
Roześmiał się z trudem. – Matka nie idzie za synem na wojnę.

Ujął ją za rękę i zacisnął jej palce wokół buteleczki. Przesunął ją
w stronę kobiety.

– Wypij to – powiedział. – Inaczej nikt tego nie robi. Rozumiesz?
Moja wizja musi mnie przeżyć. Trzeba uratować Ahiranję. Musi stać się
wolna. – Nagle jego głos stał się chrapliwy. – Ten kraj potrzebuje
obrońców. Jeśli moje siostry nie chcą mi na to pozwolić, to muszą same się
tym zająć. Albo ty musisz.

– Chcesz, żebym trzykrotnie przeszła przez wody – odparła
z niedowierzaniem. – Nie jestem świątynnym dzieckiem, Aśoku.

– Szkoliliśmy się do tego. Szkoliliśmy się, by stać się na tyle silni,
aby to przetrwać. Byłoby cudem, gdyby ci się to udało, Kritiko, a jednak
proszę cię o to. Odnajdź cud. Wraz z innymi buntownikami. Jeśli choć
jedno lub dwoje z was zdoła odnaleźć bezśmiertne wody, jeśli przetrwacie
proces, wtedy wasza siła wystarczy. Na pewno.

– Dla Ahiranji zrobiłabym wszystko – zapewniła Kritika drżącym
głosem. – Piłam z fiołki, choć wiedziałam, że będzie to dla mnie oznaczało
śmierć. Wszyscy piliśmy. Jednak istnieją granice tego, co potrafimy
zdziałać, i nasze życzenia są tu nieistotne.

– Zatem przekonaj moje siostry, by stały się czymś więcej, niż są –
odrzekł ze znużeniem. – Tylko wypij, żebyś miała czas to zrobić.

Kritika skłoniła głowę, elegancka w swoim posłuszeństwie.

Opuszką palca dotknęła zamknięcia buteleczki. Przyłożyła palec
do języka.

– Wypij – powiedział chrapliwie. – Nie wystarczy muśnięcie. Na
glebę i niebo, w ten sposób nie przetrwasz. To za mało.

Podniosła się. Pochyliła, by podnieść znów maskę i fiołkę. Wtedy
dostrzegł, czego nie wyciągnęła z torby: bryłki sfermentowanego ryżu,
zrolowanego roti, owoców starannie owiniętych w szmatkę, by nie dostały
się do nich mrówki. Miała zapasy. I spięty, poważny wyraz na
zakrwawionej twarzy.

Ostrożnie umieściła mu buteleczkę przy pasie i wyprostowała się.

– Odpoczywaj, Aśoku – rzekła łagodnie. – Wróć.



56

MALINI

O mało jej nie zabiła. Byłby to nowy koszmar do dołożenia do poprzednich. Już wcześniej śniła o ogniu, o woni palonego ciała, przyczernionym uśmiechu Nariny.

Teraz śniłaby też o sercu Prii w swoich dłoniach. Pulsującym. O grubość włosa od jej noża.

Nie pozwoliła sobie zdradzić, co czuła. Szła wraz z dziwną świtą damy Bhumiki – żołnierzami, służącymi, kucharzami – ignorując spojrzenia, które jej rzucali.

Bhumika zgodziła się odprowadzić Malini do jej brata Aditji, by mogła dochować swojej części umowy. Później Bhumika wróci do Hiranaprasthy, gdzie będzie chroniła Ahiranję pełną mocą swoją oraz Prii i czekała na sukces bądź porażkę Aditji. Na razie Bhumika poleciła swojemu orszakowi dalszy marsz Ścieżką Poszukiwacza i nalegała, by księżniczka szła blisko niej. Często się na niej opierała i wtedy zadawała Malini krótkie, wścibskie pytania na temat jej życia na dworze. Polityki cesarskiej. Na temat Ćandry i Aditji.

Malini źle zrobiła, nie doceniając Bhumiki, gdy ją poznała. Był to poważny błąd z jej strony.

Odpowiadała najlepiej jak umiała. Przecież zawarły sojusz. I cieszyła się, że sprzymierzyła się z Ahiranyjką zamiast z wrogiem.

Malini tylko raz zapytała o los regenta.

– Chyba znasz odpowiedź – odparła Bhumika. Powiedziała to bez śladu emocji, ale księżniczka wiedziała, jak niewiele to oznacza. Nie dopytywała. Tajemnice myśli Bhumiki były wyłącznie jej sprawą.

– Wyrazy współczucia – rzekła krótko.

– To było konieczne – odpowiedziała bezbarwnie Bhumika, co wydawało się... znaczące.

Malini skinęła głową i dalej szła spokojnie u boku Ahiranyjki, dopasowując się do jej kroku. Daleko po lewej widziała Priję, która maszerowała z dzieckiem i inną służącą. Zupełnie jakby wyczuwając jej wzrok, Prija obróciła się ku niej. W kształcie jej ust, w przekrzywieniu głowy kryło się pytanie. Jeszcze nie miały okazji porozmawiać na osobności.

Malini odwróciła spojrzenie i zorientowała się, że Bhumika patrzy na nią z nieodgadnioną miną.

– Czy jesteś zadowolona z naszego układu, pani Bhumiko?

Ahiranyjka zastanawiała się nad tym przez chwilę, znów wpatrując się przed siebie.

– Tak – rzekła w końcu. – Symbolika jest istotna. A wolność... Nie zrozumiesz tego, księżniczko Malini, ale podbici odczuwają ból. Niemal utraciliśmy dawny język. Dawne zwyczaje. Nawet gdy staramy się wyjaśniać sobie nawzajem naszą wizję w poezji, pieśni czy maskach teatralnych, robimy to poprzez kontrast wobec was lub spoglądając w przeszłość. Zupełnie jakbyśmy nie mieli przed sobą przyszłości. Paridżatdwipa nas przemieniła. To nie jest dialog, tylko przepisywanie naszej tożsamości. Bezpieczeństwa i wygody nie mogą wiecznie łagodzić bólu. – Założyła dłonie przed sobą. – A jednak nigdy tego nie pragnęłam, tego upadku regencji. Tego końca. Rozumiem, że złagodzenie bólu podległego narodu wiąże się z ceną w postaci ludzkiego życia. Teraz gdy rozlew krwi stał się nieunikniony... z chęcią wchodzę w układ, który pozwala go zminimalizować, a nawet uratować odrobinę naszej wolności, naszej tożsamości. Do tego – mruknęła Bhumika – kimże jestem, by podważać przysięgi złożone przez moją siostrę i siebie?

Malini zerknęła na nią. Bhumika wyglądała na zmęczoną, ale na jej wargach błąkał się lekki porozumiewawczy uśmiech.



Później gdy wszyscy zatrzymali się, żeby odpocząć, Malini wymknęła się i znalazła miejsce, żeby usiąść samotnie – na zwałonym pniu pod osłoną starego baniana, który wyssał wilgoć i życie z otaczającej go gleby, przez co powstała odosobniona polanka. Czekwała.

Nie minęło wiele czasu, zanim pojawiła się Prija.

– Wreszcie – oznajmiła, podchodząc. Ziemia szeptała pod jej stopami, małe rośliny obracały się w rytm jej kroków. Malini zastanawiała się, czy dziewczyna zdaje sobie z tego sprawę. – Chciałam z tobą porozmawiać.

– Było trudno – zgodziła się księżniczka. – Jest... tak wielu ludzi. Odwykłam od tego. Na Hiranie było znacznie ciszej.

– Malini, ja tylko...

Księżniczka obserwowała, jak Prija zbliża się, aż wreszcie stanęła nad nią, jedną ręką obejmując brzuch. Malini przygotowała się psychicznie. Czekwała.

– Rozumiem, dlaczego groziłaś tym, co zrobiłaś – rzekła Prija. – Była to jedyna broń, jaką miałaś.

Malini przekrzywiła głowę i spojrzała Prii prosto w oczy.

– Ale czy rozumiesz, że o mało cię nie zabiłam?

Prija milczała. Nie odwracała wzroku od księżniczki. Nie poruszała się.

– Czy rozumiesz, co mówię? – spytała księżniczka, spoglądając w górę. – Gdybyś przegrała, a przecież przegrywałyśmy, wtedy on by mnie zabił, skrzywdził albo wziął na zakładniczkę, by cię wykorzystać. Lepiej było cię zabić, niż do tego dopuścić. Lepiej było cię zabić, niż pozwolić, żeby wróg Paridzátwdwipy zyskał taką moc. To... to właśnie sobie powtarzałam, zanim przybyła dama Bhumika. Powtarzałam sobie, że wbiję ci nóż w serce. Zrobiłabym to. Naprawdę... – Zamknęła oczy. Obrazy Nariny, Alori oraz krwi we włosach Prii wypaliły się jej pod powiekami. Otworzyła znów oczy. – Nie zdołałabym – przyznała. – Nie zdołałabym tego zrobić.

Prija odetchnęła. Słońce znajdowało się za jej plecami. Malini widziała jedynie jej oczy i opadające włosy, czern w złotej aureoli.

– Zatem nie jesteś osobą, za jaką się uważasz – stwierdziła Prija.

– Ale będę musiała nią zostać. Muszę nią być... Nie mogę być całkowicie dobra. Ani miękka. Nie, żeby zrobić to, co konieczne.

Prija nic nie mówiła. Jedynie przekrzywiła głowę i słuchała.

– Będę musiała wyrzeźbić sobie nową twarz. Twarz, która zdoła zapłacić cenę, jaką zapłacić muszę. Stanę się potworna – powiedziała Malini, smakując ciężar tych słów na wargach, na języku. – Od tak dawna

chciałam jedynie uciec i przetrwać. Ale teraz jestem wolna i ze względu na mój cel... ze względu na władzę – przyznała – muszę stać się czymś innym niż człowiek. Czymś innym niż po prostu niedobry człowiek. Nie mam wyjścia.

– Nie jestem pewna, czy to właśnie oznacza władza – odparła Prija po chwili wahania. – Takie zatracenie się.

– Zupełnie jakbyś sama nie zapłaciła ceny. Zupełnie jakby nie zapłaciła jej Bhumika. Albo twój brat.

– W porządku. Zatem owszem, władza kosztuje. Ale co robisz, gdy już ją masz, gdy ją zdobyłaś... O to chodzi, prawda? – Prija przysunęła się o krok. – Wiem, co zrobiłby mój brat. I... to niekoniecznie jest tak, że on się myli. Ale nie jest dostatecznie mądry, by z wywołanej przez niego rzezi wynikało coś dobrego na przyszłość. Wiem to, bo ze mną byłoby podobnie. Ale co uczynisz ty, gdy już doczekasz się sprawiedliwości?

– Gdy skończymy z Ćandrą? Nie wiem – powiedziała księżniczka. – Nie potrafię sobie tego wyobrazić. Trudno mi nawet o nadzieję, bo tak długo była poza moim zasięgiem.

– Mogłabyś zrobić coś dobrego – stwierdziła Prija. – Nie... Już obiecałaś coś dobrego. Wolność dla Ahiranji.

– I to nieco w moim stylu, nie sądzisz? Uwolnić Ahiranję, żeby buntownicy tacy jak twój brat mogli ją przejąć i niewłaściwie nią rządzić w miejsce Paridżatdwipy?

Prija westchnęła.

– Nie mam pojęcia, co oznacza być sprawiedliwym władcą. Nie mam pojęcia, co chcesz usłyszeć. Ale myślę, że potrafisz to określić. Gdy twój brat Aditja obejmie tron, staniesz się wpływową. Wiem to.

– Prijo, niemal wbiłam ci nóż w serce. Jak możesz tu być? Jak możesz ze mną rozmawiać?

– Cóż, gdybyś to zrobiła, nie żyłabym i nie rozmawiałybyśmy o niczym. – Wzruszyła ramionami.

– Prijo. – Głos, który wyrwał się z Malini, był błagalny. – Proszę. – O co właściwie błagała Priję? O szczerą? Wybaczenie? Czegokolwiek pragnęła, zdawała sobie sprawę, że tylko Prija może jej to dać.

Prija odpowiedziała jej bystrym wzrokiem. Nie uśmiechała się.

– Gdy byłam małą, gdy zaczynałam jako świątynne dziecko, nauczyłam się, jakie to ważne być silną. Szkoliliśmy się do walki: z wrogami i z sobą nawzajem. Uczyliśmy się odcinać te części nas, które były słabe. Na tym polega przetrwanie. I sprawowanie władzy. Nie na byciu słabą. – Prija umilkła na moment. – A jednak większość z nas

zginęła. Bo ufaliśmy ludziom, którzy nas wychowali. Chyba to również jest słabość.

– Co próbujesz przez to powiedzieć?

– Że... że ludzie, na których ci zależy, mogą zostać wykorzystani przeciwko tobie. Zaś siła jest nożem obróconym ku tym twoim częściom, którym zależy. – Prija dotknęła opuszkami palców zagłębienia pod żebrami.

Malini przełknęła ślinę. Wróciła myślą do nocy, kiedy igłokwiat opuszczający jej ciało niemal ją zabił i kiedy przyszpiliła Priję pod sobą. Pomyślała o rozpalonej miękkości bijącego serca Prii.

– Wiem, co to znaczy mieć władzę – ciągnęła Prija. – Znam cenę. Nie wiem, czy potrafię winić cię za to, że chcesz ją zapłacić.

– A powinnaś – wychrypięła księżniczka. Miała wrażenie, że jej gardło jest starte do żywego mięsa.

– Możliwe – przyznała Prija. – Może gdybym została wychowana w łagodności przez ludzi, którzy nauczyliby mnie, jak być uprzejmą i dobrą, wiedziałabym, jak to zrobić. Jednak dobroci i uprzejmości czy też tego, co za nie uchodziło, uczyły mnie inne skrzywdzone dzieci, więc nie potrafię. – Podeszła jeszcze bliżej. Osunęła się na ziemię przy pniu, na którym siedziała Malini. – W wizji mój brat wyrwał mi serce. Ta część nie ma znaczenia – dodała szybko, gdy usta księżniczki zaczęły formować się w pełne niepokoju pytanie. – Natomiast ma znaczenie fakt, że brat skrzywdził mnie straszliwie, a jednak nawet teraz wydaje mi się, że nie potrafię go nienawidzić.

Malini odepchnęła od siebie narzucające się pytania.

– Gdy mój brat mnie skrzywdził, postawiłam sobie za cel, żeby go zniszczyć.

Prija roześmiała się cicho.

– Może to jest lepszy sposób – uznała.

– Nie jestem pewna. – Księżniczka nie była w stanie się uśmiechnąć. Miała wrażenie, jakby jej serce skowyczało. – Musisz wybaczać z mniejszą łatwością, Prijo. Musisz się chronić.

Prija podniosła na nią wzrok przez te swoje rzęsy wyglądające niczym dziwne złoto, ukazując klarowne oczy przyszpilające duszę Malini.

– Nie potrafiłaś użyć noża przeciwko mnie – rzekła Prija. – Czy sądzisz, że pewnego dnia zmienisz się w kogoś, kto będzie do tego zdolny? Kto bez żalu wytnie mi serce?

Malini pomyślała o Alori i Narinie oraz o stosie.

– Prijo – rzekła w końcu zduszonym głosem, w którym słyhać było wszystko to, co zgruchotały w niej ogień i więzienie, izolacja i furia, delikatność warg Prii na jej wargach. Nie wiedziała. Naprawdę nie wiedziała.

Wyraz twarzy Prii złagodniał. Widać było w niej coś porozumiewawczego – i czulego.

– Malini – powiedziała – jeśli rzeczywiście zaczniesz się zmieniać, nie pozwolę ci na to. Być może nie jestem sprytna czy przebiegła, nie jestem taka jak ty, ale mam władzę. – Zupełnie jakby w reakcji na jej słowa liście wokół nich zaszeleściły i podpłynęły bliżej. Drzewa otaczały je murem. – Powstrzymam cię. Zamienię dowolną broń w trawę albo w kwiaty. Zwiążę ci ręce pnączami.

– A skrzywdzisz mnie? – chciała wiedzieć księżniczka. – Powinnas móc to zrobić, żeby ocalić siebie.

Prija pokręciła głową.

– Nie.

– Prijo.

– Nie. Przykro mi, ale nie. Ponieważ jestem dość silna, by tego nie potrzebować.

– Nie przeprasza – odparła księżniczka. – Nie...

Zabrakło jej słów. Nie wiedziała, co powiedzieć. Właśnie tego potrzebowała. Nie przebaczenia, nie pociechy dla tej dziwnej furii, która się w niej kłębiła, lecz zapewnienia ze strony kogoś, o kogo mogła się troszczyć, kogo mogła kochać, że nie potrafiła skrzywdzić. Nawet gdyby musiała. Nawet gdyby próbowała.

Wychyliła się do przodu i Prija ujęła jej twarz w dłonie, zupełnie jakby tylko czekała, aż będzie mogła przesunąć kciukami po policzkach księżniczki, spojrzeć na nią z tą całkowitą, przerażającą łagodnością.

– Nigdy nie zrozumiem twojej magii – rzekła Malini, gdy Prija delikatnie gładziła jej skroń. – I ciesz się mnie to. Jestem taka wściekła, a jednak taka zadowolona.

Prija wydała odgłos, który mógł nie oznaczać nic i oznaczać wszystko, uniosła głowę i znów pocałowała księżniczkę. Tym razem nie było w tym furii. Jedynie ciepło skóry Prii. Jedynie jej łagodny oddech i jej proste opadające włosy, ocierające się o policzek Malini niczym ptasie skrzydło. Jedynie wrażenie głębokiej, ciemnej studni, wrażenie spadania bez najmniejszej chęci, żeby się wznieść.



Następnego dnia Bhumika zaczęła rodzić.

Malini stała przy palankinie damy, gdy dobiegł z niego cichy okrzyk. Obróciła się i natychmiast została otoczona przez tłum ludzi, zaś palankin pospiesznie opuszczono na ziemię.

– Musimy się zatrzymać – wycedziła Bhumika. – Na chwilę. Tylko na chwilę.

– Niech ktoś rozbije namiot – warknęła jej pokojówka.

Malini odsunęła się na sporą odległość. Obserwowała, jak Prija przykuca u boku siostry. Po chwili wymknęła się. Nie była tu potrzebna.

Szła, rozglądając się. Spodziewała się, że żołnierze przybiegną, gdy tylko usłyszą okrzyk damy, ale byli niepokojąco nieobecni.

Malini zabrnęła kawałek dalej ścieżką, wciąż sama. Od dawna nie była sama.

Powinnam się bać, pomyślała. Wystarczająco napatrzyła się na dziwne drzewo za chatą, gdzie Prija dochodziła do siebie, by nabrać zdrowego strachu przed lasem – jego wodami, glebą, a przede wszystkim drzewami – ale nie bała się.

Wreszcie dostrzegła ahiranyjskich żołnierzy Bhumiki na przedzie, na polanie. Gdy się do nich zbliżyła, ich dowódca obrócił się gwałtownie. Skierował ku niej miecz. Z instynktowną szybkością wymierzył go w jej mostek.

Nie cofnęła się. Oznaczałoby to otwarcie się na pierwsze cięcie. Ćandra ją tego nauczył. Po prostu skrzyżowała z nim wzrok i czekała. Dostrzegła chwilę, gdy uświadomił sobie, kim jest, oraz kolejną chwilę, gdy mimo wszystko rozważał, czy ją przebić.

Opuścił miecz.

– Księżniczko – powiedział.

– Komandorze Dźiwanie – odparła. Podczas tej podróży wystarczająco często słyszała jego imię, żeby je zapamiętać. – Co cię wystraszyło?

Napiął szczękę. Nie schował klingi.

– Nie jestem wystraszony – odszepnął. – I nie podnoś głosu. Dalej na ścieżce znajdują się ludzie. Rozstawiają obóz. Nie zdołamy ominąć ich tak, by nas nie zauważyli.

Poza tym i tak nie mogli się ruszyć. Przynajmniej nie w łatwy sposób. Nie teraz.

– Pójdę po Priję – powiedziała.
– Nie. Dama Bhumika jej potrzebuje.
Ach. Czyli ktoś powiadomił ich, co się dzieje.
– Ma pod dostatkiem kobiet, na których może polegać – oznajmiła Malini. – Ale ty będziesz potrzebował siły Prii.
Odwróciła się, żeby odejść. Złapał ją za rękę.
Znów napotkała wzrok żołnierza.
– To Paridżatczycy, zgadza się?
Nic nie odpowiedział.
– Nie obawiaj się – mruknęła. – Jeśli są ludźmi Ćandry, nie mam żadnych skrupułów, żebyście ich zabili.
– A jeśli są ludźmi twojego brata kapłana?
Nie pozwalała sobie żywić nadziei, że mogli być żołnierzami Aditji. Mimo to powiedziała:
– Wówczas, ponieważ wiesz o układzie, jaki zawarłam z damą Bhumiką, powinieneś pozwolić mi do nich dołączyć.
– Pójdę po Priję – oznajmił cicho jeden ze zbrojnych. Dziwan skinął mu głową i nie puścił księżniczki.
– Towarzyszyłeś mi w drodze na Hiranę – rzekła. – Pamiętam.
– Owszem.
Przekrzywiła lekko głowę, przyglądając mu się.
– Nie czujesz wobec mnie litości – mruknęła. – Ale też nie radowało cię moje cierpienie. To zagadkowe.
– Wcale nie takie zagadkowe – odparł, wciąż skupiając na niej wzrok, choć mięsień jego żuchwy drgnął lekko. – Przejmuję się tylko nielicznymi kwestiami. Nie jesteś jedną z nich.
Po dłuższej chwili ktoś się zbliżył.
– O co chodzi? – spytała cicho Prija. Podeszła blisko nich, bezgłośnie stawiając kroki.
– Ludzie przed nami – oznajmił Dziwan. – Obozują. Jeszcze nie wiedzą, że tu jesteśmy. Wkrótce się dowiedzą.
– Są dla nas niebezpieczni?
– To Paridżatczycy.
Prija napotkała wzrok Malini.
– Chronź nas tak, jak uznasz za stosowne – powiedziała księżniczka.
Prija prychnęła lekko.
– Dziwianie, dlaczego trzymasz ją za rękę?
– Ktoś się zbliża – poinformował niegłośnie jeden z ludzi komandora, szykując miecz.

Dziwan zaklął i wreszcie puścił Malini, która akurat zdążyła pożałować, że nie ma przy sobie żadnej broni, kiedy przed nimi pojawił się mężczyzna. Nie mieli jak się przed nim schować. Oficer i jego ludzie wystąpili naprzód z mieczami, a Prija wyprostowała się, czerpiąc z kryjącej się w jej wnętrzu dziwnej magii.

Paridźatczyk odwrócił się na pięcie i zaczął biec.

Przez chwilę jedynie wpatrywali się w jego oddalającą się sylwetkę.

– Nikt nie ma łuku i strzały? – mruknęła Malini.

Prija zerknęła na nią krzywo. Poruszyła palcami i gałąź przemknęła w powietrzu, by trafić mężczyznę w tył głowy. Osunął się na ziemię.

Upadając, krzyknął. Prija skrzywiła się i zakłęła.

– Gotowość – polecił Dziwan. Jego ludzie rozsunęli się w wachlarz. W tym samym czasie rozległy się odgłosy biegnących kroków i pojawili się następni Paridźatczycy.

– Jest ich więcej! – Jeden z przybyszy wykrzyknął te słowa, a później coś niezrozumiałego, co przyciągnęło kolejne odgłosy kroków, kolejnych mężczyzn biegnących Ścieżką Poszukiwacza. Ludzi z Paridźatu i ludzi z Aloru w jaskrawoniebieskich turbanach tamtejszego ludu.

Moment... Alorczycy.

Dziwan i pozostali przywitani ich z brzękiem stali, miecze wzniosły się tanecznym łukiem w powietrze. Prija zerknęła szybko na Malini, bezgłośnie kazała jej uciekać, po czym obróciła się i weszła pomiędzy walczących. Nie miała przy sobie żadnej broni z wyjątkiem tego, co kryło się w jej krwi.

Malini powinna była uciec. Nakazywał to zdrowy rozsądek. W grę wchodziło jednak coś więcej niż tylko rozsądek, zdrowy czy niezdrowy. Ludzie z Aloru. Ludzie z Paridźatu, którzy jednak, choć mieli na sobie paridźackie stroje, jasne zawoje i naszyjniki modlitewne, nie nosili białych i złotych barw cesarskiej armii. Była to okazja, możliwość.

A jednak jej błąd okazał się głupi. Oczywiście, że jeden z Alorczyków przebił się przez szeregi Dziwana. Oczywiście, że pobiegł w jej stronę, zamachując się mieczem.

– Rao! – wydyszała. – Znam księcia Rao, nie krzywdź mnie!

Alorczyk otworzył szeroko oczy.

Niestety, słowa nie zdołały zatrzymać rozpędzonej klingi. Malini mogła jedynie obserwować, jak opada ku niej... i nagle znalazł się przy niej Dziwan. Jego miecz zderzył się pod kątem z mieczem Alorczyka,

odtrącając go na bok i rozbrajając mężczyznę. Džiwan zaatakował, a Alorczyk uchylił się, koziołkując po ziemi.

Malini zatoczyła się w tył, odsuwając od walczących, i poczuła, jak ziemia porusza się pod nią, jak niesie ją niczym zielona fala. Prija nie obróciła się, ale księżniczka oczywiście wiedziała, że ta dziwna sytuacja to jej dzieło.

Uciekaj. Nawet ziemia to mówiła. Głosem Prii.

Ale Rao.

Nie była to jej najlepsza chwila. Nie był to akt subtelnej polityki ani przebiegłości. Po prostu zacisnęła pięści, nabrała pełne płuca powietrza i wrzasnęła z całej siły:

– Rao! – Niemal skrzywiła się na dźwięk własnego głosu, tak przenikliwego i ostrego. – Rao, jestem tu! Rao!

– Stać! – Głos. Należący do Rao. Komenda niczym świśnięcie bicza. Boleśnie znajomy głos. – Pokój, bracia. Pokój!

Nie powinno to nic dać. Ale Prija zakłęła, a później ziemia się poruszyła, gleba zapadła, unieruchamiając wszystkim stopy.

Wszyscy zastygli.

Gdy chaos nieco się uspokoił, Malini przyjrzała się temu, co rozpościerało się przed nią. Ludzie z mieczami. A tam... Rao.

Rao z czubkiem miecza Džiwana pod brodą. Obydwaj zostali uwięzieni w ziemi, zastygli w chwili tuż przed cięciem.

Teraz dowie się, czy mimo wszystko jest zakładniczką.

– Puść go, komandorze – rzekła księżniczka. – Zniź ostrze. To ludzie mojego brata Aditji.

Chwila milczenia.

– Jesteś pewna – bardziej stwierdził, niż spytał Džiwan.

– Tak – odparła Malini. – Na honor złożonej przeze mnie przysięgi.

Tak.

– Džiwanie – odezwała się Prija – no już. Opuść miecz.

Wyraźnie zmagający się ze sobą oficer wreszcie zniżył czubek broni. Zaś Malini spojrzała na Rao – na tę miłą twarz, te ciemne, niezwiązane włosy – i niemal zadrżała na ów znajomy widok. Jego widok.

– Witaj, księżę Rao – powiedziała.

– Malini – odparł Rao zamiast powitania. Zamrugał w jej kierunku. – Ja... Prija?

– Lordzie Radżanie – rzekła Prija. – Jak miło znowu cię widzieć.

– Prija jest moją sojuszniczką, Rao – oznajmiła Malini. – Myślę, że doszło do... nieporozumienia. Ci Ahiranyjczycy są sprzymierzeni ze mną. Z Aditją.

– Oczywiście, że są – odparł Rao, a po jego twarzy przez chwilę przemknął dziwny uśmiech. – Odstąpić. Wszyscy.

Jego ludzie opuścili broń, a żołnierze Dżiwana niechętnie uczynili to samo. Po chwili ziemia zafalowała, uwalniając ich, i Dżiwan zatoczył się w tył z przekleństwem. Rao ostrożnie postąpił o krok. I kolejny.

A wtedy był już przed nią. Nie dotknął jej. Jedynie skłonił głowę i przyłożył opuszki palców do czoła w geście wyrażającym miłość i szacunek. Malini rozłożyła przed sobą ręce, ciesząc się, że nie drżą.

– Księżę Rao – powiedziała. – Wiem, że na mnie czekałeś. Że pragnąłeś mnie ratować.

– Owszem. Przepraszam, że nie osiągnąłem tego celu.

– Nieważne – odparła łagodnie. – Powiedz mi jednak: dlaczego jesteś tutaj, na tej ścieżce?

– Nasi zwiadowcy przynieśli wieści o podążającej tędy grupie. Złożonej z mężczyzn, kobiet i dzieci. I miałem nadzieję, choć nie wiedziałem, nie mogłem być pewny... Ach, Malini. – Zniżył głos. – Cieszę się, że wreszcie tu jesteś.

Ujął jej dłonie. Popatrzył na nią tak, jakby jej twarz była gorejącym światłem, jakby błyszczała silniej niż posąg matki płomienia.

– Zabiorę cię do twojego brata. Jest tutaj, Malini. Twój brat jest tutaj.



57

PRIJA

Wróć do damy Bhumiki – powiedział cicho Džiwan.
– A jeśli was zaatakują?
Zerknął na nią z ukosa.

– Wróć do niej – polecił.

Prija zrozumiała. Skinęła potwierdzająco głową i zawróciła do obozu.

Czuła, że Paridżatczycy ją obserwowali, gdy szła. Mrowiły ją plecy. Zastanawiała się, czy gdy na nią patrzą, widzą w niej wroga. Ona tak miała na ich widok.

Malini... Malini nie wyglądała niepewnie, gdy wchodziła do paridżatdwipańskiego obozu. Wręcz wyprostowała się, zadarła podbródek. W jej sposobie chodzenia nagle pojawił się nowy wdzięk. Przez chwilę Prija widziała tamtą Malini, która sunęła po swoim więzieniu, trzymając dłonie nad dłońmi Prii, smakując pierwsze chwile wolności od igłokwiatu. Jednak gdy teraz na nią spoglądała, Prija uświadamiała sobie, że nigdy nie widziała księżniczki w jej typowym środowisku, jako członkini rodziny panującej otoczonej przez tych, którzy czcili ją z powodu jej rodowodu. To, czego Prija doświadczyła w intymnych warunkach Hirany, w świetle lampy, stanowiło ledwie cień tej kobiety.

Prija odepchnęła od siebie nagle pragnienie, by poznać tę Malini, tak samo jak poznała tę, z którą całowała się pod wodospadem.

Wróciła do głównego obozowiska, w którym ludzie krzątali się wokół namiotu Bhumiki. W samym namiocie panowała cisza. Gdy Prija podeszła, ze środka wyłoniła się Khalida z ponurym wyrazem twarzy. Wyglądała, jakby dręczyły ją lekkie mdłości.

– Gdzie byłaś? – warknęła Khalida.

– Na ścieżce jest grupa Paridżatczyków – odparła cicho Prija, zbliżając się, by nie musieć podnosić głosu. – To sojusznicy księcia Aditji. Księżniczka jest teraz wraz z nimi, są tam też Dżiwan i jego ludzie. Zostanę tu, by zapewnić bezpieczeństwo damie Bhumice.

– Sojusznicy księcia Aditji – powtórzyła służąca. – Obawiasz się, że Paridżatczycy obrócą się przeciwko nam?

– Dżiwan tam jest – rzekła znów Prija. – A jeśli czegokolwiek spróbują, wykorzystam wszystko, czym dysponuję, czym wszyscy dysponujemy, żeby ich tu nie dopuścić.

– Masz układ z księżniczką – rzekła Khalida głosem, który żądlił. Lśniły jej oczy. – Chcesz mi powiedzieć, że nie ufasz jej słowu?

– Chcę ci powiedzieć, że jeśli gdzieś jest duża grupa uzbrojonych mężczyzn, którzy nie są mi przyjaciółmi, nawet ja nie jestem na tyle głupia, żeby im ufać – odparła spokojnie Prija. – Chcę zobaczyć się z Bhumiką.

– A jak zamierzasz jej strzec tam w środku? – Khalida wskazała namiot.

Moc Prii wyczerpała się, ale dziewczyna pozwoliła, by resztki wkradły się jej do głosu, ledwie odrobina.

– Jestem na tyle silna, by zmusić cię do przesunięcia się.

– Nie wystraszysz mnie – zripostowała starsza służąca.

– Nie próbuję. Jesteśmy sojuszniczkami, Khalido. Nie bądź taka uparta. Po prostu przesuń się albo zmuszę cię do tego. A to ci się zupełnie nie spodoba.

– Nie przynosisz jej nic poza smutkiem – wysyczała kobieta. – Wiesz to chyba, prawda?

Prija zmierzyła ją wzrokiem. Patrzyła na nią bez słowa.

Już nic nie mówiąc, Khalida odsunęła kłapę namiotu.



Bhumika klęczała na ziemi. Dochodziły od niej wyłącznie ciche, zwierzęce odgłosy bólu. Twarz miała wilgotną od potu.

Gdy Prija przy niej uklękła, ogarnęła ją mroczna, intymna groza.

– Prijo? – wycharczała Bhumika.

– Jestem tu.

– Podejdź bliżej.

Bhumika wyciągnęła rękę, a Prija ją ujęła.

– Nie mam pojęcia o porodach – przyznała Prija, mocno ściskając dłoń świętynnej siostry.

– Och, to dobrze – odparła Bhumika. – Cóż. Ja też nie. Szkoda, że musimy się uczyć w taki sposób.

– Myślałam, że wiesz, co robić – rzekła Prija z przestraczem.

– Miały być przy mnie wyszkolone położne – wycedziła Bhumika przez zaciśnięte zęby.

– Masz mnie – oznajmiła Khalida, jej głos zabrzmiał dziwnie od wejścia.

Prija mocniej ścisnęła dłoń Bhumiki, co było trudne, gdy dama sama zgniatała jej palce w żelaznym chwycie.

– Khalido – odezwała się Prija – przyprowadź Simę.

– Dlaczego?

– Jej matka przyjmowała dzieci w ich wiosce – wyjaśniła Prija. – Na pewno będzie wiedziała więcej niż którakolwiek z nas.

Khalida wyszła natychmiast. Chwilę później przez półmrok przebił się głos Simy:

– Mogę pomóc.

Kłapa namiotu znów się uchyliła i inna kobieta weszła z wodą.

– Będę też potrzebowała pomocy kilku dodatkowych służących.

Przepraszam – dodała Sima.

– Robi się tłoczno – wykrztusiła Bhumika.

– Ja wyjdę i będę pilnować. – W tonie Khalidy dało się słyszeć odrobinę ulgi.

Kobiety wychodziły i wchodziły, przynosząc wodę przegotowaną na ogniu i sukno, zaś Sima szeptała do Bhumiki, radziła jej, jak powinna oddychać, przekonywała ją do przyjmowania kolejnych niewygodnych pozycji. Bezradna Prija siedziała, trzymała Bhumikę za rękę i mówiła do niej bzdury.

Obserwowała właśnie, jak Sima masuje Bhumice plecy podczas następnej serii skurczy, gdy poczuła, jak jedna ze służących klęka u jej boku i podaje jej mokrą ściereczkę do wytarcia czoła rodzącej.

– Mam chłopca – powiedziała cicho. – Wyjdź i porozmawiaj ze mną, a wróci do ciebie żywy.

Prija podniosła wzrok.

Nie знаła twarzy, ale знаła te oczy. Widziała je już przez drewnianą maskę.

Zanim zdążyła cokolwiek zrobić, kobieta zniknęła, a Prija ścisnęła ściereczkę, z której woda ściekała jej na dłoń.

– Prijo. Prijo? Daj mi to. – Sima wyłuskała szmatkę z jej palców. Następnie obróciła się znów do Bhumiki, a Prija mogła jedynie wstać. Skierowała się do wyjścia z namiotu.

– Prijo... dokąd idziesz? – spytała z niepokojem Bhumika.

– Wrócę.

– Prijo...

– Wrócę.



58

MALINI

Obóz okazał się większy, niż wydawało się na pierwszy rzut oka, rozciągnięty i kręty, dopasowany do wąskiej przestrzeni pomiędzy Ścieżką Poszukiwacza a ścianą drzew. Dało się tam dostrzec wysokiej jakości namioty i mężczyzn ostrzających miecze. Żadnych koni, żadnych ognisk – jedynie bezgłówna czujność, która nabrzmiała w coś nowego, gdy księżniczka weszła tam z Rao u boku oraz komandorem Dżiwanem i jego ludźmi za sobą.

Prija zniknęła. Malini przygryzła język, by poczuć lekki, uspokajający ból, i już jej nie szukała.

Zamiast tego rozglądała się po obozie. Dwaralczycy. Srugnyci. Saketyjczycy. Alorczycy. Byli to ludzie z Paridżatdwipy, wielkiego imperium rządzonego przez jej rodzinę. Wyprostowała się, żałując, że nie ma żadnych swoich wytwornych strojów i kosztowności – swojej kwietnej korony, ciężkiej zbroi z klejnotów – ale musiało jej wystarczyć to, co miała, nawet jeśli były to tylko jej umysł i duma. W ostatnich okropnych miesiącach osiągnęła mnóstwo rzeczy, dysponując nawet mniejszymi zasobami.

– Tutaj – powiedział Rao, prowadząc ją do namiotu i uchylając przed nią kłapę.

Obróciła się na chwilę. Napotkała wzrok komandora Dżiwana, niewzruszony, choć za plecami miał nieprzyjaciół. Znowu popatrzyła przed siebie.

– Rao – wyszeptała – dopilnuj, by Ahiranyjczykom nie stała się krzywda.

– Tak zrobię – zapewnił ją.

Dobrze, pomyślała ponuro. Inaczej Bhumika i Prija postarają się, żebyśmy wylądowali pod ziemią.

Skinęła głową i weszła do namiotu.

Nie był to wspianiały paridżacki namiot cesarski. Na podłodze nie rozłożono dywanów. Próżno było tam szukać poduszek czy koksowników żarzących się pod złoto-białym stropem. Była to dobrze wykonana, ale prosta sruwnycka konstrukcja w kształcie kopuły. W środku stał tylko niski stolik do pisania. Obok niego stał mężczyzna.

Aditja. Jego twarz była dla niej jednocześnie znajoma i obca. Miał tę samą wyrazistą żuchwę, te same łukowate brwi. Szerokie, ciemne oczy, takie same jak jej. Jego wspomnienie zawsze wydawało jej się tak wyraźne, tak niezmiennie. Jakoś jednak zapomniała o długości jego nosa. O pieprzyku pod lewym okiem. O tym, jak lekko odstawały mu uszy. Jak na jej widok zawsze nieskończenie rozpogadzało mu się oblicze. Jej brat. Oto był jej brat.

– Malini – rzekł i uśmiechnął się swoim dawnym uśmiechem. Rozłożył ręce, zakrzywiając ku niej palce w szczerym, proszącym geście. – Jesteś tu. Wreszcie.

Księżniczka nigdy nie miała w zwyczaju rzucać się innym w objęcia ze swobodą małego dziecka, nawet gdy wciąż była dzieckiem. Zamiast tego ujęła jego dłonie. Później ramiona. Po prostu go trzymała, jakby chciała się upewnić, że jest prawdziwy.

Tak ciężko pracowała, by się tutaj znaleźć. Czasami wydawało się to niemożliwe. Ale oto byli tu oboje. W końcu.

– Marzyłam o tym, by się tu znaleźć – powiedziała. Choć tego nie chciała, obawiała się, że zaraz się rozplacze. – Tak długo sądziłam, że może... nie dożyję, by znowu cię ujrzeć.

– Ale jesteś tu już – odparł cichym, ciepłym głosem. – Jesteś bezpieczna.

Bezpieczna.

Otrząsnęło to z niej część mgły emocji. Został chłód i opanowanie. Znowu była sobą.

– Malini – rzekł – siostrze. Jesteś taka wychudła.

Bez słowa pokręciła głową. Mógł wyciągać własne wnioski, dlaczego tak było. Zupełnie jakby rozumiał, że nie zamierzała się sprzeciwiać, że jedynie otrząsała się z jego słów jak z zimnej wody, znów się uśmiechnął.

– Dostaniesz tyle jedzenia, ile tylko zechcesz. Cokolwiek.

– Gdy znajdziemy się w naszym domu w Paridźacie, wszystko będzie już w porządku, a ty zabezpieczysz sobie tron, wówczas nie będę robić nic poza objadaniem się – powiedziała mu. – Ale gdzie twoja armia?

– Nie musimy rozmawiać o tym teraz. Dopiero się spotkaliśmy.

Na to również pokręciła głową.

– Wysłałam ci ludzi z całego cesarstwa i widzę wiele twarzy, ale żadnych koni. Żadnych słońi. Brakuje ci sił potrzebnych do objęcia tronu.

– Nie zmieściłyby się na tej ścieżce – odparł z drażniącą cierpliwością. – Las je niepokoi. Do tego w klasztorze nie ma miejsca na słońie bojowe.

– W klasztorze – powtórzyła. – Wciąż tam przebywasz?

Pochylił głowę.

– Większość sił czeka na rozkazy na drodze do Dwarali.

– Zatem dlaczego sam nie jesteś na drodze do Dwarali i nie dowodzisz nimi?

– Czekałem na ciebie.

Od razu wiedziała, że nie jest to cała prawda.

– Aditjo. Nie okłamuj mnie.

Zawahał się, odsunął od niej i schował dłonie za plecami.

– Mam tu zadanie wśród kapłanów. Cel. I jeszcze nie jestem pewien, jak dalej postąpić. – Chwila milczenia. – Gdybyś zawołała Rao, może on mógłby wyjaśnić.

– Co tu jest do wyjaśniania? – zapytała Malini. – Co tu jest do zrobienia poza wyrwaniem tronu z rąk Ćandry?

Aditja przyglądał się stolikowi, jakby wryto tam potrzebne mu odpowiedzi. Wreszcie znów podniósł na nią wzrok.

– Nie jestem pewien, czy to jest mi przeznaczone, Malini. Nie jestem pewien, czy rządy nad Paridźatdwipą są odpowiednią ścieżką.

Zalała ją furia. Czysta, brzydka i rozpalona furia. Przebiła się przez jej radość niczym nóż, dotykając ją do żywego. Nie była na to gotowa.

– Nie jesteś pewien, czy chcesz rządzić Paridźatdwipą – rzekła powoli, starając się nie dopuścić chłodu do głosu. – Czy sądzisz, że to mnie zaskakuje? Znam cię, Aditjo. Myślałam jednak, że odsuniesz swoje wahania po tym, jak napisałam ci, co zrobił Ćandra. O doradcach, których wymienił, bo nie byli Paridźatczykami. O tych, których kazał stracić.

O burzących się kapłanach, których wyniósł ponad najmądrzejszych świętych powierników ojca. A jednak wciąż uważasz, że liczy się twoja ochota, by rządzić? Ten tron jest twój. Jeśli nie z ochoty, to z konieczności i z prawa.

– Zawsze jesteś tak bardzo pewna siebie – odparł.

– Nie zawsze. Ale w tej kwestii jestem, owszem.

Pokręcił głową.

– Widziałem coś w wizjach zesłanych mi przez bezimiennego. Widziałem... – Urwał. – Nie rozmawiajmy o tym teraz, siostró. Po prostu tak się cieszę, że cię widzę.

W porządku. Skoro nie chciał się kłócić, to i ona nie zamierzała się spierać. Będzie na to dość czasu. Być może osobiście zdoła osiągnąć to, czego nie zdołały zrobić jej listy.

Zmusiła ciało, by się rozluźniło. Zdusiła furie.

– Przyproceedziłam ze sobą sojuszników. Ahiranyjczyków, którzy zbuntowali się przeciwko Ćandrze.

– I ci Ahiranyjczycy chcą się do mnie przyłączyć?

– Pragną wolności – rzekła Malini. – Niezależności jako naród. I zaoferowałam im ją w twoim imieniu w podziękowaniu za to, że uratowali mi życie i przyproceedzili do ciebie.

Aditja zamrugał, zaskoczony.

– W moim imieniu wykroiłaś część cesarstwa?

– Nawet jeśli moje życie nie jest warte takiej ceny, a dla ciebie, bracie, z pewnością jest, to rozważ, jaką kulę u nogi stanowi Ahiranja. Cierpi na zarazę plonów, która może przechodzić na ludzi. Mieszkańcy buntują się przeciwko naszym rządóm. Wkrótce stanie się krajem pozbawionym zasobów i z ludem, który nas nienawidzi. Jaka z tego korzyść? Nie potrzebujemy tej krainy – oznajmiła księżniczka z pełnym przekonaniem.

Pokręcił głową.

– Może tak każe los – dodała. – Kiedyś zdusiliśmy Ahiranję za to, że próbowała podbić nas wszystkich. Była to słuszna kara. Jednak teraz, gdy Ahiranyjczycy mi pomogli, z pewnością możemy uznać ich dług za spłacony.

– Malini. Nie mogę teraz niczego dać twoim Ahiranyjczykom.

– Ale będziesz mógł, gdy zostaniesz cesarzem.

Przyjrzał jej się z zadumą.

– To ma dla ciebie wielkie znaczenie, prawda?

– Tak – odparła krótko księżniczka. Nie musiał poznawać studni uczuć kryjących się za tymi słowami. – Los Ahiranji ma dla mnie wielkie

znaczenie. Obiecay mi to, Aditjo. Przysięgnij.

– Czego tylko pragniesz.

Nie była usatysfakcjonowana tą odpowiedzią. Powinien mieć do niej pytania. Powinien położyć na szali konsekwencje takiego czynu, określić, czy obietnica jest warta spełnienia. Takich kalkulacji wymagało przywództwo. Nie zrobił jednak tego i jego niedbała zgoda i znużony brak zainteresowania wzbudziły w niej niepokój.

Aditja spojrział na nią z bólem w ciemnych oczach.

– Wrócimy do klasztoru – powiedział w końcu. – I tam zobaczymy.

– Kiedy?

– Po nocnym spoczynku. Czy też po tym, co w tym miejscu uchodzi za noc.

Zatem wkrótce znajdzie się w klasztorze. A stamtąd, u boku Aditji, na poważnie zajmie się procesem obalania Ćandry. Zrobi to jako wolna kobieta, nad której głową nie wisi już widmo stosu. Zacznie przekształcać się w osobę, którą musi być, żeby zniszczyć Ćandrę, żeby zerwać go z tronu, okryć jego imię hańbą i wymazać je z historii Paridżatdwipy.

Dlaczego zatem nie przepełniała jej radość? Dlaczego jej początkowe szczęście stało się niczym grot bólu pod żebrami?

Pomyślała o damie Bhumice rodzącej właśnie w namiocie, o komandorze Dżiwanie spoglądającym na nią i zastanawiającym się, czy ją przebić mieczem.

Pomyślała o Prii.

– Jutro – rzekła Malini. – Nie mogę się go doczekać.



59

PRIJA

Nie było żadnego śladu po kobiecie, która szeptała do niej w namiocie.

Jednak Prija weszła w mrok drzew otaczających Ścieżkę Poszukiwacza, gdzie czas rozciągał się i kurczył w dziwny sposób, a niepewne zamglenie światła bijącego zza labiryntu pni rozбивało się na jeszcze głębsze odłamki. Poczowała wokół siebie ruch kojarzący się z wodą, po czym opuściła ścieżkę i wtedy wrażenie dziwności się rozmyło.

Była tam kobieta. Czekała.

I był też Rukh przywiązany korzeniami do drzewa. Gdy ujrzał Priję, wydał z siebie gardłowy odgłos, który byłby krzykiem, gdyby nie stłumił go knebel w ustach chłopca.

– Oczekiwałam, że pójdzie cicho – oznajmiła kobieta. – Ale był... oporny. – Wydeła wargi. – Jak szybko zmienia się lojalność dzieci.

– Powinłam stworzyć włócznię z drewna i przebić ci nią czaszkę – rzekła Prija, mocno zaciskając powieki. – Albo zatopić cię w ziemi, by pożarły cię robale.

– Owinęłam mu korzenie wokół gardła – poinformowała kobieta spokojnie. – Zdołam go zadusić, zanim go uratujesz albo mnie zamordujesz.

– Nie zdołasz.

– Duszenie zajmuje czas – zgodziła się kobieta. – Zamiast tego po prostu skręć mu kark.

– Był jednym z was – powiedziała Prija. – Lojalnym wobec was i waszej sprawy. Naprawdę byś go zabiła?

– Gdyby wciąż był lojalny, zginąłby dobrowolnie w imię wolnej Ahiranji.

– Jest dzieckiem – warknęła Prija. – Naprawdę zamordowałabyś swoją mocą dziecko, które znasz?

Rozległ się syczący odgłos, gdy korzenie zacisnęły się mocniej, a Rukh wściekle wierzgnął stopami o ziemię.

Cóż, to z pewnością stanowiło odpowiedź.

Strużka wodnistej krwi wyciekła kobiecie z nosa. Spłynęła na wargę. Starła ją grzbietem dłoni.

– Jesteśmy o odległość splunięcia od Paridżatdwipańczyków, którzy z chęcią ujrzeliby wiszących buntowników – rzekła Prija. – A ludzie podróżujący ze mną też nie mają szczególnego powodu, żeby was lubić.

– Cóż, nie powstrzymali mnie – odpowiedziała kobieta, która nie miała maski ani na twarzy, ani przy sobie. W jej włosach widoczne były pasma siwizny, a wokół ust zmarszczki. – Gdy nie mam maski, ty i ja jesteśmy do siebie całkiem podobne. Ty służąca, ja służąca. Dwie kobiety z ludu. Niewidzialne.

– Zupełnie nie jesteście do siebie podobne.

– Owszem – zgodziła się kobieta. – Ty jesteś świątynnym dzieckiem. Masz obowiązek wobec Ahiranji. Gdy byłam w twoim wieku, byłam ledwie czcicielką, pielgrzymowałam do waszej świątyni. A teraz wspieram twojego brata. Przybyłam tu w poszukiwaniu pomocy. I aby dopilnować, żebyś spełniła swój obowiązek. Wystarczy, że zdradzisz mi drogę.

– A gdzie jest Aśok? Dlaczego to ty tu jesteś, a nie on?

Kobieta przekrzywiła lekko głowę.

– Nie podasz mi wskazówek? Nawet teraz?

– Gdyby Aśok chciał mnie skrzywdzić albo mną manipulować, zrobiłby to osobiście. Nawet nie wie, że tu przyszedł, racja? Ale ty jesteś wobec niego lojalna. Posłuszna. Dlaczego jesteś tu bez jego błogosławieństwa?

Kobieta nic nie odpowiadała.

– A zatem on umiera – mruknęła Prija. Nie podobało jej się, jak serce skręciło jej się na tę myśl, jak tępy ból poczuła w piersi i gardle.

Kobieta wciąż milczała, lecz Rukh wydał z siebie chrapliwy odgłos, cichy i straszliwy, jakby korzenie zacisnęły się jeszcze mocniej.

– Nie mogę tak po prostu zdradzić ci drogi – rzekła szybko Prija. – Trzeba ją pokazać. A jeśli Aśok umiera, to istnieje poważna możliwość, że zabraknie mu sił, by zdołał wejść na Hiranę.

Starsza Ahiranyjka pokręciła głową.

– Nie pragnę od ciebie jedynie drogi. Aśok ma wizję, która musi się spełnić, niezależnie... niezależnie od tego, czy on przeżyje. – Kobieta przełknęła z trudem ślinę, a po jej twarzy przemknął wyraz smutku. – Zgubiłaś go. Ja jednak wiem, że ta wizja jest ważniejsza niż on, odłożę więc wszelkie myśli o sprawiedliwości na bok, jeśli pójdziesz ze mną i go wysłuchasz.

Nie mogła zostawić Bhumiki, Simy i reszty bez ochrony. Ale nie mogła też zostawić Rukha.

– Chodź ze mną i wysłuchaj swojego brata. Inaczej chłopiec zginie.

– Puść go, to pójdę.

Kobieta prychnęła.

– Nie. On idzie z nami.

Prija spojrzała na Rukha. Włosy kleiły mu się do czoła mokrego od potu, twarz miał zarumienioną, przerażoną i pełną złości.

– W porządku – rzuciła Prija. – Idziemy.



Kobieta miała na imię Kritika. Kiedyś brała udział w pielgrzymkach, była jedną z tych osób, które wspinały się na Hiranę i odbierały bezśmiertne wody, by złożyć je u stóp jakszów na swoich domowych ołtarzach lub nosić je jako talizmany zapewniające potęgę oraz szczęście. Jednak kiedy świątynna rada spłonęła, ona zachowała wszystkie wody, wiedząc, że pewnego dnia okażą się potrzebne.

Opowiadała Prii to wszystko, ciągnąc Rukha za sobą na pnączu. Chłopiec miał też związane ręce. Co jakiś czas oglądał się na Priję, a ona krzyżowała z nim wzrok. Będzie dobrze, próbowała przekazać mu oczyma. Ale Rukh wciąż wyglądał na wystraszonego, a jego usta wykrzywiały się w złości, jakby nie wiedział, czy powinien wrzeszczeć, czy płakać.

Gdy zwolnili, Prija dostrzegła w cieniach inne postacie. Mieli przy sobie sierpy i skupiali na niej spojrzenia zmrużonych oczu, gdy ich mijala. Niektórzy wciąż zasłaniaли twarze maskami i kryli swoje tożsamości za

zastygłymi w drewnie grymasami, ale inni pokazywali nagie, pełne napięcia oblicza.

Kritika zatrzymała się przed niewielką altaną obsypaną bladobrazowymi kwiatami i liśćmi opadającymi niczym woale. Weszła do środka, wciąż ciągnąc za sobą na uwięzi Rukha. Mijał czas. Obecność Aśoka dudniła cicho pod ziemią niczym pieśń przypominająca Prii, na jak wiele sposobów, dużych i małych, wody wiązały ją z bratem.

Kobieta wróciła z Rukhem.

– Czeka – oznajmiła.

– Złościł się na ciebie?

Buntowniczką zmierzyla Priję beznamietnym spojrzeniem.

– Porozmawiaj z nim – powiedziała. – Ja zaczekam z chłopcem.

Świat był pogrążony w przytłumionym cieniu. Aśok leżał na plecach na ziemi, otulony długą chustą. Obserwował podchodzącą dziewczynę oczyma, w których lśniło coś przypominającego gorączkę. Miał wychudzoną twarz.

Wyglądał jak brat, który przed laty porzucił ją na ganku Gautama. Brat, który wtedy umierał.

– Przyszedłem tu, żeby umrzeć w spokoju – wyszeptał Aśok. – Ale cieszę się, że Kritika nie wysłuchała moich życzeń. – Zaciśnięła palce kurczowo na skraju chusty. – Podejdz.

Prija podesunęła się bliżej. Przyklękła obok niego.

– Smucisz się, Prijo? – zapytał. – Przecież wiedziałas, że takie będą konsekwencje, jeśli odmówisz mi bezśmiertnych wód. Moja śmierć, ich śmierć. – Słabym gestem wskazał wejście do Altany i zalegające przed nim czujne sylwetki.

– Nie składaj waszej śmierci na moje barki – odparła szorstko. – Sami wybraliście ten los. Zналиście ryzyko.

– Zatem co się teraz stanie, siostrzyczko? Czy gdy umrę, pozwolisz, by cesarstwo rozszarpało nas swoimi zębiskami? Czy będziesz trzymać bezśmiertne wody w zamknięciu, dopóki nie znajdziesz kogoś, kogo uznasz za godnego ich mocy?

Pokręciła głową, czując w sercu ból.

– A jednak dostajesz to, czego chciałeś, Aśoku – rzekła cicho. – Wolną Ahiranję. I będzie to dzieło Bhumiki oraz moje. Nie twoje. Zawarłyśmy układ.

Próbował usiąść. W pełni skupiał na niej wzrok.

– Jaki układ?

– Polityka nie należy do moich mocnych stron – powiedziała. Było to tylko po części kłamstwo. – Musiałbyś zapytać Bhumikę. Jakkolwiek

jednak zostanie to osiągnięte, Ahiranji obiecano niepodległość, a my użyjemy mocy bezśmiertnych wód, żeby dopilnować spełnienia tej obietnicy. Zupełnie tak, jak chciałeś.

Aśok roześmiał się chrapliwie.

– Moje dwie siostry mnie posłuchały. Nigdy nie sądziłem, że dożyję tego dnia.

– Twoja Kritika przyprowadziła mnie tu wbrew mojej woli. Ale... dobrze byłoby zyskać silnych wojowników współpracujących z nami przy obronie Ahiranji. Zyskać sieć lojalnych pomocników. Oraz nową świątynną radę, która zna już smak wód oraz związane z nimi zagrożenia.

Aśok spoglądał w ciszy przez jedno uderzenie serca. Być może choroba sprawiła, że stał się tak otwarty i odsłonięty, ale dostrzegając nadzieję w jego twarzy, w linii jego ust. Chciał, by jego zwolennicy żyli.

– A czego moja droga siostrzyczka, która twierdzi, że nie zna się na polityce, zażąda w zamian?

– Zaakceptujesz Bhumikę jako naszą przywódczynię – odrzekła Prija. – I przysięgniesz, że nigdy nie spróbujesz jej obalić. Musisz obiecać, na jakszów i na wody w twojej krwi, że nigdy nie będziesz z nią walczyć o władzę nad Ahiranją. Pozwól jej robić to, co dla nas najlepsze, Aśoku. Jest przecież jedyną rozsądną z naszej trójki.

– Nie mogę obiecać, że nie będę z nią walczyć ani poddawać jej próbom – odpowiedział natychmiast. – Nie rozumie, czym powinna być Ahiranja. Nie obchodzi jej to.

– Twoja sytuacja nie za bardzo ci pozwala na targowanie się.

Wydarł mu się rżący kaszel. Aśok otarł z warg wodę z krwią i rzekł:

– A moi zwolennicy... Czeka ich przyszłość? Jako przywódców?

– Tak. – Prija z desperacją trzymała się nadziei, że nie popełnia błędu.

– U boku twojego i Bhumiki?

Prija nie była pewna, czy chce, by wymieniano jej imię w gronie przywódczym, ale potwierdziła.

– Zatem zgadzam się – oznajmił Aśok. – Zabierz mnie do wód, ocal mnie i moich ludzi, a będę służył Bhumice. Wszyscy będziemy jej służyć dla dobra Ahiranji.

Dziewczyna skinęła głową, czując, jak przepelnia ją ulga.

– Czy mogę ci zaufać? Tak naprawdę?

– Wciąż jesteśmy rodziną, Prijo. Nie ma na świecie nikogo takiego jak my. Kto wiedziałby to, co my wiemy, albo wycierpiał to samo.

– To nie jest potwierdzenie, Aśoku. – Zacisnęła powieki. Otworzyła je. – Ale wystarczy mi. Potrzebuję od ciebie jeszcze jednego.

– Mów.

– Twoja Kritika wzięła na zakładnika chłopca. Rukha. Chcę go odzyskać. Inaczej nici z układu pomiędzy nami. To nasza sprawa, Aśoku. Naszej rodziny. Nie musimy mieszać w nią nikogo innego. Porozmawiam z Bhumiką, a gdy zgodzi się na te warunki, wrócę wraz z nią.

– W porządku – odparł.

Miała ochotę wstać i go zostawić. W końcu zawarli umowę. Nic więcej nie zostało już do powiedzenia.

A jednak nachyliła się bliżej i dotknęła czołem jego czoła, poczuła jego pot, chorobę i woń kojarzącą jej się z domem. Wciąż tak na nią działał. Wciąż tak na nią działała miłość i ta dziwna, rozbita rodzina, która zrobiła z nich to... czym byli.

– Będę czekał – mruknął.

Nie masz wyjścia, pomyślała.

Przygryzła wargę i skinęła głową, po czym cofnęła się.

– Kritiko! – zawołał.

Kobieta weszła od razu.

– Wypuść chłopca – polecił. – Moja siostra i ja doszliśmy do porozumienia. Wkrótce do nas wróci.



Gdy wraz z Rukhem wróciła do obozu, nie panował tam już spokój. Pozostałe kobiety rozmawiały głośno, a z namiotu wyłoniła się Khalida, pobladła i wściekła z powodu nieobecności Prii. Wciąż ją karciała, gdy kłapa namiotu odsunęła się i ze środka wyjrzała Sima. Nawiązała z Priją kontakt wzrokowy. Przywołała ją.

– Pani Bhumika chce cię widzieć – oznajmiła, gdy tylko Prija uwolniła się od gniewu Khalidy i podeszła. – Chodź. Zobacz sama.

Ktoś zapalił słodkie kadzidło, żeby poprawić panujący w namiocie zapach. Bhumika na wpół siedziała ze spoconą, zarumienioną twarzą. W ramionach trzymała wijące się zawiniątko, piszczące niczym nowo narodzony kotek.

– To...

– Dziecko – powiedziała Bhumika. – Najwyraźniej dziewczynka. To chyba dobrze. Potrzywasz ją?

Dziecko było małe i nie pachniało przyjemnie, a gdy Prija wzięła je w ramiona, poczuła coś przytłaczającego – swoistą grozę i podziw wywołane odrażającym pięknem życia, które kazały jej oddać tego małego człowieka najszybciej jak to możliwe, a jednocześnie tulić go już zawsze.

– Ona śmierdzi – skomentowała Prija, wpatrując się w maleńką twarzączkę.

– Pierwsze słowa, które kierujesz do tego biedactwa, i wybierasz właśnie takie? – rzekła Bhumika. – Oddaj mi ją.

Zrobiła to.

– Gdybyśmy wciąż znajdowały się w świątyni, zajrzałaś do tabel gwiazdnych, by wybrać odpowiednie litery i sylaby dla imienia, jak robiliśmy z dziećmi pielgrzymów.

– Na szczęście nie jesteśmy już świątynnymi dziećmi – odparła Bhumika. – Ma na imię Padma. To imię, które dla niej wybrałam. Wystarczy jej. A teraz mów, co zaproponował ci Aśok.

Prija uniosła głowę.

– Wiedziałaś?

– Też go poczułam – rzekła Bhumika. – Jak mogłabym nie poczuć?

Nawet teraz, w takiej chwili, nie mogły się uwolnić od obowiązków. Ich wojna, ich praca.

Prija wzięła głęboki oddech i zaczęła mówić.



Gdy komandor Džiwan wrócił, żeby strzec Bhumiki oraz pozostałych – i gdy dowiedział się już o wszystkim, co się wydarzyło – Prija się wymknęła.

Cicho i ostrożnie przemknęła się przez las do obozu Paridżatdwipańczyków.

Malini miała tam własny namiot – Džiwan widział, jak go stawiano, i opisał Prii jego lokalizację, zanim wyruszyła.

Dziewczyna zaczekała, aż nikt nie będzie patrzył. Wślizgnęła się do środka.

Malini patrzyła, jak wchodzi. Nie wyglądała na zaskoczoną.

– Prijo – mruknęła. Podeszła i ujęła jej twarz w dłonie. Nie pocałowała jej jednak. Jedynie na nią spoglądała.

A Prija...

– Co to w ogóle za namiot, na glebę i niebo? – spytała Prija, rozglądając się. – Czy na stropie jest złoto? I dlaczego masz biurko?

– Wyposażenie jest w sumie skromne jak na standardy z mojej młodości – odparła Malini, uśmiechając się, zaraz dodała jednak z ostrożniejszym wyrazem twarzy: – Nie powinnaś była tu przychodzić.

– Ci żołnierze nie zdołaliby mnie skrzywdzić.

– Nieważne. Dlaczego tu jesteś?

Prija wpatrywała się w nią, próbując znaleźć odpowiednie słowa.

– Malini – rzekła, starannie formując to imię na języku, jakby w ten sposób mogła je tam zatrzymać – jesteś tu, gdzie powinnaś być. Dopełniłam mojej części umowy. I przyszłam... przyszłam, żeby się pożegnać.

Obserwowała, jak uśmiech na twarzy księżniczki gaśnie, po czym zupełnie znika.

– Ja... Tak naprawdę chyba nie powinnam tu w ogóle być i ci tego mówić. To... akt zaufania – przyznała Prija.

– Odchodzisz – powiedziała Malini. – Ty odchodzisz.

– Zdawałaś sobie przecież sprawę, że w końcu będę musiała to zrobić. Bhumika i ja... my wszyscy musimy chronić Ahiranję, dopóki twój brat Aditja nie obejmie tronu. Dopóki nie będziesz mogła wypełnić swojej części umowy.

– Wiem – odparła księżniczka w otępieniu. – Wiem. Po prostu to tak... szybko. – Lekko zmarszczyła czoło. Musnęła gardło opuszkami palców.

Odsunęła się z wdziękiem, lecz ze ściągniętą twarzą. Usiadła przy biurku, tyłem do Prii.

– Dziękuję ci, że przyszłaś ze mną porozmawiać. Zważywszy na to, jak się czuję... to miłe z twojej strony. – Skłoniła lekko głowę, obnażając kark, gdy przerzuciła warkocz przez ramię. – I dziękuję ci również za... wszystko. Za czas, który wspólnie spędziłyśmy. Nie zapomnę o obietnicy, którą ci złożyłam.

Prija przełknęła z trudem ślinę. Czowała, jak zaciska jej się gardło. Zapięły ją oczy.

– To nie jest nasze ostatnie spotkanie, Malini – powiedziała. – To nie jest koniec.

– Oczywiście, że jest, Prijo. Sama mówiłaś. Znalazłyśmy się na różnych ścieżkach. Czy nie na tym właśnie polega koniec?

Stać się jedynie elementem historii Malini, a ona z kolei miałyby się stać elementem historii Prii... Nie. Wydawało się to niewłaściwe, do gruntu niewłaściwe. Nie można było tak łatwo wymazać tego, co do siebie czuły, wiążących się z tym zachwyków i nadziei.

– Malini – odezwała się Prija. – Malini. Ja... – Przełknęła ślinę. – Zobaczysz mnie jeszcze. Wiem to. Nieważne, dokąd pójdziesz ani co zrobisz, kiedyś cię znajdę, ponieważ zabierasz ze sobą kawałek mojego serca. W końcu sama go wyciął.

Księżniczka zerwała się na nogi. Podeszła spieszenie do Prii. Dotknęła czołem jej czoła, co sprawiło, że puls Prii zaczął galopować. Pachniała czystą skórą i jaśminem, była zbyt blisko, zdecydowanie zbyt blisko, by Prija mogła ją wyraźnie widzieć. Dostrzegła jedynie ciemność czarnych włosów. Migotanie lampy rzucającej cienie na policzki. Zaciśnięte szczęki. Wilgotne rzęsy.

– Przynajmniej pocałuj mnie na do widzenia – wyszeptała Prija. – Zrób choć to.

Malini ujęła jej twarz w dłonie i pocałowała ją. Przygryzła jej wargę zębami, złagodziła wywołany tym ból pieścizotą języka i pocałowała ją jeszcze mocniej. Prija, czując, jak jej krew śpiewa, objęła dłonią kark księżniczki, poczuła ciepłą, jedwabistą skórę, przesunęła kciukiem po pierzastych, delikatnych kosmykach włosów rosnących powyżej oraz lekko wypukłej, dawnej bliźnie, i przyciągnęła Malini jeszcze bliżej. Był to pożądliwy pocałunek, kąśliwy. Stanowił pożegnanie i na myśl o tym Prije bolało serce.

– Mogłabym skłonić cię, żebyś została – wyszeptała księżniczka, odsuwając się. Oddychała nierówno i spoglądała dziko. – Mogłabym cię przekonać. W przeszłości tak wielu ludzi przekonałam do tego, czego chciałam. Skoro umiałam pchnąć kogoś do zdrady, to na pewno namówiłabym cię, żebyś została. – Naparła na dłoń Prii. – Przecież tego chcesz. Nie masz ochoty mnie zostawiać. Nie przyszłabyś tu, gdybyś naprawdę chciała mnie zostawić.

W jej słowach kryło się pragnienie, ale również strach, Prija to wiedziała. Był to ten sam strach, do którego Malini się przyznała, kiedy mówiła o tym, jak niemal wbiła jej nóż w serce. Był to strach przed samą sobą.

– Nie zdołałabyś mnie przekonać – odrzekła Prija. – Nawet podstępem. Jestem tego całkowicie pewna. Postawiłam przed sobą cel i nawet ty nie skłonisz mnie, żebym z niego zrezygnowała. Przysięgam, Malini. – Pocałowała ją znowu, tym razem delikatnie muskając wargami policzek księżniczki. – Przysięgam.

Malini odetchnęła.

– Dobrze – odparła. – To dobrze. – Wtedy obróciła głowę i jej wargi znów spotkały się z ustami Prii, musnęły się, zanim się odsunęła. Odwróciła się.

– Powinnas już pójść, jeśli chcesz zdążyć, zanim zrobi się jasno. Idź lepiej, Prijo.

Prija popatrzyła na księżniczkę. Na linię jej nieprzystępnych pleców.

– Przysięgam ci, że przyjdę – rzekła Prija. – Wiem, że nie masz dobrego zdania o przepowiedniach. Albo o omenach, losie czy innych podobnych kwestiach. Ale pewnego dnia przyjdę i cię odszukam. Spodziewam się, że do tego czasu już dawno mi przebaczysz. Może będę mogła przemykać tylko po obrzeżach mahalu, w którym zamieszkas, ale... dopóki tylko będziesz chciała, przyjdę. Dopóki będziesz chciała, żebym cię znalazła.

Istniało tak wiele rzeczy, których Prija nie potrafiła wysłować.

W chwili gdy cię ujrzałam, poczułam szarpnięcie, myślała. Jesteś wrażeniem spadania, wodami pływ, sposobem, w jaki żywa istota zawsze obraca się do światła. Nie chodzi o to, że uważam cię za dobrą lub miłą, czy nawet o to, że cię kocham. Chodzi o to, że w chwili, gdy cię zobaczyłam, zrozumiałam, że będę cię szukać. Tak samo jak szukałam bezśmiertnych wód. Tak samo jak szukałam mojego brata. Tak samo jak szukam wszystkiego: bez zastanowienia, kierując się jedynie impulsem.

– Jeśli będziesz chciała – powtórzyła Prija.

– Zawsze będziesz mile widziana – odparła nagle Malini, jakby te słowa zostały z niej wyrwane. – Gdy przyjdiesz i mnie znajdziesz, będziesz mile widziana. A teraz idź już, Prijo. Proszę.

Prija przełknęła ślinę.

– Bywaj, Malini.

Malini czekała, by się upewnić, że Prija już dawno zniknęła. Czekala godzinami w dziwnym świetle Ścieżki Poszukiwacza, siedziała przy biurku bez pióra w dłoni. Następnie podniosła się i opuściła namiot, by spytać, gdzie jest komandor Dżiwan.

Jak się spodziewała, wkrótce poinformowano ją, że komandor Dżiwan i jego żołnierze trochę wcześniej wrócili do świty Bhumiki. Kiedy jeden z ludzi Rao poszedł ich poszukać, poruszając się ostrożnie z lampą nad głową, żeby zaanonsować swoją obecność, nie znalazł żadnego śladu po obozie.

– Ahiranyjczycy zniknęli – oznajmił Rao. – Odeszli. Z własnej woli, jak wszystko wskazuje.

Przyniósł jej jedzenie. Proste, zwykłe jadło przyniesione z klasztoru: marynowane warzywa, fermentowaną fasolę, roti podpiekane na wspólnym ogniu tak, że się lekko zwęgliły. Zjadła, tak naprawdę nie czując smaku. Myślała, a wręcz miała nadzieję, że Aditja przyjdzie ją wypytać. Jednak jego niechęć do igrania ze swoim losem najwyraźniej rozciągała się nawet na to. Zamiast niego w jej namiocie stał Rao, który założył dłonie za plecami i obserwował ją ostrożnym wzrokiem.

– Powiedziałam im, żeby odeszli – rzekła Malini.

Nieprawda. Nie miało to znaczenia, rzecz jasna. Prawda i kłamstwo były narzędziami, które stosowało się, gdy było to konieczne. Ona zaś złożyła Prii obietnicę, której zamierzała dotrzymać.

– Mogliby się przydać – zauważył Rao.

– Większość z nich nie – odparła bezceremonialnie Malini.

Mężczyzna lekko zmrużył oczy.

– Ta, która ci służyła...

Księżniczka pokręciła głową.

– Jestem ich dłużniczką – oznajmiła. – Wyciągnęli mnie z więzienia i uratowali mi życie. Jeśli postanowili wrócić, żeby bronić swojego kraju, to nie mogę mieć im tego za złe. Mogę być jedynie wdzięczna.

– A ditja mówił mi, że złożyłaś im obietnicę.

– Owszem – przyznała księżniczka. – I dopilnuję, żeby została spełniona.

Rao przyglądał jej się przez dłuższą chwilę.

– Malini... – zaczął, ale zawahał się.

– Tak?

Spuścił wzrok.

– Nic. Składają obóz. Czy ludzie mają zorganizować ci palankin?

Pokręciła głową.

– Nie ma potrzeby. Mogę iść.

Gdy zbliżyli się do końca Ścieżki Poszukiwacza, słońce przebijało się pomiędzy drzewami, nieskalane dziwnym, jakby deszczowym tuszem nocy.

– Żadnych świec – warknął jeden z mężczyzn do pozostałych. – I żadnego palenia fajek. Nie zapominajcie.

Na pierwszy rzut oka lakowe ogrody Srugny były wielkim, położonym w dolinie klasztorem, idealnym miejscem kultu bezimiennego. Zbocza doliny były zasłane delikatną, obfitą warstwą liści o barwie ciemnej zieleni oraz polerowanego złota. Ziemię pokrywała bujna trawa i kwiaty łąkowe: fioletowe, różowe, błękitne, drobne jak paciorki. Pomędzy nimi rosły drzewa, delikatne, o długich gałęziach, ciężkie od owoców i młodych liści.

Jednak nic z tego nie było prawdziwe. Pogoda w Srugnie nie była odpowiednia dla łąkowych kwiatów z Dwarali, dla słodkich traw spotykanych w częściach Aloru.

Malini spoglądała na wysokie, okolone drzewami zbocza wokół ogrodów, otoczone rozległym zbiornikiem wodnym, na wąskie wejście po moście splecionym z korzeni i pnączy. Klasztor był zarówno dobrze chroniony przed inwazją, jak i okropnie odsłonięty.

Gdy szła po tym moście, miała wrażenie, że pokonuje punkt tej równowagi. Poniżej niej leżała rozpadlina najeżona głazami. Sam most był niczym delikatna tkanina, kołysał się niepokojąco pod ciężarem przemierzających go ludzi.

Gdy znaleźli się po drugiej stronie, Aditja zrównał się z nią krokiem.

– Ogród został stworzony, czy też raczej skonstruowany, zgodnie z wizją pierwszego srugnyckiego kapłana bezimiennego. Usłyszał, że ma udać się do „krainy lotosu i w jej sercu zbudować pałac dla mnie, pałac z laki”. Tak zatem uczynił.

Aditja wziął ją za rękę. Zaprowadził ją do pięknych, obsypanych klejnotami drzew otaczających wejście do klasztoru. Położył jej dłoń na korze jednego z nich.

Szelak. Laka. Słodka, żywiczna.

A zatem nie była to jedynie nazwa.

Cofnęła dłoń.

– Każdy mógłby doszczętnie spalić to miejsce, czy to przez pomyłkę, czy celowo – powiedziała. – Wiesz to chyba, prawda? Wystarczyłaby ledwie iskra.

– Nie więcej niż jedna świeca – zgodził się nowy głos. Podszedł do nich kapłan odziany w błękitne szaty bezimiennego. Jego ton był spokojny. – Ale jesteśmy kapłanami bezimiennego, księżniczko, i poddajemy się losowi. To nasze powołanie.

– Chodź – rzekł Aditja, delikatnie popychając ją naprzód. – Pokażę ci twoje nowe komnaty.



Prosty pokój. Łóżko. Po tak długim czasie, gdy musiała się bez nich obywać, te luksusy ją przytłoczyły.

Usiadła na podłodze i starannie powstrzymała ochotę, by krzyknąć.

Ci głupcy dobrowolnie żyli na niezapalonym stosie. Miała wrażenie, że świadomość tego faktu ściska jej czaszkę niczym imadło.

Ogień. Płomień. Jej szczęście, że nie wierzyła w los, bo te rzeczy wydawały się za nią podążać. Czekać na nią.

– Księżniczko Malini – odezwał się głos. Cichy, ale ciepły. – Tak się cieszę, że żyjesz.

Obróciła głowę do drzwi. Stała przed nią ulubiona uczennica jej dawnej nauczycielki. Podobnie jak wszyscy myśliciele, Lata wyglądała surowo. Splatała włosy w drobne warkoczyki zebrane w koronę. Jej sari, przykryte szarą chustą, było proste.

– Lata! Nie spodziewałam się, że cię tu zobaczę – rzekła Malini z zaskoczeniem.

– Towarzyszyłam alorskiemu księciu – mruknęła myślicielka. – Jak mnie prosiłaś.

Malini miała szczęście, że niektóre z jej licznych wiadomości, które wysłała podczas okresu odosobnienia, zanim miano ją spalić, bądź też pospiesznie napisała i opłaciła klejnotami, zanim uwięziono ją w AHIRANJI, dotarły mimo wszystko do adresatów.

– Bardzo się cieszę, że to zrobiłaś – powiedziała ciepło Malini, choć w sercu czuła chłód. – Proszę, wejdz i usiądź.

Lata przysiadła obok niej.

– Od czego mam zacząć, księżniczko? – zapytała, przekrzywiając głowę na bok. Oto były słowa myślicielki, wyuczona otwierająca kwestia. – Jakiej wiedzy poszukujesz?

– Każdej. Opowiedz mi wszystko.

Według Laty przeważająca część sił dążących do obalenia Ćandry stacjonowała w Srugnie i na drodze do Dwarali. Nie było dla nich miejsca w klasztorze, tak ograniczonym terytorialnie i niebezpiecznym. Jedynie lordowie i księżęta zainteresowani politykowaniem albo pragnący poznać mądrość Aditji zdecydowali się przybyć do lakowych ogrodów.

– Cóż – mruknęła księżniczka, gdy kobieta skończyła. – Jeśli wysoko urodzeni chcą politykować... – Wstała. – Będziesz musiała robić za przyzwoitkę i za jedną z moich dam. Jesteś na to gotowa?

– Nie wątpię, że sobie poradzę.

– Ale najpierw muszę się umyć – stwierdziła Malini.

Umyła się w zimnej wodzie, próbując nie myśleć o Prii podającej jej na Hiranje chochlę z zimną wodą. O Prii klęczącej i wpatrującej się w nią. Włosy uczesała najlepiej, jak tylko mogła po długim okresie zaniedbania. Lata dała jej jedno ze swoich sari. Ćoli było tak luźne, że się rozchyłało, ale będzie ukryte pod chustą, więc musiało wystarczyć. Malini nie miała biżuterii. Żadnych oznak pozycji. Niczego, co wskazywałoby jej wartość.

Nagle podniosła wzrok i spojrzała w okno.

Oczywiście.

Z pomocą Laty spięła włosy w kok i starannie umocowała wianek ze świeżo zebranych lakowych kwiatów.



Mężczyźni uciszyli się nagle, gdy weszła do komnaty. Nie widać było śladu Aditji ani Rao.

Zakłóciła im grę w ćaturangę. Rozumiała wszak, że gry kościane i strategiczne nie były dla wysoko urodzonych mężczyzn jedynie rozrywką. Skłoniła głowę – wdzięcznym ruchem, który jak wiedziała, podkreślał kruchość jej szyi oraz dostojność jej postawy – i powiedziała:

– Obawiam się, że panom przerywam.

– Księżniczko. – Mężczyźni nie wstali, ale pochylili głowy z szacunkiem. Wystarczającym. – Nie są potrzebne przeprosiny. Czy kogoś szukasz?

– Lordzie Narajanie – rzekła, odnajdując jego twarz wśród obecnych – moje kondolencje z powodu twojej straty. Księżę Prem był dobrym przyjacielem mojego brata Aditji. Wielce go podziwiałam.

– Dziękuję ci, księżniczko – odparł młodzieniec, nagle poważniejąc. – Jego utrata wprawiła nas w wielki smutek.

– Oplakuję go wraz z wami – mruknęła Malini. Powolnymi, rozważnymi krokami przeszła przez pomieszczenie. Po drodze spoglądała po kolei na wszystkich zebranych. – Wydajecie się nieswoi, moi panowie.

Dwaralski lord przemówił jako pierwszy:

– Sądziliśmy, że cesarz Aditja wróci w towarzystwie armii. – Nie uśmiechał się. – Ale widzę, że tak się nie stanie.

Malini pokręciła głową.

– Nie zdołałam przyprowadzić mu armii – odrzekła. – Jedynie siebie. Ale zrobię, co w mojej mocy, panowie, by wprowadzić go na tron.

– Być może teraz rozważaj wojnę, na którą przybyliśmy – powiedział jeden ze sruignyckich lordów cicho, ale z gniewem w głosie.

Odetchnęła. Nieznacznie obróciła szyję, by podkreślić lakowe kwiaty wplecione w jej włosy. Była cesarską księżniczką Paridżatu. Miało to swój ciężar.

– Uwierzcie mi, dobrzy panowie – powiedziała, spuściwszy pokornie rzęsy, choć utrzymywała wyprostowane plecy i ramiona. – Mój brat Aditja zadba o przywrócenie waszej dawnej chwały. Odzyskacie to, co dawniej mieliście. Kontrolę nad swoimi królestwami. Szanowane pozycje władzy na cesarskim dworze. Chwałę cesarstwa ukształtowanego przez lojalność, jak niegdyś.

W końcu po to tutaj byli, nieprawdaż? Zmuszono ich, by należeli do Paridżatdwipy przekształconej, wypaczonej przez Ćandrę. Obligowały ich do tego przysięgi złożone przez ich przodków, by spłacić krwawą, straszliwą ofiarę matek, dzięki którym Paridżatdwipa w ogóle powstała. Świętość tych obietnic wciąż rozbrzmiewała echem w imperium. Pragnęli jedynie tego, co mieli zawsze – równości, wpływów i zysków – a Malini mogła dopilnować, by Aditja im to zapewnił.

Lepszy jest słabszy cesarz, niewątpliwie sądzili. Lepszy powściągliwy cesarz, który chce być kapłanem, niż fanatyk, który odbierze to, co nasze.

– A kiedy otrzymamy wszystko, co nam obiecano? – zapytał ten sam srugnycki lord.

– Już późno – rzekł Dwaralczyk, który odezwał się jako pierwszy, podnosząc się. – Czy mogę odprowadzić cię do twojej komnaty, księżniczko Malini?

– Nie jestem pewna, czy to byłoby roztropne – mruknęła Lata.

Ale Malini jedynie uśmiechnęła się.

– Zdecydowanie, mój lordzie. Dotrzymaj mi towarzystwa.



– Jesteś lord Khalil – rzekła, gdy wyszli w aksamitną ciemność. Za nimi postępowwała Lata. – Władca Lal Qila, zgadza się?

– Owszem – potwierdził szlachcic.

– Twoja żona ma o tobie bardzo wysokie mniemanie, lordzie Khalilu. Z wielkim podziwem opisywała obronę twojej fortecy przed Dżagatajami.

– I niewątpliwie wielce szczegółowo. Ta kobieta wykazuje niezdrowe zainteresowanie kwestiami strategii. – Popatrzył na Malini z ukosa. – Wiem, że pisywałaś do Razii, księżniczko. Pokazywała mi wiele z twoich listów. Byłem... zaintrygowany.

– Przypuszczałam, że mogły cię zaintrygować. Ostatecznie przybyłeś tu.

Lord Khalil roześmiał się donośnie, choć nie do końca wesoło.

– Zaczynam poważnie żałować tej decyzji. Tęsknię za domem. Za moimi końmi. A to miejsce... – Rozejrzał się z niesmakiem. – Nie pozwoliłbym tu wjechać moim najlepszym jeźdźcom. Jesteśmy

ograniczeni ze wszystkich stron. Na co zdadzą się wierzchowce na takim terenie? – Machnął dłonią, wyraźnie zdegustowany obfitością lśniących kwiatów zwisających ze skalniaków. – Czekam tu na życzenie cesarza. Obawiam się jednak, że jego życzeniem jest zostać tu i medytować.

– To uprzejme z jego strony, że zaczekał na mnie – powiedziała Malini. – Uprzejme i szlachetne, zgodnie ze zwyczajem dawnych wysoko urodzonych.

Lord prychnął pogardliwie.

– Nie mam wiele cierpliwości do jego formy szlachetności.

– Doceniam twoją szczerość – odparła księżniczka.

– Proszę o wybaczenie. W Dwarali nie mamy czasu na kwiecisty styl.

Malini, która otrzymywała eleganckie listy od jego żony i lubowała się kiedyś w dwaralskiej poezji, wstrzymała się od komentarza.

– Ilu doradców z Dwarali zostało odesłanych w niełasce do ojczyzny? – zapytała łagodnym głosem. – I jak wielu stracono? Pozwolę sobie również okazać szczerość, lordzie Khalilu: szlachecki honor według Ćandry nie zapewni ci względów. Nie takich, jak Aditja.

– Albo ty – odrzekł lord. – Masz jednak słuszność. Palenie kobiet... Nie spotkało się to z poparciem, księżniczko, mogę cię zapewnić. Jednak wyniesienie kapłanów ognia ponad królów i lordów, którzy zapewnili Paridżatdwipie jej wielkość... – Cmoknął językiem o podniebienie. – Był to nieprzemysłany ruch.

– Ostrzegalam was, że tak zrobi – przypomniała mu księżniczka.

– Owszem – przyznał lord. – Pracowałam bardzo ciężko, by w swoich listach siać urazy przeciwko fałszywemu cesarzowi. O tym również mówiła mi żona.

– Twoja żona jest mądrą kobietą.

– Bez wątpienia.

Przez chwilę szli w milczeniu. Nad ich głowami trzepotały ptaki. Niebo było rozjarzone gwiazdami, w których blasku lakowy ogród błyszczał niezwykle.

– Okrutny cesarz jest nieprzyjemny – rzekł Khalil lekkim, niemal niedbałym tonem. – Ale jeśli chroni interesy tych, którzy są blisko niego, można mu wiele wybaczyć.

– Ćandra nie chroni nawet interesów swojej rodziny – zripostowała Malini. Ach, nie powinna być aż tak szczera.

– I w tym sęk, zgadza się?

Księżniczka szła dalej miarowym, pewnym krokiem.

– Aditja zawsze będzie chronił interesy tych, którzy są wobec niego lojalni. Mogę ci to obiecać, lordzie.

– Owszem, Aditja rzeczywiście będzie tak działał – mruknął Khalil, zerkając na nią wnikliwie. Jego wzrok wydawał się mówić, że to nie Aditja dbałby o jego interesy.

I słusznie. Przecież interesy Malini były powiązane ze sprawami jej brata.

– Zostawię cię tutaj, księżniczko – oznajmił Khalil, skłaniając głowę.

– Dziękuję – odparła cicho Malini.

Wraz z Latą odczekała, aż szlachcic odejdzie.

– W Dwarali są uprzejmiejsi dla swoich kobiet – stwierdziła księżniczka, gdy już dawno zniknął. – Zaryzykowałam.

Po czym mruknęła do samej siebie:

– Ktoś musiał.

Kilkunastu ludzi widziało, jak posłaniec – nie któryś z ludzi Prema, lecz Saketyjczyk w ciemnej zieleni, z na wpół rozplecionym warkoczem śliskim od krwi – spadł z konia na drugim końcu mostu. Zaczynał już pełznąć na drugą stronę, lecz mężczyźni rzucili się do niego, by mu pomóc.

– Żołnierze z Paridźatu – wydyszał posłaniec, gdy znalazł się już na terenie klasztoru. – Oni... idą. Tylko jeden batalion, chwalmy matki.

– Wiedzą, że on tu jest? – spytał z nagłością w głosie Narajan.

– Nie wiem – wysapał mężczyzna. – Naprawdę nie wiem. Nie... ach!

– Po tym okrzyku bólu żołnierze i kapłani stłoczyli się przy nim i dźwignęli go, żeby zanieść go w bezpieczne miejsce. Jakiś Dwaralczyk zerwał z siebie szarfę i przycisnął ją do rany w boku gońca.

Myśli Rao galopowały. Czy jeden z ludzi Santosa zdołał uciec po ich spotkaniu? A może ktoś został w Hiranapraście i miał wzywać pomoc, gdyby Santos nie wrócił? Nie dało się tego stwierdzić.

Przy drzwiach klasztoru dostrzegł ruch. Błysk błękitu, gdy obserwator zniknął we wnętrzu.

Mógł to być dowolny z kapłanów, ale Rao miał pewność, że widział Aditję.

Przez długą chwilę wpatrywał się w drzwi, a w żołądku rozkwitało mu ziarno goryczy i żalu.

Aditja nasłuchiwał. A później uciekł.

Kiedys Rao podziwiał jego opanowanie.

Ten mężczyzna nigdy nie działał pochopnie ani nie wpadał łatwo w złość. Gdy ćwiczyli z szablami, był łajany za powolny refleks, ale myśliciele i oficerowie, którzy kształcili go w zasadach honorowej walki, w dawnej i współczesnej strategii, podziwiali to, jak starannie rozważał wszystkie czynniki. Aditja zaprzęgał do pracy umysł. Od zawsze.

I zawsze pragnął robić to, co słuszne.

Godzinami śleczął nad tekstami, ważąc strategię i manewry wojskowe, roztrząsając etyczną stronę prowadzenia wojen, dumając nad najlepszymi decyzjami, nad fortelami, które zapewniłyby idealną równowagę: niskie straty w ludziach, szybkie zwycięstwo, honorową bitwę.

Rzadko dochodził do wniosku, że możliwe jest osiągnięcie wszystkich tych kwestii.

– W prawdziwym świecie nie będzie tak łatwo – powiedział kiedyś Aditja, gdy grali w ćaturangę, skupiony na planszy. Wciąż przesuwał dłoń; najpierw trzymał ją nad małym rzeźbionym słoniem, później nad rydwanem, piechociarzem, doradcą. Nad królem. – Tutaj mogę się zdecydować poświęcić kogokolwiek, żeby wygrać. – Zarówno jego głos, jak i wyraz twarzy były dziwnie przygaszone. – Podczas lekcji jesteśmy uczeni, że musimy tak robić. Ale czasami wydaje mi się, że gdyby w ogóle nie było wojen, byłoby prościej.

– Owszem – odparł Rao, zauroczony. – Ale wojny się zdarzają.

– A czy muszą?

– Nie wiem – rzekł Rao. – Chyba tak po prostu działa świat.

Aditja zmarszczył brwi. Wpatrywał się w szachownicę. Następnie podniósł króla i postawił go poza planszą, na skraju stołu.

– I już – oznajmił, uśmiechając się do Rao. – Teraz król może wpatrywać się w odległy horyzont. Moim zdaniem to znacznie większa frajda niż wojna.

– Jestem pewien, że to wbrew zasadom – zażartował Rao.

– To nieistotne – odparł Aditja. – I tak nie przepadam za ćaturangę.

Wtedy Rao się roześmiał, poklepał go po plecach i rzekł:

– Jeśli jesteś taki zmęczony, to chodź, napijemy się razem.

Wówczas wierzył, że Aditja będzie miał czas, aby stać się dobrym cesarzem.

Jako wierny bezimiennego powinien był się domyślić, że król stojący poza planszą coś oznaczał. Że człowiek czasami nieświadomie widzi swój prawdziwy los.

– Proroctwo imię nie zawsze jest szeptane po narodzinach dziecka – powiedział kapłan bezimiennego, gdy Rao zapytał, dlaczego musi nosić brzemię takiego miana, dlaczego właśnie on. – Nawet poza naszą wiarą są ludzie, którzy przypadkiem odkrywają swój los. Ten los ich odnajduje: w snach, w opowieściach, w zbiegach okoliczności. Często nie rozpoznają prawdy, gdy ich zaszczyci, a wtedy omija ich świadomość proroctwa. Jednak twój los by cię odnalazł, młody książe, nawet gdybyś nie był Alorczykiem. Ciesz się, że twoja religia ostrzega cię przed tym, co nadejdzie.

– To musi być dziwne – mruknął Rao. – Nie znać swojego losu, nawet gdy się go widzi.

– Być może – odparł kapłan, uśmiechając się dobrotliwie. – Ale ty wierzysz w bezimiennego, książe Aloru. Bez trudności rozpoznasz takie proroctwo, gdy je ujrzysz. Być może pewnego dnia ocalisz innego człowieka przed tym, by swoją dalszą drogę przemierzał w ignorancji.

Rao nie ocalił tego człowieka.



Znalazł Aditję w małym ogrodzie pełnym śpiewających ptaków. Książe nie obrócił się, więc Rao stanął przed nim, upewniając się, że patrzą sobie w oczy.

– Twój brat po ciebie idzie – rzucił chrapliwie, kładąc dłonie na ramionach Aditji. – Mój książe, mój cesarzu... mój przyjacielu. Čandra przysłał tu swoich ludzi. Zabije cię. Musimy uciekać.

– Jeszcze tylko chwilę – mruknął Aditja, odwracając wzrok od Alorczyka i wpatrując się w ptaki, w niebo. Rao zastanawiał się, jakie kwestie rozważał w tej swojej głowie, jak to się działo, że sprawiedliwość położona na innej szali niż etyka i strategia prowadziła wyłącznie do bezruchu jego ciała, do wzroku utkwionego w dal. – Już niedługo będę wiedział, co należy zrobić.

– Nie ma już czasu! Nigdy go nie było.

Aditja zamknął oczy. Wyglądał, jakby złożono na nim okropne brzemię, miażdżące, pochylające jego barki bardziej niż dworska polityka,

wojna czy cokolwiek, czego doświadczyli wspólnie jako książęta w Paridżacie.

– Nie rozumiesz – wyszeptał Aditja.

– Rozumiem. Naprawdę rozumiem. Przez całe życie przestrzegałem zasad wiary. Moja siostra za nią zginęła. Ale nie mogę ci na to pozwolić.

Aditja wreszcie napotkał jego spojrzenie. Ciemne oczy. Poważną linię brwi.

– Jeśli jestem twoim cesarzem, wówczas musisz zapewnić mi czas, którego potrzebuję. Ostatecznie moje słowo jest prawem. – Jego głos stał się nagle twardy jak żelazo. – A jeśli nie jestem twoim cesarzem, wtedy tocz swoją wojnę beze mnie. To naprawdę proste.

Rao pomyślał o tamtej szachownicy z dawnych czasów, o zmarszczonym czole Aditji, o jego chęci, by zejść z planszy. Jednak tej gry nie dało się opuścić. Aditja był figurą, która musiała się poruszyć, jeśli zamierzali cokolwiek wygrać lub przegrać.

– Nie – rzekł stanowczo Rao. – Nie podejmę tej decyzji za ciebie. To twoje zadanie. Nie moje. Jeśli masz być cesarzem, jeśli masz nam przeprowadzić, musisz wykonać pierwszy krok. Musisz dokonać wyboru. Nie zrobię tego za ciebie.

Aditja wyslizgnął mu się z objęć. Odwrócił się i odszedł. Zaś Rao skłonił głowę, myśląc o siostrze, która spłonęła, i o strasliwym ciężarze swojego imienia. O kryjącej się w nim nadziei.

O rzeczywistości Aditji spętanego wizją. Niechącego wyjść poza nią.

Wystarczyło jedno spojrzenie na sruignyckich lordów i ich zwolenników – całkiem znaczącą liczbę ludzi – opuszczających klasztor, by Malini poznała pełną prawdę.

– Posłaniec dotarł tu na koniu, który zaraz padł – oznajmił lord Narajan, krążąc nerwowo. – Zaryzykował życie, żeby przynieść nam wieści. A jednak... nie dzieje się nic. Gdzie jest cesarz Aditja? Książę Rao, czy to wiesz?

Rao pokręcił głową. Milczał.

– Ćandra nie może mieć pewności, że Aditja tu jest, inaczej przysłałby znacznie więcej ludzi – powiedział inny lord.

– Być może wziął na cel wszystkie klasztory bezimiennego – podsunął Rao. – Albo ktoś nas śledził na Ścieżce Poszukiwacza.

– Wzięcie na cel wszystkich klasztorów byłoby głupie, a przede wszystkim stanowiłoby zniewagę dla wiary – rzekł ktoś inny z przestrachem. – Żaden rozsądny człowiek nie byłby do tego zdolny.

Rao roześmiał się gorzko.

– Ćandra byłby – skomentował.

– Żołnierze dotrą tu przed wieczorem – oznajmił ktoś.

– Jesteś pewien?

– Jeśli podróżują tak, by nie rzucać się w oczy, to nie mają koni i nie zdołają pojawić się szybciej. Ale posłaniec nie miał wątpliwości co do

ich tempa.

– A cesarz Aditja...?

– Otrzymał wieści, gdy tylko dotarł raport – powiedział lord Khalil, spoglądając spod zmrużonych powiek. Obserwował pozostałych, jakby siedzieli nad szachownicą, jakby rozważał swój następny ruch oraz ich możliwe posunięcia.

– A jego plany? – spytała Lata z rogu komnaty.

– Nie uznał za stosowne nas oświecić – rzekł obojętnie Khalil. – Ale jestem pewien, że porozmawia ze swoją ukochaną siostrą.

– Też jestem tego pewna – odparła Malini z równą obojętnością. Krew śpiewała jej w uszach.

– Czeka nas wiele bitew i wiele wojen, jeśli księżę Aditja zamierza odzyskać tron.

– I uczyni to – stwierdziła stanowczo księżniczka.

Khalil wydał z siebie odgłos nie do końca stanowiący potwierdzenie.

– Wolaliby, żebyśmy uciekli jak tchórze, w sposób nieprzystający do naszej pozycji? – spytał Narajan.

Malini nie uważała, żeby przetrwanie równało się tchórzostwu, ale powstrzymała się przed wygłoszeniem tej opinii.

– Jesteśmy wojownikami, moi lordowie – odezwał się Rao, zaskakując ją. – Nie uciekamy przed bitwą. Ale moglibyśmy przynajmniej wykorzystać ten czas, by rozważyć strategię. Gdybyście mogli do mnie dołączyć...

Malini nie została.

Poszła na spacer po ogrodach. Ostrożnie stawiała stopy, mijając kapłanów pogrążonych w medytacji albo malujących liście laką.

– Lato – powiedziała do swojego niedostępnego cienia – historia wojskowości.

– To moja nauczycielka najlepiej znała się na historii.

– Gdyby tu była, z chęcią skorzystałabym z jej rady. Ale jesteś jej uczennicą. Powiedz mi, co wiesz.

– Wiem to, księżniczko: możesz wykorzystać wszelkie narzędzia, które masz do dyspozycji. Zastanów się. Co posiadasz?

Malini rozejrzała się. Ogrody. Nienaturalne drzewa, wiszące na nich liście i owoce, które nigdy nie zgniją. Po plecach przemknęło jej złe przeczucie.

– Nie mogę użyć tego, co mam do dyspozycji.

– Dlaczego nie? – spytała zwięźle Lata.

Bo to byłoby złe. Ale nie. Nie miało to dla niej znaczenia. Nie do końca.

Bo to byłoby potworne.

Nawet to nie było tak istotne, jak powinno.

– Bo mogę stracić zwolenników Aditji. Albo... – Urwała. – Albo mogę zyskać mu ich więcej – mruknęła po krótkiej chwili. – Uważają, że nie jest zdolny do okrucieństwa. Uważają...

Twarz Laty nagle poszarzała. Kobieta dobrze wiedziała, co Malini zamierza uczynić.

– Ja nie chciałam...

– Naprawdę? – Księżniczka nie uśmiechnęła się do niej. Nie czuła radości. – Dziękuję ci – powiedziała zamiast tego.

– Nie dziękuj mi – odparła Lata. – Proszę.

Wreszcie, pomyślała Malini. Pojęła gorycz wiedzy.



Malini znalazła Aditję medytującego w swoim pokoju. Siedział na podłodze ze skrzyżowanymi nogami. Obserwowała go dłuższą chwilę, czekając, aż ją zauważy i podniesie głowę. Gdy tego nie zrobił, mimo wszystko przyklęknęła obok niego.

– Bracie – powiedziała cichym, łagodnym głosem. Takim, jakim posługiwała się kiedyś ich matka. – Chcę, byś stanął na czele swoich ludzi. Nie możemy tu już zostać.

Przez długą chwilę nic nie mówił.

– Przysłał cię Rao? – zapytał w końcu.

– Nie. – Nie potrzebowała Rao, by wskazywał jej, co jest konieczne. Aditja powinien to wiedzieć.

– Dziwne. A jednak oboje chcecie ode mnie tego samego. – Na jego ustach pojawił się niewesoły uśmiech. – Chcecie, bym zabijał dla tronu. Mordował dla niego.

– Musisz zabijać dla tronu – odparła Malini. Zmusiła się do zachowania spokojnego, uprzejmego tonu. – Na tym polega wojna. I to nie tylko Rao i ja chcemy, żebyś objął tron. Aditjo, przecież to wiesz. Wiesz, że wszyscy ci ludzie czekają, aż ich poprowadzisz, bo Ćandrę należy powstrzymać i nie może tego uczynić nikt oprócz ciebie. Dlaczego nic nie robisz?

Oczy jej brata były podkrążone, ale wyraz twarzy towarzyszący jego stanowczemu uśmiechowi wskazywał determinację.

– Chodź ze mną – rzekł. – Mam ci coś do pokazania.

Zaprowadził ją do ogrodu, gdzie na postumencie stała misa z wodą. Podeszła tam wraz z nim i na jego prośbę położyła dłonie na krawędzi.

– Zawsze pragniesz wiedzy – oznajmił. – Teraz możesz ją otrzymać.

– Mam mnóstwo książek – powiedziała Malini, spoglądając bratu w twarz, nie w wodę. – A przynajmniej kiedyś miałam. Teraz Lata zajmie się moją dalszą edukacją.

– Chcesz zrozumieć, dlaczego tak bronię się przed ścieżką, którą według ciebie powinienem podążać. W tym celu musisz zrozumieć wiedzę, jaką zesłał mi bezimienny – rzekł Aditja. Zawahał się, po czym dodał: – Malini, naprawdę cię potrzebuję. Twojej intuicji.

– Masz już moją radę – odparła. – Dobrze wiesz, co uważam za najlepsze.

– Nie. Chcę, żebyś zobaczyła. Chcę, żebyś zrozumiała, co mnie tu trzyma i dlaczego nie mogę odejść, dopóki nie dowiem się, co muszę zrobić. Gdy sama zobaczysz, wówczas zrozumiesz.

– Już dawno temu mówiłam Rao, że nie wierzę w los.

– A jednak istnieją siły potężniejsze od nas. Siły, których nie jesteśmy w stanie kontrolować, które niosą nas, nawet jeśli tego nie chcemy. Najważniejszym, czego nauczył mnie bezimienny, było pokazanie mi, jaka siła jest potrzebna, by dostrzec, że nie ma możliwości wygrania bitwy, że wojna nie toczy się na równych warunkach. Że istnieje tylko możliwość kapitulacji.

Kapitulacji. Było to brzydkie słowo, palące. Oderwała dłonie od krawędzi misy.

– Nie akceptuję tego – stwierdziła. – To nie w moim zwyczaju.

Odsunęła się o krok.

– Malini – powiedział Aditja – proszę. Jeśli nie spojrzysz, nigdy nie dowiesz się, dlaczego tak się zmagam.

– Zatem powiedz mi to. Powiedz, żebyśmy mogli zostawić za sobą twoje zmagania i wrócić do prawdziwego świata.

– Wydaje ci się, że mogę zredukować wizje bezimiennego do słów, które zrozumiesz? – Roześmiał się ze znużeniem. – Malini, bądź rozsądna.

Długo była rozsądna. Była więcej niż rozsądna. Jej brat porzucił koronę i cesarstwo, żeby służyć nowej religii. Ona zaś, bardzo rozsądnie, błagała go, żeby wrócił. Teraz stała przed nim w klasztorze, którego próg zboczyła krew, i rozsądnie prosiła go, by działał.

Dość tego.

Nie mogła oderwać od niego wzroku. Nie mogła przestać patrzeć na brata, którego kochała, który odrzucił wszystkie przywileje zesłane mu przez życie, by kroczyć ścieżką, której nie umiała zrozumieć. Pozwoliła, by wezbrało w niej coś jednocześnie twardego jak żelazo i gniewnego.

– Nie proszę cię o nic nierozsądnego – odparła. – Nigdy cię o nic takiego nie prosiłam. Ale skoro nie zamierzasz się tłumaczyć, to pozwól, że ja ci coś wytłumaczę: ty i Ćandra uważacie, że prawo do rządzenia jest czymś, co musi zostać wam dane, czy to przez matki płomienia, przez krew, czy przez bezmiennego. Ja nie podchodzę do tej kwestii tak głupio. Wiem, że nie istnieje żadna wyższa moc legitymująca króla lub cesarza. Istnieje tylko chwila, kiedy władza zostaje złożona w twoich rękach, i istnieje jedna prawda: albo przyjmujesz władzę i ją piastujesz, albo też robi to ktoś inny. I być może ten ktoś nie okaże się zbyt miły dla ciebie oraz twoich bliskich. – Nachyliła się. – Miałeś wybór, Aditjo. A gdy odrzuciłeś władzę, Ćandra obrócił się przeciwko mnie i moim kobietom. Śmierć Alori. Śmierć Nariny. Każda chwila cierpienia, która mnie spotkała, wszystko to spoczywa na twoich barkach. Teraz musisz postarać się bardziej.

Wzdrygnął się. Wymusiła więcej słów z gardła, więcej trucizny i prawdy, wykorzystywała swoją przewagę, widząc, jak jego zatwardziała bierność zaczyna się kruszyć.

– Gdybym miała taką możliwość, unicestwiłabym Ćandrę – powiedziała powoli, z naciskiem. – Zablokowałabym szlaki handlowe, dzięki którym dostaje ryż i inne zboża. Spaliłabym mu pola i zniszczyła kopalnie. Pozbawiłabym go każdego sojusznika, przekupstwem bądź przemocą. I zabiłabym go. Powoli i haniebnie. Tak właśnie bym uczyniła, gdybym miała to szczęście i była tobą, Aditjo. Gdybym dysponowała twoimi przywilejami. Ale nigdy nie będę tobą, ponieważ nigdy nie zrzekłabym się swojego dziedzictwa. Jak ty.

– Moja delikatna, subtelna siostra marząca o wojnie – mruknął. – Sądziłem, że akurat ty zrozumiesz moją potrzebę, żeby uwolnić się od takich rzeczy. Jako dziecko byłaś najbardziej uduchowiona z naszej trójki. Pamiętasz to? Wiadomo, nie byłaś wierną bezmiennego. Ale kazałaś mi prowadzić się do kapliczki matek, żebyś mogła składać tam kwiaty jaśminu i całować im stopy.

– To było, zanim Ćandra skrzywdził mnie po raz pierwszy – skomentowała zwięźle księżniczka. – Wtedy moje dziecięce upodobania skończyły się dość raptownie.

Wpatrywał się w nią, nie rozumiejąc.

– Kiedy skrzywdził cię w dzieciństwie? – zapytał.

Wciągnęła gwałtownie oddech. Nie pamiętał.

Miała ochotę unieść włosy i obnażyć kark. Miała ochotę pokazać mu, jak została skrzywdzona, że nie tylko nosiła fizyczną bliznę, że większe i mniejsze okrucieństwa Ćandry pozbawiały ją poczucia własnej tożsamości, aż stała się niczym odsłonięty kłębek nerwów, aż była zmuszona otoczyć się poszarpaną, toporną zbroją, żeby zdołać przetrwać.

Ale nie zrozumiałaby. Nigdy nie rozumiał. Jej krzywdy i jej obawy, które pożerały ją przez niemal całe życie, zawsze wydawały mu się łahe. Albo nigdy ich tak naprawdę nie dostrzegał, albo po prostu łatwo o nich zapominał.

Odeszła zatem od postumentu i musnęła palcami jeden z liści w ogrodzie. Pocierała opuszkami jego powierzchnię, wyczuwając śliską dziwność. Laka. Słodka laka.

– Pod ogrodami mieszczą się kanały, prawda? By odprowadzać wodę i nawadniać sad. – Widziała kraty, słyszała dobiegające od nich echo. – Jak są głębokie? Wystarczająco, by mogli nimi chodzić ludzie?

– Tak przypuszczam – odrzekł Aditja, wyraźnie zdezorientowany tak nagłą zmianą tematu.

– Czy można ich użyć, żeby dyskretnie opuścić ogrody?

– Być może – powiedział ostrożnie.

Malini pomyślała o olejku, który wcierano we włosy Nariny i Alori w dniu, gdy spłonęły. Wosk przykleił im się małymi kawałkami do spódnic.

Poczuła mdłości.

I radość.

– Mam plan – oznajmiła – dzięki któremu przetrwamy, zdołamy opuścić to miejsce i odnaleźć twoją armię. Oczywiście nie możemy tracić nadziei, że, na matki, ludzie wciąż na ciebie czekają.

Starannie, z rozmysłem, przekazała mu każdy szczegół. Obserwowała, jak na jego twarzy pojawia się coraz większa groza.

– Nie zrobię tego – rzekł Aditja. – Nie pozwolę na to.

– Pozwolisz – zripostowała księżniczka. – Inaczej wszyscy zginiemy. Być może zdołalibyśmy z nimi walczyć, ale z powodu twojej niechęci do działania nasze szeregii są przerzedzone. Ta dolina jest jak więzienie. – Jedynym uśmiechem szczęścia było wąskie wejście do klasztornych ogrodów. – Poproś swojego bezimiennego o poradę, jeśli chcesz, ale właśnie taki plan wprowadzimy w życie.

– A jeśli się nie zgodzę? – spytał łagodnie.

Mogłaby mu zagrozić. Lordowie byli przerażeni, źli i niespokojni, ona zaś potrafiła tkać piękne słówka, jednocześnie pokazując śliczną twarz. Tak niewiele potrzebowałyby, żeby obrócić ich przeciwko niemu. Mogłaby też płakać przed bratem i błagać go, obnażając zranione serce.

Ale była zmęczona tym wszystkim.

I wciąż go potrzebowała.

– Spójrz na świat, nie w wodę – rzekła. – Spójrz na swoją siostrę. Wiesz przecież, że należy tak zrobić.



Gdy wróciła, lordowie wciąż się sprzeczali. Podeszła do Rao i stanęła u jego boku. Czekala, aż hałas na chwilę przycichnie.

– Moi lordowie i księżęta, czy mogę coś powiedzieć? – odezwała się.

Zupełnie zamilkli.

– Mój brat Ćandra zawsze powtarzał mi, że nie jestem posłuszna kapłanom ani matkom w takim stopniu, w jakim powinnam – rzekła Malini. – Mówił mi, że powinnam słuchać głosu matek w moim sercu. Ale gdy słuchałam, niczego nie słyszałam. I wiedziałam, że on też nic nie słyszy.

Prawda i kłamstwo. Splatała je ze sobą tak gładko, że wyglądały niczym jedna nić.

– Wtedy postanowił mnie spalić. A ja wreszcie usłyszałam matki. I pamiętam jeden fakt, o którym wszyscy zapomnieliśmy, moi lordowie.

Zdobyła ich. Związała ich swoimi słowami, a teraz oplątywała coraz mocniej.

– Pierwsza z matek, która założyła nasz ród i cesarstwo, była wierną bezimiennego boga, podobnie jak Alorczy i Srugnyci. W swojej wierze i naturze jest jej bliższy niż jakikolwiek z jej potomków. Nie zapomniał, że Paridżatdwipa jest połączona z konkretnego powodu. Matki zdecydowały się wstąpić w ogień, żeby zyskać moc, która pozwoli im chronić ich lud. Nasz lud, bowiem jesteśmy jednym cesarstwem.

Zza jej pleców dobiegł dźwięk. Malini nie obróciła się, gdy mężczyźni skłonili się na widok Aditji, odzianego w miękkie kapłańskie szaty i trzymającego głowę wysoko jak cesarz.

Wziął głęboki oddech. Podeszedł bliżej, by stanąć obok siostry.

– Nie ma się czego obawiać – oznajmił tym swoim spokojnym, dźwięcznym tonem, którym zawsze potrafił uciszyć nawet najzacieklejszych mężczyzn. – Moja siostra mówi prawdę. Nigdy nie zapomniałem o łączących nas więziach, moi bracia. I wiem, w jaki sposób zapewnić nam nie tylko przetrwanie, ale również zwycięstwo.

Wracali ze Srugny również Ścieżką Poszukiwacza. Pomędzy ludźmi z mahalu a buntownikami panowała dość napięta atmosfera. Buntownicy wciąż próbowali iść na czele, zaś służące i mężczyźni z mahalu wyglądali, jakby poważnie zastanawiali się nad wypatroszeniem ich w mroku nocy.

Z konieczności przemieszczali się powoli. Bhumika mogła podróżować jedynie w palankinie. Rebelianci poskładali drugi improwizowany palankin dla Aśoka – płachtę płótna rozpiętą na drągach, w zasadzie bardziej hamak. Kritika szła obok niego. Prija zastanawiała się, jak się czuł. Czy wciąż mógł mówić? Czy go bolało?

Nie podeszła jednak do niego. Nie wiedziała, co mogłaby mu powiedzieć. Porozmawiają, gdy znajdą się w Hiranapraście, a on przejdzie przez bezśmiertne wody i znowu poczuje się dobrze.

Zamiast tego szła przy Simie. Służąca trzymała teraz w ramionach małą Padmę, starannie zamocowaną do jej piersi w nosidełku wykonanym z porwanych pasów tkaniny, by Bhumika mogła trochę pospać. Prija przysunęła się bliżej i spojrzała na skrzywioną buzię dziewczynki.

– Wygląda jak staruszka, nie sądzisz? – zauważyła Prija.

– Z dziećmi tak zawsze jest, Pri. Zrobi się ładniejsza. – Sima spojrziała w dół i dodała z powątpiewaniem: – Zapewne.

Od przodu dobiegł hałas. Jeden z buntowników runął na ziemię, a jego towarzysze – z twarzami wyrażającymi jednocześnie grozę i rezygnację – podnieśli go. Mężczyzna miał twarz wilgotną od sączącej się krwi. Nie oddychał.

A zatem stracili kolejnego.

– Zupełnie nie znam się na polityce, ale moim zdaniem ludzie, którzy zabijają niewinnych i palą miasto, również powinni zostać zabici – mruknęła Sima.

– Właśnie dlatego pozwalamy, by to pani Bhumika zajmowała się polityką – odparła Prija.

– Wygląda na to, że sama całkiem nieźle sobie z nią radzisz – stwierdziła Sima. W jej głosie słychać było oskarżenie... i poczucie krzywdy.

Odkąd spotkały się na nowo w lesie, nie rozmawiały o prawdziwej naturze Prii. Wtedy ulga okazała się znacznie silniejsza niż wszelkie urazy. Jednak teraz ból wrócił, jaśniał w oczach Simy.

Prija westchnęła.

– To nie była tylko moja tajemnica – powiedziała. – To, czym jestem. I... Simo. Nie sądziłam, że jeszcze kiedyś będę świątynnym dzieckiem. Myślałam, że już zawsze będę służącą.

– Naprawdę? – W głosie Simy dało się słyszeć rezerwę.

– Naprawdę. Nie podoba mi się to. Kompromis z mordercami albo że w ogóle doszło do mordów. To... wszystko. – Machnęła dłonią w stronę otaczającego je tłumu. – Wolałabym, żeby było tak jak kiedyś.

– Naprawdę?

Czy rzeczywiście? Prija przez chwilę pozwoliła sobie o tym pomyśleć. Czy chciała znów być służącą, pić, śmiać się i żartować z Simą? Ostrożnie obchodzić Bhumikę? Wpatrywać się w Hiranę i tęsknić za czymś, czego ledwo zaznała – co straciła i czego pragnęła – choć możliwość czegoś więcej wечно pozostawałaby poza jej zasięgiem, wciąż by ją kusila?

Czy wolałaby nigdy nie poznać Malini? Nigdy się z nią nie całować? Nigdy jej nie zostawić?

– Oczywiście – skłamała. – Oczywiście, że bym wolała.

– Pani Bhumiko! – zawołał ktoś. Był to Billu, który teraz klęczał przy palankinie Bhumiki, opuszczonym na ziemię, by mogła wysiąść. – Jedno z naszych jest chore. Chłopiec... coraz gorzej z nim.

Prija pospieszyła naprzód.

– Co się dzieje z Rukhem? Billu, gdzie on jest?

Bhumika spojrzała na nią podkrążonymi oczyma.

– Zajmiesz się tym, Prijo? – spytała ze znużeniem.

Dziewczyna skinęła głową.

– Odpocznij jeszcze, jeśli możesz – rzekła Prija i odeszła.

Billu zabrał ją do Rukha, który zwinął się w kłębek pod drzewem.

Wyraźnie cierpiał, przyciskał sobie rękę do piersi.

– Boli – wydyszał, kiedy Prija uklękła, by sprawdzić, co z nim.

Odsunęła mu dłoń od brzucha. Drzazgi przebiły mu się przez skórę od palców do łokcia. Ciało wokół nich było przekrwione, nienaturalnie błyszczące.

– Och, Rukh – powiedziała cicho. Podniosła wzrok na Billu. – Czy ktoś ma coś na ból?

Mężczyzna pokręcił głową.

– Buntownicy zużyli swój zapas. My nic nie mamy.

Prija uniosła chłopca. Jęknął, a ona przygryzła wargę, żeby powstrzymać się przed przekleciem lub płaczem.

– Poniosę cię na plecach – odezwała się.

Usłyszała trzask podszytu i pojawił się Džiwan.

– Musisz mieć możliwość nas bronić – powiedział, przesuwając spojrzenie zmrużonych oczu pomiędzy nią, Billu i Rukhem. – Pani Bhumika nie może tego zrobić. Ty również powinienes być w gotowości, Billu.

– Och, mnie nie potrzebujecie – rzekł kucharz.

– Jesteś silny – odparł oficer. – Nie wiemy, na co się natkniemy.

– To czego od nas oczekujesz? – warknęła Prija. – Mamy go tu zostawić?

Rukh wydał z siebie żałosny odgłos, a Prija natychmiast poczuła się okropnie. Billu zerknął na nią bezradnie.

– Ja go wezmę – zadeklarował się jeden z buntowników, mężczyzna imieniem Ganam. – Nie umiem walczyć – dodał z nieznacznym, ciepłym uśmiechem. – W każdej chwili może mi się pogorszyć. Ale i tak jestem zdrowszy niż większość tych, którzy pili wody z fiolek, i poradziłem sobie z ciężarem Aśoka. Zdołam ponieść dziecko.

Prija nie chciała oddawać mu Rukha, ale Džiwan niespokojnie popatrywał na palankin Bhumiki i nie mogli sobie pozwolić na dalszy przestój.

– Dobrze – rzekła. – Ale... bądź dla niego delikatny.

Ganam wziął chłopca z jej rąk. Rukh miał zaciśnięte powieki i oddychał płytko.

– Nie jest tylko jednym z waszych – powiedział Ganam, z łatwością go sobie układając. – Jest też jednym z naszych. Szpiegował dla nas. Służył naszej sprawie. Być może wolność oznacza możliwość chronienia naszych dzieci zamiast wykorzystywania ich – dodał, odsuwając chłopcu z czoła włosy przerośnięte liśćmi. – Chciałbym w to wierzyć.

Prija spojrzała na Rukha wciskającego głowę w ramię mężczyzny. Na ostrożny, lecz czuły wyraz twarzy Ganama. Na otaczających ich ludzi, na kipiącą w nich złość, na ich głód. Głód czegoś lepszego. Przyszłości.

– Ja również bym tego chciała – rzekła.

Od drugiej strony ścieżki Kritika wpatrywała się w nią z zamyślonym obliczem. Skinęła Prii głową. Po chwili dziewczyna odwzajemniła skinienie.

Ruszyli dalej.



64

BHUMIKA

Choć mogła jechać w palankinie, była zmęczona, gdy dotarli do Altany Kości. W wyniku porodu jej ciało uległo zmianie i była wyczerpana, a dziecko ledwo spało. Dzięki duchom, miała Simę, która doradzała jej, jak utrzymać biedne maleństwo przy życiu.

To nie jest miejsce dla ciebie, pomyślała, trzymając Padmę przy piersi. W Altanie delikatne kości zaścielały ziemię. Postukiwały o siebie w górze pomiędzy liśćmi. To nie jest miejsce dla nikogo.

Khalida pełniła straż, ona zaś oparła się plecami o drzewo i nakarmiła córkę. Była tak zmęczona, że chciało jej się płakać.

– Już niedługo – wyszeptwała do Padmy, która wciąż była niespokojna, ale przynajmniej pozostawała cicho. – Wkrótce będziemy w domu.



– Miasto nie jest bezpieczne – doniosła później Khalida. Wraz z Dżiwanem weszli do Hiranaprasthy, a później z zebranymi wieściami wrócili na skraj

lasu, gdzie czekali pozostali. – Ludzie chronią swoje domy najlepiej jak potrafią, ale strażnicy i żołnierze pozbawieni panów powodują ogromne spustoszenie. Moglibyśmy znaleźć się w kłopotach, gdybyśmy weszli tam w naszym aktualnym stanie.

Bhumika potwierdziła skinieniem głowy. Nie była zaskoczona. Jej mózg przepełniały możliwości i obawy – prawdopodobna odległość sił cesarskich wysłanych, by zdusić zamieszki lub udzielić regentowi wsparcia; liczba i siła żołnierzy, którym musiałaby stawić czoła; kwestia, czy stanęliby w obliczu rozmaitych sił, co skończyłoby się krwawą rzeźnią...

– Nie musimy walczyć – oznajmiła nagle Prija. – Istnieje sposób, żeby przemieszczać się po mieście tak, by nikt nam nie zagroził, dopóki nie będziemy gotowi na kontakt.

Plan dziewczyny był schludny i prosty. Bhumika nie zdołała powstrzymać wyrazu aprobaty, który pojawił się na jej twarzy.

– Widzisz – rzekła Prija, uśmiechając się. – Jestem mądra. Masz nauczkę.

– Nigdy nie twierdziłam, że nie jesteś mądra.

– Cały czas nazywałaś mnie głupią.

Bhumika zmarszczyła nos i odwróciła wzrok. Ech, siostry...

– Jesteśmy gotowi – niedługo później powiedział jeden z buntowników. Przekłęci przez fiołki stali w kręgu wokół nich. Aśok leżał blisko, otulony chustą. Padma kręciła się w kocyku przy nim.

Prija napotkała wzrok Bhumiki. Bhumika skinęła głową.

Powoli wypuściły oddech i ziemia wokół nich rozkwitła wyrazistymi kwiatami, fioletowymi jak burza i żółtymi jak zółć. Rebelianci oddychali wraz z nimi, używając im siły.

Kwiaty zaczęły wznosić się u stóp buntowników. Bhumika spuściła wzrok i zobaczyła, że okręcają jej się wokół kostek. Wpełzały na nią niczym nowa skóra.



Miasto było zniszczone. Budynki płonęły i dymiły się, a te nieliczne, które się zachowały, miały okna i drzwi zabite deskami. W oddali poruszały się jakieś postacie, grupki mężczyzn z toporami lub buzdyganami, o twarzach

osłoniętych tkaniną. Nie podchodzili jednak do buntowników ani ludzi z mahalu.

Nawet z daleka widać było liście i kwiaty na ich skórze. Wyglądali jak zbieranina chorych na butwienie, człapiących z rozszalałymi spojrzzeniami przez miasto, w którym nie było dla nich miejsca. Obchodzono ich szerokim łukiem.

Bhumika trzymała przy piersi Padmę – która, co za błogosławieństwo, spała – gdy kroczyli przez Hiranaprasthę, i wpatrywała się w mahal. Jego zewnętrzne mury zostały rozbite tam, gdzie rebelianci rozłupali kamień pnączami i uszkodzili fundamenty, swoją przekłętą przez fiolki siłą przesuwając ziemię i korzenie. Jednak Bhumika dostrzegła również światło migoczące w głębi mahalu.

Widziała kobietę na murach ze strzałą zatknietą na cięciwę.

Bhumika, z zadartą dumnie głową, przepchnęła się na przód. Kiedy kobieta na murze ją zauważyła, opuściła łuk. Zawołała. Bhumika z ulgą zdała sobie wtedy sprawę, że jej ludzie mimo wszystko zdołali utrzymać pałac różany.



– Dzięki cierniom uniknęliśmy najgorszego – powiedziała szorstko służąca Gauri. Chodziła z wyraźnym bólem, ale widać było po niej stanowczość mówiącą Bhumice, że kobieta bez problemu sobie radziła od jej odejścia. – Są paskudne, moja damo. Cieszymy się, że je mamy.

Garstka wyczerpanych paridżackich i ahiranyjskich żołnierzy, uzbrojonych służących i sierot – oto ludzie, którzy przez cały ten czas bronili mahalu.

Służący zerkali niespokojnie na buntowników, ale nic nie mówili. Dobrze przynajmniej, że rebelianci okazali dość rozsądku, by nie nosić masek. Bhumika nie miała jednak zamiaru poddawać próbie swoją improwizowaną armię ani kruchy, niepewny rozejm pomiędzy jej świtą a ludźmi Aśoka. Wiedziała, że nie potrzeba wiele, by zburzyć tę więź.

– Weź ją – rzekła, obracając się do Dźiwana i wręczając mu śpiącą córkę. – Jeśli nie wrócę, będzie potrzebowała mamki. Porozmawiaj ze służącymi. Zorganizują kogoś.

Wpatrywał się w nią w osłupieniu.

– Muszę pójść na Hiranę – wyjaśniła. – Muszę zyskać siłę, której potrzebujemy, by zapewnić temu krajowi bezpieczeństwo.

Spoglądał na nią, jakby starał się coś powiedzieć.

– Mów – poleciła.

– Nie będzie miała nikogo – wykrztusił w końcu. – Moja pani.

– Jeśli zginę, wówczas stanie się dzieckiem niczym. I chyba będzie to słuszne. Dawniej tak wyglądał mój los, a ja go odrzuciłam. – Mimo to przyłożyła twarz do buzi Padmy, odetchnęła jej oddechem i pocałowała ją w czoło, zanim się wyprostowała.

Dziwan skłonił przed nią głowę. Gdy odchodziła, milczał, delikatnie obejmując maleńkie zawiniątko.

Ruszyli w stronę Hirany. Buntownicy. Jej rodzeństwo. Prija ze zdeterminowaną miną. Na wpół przytomny Aśok, któremu krew sączyła się z nosa.

– Oprzyj się na mnie – zaproponowała Prija.

Aśok z wyczerpaniem pokręcił głową.

– Mogę cię ponieść – dodała Prija, biorąc go pod rękę.

Jeśli spadnie deszcz, plan nie zadziała.

Już teraz woda w tunelu pod lakowymi ogrodami miała wysoki poziom, sięgała do piersi mężczyznom, którzy jako pierwsi tam zesli. Choć Malini była wysoka, Rao obawiał się, że nie zdoła sięgnąć stopami dna.

Mimo to zsunęła się do wody. Sięgnęła jej do brody.

Wojownicy idący na czele trzymali nad sobą broń owiniętą workami, by zabezpieczyć ją przed szkodliwym działaniem wody, która tak cuchnęła, że Rao powstrzymywał mdłości.

Ciesz się, powtarzał sobie, że ostatnio nie padało. Ciesz się, że tu nie toniemy.

Ciesz się, że w ogóle istnieje jakaś droga wyjścia.

Skupił się i parł dalej w mroku.

Zostawili mężczyzn i kobiety w lakowych ogrodach. Musieli. „Jeśli przyjdą tu żołnierze, zaraz zobaczą, że jest pusto” – powiedział dwaralski lord. „Zostawię więc parę osób i poproszę resztę z was, szlachetni panowie, żebyście zrobili to samo”.

Pozostali książęta i lordowie zgodzili się. Rao nie spoglądał wtedy na Malini – nie musiał, dobrze wiedział, jak starannie plotła swoją sieć. Jej milczenie, gdy mężczyźni mówili, niczego nie znaczyło.

Kapłani bezimiennego zdecydowali się zostać. „To nasz klasztor, miejsce naszej służby i posługi” – oznajmił jeden z nich, gdy ze spokojem klęczał w zagajniku lakowych drzew, pod ich perłowo lśniącoymi liśćmi i pod ich lśniąco oleisto korą. „Bezimienny zdecyduje, co się z nami stanie”.

– Zapewne nic z tego nie przyjdzie – odpowiedział szorstko Mahesz, paridżacki lord, który od początku był w pełni lojalny wobec Aditji. – Ale dziękujemy wam za okazaną odwagę.

– To nie odwaga – mruknął później Aditja do Rao, gdy mężczyźni pakowali wyposażenie i broń na oczach Malini obserwującej ich z zacienionej werandy klasztoru z pallu naciągniętym na twarz. – To jedynie nasze powołanie. Akceptacja wiatrów losu.

– Uważam, że akceptacja losu może oznaczać odwagę – odpowiedział Rao, myśląc o Alori. – Stawienie czoła śmierci ze spokojem... to naprawdę coś odważnego.

Aditja też musiał o niej pomyśleć. Nagle wyglądał, jakby ogarnął go silny smutek.

– Rao, ja nie chciałem...

– To nic takiego – przerwał mu Rao. I rzeczywiście było to nic takiego. Musiało. Nie był jednak w stanie znieść przeprosin Aditji. – Lepiej przygotujmy się do wymarszu.

Teraz przesuwali się krok za krokiem w zalanych tunelach, w wyłożonych kamieniem korytarzach, a ciemność stawała się coraz gęstsza, napierała na nich. Nie mieli żadnych lamp. Ani ognia. Nie można tu było używać płomienia. Ani teraz, ani, oby, nigdy w przyszłości. Znów obejrzał się na Malini. Była niemal niewidoczna, ale dostrzegał jej oczy, ich białka lśniąco w kontraście z wodą.

– Księżę Rao – rzekł cicho jeden z ludzi Prema – zbliżamy się do końca.

Powyżej nich widniała krata. Przez nią widzieli cienkie wycinki księżycowego blasku. Trzech mężczyzn podniosło ręce, by odsunąć ciężką pokrywę na bok. Rao miał tylko chwilę, by wystraszyć się potencjalnej pułapki – roztropny strateg dysponujący zaledwie garstką ludzi mogli by ich tu wyłuskać jedno po drugim – jednak zdołali bez przeszkód wydostać się przez otwór. Gdy Malini została wyciągnięta z wody, Aditja natychmiast owinał ją workiem zdjętym z broni. Księżniczka wyszeptwała podziękowanie i zacisnęła wokół siebie tkaninę, jakby była najwykwintniejszą dwaralską chustą.

Wślizgnęli się cicho pod osłonę drzew – świeżych, Nielakowanych, słodkich od woni żywicy i gleby. Nie mieli przy sobie żadnych świateł.

Zakładali cięciwy, sprawdzali naciąg łuków. Za drzewami leżał wielki zbiornik retencyjny Srugny z tamą z kamieni ułożonych w przemyślny sposób. Rao nigdy nie widział niczego podobnego. Chciałby kiedyś móc się temu dobrze przyjrzeć, podziwiać wykonaną tam pracę. Ale teraz nie mógł.

Malini stanęła obok niego. Drżała lekko, ale wpatrywała się skupionym wzrokiem w znajdujący się poniżej klasztor.

– Wszędzie cisza – rzekła.

– Twój dwaralski lord tak ci powiedział?

– Owszem, lord Khalil tak powiedział. I nie jest mój, Rao. Nie bądź małostkowy. Przede wszystkim jest lojalny wobec swojego cesarza.

– Przede wszystkim jest lojalny wobec dwaralskich interesów.

– Zatem to szczęście, że interesy Aditji i Dwarali są zbieżne. – Zarówno jej głos, jak i wyraz twarzy były obojętne. – Mam wrażenie, że jesteś na mnie zły.

Milczał przez chwilę, po czym się odezwał:

– Ten plan.

– Tak?

– Jest głupi. Nie wiem, jak przekonałaś Aditję, by go poparł, ale boję się go.

Malini nawet nie próbowała udawać, że to nie jest jej plan.

– Do niczego go nie przekonywałam. Jedyne podsunęłam propozycję. Zaś cesarz Aditja należycie ją rozważyć.

– Należycie ją rozważyć – powtórzył Rao. – Co mu powiedziałaś?

– Prawdę – odparła zwięźle księżniczka.

– Ten plan jest... – Zawahał się.

– Nie krępuj się, Rao.

– Zimny. Okrutny. Tak inny niż ty.

– Brzmisz nieco jak Aditja – odrzekła po chwili napięcia. – Sądzę jednak, że nie bez powodu od tak dawna się przyjaźnicie. Obaj macie w sobie słabość, której nie rozumiem.

– Moralność nie jest słabością.

– Jest, jeśli przez nią zginiemy. Rao, mamy ludzi, ale w ograniczonej liczbie, podobnie jest z bronią. Klasztor leży w dolinie. Jest narażony na atak, ponieważ ma tylko jedno znane wejście. Zdajesz sobie na pewno sprawę z tego wszystkiego. Gdybyśmy tam zostali, z łatwością by nas okrążyli. Albo wyrznęli. Może by nas spalili. Byłoby to takie proste.

– Jej głos zmienił się niczym dźwięk wydobywany palcami ze strun sitara, z łagodnego w pulsującą dzikość. – A ja nie zamierzam spłonąć, Rao.

– Malini.

– Co? Jak zamierzasz to skomentować? Gdyby to lordowie Khalil albo Mahesz wpadli na ten pomysł, nie reagowałbyś tak. Gdyby wpadł na niego Aditja, podporządkowałbyś się z ciężkim sercem, ale nie rozmawiałbyś z nim w taki sposób, jak ze mną. Dlaczego?

– Uważasz, że mam o tobie gorszą opinię niż o tych mężczyznach – powiedział Rao z niedowierzaniem.

Zmierzyła go spojrzeniem, które nic nie zdradzało. Nawet nie oceniało.

– Nie wiem, co widzisz, gdy na mnie patrzysz. Ale jeśli uważasz, że ten plan jest jak na mnie zbyt zimny albo zbyt okrutny... – Wzruszyła ramionami. – Nigdy cię nie okłamałam. Jeśli mnie nie znasz, jeśli nie jesteś w stanie zrozumieć, co próbuję osiągnąć, to wyłącznie ty jesteś za to odpowiedzialny.

Rao ugryzł się w język.

Być może to właśnie była odpowiednia chwila. Chwila, by przekazał jej prawdę. By zdradził jej tajemnicę swojego imienia, opakowaną niczym mroczny podarunek, czekającą na wypowiedzenie. Zawsze uważał, że zorientuje się, gdy ta chwila nadejdzie. Zawsze słyszał, że będzie wiedział, kiedy należy ujawnić imię. Jednak teraz nie czuł tego napięcia w kościach. Czuł jedynie smrodliwą wilgoć ubrań i dziwny bezruch w powietrzu, gdy dookoła w ciemności przyczaili się wojownicy.

Mimo to niemal je wypowiedział. Niemal obrócił się do Malini, formując imię na ustach. Moje imię, imię, które kapłani wyszeptali mi do ucha przy narodzinach. Malini, moje imię brzmi...

– Są tu. – Wiadomość przekazywana pomrukami od wojownika do wojownika dotarła do miejsca, gdzie stali Malini i Rao. Jego ciało stało się jak otępieale.

Poniżej nich, na jedynej przełącznicy zapewniającej bezpośrednie dojście do lakowych ogrodów, wił się szereg zbrojnych. Niewątpliwie nie były to pełne siły Ćandry, niemniej zjawili się tu cesarscy żołnierze Paridżatu. Przemieszczali się cicho i zwinnie, ale mimo to Rao ich rozpoznawał. W ich krokach kryło się coś charakterystycznego. I oczywiście w broni, w wielkich lśniących szablach, w blasku ostrych dysków przy pasach.

Grupa wysłana, by zabić mężczyznę we śnie. Przypuszczał, że nie wiedzieli, iż Aditja zebrał jakichkolwiek zwolenników. Gdyby się domyślali, nie przysliby w tak niewielkiej liczbie. I przynieśliby potężniejszą broń.

Niemniej gdyby poplecznicy Aditji nie opuścili lakowych ogrodów, gdyby nie ostrzegł ich zwiadowca, gdyby zostali i dalej postępowali

zgodnie ze zwyczajami kapłanów, gdyby pozwolili, aby przelała się po nich fala losu...

Rao spojrział na Malini. Nie odpowiedziała spojrzeniem.

Wojownik klęczący u ich stóp – który wcześniej ich powiadomił – wykonywał teraz powolne, staranne ruchy: sięgnął po krzesiwo, po strzałę, po mieszanekę oleju i ghi, pospiesznie zabutelkowaną, zanim wyruszyli. Pozostali robili to samo. W pełnej napięcia ciszy Aditja wyszedł z tłumu. Trzymał w dłoniach łuk, a na plecach miał kołczan.

Gdy stał tak wysunięty, z wyprostowanymi barkami i uniesioną głową, jego widok uspokajał. Zmrużonymi oczyma wpatrywał się przez mrok nocy w rozciągający się w dole klasztor.

Uniósł dłoń i wykonał jednoznaczny gest: wstrzymać się.

Czekali. Poniżej rozległy się okrzyki, dobiegł brzęk kling. Tak jak zaplanowano, nieliczni żołnierze, którzy tam pozostali, zaatakowali ludzi Ćandry. Był to podstęp. Niech wojownicy z Paridżatu uznają, że weszli do klasztoru nieświadomego napaści. Niech myślą, że bez problemu pojmagają Aditję i zakończą jego życie.

Niech wejdą głębiej w lakowe ogrody.

Aditja wciąż trzymał uniesioną dłoń. Wstrzymać się. Rao, który nie miał łuku, wstrzymywał wyłącznie oddech. Nawet serce mu znieruchomiało, czekało na nieuniknioną wskazówkę.

Zapalić strzały. Podpalić klasztor. Dopilnować, żeby wszyscy ludzie Ćandry – i wszyscy biedni kapłani, którzy zostali, by oddać się w ofierze – spłonęli.

Wstrzymać się.

Czekał. Aditja nie opuszczał dłoni.

Pojawiły się oznaki niepokoju. Hałasy z dołu nabierały siły.

W każdej chwili mogli zostać dostrzeżeni. Paridżaccy wojownicy zauważą ich i skierują broń w górę. Ich ludziom strzały wbiją się w gardła, w brzuchy. Paridżatczycy w dolinie znajdowali się w mniej korzystnym położeniu, ale Rao mimo to oblewał się zimnym potem na tę myśl.

Jeden z lordów wymruczał przekleństwo i sprawiał wrażenie, jakby chciał opuścić dłoń Aditji za niego, wykonać gest nakazujący śmierć, ale, głosem brzmącym niczym lodowaty deszcz, Aditja rzekł:

– Chcesz spalić kapłanów? Czekaj, bracie.

Lord wzdrygnął się. Znieruchomiał.

Aditja stał w okazałej pozie, obrócony profilem. Z wzrokiem niczym lód, ostro zarysowaną żuchwą, poważny i zdystansowany. Bardzo przypominał tamtego Aditję, u boku którego Rao dorastał, księcia

Paridżatu, człowieka o nieposzlakowanej szczerości, zawsze kierującego się honorem i kodeksem szlacheckim od nocy, kiedy ksiązę usłyszał głos bezimiennego.

Rao znał Aditję, tego Aditję, wystarczająco dobrze, by wiedzieć, co zaraz nastąpi. Znajdowali się tu w odpowiedniej pozycji, by zbiec w dolinę, by wyróżnić wojowników. Będzie to o wiele czystsza ścieżka niż ta, którą zaplanowano. Skończy się śmiercią wielu ich ludzi, na których stratę nie mogli sobie pozwolić. A jednak ta perspektywa przynosiła Rao ulgę. Była elementem szlachetnej wojny, a Aditja był szlachetnym kandydatem na cesarza.

Rao sięgał już po miecz, gdy Malini wystąpiła naprzód. Zrzuciła z siebie worek i stała jedynie w mokrym sari, a warkocz okręcał jej się wokół szyi niczym czarny wąż. Podeszła jeszcze dalej, gdy w dole okrzyki nabrały intensywności – wrzaski ludzi mordujących i ludzi umierających. Aditja zupełnie znieruchomiał. Cokolwiek dostrzegł w twarzy siostry, przykuło jego uwagę.

– Nikt nie chce zabijać swoich ziomków – rzekła łagodnie Malini. – Rozumiem to.

Wzięła od Aditji łuk. Był dla niej za duży, ale trzymała go pewnie.

– Kapłani bezimiennego wierzą w los – oznajmiła czystym wspólnym zabian, na tyle głośno, by ich ludzie ją usłyszeli. Na tyle głośno, obawiał się Rao, żeby usłyszeli ją również zbrojni z dołu. Ale nie poruszyła się, nie próbowała się zasłaniać. Stała dumnie wyprostowana. – Kapłani bezimiennego skonstruowali swój ogród z laki i żywicy. Wiedzieli, że ten dzień nadejdzie. Czyż nie tak, ksiązę Rao? Czy wasi kapłani znają ścieżkę losu?

– Owszem – usłyszał swój głos i wiedział już, że właśnie ich skazał.

– Być może nie macie ochoty słuchać błagań zwykłej kobiety – powiedziała głosem pewnym i spokojnym, pozbawionym choćby śladu pokory. – Ale jestem córką najstarszego rodu Paridżatu. Jestem księżniczką Paridżatu. Pochodzę od pierwszej matki płomienia. Mój brat, fałszywy cesarz, próbował spalić mnie żywcem, ale przetrwałam. Znam sąd ognia i cenę, jaka się z nim wiąże. Tutaj, w tym mroku, słyszę matki. I wiem, że moim obowiązkiem jest dopilnować, żeby ten los się wypełnił. – Zaczerpnęła głęboko tchu, jakby dawało jej to siłę, jakby niosła niewyobrażalny ciężar, po czym obróciła się i spojrzała na klęczącego wojownika, który wpatrywał się w nią bacznie w milczeniu. – Podpal moją strzałę – poleciła.

Żołnierz zanurzył grot w ghi. Uniósł krzesiwo. Skrzesał iskrę.

„Kapłani bezimiennego skonstruowali swój ogród z laki i żywicy. Wiedzieli, że ten dzień nadejdzie”.

Rao obserwował płonący grot, gdy Malini z twarzą niczym wykuta z kamienia unosiła strzałę i nakładała ją na cięciwę. Pomyślał o kapłanach, którzy zostali na dole, o ich spokojnych oczach. Pomyślał o tym, że los jest niczym wijąca się pętla, jak jedwabista istota czekająca na odpowiednią chwilę, by się zacisnąć.

Wiedzieli, że ten dzień nadejdzie. Wydawało się to słuszne. Ach, niech będzie przekłeta, naprawdę wydawało się słuszne.

Wokół niej rozkwitło kilkanaście płomyczków. A później kilkanaście kolejnych. Naciągnięto cięciwy. Uniesiono włócznie.

Malini wypuściła pocisk i ogień pomknął łukiem w dół.

Przez chwilę nie było widać niczego oprócz tych płonących grotów w mroku, maleńkich światełek mknących niczym spadające gwiazdy.

Wtedy lakowy ogród zaczął płonąć.

Przez trzask płomieni Rao usłyszał wrzaski. Przez krótki moment Malini stała na tle światła, wciąż z łukiem w dłoniach. Dym wznosił się za nią wielkim kłębem, kotłował się szarością w mroku nocy, jego kontury rysowały się spłowiałym złotem. Rao przełknął ślinę, wciąż wpatrując się w księżniczkę, aż oczy zaczęły mu łzawić i piec przez dym oraz ogień. Tak działał los.

On również powinien był się domyślić, że ten dzień nadejdzie.



66

PRIJA

Dźwiganie Aśoka nie wymagało wysiłku, choć on był przekonany, że tak jest. Czula kruchość jego ciała, słyszała oddechy grzechoczące jego żebrami, wilgoć w jego płucach.

– Upadniesz pod moim ciężarem – powiedział do niej łamiącym się głosem. Na wargach miał krew, która spływała z nich jak łzy z oczu.

– Nie opieraj się na mnie całkowicie, to nic się nam nie stanie – odparła.

Przez chwilę szli w milczeniu, po czym rzekł:

– Kritika ma przy sobie koronną maskę. Gdy staniemy się trzykrotnie zrodzeni, jedno z nas powinno ją włożyć.

– Nie potrzebujemy koron ani masek – powiedziała Bhumika ze znużeniem.

– Ale potrzebujemy mocy – zripostował Aśok. Zgiął się wpół, kaszłąc. Bhumika, której twarz sama wyglądała jak maska, odwróciła od nich wzrok i kroczyła dalej. Jednak Prija zatrzymała się i wciąż go podtrzymywała, pozwalając mu zaczerpnąć tchu.

Nic mu nie będzie, przypominała sobie. Gdy już przejdą przez bezśmiertne wody, wrócą mu siły.

– Prijo – rzekł po chwili. – Prijo. Musisz... musisz wiedzieć.

– Co takiego?

– Zabiłem Ćandni. W zasadzie zabiłem. Zostawiłem ją przywiązaną do drzewa toczonego butwieniem. – Z wysiłkiem odetchnął. – Nie ma już żadnych starszych. Zostaliśmy tylko my.

Ćandni nie żyła.

Słowa te rozbrzmiewały w głowie Prii niczym dzwon. „Zabiłem ją. Zostawiłem ją przywiązaną do drzewa toczonego butwieniem. Zabiłem ją”.

Przez długą chwilę nie potrafiła się odezwać, później jednak zmusiła język i wargi, by się poruszyły, choć wydawały się jak z ołowiu.

– Dlaczego mi to mówisz? Mam się cieszyć z tego powodu?

– Chciałem tylko, żebyś wiedziała – mruknął Aśok.

– Na glebę i niebo, dlaczego?

– Masz do tego prawo – odparł. – Uznaj to za moje wyznanie na łożu śmierci.

Nie brzmiał, jakby dręczyły go wyrzuty sumienia. Nie była pewna, czy oczekiwała tego po nim. Wiedziała tylko, że ta wiadomość była dla niej jak cios w głowę, po którym wciąż dzwoniło jej w uszach. Nie potrafiła przestać o tym myśleć, a jednak próbowała. Jaka była ostatnia rzecz, którą powiedziała do Ćandni? Jak Ćandni na nią spoglądała, gdy Prija ją zostawiała? Nie potrafiła sobie przypomnieć. Dotąd nie przypuszczała, że będzie chciała.

– Była starą kobietą, która i tak już umierała. A ty nie boisz się zabijać. Powinnaś się tego spodziewać. I nie powinnaś się przejmować. – Poczuli, jak zaciska jej się gardło. Trudno było wyduszać z niego słowa. – Chciałabym móc powiedzieć, że nie wiem, dlaczego taki jesteś, dlaczego wiecznie, raz za razem, wyrывasz ze mnie serce, ale przecież wiem. Również przeżyłam nasze dzieciństwo. – Odwróciła od niego wzrok. – Dotarliśmy.

Stali u podstawy Hirany.

Bhumika zmierzyła Priję beznamiętnym spojrzeniem, a ta pokręciła głową.

– Nie musimy się wspinać. Hirana mnie zna. A ja znam ją. Wpuści nas.

Bhumika nie protestowała, gdy Prija przekazała jej ciężar Aśoka. Oparł się na ramieniu Bhumiki, zaś Prija przycisnęła dłoń do ciemnoszarego kamienia Hirany pokrytego mozaiką mchu. Hirana ją wyczuła. Powitała.

Droga otworzyła się.

Był to tunel. Pozbawiony światła, niemniej – droga.

– Wszyscy za mną – poleciła Prija.

Weszli razem w mrok. Prija czuła, że bezśmiertne wody są coraz bliżej, ich woń była świeża i rześka niczym chłodna noc. Ich płynny kosmos wydawał się znajdować już niemal w zasięgu.

I wtedy, nagle, byli już przy nich.

Bezśmiertne wody leżały przed nimi, rozlewając się błękitnym żarem w ciemności jamy wydrążonej pod świątynią. Prija odebrała Aśoka z objęć Bhumiki, podprowadziła go do krawędzi i puściła. Uklękła nad powierzchnią i przycisnęła dłonie do ziemi. Zaczepnął kilka długich, urywanych oddechów, ciężkich od krwi, a później dotknął czołem podłogi.

Bhumika, stojąca obok Prii, wpatrywała się w wody, zaciskając pięści. Buntownicy tłoczyli się z tyłu z grozą i zachwytem na twarzach.

– Powinniśmy wypowiadać jakieś specjalne słowa? – mruknęła Prija do Bhumiki. – Żeby poczuli się lepiej?

Bhumika westchnęła i odchyliła głowę w tył, jakby chciała powiedzieć: duchy, miejcie mnie w swojej opiece, po czym rzekła:

– Albo możemy się zanurzyć i mieć to już z głowy.

Jednak z jej zaciśniętych dłoni ulotniła się część napięcia. Gdy Prija wyciągnęła do niej rękę, Bhumika splotła z nią palce. Ścisnęła je.

– Podejdźcie – wydyszał Aśok, a wtedy inni zatruci przez fiołki buntownicy wystąpili naprzód, by stanąć na skraju wód. – Zanurzymy się. Jeśli będziemy mieć szczęście, wyjdziemy. A później ochronimy Ahiranję. Spełnimy nasz obowiązek.

Rozległ się pomruk potwierdzenia. Aśok podniósł wzrok na Priję. Miał wilgotne oczy.

Prija również na niego spojrzała i postanowiła nie zastanawiać się nad tym wszystkim, co zrobił. Zamiast tego myślała o tym, że tylko ona, Aśok i Bhumika pozostali z ich rodziny, połączonej nie więzami krwi, lecz historią i cierpieniem, miłością i taką krzywdą, jaka może się zrodzić wyłącznie z miłości.

Wyciągnęła do niego rękę. Ujął ją i ostrożnie wstał.

Popatrzyła na rozciągające się przed nią wody. Zmuszając się, by o niczym nie myśleć, by na nic nie liczyć, ścisnęła mocno dłonie rodzeństwa i weszła.

Zapadła się pod powierzchnię.



Jeśli znaleźć się wystarczająco głęboko, opadanie i wznoszenie nie różnią się od siebie, a bezśmiertne wody nie miały końca. Były chłodnym, lśniąącym błękitem – błękitem wszechświata. Błękitem gwiazd otulonych pasmami nieba zawierającego wszechrzecz. Prija znajdowała się głęboko w nich, z otwartymi oczyma i płonącymi płucami. Zastanawiała się, czy utonie.

Nie potrafiła sobie tego przypomnieć. Czy tak samo działo się, gdy zanurzyła się poprzednio? A za pierwszym razem? Odepchnęła się nogami i nie wiedziała, czy wznosi się ku powierzchni, czy też zapada się głębiej.

Uniosła przed siebie ręce. W falującej wodzie w spanikowanych oczach jej skóra wydawała się niczym cień – taki, jaki pada pomiędzy wielkimi drzewami, głęboka ciemność przechodząca w grafit światła przeciskającego się przez szczeliny pomiędzy liśćmi.

Nie była w stanie oddychać. Wciąż wierzgała, wciąż starała się wznieść, choć nie wiedziała, czym jest wznoszenie. W końcu nie mogła już jednak dłużej wytrzymać. Otworzyła usta, wciągnęła palący oddech i spijała wody. Spijała i była spijana.



Uniosła głowę, łapczywie chwytając powietrze. Potrzebowała chwili, by uświadomić sobie, że już nie palą jej płuca. Otaczająca ją woda była ciemna, lecz unosiły się w niej korzenie kwiatów lotosu, zakręcające się i splatające.

Przed sobą znów miała jakszę.

Tym razem nie nosiło jej twarzy.

– Ach, sadzonko. – W jego głosie zabrzmiała czułość. – To oblicze bardziej ci się podoba. Tak mi się wydawało.

– Nie jesteś nią – wyszeptała Prija. – Proszę. Nie bądź nią. Nie tego chcę.

Jaksza pokręciło głową. Ciemne loki Malini zawirowały wokół jej twarzy o eleganckich kościach policzkowych i bezdennych oczach.

– Ależ chcesz – powiedziało jaksza. Znów dotknęło jej policzka. Cofnęło palce. Wokół opuszki jednego z nich Prija dostrzegła łądzkę lub korzeń, coś splecionego z krwi i zieleni. – Znam cię. Jesteśmy ze sobą powiązani. Zatem wiem.

– Proszę – powtórzyła Prija.

Jaksza znowu pokręciło głową i loki Malini rozmyły się w aureolę,
a później jaksza... zmieniło się.

Głębokie, nagietkowe oczy. Włosy z poskręcanych pnączy.
Różanoczerwone wargi.



Uśmiech niczym z cierni, ostry jak promienie światła.

Jaksza było jednocześnie piękne i wyglądało jak kobieta tkwiąca głęboko w objęciach butwienia. Przekrzywiało głowę, skupiając oczy o złotych płatkach na piersi Prii.

– Czym jest wiara? – spytało.

Wiedziała to.

– Wydrążeniem – odparła. – Jest... – Urwała i spojrzała tam, gdzie patrzyło jaksza. Jej cienista pierś była wydrążoną, otwartą raną. Pokrywało ją mrowie kwiatowych płatków, kości były kanciastymi pręgami drewna, krew jak czysty i słodki sok z liści. We wnętrzu leżało pulsujące serce z... kwiatów.

Spojrzała na to, co dawniej było jej sercem. Pomyślała o słowach Aśoka, gdy nazywał jakszę kukułką w ciele. Przypomniała sobie drzewo rosnące za pustelnią Ćandni.

Jaksza uniosło dłoń. Zwinnie odłamało sobie palec i tchnęło w niego. Palec był z drewna i zakrzywił się, wyostrzał, schludnie rzeźbiony oddechem jakszy. Zanim jeszcze jaksza podało jej nóż, Prija wiedziała, że jest wykonany ze świętego drewna, że powstał z ofiary ciała i krwi złożonej przez jakszę. Wiedziała również – z grozą i głodem, które nią wstrząsnęły – czego się po niej spodziewano.

– Wydrąż się – poleciło jaksza.

– Nie mogę. Jak mogłabym?

– Robisz to za każdym razem, gdy tu przychodzisz – odparło jaksza głosem jednocześnie łagodnym i niewypowiedzianie okrutnym. – Za każdym razem woda wypełnia cię od stóp do głów i za każdym razem zadajesz to pytanie: czy mam pozwolić, by woda mnie unicestwiła i stworzyła na nowo, czy też mam trzymać się śmiertelnego ciała? Mam zamykać tę duszę w fiołce swojego ciała, tego jadowitego ciała skazanego na śmierć, czy stać się jednością z wodami wszechświata?

Czy to dlatego inni zmarli? Ponieważ nie byli skłonni złożyć ofiary, stać się czymś mniej lub czymś więcej niż ludzie?

Tyle razy tak bardzo walczyła o to, by się tutaj znaleźć, i oto była. A jednak cień jej dłoni drżał, gdy sięgała po nóż. Kiedy dotknęła go palcami, zapiekły.

– Tylko w ten sposób mogę stać się wystarczająco silna, żeby ocalić Ahiranję – szepnęła. – Tylko w ten sposób mogę ocalić moją rodzinę.

Jaksza milczało.

Prija wzięła broń. Przyłożyła ją do cienia swojej skóry pokrywającego jej duszę. I wycięła miejsce dla magii.

Nie czuła bólu. Jedynie wrażenie, że powietrze ucieka jej z płuc, jakby do środka wlewała się woda, po niej ogień, a następnie jasne światło, zielone i czyste.

Coś utkwilo jej w gardle. Coś przypominającego śmiertelną duszę. Coś przypominającego krew.

Kwiat, który dała Malini. Igłokwiat.

Włożyła w niego fragment swojego serca.

– Nie mogę dać ci wszystkiego – wydyszała przez szarpiącą ranę. – Nie mam już tego.

– Nieważne – odpowiedziało łagodnie Jaksza. – Nieważne, sadzonko. Mamy już dość.

Pomyślała o krwi płynącej w sercu, o miłości, wściekłości oraz o punkcie równowagi pomiędzy nimi, gdzie mieszkaly wspomnienia o Malini. Zaś pączek – sadzonka – który był jej magią, rósł coraz bardziej, aż zorientowała się, że nie jest już do końca Priją. Być może nigdy nią nie była. Być może od chwili, gdy pojawiła się na Hiranie jako niemowlę, bezśmiertne wody przekształcały ją od środka, tworzyły z niej naczynie dla swojej magii i głosów, odrzucały te wszystkie jej części, które czyniły z niej śmiertelną kobietę o prostym śmiertelnym sercu.

– To również – usłyszała głos Jakszy – można wydrążyć z czasem.

I wtedy Prija znów znalazła się w wodzie, zimnej, roziskrzzonej i błękitnej, znów wierzgała. Znała już drogę. Została przemieniona, stała się całością i wiedziała, jak się wznieść.



Wynurzyła się, łaknąc powietrza. Wykasływała wodę z płuc, starając się utrzymać na powierzchni, wierzgając w ciężkiej nicości. Podpłynęła do brzegu i podciągnęła się na niego.

Bhumika już tam była, z mokrymi włosami i twarzą, na której widniały chłód i ulga.

– Jaksza – wydyszała Prija, a Bhumika obróciła głowę, zaciskając dłonie. Któryś z buntowników – teraz już świątynne dziecko – uderzył ją mocno w plecy raz, później drugi, a wtedy Prija zwymiotowała wodą na kamień i już nic nie mówiła.

Nie potrafiła przypomnieć sobie, co zamierzała powiedzieć. Ale policzek płonął jej chłodnym ogniem i nie mogła zapomnieć wrażenia

korzeni i kwiatów wznoszących tam, gdzie powinno znajdować się jej serce, rozkwitających ku jej duszy. Nie mogła zapomnieć wydrążenia.

Ale wydawało się to słuszne. Wydawało się wspaniałe. I w tamtej chwili przemiany czegoś się nauczyła: co oznaczało być starszą świątynią. Co oznaczało służyć jakimś.

To coś już zanikało.

Uchwyciła się tego mocno i poczuła ostry ból w policzku w miejscu, w którym jakiś przejechało po nim paznokciem. Ból ściągał strzępy jej wspomnienia, podobnie jak szew ściąga tkaninę.

– Sądziłam już, że się nie wynurzysz – rzekła Bhumika przez dzwoniące zęby. – Prijo, zajęło ci to tak długo. Zatem... – Nagle, ku szokowi Prii, Bhumika ją objęła, dyszała ciężko, jej nierówne oddechy padały na mokre włosy Prii, która odruchowo również ją przytuliła.

– Aśok – wyszeptała. – Gdzie jest Aśok?

Bhumika nic nie odpowiedziała. Któryś z buntowników zawodził cicho, żałośnie.

– Nie możesz tam wrócić, Prijo – rzekła wreszcie Bhumika. – Nie wolno ci.

Prija strząsnęła jej objęcia. Obróciła się znów ku wodzie, wciąż klęcząc. Bhumika chciała przycisnąć ją do ziemi, ale Prija była silniejsza, mogła zrzucić z siebie siostrę niemal bez wysiłku...

– Przestań – powiedziała Bhumika. – Przestań, przestań, proszę. Pri. Prijo. – Przycisnęła policzek do jej policzka. Miała skórę wilgotną od wody i od łez. – On odszedł.

– Nie. Nie, wcale nie.

– Odszedł – powtórzyła Bhumika, a Prija wiedziała, że to prawda. Czuła jego nieobecność. Ciszę w sangamie.

Płomienie nie zgasły aż do późnego ranka.

Gdy w końcu zanikły, wojownicy zeszli do szczątków klasztoru.

– Nie powinnaś była tu przychodzić, księżniczko – powiedział jeden z wojowników. Obwiązał sobie twarz połą chusty, tak że widać było tylko jego oczy i zmarszczone brwi. – Powietrze jest trujące.

Wiedziała to. Czują je nawet stąd.

– Muszę – odparła i zasłoniła sobie usta długim rąbkiem sari. Tkanina wciąż była lekko wilgotna od wody z kanałów pod ogrodami, ohydnej i zielonkawej. – Przyjmę cię jednak jako mojego strażnika, jeśli zechcesz mi towarzyszyć.

Nie przeżyli żadni kapłani ani paridżaccy zbrojni. Kilku cesarskich żołnierzy próbowało uciekać, gdy rozgorzały płomienie. Wielu odniosło zbyt poważne oparzenia, żeby dotrzeć daleko, a ludzie Aditji znaleźli to, co z nich zostało, przy resztkach mostu.

Niektórzy z lordów zaczęli już się zastanawiać, w jaki sposób skonstruować tymczasową przeprawę. W lakowych ogrodach nie zostało niemal nic nadającego się do wykorzystania, ale przynajmniej garstka ich ludzi pochodziła z Dwarali – wiedzieli, jak chodzić po niebezpiecznych skalnych urwiskach. Zaproponowali, że zejdą, zabezpieczając się jedynie liną, i poszukają bezpiecznej drogi albo zapasów.

Gdy omawiali dostępne możliwości, Malini przyklęknęła na spopielonej ziemi. Słońce grzało ją w kark. Nad kratą prowadzącą do kanałów przybito grube drewniane płyty. Spaliły się lub przypaliły, ale księżniczka dostrzegła na nich ślady przypominające zadrapania zrobione przez zwierzęta wspinające się po pniach drzew.

Ślady paznokci. Ktoś drapał osłony wejść do wody. Ktoś próbował się ratować. Ale ludzie Aditji starannie zabezpieczyli klapy. Most spłonął. Tamci zginęli w grozie i bólu.

Spoglądała i nie czuła... niczego. Owo nic było tak wyraźne, tak pełne, że wiedziała, iż nie jest to prawdziwa pustka ani prawdziwa obojętność. Wrażenie to kojarzyło jej się z pięścią zaciskającą się wokół gardła.

– Księżniczko – powtórzył wojownik ze zniecierpliwieniem – proszę.

Ujęła podaną dłoń i odsunęła się od zmarłych.

Tamtej nocy, na długo po tym, jak dwaralscy żołnierze odeszli, Malini śniła. Narina i Alori siedziały u stóp jej łóżka, zaciskały dłonie, wokół włosów miały aureole bezgłośnych płomieni.

– Nie jesteście prawdziwe – powiedziała im. – Skończyłam już z igłokwiatem.

– Ale on nie skończył z tobą – odparła Narina z litością. – Przykro mi z tego powodu. Ale oto jesteśmy.

– Malini – odezwała się Alori – jak sądzisz, jak brzmiałoby twoje imię, gdybyś urodziła się jak ja, jako członkini rodziny panującej w wierze w bezmiennego? Jak uważasz, co kapłan wyszeptałby ci do ucha?

Los jej nie nazwał. Ale decyzje podjęte przez mężczyzn i decyzje podjęte przez nią – gdy brat przycisnął jej nóż do karku, gdy brat chciał ją spalić – ukształtowały ją i dały jej cel.

– Nie myślałam o tym – odparła. – I nie wierzę w to.

– A jednak bezmienny myśli o tobie – rzekła Narina. – Duchy myślą o tobie. Matki myślą o tobie.

– Nie wierzę już w matki – wyszeptła Malini. – Nie wierzę, że to, co zrobił Candra, uczyniło was czymkolwiek więcej.

– Wszehświat jest rozleglejszy i dziwniejszy, niż ci się wydaje – powiedziała ze smutkiem Alori. – Ale, Malini...

Jej głos ucichł. Osobliwe. Malini nie sądziła, że wizja potrafi płakać.

– Gdy będziesz mordować swoich braci, pamiętaj, że kiedyś cię kochałyśmy, sestro serca – dokończyła Narina. – Pamiętaj, że wciąż cię kochamy, nieważne, czym się staniesz.

Malini zamknęła oczy, które piekły ją od łez. Zamknęła oczy przed wizją i przed smutkiem. Gdy je znów otworzyła, Narina i Alori już zniknęły.



O świcie wrócił jeden z dwaralskich żołnierzy. Przyniósł więcej sznura i przedstawił plan mozolnego zejścia po urwisku z użyciem kołowrotu i zabezpieczenia w postaci liny.

Malini przypomniała sobie zdradzieckie zejście po Hiranie i niemal się roześmiała. Och, gdyby tylko była tu Prija.

– Uda ci się to zrobić? – zapytał Rao.

– Mogę zrobić wszystko, co trzeba – odparła.

Przedostali się na dół. Malini zjechała w pętli splecionej z liny. Trzymała się jej mocno i wpatrywała w rozciągającą pod nią przepaść – przestwór kończący się poszarpanymi skałami. Kiedy znów postawiła stopy na stabilnym gruncie, starała się jak najlepiej ukryć ulgę.

Rozpoczęli podróż. Nie mogli sobie pozwolić na dalsze marnowanie czasu. Musieli spotkać się z resztą sił czekających na drodze do Dwarali i modlić się, by Ćandra nie natknął się na nie wcześniej. Zamierzali, na ile to było możliwe, poruszać się wzdłuż wybrzeża. Tamtejsze ziemie leżały poza granicami Paridżatdwipy, a zatem była mniejsza szansa, że natkną się na żołnierzy lub szpiegów Ćandry. Khalil mówił o tym wszystkim, podczas gdy Rao stał sztywno przy Malini, targany żałobą, Lata podtrzymywała ją pod rękę, zaś Aditja tkwił przed nimi wszystkimi cichy niczym zjawa.

– Czeką nas długa droga – powiedział szorstko dwaralski lord. – Ale zorganizujemy dla ciebie rydwan, księżniczko. Coś odpowiedniego.

– Dwaralskie kobiety jeżdżą konno, prawda?

– Wszyscy jeździmy – odparł. – Mężczyźni, kobiety i wszystkie dusze pomiędzy.

– Szkoda, że nie posiadam ich umiejętności – oznajmiła. – Umiejętności znanych kobietom z Dwarali.

– Umiejętności można się nauczyć, księżniczko – rzekł. – Sądzę, że zyskasz je dość szybko.

Wypowiadał się z szacunkiem zahaczającym o cześć. Malini jedynie skinęła głową i szła dalej, skupiając wzrok w oddali.



Podróżowali wiele dni. Nie znajdowali się w żadnym szczególnym miejscu, po prostu na bitej drodze, otoczeni pyłem obrązowanym w świetle zachodzącego słońca, gdy Rao się obrócił.

Lata mocniej ścisnęła jej rękę.

– Księżę – odezwała się zdecydowanym głosem myślicielka – czy już czas?

Malini nigdy nie widziała u Rao takiego wyrazu twarzy. Wyglądał na jednocześnie zdeterminowanego i przerażonego. Wpatrywał się w nią, jakby jej nie widział, gorzały mu oczy.

– Już czas – odparł.

Lata wypuściła oddech. Zwolniła uścisk na ramieniu księżniczki. Odsunęła się, zostawiając ją.

Rao podszedł o krok bliżej do Malini.

– Rao – powiedziała z nagłym strachem – o co chodzi?

– Możesz szydzić z naszych losów, ale je rozumiesz – rzekł. – Ucieklibyśmy od nich, gdybyśmy mogli. Znajomość własnego największego celu życiowego albo czekającego nas nieuniknionego końca to straszliwe brzemie. Nie zazdrościłem siostrze jej imienia. Nie po tym, jak je poznałem. Ale nawet wtedy sądziłem, że mój los będzie łatwiejszy do zniesienia. Teraz nie mam już takiej pewności.

Rao uklęknął przed nią. Nie zrobił tego jak człowiek ogarnięty smutkiem albo jak mężczyzna z opowieści klękający przed ukochaną kobietą. Nie klęknął nawet jak wtedy, gdy jego siostra płonęła na stosie, z twarzą pozbawioną wyrazu i zaciśniętymi pięściami, zbyt zdruzgotany, żeby poruszyć się albo oddychać.

Klęknął i pochylił głowę. Opuszkami palców dotknął ziemi przed jej stopami.

Klęknął tak, jak klęka się przed królem. Przed cesarzem.

– Już czas – odezwał się wyraźnym głosem do Malini i do wszystkich wysoko urodzonych z Paridżatdwipy, którzy zebrali się wokół – bym wyjawiał ci swoje imię.

Nie nazwano tego koronacją, ale tym właśnie było.

W mahalu znajdowała się sala tronowa regenta, obecnie na wpół spalona i splądrowana. Wkrótce będą musieli ją wykorzystać. Byli jednak Ahiranyjczykami, zatem najpierw udali się do triweni. Do tamtejszego postumentu. Tylko one dwie zostały potrójnie zrodzone na Hiranie. Za nimi byli jednak nowi jednokrotnie zrodzeni, dawniej buntownicy Aśoka. Dalej stali służący z mahalu. Był to znaczący dzień i wszyscy chcieli w nim uczestniczyć.

Niektórzy służący prosili, by też móc wejść w wody, skoro ujrzeli zmiany, jakie wywołało to w ocalałych buntownikach, w Bhumice i Prii. Ale Bhumika odmówiła.

– Jeszcze nie – stwierdziła. – Wody żądają ceny. Niech najpierw zapłacą ją ci z nas, którzy muszą, i poznają jej wielkość. A później zobaczymy.

Odczekali jedną noc. Nikt nie zachorował i nie umarł. Wciąż jeszcze mogła ogarnąć ich gorączka i ich zabić, ale Bhumika nie traciła nadziei.

Nosiła Padmę przy piersi, w nosidełku z tkaniny. Jeden z mężczyzn próbował ją przekonywać, że Hirana nie jest miejscem dla dziecka. Bhumika uniosła jednak brew i rzekła:

– Czy gdzieś w Ahiranji jest bezpieczniej niż przy trzykrotnie zrodzonej?

Mężczyzna zamilkł.

Prija miała ściągniętą twarz i zaczerwienione oczy. Nie wspominała o Aśoku, odkąd zginął w wodach, ale Bhumika wiedziała, że dziewczyna cały czas o nim myśli.

– Chodź – powiedziała Bhumika. Wyciągnęła rękę. – Pójdziemy razem.

Prija ją ujęła.

Kiedyś, dawno temu, nowi starsi przechodzili inicjację ubrani w świetne jedwabne szaty, z rozpuszczonymi włosami perfumowanymi olejkami, z klejnotami i złotem na szyjach oraz nadgarstkach. Śpiewano pieśni i składano ofiary dla jakszów. Pielgrzymi, którzy wspięli się na Hiranę, otrzymywali kwiaty, owoce i fiołki z bezśmiertnymi wodami przewiązane srebrnymi wstążkami.

To wyniesienie przeprowadzano ze szcążkowym ceremoniałem.

Przeszły przez triweni.

Bhumika wspięła się ze stosowną powagą na szczyt postumentu. Prija weszła wraz z nią. Stały we dwie pod otworem wpuszczającym do środka niebo i popatrzyły na siebie.

Kritika podeszła i skłoniła się przed nimi.

– Starsze – powiedziała. – Już czas.

W jej dłoniach, na kawałku tkaniny, leżała koronna maska.

Prija sięgnęła ręką w dół. Dotknęła jej nagimi palcami.

– Nie pali – mruknęła.

Dobrze, pomyślała z pewną ulgą Bhumika, gdy Prija podnosiła maskę. Dziewczyna napotkała wzrok Bhumiki.

Rozmawiały o tym wcześniej. O tym, jak starszym zawsze przewodziło jedno z nich – najsilniejsze, najmądrzejsze, najstarsze. Teraz zostały tylko one dwie.

Ale Bhumika nie zamierzała już więcej zaniżyć swojej wartości.

Skinęła Prii głową. Delikatnie przesunęła tkaninę nosidelka, by zasłonić Padmie twarz. Prija odpowiedziała skinieniem, a jej usta lekko skrzywiły się w wyrazie żalu.

– Zawsze przeznaczona ci była władza – rzekła Prija, po czym nałożyła Bhumice maskę na twarz.

Powinna zacząć ją palić. Powinna zerwać jej skórę. Jednak Bhumika była trzykrotnie zrodzona, pobłogosławiona do głębi duszy mocą wód, i teraz czuła, jak siła wypełnia ją niczym lśniące światło – promienna, potężna i piękna.

Trzymały się za ręce. W tym momencie przebywały jednocześnie w sangamie i w triweni. Bhumika czuła całą Ahiranję jaśniejącą w niej, każdą rzekę, każdą sadzawkę, każdy korzeń każdego drzewa. Widziała Priję w sangamie, już nie jako istotę z cienia, tylko z kory, liści oraz splecionych kwiatów, ciemną jak noc.

– Gotowa? – spytała Bhumika chrapliwym głosem.

– Tak. – Głos Prii był pełen determinacji. I zachwytu. – Gotowa.

Zaczerpnęły powietrza. Wypuściły.

Poczuły wszystko.

Poczuły Ahiranję od krańca do krańca. Poczuły las, konary tych wielkich drzew, roślinną świadomość gleby, potęgę jadowitych owoców, liści, pnączy.

Sięgnęły dalej niż kiedykolwiek i wiedziały, że gdyby jakaś armia najechała Ahiranję, rozerwałyby ją na cierniach.

Ich dłonie rozdzieliły się, ale wiedza i moc pozostały w nich, w wodach napędzających ich siłę.

– Bhumika, starsza Ahiranji – odezwał się głos. I kolejny. Pieśń głosów. Radosny chór.

– Prija, starsza Ahiranji.

– Starsze. Starsze Ahiranji.

Bhumika zdjęła koronną maskę z twarzy i uświadomiła sobie, że płacze. I uśmiecha się. A twarz Prii stanowiła odbicie jej twarzy.

Prawdziwe imię alorskiego księcia nie było błahostką. Przypuszczała, że żaden z obecnych wysoko urodzonych nie lekceważył znaczenia tego, co działo się na ich oczach. Nawet wśród żołnierzy zapadła zupełna cisza.

– Co twoje imię ma wspólnego ze mną? – zapytała.

Wypuścił powietrze, jakby go uderzyła.

– Wszystko, księżniczko Malini – odparł. – Wszystko.

Wpatrywał się w ziemię. Zamknął oczy w bólu i czci, a gdy się odezwał, mówił po alorsku. W pradawnym, archaicznym alorskim, melodyjnym języku, którego nawet Malini nigdy się nie uczyła. Jednak Aditja go znał i oceniała wagę proroctwa po tym, jak twarz jej brata pobladła, jak zamknął oczy i uniósł twarz ku wykrwawiającemu się zmierzchowi.

– Gdy zostanie ukoronowana w jaśminie, w igłokwiecie, w dymie i ogniu, on uklęknie przed nią i ją nazwie – powtórzył Rao we wspólnym zaban. I nagle Malini zaczęła się trząść, każdy skrawek niej płonął szaloną euforią, która wzbierała jej we krwi. – On przekaże księżniczce Paridżatu jej los. On powie... – Przełknął z trudem ślinę. Uniósł oczy, zaciekle i wilgotne. – Nazwie osobę, która zasiądzie na tronie. Nazwie kwiat cesarstwa. Nazwie głowę, która będzie władać pod trującą koroną. Nazwie

dłoń, która podpaliła stos. – Panowała absolutna cisza, napięcie można było porównywać z naciągniętym łukiem. – On tak ją nazwie – dokończył Rao. – A ona będzie wiedzieć.

Malini nie czuła pod sobą nóg. Miała wrażenie, że dryfuje we własnej skórce, na fali czegoś, co nie było do końca ani strachem, ani radością, ale płonęło w niej, uderzało do głowy silniej niż alkohol, silniej niż igłokwiat.

– To ja podpaliłam stos – powiedziała drżąc. – To ja podpaliłam klasztor. To byłam ja.

Wtedy ujrzała w jego twarzy, że uświadomił sobie to samo.

– Tak – oznajmił.

Chwila wisiała na ostrzu noża. Jakże łatwo mogła przechylić się na którąś ze stron.

Księżniczka znowu popatrzyła na Aditję.

Aditję, który odmówił tronu, i to nie raz. Zapewniła mu narzędzia potrzebne do tego, by został cesarzem, a on wielokrotnie je odrzucał lub umniejszał. Powiedziała mu, w jaki sposób działa władza i jakiej wymaga ofiary. Nie oddał tejsze władzy należnej sprawiedliwości. Gdy miał ją w zasięgu ręki, odwrócił się od niej.

Ona jednak wypuściła strzałę. Podpaliła klasztor.

I oto stanęła przed szansą, żeby sięgnąć po władzę we własnym imieniu. Straszliwą szansą. Jeśli przyjmie koronę, którą Rao włożył jej w ręce, jeśli przemieni pętlę jego słów w broń...

Głupotą byłoby próbować sięgnąć po to, co jej się nie należało. To synowie z królewskiego rodu nosili koronę. Kobiety z rodu były...

Cóż.

Pomyślała o księżniczce Alori, o wysoko urodzonej Narinie, o tym, jak krzyczały, gdy dosięgły ich płomienie. Jak pachniały, gdy się paliły, jak gwiazdne korony pękały na ich głowach, jak nawet słodycz perfum i kwiatów nie mogła zdusić ohydneho smrodu palonych włosów i jedwabiu, woni spalającego się mięsa, tłuszczu, szpiku.

Kobiety królewskiej krwi są koronowane jedynie w śmierci, pomyślała Malini z furią.

Nie chciała umierać. Chciała korony już teraz. Toczyła o nią polityczne handle, grała o nią, straciła ją i niemal przez nią zginęła. A jednak oto tutaj była. Żywa.

I był tu Rao, bezimienny książę Aloru, którego imię było proroctwem wyszeptanym do ucha jego matce. Oto był książę, który dał jej koronę i tron, który powiedział jej, że ma prawo je przyjąć.

Oto był. Klęczał przed nią.

Nie można było tego zrobić. Wiedziała, że nie można było. Przez całe życie słyszała, że to niemożliwe.

Widziała jednak nadzieję i lojalność w oczach tych mężczyzn, gdy kazała im ruszać do walki. Widziała, jak zmieniały się ich twarze, gdy powiedziała im, że jest ucieleśnieniem matki płomienia. Wykorzystała to kłamstwo, by zapewnić sobie przewagę, zaciągnęła im je niczym łańcuch na szyjach, niczym dłoń zaciśniętą na ścięgnach i wyciskającą gęstą krew z ich bijących serc.

Miała Alor. Miała układ z samozwańcami z Ahiranji.

Miała siebie.

Los zaciskał się wokół niej. Fałszywy, kłamliwy los. A jednak pławiła się w nim, ponieważ była to okazja, z której należało skorzystać. A Malini nie była taka głupia, by coś podobnego przegapić.

Mężczyźni ją obserwowali. Jej alorski książę. Lordowie z Sakety i Dwarali, Srugny i Paridżatu.

Jej brat ze smutkiem w oczach.

Czekała, aż przemówi. Dała mu jedno uderzenie serca, a później kolejne, po czym zobaczyła, że bez słowa spuścił wzrok.

– Objęcie władania nad tą krainą stanowiłoby z mojej strony wielką ofiarę – powiedziała Malini powoli, uroczyście, jakby jej serce wcale nie było jak rozpalona bryła węgla, pełna radości i wściekłości. – Jestem tylko kobietą, a moi bracia wciąż żyją. Gdybym miała rządzić... moi lordowie, muszę rządzić w imieniu matek. Muszę rządzić jako matka Paridżatdwipy.

Przerwała na chwilę, po czym podjęła:

– Nie spłonęłam tak, jak spłonęły matki. Wiem, że nie było to ich wola. Jednak w płomieniach klasztoru spaliłam moją dobroć. Spaliłam moją łagodność. Zrobiłam z siebie odpowiednią cesarzową. Moi lordowie, jeśli taka jest wola zarówno matek, jak i bezimiennego, w takim razie obejmuję tron Paridżatdwipy dla dobra nas wszystkich. Robię tak, jak nakazuje prorocтво.

Milczenie. A później ryk głosów. Euforia.

Rao, któremu wciąż drżały barki, nie podnosił się.

– Moja cesarzowo – rzekł. W jego głosie nie było słyhać euforii, lecz pustkę.

Dotknęła knykciami swojej piersi.

Kwiat wciąż kwitł, jakby nie mogła go zabić woda, jakby nie mógł go spalić ogień. Jej igłokwiat.

Twarz Prii na dłoni Malini. Miarowe, przesywające światło jej oczu.

Znam cię. Dobrze wiem, kim jesteś.

Opuściła dłoń.

Znała siebie. Wiedziała, czym była pod swoimi sztuczkami. Jednak ci ludzie jej nie znali. Spoglądali na nią i widzieli matkę płomienia, za którą się podawała. Niektórzy przyglądali się jej ostrożnie, rozważając jej wartość i jej uległość, potencjalne korzyści z władzy sprawowanej przez nich pod kobietą z Paridżatu, a nie cesarskim synem.

Niektórzy wpatrywali się w nią z prawdziwym płomieniem wiary w oczach.

Inni – jak łucznicy, u boku których stała, gdy wypuściła pierwszą strzałę i podpaliła klasztor – patrzyli na nią z czymś na kształt szacunku.

Mogła wykorzystać to wszystko.

Widziała, że Aditja ją obserwuje. Na jego twarzy widniał ponury wyraz akceptacji. Niewesoły. Wyglądał, jakby widział w niej śmierć.

Cóż, niech widzi. Nie zamierzała się tym smucić.

Mogła stworzyć z Paridżatdwipy coś nowego.

Mogła stworzyć z siebie coś potwornego. Mogła stać się istotą zrodzoną z trucizny i stosu, z płomienia i krwi. Mówiła Aditji, że jeśli pojawia się okazja do przejęcia władzy, należy ją wykorzystać. Skoro on nie zamierzał tego uczynić, wówczas ona to zrobi.

Skoro nie zamierzał objąć tronu ich brata stojącego w tamtej sali ze słodkimi, opadającymi jaśminami, gdzie spłonęły siostry jej serca, wówczas ona to zrobi.

Zamierzała zbudować nowy świat.

Stworzy go, gdy zasiądzie na tronie Paridżatdwipy.

Ale najpierw, pomyślała cicho, dziko, gdy mężczyźni wokół niej przyklękali i wykrzykiwali jej imię: „Malini. Malini. Matka Malini. Cesarzowa Malini!”. Najpierw zamierzam odnaleźć mojego cesarskiego brata. Zmuszę Ćandrę, by ukląkł przed swoimi królami i księżętami, upokorzony i złamany. A później będę patrzyła, jak płonie.



70

PRIJA

Po koronacji Prija poszła do Rukha.

Zorganizowano tymczasową izbę chorych dla wszystkich, którzy odnieśli rany podczas obrony mahalu. Chłopiec miał własne posłanie. Znajdowało się przy oknie, pod wpadającymi promieniami słońca. Leżał na boku, a wszystkie liście w jego włosach obróciły się ku światłu.

Odczekała, by upewnić się, że przeżyje, że wody nie odbiorą jej życia. Odczekała, aż poczuła, że magia ułożyła się w jej krwi, stabilna i silna. Dalsze przeciąganie sprawy byłoby zwykłym tchórzostwem.

Nie chciała, by zorientował się, że się bała.

– Rukh – powiedziała – nie śpisz?

Gdy uniósł głowę, liście jego włosów poruszyły się. Ciernie na jego dłoniach przesunęły się wraz z drobnymi kostkami palców, kiedy obracał ku niej ciało.

– Prija?

– To ja – odparła z uśmiechem. – Znajdź się tu dla mnie miejsce?

Przesunął się trochę. Usiadła na posłaniu obok niego.

– Chciałabym coś wypróbować, jeśli mi pozwolisz – powiedziała.

Ujęła jego dłoń w swoje. – Chciałabym pomóc ci z butwieniem.

– Nie chcę już nosić paciorków – odparł zrezygnowany.

– Nie. Nie chodzi mi o to. Chcę spróbować czegoś magicznego. Pozwolisz mi?

Milczał przez chwilę.

– Jestem taki zmęczony – rzekł w końcu cicho.

– Wiem – odparła. Przesunęła kciukiem po jego palcach, ostrożnie, omijając popękana skórę wokół roślinnych wrostów. – Wiem, Rukh.

Spojrzał na jej dłoń.

– Czy to... czy będzie bolało? – spytał.

– Nie wiem – przyznała cicho. – Naprawdę nie wiem. Ale jeśli tak, to daj mi znać, a przestanę.

– W porządku. – Rozprostował palce z wyraźnym trzaskiem stawów. – W porządku – powtórzył. – Ufam ci.

Prija ścisnęła jego dłoń mocniej, próbując emanować pewnością siebie. Odetchnęła głęboko. Zamknęła oczy.

Dysponowała jedynie słowami Aśoka – jego wspomnieniem, że trzykrotnie zrodzeni potrafili kiedyś kontrolować butwienie. Dysponowała jedynie własną nadzieją, że to, czym była, da się wykorzystać do czegoś dobrego.

Pozwoliła, by wezbrała w niej magia. By się z niej wylała.

Trzymała jego dłoń i poczuła w nim butwienie, żywe i magiczne doznanie – to samo roślinne życie, które zamieszkiwało las, jego drzewa i jego glebę – a później poczuła, jak butwienie jej odpowiada.

Powolne, głębokie oddechy. Właśnie tego było trzeba, żeby mogła przesuwać delikatnie swoją magię, by mogła wpływać na butwienie tak samo jak na inne roślinne, żyjące istoty. Nie rośnij, powiedziała mu. Nie rozprzestrzeniaj się. Próbowwała skłonić je, by się cofnęło, by zwiędło w nicłość, ale zadomowiło się już w wydrążonym Rukhu i bez niego chłopiec by umarł.

Zrobiła, co mogła. Tylko to.

Otworzyła oczy i uśmiechnęła się do niego.

– Prijo – wydyszał, jakby nie oddychał w pełni od długiego czasu. – Ja... Prijo, co ty zrobiłaś?

– Nie umrzesz – oznajmiła. – Upewniłam się co do tego. Butwienie nie będzie cię już krzywdzić.

Popatrzył rozszalałym wzrokiem na swoje dłonie, wciąż pokryte spiralami kory, wciąż dziwne.

– Ale nie możesz mnie naprawić? Ja nie... nie zmienię się z powrotem?

– Nie mogę sprawić, byś stał się taki jak dawniej – rzekła Prija powoli, spoglądając na korzonki wijące mu się wokół uszu, na linie żywicy

wyglądające jak żyły, widoczne na jego gardle i w oświetlonych białkach oczu. – Ale nic ci nie będzie, Rukh – dodała łagodnie. – Nic ci nie będzie.

Chłopiec pokiwał poważnie głową. Nagle zadrżała mu warga. Przycisnęła czoło do jej barku i poczuła, jak wstrząsają nim gwałtowne spazmy płaczu. Wcisnęła się głębiej na jego posłanie i ścisnęła go mocno. Przyłożyła mu twarz do włosów, czując, jak jej również łzawią oczy, i tak straszliwie, niezwykle cieszyła się, że nie straciła również jego.

– Już dobrze – wyszeptwała. – Rukh, już dobrze.



Bhumika była sama, czekała na nią, stojąc przy rozbitym oknie w wielkim mahalu. Wpatrywała się w Hiranę. Piła wino z butelki. Jeden z osobistych magazynów regenta cudem przetrwał zniszczenia i plądrowanie.

– Gdzie Padma? – spytała Prija.

– Śpi. Khalida z nią jest. Myślisz, że zostawiłabym noworodka samego?

– Tylko pytałam. Poza tym chyba można zostawiać dzieci same, kiedy śpią. Prawda?

Bhumika wymamrotała pod nosem coś nieprzyjemnego i pchnęła butelkę ku Prii. Ta podniosła ją i napiła się.

– To co teraz planujesz? – zapytała Bhumika.

Prija odstawiała butelkę.

– Co masz na myśli? – odparła.

– Wiem, że chcesz odejść.

Prija przełknęła ślinę. Wpatrywała się w Hiranę, złamaną, lecz trwającą, w światelko migoczące w triweni, gdzie zostali niektórzy z jednokrotnie zrodzonych.

– Nigdy tak nie mówiłam.

– Nie musiałaś, Pri. – Gdy Prija milczała, Bhumika podjęła: – Proszę cię tylko... żebyś nie odchodziła ot tak. Porozmawiaj ze mną. Jest tak wiele rzeczy, do których cię potrzebuję. Zamieszki. Starania, by buntownicy i nasi nie rzucali się sobie nawzajem do gardeł. Zagrożenie ze strony Paridżatdwipy na granicy. Konieczność znalezienia partnerów handlowych.

– Sporo, prawda? – Prija westchnęła i wzruszyła ramionami, po czym wyprostowała plecy. – Chciałabym pomóc w zapewnieniu nam

bezpieczeństwa, choć nie sądzę, by Dżiwana to cieszyło. Nie był zbyt zadowolony, gdy gałęzią rozbiłam żołnierzowi czaszkę.

– Dostosuje się – skomentowała cierpko Bhumika.

– A co do reszty... Prawdę mówiąc, nie jestem polityczką. Nie jestem wojowniczką. Nie jestem już nawet służącą. Jestem...

Pomyślała o doznaniu Ahiranji rozkwitającej w jej umyśle. O mocy w jej krwi. O tym, co znaczyło zostać dotkniętą przez duchy – być świątynnym dzieckiem, powierniczką wiary.

Być... żywołem.

Bhumika wciąż wpatrywała się w nią.

– ...niczym szczególnym – dokończyła Prija. – Nie jestem niczym szczególnym.

– Jesteś teraz starszą.

– Daj spokój. Obie wiemy, że jest tu tylko jedna prawdziwa starsza.

Bhumika pokręciła głową.

– To nieprawda, Prijo. Być może pewnego dnia to dostrzeżesz.

– Rzeczywiście chcę odejść – przyznała Prija. – Chyba zawsze mam ochotę robić to, co niewłaściwe. Ale obiecuję ci, że nie odejdę. Nie zostawię cię, żebyś musiała sama radzić sobie z tym wszystkim.

Bhumika pokręciła głową.

– Nie tego chcę.

– Zatem czego chcesz?

– Powiedz mi, czego sama pragniesz – rzekła Bhumika. – Tylko to chcę wiedzieć.

Pragnęła znów zanurzyć się pod wody.

Pragnęła, by Aśok żył.

Pragnęła Malini. Pragnęła kobiety, która trzymała nóż przy jej sercu. Pragnęła jedynie tego, co by ją zniszczyło, a na co by się to komukolwiek zdało?

– Tak wielu rzeczy – odrzekła w końcu – które są nieistotne.

Bhumika czekała chwilę, po czym przysunęła sobie butelkę.

– To naprawdę świetny saketyjski rocznik – powiedziała, spoglądając na flaszkę. – Wikram przepadał za dobrym winem. Kiedyś dopilnowałam, żeby z magazynów Sonali przyniesiono beczkę. Stary rocznik, starszy niż mój wuj. Nawet go nie tknął. A jednak czasami wydawało mi się, że mnie cenił. – Uniosła głowę. – Czy kochasz ją bardziej niż swoją rodzinę?

To jasne, że Bhumika wiedziała. Prija nigdy nie umiała dobrze ukrywać uczuć.

– Nie jesteśmy szczególnie dobrą rodziną – rzekła Prija. – Nigdy nią nie byliśmy. Ale ona... też nie jest zbyt dobra.

– Ach, Prijo. To żadna odpowiedź.

– Zatem oto moja odpowiedź. Wybieram ciebie. Wybieram... Aśoka.
– Lekko załamał jej się głos. Przelknęła ślinę. – Wybieram Ahiranję. Muszę. Żyje we mnie.

– Pewnego dnia odejdziesz – stwierdziła Bhumika. – Wiem to. Ale chciałabym, żebyś złożyła mi obietnicę, której nie złamiesz. – Obróciła się do Prii. – Zrób sobie z niej sojuszniczkę. Ukochaną, jeśli chcesz, ale sojuszniczkę. Jeśli nie zdołasz tego zrobić, jeśli będzie stanowiła zagrożenie dla naszego kraju, wówczas będę chciała, żebyś ją usunęła. Czy rozumiesz?

Cisza.

– Chcesz, żebym ją zabiła – powiedziała Prija.

– Chcę, byś wykorzystała waszą bliskość, jeśli Ahiranja będzie tego potrzebowała – oznajmiła spokojnie Bhumika. – Chcę, byś zawsze pamiętała, wobec czego jesteś lojalna.

– Wobec tego miejsca?

– Tak, Prijo. Wobec tego miejsca.

Dziewczyna pokręciła głową.

– Myślisz w dziwny sposób – powiedziała.

– Myślę jak władczyni – odparła Bhumika z rezygnacją w głosie. – Teraz muszę tak myśleć.

– Być może nigdy jej nie znajdę. Być może... – Prija wzruszyła ramionami, bezradna pod ciężarem pragnienia i obowiązku. – Być może nie będzie chciała mieć ze mną nic wspólnego. Ale jeśli pójdę do niej, jeśli ona...

– Nie powinnaś okłamywać samej siebie – rzekła łagodnie Bhumika. – Uwierz mi. To nie jest dobre.

Prija skinęła głową. Przycisnęła lekko knykcie do żeber w miejscu, gdzie dotykał ich nóż Malini.

– Masz rację – przyznała. – Pójdę do niej. Ale nie teraz. Może jeszcze długo nie. I jeśli pójdę... jeśli będzie chciała się ze mną zobaczyć, jeśli... – Prija urwała. Przelknęła ślinę. Powiedziała ostrożnie: – Nie zapomnę, wobec czego jestem lojalna.

– Dziękuję ci – odparła Bhumika. Barkiem szturchnęła bark Prii. – Jeszcze wina?

– Zdecydowanie.

Prija wypila jeden długi łyk i odstawiła butelkę.

– Mówiłam poważnie, że nie jestem polityczką i wojowniczką.

– Wiem to, Pri.

– Ale istnieje coś, co mogę robić. Coś użytecznego. Coś dobrego.

– Co takiego? – zapytała Bhumika.

Prija znów popatrzyła na Hiranę. Pomyślała, jak długo klęczała na posłaniu Rukha. Jak chłopiec płakał, zdruzgotany i pełen nadziei.

Wraz z Bhumiką stały się wreszcie lekarstwem, którym zawsze miały być. Przeznaczenie, na które zasługiwały, leżało w ich środku, należało wyłącznie do nich.

Lekarstwo. Na tę myśl zapiekła ją skóra.

Dotknęła dłonią policzka i wyczuła znajdującą się tam linię ciepła, szew pulsujący ogniem. Odetchnęła z nadzieją i jej pierś wciągnęła powietrze, otworzyła się na nie niczym coś wydrążonego. Przez sekundę, jedną oszalamiającą sekundę, miała wrażenie, że wciąż leży pod wodą, że coś rośnie w jej płucach, jej sercu, coś rozkwita, coś, o czym zapomniała...

Chwila minęła. Dziewczyna opuściła dłoń. Znów była Priją i wiedziała, co powinna zrobić.

– Butwienie – oznajmiła. – Zamierzam zniszczyć butwienie.



EPILOG

Ćandra kłęczał w ruinach ogrodu swojej matki. Wokół niego w gnijących stertach leżały kwiaty o odsłoniętych korzeniach, muchy i mrówki kręciły się po ich szczątkach. Gdy zaledwie kilka tygodni wcześniej rozkazał, by przygotowano ogród do jego użytku, wyraźnie dał do zrozumienia, że kwiaty mają tu zostać na śmierć.

W woni umierającej roślinności kryła się słodycz, która go uspokajała.

Jego matka kochała swoje dwaralskie brzozy – ich jasną korę, dumnie sterzące gałęzie obwieszone liśćmi.

Pewnego ranka służący ścięli wszystkie drzewa, niwecząc lata wzrostu. Korzenie wyciągnięto z ziemi, drewno wysuszono, później porąbano i starannie ułożono w osobne stopy. Wprowadzono na nie kobiety, podpalono stopy, uprzątnięto popioły i znów ułożono drewno, dopóki całe nie zniknęło, dobrze wykorzystane w wyższym celu.

A Ćandra obserwował to wszystko.

Dziś płonął już tylko jeden stos. Jego płomień zgasł do rozjarzonych węgli pulsujących pod przyczernionym ciężarem drewna. Wprowadzona na niego kobieta już dawno umarła i w ogrodzie znów panowała błogosławiona cisza. Służąca przyniosła Ćandrze coś na

orzeźwienie: szербet pełen zmiądzonych płatków i perłowych nasion bazylii, różowych oraz białych, a także gliniany kubek z herbatą zakryty płótnem, by utrzymać ciepłotę. Ustawiła to wszystko schludnie na niskim stoliku za cesarzem, skłoniła się i odeszła, zasłaniając usta i nos swoim pallu, z oczyma zaczerwienionymi od duszącego dymu.

Blask węgielków przygasł jeszcze bardziej, zduszony masą spalonego drewna. Čandra przyjrzał się bliżej, wpatrywał się w biały i czarny popiół, w brzezinę i kość. I oto było.

Jeden węgielek – tylko jeden – stał się jaśniejszy. Urósł. Leżał na ciemnym tle pozostałych, pulsując niczym serce. Mała, zaciśnięta pięść światła zadygotała przed zaskoczonymi, pełnymi nadziei oczyma Čandry, a następnie zaczęła się rozwijać. Pączek ze stopionego złota rozkwitł w ognisty kwiat.

Čandra głęboko zaczerpnął tchu, by wciągnąć w siebie powietrze, którego potrzebował po radosnym śmiechu, jaki przed chwilą się z niego wydostał. Usta miał pełne dymu z ludzkich szczątków, mdlącej woni martwego jaśminu. Nigdy nie smakował czegoś równie słodkiego.

Siedział wpatrzony w dogasający ogień. I z uśmiechem na ustach myślał o swojej siostrze.

Koniec księgi pierwszej

Ciąg dalszy opowieści
w Księdze drugiej „Płonących królestw”



BOHATEROWIE



Ahiranyjczycy

Aśok – buntownik przeciwko władzy Paridźatdwipy, świątynny syn

Bhumika – żona regenta Ahiranji, świątynna córka

Billu – kucharz w domostwie regenta Ahiranji

Bodźal – świątynny starszy, nie żyje

Ćandni – świątynna starsza

Ganam – buntownik przeciwko władzy Paridźatdwipy

Gauri – starsza służąca w domostwie regenta Ahiranji

Gautam – sprzedawca ahiranyjskich lekarstw

Gowind – wysoko urodzony lord, wuj Bhumiki

Dźiwan – kapitan gwardii regenta Ahiranji

Dźitesz – strażnik w domostwie lorda Iskara

Khalida – służąca pani Bhumiki

Kritika – buntowniczką przeciwko władzy Paridźatdwipy

Mina – buntowniczką przeciwko władzy Paridźatdwipy

Mithunan – strażnik w domostwie regenta Ahiranji

Nandi – świątynny syn, nie żyje

Nikhil – strażnik w domostwie lorda Iskara

Prija – służąca w domostwie regenta Ahiranji, świątynna córka

Rukh – młody służący w domostwie regenta Ahiranji, cierpi na butwienie

Sandźana – świątynna córka, nie żyje

Sarita – ahiranyjska buntowniczką

Sendhil – świątynny starszy

Sima – służąca w domostwie regenta Ahiranji

Alorcycy

Alori – księżniczka Aloru, dama dworu księżniczki Malini, nie żyje

Rao – książę Aloru

Wiradź – król Aloru

Dwaralczycy

Khalil – lord Lal Qila

Razija – wysoko urodzona dama, żona lorda Khalila

Paridźatczycy

Aditja – były następca tronu Paridźatdwipy, kapłan bezimiennego

Ćandra – cesarz Paridźatdwipy

Diwjansi – pierwsza matka płomienia, założycielka Paridźatdwipy,
nie żyje

Iskar – doradca regenta Ahiranji

Lata – myślicielka

Mahesz – wysoko urodzony lord, lojalny wobec księcia Aditji

Malini – księżniczka Paridźatu

Narina – szlachcianka, dama dworu księżniczki Malini, nie żyje

Pramila – wysoko urodzona dama, dozorczyń Malini

Santos – wysoko urodzony lord, lojalny wobec cesarza Ćandry

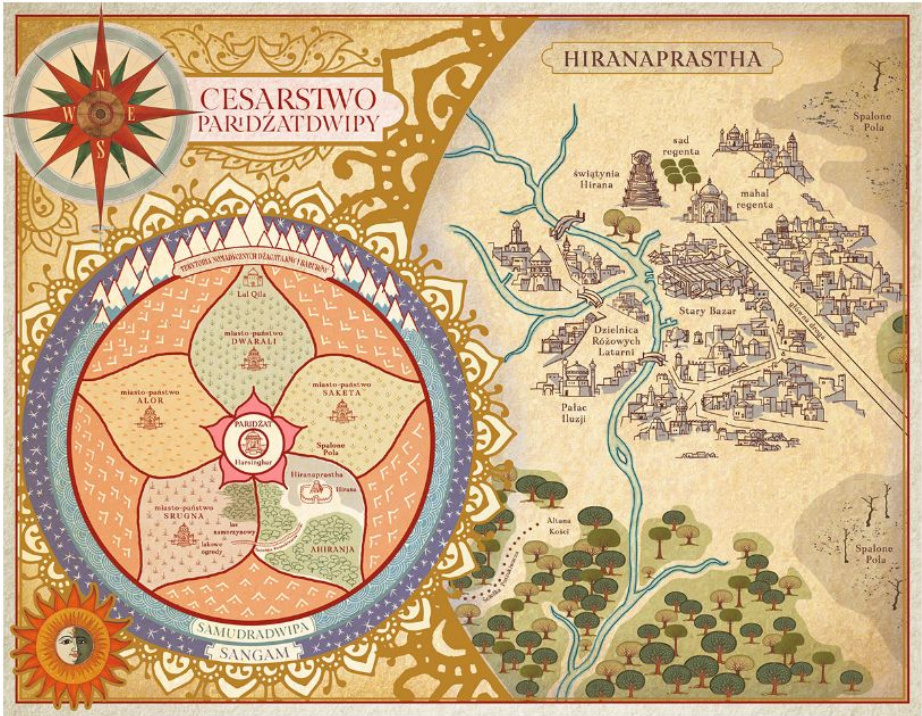
Sikander – poprzedni cesarz Paridźatdwipy, nie żyje

Wikram – regent Ahiranji

Saketyjczycy

Narajan – wysoko urodzony lord

Prem – niski książę Sakety





PODZIĘKOWANIA



Nowy cykl jest zawsze jak wyprawa w niebezpieczne i nieznanne: może być przerażająca i ekscytująca, do tego znacznie lepiej wyruszać na nią w towarzystwie. Jestem wdzięczna wszystkim, którzy wzięli w niej udział wraz ze mną.

Przede wszystkim dziękuję czytelnikom tej książki. Książki są niczym bez swoich czytelników i jako autorka jestem wdzięczna, że tu jesteście. Specjalne wyrazy miłości i podziękowania kieruję do moich safickich czytelniczek Desi. Mam nadzieję, że dzięki mojej powieści czujecie się widoczne, przynajmniej odrobinę.

Dziękuję mojej agentce Laurze Crockett, która wciąż umożliwia mi pisanie książek, jakie sobie wymarzyłam. Dziękuję również wszystkim w Triada US Literary Agency, zwłaszcza Uwe Stenderowi.

Wielkie dzięki dla wszystkich w Orbit: Priyanki Krishnan, mojej wspaniałej redaktorki, dzięki której ta powieść stała się bardziej rozbudowana, lepsza i zdecydowanie bardziej romantyczna – bez ciebie nie byłaby nawet w połowie tak dobra i jestem ci wdzięczna za wskazówki. Dla Hillary Sames za przeglądanie kolejnych szkiców i sprawienie, że powieść zaczęła lśnić. Dla mojej brytyjskiej redaktorki Jenni Hill i brytyjskiej promotorki Nazii Kharun za wprowadzenie Jaśminowego tronu w świat bliższy mojemu miejscu zamieszkania. Lauren Panepinto i Micah Epsteinowi za piękną okładkę. Ellen Wright i Paoli Crespo za wspaniały marketing, promocję oraz wsparcie. Dla Anny Jackson i Tima Holmana za organizację wszystkiego. Dziękuję Bryn A. McDonald i Amy J. Schneider za to, że są czarodziejkami (adiustatorzy zawsze są czarodziejami). I wreszcie, lekko zbaczając od Orbit: podziękowania dla Sarah Guan za zasianie ziarna, z którego wyrosła ta książka.

Kat, Kate, Daphne, Tori, Lesedi, Shuo: w tych niezwykle dziwnych czasach stanowiłyście dla mnie opokę. Kocham was. Dziękuję też wszystkim przyjaciółom, których nie wymieniłam tu z imienia, a którzy

wspierali mnie na drobne oraz wielkie sposoby i zasługują na więcej niż tylko mglistą wzmiankę.

Bardzo dziękuję wszystkim autorkom i autorom, którzy wspierali mnie, gdy podczas naszych czatów gadałam bez ładu i składu o tej powieści. Mam nadzieję, że pewnego dnia znowu zobaczymy się na jakimś konwencji, żebym mogła wam odpowiednio podziękować nad filiżanką herbaty (albo szklaneczką whisky, jeśli wolicie). Davin Madson, Rowenna Miller, Anna Stephens – wam dziękuję wyjątkowo za czytanie wczesnych szkiców tej książki. Dziękuję również Natashy Ngan za to, że kazała mi napisać saficką powieść, której się obawiałam.

Króliczek Lan Zhan, króliczek Wei Ying i Asami – nie umiecie czytać, bo jesteście zwierzętami, niemniej dziękuję wam za to, że wspieracie mnie swoją puchatością i słodyczą.

Nigdy nie zdołałabym osiągnąć tego wszystkiego bez wpływającego z miłości, cierpliwego wsparcia mojej rodziny. Specjalnie podziękowania kieruję do mojej mamy Anity Suri za to, że mnie karmi i że jest absolutną opoką (oraz tryska energią).

I wreszcie Carly: Kocham cię. Nic z tego wszystkiego nie byłoby możliwe bez ciebie. Ta powieść jest dla ciebie.



TASHA SURI

Jest wielokrotnie nagradzaną autorką dylogii „Księgi Ambhy” („Cesarstwo piasku” i „Kraina popiołu”) oraz epickiego fantasy „Jaśminowy tron”. Zapowiedziano już jej kolejne powieści: „Aleandrowy miecz” (kontynuację „Jaśminowego tronu”) oraz „What Souls Are Made Of” (remiks „Wichrowych wzgórz”).

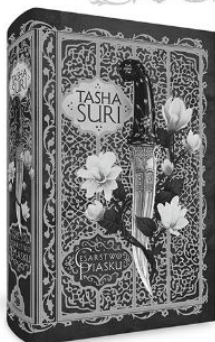
Uczy pisarstwa, od czasu do czasu bywa bibliotekarką, posiada kota.

Zdobyła nagrodę imienia Sydneya J. Boundsa dla najlepszej debiutantki przyznawaną przez British Fantasy Society, została też nominowana do nagród Astounding Award i Locus Award za najlepszy debiut powieściowy.

Jej pierwszą książkę „Cesarstwo piasku” magazyn „Time” umieścił na liście najlepszych 100 powieści fantasy. Gdy nie pisze, Tasha lubi płakać przy serialach telewizyjnych, kupuje zbyt wiele notatników i zaspokaja swoje geekowskie pasje, czytając o historii Azji Południowej.

Mieszka wraz z rodziną w przeciętnie nawiedzonym domu w Londynie.

KRONIKI AMBHY

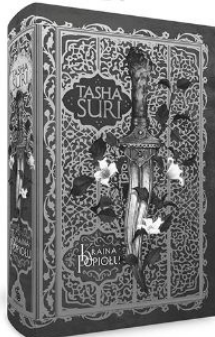


Niezwykłe klimatyczna kreacja świata i systemu magicznego oczarowuje, a główny antagonistą przyprawia o dreszcze! Ta książka niejednym potrafi zaskoczyć.

KAROLINA MICHTA
(Made by Caroline)

(...) książka przede wszystkim poruszająca ważne tematy, pokazująca, w czym tkwi prawdziwa siła kobiet.

DANIEL MUNIOWSKI
(Strefa Czytacza)



Jeśli ktoś ma słabość do lirycznej prozy, misternej sztuki kreowania światów, przepięknie wyobrażonych postaci, frapujących i wciągających wierzeń ludowych, a także fascynującego wejścia w środowisko przypominające Państwo Wielkich Mogłów, nie musi już dłużej szukać.

BOOKLIST



COPYRIGHT © 2021 BY NATASHA SURI
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2023

WYDANIE I

ISBN 978-83-7964-946-4

TYTUŁ ORYGINAŁU: The Jasmine Throne

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA
Eryk Górski, Robert Łakuta

ILUSTRACJA NA OKŁADCE, PROJEKT OKŁADKI ORAZ MAPY
Szymon Wójciak

ILUSTRACJE
Paweł Zaręba

TŁUMACZENIE
Piotr Kucharski

REDAKCJA
Magdalena Stonawska

KOREKTA
Agnieszka Pawlikowska

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ
pan@drewnianyrower.com

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



Zamówienia hurtowe
Dressler Dublin sp. z o.o.
ul. Poznańska 91

05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32
www.dressler.com.pl
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl



fabryka słów
WYDAWNICTWO

WYDAWNICTWO
Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91
www.fabrykaslow.com.pl
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl
www.facebook.com/fabryka
[instagram.com/fabrykaslow](https://www.instagram.com/fabrykaslow)

TRYLOGIA
PŁONĄCE (1)
KRÓLESTWA

PRZEŁOŻYŁ
PIOTR KUCHARSKI

*Przejmująca i wstrząsająca
od samego początku.*

R.F. KUANG

*Każde zdanie zapierało
mi dech w piersiach
swoim artystyzmem.*

SAMANTHA SHANNON

*Zaciekła i bezkompromisowa
feministyczna opowieść
o przetrwaniu i rewolucji.*

S.A. CHAKRABORTY

*Olśniewające feministyczne
arcydzieło. Suri uderza
jak stalowa pięść
w aksamitnej rękawiczce.*

SHELLEY PARKER-CHAN

Osierocona służąca
i uwięziona księżniczka.
Różni je wszystko:
pochodzenie, bogactwo,
wiedza. Łączy jeszcze więcej:
dojmująca samotność, całkowite
odrzućenie i nowe życie, w które obie
weszły, uciekając z objęć śmiercionośnego
ognia. Okradzione ze wszystkiego, w sobie
nawzajem odnajdą całą siłę, której
potrzebują, by przeżyć.

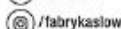
Za murami przerażającej świątyni
zmienionej w pełne duchów więzienie
przetacza się czas wielkich zmian.
Zaraza zbiera okrutne żniwo, wieloletnie
zniewolenie nieuchronnie prowadzi
do wybuchu krwawej rewolucji, walka
o władzę sprowadza na cesarstwo
widmo upadku, a dawne wierzenia
domagają się powrotu z zapomnienia
i nowego życia.

Nadchodzi czas zmian. Czas,
w którym odrzućone, nieme
dotąd kobiety ośmieliły się
sięgnąć po własny
los.

fabrykaslow.com.pl



[/fabryka](https://www.facebook.com/fabryka)



[/fabrykaslow](https://www.instagram.com/fabrykaslow)

współpraca medialna

PANNA PSYX



fabryka słów
WARSZAWA